

TOM CLANCY

DEKRET

TOM DRUGI

# SPIS TREŚCI

SPIS TREŚCI . . . . .	2
21 — Związki . . . . .	4
22 — Strefy czasowe . . . . .	51
23 — Eksperymentowanie . . . . .	85
24 — Zarzucenie wędki . . . . .	119
25 — Rozkwitanie . . . . .	158
26 — Chwasty . . . . .	190
27 — Wyniki . . . . .	228

28 — Kwilenie . . . . .	280
29 — Proces . . . . .	312
30 — Prasa. . . . .	355
31 — Kręgi na wodzie . . . . .	390
32 — Powtórki . . . . .	425
33 — Uniki . . . . .	487
34 — WWW.TERROR.ORG . . . . .	520
35 — Plan operacyjny . . . . .	555
36 — Podróżnicy . . . . .	592
37 — Dostawa . . . . .	628
38 — Cisza przed burzą. . . . .	675
39 — Oko w oko . . . . .	707
40 — Otwarcie . . . . .	778
41 — Hieny . . . . .	815

## 21 — Związki

Patrick O'Day był wdowcem. Jego życie uległo nagłej zmianie po bolesnym wstrząsie, jakiego doznał po krótkim okresie dość późno zawartego małżeństwa. Deborah była ekspertem kryminalistyki w Centralnym Laboratorium FBI i w związku z tym wiele podróżowała po kraju. Pewnego popołudnia rozbił się samolot, którym wracała z Colorado Springs. Przyczyn katastrofy nigdy nie ustalono. Był to pierwszy jej wyjazd służbowy po urlopie macierzyńskim. Osierociła czternastotygodniową córeczkę imieniem Megan.

Megan miała już dwa i pół roku, a inspektor O'Day nadal nie mógł się zdecydować, jak powiedzieć swojej córce, że jej matka nie żyje. Miał fotografie i nagrania magneto-

widowe, ale przecież nie można, ot tak, po prostu, wskazać palcem na kolorową odbitkę czy fosforyzujący ekran i powiedzieć: „To jest mamusia!”. Megan mogłaby wtedy dojść do wniosku, że życie jest czymś sztucznym, a to mogłoby mieć zgubny wpływ na rozwój dziecka. Inspektora dręczyło jeszcze jedno bardzo istotne pytanie, które domagało się szybkiej odpowiedzi: czy mężczyzna, którego los uczynił samotnym rodzicem, potrafi wychować córkę? Skoro wychowuje ją sam, musi być podwójnie opiekuńczy, mimo wielkiego obciążenia pracą zawodową, podczas której rozwiązał ostatnio sześć spraw porwań. O’Day był wysoki, muskularny, wysportowany i ważył ponad dziewięćdziesiąt kilo. Gdy objął nowe stanowisko, musiał zrezygnować z wiechciowatych wąsów, gdyż na podobną ekstrawagancję nie pozwalał wewnętrzny regulamin centrali FBI. Uchodził za policjanta bardzo twardego, jednego z najtwardszych. Jego oddanie córeczce z pewnością wywołałoby uśmieшки kolegów, gdyby o tym wiedzieli.

Megan miała długie blond włosy. Ojciec co rano je czesał tak długo, aż nabierały jedwabistej miękkości. Jeszcze przedtem ją ubierał, zawsze w jakąś barwną sukieneczkę, i z powagą karmił.

Dla Megan ojciec był wielkim opiekuńczym niedźwiadkiem, który głową sięgał chyba nieba. Potrafił porwać ją z ziemi i unieść w górę z prędkością rakiety. Wtedy mogła objąć ojcowską szyję rączkami. I dziś rytuał został zachowany. — Ojej, udusisz mnie! — jęknął ojciec.

— Boli? — spytała Megan, udając niepokój.

Na twarzy ojca rozlał się uśmiech. — Dziś nie boli.

Wyprowadził małą z domu, otworzył drzwiczki zabłoconej półciężarówki, posadził córkę w dziecięcym foteliku i starannie zapiął pasy. Zajął miejsce za kierownicą i na siedzeniu obok położył pudełko ze śniadaniem Megan i wypełniony kwestionariusz. Była punkt szósta trzydzieści. A więc najpierw do przedszkola. Zapalając silnik, patrzył na Megan, ale przed oczami miał obraz jej matki. Codziennie patrzył na Megan, a widział Deborah. Zamknął oczy, zacisnął usta. Po raz tysięczny zadawał sobie pytanie: dlaczego? Dlaczego właśnie ten *Boeing 737* z Deborah w fotelu 18-F?

Byli małżeństwem zaledwie przez szesnaście miesięcy.

Nowe przedszkole było lepsze, bo znajdowało się po drodze do biura. Sąsiedzi wysyłali tam bliźnięta i byli zachwyceni. O'Day skręcił na Ritchie Highway i zaparkował

na wysokości sklepu 7-Eleven, gdzie zawsze kupował karton kawy na dalszą drogę. Przedszkole było po tej stronie.

Opiekowanie się gromadą cudzych dzieci, to nie lada praca, pomyślał wychodząc z wozu.

Kierowniczką przedszkola, panna Marlene Daggett, była tu już od szóstej rano, by przyjmować dzieci urzędników jadących do pracy w stolicy. Po nowe dzieci wychodziła zawsze przed budynek.

— Pan O'Day? A to jest z pewnością Megan! — Jak na tak wczesną godzinę, tryskała energią. Megan, nieco niepewna, spojrzała pytająco na ojca. Jednakże zainteresowały ją dalsze słowa panny Daggett: — On też ma na imię Megan. Weź niedźwiadka, jest twój! Czeka od wczoraj.

Zachwycona Megan porwała i przytuliła włochatego potworka.

— Naprawdę mój?

— Twój — odparła wychowawczyni i zwracając się do O'Daya spytała: — Wypełnił pan kwestionariusz?

Wytrawny agent FBI pomyślał, że wyraz twarzy panny Daggett świadczy wyraźnie o tym, że jej zdaniem niedźwiadkami można zawsze kupić sympatię.

— Oczywiście. — Podał wypełniony poprzedniego wieczoru formularz. Megan nie ma żadnych problemów zdrowotnych, żadnej alergii na lekarstwa, mleko czy inne produkty żywnościowe. Tak, w nagłym wypadku można odwieźć ją do miejscowego szpitala. Inspektor wpisał numer telefonu w pracy, numer pagera, numer telefonu swoich rodziców oraz rodziców Deborah, którzy okazali się wyjątkowo dobrymi dziadkami. Przedszkole w Giant Steps było znakomicie prowadzone. O'Day nawet nie wiedział, jak dobrze, gdyż panna Daggett nie mogła i nie powinna zdradzać sekretów: każdy rodzic był sprawdzany. I to jak najbardziej urzędowo.

— No cóż, Megan, najwyższy czas na poznanie nowych przyjaciół i na zabawę — obwieściła panna Daggett. — Będziemy się nią dobrze opiekować — zapewniła inspektora.

O'Day powrócił do półciężarówki z uczuciem lekkiego żalu, jaki zawsze odczuwał odchodząc od córki, bez względu na to, gdzie i z kim ją pozostawiał. Przebiegł na drugą stronę drogi do sklepu, by kupić swój kubek kawy na drogę. Na dziewiątą miał zapla-



nowaną konferencję roboczą w celu omówienia postępu dochodzenia w sprawie katastrofy. Dochodzenie znajdowało się już w ostatniej fazie uzupełniania drobnych luk. Po konferencji czekało go przerzucanie stosu papierków, co mu jednak nie powinno przeszkodzić w odebraniu Megan z przedszkola w wyznaczonym czasie. Czterdzieści minut później dotarł do centrali FBI na rogu Pennsylvania Avenue i Dziesiątej Ulicy. Stanowisko inspektora do specjalnych poruczeń dawało mu prawo do zarezerwowanego miejsca na parking, z którego poszedł tego ranka prosto na strzelnicę w podziemiach gmachu.

Już w młodości był jako skaut doskonałym strzelcem, a potem przez wiele lat w wielu biurach terenowych FBI pełnił funkcję instruktora wyszkolenia strzeleckiego. Ten szumny tytuł oznaczał, że jego posiadacz miał nadzorować szkolenie w strzelaniu, a było ono ważną częścią życia każdego policjanta, choćby nie miał potem żadnej okazji oddania strzału do żywego człowieka.

O'Day dotarł na strzelnicę o siódmej dwadzieścia pięć. O tak wczesnej porze mało kto tu zaglądał. Mógł więc spokojnie wybrać dwa pudełka amunicji do swego *Smith & Wessona 1076* kalibru 10 mm oraz dwie tarcze sylwetkowe typu Q. Kontur był dużo mniejszy niż człowiek nawet niskiego wzrostu — ot, wielkości farmerskiej bańki

mleka. Inspektor przypiął tarczę do stalowej linki na kołowrocie i na panelu ustawił odległość dziesięciu metrów. Gdy nacisnął guzik elektrycznego wyciągu i tarcza wolno powędrowała na wyznaczoną jej pozycję, zaczął leniwie przerzucać strony przeglądu sportowego leżącego na pulpicie. Tarcza wreszcie przybyła do celu, specjalny mechanizm obrócił ją bokiem, tak że stała się prawie niewidoczna — urządzenia na strzelnicy pozwalały na programowanie zadań. Nie patrząc na pulpit, O'Day wystukał przypadkowe czasy i, opuściwszy ręce, czekał skupiony. Nie myślał już leniwie. Spięty czekał na Złego. A Zły, zapędzony w ślepy zaułek, gdzieś tu się czał. Groźny Zły, gdyż rozpoznał, gdzie trzeba, że nigdy nie wróci za kratki, nigdy nie da pojmać się żywcem. W swojej długiej karierze O'Day słyszał to już wielokrotnie i gdy tylko było można, dawał przestępcy szansę na dotrzymanie słowa. Ale w końcu wszyscy się łamali. Rzucali broń, robili w spodnie albo nawet zaczynali szlochać w obliczu prawdziwego zagrożenia życia. To już inna sytuacja, niż ta, o której buńczucznie się mówi przy piwie czy podczas częstowania skrzętem. Ale tym razem mogło być inaczej. Ten Zły jest bardzo zły. Wziął zakładnika. Może dziecko? Może zakładniczką jest jego Megan? Na myśl o tym poczuł, że wokół oczu tężeje mu skóra. Zły przystawił lufę pistoletu do jej głów-

ki. W kinie Zły powiedziałby teraz: „Rzuć broń!”. Ale gdyby się posłuchało i zrobiło to w życiu, miałyby się jedno martwe dziecko i jednego policjanta mniej, więc ze Złym trzeba rozmawiać, udając człowieka spokojnego, rozsądnego i dążącego do porozumienia. Trzeba wyczekać, aż Zły się uspokoi, odpręży, choćby tylko trochę. Byle odsunął lufę od głowy dziecka. To może potrwać kilka godzin, ale wcześniej czy później...

...czasomierz pyknął, kartonowa tarcza obróciła się ku agentowi, dłoń O'Daya mignęła w drodze do kabury. Niemal jednocześnie inspektor cofnął prawą stopę, skręcił całe ciało i przyklęknął. Lewa dłoń dołączyła do prawej, już mocno obejmującej gumową rękojeść, i to jeszcze wtedy, kiedy pistolet tkwił do połowy w kaburze. Wzrokiem przylgnął do muszki na końcu lufy i gdy oczy, przyrządy celownicze oraz zarys głowy na tarczy znalazły się w jednej linii, dwukrotnie nacisnął spust tak szybko, że obie wystrzelone łuski znalazły się w powietrzu w jednym czasie. O'Day ćwiczył strzelanie od tak wielu lat, że odgłosy obu strzałów zlewały się niemal w jeden, choć echo wracało podwójne, mieszając się z odgłosem padających na ziemię łusek. Ale w tym czasie sylwetka na tarczy miała już dwie dziury odległe od siebie parę centymetrów, tuż nad

oczami. Tarcza obróciła się na bok, zaledwie w sekundę po konfrontacji z przeciwnikiem, dyskretnie symulując koniec żywota Złego.

— Całkiem nieźle.

Znajomy głos wyrwał O'Daya ze świata fantazji.

— Dzień dobry, dyrektorze.

— Cześć, Pat. — Murray ziewnął. W ręku trzymał parę tłumiących nauszników. — Jesteś cholernie szybki. Jaki scenariusz? Facet trzyma zakładnika?

— Usiłuję wyobrazić sobie jak najgorszą sytuację.

— Rozumiem. Że porwał twoją małą. — Murray pokiwał głową. Wiedział, że wszyscy agenci tak robią. Podstawiają w myślach kogoś bliskiego, by dać z siebie wszystko i w pełni się skoncentrować. — No i załatwiłeś go. Pokaż mi to jeszcze raz — polecił dyrektor. Chciał przyjrzeć się technice O'Daya. Zawsze można się czegoś nauczyć.

Po drugiej próbie w głowie Złego ziała jedna duża dziura o poszarpanych brzegach. Było to nieco upokarzające dla Murraya, który uważał się za wyborowego strzelca. — Muszę więcej ćwiczyć -mruknął.

O'Day odetchnął. Jeśli pierwszym strzałem potrafi załatwić przeciwnika, to znaczy, że jest w formie. Po dwudziestu strzałach i w dwie minuty później Zły nie miał już głowy. Na sąsiednim stanowisku Murray ćwiczył technikę Jeffa Coopera: dwa szybko po sobie następujące strzały w klatkę piersiową, a potem wolniej oddane dwa w głowę.

Gdy obaj zdecydowali, że ich cele są dostatecznie martwe, postanowili wymienić kilka słów na temat oczekującego ich dnia.

— Coś nowego? — spytał dyrektor.

— Nie, sir. Napływają dalsze raporty z przesłuchań w sprawie japońskiego 747, ale nic zaskakującego.

— A Kealty?

O'Day wzruszył ramionami. Nie wolno mu było mieszać się do dochodzenia prowadzonego przez wydział kontroli wewnętrznej, ale otrzymywał z niego codziennie meldunki. O postępach w sprawie o tak wielkim znaczeniu i zasięgu musiał być ktoś informowany i, chociaż nadzór nad dochodzeniem znajdował się całkowicie w gestii BOZ, uzyskane informacje wędrowały do sekretariatu dyrektora, trafiając do rąk jego głównego „strażaka”.

— Tylu ludzi przewinęło się przez gabinet Hansona, że trudno ustalić, kto wyniósł list. Mógł to zrobić każdy, zakładając, że taki list w ogóle był. Nasi ludzie sądzą, że najprawdopodobniej był. Hanson wielu osobom o nim wspominał. W każdym razie tak nam mówią.

— Myślę, że sprawa ucichnie — zauważył Murray.

\* \* \*

— Dzień dobry, panie prezydencie!

Jeszcze jeden zwykły dzień. Rutynowe sprawy. Dzieci nie ma. Cathy nie ma. Ryan wyszedł ze swego apartamentu w garniturze. Miał zapiętą marynarkę — rzecz u niego niezwykła, w każdym razie do czasu wprowadzenia się do Białego Domu — obuwie wyglansowane przez kogoś z obsługi prezydenckiej. Jack wciąż nie potrafił myśleć o tym budynku jak o rodzinnym domu. Raczej jak o hotelu albo o kwaterze dla ważnych osobistości, gdzie często się zatrzymywał wiele podróżując w sprawach CIA. Tyle że obsługa była tu lepsza.

— Jesteś Raman, prawda? — spytał prezydent.

— Tak jest, panie prezydencie — odparł agent specjalny Aref Raman. Miał sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu. Solidnej budowy, sugerującej raczej ciężarowca niż biegacza, pomyślał prezydent. A może na taki właśnie kształt sylwetki wpływa kamizelka kuloodporna, którą nosiło wielu członków Oddziału. W ocenie Ryana Raman miał trzydzieści kilka lat. Karnacja raczej śródziemnomorska, szczery uśmiech i krystalicznie niebieskie oczy. — Miecznik idzie do gabinetu — powiedział Raman do mikrofonu.

— Skąd pochodzisz, Raman? — spytał Jack w drodze do windy.

— Matka Libanka, ojciec Irańczyk, panie prezydencie. Przyjechali tu w siedemdziesiątym dziewiątym, kiedy szach zaczął mieć kłopoty. Ojciec był związany z kołami rządowymi. . .

— I jak oceniasz sytuację w Iranie? — spytał prezydent.

— Ja już prawie zapomniałem tamtejszego języka, sir. — Agent nieśmiało się uśmiechnął. — Jeśliby pan spytał, panie prezydencie, o finałowe rozgrywki ligi uniwersyteckiej, to otrzymałby pan odpowiedź eksperta. Moim zdaniem największe szansę ma. . .

— Kentucky — dokończył Ryan.

Winda była bardzo stara, z wytartymi czarnymi guzikami, których prezydentowi nie wolno było naciskać. Należało to do obowiązków Ramana.

— Oregon też idzie do przodu, panie prezydencie — powiedział Raman. — Ja się nigdy nie myślę, sir. Niech pan spyta chłopaków. Wygrywam przez trzy lata z rządu. Już nikt się nie chce ze mną zakładać. Finał odbędzie się w Oregonie i Uniwersytet Duke, a to jest moja dawna szkoła, wygra o sześć albo o osiem punktów. No, może trochę mniej, jeśli Maceo Rawlings będzie miał dobry dzień.

— Co studiowałeś na Duke? — spytał Ryan.

— Prawo. Ale potem zdecydowałem, że nie chcę być prawnikiem. Doszedłem do wniosku, że przestępcy nie powinni mieć żadnych praw i pomyślałem sobie, że trzeba zostać gliną. No i wstąpiłem do Tajnej Służby.

— Jesteś żonaty? — Ryan chciał znać ludzi ze swego otoczenia. A poza tym okazywanie zainteresowania było przejawem życzliwości. I jeszcze jedno: ci ludzie przysięgli chronić go, ryzykując własnym życiem. Nie mógł ich traktować jak personel najemny.



— Nigdy nie spotkałem odpowiedniej kobiety. To znaczy, jeszcze nie... — odparł agent.

— Jesteś muzułmaninem?

— Moi rodzice nimi byli, ale kiedy zobaczyłem, jakie problemy stwarza im religia, to... Jeśli już pan o to pyta, panie prezydencie, to moją religią jest koszykówka. Nigdy nie opuszczę żadnego meczu w telewizji, jeśli gra Duke. Szkoda, że w tym roku Oregon jest taki dobry. No cóż, tego się nie zmieni.

Prezydent chrząknął rozbawiony. — Na imię masz Aref?

— Ale wszyscy wołają na mnie Jeff. Łatwiej wymówić.

Otworzyły się drzwi windy. Raman stanął z przodu kabiny, zasłaniając prezydenta. W korytarzu stał umundurowany członek Tajnej Służby i dwaj agenci Oddziału. Raman znał z widzenia wszystkich trzech. Skinął głową i wyszedł z kabiny, za nim Ryan. Cała piątka ruszyła w prawo, mijając korytarz prowadzący do kręgielni i stolarni.

— Czeka nas spokojny dzień, Jeff. Tak jak zaplanowano — powiedział zupełnie niepotrzebnie prezydent. Agenci Oddziału zapoznawali się z harmonogramem dnia jeszcze przed prezydentem.

W Gabinetcie Owalnym już czekano na Ryana. Foleyowie, Bert Vasco, Scott Adler i jeszcze jedna osoba. Nim tu weszli, zostali sprawdzeni, czy nie posiadają broni albo materiałów promieniotwórczych.

— Dzień dobry wszystkim — powiedział.

— Ben przygotował poranny raport — zagał Ed Foley.

Raman pozostał w gabinecie, ponieważ nie wszyscy goście należeli do wewnętrznego kręgu. Miał bronić Ryana, gdyby komuś zachciało się przeskoczyć przez niski stolik do kawy i zacząć dusić prezydenta. Niepotrzebny jest pistolet, jeśli bardzo chce się kogoś zabić. Kilka tygodni nauki i trochę praktyki wystarcza, by ze średnio sprawnego człowieka uczynić eksperta zdolnego uśmiercić niczego nie podejrzewającą ofiarę. Z tego też powodu agenci Oddziału wyposażeni byli nie tylko w broń palną, ale także w stalowe teleskopowe pałki. Raman patrzył, jak Goodley — zapatrzony w identyfikator stwierdzający, że jest funkcjonariuszem CIA — rozdaje kopie raportu. Tak jak wielu innych agentów Tajnej Służby, Raman widział i słyszał prawie wszystko. Adnotacja TYLKO DO WIADOMOŚCI PREZYDENTA na dokumencie niewiele w istocie znaczyła. W gabinecie prawie zawsze jeszcze ktoś był i chociaż agenci Tajnej Służby

twierdzili nawet między sobą, że nie zwracają najmniejszej uwagi na to, co słyszą, było to prawdą tylko w tym sensie, że nigdy o tym nie rozmawiali. Poza tym słuchać i zapamiętać to dla policjanta jedno i to samo. Policjantów nie szkoli się i nie opłaca po to, by zapominali, a tym bardziej, by ignorowali to, co słyszą.

Raman pomyślał, że jest wprost idealnym szpiegiem. Wyszkolony przez rząd Stanów Zjednoczonych na strażnika prawa, sprawdził się doskonale głównie w wykrywaniu fałszerstw. Był dobrym strzelcem, umiał logicznie myśleć, co wykazał podczas studiów. Ukończył z wyróżnieniem studia na Uniwersytecie Duke — na świadectwie miał najwyższe oceny ze wszystkich przedmiotów. Poza tym wyróżnił się jako zapamiętnik. Dobra pamięć jest dla policjanta bardzo pożyteczna. Raman miał pamięć niemal fotograficzną — był to talent, który od samego początku zwrócił uwagę kierownictwa Tajnej Służby, gdyż agenci ochraniający prezydenta powinni błyskawicznie rozpoznawać widziane poprzednio na fotografiach twarze, podczas gdy prezydent wędruje wzdłuż szpaleru, ściskając setki dłoni. W okresie prezydentury Fowlera, jeszcze jako młodszy agent, przydzielony do terenowego biura w St. Louis na czas kolacji połączonej ze zbieraniem funduszu wyborczego, rozpoznał i zatrzymał podejrzanego osobnika,

który już od dłuższego czasu kręcił się podczas prezydenckich wizyt, a tym razem miał przy sobie pistolet. Raman wyłuskał tego człowieka z tłumy tak sprawnie i dyskretnie, że o aresztowaniu go, a następnie wysłaniu do stanowego szpitala dla umysłowo chorych nie dowiedziała się nawet prasa. Uznano, że młodszy agent z St. Louis pasuje jak ulał do służby w Oddziale. Ówczesny dyrektor Tajnej Służby postanowił ściągnąć Ramana do Waszyngtonu. Stało się to tuż po objęciu prezydentury przez Rogera Durlinga. Jako najmłodszy członek Oddziału Raman spędził niezliczone godziny na wartach, na bieganiu obok wolno sunącej prezydenckiej limuzyny, ale wspinał się wyżej i wyżej, raczej szybko, jak na swój wiek. Odpracował ten pierwszy okres bez najmniejszej skargi, tylko od czasu do czasu powtarzał, że jako imigrant doskonale zdaje sobie sprawę, jak ważna jest Ameryka. To było naprawdę bardzo łatwe, znacznie łatwiejsze niż zadanie, które nieco wcześniej wykonał w Bagdadzie jego rodak. Amerykanie stale się uczą, ale nie nauczyli się jeszcze jednego: że nikt nigdy nikomu nie zajrzy w serce.

— Nie mamy na miejscu wiarygodnych źródeł — powiedziała Mary Pat.

— Ale mamy dużo nasłuchów — ciągnął Goodley. — Agencja Bezpieczeństwa Narodowego sporo nam dostarcza. Całe kierownictwo partii Baas siedzi w pudle i wątpię, by stamtąd wyszło, w każdym razie nie w pozycji stojącej.

— Czyli Irak jest pozbawiony politycznego kierownictwa?

— Zostali pułkownicy i młodszy generałowie. Miejscowa telewizja pokazywała ich po południu w towarzystwie irańskiego mułły. To nie był przypadek — odparł Bert Vasco. — Przy najłagodniejszym rozwoju wypadków nastąpi zbliżenie z Iranem. Oba kraje mogą się nawet połączyć. Będziemy wiedzieli za parę dni, maksymalnie za dwa tygodnie.

— Saudyjczycy? — spytał Ryan.

— Gryzą paznokcie i bardzo się pocą — odparł szybko Ed Foley. — Przed niecałą godziną rozmawiałem z księciem Alim. Zaoferowali Irakowi pakiet pomocy wart tyle, że można by nim pokryć niemal cały nasz deficyt budżetowy. Chcieli w ten sposób kupić sobie nowy iracki reżim. Zmajstrowali to jednego dnia. Ale na telefon w Bagdadzie nikt nie odpowiedział. W przeszłości Irak chętnie rozmawiał, kiedy pachniało pieniędzmi. Teraz nie chce żadnej rozmowy.

Ryan wiedział, że to właśnie najbardziej zbulwersowało państwa nad Zatoką Perską. Na Zachodzie nie zawsze doceniano fakt, że Arabowie są po prostu biznesmenami. Nie nawiedzonymi ideologami, nie fanatykami, nie szaleńcami, ale po prostu ludźmi interesu.

Wielka kultura handlu morskiego istniała znacznie wcześniej, niż pojawił się islam. Fakt ten Amerykanie przypominają sobie tylko wtedy, gdy oglądają kolejną wersję filmowych przygód Sindbada Żeglarza. Pod tym względem Arabowie byli bardzo podobni do Amerykanów, nawet mimo innego języka, ubioru i religii. Podobnie jak Amerykanie, nie rozumieli ludzi, którzy odmawiają robienia interesów. Przykładem takiego właśnie państwa był Iran, przekształcony w teokrację przez ajatollaha Chomeiniego. W każdym systemie, w obrębie każdej kultury, budzi zawsze lęk stwierdzenie, że ktoś jest inny niż my. Państwa nad Zatoką, mimo różnic politycznych dzielących je od Iraku, do tej pory zawsze jakoś się z nim porozumiewały.

— Co na to Teheran? — spytał prezydent.

— Oficjalne komunikaty w mediach wyrażają zadowolenie z rozwoju wypadków, rutynowo składają oferty pokoju i ponownego nawiązania przyjaznych stosunków. Ale

nic ponadto. To znaczy nic ponadto oficjalnie. Nieoficjalnie jest nieco inaczej, otrzymujemy różne sygnały. Ci w Bagdadzie proszą o instrukcje. Ci w Teheranie ich udzielają. Chwilowo brzmią one: niech się sytuacja rozwija krok po kroku. Następnie powstaną trybunały rewolucyjne. W telewizji już pokazuje się procesy. To doprowadzi do politycznej próżni.

— I wtedy Iran położy na Iraku łapę albo zacznie rządzić krajem za pośrednictwem marionetkowego rządu — podsumował Vasco, przerzucając stos nasłuchów. — Goodley ma chyba rację. Te materiały ujawniają więcej, niż mogłem przypuszczać.

— Chciał pan powiedzieć, że kryje się za nimi coś jeszcze? — wtrącił z uśmiechem Goodley.

Vasco skinął głową, ale nie spojrział na pytającego. — Chyba tak. I to bardzo niedobre — mruknął ponuro.

— Jeszcze dziś Saudyjczycy poproszą nas, żebyśmy wzięli ich za rączkę — przypomniał sekretarz stanu Adler. — Co mam im powiedzieć?

Ryan był zaskoczony, że odpowiedź nasunęła mu się tak naturalnie: — Nasze zobowiązania wobec Arabii Saudyjskiej pozostają niezmienione. Jeśli będą nas potrzebo-

wali, to jesteśmy gotowi udzielić pomocy. Teraz i w przyszłości. — W chwilę potem Jack uświadomił sobie, że tymi paroma krótkimi zdaniami postawił na szali całą potęgę i wiarygodność Stanów Zjednoczonych. W interesie niedemokratycznego państwa, odległego o dziesięć tysięcy kilometrów od amerykańskich brzegów. Na szczęście część brzemienia zdjął z niego Adler:

— W pełni się z tym zgadzam, panie prezydencie. Nie moglibyśmy postąpić inaczej. — Wszyscy poważnie pokiwali głowami. Nawet Ben Goodley. — Powiemy, co należy powiedzieć, dyskretnie. Książę Ali jednak zrozumie. I przekona króla, że mówimy serio.

— Następny krok — powiedział Ed Foley. — Musimy wprowadzić w sytuację Tony'ego Bretano. Tak na marginesie: on się sprawdza. Umie też słuchać. Czy planuje pan posiedzenie gabinetu, panie prezydencie? W tej sprawie.

Ryan pokręcił głową. — Nie. Uważam, że wskazana jest dyskrecja. Żadnego zbędnego hałasu. Ameryka z zainteresowaniem obserwuje rozwój wypadków w regionie, ale nie dzieje się tam nic, co by budziło specjalny niepokój. Scott, niech twoi ludzie opracują komunikat prasowy w tym właśnie tonie.



— Tak jest — odparł sekretarz stanu.

— Ben, co teraz robisz w Langley?

— Zrobili ze mnie starszego nadzorcę Centrum Operacyjnego.

— Świetne omówienie — pochwalił go prezydent, a zwracając się do dyrektora CIA powiedział: — Ed, od tej chwili Ben pracuje dla mnie. Potrzebny mi ekspert mówiący moim językiem.

— Czy mogę liczyć na jego zwrot? Młodzieniec jest bystry i na jesieni może mi się przydać przy żniwach — odparł Foley ze śmiechem.

— Może tak, może nie. Ben, od dziś masz nadgodziny. Chwilowo zajmij mój stary gabinet.

Przez cały ten czas Raman stał bez ruchu, oparty o białą ścianę. Tylko mu oczy biegały od jednego do drugiego z obecnych. Nauczono go, by nikomu nie ufać. Jedyne wyjątkami mogli być żona i dzieci prezydenta. Ale nikt inny. Wszyscy natomiast ufali jemu. Nawet ci, którzy go uczyli, by nie ufać nikomu. No, ale jemu ufali, bo ostatecznie trzeba komuś zaufać.

Amerykański uniwersytet i szkolenie profesjonalne wpoły mu jedno: cierpliwość. Trzeba cierpliwie czekać na okazję. Wydarzenia na drugim końcu świata zwiastowały, że to stanie się już wkrótce. Raman intensywnie myślał. Może trzeba zasięgnąć czyjejs rady? Jego misja przestała już być przypadkowym wydarzeniem, jakie obiecał sobie przed dwudziestu laty wypełnić treścią. To mógł zrobić w każdej chwili, ale teraz był właśnie tu! I chociaż każdy potrafi kogoś zabić, a oddana sprawie osoba potrafi wszędzie dotrzeć i zabić prawie każdego, to jednak tylko wytrawny morderca umie zabić właściwą osobę we właściwym czasie, aby zbliżyć się do wielkiego celu. Raman pomyślał też, że, jak na ironię, chociaż misję zlecił Bóg, to jednak elementy konstrukcji potrzebnej do jej spełnienia dostarczył Wielki Szatan. Trudność stanowiło wybranie owego momentu i po dwudziestu latach Raman zdecydował teraz, że być może będzie musiał nawiązać kontakt. Wiązało się z tym pewne niebezpieczeństwo, choć niewielkie.

\* \* \*

— Twój plan jest odważny, cel chwalebny — powiedział spokojnym głosem Badrajn, choć wszystko w nim dygotało. Rozmach zamierzenia zapierał dech.

— Słabi nie dziedziczą ziemi — odparł Darjaei, który po raz pierwszy ujawnił swą życiową misję komuś spoza własnego wąskiego grona duchownych. Obaj ubolewali nad tym, że muszą udawać hazardzistów przy pokerowym stole, podczas gdy w istocie omawiali plan, którego realizacja mogła zmienić kształt świata. Dla Darjaeiego była to koncepcja, nad której wypracowaniem i planowaniem strawił życie. Nadzieja na spełnienie marzeń. Przedsięwzięcie takiej rangi z pewnością umieściłoby jego imię obok imienia samego Proroka. Połączenie wszystkich odłamów islamu!

Badrajn natomiast dostrzegał tylko potęgę. Władzę. Cel? Stworzenie supermocarstwa w rejonie Zatoki Perskiej — państwa o olbrzymim potencjale ekonomicznym i ludnościowym, całkowicie samowystarczalnego i zdolnego do ekspansji tak na Afrykę, jak i Azję. Może byłoby to także spełnienie życzeń Proroka, chociaż Badrajn przyznawał, że nie ma zielonego pojęcia, czego mógłby sobie życzyć twórca islamu. Od tych spraw są ludzie tacy jak Darjaei. Badrajnowi chodziło wyłącznie o władzę, a religia i ideologia były tylko werbalizacjami ludzkich namiętności wykorzystywanych w grze.

— To jest możliwe — odparł po paru sekundach wewnętrznej kontemplacji.

— Niepowtarzalna historyczna chwila. Wielki Szatan jest słaby — zapewnił Darja-ei. Właściwie nie lubił odwołań religijnych podczas rozmów dotyczących racji stanu, ale czasami nie można było tego uniknąć. — Mniejszy Szatan jest unicestwiony, a islamskie republiki jak dojrzałe owoce gotowe są spaść do naszego koszyka. Potrzebują tożsamości, a czyż istnieje lepsze spoiwo tożsamości niż Wiara?

Niezaprzeczalna prawda. Badrajn w milczeniu skinął głową. Upadek Związku Radzieckiego i zastąpienie go Wspólnotą Niepodległych Państw wpłynęło na powstanie próżni, której dotychczas nic nie wypełniło. Byłe republiki środkowoazjatyckie, nadal ekonomicznie związane z Moskwą, przypominały karawanę wozów zaprzężonych do dychawicznej szkapy. Owe obszary zawsze były zbuntowane, nieustabilizowane, podzielone na minipaństwa, których religia kłuła w oczy w ateistycznym imperium. Teraz z trudem tworzyły własną tożsamość ekonomiczną, aby móc się raz na zawsze uniezależnić od zastygłego państwowego rdzenia, do którego tak naprawdę nigdy nie przyrosły. Ale nie potrafiły same zaspokoić swoich potrzeb. Nie w nowoczesnym, rozwiniętym świecie. Potrzebowały przewodnika do nowego stulecia. Godne wkroczenie w dwudziesty pierwszy wiek wymagało pieniędzy, dużej ilości pieniędzy oraz jednoczącej flagi

religii i kultury zakazanej od tylu lat przez marksizm-leninizm. W zamian za przewodnictwo i flagę republiki ofiarują siebie! Ziemię i ludność! I bogactwa naturalne!

— Przeszkodą jest Ameryka. Ale nie muszę o tym mówić — zauważył Badrajn. — Ameryka jest za wielka i za potężna, żeby można było ją zniszczyć.

— Poznałem tego Ryana. Ale wpierv ty mi powiedz, co o nim sądzisz.

— Nie jest głupcem. Nie jest też tchórzem — powiedział ostrożnie Badrajn. — W przeszłości okazywał prawdziwe bohaterstwo, nadal obraca się swobodnie w świecie służb specjalnych. Wykształcony. Saudyjczycy mu ufają. Podobnie Izraelczycy. — Obecnie te dwa państwa wydawały się najważniejsze. Podobnie zresztą jak i trzecie: — Rosjanie znają go dobrze i szanują.

— Co jeszcze?

— Nie należy go lekceważyć. Nie należy lekceważyć Ameryki. Wiemy dobrze, co stało się z tymi, którzy jej nie doceniali.

— No, ale bieżąca sytuacja i możliwości Ameryki?

— To, co widziałem, przekonuje mnie, że prezydent Ryan robi wszystko, aby odbudować autorytet władzy. Ciężkie zadanie, ale należy pamiętać, że Ameryka jest stabilnym państwem.

— A problem sukcesji?

— Tego dobrze nie rozumiem — przyznał Badrajn. — Nie zapoznałem się z istotą zagadnienia, bo informacje prasowe są skąpe.

— Poznałem Ryana — powtórzył Darjaei i zaczął dzielić się własnymi myślami: — To wykonawca, pomocnik, nic więcej. Wydaje się silny, ale nie jest silny. Gdyby był silny, to dałby sobie radę z tym Kealtem. Jest zdrajcą, czyż nie? Zresztą nieważne. Ryan to tylko jeden człowiek. Ameryka to tylko jeden kraj. Można równocześnie uderzyć w człowieka i w kraj. Z wielu kierunków.

— Lew i hieny — przypomniał Badrajn i wyjaśnił, na czym polega jego plan. Darjaei był tak zadowolony z pomysłu, że nawet nie miał żalu za to, iż odgrywa w nim rolę hieny.

— Nie jedno natarcie, ale mnogość małych ukąszeń?

— Udawało się to wielokrotnie w przeszłości.

— A jeśliby jednocześnie kilka poważnych ukąszeń? I co by się stało, gdyby Ryan został wyeliminowany? Co by się wówczas stało, mój młody przyjacielu?

— W ośrodku władzy powstałby chaos. Ale doradzałbym ostrożność. I zalecałbym znalezienie sobie sojuszników. Im więcej hien naciera, tym prędzej przegania się lwa. A jeśli chodzi o osobę Ryana — ciągnął Badrajn, zastanawiając się, dlaczego jego gospodarz wystąpił z takim pomysłem i czy był to błąd — to wiem jedno: prezydent Stanów Zjednoczonych jest bardzo trudnym celem.

— Tak słyszałem — odparł Darjaei. Ciemne oczy były nieprzeniknione. — Jakie państwa polecałbyś jako sojuszników?

— Co wynika z konfliktu Ameryki z Japonią? — spytał Badrajn. — Czy wasza świątobliwość zastanawiał się kiedyś, dlaczego duże psy nigdy nie szczekają? — Dziwna rzecz z dużymi psami. Są nieustannie głodne. A teraz Darjaei po raz kolejny mówi o Ryanie i jego ochronie. Jeden pies wydaje się głodniejszy od pozostałych.

\* \* \*

— Może to usterka techniczna?

Na sali siedzieli przedstawiciele firmy Gulfstream Inc oraz urzędnicy szwajcarskiego zarządu lotnictwa cywilnego. Towarzyszył im szef operacji lotniczych korporacji, do której należały odrzutowce. Dokumenty wykazywały, że samolot był w dobrym stanie, właściwie utrzymywany przez miejscową firmę. Wszystkie części pochodziły od uznanych dostawców. Szwajcarska firma odpowiedzialna za konserwację mogła się pochwalić dziesięcioma bezwypadkowymi latami.

— Nie byłoby to po raz pierwszy — zgodził się przedstawiciel Gulfstreama. Czarna skrzynka była solidnym urządzeniem, ale nie zawsze wytrzymywała katastrofę, ponieważ są różne katastrofy — każda jest właściwie inna. Poszukiwania prowadzone przez USS „Radford” nie przyniosły rezultatu. Żadnego sygnału. Głębia zbyt wielka, by podjąć fizyczne poszukiwania. No i Libijczycy, którzy bardzo nie lubią, gdy ktoś węszy po ich wodach. Gdyby chodziło o samolot pasażerski, można by zastosować naciski, ale w wypadku samolotu dyspozycyjnego z dwoma członkami załogi i trzema zgłoszonymi pasażerami, w tym jeden ze śmiertelną chorobą, nie było odpowiednio przekonującego powodu. — Bez danych z czarnej skrzynki nie mamy wiele do zrobienia i do powiedze-



nia. Kapitan zgłosił Valetcie wyłączenie obu silników, a to może oznaczać wiele rzeczy. Złe paliwo, złą konserwację. . .

— Utrzymanie samolotu było zgodne z instrukcją! — zaprotestował przedstawiciel firmy odpowiedzialnej za stan techniczny samolotu.

— Teoretycznie, mówię tylko teoretycznie — uspokoił go przedstawiciel Gulfstreama. — Nie można wykluczyć też błędu pilota.

— Pilot wylatał cztery tysiące godzin na tego typu maszynie. Drugi pilot dwa tysiące — przypomniał po raz piąty przedstawiciel właściciela.

Wszyscy myśleli to samo: producent samolotu musi bronić honoru firmy, która słynęła z niesłychanie wysokiego standardu bezpieczeństwa. Wielkie linie lotnicze nie miały dużego wyboru, jeśli chodzi o producenta. Takie giganty jak Boeing czy Airbus, oczywiście, dbały o wskaźniki bezpieczeństwa, ale firmy produkujące małe odrzutowce dyspozycyjnie dbały jeszcze bardziej. W ich środowisku konkurencja była znacznie ostrzejsza. Ludzie zakupujący dla swoich korporacji takie latające drogie zabaweczki mieli długą pamięć i w przypadku braku konkretnych informacji co do przyczyny tych nielicznych wypadków, dobrze zapamiętują rozbity samolot i uśmierconych pasażerów.

Firma odpowiedzialna za konserwację maszyny także nie chciałaby być wspominana w kontekście katastrofy. Szwajcaria miała wiele lotnisk i jeszcze więcej dyspozycyjnych samolotów. Zły konserwator maszyn mógł szybko utracić klientów, nie mówiąc już o kłopotach ze strony rządu za nie zastosowanie się do któregoś z surowych miejscowych przepisów.

Właściciel samolotu miał najmniej do stracenia, jeśli idzie o reputację, ale miłość własna nie pozwalała mu przyjąć odpowiedzialności za katastrofę bez konkretnej przyczyny.

A w sumie nie było przyczyny, dla której ktokolwiek z obecnych miałby poczuć się winny — nie odnaleziono czarnej skrzynki. Siedzący za stołem spoglądali po sobie i myśleli to samo: nawet najlepsi popełniają błędy, ale nie są skorzy, by się do nich przyznać, zwłaszcza gdy nie muszą. Przedstawiciel rządu przejrzał wszystkie dokumenty i stwierdził, że są w porządku. Poza tym nie można było nic innego zrobić, wyjąwszy rozmowę z producentem silników i postaranie się o próbkę paliwa. To pierwsze było łatwe. Drugie bardzo trudne. W ostatecznym rozrachunku okaże się, że będą wiedzieli niewiele więcej, niż wiedzieli teraz. Gulfstream Inc sprzeda być może o parę maszyn

mniej. Firma odpowiedzialna za konserwację będzie przez kilka miesięcy uważniej obserwowana przez władze. Użytkownik kupi sobie nowy samolot. Aby okazać lojalność wobec producenta, będzie to taki sam odrzutowiec typu *G-IV*. I podpisze umowę z tą samą firmą konserwacyjną. Wszyscy będą zadowoleni. Przedstawiciel szwajcarskiego rządu także.

\* \* \*

Inspektor do zadań specjalnych otrzymywał wyższą gażę, niż zwykły agent. I funkcja była ciekawsza, niż tkwienie przez cały czas za biurkiem. Niemniej O'Daya złościło nawet te kilka godzin spędzane na czytaniu raportów od agentów lub z sekretariatów biur. Młodszy funkcjonariusze wczytywali się najpierw w owe raporty i stenogramy przesłuchań, wyszukując sprzeczności i niespójności, a on potem czynił uwagi i zapisywał wnioski na osobnych formularzach, które z kolei gromadził jego osobisty sekretarz, by przygotować zbiorczy raport dla dyrektora Murraya. O'Day wyznawał zasadę, że prawdziwy agent nie powinien pisać na maszynie. Potwierdziliby to pewnie instruktorzy z Akademii FBI w Quantico. Skończył wcześniej naradę w Buzzard Point i doszedł

do wniosku, że nie trzeba wracać zaraz, by swoją osobą zdobić gabinet. Na „nowe” informacje składały się protokoły z przesłuchań potwierdzających tylko informacje już posiadane, sprawdzone i uwiarygodnione innymi licznymi dokumentami.

— Zawsze nienawidziłem tego etapu — mruknął zastępca dyrektora, Tony Caruso. Była to sytuacja, w której federalny prokurator miał już właściwie wszystko, by uzyskać wyrok skazujący, ale ponieważ był prawnikiem, ciągle było mu za mało. Zupełnie jakby najpewniejszy sposób skazania przestępcy polegał na uprzednim zanudzeniu ławy przysięgłych.

— Żadnego śladu sprzeczności. Dowody murowane, Tony. — Obaj mężczyźni od dawna byli przyjaciółmi. — Czas na coś nowego i podniecającego.

— Ty to masz szczęście, chłopie. Jak Megan?

— Od dziś w przedszkolu. Obok Ritchie Highway. Nazywa się Giant Steps.

— To samo — mruknął Caruso. — Tak myślałem.

— Co ty znowu gadasz?

— Dzieci Ryana... Wtedy ciebie tu nie było, kiedy te bydlaki z ULA napadły...

— Właścicielka nie wspominała o tym ani słowem. Bo i właściwie dlaczego miała coś mówić, prawda?

— Nasi pobratymcy są bardzo powściągliwi w rozgłaszaniu takich wieści. Z pewnością poinstruowali ją, co ma, a czego nie ma mówić.

O'Day pomyślał, że z pewnością w przedszkolu rysunków uczą teraz agenci Tajnej Służby. W sklepie 7-Eleven zobaczył nowego sprzedawcę. I kiedy płacił za kawę, przyszło mu do głowy, że jak na tak wczesną porę, mężczyzna jest zbyt wymuskany. Warto zastanowienia. Trzeba przyjrzeć się dobrze jegomościowi, czy nie nosi broni. Ale to już jutro. Sprzedawca też pewno przyjrzał się inspektorowi. Jeśli tamten jest z Tajnej Służby, to kurtuazja będzie wymagała, by mu pokazać legitymację. Podzielił się obserwacjami z Caruso.

— Facet wydaje się mieć nadmierne kwalifikacje, jak na swoją robotę — zgodził się Caruso. — Ale to dobrze, przynajmniej wiesz, że twój dzieciak jest dobrze pilnowany.

— To prawda — odparł O'Day. — Ale, tak czy inaczej, sam będę odbierał Megan.

— Zostałem biurowym wycieruchem. Ośmiogodzinny dzień! — jęknął zastępca dyrektora wasyngtońskiego biura terenowego FBI. — Ale wpadłem.

— Chciałeś być ważniakiem, więc powinieneś się cieszyć, szanowny Don Antonio.

\* \* \*

Oderwanie się od pracy zawsze sprawiało ulgę. Powietrze pachniało przyjemniej, niż kiedy się jechało do biura. O'Day poszedł w kierunku swej półciężarówki. Nie ukradziono jej i chyba przy niej nie majstrowano. Pył i błoto na karoserii miały swoje dobre strony. Zdjął marynarkę (rzadko kiedy nosił płaszcz) i włożył starą skórzaną kurtkę lotniczą. Miała z dziesięć lat i nie była zbyt znoszona, ot tyle, by czuć się w niej dobrze. Następnie zdjął krawat. Po dziesięciu minutach jechał szosą numer 50 w kierunku Annapolis, wyprzedzając gromadzącą się już na drodze hordę waszyngtońskich urzędników, którzy rwali do domów. Włączył radio. Komunikaty pogodowe. Na autostradzie brak korków. Wkrótce zajechał na parking przed przedszkolem i rozejrzał się za rządowymi samochodami. Radio zapowiadało codzienny serwis informacyjny. Gdzie są te cholerne wozy? Ochrona prezydencka poszła wreszcie po rozum do głowy i zastosowała metodę FBI. Żadnych seryjnych tablic rejestracyjnych, żadnych szarych, „obojętnych” karoserii. Wprawnym okiem wyłapał dwa policyjne wozy. Podprowadził

swoją półciężarówkę do jednego, zaparkował obok i potwierdził swoje podejrzenie, dostrzegając przez szybę policyjne radio. Skoro tak łatwo mu poszło, to co z jego własnym kamuflażem — furgonetką? Postanowił sprawdzić, jak dobrzy są chłopcy z Tajnej Służby. Uświadomił sobie jednak prawie natychmiast, że jeśli są choćby odrobinę kompetentni, to już go sprawdzili dzięki wypełnionym kwestionariuszom, które wręczył tego ranka pannie Daggett. A może już wcześniej go sprawdzili? Między FBI a Tajną Służbą istniała od dawna profesjonalna rywalizacja. No i przecież FBI zostało poczęte z garstki agentów Tajnej Służby. Ale Biuro urosło, przerosło swego rodzica i siłą rzeczy zdobyło większe doświadczenie w dziedzinie walki z przestępczością. Nie oznaczało to wcale, że Tajna Służba ustępowała wiele FBI. Była naprawdę doskonała, jak słusznie powiedział Tony Caruso. Chyba nigdzie na świecie nie było lepszych nianiek.

O'Day zapiął kurtkę na suwak i poszedł na ukos przez parking. W drzwiach budynku stał wysoki mężczyzna. Ujawni się? Nie, udawał ojca czekającego na swą pociechę. O'Day minął go i wszedł do środka. Jak rozpozna ludzi z Tajnej Służby? Po ubraniu i mikrośluchawce w uchu. Tak, są dwie agentki w fartuchach, pod którymi mają z pewnością pistolety *SigSauer* 9 mm.

— Tato! — wykrzyknęła Megan, zrywając się z ławki, na której siedziała obok bardzo podobna dziewczynka w tym samym wieku. Inspektor podszedł, by obejrzeć plon dnia córki: kolorową bazgraninę. W tym momencie poczuł lekkie dotknięcie na plecach w pobliżu służbowego pistoletu i usłyszał ciche: — Bardzo przepraszam.

— Wiecie, kim jestem — odparł, nie odwracając głowy.

— Oczywiście — padła odpowiedź.

Rozpoznał głos. Obrócił się i zobaczył Andreę Price.

— Degradacja? — Przyjrzał się jej ciekawie. Obie agentki, które rozpoznał poprzednio, przyglądały się mu, zaniepokojone podejrzaną wypukłością na skórzanej kurtce. Są dobre, pomyślał O’Day. Obie agentki przerwały swe czynności „wychowawcze”, by mieć wolne dłonie. Ich spojrzenia mogły wydawać się neutralne tylko komuś niedoświadczonemu.

— Kontrola — odparła Andrea. — Sprawdzam, czy dzieciaki mają to, co potrzeba.

— To jest Katie! — Megan wskazała na nową przyjaciółkę. — A to jest mój tata — pochwaliła się jej.

— Cześć, Katie! — O’Day schylił się, by podać małej rękę. — Czy ona jest...?



— Foremka. Pierwszy Maluch Stanów Zjednoczonych — potwierdziła Andrea Price.

— Podobna do matki — stwierdził Pat O'Day, przyglądając się Katie Ryan. I, aby nie posądzono go o brak profesjonalnej kurtuazji, wyjął legitymację i podał stojącej tuż obok agentce, Marcelli Hilton.

— Kiedy nas sprawdzacie, to bądźcie mimo wszystko ostrożniejsi — odezwała się Andrea Price.

— Wasz człowiek przy drzwiach musiał wiedzieć, kim jestem.

— Don Russell. I wszystkich zna, ale...

— Wiem, wiem. Nie ma takiej rzeczy, jak nadmierna ostrożność — zgodził się O'Day. — Więc dobrze, przyznam się: chciałem sprawdzić jakość ochrony. Jest tu i moja mała.

— No i co? Zdaliśmy egzamin?

— Jeden po przeciwnej stronie ulicy, trójkę widzę tu. Założę się, że jest jeszcze trójka w promieniu stu metrów. Mam się rozejrzeć i wypatrzeć ich?

— Długo musiałby pan wypatrywać, są dobrze schowani. — Nie wspomniała o agentce, której nie rozpoznał. Tu, w budynku.

— Jestem pewien, że są dobrze ukryci lub ukryte, pani Price. — O'Day wychwycił rozbawiony błysk oka i powtórnie się rozejrzył. Dwie zamaskowane kamery telewizyjne. Z pewnością niedawno zainstalowane, co tłumaczyłoby lekki zapach farby, a to z kolei tłumaczyło brak obrazków na ścianach. Budynek był prawdopodobnie okablowany gęściej niż wewnątrz jednorękiego bandyty w kasynie. — Muszę przyznać, że wasi ludzie są dobrzy. Pierwsza klasa.

— Co nowego w sprawie katastrofy? — spytała Andrea.

— Właściwie nic. Przesłuchaliśmy jeszcze paru świadków, ale rozbieżności są minimalne, bez istotnego znaczenia. Kanadyjska policja bardzo nam pomaga. Japończycy także. Rozmawialiśmy chyba ze wszystkimi, zaczynając od wychowawczyni z przedszkola, do którego chodził Sato. Wyłuskano nawet dwie stewardesy, z którymi zabawiał się na boku. Moim zdaniem, sprawa jest wyjaśniona na tyle, na ile można ją wyjaśnić, pani Price.

— Andrea.

— Pat.

Oboje się uśmiechnęli.

— Co nosisz?

— *Smith 1076*. Lepsze to od tej waszej dziewięciomilimetrowej zabawki. Dobra na myszy. — W jego głosie zabrzmiała nuta wyższości. O’Day wierzył w skuteczność robienia dużych dziur. Dotychczas tylko w tarczach na strzelnicy, ale gotów borować je w ludziach, jeśli zajdzie taka potrzeba. Tajna Służba miała swoją własną koncepcję uzbrajania agentów. O’Day był pewien, że zasady obowiązujące w FBI są lepsze. Andrea nie dała się wciągnąć w roztrząsanie problemu broni.

— Dla mojego spokoju, proszę cię o jedno: następnym razem pokaż legitymację agentowi przed drzwiami. Może być inny. Może być mniej oblatany. — Ale nie prosiła, by zostawił broń w samochodzie. Ha! Kurtuazja zawodowców.

— I jak mu idzie?

— Miecznik czuje się dobrze.

— Dan. . . dyrektor Murray wprost go uwielbia. Znają się od bardzo dawna. Podobnie jak Dan i ja.

— Ma trudne zadanie. Ale Murray ma rację. Znam wielu gorszych. I wiesz co? Jest sprytniejszy, niż na to wygląda.

— I z tego, czego sam doświadczyłem, wiem, że umie słuchać, a nie tylko mówić.

— Powiem ci więcej: zadaje pytania. — Oboje się obrócili, gdy jakieś dziecko krzyknęło, i tym samym czujnym spojrzeniem obrzucili całą salę. Następnie powrócili do poprzedniej pozycji, pozwalającej obserwować obie dziewczynki, które wymieniały się kolorowymi ołówkami podczas żmudnego procesu tworzenia kolejnego arcydzieła. — Twoje i moje wydają się lubić.

Powiedziała „twoje i moje”. To wyjaśniało wszystko. Ten facet przed drzwiami. . . Andrea powiedziała, że nazywa się Russell. Russell jest z pewnością szefem grupy. Widać, że doświadczony agent. W budynku umieścili dwie młode agentki. Młode dziewczyny dobrze wtopią się w otoczenie. Są z pewnością dobre, choć mniej doświadczone od niego. To „moje” było kluczem. Jak lwica wokół małych. W tym przypadku jednej małej. O’Day zastanawiał się, jak poradziłby sobie z taką robotą, gdyby mu przypadła w udziale. Nudno stać tak na warcie przed drzwiami, ale w takich sytuacjach nie wolno poddawać się nudzie. To jest walka. Miał za sobą wiele misji polegających na dyskretnej

obserwacji. Rzecz trudna dla mężczyzny słusznej postawy. Ale taki dozór przed drzwiami jest chyba najgorszy. Oko policjanta dostrzegało wyraźnie różnicę między dwiema agentkami a pozostałymi wychowawczyniami.

— Twoje dziewczyny znają swoją robotę, Andrea, ale po co wam tak liczny zespół?

— Zdaję sobie sprawę, że być może przesadziliśmy — przyznała. — Zastanawiamy się. Ale wiesz, jak nas trzepnęli na Kapitolu. Nie można dopuścić, żeby to się powtórzyło. Nie przy mnie, nie wtedy, kiedy dowodzę Oddziałem. A jeśli prasa zacznie wytykać, że tylu ludzi i tak dalej, to pies ich trącał.

Mówi jak prawdziwy glina, pomyślał.

— Mnie to bardzo odpowiada. Teraz się pożegnam i zmykam do domu, żeby przyrządzić spaghetti. — Spojrzał na Megan, która właśnie kończyła rysować. Postronny obserwator nie potrafiłby odróżnić obu dziewczynek. Było to kłopotliwe i nawet niepokojące, ale po to właśnie umieszczono tu ochronę.

— Gdzie ćwiczysz? — Nie potrzebował wyjaśniać, co.

— W Starej Poczcie jest strzelnica. Blisko Białego Domu. Chodzę tam co tydzień — wyjaśniła. — Wszyscy moi ludzie są doskonałymi strzelcami. A Don, ten przed drzwiami, jest najlepszy w Waszyngtonie.

— Czyżby? — Inspektorowi rozbłyły oczy. — Któregoś dnia muszę to zobaczyć.

— U ciebie czy u mnie? — uśmiechnęła się.

\* \* \*

— Panie prezydencie, na trójce jest pan Gołowko.

Na linii bezpośredniej? Siergiej Nikołajewicz znów się popisuje. Ryan nacisnął guzik. — Słucham, Siergieju?

— Iran.

— Wiem — odparł prezydent.

— Co wiesz? — spytał Rosjanin. Był już spakowany do wyjazdu.

— Z pewnością będziemy wiedzieli dużo więcej za jakieś dziesięć dni.

— Czekam i proponuję współpracę.

Weszło mu już w zwyczaj, by rezerwować sobie czas na przemyślenie. — Omówię to z Edem Foleyem. Kiedy wracasz do siebie?

— Jutro.

— Zadzwoń, jak dolecisz. — Ryan był zdumiony, że tak łatwo rozmawia mu się z byłym wrogiem. Żeby tak Kongres można było tego nauczyć. Wstał, wyszedł z biurka i skierował się do sekretariatu. — Coś bym przegryzł przed następną wizytą — powiedział jednej z sekretarek.

— Dzień dobry, panie prezydencie! Ma pan minutkę? — spytała Andrea Price.

Ryan gestem ręki zaprosił ją do gabinetu.

— O co chodzi?

— Chciałam tylko powiedzieć, że sprawdziłam przedszkole i system ochrony. Wszystko w porządku.

Ryan nie zareagował. To było w pewnym sensie zrozumiałe. No bo jak ma zareagować człowiek, któremu się mówi: wie pan co, obstawiliśmy pańskie dzieci agentami? Okazać złość czy zadowolenie? Co za uroczy świat!

Dwie minuty później Andrea rozmawiała z Ramanem, który właśnie kończył służbę — pełnił ją w Białym Domu od piątej rano. Nie miał nic do zameldowania — jak zwykle. W Białym Domu dzień minął spokojnie.

\* \* \*

Raman wsiadł do swego samochodu i podjechał do bramy. Pokazał legitymację strażnikowi i czekał, aż mechanizm odsunie stalową kratę, wspartą na dwudziestocentymetrowej średnicy słupie, mogącym wytrzymać uderzenie czołgu, a w każdym razie potężnej ciężarówki. Po opuszczeniu ogrodzonego terenu przejechał slalomem między betonowymi barykadami na Pennsylvania Avenue — która jeszcze do niedawna była publiczną miejską arterią. Następnie skręcił na zachód, kierując się ku Georgetown, gdzie mieszkał. Tym razem nie pojechał jednak do domu, ale skręcił w Wisconsin Avenue i potem raz jeszcze w prawo do parku.

Zabawne, że jego kontakt jest sprzedawcą dywanów. Większość Amerykanów uważała, że Irańczycy są albo terrorystami, albo sprzedawcami dywanów, albo opryskliwymi lekarzami. Ten kupiec opuścił Persję — większość Amerykanów nie kojarzyła



perskich dywanów z Iranem, zupełnie jak gdyby to były różne kraje — przed ponad piętnastu laty. Na ścianie w swoim mieszkaniu powiesił fotografię syna, który — wyjaśniał chcącym to wiedzieć — zginął podczas irańsko-irackiej wojny. Była to prawda. Opowiadał także tym, którzy okazywali zainteresowanie, że nienawidzi rządów ajatollaha. To już było kłamstwem. Kupiec był „śpiochem” — zakonspirowanym agentem. Nie miał dotychczas kontaktu z nikim nawet pośrednio mającym coś wspólnego z Teheranem. Ani jednego spotkania. Być może został sprawdzony przez FBI, ale najprawdopodobniej nie. Nie należał do żadnego stowarzyszenia, nie maszerował w pochodach, nie przemawiał publicznie, nawet — podobnie jak Raman — nie chodził do meczetu. Po prostu prowadził bardzo dochodowy interes. I w ogóle nie wiedział o istnieniu Ramana. Toteż kiedy agent Oddziału wszedł do sklepu, kupiec zaczął się zastanawiać, jakie ręcznie tkane dywany mogą interesować tego klienta. Raman, po stwierdzeniu, że w sklepie nie ma nikogo innego, natychmiast przeszedł do rzeczy.

— Ta fotografia na ścianie. Duże podobieństwo. Syn?

— Tak — odparł zapytany ze smutkiem, który go nigdy nie opuszczał, mimo że syn na pewno był w raju. — Zginął podczas wojny.

— Wielu zginęło podczas tej wojny. Był religijnym chłopcem?

— Czy to ma teraz jeszcze jakieś znaczenie? — zapytał kupiec.

— To zawsze ma znaczenie — odparł Raman niemal obojętnie. Po tych słowach obaj mężczyźni przeszli do bliższego z dwu stosów dywanów. Kupiec odwinął kilka rogów.

— Jestem już na pozycji. Potrzebuję wsparcia. Instrukcji, co do wyboru właściwego czasu. — Raman nie miał kryptonimu. Hasło, które wypowiedział, znane były tylko trzem ludziom. Kupiec wiedział tylko, że te ostatnie dwanaście słów ma przekazać do skrzynki kontaktowej, czekać na odpowiedź i z kolei przekazać ją znów Ramanowi.

— Czy byłby pan łaskaw wypełnić kartę klienta?

Raman uczynił to, podając nazwisko i adres tej osoby z książki telefonicznej. Numer tej osoby różnił się tylko o jedną cyfrę od jego własnego numeru. Kropka powyżej szóstej cyfry informowała kupca, że dzwoniąc ma wystukać cyfrę 4 zamiast 3. Była to dobra robota agencyjna. Były instruktor Savaku nauczył się tego przed paroma laty od agenta izraelskiego Mossadu i nie zapomniał, podobnie jak niczego nie zapomnieli dwaj mężczyźni ze świętego miasta Kum.

## 22 — Strefy czasowe

To bardzo niewygodne, że Ziemia jest taka duża, a punkty zapalne rozrzucone są na całej jej powierzchni. Ameryka kładzie się spać, kiedy na antypodach ludzie wstępują w nowy dzień. Sytuację komplikuje także fakt, że ludzie rozpoczynający nowy dzień, na przykład, o dziewięć godzin wcześniej mają w swoim gronie również tych, których obowiązkiem jest podejmowanie decyzji o kapitalnym znaczeniu, wymagających z natury rzeczy szybkiej reakcji reszty świata. Dodajmy, że, mimo przechwałek, CIA nie ma dostatecznej liczby agentów, by przewidzieć, kto i gdzie może podjąć jakąś ważną decyzję. Sztorm i Palma często więc tylko powtarzają, co napisała lokalna prasa i o czym

poinformowała telewizja. Kiedy prezydent Stanów Zjednoczonych śpi, rozmaici ludzie gromadzą i analizują informacje, które dotrą do niego w czasie roboczego dnia i mogą być już zdezaktualizowane lub niepełne. W nocy nie pracują też najlepsi analitycy, gdyż starszeństwo uwalnia ich od dyżurów w tak niewygodnych godzinach. Wracają przed wieczorem do domów, do rodzin, od których są odrywani tylko w razie nagłej potrzeby.

Tak jak teraz. Mieli nie składać żadnych oświadczeń, póki wszystko nie zostanie omówione. A to musiało trwać i dodatkowo opóźniało określenie stanowiska w sprawie tak żywotnej dla bezpieczeństwa narodowego. W żargonie wojskowym nazywa się to „zachowaniem inicjatywy”, innymi słowy: prawem do pierwszego ruchu.

W nieco lepszej sytuacji była Moskwa, opóźniona zaledwie godzinę w stosunku do Teheranu, a w tej samej strefie czasowej, co Bagdad. Jednakże tym razem SWR, spadkobierczyni KGB, była w podobnie kłopotliwej i trudnej sytuacji, gdyż zarówno w Iranie, jak i w Iraku siatki zostały całkowicie rozbite. Siergiej Gołowko intensywnie o tym myślał, gdy jego samolot podchodził do lądowania na lotnisku Szeremietiewo.

Największy problem stanowił teraz powrót do społeczności międzynarodowej. Telewizja iracka przekazała w porannym dzienniku, że nowy rząd w Bagdadzie poinformo-

wał ONZ, iż wszystkie międzynarodowe zespoły inspekcyjne będą miały prawo wstępu do każdego zakładu na terenie kraju bez najmniejszej ingerencji ze strony władz. Irak prosił nawet, by jak najszybciej dokonano gruntownej inspekcji, i obiecał pełną współpracę zapewniając, że spełni natychmiast wszelkie wnioski pokontrolne. Nowy rząd obwieścił także chęć usunięcia wszelkich przeszkód w przywracaniu normalnej wymiany handlowej ze światem. Komunikat ponadto wspomniał, że jego sąsiad, Iran, już rozpoczyna dostawy żywności zgodnie z islamskim nakazem udzielania pomocy tym, którzy są w potrzebie. Decyzja rządu irańskiego w tej sprawie została podjęta w związku z wyrażonym przez Irak pragnieniem powrotu na łono wspólnoty narodów. Nagranie wideo zrobione przez Palmę z telewizji w Basrze pokazywało konwój ciężarówek wiozących zboże krętą szosą przez Szahabad i przekraczających granicę iracką u podnóża łańcucha górskiego oddzielającego oba państwa. Dalsze ujęcia pokazywały, jak irackie służby graniczne usuwają z szosy betonowe zapory i przepuszczają ciężarówki, podczas gdy ich irańscy bracia stoją spokojnie po swojej stronie granicy bez jakiegokolwiek broni.

W Langley przeprowadzono szybko kalkulację: liczba ciężarówek, ładunek każdej z nich i liczba bochenków chleba, która z tego wyjdzie. Stwierdzono, że potrzebne

byłoby kilka statków pełnych zboża, by irańska oferta pomocy żywnościowej nie pozostała tylko symbolicznym gestem. Symbole są jednak bardzo ważne, a jeśli idzie o statki, to właśnie je ładowano, co ujawnił dozór satelitarny. Genewscy urzędnicy ONZ — w strefie czasowej o trzy godziny wcześniej — przyjęli z zadowoleniem oświadczenie Bagdadu i natychmiast wysłali odpowiednie instrukcje swoim zespołom inspektorów, na których czekały Mercedesy, by je zawieźć w towarzystwie policyjnych eskort do pierwszych instalacji i zakładów mających podlegać międzynarodowej inspekcji. Na miejscu czekały już ekipy telewizyjne — odtąd ich nie opuszczające — oraz przyjaźnie nastawieni dyrektorzy, wyrażający wielką radość, że wreszcie mogą powiedzieć to, co wiedzą, i wysłuchać rad, jak, na przykład, rozmontować zakład produkcji broni chemicznej ukryty pod szyldem wytwórni środków owadobójczych. Iran zażądał ponadto zwołania Rady Bezpieczeństwa w celu rozważenia propozycji zdjęcia pozostałych sankcji handlowych, co musi przecież nastąpić, podobnie jak wschód słońca, mimo że nieco późniejszy, tak jak późniejszy jest, w stosunku do Iranu, ten nad wschodnim wybrzeżem Stanów Zjednoczonych. Gdy sankcje zostaną zdjęte, w ciągu dwóch tygodni dieta przeciętnego Irakijczyka wzrośnie co najmniej o pięćset kalorii. Psychologiczny efekt

był łatwy do przewidzenia, zwłaszcza, że kampanii na rzecz przywrócenia normalności w tym bogatym w ropę, ale izolowanym kraju przewodził jego dawny wróg — Iran — powołując się na Koran jako źródło inspiracji.

— Jutro zobaczymy obrazki z rozdawania darmo chleba przed meczetami — przepowiedział major Sabah. Potrafiłby również zacytować odpowiedni werset z Koranu towarzyszący rozdawnictwu, ale jego amerykańscy koledzy nie byli biegli w naukach islamu i nie zrozumieliby całej ironii cytowanych słów.

— Pańska ocena, sir? — spytał najstarszy rangą oficer amerykański.

— Oba kraje łączą się — odparł Sabah. — I nastąpi to szybko.

\* \* \*

Magia nie istnieje. To tylko słowo określające zrobienie czegoś tak chytrze, że nikt nie wie, jak, i nie potrafi sobie tego wytłumaczyć. Podstawowa sztuczka iluzjonistów to odwrócenie uwagi publiczności widoczną i wykonującą rozmaite ruchy ręką (przeważnie w białej rękawiczce), podczas gdy druga ręka robi zupełnie coś innego. Podobnie jest z państwami. W Teheranie była już noc, gdy Ameryka budziła się ze snu, usiłując

pojąć, co się właściwie stało, gdy jechały ciężarówki ze zbożem, gdy ładowano statki i gdy ściągano na gwałt dyplomatów.

Kontakty Badrajna, jak zwykle, owocowały, a czego nie mógł dokonać Badrajn, potrafił Darjaei. Z lotniska Mehrabad wystartował cywilny odrzutowiec i poleciał na wschód ponad Afganistanem i Pakistanem, by po dwóch godzinach wylądować w pounurym mieście Rutor w pobliżu pakistańsko-indyjsko-chińskiej granicy. Miasto leżało w górach Kunlun, zamieszkiwanych przez chińskich muzułmanów. Znajdowała się tam baza lotnictwa wojskowego, dysponująca jednym pasem startowym i kilkoma myśliwcami *MIG*. Drugi pas startowy miało osobne lotnisko cywilne. Miejsce spotkania odpowiadało wszystkim. Zaledwie 900 kilometrów od New Delhi. A chociaż jedna z maszyn musiała pokonać 3.000 kilometrów z Pekinu, to jednak lot odbywał się w jej własnej przestrzeni powietrznej. Wszystkie trzy samoloty wylądowały w kilkuminutowych odstępach, wkrótce po zachodzie słońca. Piloci podkołowali na odległy koniec pasa. Wojskowe pojazdy odwiozły przybyłych do salki odpraw miejscowych załóg. Ajatollah Ha-dži Darjaei był przyzwyczajony do pomieszczeń nieco czystszych. Co gorsza, poczuł zapach gotowanej wieprzowiny, nieodłącznego składnika chińskiej kuchni, wywołują-



cego mdłości u wyznawcy Mahometa. Machnął jednak na to ręką. Ostatecznie nie był pierwszym z wiernych, którzy muszą paktować z poganami i niewiernymi.

Premier Indii okazywała wylewną serdeczność. Poznała niegdyś Darjaeiego na regionalnej konferencji w sprawie handlu. Sprawiał wówczas wrażenie zamkniętego w twardej skorupie mizantropa. Doszła do wniosku, że wiele się nie zmienił.

Ostatni przybył Żeng Han San, którego pani premier również знаła. Był korpulentnym, pozornie jowialnym mężczyzną, póki nie zdradziły go oczy. Nawet opowiadane przezeń dowcipy były obliczone na wydobycie czegoś z rozmówcy. Był jedynym z całej trójki, o którym prawie nic nie wiadano. Ponieważ jednak wypowiadał się bardzo autorytatywnie i występował w imieniu najpotężniejszego państwa z trzech tu reprezentowanych, pozostali nie potraktowali za obrazę faktu, że na rozmowy z szefami rządów przysłano zwykłego ministra bez teki. Rozmawiano po angielsku, tylko Żeng zbył po mandaryńsku generała witającego przybyłych.

— Proszę mi wybaczyć nieobecność w chwili waszego przylotu — powiedział do przybyłych Żeng. — Niezmiernie jest mi przykro z powodu tego... protokolarnego uchybienia.

— Podano herbatę i kanapki. Nie było czasu na przygotowanie bardziej godnego posiłku — poinformował generał.

— To nieistotne — odparł Darjaei. — Pośpiech wymaga poświęceń. Jeśli o mnie chodzi, jestem niezmiernie wdzięczny, za waszą gotowość spotkania w tak nadzwyczajnych okolicznościach. A pani premier dziękuję za dołączenie się do nas. Niech Bóg pobłogosławi to spotkanie.

— Składam gratulacje w związku z rozwojem sytuacji w Iraku — odezwał się Żeng, ciekawy, czy Darjaei jest gotów przejąć całą inicjatywę, skoro tak zreżcznie podkreślił fakt, że to właśnie jego kraj zaproponował spotkanie. — To musi bardzo cieszyć po tylu latach niezgody.

Patrząc na Darjaeiego, premier Indii pomyślała, że chytra z niego sztuka. Wie kogo, jak i kiedy uśmiercić. Głośno zaś spytała: — A więc, czym możemy służyć? — Tym samym oddała przewodnictwo Darjaeiemu i Iranowi, ku wielkiemu niezadowoleniu Chińczyka.

— Ostatnio poznała pani Ryana. Interesują mnie wrażenia.

— Mały człowiek stojący przed wielkim zadaniem — odparła bez wahania. — Na przykład to jego przemówienie na pogrzebie. Pasowałoby bardziej podczas prywatnej uroczystości. Człowiek oczekuje czegoś... głębszego. Następnie podczas przyjęcia... Wydawał się niepewny, jakiś nerwowy, a jego żona jest arogancka. Lekarka, rozumie pan? Lekarze są często tacy.

— Odniosłem podobne wrażenie, kiedy spotkałem go... przed laty — zgodził się Darjaei.

— Ale stoi na czele wielkiego państwa — zauważył Żeng.

— Czyżby? — zapytał Darjaei. — Czy Ameryka nadal jest wielka? Wielkość narodów zależy od siły ich przywódców, czyż nie tak?

Przedstawiciele Chin oraz Indii natychmiast zrozumieli, czemu ma służyć to spotkanie.

\* \* \*

— Boże! — szepnął Ryan. — Co za samotnia! — Myśl ta nieustannie powracała, zwłaszcza kiedy siedział sam w tym gabinecie o zaokrąglonych ścianach z drzwiami

ponad ośmiocentymetrowej grubości. Za radą Cathy stale używał teraz do czytania okularów, choć bóle głowy zmalały dzięki temu tylko nieznacznie. Zawsze czuł się dziwnie czytając przez szkła, mimo że posługiwał się nimi od dawna. Przez minione piętnaście lat były mu nieodzowne. Tyle że dawniej nie miał tych ciągłych bólów głowy. Może powinien porozmawiać o tym z Cathy albo z innym lekarzem? Pokręcił głową. To tylko stres związany z pracą. Musi się nauczyć dawać sobie z tym radę.

Tak, to tylko stres. Tak jak rak jest tylko chorobą.

Czytany tekst dotyczył problemów politycznych. Ryan nigdy nie należał do żadnej partii politycznej. Zawsze deklarował się jako niezależny wyborca i dzięki temu unikał zalewu listów różnych partii z prośbami o wsparcie takiej czy innej kampanii. Niemniej zarówno on sam, jak i Cathy, stawiali zawsze ptaszka na zeznaniu podatkowym w odpowiedniej rubryce, aby im odpisano po dolarze na federalny fundusz wyborczy. Jednakże prezydent powinien nie tylko należeć do konkretnej partii, ale jej przewodzić. Partie były obecnie jeszcze boleśniej dotknięte i ubogie w przywódców, niż trzy człony władzy. Każda z partii miała przewodniczącego, ale żaden z nich nie wiedział, co robić w powstałej sytuacji. Przez pierwsze kilka dni sądzono, że Ryan jest członkiem

tej samej partii, do jakiej należał Roger Durling, i dopiero przed paroma dniami prasa odkryła prawdę. Wszyscy zakleli wówczas pod nosem. To znaczy, wszyscy należący do waszyngtońskiego świata polityki. Ryan doszedł do wniosku, że czytany przezeń tekst jest chaotycznym zlepkiem myśli czterech zawodowych analityków politycznych i z łatwością można było powiedzieć, kto jest autorem poszczególnych akapitów. Nawet reprezentujący służby specjalne pracownicy prezydenckiego sztabu byli zdolni opracować coś lepszego. Jack odrzucił *resumé* do przegródki z korespondencją wychodzącą i pomyślał, że dobrze byłoby zapalić papierosa.

A teraz czekało go prowadzenie kampanii, czyli wygłaszanie „wyznań politycznej wiary”. *Resumé* nie było w tej materii jasne. Już raz się wyłożył na sprawie aborcji. Więc teraz ma przesunąć się bliżej środka, jak powiedział poprzedniego dnia Arnie van Damm, uzupełniając wcześniejsze nauki. Ryan musi jasno określić swoje stanowisko w bardzo wielu sprawach. Począwszy od awansu społecznego Murzynów, a kończąc na opiece społecznej i diabli wiedzą czym jeszcze między jednym i drugim. Oczywiście, podatki i ochrona środowiska. Kiedy zdecyduje, jakie ma stanowisko we wszystkich tych sprawach, Callie Weston napisze mu tyle przemówień do wygłaszania od Seattle

do Miami, ile będzie trzeba. Hawaje i Alaskę można wykreślić, ponieważ są to stany małe, jeśli idzie o ich polityczne znaczenie, i na politycznie przeciwległych biegunach. To wywołałoby tylko zamęt. Tak w każdym razie przed chwilą przeczytał.

— Dlaczego nie mogę sobie siedzieć w fotelu i pracować? Powiedz, Arnie, dlaczego? — spytał szefa personelu Białego Domu, który właśnie wszedł.

— Bo praca jest tam, panie prezydencie. — Van Damm wskazał palcem za okno. — Prezydentura to przewodzenie ludziom. — Van Damm usiadł, rozpoczynając zajęcia sto pierwszej lekcji. — Sam pan tak powiedział, panie prezydencie, jeśli dobrze dosłyszałem. Prezydentura zaś oznacza maszerowanie na czele wojska, czyli obywateli.

— I to cię bawi? — Jack potarł powieki. Jakże nie znosił tych szkielec.

— Mniej więcej tyle samo, co ciebie.

— Przepraszam.

— Większość z tych, którzy tu gościli, lubiła opuszczać Gabinet Ovalny i spotykać ludzi. To oczywiście sprawia kłopoty i niepokoi takich jak Andrea. Tajna Służba chętnie trzymałaby cię pod kloszem. Nie czujesz się trochę jak w więzieniu?

— Tylko wtedy, kiedy nie śpię.

— Więc w drogę, panie prezydencie! Spotykaj się z ludźmi. Dziel się z nimi swymi zamiarami. Kto wie, może będą pilnie słuchali. Może nawet powiedzą, co sami myślą, i może cię to czegoś nauczy.

Ryan wziął w dwa palce sprawozdanie pełne różnorodnych zaleceń.

— Czytałeś to?

— Oczywiście.

— Niespójne bzdury.

— To jest memorandum polityczne. Od kiedy jakakolwiek polityka jest spójna albo rozsądna? — Arnie chwilę milczał. — Ludzie, z którymi pracowałem przez ostatnie dwadzieścia lat, wyssali takie rzeczy z mlekiem matki. Chociaż może nie matki. Chyba wszyscy byli karmieni z butelki.

— Co?

— Proszę spytać Cathy. To jedna z tych behawiorystycznych teorii. Politycy wyrastają z dzieci karmionych butelką i krowim mlekiem. Nie znają smaku mleka matki, nie mają mlecznych więzów, czują się odrzuceni i dlatego też, w ramach kompensacji, jeżdżą po całym kraju i wygłaszają przemówienia, w różnych miejscach mówiąc różne

rzeczy, które ludzie chcą usłyszeć, chodzi im bowiem o pozyskanie miłości i oddania, czyli tego, czego nie otrzymali od matek.

— Czyli wystarczy butelka z mlekiem, żeby zostać prezydentem?

— Zapomnieliśmy o dworskim błaznie. Powinien mieć rangę członka gabinetu. No wiesz, taki karzeł... przepraszam: osoba płci męskiej o przemożnej potrzebie wzrostu... ubrany w wielokolorowe obcisłe spodnie i śmieszny kapelusz z dzwoneczkami. Powinien siedzieć w kącie na stołku... O cholera, w tym gabinecie nie ma żadnych kątów... Ale to nic nie szkodzi. Co piętnaście minut powinien wskakiwać ci na biurko i potrząsnąć dzwoneczkami, żeby ci przypomnieć, że musisz zrobić siusiu tak jak wszyscy. Pojąłeś, Jack?

— Nie bardzo — przyznał prezydent.

— Robota, jaka ci przypadła, może być całkiem zabawna i przyjemna. Opuszczenie tego budynku i kontakt z wyborcami może być przyjemnością. Obywatele chcą cię kochać, Jack. Chcieliby móc cię wesprzeć. Chcą wiedzieć, co myślisz, co sądzisz o tym czy o tamtym. Ale, przede wszystkim, chcą mieć pewność, że jesteś jednym z nich. I wiesz, co ci powiem? Jesteś pierwszym prezydentem od cholernie długiego czasu,



który naprawdę jest jednym z nich. Wygrzeb się więc z tego fotela i zacznij wreszcie odgrywać swoją rolę zgodnie z jej regułami. — Van Damm nie widział potrzeby wspomnienia, że program prezydenckich podróży po kraju jest już ze wszystkimi uzgodniony i nic go nie zmienia.

— Nie wszystkim będzie się podobało to, w co wierzę, i co powiem, Arnie. . . A nie będę kłamał i całował każdego w tyłek po to, żeby uzyskać aplauz, wyborcze głosy czy co tam. . .

— Czyżbyś wierzył w to, że wszyscy mogliby cię pokochać? — Van Damm uśmiechał się sarkastycznie. — Większość prezydentów kontentuje się pięćdziesięcioma procentami plus jeden. Wielu musiało pogodzić się ze skromniejszą liczbą. Po twojej wypowiedzi w sprawie aborcji byłem gotów cię udusić. A wiesz dlaczego? Bo wypowiedź była mętna.

— Wcale nie była mętna. Ja tylko. . .

— Będziesz słuchał nauczyciela, czy mam wyjść z klasy?

— Wyjaśnij!

— Punkt pierwszy: około czterdziestu procent wyborców oddaje głos na demokratów, drugie czterdzieści na republikanów. Z tych osiemdziesięciu procent nikt nie zmieni swoich sympatii, choćby nawet Adolf Hitler startował przeciwko Abrahamowi Lincolnowi. I dotyczy to zarówno wyborców republikańskich, jak i demokratycznych.

— Na miłość boską, dlaczego?

Van Damm okazał wyraźną irytację. — A dlaczego niebo jest niebieskie? Na pewno jest jakiś powód, który potrafiliby może wyjaśnić astronomowie. Więc niebo jest niebieskie i pozostaniemy przy tym. Pozostaje nam dwadzieścia procent niezdecydowanych wyborców. Przechodzących z jednej strony ulicy na drugą. Może są to ludzie istotnie niezależni, tak jak ty. Te dwadzieścia procent decyduje o losach państwa. I jeśli chcesz, aby wszystko szło po twojej myśli, musisz trafić do tych ludzi. I teraz rzecz najśmieszniejsza: te dwadzieścia procent mało interesuje, co ty myślisz. . . — Na ustach Van Damma znowu wykwitł ironiczny uśmiech.

— Wstrzymaj się chwilkę. Przecież. . .

— Te twarde osiemdziesiąt procent głosujących według podziału partyjnego nie jest zainteresowane charakterem kandydata. Głosują na partię, ponieważ wierzą w filozofię

partii. Albo dlatego, że tak zawsze głosowali tata i mama. Zresztą powód nie jest ważny. Tak jest. Taka jest rzeczywistość. Trzeba się do niej dopasować. Wróćmy jednak do tych dwudziestu procent, które są ważne. Ich mniej obchodzi, w co wierzysz, niż to, kim jesteś. I to stanowi pańską szansę, panie prezydencie. Z punktu widzenia polityka pasujesz do tego gabinetu mniej niż pasowałby trzylatek za kontuarem sklepu z bronią, ale masz charakter. I to trzeba wykorzystać. Na tym grać.

Ryan zmarszczył brwi na słowo „grać”, ale tym razem nie wysunął żadnych zastrzeżeń. Skinął głową, by Van Damm kontynuował.

— Po prostu masz mówić ludziom, w co wierzysz. Prostymi słowami. Swoje poglądy musisz prezentować jasno i przejrzystie. I spójnie. Owe dwadzieścia procent chce wierzyć, że wierzysz w to, co mówisz. Powiedz mi, Jack, czy szanujesz ludzi, którzy z przekonaniem i szczerze wyrażają opinie, z którymi się nie zgadzasz?

— Oczywiście. To właśnie. . .

— Robi mądry człowiek — dokończył Van Damm. — I tak postępuje owe dwadzieścia procent wyborców. Oni będą cię szanowali i popierali, chociaż w pewnych sprawach będą innego zdania niż ty. Dlaczego? Dlatego, że będą przekonani, iż jesteś

człowiekiem honoru. I chcą, aby fotel w tym gabinecie zajmował człowiek uczciwy. Ponieważ kiedy coś się popsuje, to można przynajmniej liczyć, że taki człowiek postara się to naprawić.

— O?

— Wszystko inne to opakowanie. Ale nie lekceważ opakowania oraz sposobu wręczania pakunku. To nie grzech wiedzieć, jak wręczać ludziom pakunki z własnymi koncepcjami. To nie grzech okazać w tej sprawie inteligencję. W twojej książce o admirałe Halseyu dobierałeś niesłychanie ostrożnie słowa, jakimi chciałeś przekazać swoje myśli, prawda? — Prezydent skinął głową. — Tego samego wymagają wielkie koncepcje, idee... Nie — idee wymagają jeszcze więcej, gdyż są ważniejsze, więc musisz opakowywać je z proporcjonalnie większą umiejętnością. Nieprawdaż? — Szef personelu pomyślał, że lekcja przebiega zgodnie z planem.

— Powiedz mi, Arnie, z iloma moimi koncepcjami się zgadzasz?

— Nie ze wszystkimi. Myślę, że nie masz racji w sprawie aborcji. Kobieta powinna mieć prawo wyboru. Założę się, że mamy odmienny pogląd na sprawy Murzynów i na całą gamę innych spraw, ale jednocześnie wiesz, że nie wątpię i nigdy nie wątpi-

łem w twoją prawość. Nie mogę ci narzucić tego, w co masz wierzyć, Jack, ale wiem jedno: umiesz słuchać ludzi. Ja kocham ten kraj, Jack. Moi rodzice umknęli z Holandii i przepłynęli ze mną kanał La Manche, kiedy miałem trzy lata. Łupiną. Do dziś dnia pamiętam, jak wtedy wymiotowałem.

— Jesteś Żydem? — spytał Ryan zdziwiony. Nie miał pojęcia, w jakiej świątyni Arnie się modli.

— Nie. Mój ojciec był w ruchu oporu. Zdradziła go niemiecka wtyczka. Uciekliśmy w ostatniej chwili. Ojca by zabili, a ja i mama skończylibyśmy jak Anna Frank. W jakimś obozie koncentracyjnym. Po wojnie ojciec zdecydował, że przyjedziemy do USA. Jako dziecko stale wysłuchiwałem opowieści o starej ojczyźnie i jak tu jest inaczej. Jest inaczej. A ja zostałem tym, kim zostałem, żeby chronić istniejący system. Co czyni Amerykę inną? Chyba konstytucja. Pokolenia się zmieniają, rządy się zmieniają, także ideologie, ale konstytucja pozostaje właściwie taka sama. Ty i ja złożyliśmy przysięgę. Tyle że moja dotyczyła tylko mnie, mego ojca i matki. Twoja dotyczy narodu. Ja nie muszę się z tobą we wszystkim zgadzać, Jack. Ale wiem, że będziesz usiłował postępować uczciwie. Moim zadaniem jest chronić cię przed niewłaściwym postępow-

niem. Aby mi się powiodło, musisz umieć słuchać. I czasami musisz robić coś, co ci nie odpowiada, czego nie lubisz.

— I jak sobie radzę, Arnie? — spytał Ryan po tej najdłuższej i najważniejszej lekcji tygodnia.

— Nieźle, ale musi być lepiej. Kealty to bardziej dokuczliwe bzykanie, niż rzeczywista groźba. Twoje pokazanie się ludziom i zachowanie właściwe dla prezydenta powinny go jeszcze bardziej zmarginalizować. Pozostaje jedna sprawa. Kiedy pokażesz się publicznie, ludzie zaczną cię wypytywać o kandydowanie w przyszłych wyborach. Co im powiesz?

Ryan energicznie potrząsnął głową. — Nie chcę tego zajęcia, nie odpowiada mi. Niech sobie wybiorą kogoś innego, kiedy...

— No to jesteś załatwiony. Nikt cię nie weźmie na serio. W Kongresie nie otrzymasz poparcia ludzi, na których liczysz. Będiesz politycznym kaleką, niezdolnym do zrealizowania celów, na których ci zależy. Ameryki na to nie stać, panie prezydencie. Obce rządy, a nie zapominaj, że są obsadzone przez zawodowców, też nie potraktują cię serio, a to już będzie miało poważne implikacje w dziedzinie bezpieczeństwa narodowe-

go. Konsekwencje natychmiastowe i długofalowe. No więc, co powiesz dziennikarzom, kiedy zapytają cię o zamiary?

Prezydent poczuł się jak sztubak przepytywany przez nauczyciela. — Jeszcze nie wiem?

— Świetna odpowiedź. Czujesz na barkach ciężar rekonstrukcji rządu, więc tamta sprawa musi chwilowo poczekać. Zajmiesz się nią w odpowiednim czasie. A ja cichutko załatwię przeciek, że poważnie zastanawiasz się nad pozostaniem w Białym Domu, że pierwszym twoim pragnieniem jest służenie krajowi. A kiedy reporterzy zapytają cię na ten właśnie temat, to powtórzysz to, co powiedziałeś na początku. To będzie sygnałem dla obcych rządów. Sygnałem, który zrozumieją i potraktują poważnie. Elektorat amerykański również zrozumie i będzie miał szacunek do takiego stanowiska. W czasie przedwyborczych konwencji obu partii nie zostaną wybrani żadni marginalni kandydaci, którzy ocalili z pogromu w Kongresie. Delegaci będą głosowali na znane nazwiska. Będziemy być może chcieli, abyś zabrał na ten temat głos. Omówię to z Callie. — Van Damm nie dodał, że media zawyją z radości otrzymując podobny kasek. Marzeniem prasy było obsłużenie dwóch konwencji „otwartych”, kiedy nie wiadomo z góry, kto

zwycięży. Arnie maksymalnie upraszczał problem. Bez względu na to, jak Ryan postąpi, będzie miał czterdzieści procent elektoratu przeciwko sobie, a być może i więcej. Zabawna rzecz — jeśli idzie o te dwadzieścia procent, które Van Damm tak zachwalał, to obejmowało ono całe polityczne spektrum — między innymi składało się z takich jak on sam, mniej baczących na polityczne poglądy niż charakter kandydata. Niektórzy będą hałaśliwie wyrażali swój sprzeciw i do dnia wyborów nie będzie ich można odróżnić od bloku czterdziestoprocentowego, dzielającego to samo polityczne stanowisko. Ale w dniu wyborów oddadzą głos na człowieka z charakterem.

\* \* \*

— Nie możemy tego zrobić! — zaprotestowała premier Indii. — Nie tak dawno marynarka amerykańska dała nam nauzkę. . .

— Bardzo przykre — zgodził się Żeng. — Ale nic tragicznego. Z tego co wiem, remont waszych lotniskowców skończy się za dwa tygodnie.

Premier Indii była wyraźnie zaskoczona taką znajomością faktów. Ją samą o tym powiadomiono dopiero przed paroma dniami. Remonty lotniskowców pochłonęły lwią



część rocznego budżetu indyjskiej marynarki, co panią premier bardzo martwiło. I rzadki to był wypadek, by ościenne państwo, zwłaszcza takie, z którym już raz doszło do konfliktu zbrojnego, tak otwarcie przyznawało się do penetracji struktur rządowych sąsiada.

— Ameryka to tylko fasada, olbrzym z chorym sercem i uszkodzonym mózgiem — wtrącił Darjaei. — Powiedziała nam to pani sama, pani premier: prezydent Ryan jest słabym człowiekiem, którego przerasta stojące przed nim zadanie. Jeśli uczynimy jego pracę trudniejszą, odbierzemy Ameryce zdolność mieszania się w nasze sprawy być może na wystarczająco długo, by osiągnąć zamierzone cele. Rząd amerykański jest sparaliżowany i będzie sparaliżowany jeszcze przez wiele tygodni. Musimy tylko pogłębić ten paraliż.

— A jak możemy to uczynić? — zapytała pani premier.

— Bardzo prosto. Wystarczy zmusić USA do przyjęcia zobowiązań, które zachwieją wewnętrzną stabilnością kraju. Z waszej strony wystarczy potrząsanie szabelką, resztą ja się zajmę. I będzie lepiej, jeśli nie zdradzę szczegółów planu.

Żeng rzadko spotykał kogoś bardziej bezwzględnego i mniej przebiegającego w środkach niż on sam. Nie chciał wiedzieć, jaki Darjaei ma plan. Zawsze lepiej, gdy ktoś inny dokonuje ataku agresji. — Proszę kontynuować — powiedział, sięgając do kieszeni po papierosa.

— Każde z nas reprezentuje kraj o olbrzymich możliwościach i jeszcze większych potrzebach. Chiny i Indie ze względu na liczbę ludności potrzebują przestrzeni i bogactw naturalnych. Ja będę wkrótce dysponował tymi bogactwami i kapitałem, jaki na ich bazie powstanie. I będę kontrolował rozdział bogactw i kapitału. Zjednoczona Republika Islamska stanie się potęgą. Taką, jak wasze kraje. Wschód był zbyt długo zdominowany przez Zachód. — Darjaei spojrzał prosto w oczy Żengowi. — Na północ od nas leży gnijący trup. Żyją tam miliony wiernych, których należy wyzwolić. Są tam również bogactwa naturalne. Jest przestrzeń, której tak potrzebujecie. Ja tę przestrzeń wam ofiarowuję w zamian za ziemie zamieszkałe przez wiernych. — Spojrzał na premiera Indii. — Na południe od was rozciąga się pusty kontynent. Zawiera przestrzeń i bogactwa naturalne, których potrzebujecie. Myślę, że za wasze współdziałanie Zjednoczona Republika Islamska i Chińska Republika Ludowa będą gotowe zapewnić wam

opiekę. Proszę was tylko o kooperację bez bezpośredniego angażowania się, a więc i bez ryzyka.

Premier Indii pomyślała, że już to raz słyszała. Niemniej od tego czasu jej potrzeby nie zmalały. Przedstawicielowi Chin natychmiast wpadł do głowy pewien pomysł — jak bez większego ryzyka odwrócić uwagę świata. To już było realizowane! No tak! Iran, który był tą Zjednoczoną Republiką Islamską. . . oczywiście, oczywiście! ZRI podejmuje całe ryzyko, ale niesłuchanie rozważnie skalkulowane. Żeng postanowił, że natychmiast po powrocie do Pekinu sprawdzi stosunek sił. . .

— Rzecz jasna, nie proszę o natychmiastowe podjęcie decyzji i obietnice. Musicie się przecież upewnić, jakie są moje możliwości oraz intencje. Proszę tylko o poważne rozpatrzenie mojej propozycji. . . hmm, nieformalnego sojuszu.

— Pakistan — rzuciła premier Indii.

— Islamabad był zbyt długo amerykańską marionetką i nie można mu ufać — odpowiedział natychmiast Darjaei, pomyślawszy sobie, że jedna rybka chwyciła. Nie spodziewał się, że zrobi to tak szybko. Ta kobieta nienawidziła Ameryki nie mniej od niego. Nauczka dana jej przez Amerykanów musiała zboleć bardziej, niż mu powiedzieli je-

go szpiedzy. Takie kobiety są niesłychanie dumne. Ich dumę łatwo urazić. Typowe. Jest dumna i jednocześnie słaba. Wspaniale. Spojrzał na Żenga.

— Nasze stosunki z Pakistanem są w zasadzie wyłącznie natury handlowej — zauważył przedstawiciel Chin. — I jako takie mogą ulegać modyfikacjom. — Żeng był, podobnie jak Darjaei, zachwycony słabością pani premier. Niczyja wina, tylko jej własna. Wysłała wojska w pole, a raczej w morze, by wesprzeć nieskuteczną akcję Japonii przeciwko Ameryce, podczas kiedy Chiny nie uczyniły nic, niczym nie zaryzykowały i wyszły z wojny bez jednego zadrapania i czyste jak łza. Nawet najostroźniejsi przełożeni Żenga nie protestowali przeciwko jego grze, chociaż nic z niej nie wyszło. A teraz ktoś inny podejmie ryzyko, Indie znów pośpieszą ze wsparciem, a Chiny nie muszą nic robić, powtórzą tylko wcześniejszy polityczny manewr, który pozornie nie ma nic wspólnego z nową Zjednoczoną Republiką Islamską, a ma wyłącznie na celu sprawdzenie nowego amerykańskiego prezydenta. Oczywiście, pozostaje kwestia Tajwanu. Jakie to dziwne. Iran motywowany religią, jakby nie mieli czegoś lepszego. Indie motywowane chciwością i gniewem. Z drugiej strony Chiny myślące długofalowo, beznamiętnie i trzeźwo, dążące do tego, co ma istotne znaczenie, ale jak zwykle z rozwagą. Cele

Iranu były przejrzyste i jeśli Darjaei gotów jest dla ich osiągnięcia ryzykować wojnę, to czemu nie poprzyglądać się z bezpiecznej pozycji, żywiąc nadzieję, że mu się uda? Ale żadnego bezpośredniego angażowania Chin! Jeszcze nie teraz. Nie należy okazywać nadmiernej ochoty. Indie nadto ją okazują, nie dostrzegając rzeczy oczywistych. A oczywiste było to, że jeśli Darjaeiemu się powiedzie, to Pakistan zawrze pokój z nową Zjednoczoną Republiką Islamską, a może się nawet do niej przyłączy i wówczas Indie staną w obliczu realnego zagrożenia. No tak, niebezpiecznie jest być czyimś walesem, zwłaszcza kiedy ma się aspiracje i nadzieję awansu na wyższy szczebel w hierarchii światowej, ale brakuje środków, by to osiągnąć. Sojuszników trzeba wybierać bardzo ostrożnie. W polityce wdzięczność jest niczym ciepłarniany kwiat — więdnie w zetknięciu z prawdziwym światem.

Pani premier skinieniem głowy potwierdziła swoje zwycięstwo nad Pakistanem.

— Wobec tego, przyjaciele, dziękuję wam z całego serca za gotowość i chęć spotkania się ze mną. Za waszym pozwoleniem, oddalę się już, skoro wszystko zostało powiedziane — zakończył Darjaei.

Wszyscy wstali, uścisnęli sobie dłonie i ruszyli do drzwi. W parę minut później samolot Darjaiego oderwał się od wyboistego pasa startowego. Mułła spojrzął na dzbanek z kawą, ale zdecydował, że zamiast kofeiny potrzebne mu jest kilka godzin snu przed poranną modlitwą. Przedtem jednak. . .

— Twoje przewidywania okazały się słuszne.

— Wasza świątobliwość, Rosjanie nazywali takie warunki „okolicznościami obiektywnymi”. Byli i są niewiernymi, ale stosowane przez nich formuły analizy problemów są dość precyzyjne — wyjaśnił Badrajn. — Dlatego też nauczyłem się tak starannie zbierać i następnie składać w całość poszczególne informacje.

— Dostrzegłem to. Twoim następnym zadaniem będzie opracowanie pewnej operacji. — Powiedziawszy to, Darjaei odchylił fotel i zamknął oczy, zastanawiając się, czy i tym razem będą mu się śniły martwe lwy.

\* \* \*

Pierre Alexandre niezbyt lubił pracę w szpitalu, mimo że pragnął powrotu do szpitalnej praktyki. Nie lubił zwłaszcza zajmować się pacjentami, o których było wiadomo,

że nie przeżyją. Były oficer uważał, że właśnie taka była obrona Bataanu<sup>1</sup>: człowiek robił, co mógł, strzelał, jak mógł najcelniej, świetnie wiedząc, że znikąd nie przyjdzie pomoc. Teraz miał tych trzech pacjentów chorych na AIDS, homoseksualistów po trzydziestce, z perspektywą przeżycia niespełna roku. Alexandre był przeciętnie religijnym człowiekiem i nie aprobował homoseksualizmu, niemniej uważał, że żaden człowiek nie zasługuje na taką śmierć. A jeśli nawet, to przecież on sam był tylko lekarzem, a nie Bogiem. Po wyjściu z windy, zaczął szeptać lekarskie obserwacje do dyktafonu.

Obowiązkiem lekarza było szufladkowanie problemów. Trzej chorzy na AIDS są tu dziś, będą jutro i żaden z nich nie wymagał specjalnej uwagi. Nie było żadnym okrucieństwem chwilowo o nich zapomnieć. Taka jest praca lekarza, a poza tym życie tych trzech zależało w dużej mierze właśnie od tego, by móc się jak najszybciej oderwać od ich porażonych chorobą ciał, powrócić do mikroskopu i dalej badać porażające tych ludzi mikroorganizmy. Oddał dyktafon sekretarce, by wszystko przepisała.

---

<sup>1</sup>Półwysep u wejścia do Zatoki Minilskiej na Filipinach, od stycznia do kwietnia 1942 roku miejsce bohaterskiej obrony Amerykanów przed Japończykami (przyp. red.).

— Dzwonił doktor Lorenz z Atlanty, odpowiadając na pański telefon, który był odpowiedzią na jego telefon w odpowiedzi na pański pierwszy telefon — poinformowała sekretarka. Alexandre usiadł za biurkiem i z pamięci wystukał na bezpośredniej linii numer Lorenza.

— Słucham?

— To ty, Gus? Mówi Alex z Hopkinsa. Gonimy się przez telefon i nie możemy dogonić. — Usłyszał śmiech swego rozmówcy.

— Ryby biorą, pułkowniku?

— Jeszcze nie miałem wolnej chwili, uwierzysz? Ralph się nade mną znęca. Jestem zaharowany.

— Czym ci mogę służyć? Chyba ty dzwoniłeś pierwszy, co? — Lorenz już nie był niczego pewien. Jeszcze jeden objaw zapracowania.

— Tak, ja dzwoniłem, Gus. Ralph mi powiedział, że rozpoczynasz serię nowych eksperymentów nad wirusem ebola z tej ostatniej miniepidemii w Zairze.

— W zasadzie tak, tylko że ktoś mi podkradł małpy — odpowiedział kwaśno dyrektor CCZ. — Za parę dni mam dostać nowe. Tak mi w każdym razie obiecują.



— Ktoś się włamał? — spytał Alexandre. Jednym z przykrych aspektów pracy w laboratoriach wykorzystujących zwierzęta do eksperymentów były starcia z fanatycznymi obrońcami praw zwierząt. Od czasu do czasu próbowali się wdrzeć i „wyzwolić” ofiary doświadczeń. Któregoś dnia jakiś stuknięty miłośnik zwierząt wyjdzie z laboratorium z małpą zarażoną wirusem febry Lhasa albo jeszcze czymś gorszym. Jak, do diabła, lekarze mają bez zwierząt badać cholerne wirusy, które zabijają człowieka? Kto zdecydował, że małpa jest ważniejsza niż człowiek? Odpowiedź jest prosta — też ludzie. W Ameryce są ludzie, którzy są gotowi uwierzyć w byle co, we wszystko. I mają konstytucyjne prawo pozostawać idiotami. I dlatego też CCZ, Hopkins i inne laboratoria naukowe zatrudniały uzbrojonych strażników do ochrony klatek z małpami. A nawet klatek ze szczurami. Wyzwoliciele szczurów Alex już zupełnie nie rozumiał.

— Nie. Porwano je jeszcze w Afryce. Ktoś się teraz z nimi bawi. Tak czy inaczej, jestem tydzień do tyłu. No cóż, wytrzymam. Temu cholernemu wirusowi przyglądam się już od piętnastu lat.

— Jak świeża jest ostatnia partia?

— Przypadek Zerowy. Pozytywnie zidentyfikowany. Ebola Mayinga. Mamy jeszcze inną próbkę z drugiej pacjentki, która zresztą zniknęła. . .

— Zniknęła? — zdziwił się Alexandre.

— Zakonnica. Zginęła w morzu w katastrofie samolotowej. Wieźli ją do Paryża, żeby ją zbadał Rousseau. Innych wypadków choroby nie ma. Tym razem nam się udało — zapewnił Lorenz młodszego kolegę.

Lepiej umrzeć w morzu, niż dać się zjeść przez tego cholernego wirusa, pomyślał Alex. Nadal myślał jak żołnierz, od czasu do czasu nawet przeklinał. — No to w porządku.

— Ale po co dzwoniłeś?

— Wielomiany.

— Nie rozumiem — padła odpowiedź z Atlanty.

— Kiedy będziesz przygotowywał eksperyment, pomyśl o matematycznej analizie struktury.

— Od dawna mi to chodzi po głowie. Tym razem jednak chcę tylko zbadać cykl reprodukcji i. . .

— Właśnie! Gus, sprawdź matematyczne wartości wzajemnego oddziaływania. Rozmawiałem tu z jedną lekarką, chirurgiem okulistą. Powiedziała mi coś bardzo interesującego. Jeśli aminokwasy mają policzalną wartość matematyczną, a powinny, to właśnie może nam wyjaśnić charakter ich wzajemnego oddziaływania z innymi odmiannami. — Alexandre zamilkł. W słuchawce usłyszał trzask zapalanej zapalniczki. Gus znowu palił fajkę w gabinecie.

— Mów dalej — zachęcił Gus.

— Dalej grzebię się we własnych myślach. A jeśli jest rzeczywiście tak, jak myślałem, Gus? Po prostu równanie matematyczne? Tylko jak do niego dojść? Ralph powiedział mi o twoim eksperymencie. O badaniu długości cyklu i tak dalej. Myślę, że coś w tym może być. Jeśli uda nam się wyizolować i dokładnie określić RNA, a mamy przecież określone DNA, to wtedy...

— No oczywiście, jasne! Wtedy wzajemne oddziaływanie powie nam coś na temat wartości elementów wielomianu...

— A to nam z kolei powie, jak to bydło się rozmnaża, no i może...

— Jak można mu ukręcić łeb. — W słuchawce zapadła cisza, a potem rozległo się głośne pyknięcie namiętnego palacza fajki. — Alex, dobra myśl! Bardzo dobra. Czegoś tu jednak jeszcze brak. . .

— Zawsze jest czegoś brak.

— Pomyślę o tym przez parę dni i zadzwonię do ciebie.

## 23 — Eksperymentowanie

Uporządkowanie i zorganizowanie wszystkiego zajęło wiele dni. Prezydent Ryan musiał się jeszcze spotkać z plejadą nowych senatorów — niektóre stany zbyt wolno wszystko załatwiały, głównie dlatego, że rząd federalny ustanowił coś na podobieństwo komisji skrutacyjnych w celu przeczesania list kandydatów. Waszyngtońscy obserwatorzy byli tym nieco zaskoczeni, spodziewając się, że władze stanowe zrobią to, co zawsze robiły, gdy powstawała potrzeba zapewnienia fotela w izbie wyższej, a robiły to, jeszcze nim ciało poprzednika wystygło. Okazało się jednak, że przemówienie Ryana trafiło na podatny grunt. Ośmiu gubernatorów doszło do wniosku, że sytuacja jest wyjątkowa,

i postanowiło postąpić inaczej, co po chwili głębokiej refleksji zyskało im pochwały prasy i establishmentu.

Pierwsza wyprawa Jacka miała charakter eksperymentalny. Wstał wcześniej, wychodząc z domu ucałował żonę oraz dzieci, i przed siódmą rano wsiadł do śmigłowca, który wylądował na Południowym Trawniku. Dziesięć minut później opuścił *VH-3*, by wdrapać się po schodkach do wielkiej powietrznej limuzyny prezydenckiej nazywanej *Air Force One*, choć Pentagon miał dla niej fachowe określenie *VC-25A*. Był to *Boeing 747* zmodyfikowany za pokaźne pieniądze, by mógł służyć jako środek transportu dla prezydenta Stanów Zjednoczonych. Ryan wszedł do samolotu w chwili, gdy pilot w stopniu pułkownika Sił Powietrznych kończył czytanie na głos i odkreślanie pozycji na liście przedstartowej. Spoglądając w kierunku tylnej kabiny, Ryan zobaczył tłum dziennikarzy sadowiących się i zapinających pasy w fotelach znacznie wygodniejszych, niż fotele pierwszej klasy linii lotniczych. Niektórzy pasów nie zapinali, ponieważ podróżowanie prezydenckim samolotem przypominało rejs pasażerskim liniowcem po spokojnym oceanie. Dziennikarzy mogło być około osiemdziesięciu. Kiedy Ryan pochylił głowę, aby lepiej wszystko widzieć, usłyszał:

— Lot wyłącznie dla niepalących!

— Kto tak zdecydował? — spytał prezydent.

— Jeden z telewizyjnych pętków — odparła Andrea. — Ubzdurał sobie, że to jego samolot.

— W pewnym sensie tak — zwrócił uwagę Arnie. — Podatnik.

— Tom Donner — uzupełniła Callie Weston. — Gwiazda NBC. Używa więcej lakierni do włosów niż ja.

— Tędy, panie prezydencie! — Andrea wskazała nos maszyny. Kabina prezydencka w Air Force One jest umieszczona w przedniej części głównego pokładu. Stoją tam typowe, choć bardzo eleganckie fotele lotnicze i para kanap, które można przemienić w łóżka podczas długich rejsów. Pod bacznym nadzorem szefa Oddziału, główny użytkownik wstąpił do kabiny. Kiedy prezydent się usadowił i zapiął pas, Andrea dała znak stewardowi, który przez telefon zawiadomił pilota, że można startować. Zagrały silniki. Chociaż Jack już dawno wyzbył się lęku przed lataniem, zamknął oczy i w myślach odmawiał modlitwę (dawniej ją wyszeptywał) za bezpieczeństwo ludzi na pokładzie. Uważał, że modlenie się wyłącznie za siebie mogłoby wydać się Bogu przejawem ego-

izmu. Maszyna zaczęła kołować mniej więcej w chwili, gdy skończył. Ze względu na mniejszą masę startową, prezydencki samolot rozpedzał się nieco szybciej niż *Boeingi* pasażerskie.

— Wszystko w porządku — powiedział Arnie, kiedy podwozie 747 oderwało się od pasa. Ryan uczynił wysiłek i nie trzymał się kurczowo oparcia fotela. — Tym razem wycieczka jest łatwa. Indianapolis, Oklahoma City i do domu na kolację. Tłumy będą przyjazne, żadnych reakcjonistów. — Po chwili dodał z uśmiechem: — Chyba że paru takich jak ty. Nie masz się więc czym martwić.

Andrea Price, która podczas startów i lądowań siedziała w prezydenckiej kabinie, nie znosiła podobnych dowcipów. Szef personelu Białego Domu, Arnie van Damm — Cieśla dla prezydenckiej ochrony, podczas gdy Callie Weston była Kaliope — był jednym z owych funkcjonariuszy Białego Domu, którzy nie potrafią zrozumieć ogromu problemów, jakie stoją przed Tajną Służbą. Dla niego niebezpieczeństwo było po prostu skalkulowanym ryzykiem politycznym. Nie zmienił się po katastrofie 747. Kilka metrów dalej siedział agent Raman, zwrócony twarzą ku przedziałowi prasowemu na wypadek, gdyby któryś z dziennikarzy pojawił się z pistoletem zamiast pióra. Na pokła-



dzie znajdowało się jeszcze sześciu innych agentów, baczących na wszystko i wszystkich, nawet na członków załogi w mundurach Sił Powietrznych. W obu miastach, które prezydent miał odwiedzić, czekały na lotniskach zespoły Tajnej Służby w sile plutonu (oprócz potężnych jednostek miejscowych policji). W bazie Sił Powietrznych Tinker w Oklahoma City cysterna z benzyną lotniczą była już pod ochroną agentów Tajnej Służby na wypadek, gdyby ktoś chciał zanieczyścić paliwo dla prezydenckiej maszyny. Agenci mieli pozostać przy cysternie do powrotu Air Force One do Andrews. W Indianapolis siedział już na płycie samolot transportowy *C-5B Galaxy*, który przydźwigał w swym wnętrzu prezydenckie limuzyny. Zorganizowanie przemieszczenia prezydenta przypominało nieco problem logistyczny przenoszenia z miejsca na miejsce cyrku Braci Ringling, Barnum i Bailey z tą różnicą, że porządkowi cyrku nie musieli się martwić, że w drodze ktoś może zamordować artystę wykonującego ewolucje na podniebnym trapezie.

Price patrzyła, jak prezydent powtarza sobie przemówienie. Normalny odruch człowieka. Oni wszyscy byli zawsze zdenerwowani przed publicznym wystąpieniem. Nie była to trema w ścisłym tego słowa znaczeniu, ale lęk o to, czy właściwie zostanie ode-

brana treść. Andrea się uśmiechnęła. Ryan nie martwi się o treść. Boi się o to, czy potrafi ją odpowiednio przekazać. Zdobędzie doświadczenie, nauczy się. I w tym wypadku ma szczęście, że to Callie Weston napisała mu przemówienie. Świetne. Chociaż babsztyl z niej paskudny.

— Śniadanie? — spytała stewardesa, kiedy maszyna wspięła się na pułap ekonomiczny.

Prezydent pokręcił głową. — Nie jestem głodny, dziękuję.

— Proszę podać panu prezydentowi jajka na boczku i kawę bez kofeiny — zarządził van Damm.

— Nie wygłasza się przemówień o pustym żołądku. Nigdy — dodała Callie. — Niech mi pan wierzy, sir.

— I nie pić dużo prawdziwej kawy. Kofeina rozkojarza. Kiedy prezydent wygłasza przemówienie, ma być... — Arnie rozpoczął poranną lekcję. — Pomóż mi, Callie. Prezydent ma być... ?

— Dziś nie ma żadnych dramatycznych akcentów. Prezydent ma być roztropnym sąsiadem, który przyszedł do faceta mieszkającego obok i prosi o opinię na temat czegoś,

co mu właśnie przyszło do głowy. Ma być przyjacielski, rozważny, spokojny. Coś w rodzaju: „Hej, Fred, jak sądzisz, pomalować tę szopę teraz, czy poczekać do wiosny?” — wyjaśniła Callie Weston.

— Dobrotliwy rodzinny doktor, który radzi pacjentowi, by nie jadł za tłusto i że powinien grać więcej w golfa, bo taki dodatkowy spacer może być wcale przyjemny i tak dalej, i tak dalej — kontynuował lekcję szef personelu.

— Tyle że tym razem mam udzielać porad czterem tysiącom ludzi, tak?

— I ekipie telewizji C-SPAN, która przygotowuje materiał do wieczornych dzienników...

— CNN będzie nadawał na żywo, ponieważ jest to pierwsze pańskie wystąpienie w terenie, panie prezydencie — uzupełniła Callie. Powinien o tym wiedzieć, musi o tym wiedzieć, pomyślała. Nie należy tego przed nim ukrywać.

— Jezu! — Ryan spojrział na trzymany w ręku tekst. — Masz zupełną rację, Arnie. Kawa bez kofeiny. — Podniósł nagle głowę. — Są na pokładzie palacze?

Sposób, w jaki zadał pytanie, skłoniło stewardesę do podejścia o krok. — Chce pan papierosa, sir?

— Tak — padła wstydliva odpowiedź.

Podąła mu Virginia Slim i zapaliła, ciepło się uśmiechając. Nieczęsto się zdarzało, by można było oddać osobistą przysługę zwierzchnikowi sił zbrojnych. Ryan zaciągnął się i podniósł głowę.

— Jeśli piśniece słowo mojej żonie, sierżancie. . .

— To będzie nasza tajemnica, sir. — Stewardesa odeszła, by przygotować śniadanie.

\* \* \*

Zawiesina była przedziwna, okropnego koloru — purpura z domieszką brązu. Monitorowali cały proces, wkładając śladowe próbki pod elektronowy mikroskop. Nerki zielonych małp, nasycone zakażoną krwią, składały się z odosobnionych i wysoce wyspecjalizowanych komórek i nie wiadomo, z jakiego powodu wirus ebola uwielbiał te komórki tak, jak żarłok uwielbia czekoladowy krem. Był to zarazem fascynujący i przerażający widok. Mikroskopijne pasemka wirusa dotykały komórek, penetrowały je i w cieplej, bogatej biosferze zaczynały się rozmnażać. Scena z filmu fantastyczno-naukowego, ale tym razem nie była to fikcja, lecz okropna rzeczywistość. Wirus ten

mógł istnieć i działać wyłącznie przy zewnętrznej pomocy, która musiała pochodzić od żywej istoty. Istota ta stwarzała warunki, w których wirus mógł się uaktywnić, a jednocześnie uczestniczyła w procesie przygotowywania własnej śmierci. Pasemka wirusa miały tylko DNA. Aby nastąpiła mitoz konieczne jest zarówno RNA, jak i DNA. Komórki nerek mają jedno i drugie, wirus sięgał po nie i kiedy je połączył, mógł się reprodukować. Do tego celu potrzebna była mu energia, której dostarczały komórki i podczas tego procesu ulegały całkowitemu zniszczeniu. Proces mnożenia się wirusa ebola to mikroskala procesu chorobowego ogarniającego społeczność ludzką. Zaczyna się powoli, a potem przyśpiesza w postępie geometrycznym. Coraz szybciej, coraz szybciej. 2-4-16-256-65.536, aż wreszcie pokarm zostaje skonsumowany i pozostaje tylko wirus. Nie otrzymując dalszego wsparcia z zewnątrz, „zasypia” czekając na następną okazję. Ludzie tworzyli sobie fałszywe wyobrażenie tej choroby: że wirus czatuje czekając na okazję, że zabija bezlitośnie, że wybiera ofiary. Antropomorficzne bzdury — Moudi i jego koledzy doskonale zdawali sobie z tego sprawę. Wirus nie myśli. Wirus nie działa złośliwie. Ebola tylko je i mnoży się, a potem wraca do stanu uśpienia. Ale, podobnie jak komputer, który jest tylko olbrzymim zbiorem elektrycznych przełączni-

ków z zera na jedynekę — i działa znacznie sprawniej i szybciej niż człowiek — tak ebola jest czymś, co jest tak doskonale przystosowane do szybkiego mnożenia, że system immunologiczny ciała ludzkiego — zazwyczaj bezlitośnie skuteczny mechanizm obronny — zostaje pokonany, jakby natarła nań armia mięsożernych mrówek. I w tym leży jednocześnie słabość wirusa ebola. Jest zbyt skuteczny jako nośnik śmierci. Zabija zbyt szybko. Zabija nosiciela, nim ten zdąży przekazać chorobę dalej. Ponadto wirus jest związany ze specyficznym ekosystemem. Ebola ginie, nie mając nosiciela. Przetrwać może, i to niezbyt długo, tylko w dżungli. Nie może przetrwać w nosicielu, nie zabijając go w ciągu dziesięciu dni, lub nawet wcześniej. Wirus ebola ewoluował wolno i nie zrobił jeszcze kolejnego ewolucyjnego kroku — nie potrafi unosić się w powietrzu.

Tak w każdym razie wszyscy sądzili. Może lepiej byłoby powiedzieć, że mieli nadzieję, pomyślał Moudi. Odmiana wirusa, którą można by rozpylić w aerozolu, byłaby śmiertelnie skuteczną bronią. I być może właśnie na to natrafili. Mayinga! Tak, kilkakrotne badania mikroskopowe potwierdziły, że to jest szczep Mayinga. I podejrzewano, że ta odmiana wirusa ebola może być przenoszona drogą kropelkową. Musiał to udowodnić.

Większość zdrowych ludzkich komórek można zniszczyć zamrożeniem płynnym azotem. Kiedy komórka zamarza, jej ścianki zostają rozsadzone. Rozsadza je zamrożona woda, która stanowi główną masę komórki. I właściwie nic nie zostaje. Ebola jest tworem zbyt prymitywnym, aby coś podobnego mogło jej się przydarzyć. Owszem, nadmierne gorąco go zabija. Ultrafioletowe światło również. Mikrozmiany w chemicznym otoczeniu mogą zabić. Ale jeśli dać wirusowi ebola zimne, ciemne miejsce do spania, to ukontentowany zapadnie w sen.

Pracowali w komorze z rękawicami. Pudło było z przezroczystego wzmocnionego leksanu, mogącego zatrzymać pistoletową kulę. Zapewniono absolutną szczelność tego wnętrza o śmiertelnej zawartości. Z dwu stron komory wykrojono w twardym plastiku okrągłe otwory i do ich brzegów przynitowano mankiety gumowych rękawic. Moudi strzykawką wyssał 10 centymetrów sześciennych zakażonego wirusem płynu i przełał do pojemniczka, który hermetycznie zabezpieczył. Uszczelniony pojemniczek Moudi przełożył z jednej dłoni do drugiej, a następnie podał go stojącemu po drugiej stronie komory dyrektorowi. Ten także przełożył pojemniczek z dłoni do dłoni i ustawił w małej szluzie. Kiedy drzwiczki do niej zostały dobrze zamknięte — co wskazało światełko nad

czujnikiem ciśnieniowym — śluza została zatopiona środkiem dezynfekującym, w tym wypadku roztworem fenolu. Po trzech minutach, kiedy było pewne, że pojemniczek jest już odkażony z zewnątrz, roztwór wypompowano. Nawet wtedy, już po otwarciu śluzy, nikt nie ośmieliłby się dotknąć pojemniczka gołą ręką. Mimo teoretycznie pełnego bezpieczeństwa pracy w komorze z rękawicami, obaj naukowcy mieli na sobie hermetyczne kombinezony ochronne. Dyrektor laboratorium ujął pojemniczek w palce obu dłoni, by go zanieść na stół laboratoryjny odległy o trzy metry.

Przewidziana do eksperymentu puszką aerozolu była typu stosowanego do środków owadobójczych. Należało ją umieścić na podłodze, aktywować i pozostawić, by wypełniła mgiełką całe pomieszczenie. Puskę rozebrano, trzykrotnie wyparzone i złożono z powrotem. Początkowo problem stanowiły części plastikowe zaworu, ale z tym już sobie poradzono przed kilkoma miesiącami. Puskę wyposażono w bardzo prosty mechanizm wyzwalający. Jedyłą trudność sprawiał płynny azot, którego kropla urońiona na rękawice natychmiast by je zmroziła, a guma rozprysła się niby kryształki czarnego szkła. Dyrektor stał obok i patrzył, jak Moudi zalewa płynnym azotem ciśnieniowe naczynie. Dla eksperymentalnych celów wystarczyło kilka centymetrów sze-



ściennych. Przyszła kolej na roztwór zawierający wirusy ebola. Moudi wstrzyknął go do wewnętrznego pojemnika ze stali nierdzewnej i czym prędzej zakręcił stalowy korek. Po uszczelnieniu naczynie hermetycznie zamknięto, spryskano wszystko środkiem dezynfekującym, a potem obmyto jeszcze w soli fizjologicznej. Pojemniczek, w którym dostarczono wirusy na stół laboratoryjny, został wrzucony do pieca.

— Jesteśmy gotowi — stwierdził dyrektor.

Ebola w aerozolu została zamrożona. Jednakże nie na długo. Azot wyparuje stosunkowo szybko, wirus odtaje. Do tego czasu przygotowania do ostatniej fazy eksperymentu będą zakończone. Obaj wirusolodzy zdjęli kombinezony, przebrali się i zjedli kolację.

\* \* \*

Pułkownik Sił Powietrznych z wielką wprawą posadził Air Force One na pasie. Po raz pierwszy wiózł nowego prezydenta i chciał zrobić dobre wrażenie. Podczas dobiegu odwrócenie ciągu obniżyło prędkość do samochodowej, nim jeszcze potężny nos kadłuba skręcił w lewo. Przez okno Ryan dostrzegał setki... nie! Chyba tysiące lu-

dzi. Czyżby oni wszyscy przyszli mnie zobaczyć? — pomyślał. Za niskimi barierkami ochronnymi ludzie wymachiwali małymi chorągiewkami w barwach narodowych — czerwonej, białej i niebieskiej. A kiedy samolot wreszcie stanął, wszystkie chorągiewki zaczęły się kolejno unosić, stwarzając wrażenie przepływającej fali. Podjechały ruchome schodki. Drzwi otworzyła stewardesa w stopniu sierżanta — ta sama stewardesa, która poczęstowała prezydenta papierosem.

— Jeszcze jednego? — spytała szeptem.

Ryan uśmiechnął się. — Może później. I dziękuję, sierżancie.

— Złamanie nogi — wypowiedziała tradycyjne życzenie składane aktorom wychodzącym na scenę. — Ale nie na moich schodkach.

W podzięcie otrzymała rozbawione chrząknięcie.

— Jesteśmy gotowi na przyjęcie Miecznika — usłyszała w słuchawce Andrea Price. To zespół ochrony prezydenckiej, który był na miejscu od wczoraj, zawiadamiał, że wszystko jest w porządku. Skinęła głową w kierunku Ryana.

— Kurtyna w górę, panie prezydencie!

Ryan zaczerpnął głęboko powietrza i stanął w otwartych drzwiach. Zmrużył oczy, oślepiony jaskrawym słońcem Środkowego Zachodu.

Protokół nakazywał, by zszedł samotnie po schodkach. Na jego widok wzbił się w niebo chór głosów witających go ludzi. Ludzi, którzy właściwie nic o nim nie wiedzieli. Jack Ryan zaczął schodzić, czując się bardziej błaznem niż prezydentem. Marynarkę miał zapiętą, włosy przyczesane i, mimo sprzeciwu, spryskane lakierem gwarantującym, że pozostaną tak, jak są. Starszy sierżant Sił Powietrznych pilnujący schodków zasalutował, a Ryan, pamiętając kilka miesięcy spędzonych w piechocie morskiej, energicznie odpowiedział tym samym, co wywołało kolejny wybuch entuzjazmu tłumu. Rozglądając się dokoła dostrzegał agentów Tajnej Służby podlegającej z mocą ustawy Departamentowi Skarbu. Otaczali samolot pierścieniem, prawie wszyscy obróceni twarzami do tłumu. Pierwszy podszedł do schodków gubernator stanu.

— Witamy w Indianie, panie prezydencie! — Pochwycił dłoń Ryana i energicznie nią potrząsnął. — Jesteśmy zaszczyceni, że właśnie nas pierwszych oficjalnie pan odwiedza.

Na te odwiedziny rozwinięto wszystkie możliwe czerwone dywany — broń prezentowała kompania stanowej Gwardii Narodowej, była też orkiestra z hymnem stanowym, po którym natychmiast zaczęto grać tradycyjny marsz powitalny „Hail to the Chief”. Ryan poczuł się trochę jak oszust w przebraniu. Z gubernatorem po lewej i pół kroku z tyłu, wstąpił na rozwinięty czerwony dywan. Żołnierze Gwardii Narodowej sprezentowali broń, pochylił się sztandar pułku, choć nie ten narodowy, pasiasty z gwiazdami, gdyż — jak to kiedyś powiedział jeden z amerykańskich sportowców — ta flaga narodowa nie kłania się żadnym ziemskim władcom. Sportowiec ten był pochodzenia irlandzkiego i podczas olimpiady 1908 roku nie chciał oddać honorów monarsze angielskiemu. Przechodząc obok pochylonego sztandaru, Jack oddał zwyczajowy salut, kładąc prawą dłoń na sercu — gest, który tak dobrze zapamiętał ze szkoły — i patrzył w oczy wyprężonym gwardzistom. Teraz był ich naczelnym wodzem. Miał prawo wysłać ich na pole bitwy. Ma obowiązek patrzeć im w oczy. Starannie ogoleni, młodzi, dumni. I on też taki chyba był przed dwudziestu kilku laty. Przyszli tu dla niego. Zapamiętaj to sobie, Jack, pomyślał.

— Czy mogę przedstawić panu grono naszych obywateli, panie prezydencie? — spytał gubernator.

— Uwaga, zaczyna się ściskanie rąk — poinformowała Andrea agentów Oddziału. Ilekroć następowała ta faza wizyty, agentami wstrząsał dreszcz. Nienawidzili tego. Andrea Price towarzyszyła przez cały czas prezydentowi. Raman i trzech innych otaczali prezydenta, penetrując wzrokiem tłum przez ciemne szkła okularów, bacząc, czy nie widać lufy, wypatrując gniewnego wyrazu twarzy lub oblicza, które widzieli na fotografiach. Zwracali uwagę na wszystko, co odbiegało od normy.

Iluż tu ich się zebrało, pomyślał Ryan. Żaden z nich na niego nie głosował, a do niedawna większość o nim nawet nie słyszała. A jednak przyszli. Z pewnością wielu z nich to stanowi funkcjonariusze, którzy otrzymali pół wolnego dnia, ale przecież nie ci, którzy pojawili się z dziećmi. Wyciągały się ku niemu setki dłoni... Starał się uścisnąć ich tyle, ile mógł. Posuwał się wolno lewą stroną szpaleru, usiłując wyłapać poszczególne słowa w kakofonii głosów i dźwięków.

„Witamy w Indianie!”, „Jak się pan ma, panie prezydencie?”, „Ufamy ci!”, „Dobrze ci idzie, chłopie!”, „Jesteśmy z panem, panie prezydencie!”

Ryan usiłował reagować na te zawołania i odpowiadać, ale udawało mu się wydożyć z siebie niewiele więcej poza stereotypowym „Dziękuję, bardzo dziękuję”, gdyż oszołamiała go temperatura tej chwili, ciepło powitania pozwalało ponadto nie odczuwać bólu, który po setnym uściśnięciu zaczął opanowywać prawą dłoń. Wreszcie jednak musiał odstąpić od barierek i tylko pomachać, co wywołało jeszcze jedną falę głośnego entuzjazmu dla nowego prezydenta.

Boże drogi! Gdyby oni wiedzieli, że nie jestem tym, za kogo mnie biorą! Co by zrobili, gdyby wiedzieli, jaki jest naprawdę? Co ja tu, do diabła, robię? — zapytywał siebie, zmierzając ku otwartym drzwiczkom prezydenckiej limuzyny.

\* \* \*

W piwnicy budynku było ich dziesięciu. Sami mężczyźni. Tylko jeden należał do kategorii więźniów politycznych, jego przestępstwem było odstępstwo od zasad Koranu. Reszta należała do grupy elementów społecznych: czterech morderców, gwałciciel, dwaj pedofile i dwaj złodzieje recydywiści, którzy zgodnie z prawem szariatu podlegali karze obcięcia prawej ręki. Wszyscy znajdowali się w jednym obszernym klimatyzowa-

nym pomieszczeniu. Nogi mieli przykute kajdankami do łóżek. Wszyscy byli skazani na śmierć, z wyjątkiem złodziei oczekujących pozbawienia ich ręki, o czym wiedzieli i dlatego dziwili się, że są tu z pozostałymi. Nie mieli też pojęcia, dlaczego pozostali jeszcze żyją. Pozostali nie zadawali sobie podobnych pytań, ale i nie cieszyli się. Przez minione kilka tygodni marnie ich odżywiano. Ich fizyczna sprawność i energia przygasły. Pozostała zaledwie świadomość życia. Jeden z nich włożył sobie palce do ust, aby obmacać krwawiące dziąsło. Właśnie wyjmował palce, gdy otworzyły się drzwi.

Był to ktoś w niebieskim plastikowym kombinezonie. Ktoś, kogo przedtem nie widzieli. Osoba ta — z pewnością mężczyzna, chociaż przez plastikową maskę trudno było dostrzec twarz — postawiła na betonie posadzki cylindryczny pojemnik, zdjęła z niego plastikowy niebieski kapturek i nacisnęła czopek zaworu. Potem szybko się wycofała. Ledwo zamknęły się za nią drzwi, kiedy z pojemnika wydobyło się syczenie, a następnie pomieszczenie wypełniła podobna do pary mgiełka.

Któryś z dziesiątki rozdarł się dziko, myśląc, że jest to gaz trujący, chwycił cienkie prześcieradło i zasłonił nim twarz. Więzień znajdujący się najbliżej pojemnika należał do gatunku wolno myślących i tylko się przyglądał, a kiedy otoczyła go biała chmur-

ka, przesunął wzrokiem po pozostałych więźniach, którzy czekali teraz na jego agonię. Ponieważ agonია nie nastąpiła, zaczęli przejawiać ciekawość. Bardziej ciekawość niż przerażenie. Po kilku minutach cały incydent zaliczyli do swej mało interesującej przeszłości. Gdy od zewnątrz zgaszono światło, poszli spać.

— Za trzy dni będziemy wiedzieli — powiedział dyrektor, wyłączając monitor przekazujący obraz z celi. — Z tego, co widać, aerozol jest sprawny, rozpylenie prawidłowe. Wiem, że był pewien problem z opóźniaczem. Przy produkcji seryjnej mechanizm opóźniający otwarcie zaworu musi działać bezbłędnie i być nastawiony. . . Na ile? Chyba na pięć minut.

Trzy dni, pomyślał Moudi. Siedemdziesiąt dwie godziny czekania, by się dowiedzieć, jakiego szatana wywołali z piekielnych czeluści.

\* \* \*

Mimo hałaśliwej demonstracji uczuć, mimo starannego planowania prezydenckiej podróży, Ryan musiał teraz siedzieć na składanym metalowym krzeselku, chyba specjalnie skonstruowanym po to, by człowieka bolały pośladki. Prawie pod nosem miał



drewnianą barierkę, z której spływały uwiązane w kokardę pasma materiału w barwach narodowych. Pod materiałem umieszczono arkusz blachy pancernej mającej zatrzymać kule. Podium było podobnie zabezpieczone — w tym konkretnym przypadku płytami kewlaru. Kewlar jest zarówno mocniejszy, jak i lżejszy od stali. Osłaniał całe ciało poniżej ramion. Wielka uniwersytecka hala sportowa — chociaż nie ta, w której rozgrywała mecze drużyna koszykówki, już zresztą wyeliminowana z rundy play-off — była wypełniona „aż po dach”, jak z pewnością będą obwieszczać reporterzy przekładając takie sformułowania nad proste stwierdzenie, że wszystkie miejsca są zajęte. Większość obecnych stanowili studenci. W Ryana wycelowano snopy światła z licznych reflektorów i ich blask uniemożliwiał dostrzeżenie widowni. Jacka przyprowadzono tylnym wejściem przez szatnię. Prezydent musi mieć zawsze zapewnione szybkie wejście i wyjście. Kolumna limuzyn trzy czwarte drogi przemknęła autostradą, ale ostatnia ćwiartka prowadziła ulicami miasta, na których zebrali się ludzie, by pomachać prezydentowi. W tym czasie gubernator wymieniał zalety tej metropolii „Stanu Hoosiera”, jak go popularnie nazywano. Jack miał ochotę zapytać o pochodzenie słowa „Hoosier”, ale uznał, że nie wypada.

Przemawiał teraz gubernator. Był czwartym z kolei mówcą. Po studencie, po rektorze uniwersytetu i burmistrzu. Prezydent próbował słuchać przemówień, ale... Z jednej strony wszyscy w zasadzie mówili to samo, z drugiej niewiele z tego, co mówili, było prawdą. Ryan odnosił wrażenie, że mówią o kimś innym, o jakimś wydumany prezydencie z jakimiś mało sprecyzowanymi cnotami, które mu pozwalają wypełniać sformułowane koślawo obowiązki. Być może lokalni autorzy przemówień są obcy tylko z lokalnymi problemami. Tym lepiej dla nich, pomyślał prezydent.

— ... i mam zaszczyt przedstawić prezydenta Stanów Zjednoczonych. — Gubernator obrócił się i wskazał szerokim gestem Ryana, który wstał, podszedł do podium i uściśnął dłoń gubernatora. Kładąc plik kartek na podium, skinął w lekliwym pozdrowieniu widowni, której prawie nie dostrzegał. W pierwszych kilku rzędach krzesel, ustawionych na parkiecie boiska koszykówki, siedzieli miejscowi dostojnicy. W innych czasach i okolicznościach stanowiliby grono głównych sponsorów funduszy wyborczych. Może siedzieli tu ci, którzy gotowi byli finansować obie partie. Nagle sobie przypomniał, że w istocie tak jest — najwięksi sponsorzy finansują obie partie jednocześnie, by zmniejszyć ryzyko i zagwarantować sobie dostęp do szczytów władzy bez względu na to, kto

wygra. I już pewno w tej chwili zastanawiają się, którądy wcisnąć pieniądze na jego kampanię wyborczą.

— Dziękuję panu, panie gubernatorze, za tak piękne wprowadzenie. — Ryan obrócił się i skinął głową w kierunku luminarzy siedzących za nim na podium, wymieniając następnie wiele nazwisk z listy na pierwszej stronie przygotowanego mu przemówienia — nazwisk „dobrych przyjaciół”, których jego oczy nigdy więcej nie ujrzą i których twarze rozjaśniły się, ponieważ wymienił ich nazwiska we właściwej kolejności.

— Panie i panowie, jest to moja pierwsza w życiu wizyta w Indianie. Jest to moja pierwsza wizyta w Stanie Hoosiera, ale po powitaniu, jakie mnie spotkało, nie będzie to wizyta ostatnia. . .

Zupełnie jak podczas nagrywania programów telewizyjnych z udziałem publiczności. Tak jakby ktoś za plecami Ryana podniósł tablice ze słowem OKLASKI! Przed chwilą powiedział prawdę. Powitanie było gorące. Drugie zdanie o powrocie mogło być prawdą lub kłamstwem. Obecni dobrze zdawali sobie z tego sprawę, ale mało ich obchodziło czy to prawda, czy kłamstwo. I w tym momencie, gdy trwał huragan oklasków, Jack Ryan uświadomił sobie coś bardzo istotnego.

Boże drogi, to działa jak narkotyk! Teraz już wiedział, dlaczego ludzie garną się do polityki. Żaden człowiek, który znajdzie się wysoko na trybunie, widzi wpatrzone w niego twarze i słyszy aplauz, nie pozostanie temu obojętny. Stał przed czterema tysiącami ludzi, czterema tysiącami współobywateli równych jemu w oczach prawa, ale w ich świadomości był kimś zupełnie innym: był uosobieniem Stanów Zjednoczonych Ameryki. Był Stanami Zjednoczonymi! Był ich prezydentem, ucieleśnieniem ich nadziei i pragnień, był wizerunkiem ich ojczyzny i dlatego byli gotowi go kochać — kochać kogoś, kogo zupełnie nie znali. Gotowi oklaskiwać każde jego słowo, łudzili się, że przez chwilę będą mogli szczerze wierzyć, że właśnie im spojrział w oczy. I zapamiętają tę chwilę jako wyjątkową w ich życiu, nigdy o niej nie zapomną. Ryan nie zdawał sobie sprawy, że jakikolwiek człowiek może poszczycić się podobną władzą i że podobna władza może istnieć. Tłum należał do niego. Może wydawać mu rozkazy. Rozumiał teraz, dlaczego ludzie poświęcają całe życie na to, by zostać prezydentem, by móc się zanurzyć w odmętach tej chwili, niby w gorącym oceanie. Chwila absolutnej doskonałości i harmonii.

Co czyni go wyjątkowym w ich świadomości? Nie potrafił tego dociec. W jego przypadku los posadził go w prezydenckim fotelu, we wszystkich pozostałych to oni wybierali, oni sadowili człowieka na piedestale. Oni przez swoją decyzję czynili prezydenta wyjątkowym. A może wszyscy prezydenci nadal pozostawali zwykłymi ludźmi, tylko zmieniła się percepcja tych, którzy na nich patrzą? Tak, to tylko percepcja. Ryan pozostał tym samym człowiekiem, jakim był przed miesiącem, przed rokiem. Był tą samą ludzką jednostką, która zmieniła po prostu pracę. A chociaż dokoła siebie widział mnóstwo „ozdobników” nowego stanowiska, to jednak człowiek otoczony pierścieniem agentów Tajnej Służby, człowiek pływający się w fali uwielbienia, którego wcale nie szukał, ten człowiek był nadal tylko produktem miłości rodziców, wychowania, wykształcenia, doświadczenia — tak jak oni wszyscy. Widzieli w nim istotę inną, wyjątkową, może nawet wybitną, ale to było tylko ich widzenie, a nie rzeczywistość. Rzeczywistością były jego spocone dłonie na opancerzonym podium i przemówienie, które napisał mu ktoś inny.

I co mam teraz zrobić? — zadał sobie pytanie prezydent Stanów Zjednoczonych. Myśl gonila myśl, aplauz wygasał. Nigdy nie będzie tym, za kogo go biorą! Mógł być

dobrym człowiekiem, ale nie wielkim, a prezydentura była robotą, funkcją, stanowiskiem państwowym z obowiązkami zdefiniowanymi przez Jamesa Madisona. I tak jak wszystko inne w życiu, zmiana funkcji oznacza przejście z jednej rzeczywistości do drugiej.

— Przybyłem tutaj dziś, aby porozmawiać z wami o Ameryce. . .

W dole, przed podium, stało w szeregu pięciu agentów Oddziału. Oczy mieli przesłonięte przeciwsłonecznymi okularami, aby nikt z widowni nie widział, w którym kierunku patrzą. Okulary nosili także dlatego, że ludzie bez oczu onieśmielają i budzą lęk. Dłonie mieli założone z przodu, mikrosluchawki w uszach zapewniały im wzajemny kontakt podczas obserwowania tłumu. W głębi hali sportowej znajdowali się inni agenci Tajnej Służby. Ci z kolei obserwowali tłum przez lornetki, w pełni świadomi, że opary miłości w hali nie zaczadziły wszystkich, i istnieją ludzie, którzy lubią zabijać to, co kochają. Z tego powodu zespół, który przyleciał do Indiany wcześniej, przy wszystkich wejściach poustawiał bramki do wykrywania metali. Z tego też powodu belgijskie psy rasy Malinois przewąchały całą halę w poszukiwaniu materiałów wybuchowych. Z tego

też powodu agenci Oddziału obserwowali wszystko dokładnie tak samo, jak to czyni zwiadowca w terenie, zwracając uwagę na każdy cień.

— ... siła Ameryki to nie Waszyngton, ale Indiana, Nowy Meksyk i każde inne miejsce, gdzie mieszkają i pracują Amerykanie, gdziekolwiek by to było. To nie my w Waszyngtonie jesteśmy Ameryką. To wy nią jesteście. — Słowa prezydenta rozbrzmiewały przez system nagłośnienia hali sportowej. Tajna Służba była zdania, że system jest do bani, ale cóż — prezydencki wypad został przygotowany bardzo pośpiesznie. — My w Waszyngtonie tylko pracujemy dla was. — Widownia obdarzyła prezydenta gromkimi brawami.

Telewizyjne kamery przenosiły obraz na zewnątrz do wozów transmisyjnych. Wozy miały na dachach talerze anten, które przekazywały go dalej, ku satelitom. Reporterzy byli dziś mało ważni. Robili notatki, mimo że otrzymywali pełny tekst przemówienia i pisemne zapewnienie, iż właśnie to, a nie co innego prezydent powie. Wieczorem dziennikarze i spikerzy obwieszczają, że „prezydent w swoim dzisiejszym przemówieniu powiedział...”. Ale wszyscy wiedzieli, że to nie jest jego przemówienie. Wszyscy wiedzieli, kto je napisał. Callie Weston pochwaliła się już wielu kolegom. Dziennikarze

w hali koncentrowali się raczej na obserwowaniu widowni. Nie mieli z tym trudności, bo nie oślepiały ich reflektory.

— ...dzielimy odpowiedzialność, ponieważ Ameryka należy do nas wszystkich. A więc obowiązek dbania o nią zaczyna się tu, a nie w Waszyngtonie. — Kolejny aplauz.

— Dobre przemówienie — zauważył Tom Donner, zwracając się do swojego komentatora analityka, Johna Plumbera.

— I dobrze wygłaszane. Rozmawiałem z komendantem Akademii Marynarki. Powiedział mi, że Ryan był doskonałym wykładowcą — odpowiedział Plumber.

— Ma dobrą widownię. Głównie młodzież. I unika głównych problemów politycznych.

— Brodzi przy samym brzegu. Sprawdza temperaturę wody -zgodził się John. — Masz zespół obsługujący drugi etap na dzisiejszy wieczór?

Donner spojrział na zegarek. — Powinni już być na miejscu.



\* \* \*

— A więc, pani profesor Ryan, niech mi pani powie, czy cieszy panią rola Pierwszej Damy? — spytała z ciepłym uśmiechem Christine Matthews.

— Nadal głęboko się nad tym zastanawiam. — Rozmowa odbywała się w malutkim gabinecie Cathy. Okno pomieszczenia wychodziło na panoramę Baltimore. Pokój nie był obszerny. Miejsca starczyło zaledwie na biurko i trzy krzesła (półfotel dla lekarza, jedno zwykłe krzesło dla pacjenta i trzecie dla jego małżonka lub rodzica nieletniego pacjenta). Ekipa telewizyjna wcisnęła jeszcze kamerę i stojak z reflektorem. Cathy czuła się jak w potrzasku. — Wie pani, brak mi przygotowywania posiłków dla rodziny — wyznała.

— Jest pani znanym chirurgiem. . . a pani mąż wymaga, żeby mu pani jeszcze gotowała? — spytała znana dziennikarka NBC, a głos jej wyrażał zdziwienie graniczące z oburzeniem.

— Zawsze lubiłam gotować. To dobry relaks po powrocie z pracy. — Lepszy niż oglądanie telewizji, pomyślała profesor Caroline Ryan, ale tę uwagę zachowała dla sie-

bie. Siedziała sztywno w świeżo wykrochmalonym fartuchu laboratoryjnym. Straciła piętnaście minut na uczesanie i makijaż. Za drzwiami czekali pacjenci. -Umiem dobrze gotować — dokończyła.

— To co innego. Jakie jest ulubione danie prezydenta?

Na twarz Cathy powrócił uśmiech. — To było łatwe pytanie. Stek, pieczone kartofle, kolba kukurydzy i moja szpinakowa sałatka. . . Wiem, wiem. Lekarz się we mnie odzywa, że to może ciut za dużo cholesterolu. Jack jest dobry przy grillu. W ogóle jest pomocny w domu. Nawet nie zrzędzi, kiedy musi skosić trawę.

— Powróćmy do tej nocy, kiedy urodził się pani syn. . . Do tej okropnej nocy, kiedy terroryści. . .

— Pamiętam — odparła Cathy przytłumionym głosem.

— Pani mąż wtedy zabił. Zabił ludzi. Pani jest lekarzem. Co pani czuje, co pani myśli?

— Jack i Robby. . . to znaczy admirał Jackson i jego żona Sissy są naszymi najbliższymi przyjaciółmi. Jack i Robby zrobili, co musieli zrobić, w przeciwnym wypadku nie przeżylibyśmy tamtej nocy. Nie lubię przemocy. Jestem chirurgiem. W ubiegłym

tygodniu operowałam ofiarę głupiego wypadku. Mężczyzna stracił oko w wyniku barowej bójki o kilka przecznic stąd. Ale to, co zrobił Jack, diametralnie różni się od tego przypadku. Jack walczył w mojej obronie, w obronie Sally i małego Jacka, który jeszcze się nie narodził.

— Lubi pani swój zawód?

— Kocham moją pracę. Za nic bym jej nie porzuciła.

— Ale zwyczajowo Pierwsza Dama...?

— Wiem, co pani ma na myśli. Ale ja nie jestem „polityczną” żoną, jestem praktykującym lekarzem medycyny. Jestem też naukowcem. Pracuję w najlepszej klinice okulistycznej na świecie. W tej chwili czekają na mnie na korytarzu pacjenci. Potrzebują mnie. I wie pani co? Ja ich też potrzebuję. Moja praca i ja to jedno. Oprócz tego jestem żoną i matką. I kocham moje życie. Prawie wszystko co się w nim zdarza.

— Z wyjątkiem tego wywiadu? — spytała Christine z uśmiechem.

W oczach Cathy zamigotały iskierki. — Chyba nie muszę na to pytanie odpowiadać, prawda?

— Jakim mężczyzną jest pani mąż?

— Chyba nie byłabym obiektywna w ocenie. Kocham go. Ryzykował życiem dla mnie i moich dzieci. Zawsze był przy mnie, kiedy go potrzebowałam. I ja jestem przy nim, kiedy on mnie potrzebuje. Na tym polega miłość i na tym opiera się małżeństwo. Jack jest inteligentny. Szybko myśli. Jest uczciwy. Myślę, że należy do kategorii ludzi, którzy zawsze wszystkim się martwią. Czasami budzi się w nocy, to znaczy budził się u nas w domu, i spędzał pół godziny wpatrzony w zatokę. Nie jestem pewna, czy on wie, że ja o tym wiem.

— Ale teraz już tego nie robi?

— Teraz już nie. Jest bardzo zmęczony, kiedy kładzie się spać. Jeszcze nigdy tak dużo nie pracował.

— Inne stanowiska, jakie zajmował. Na przykład w CIA. Mówią, że. . .

Cathy przerwała podniesieniem otwartej dłoni.

— Nie mam dostępu do spraw tajnych. Nic nie wiem na temat CIA i, tak naprawdę, nie chcę wiedzieć. Zresztą dotyczy to również mojego zawodu. Nie wolno mi dyskutować z Jackiem na temat schorzeń moich pacjentów. I z nikim innym poza kliniką.

— Chcielibyśmy mieć parę ujęć pani z pacjentami... Pierwsza Dama potrząsnęła energicznie głową. - Zdecydowanie odmawiam. To jest szpital, a nie studio telewizyjne. Chodzi mi nie tyle o moją prywatność, co o moich pacjentów. Dla nich nie jestem żadną Pierwszą Damą, ale doktorem. Nie jestem sławną osobistością, jestem lekarzem, chirurgiem okulistą. Dla moich studentów jestem profesorem i wykładowcą.

— I jak niesie fama, jedną z najlepszych w swoim zawodzie — powiedziała Matthews, głównie po to, by odnotować reakcję.

— Chyba jestem dobra. — Cathy uśmiechnęła się. — Dostałam nagrodę Laskera, ale szacunek okazywany mi przez moich kolegów jest wart więcej niż pieniądze. Pani dobrze wie, że to jeszcze nie wszystko. Czasami, po poważniejszej operacji, sama w zaciemnionym pokoju, zdejmuję pacjentowi bandaż. I powoli włączamy światło, zaczynając od bardzo słabego. I wtedy widzę to na twarzy pacjenta czy pacjentki. Zreperowałam oczy, oczy ponownie spełniają swoją rolę i wtedy ten wyraz twarzy... Nikt nie poświęca się medycynie dla pieniędzy, w każdym razie nie u nas, nie w szpitalu Hopkinsa. Jesteśmy tu po to, by uzdrawiać chorych, ja jestem tu po to, by leczyć wzrok lub go przywracać. I ten wyraz twarzy, jaki się widzi, gdy się powiodło! Jakby sam Pan

Bóg poklepał człowieka po ramieniu i powiedział: „Dobra robota”. I dlatego właśnie nigdy nie porzucę medycyny — zakończyła Cathy Ryan niemal lirycznie, przekonana, że ten fragment z pewnością wykorzystają w wieczornym programie i że być może jakiś zdolny licealista zobaczy jej twarz, wysłucha tych słów i zacznie rozmyślać nad studiami medycznymi. Jeśli już musiała tracić czas na telewizyjne wywiady, to trzeba skorzystać z okazji i spożytkować antenę w interesie medycyny.

To była niezła kwestia, pomyślała Christine Matthews, ale, mając tylko dwie i pół minuty czasu antenowego, nie będzie mogła jej wykorzystać. Lepiej wziąć jej wyznaczenie, jak bardzo nienawidzi roli Pierwszej Damy. Bo przecież wszyscy mają już dość gadaniny lekarzy.

## 24 — Zarzucenie wędki

Powrót do samolotu był szybki i dobrze zorganizowany. Gubernator wrócił do swoich zajęć, ludzie, którzy zapelniali chodniki, wrócili do przerwanej roboty, a ci, którzy oglądali się i patrzyli, byli zwykłymi przechodniami zastanawiającymi się prawdopodobnie, dlaczego wyją syreny. Ryan, wyczerpany po wielkim napięciu, rozparł się wygodnie na miękkim skórzanym siedzeniu limuzyny.

— No i jak wypadłem? — spytał, spoglądając w okno, za którym przemykała Indiana z prędkością stu kilometrów na godzinę. Uśmiechał się do siebie na myśl, że oto

bezkarnie, bez groźby otrzymania mandatu, pędzi gęsto zabudowanymi przedmieściami.

— Trzeba przyznać, że bardzo dobrze — odezwała się Callie Weston. — Przemawiał pan jak wykładowca, panie prezydencie.

— Byłem niegdyś wykładowcą — odparł Ryan. I przy odrobinie szczęścia jeszcze nim będę, pomyślał.

— Ton wykładowcy sprawdził się przy tym tekście, ale przy innych potrzeba będzie trochę ognia — zauważył Arnie.

— Krok po kroku, znajdziemy i ogień. Najpierw trzeba raczkować, nim się stanie na dwie nogi — stwierdziła sentencjonalnie Callie.

— To samo przemówienie w Oklahomie, tak? — spytał Jack.

— Z kilkoma zmianami. Niewielkimi. Byle pamiętać, że to już nie Indiana. „Stan Soonera”, a nie Hoosiera. Ten sam akapit o tornadach, ale futbol zamiast koszykówki.

— Oni też stracili dwóch senatorów, ale ocalał im jeden kongresman i będzie siedział na podium — przypomniał van Damm.

— Jak się wywinął? — spytał Ryan.



— Pewno siedział w motelu z jakąś dziwką — padła odpowiedź. — Poinformujesz o podpisaniu kontraktu rządowego na rozbudowę bazy Sił Powietrznych Tinker. To dla nich oznacza pięćset nowych miejsc pracy. Konsolidacja kilku przedsięwzięć na dziewiczym terenie. Miejscowa prasa będzie szczęśliwa.

\* \* \*

Ben Goodley zastanawiał się: jest nowym doradcą do spraw bezpieczeństwa narodowego, czy nie? Jeśli tak, to chyba jest zbyt młody na takie stanowisko. Na szczęście prezydent, któremu miał służyć radami, czuł się swobodnie w domenie polityki zagranicznej. To czyniło z Goodleya raczej sekretarza, niż doradcę. Ta funkcja zupełnie mu odpowiadała. Wiele się nauczył podczas krótkiego pobytu w Langley. Bardzo szybko awansował. Otrzymał ją, ponieważ wiedział, jak zbierać i porządkować informacje według ich wagi. Bardzo lubił pracować bezpośrednio dla prezydenta Ryana. Wiedział, że z tym szefem nie musi owijać spraw w bawełnę, i że Jack — nadal myślał o nim jako o Jacku, chociaż nie miał już prawa tak się do niego zwracać — zawsze mu szczerze powie, co naprawdę myśli. Praca w Białym Domu będzie doskonałym doświadczeniem

życiowym i zawodowym dla doktora Goodleya, wprost bezcennym stażem dla kogoś, kogo ukrytym nowym marzeniem było objęcie stanowiska zastępcy dyrektora CIA do spraw wywiadu — dzięki wiedzy i umiejętnościom, a nie czyjemuś poparciu.

Na przeciwległej do biurka ścianie wisiał zegar, pokazujący położenie słońca w stosunku do wszystkich kontynentów. Zamówił taki zegar w dniu, kiedy tu się zjawiał. Ku jego wielkiemu zdziwieniu dostał go następnego dnia, a nie musiał czekać, nim zamówienie otrzyma aprobatę wszystkich szczebli federalnej biurokracji. Słyszał już poprzednio, że Biały Dom jest jedyną częścią trójramiennego świecznika władzy, która prawidłowo funkcjonuje, ale temu nie wierzył. Goodley, absolwent Uniwersytetu Harvarda, od czterech lat był w służbie państwowej i wydawało mu się, że wie, co może, a co nie może funkcjonować. „Słoneczny” zegar pozwalał mu, jak to już stwierdził w czasie pracy w centrali CIA, znacznie lepiej orientować się w strefach czasowych, niż zegary wiszące jeden obok drugiego w wielu instytucjach. Oko natychmiast rejestrowało, gdzie jest południe i niemal bezwiednie odczytywało pory dnia w poszczególnych zakątkach globu.

Agencja Bezpieczeństwa Narodowego regularnie publikowała podsumowanie politycznych wydarzeń na świecie. Komórka tym się zajmująca, nazywana Centrum Obserwacyjnym, była obsadzona przez wyższej rangi oficerów i chociaż ich spojrzenie na problemy było bardziej fachowo-techniczne niż polityczne, nie należeli do ludzi naiwnych ani głupich. Ben znał wielu nie tylko z nazwiska, ale i z reputacji, poznał także dobrze wady i zalety poszczególnych „obserwatorów”. Pułkownik Sił Powietrznych, który dowodził Centrum Obserwacyjnym ABN, nie zajmował się głupstwami podczas popołudniowych odpraw w robocze dni tygodnia, pozostawiając je podwładnym. Kiedy pułkownik coś parafował, to oznaczało, że sprawa jest poważna i warta przemyślenia. I tak też uczynił tego popołudnia czasu waszyngtońskiego, wysyłając do Goodleya faks za pośrednictwem bezpiecznych łączy *STU-4*.

Informacja dotyczyła Iraku. I jeszcze jedno Goodley musiał przyznać pułkownikowi: nie nadużywał w nagłówku określenia SYTKRYT — Sytuacja Krytyczna, jak to czyniło wielu innych. Ben zerknął na „słoneczny” zegar. W Iraku słońce już zaszło. Dla jednych czas odpoczynku, dla innych wzmożonej aktywności.

— Ale heca! — mruknął do siebie Ben. Czuł, że ma przyśpieszony oddech. Raz jeszcze wszystko przeczytał, po czym obrócił się na obrotowym fotelu i chwycił za słuchawkę, naciskając guzik trzeci, automatycznie wybierający zakodowany numer.

— Sekretariat dyrektora — usłyszał głos kobiety po pięćdziesiątce.

— Goodley do Foleya — odparł krótko.

— Proszę czekać, doktorze Goodley. — Po chwili usłyszał męski głos: — Cześć.

— Witam, dyrektorze. — W rozmowach służbowych nie wypada tykać dyrektora CIA, pomyślał Goodley. — Ma pan to, co ja właśnie dostałem? — Kartka z drukarki była jeszcze ciepła.

— Irak?

— Irak.

— Późno dzwonisz. Musiałeś to chyba dwa razy czytać. Przed chwilą już powiedziałem Bertowi Vasco, żeby do mnie przyjechał.

— Sekcja iracka w CIA była słabiutka, a Departament Stanu miał świetnego faceta, Vasco.

— Wydaje mi się pilne. I cholernie ważne.

— Jestem tego samego zdania — odparł Ed Foley. — Daj mi godzinę, może nawet półtorej.

— Myślę, że prezydent już o tym powinien wiedzieć — odparł Goodley głosem, który zdradzał podniecenie i niepokój. A może Foleyowi tylko tak się zdawało.

— Ale powinien wiedzieć więcej, niż w tej chwili jesteśmy w stanie mu powiedzieć — argumentował Foley. — Ben?

— Słucham, dyrektorze?

— Jack nie zabije cię za chwilę czekania, a my i tak nie możemy nic zrobić oprócz przyglądania się. Pamiętaj, że prezydenta nie można przeładowywać informacjami. On teraz nie ma czasu na wszystko. Musi otrzymywać skondensowane i pełne wiadomości. Takie jest twoje zadanie. Pobędziesz tam, gdzie jesteś, parę tygodni, a zrozumiesz. Ja ci zresztą pomogę zrozumieć — dodał dyrektor, przypominając pośrednio, jak krótkim stażem może pochwalić się doktor Ben Goodley.

— Dobrze. Poczekam. — Na drugim końcu linii odłożono słuchawkę.

Przez minutę czytał raz jeszcze wiadomość, kiedy ponownie zadzwonił telefon.

Zgłosił się. — Goodley.

— Doktorze, tu sekretariat prezydenta — powiedziała któraś ze starszych sekretarek. — Na prywatnej linii prezydenta mam pana Gołowko. Czy może pan przyjąć?

— Proszę — odparł. Niech to szlag, pomyślał.

— Proszę mówić — powiedziała sekretarka i zeszła z linii.

— Tu Ben Goodley.

— Tu Gołowko. Kim pan jest?

— Doradcą prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego.

— Goodley? — Gołowko najwidoczniej szukał w pamięci. — A, już wiem, pan jest tym funkcjonariuszem wywiadu, tym który dopiero co zaczął się golić!

Imponujące zagranie. Goodley był pewien, że na biurku Rosjanina leży teczka zawierająca wszystkie informacje na temat nowego doradcy amerykańskiego prezydenta, włącznie z rozmiarem noszonego obuwia, bo pamięć Gołowki nie mogła być tak doskonała. Goodley jest w Białym Domu na tyle długo, że analitycy SWR mieli dość czasu na sporządzenie dossier.

— Gratulacje z okazji awansu — ciągnął Gołowko.

— No cóż, ktoś musi odbierać telefony — odparował Goodley, pokazując, że też potrafi odpowiednio zagrać. — Tak, panie ministrze, ktoś musi. — Gołowko nie był oficjalnie ministrem, ale jego uprawnienia sięgały o wiele dalej niż członka Rady Prezydenckiej. — Czym mogę panu służyć?

— Czy znane są panu szczegóły porozumienia, jakie zawarłem z Jackiem?

— Znane, sir.

— Otóż niech mu pan powie, że rodzi się nowe państwo. Będzie się nazywało Zjednoczoną Republiką Islamską. Chwilowo obejmie Iran i Irak. Podejrzewam, że na tym się nie skończy.

— Jak wiarygodna jest ta informacja, sir? — Lepiej być grzecznutkim. Rosjanin poczuje się wtedy ważniejszy.

— Młody człowieku, nie zawiadamiałbym waszego prezydenta o czymś, czego nie byłbym pewny, ale — dodał łaskawie — rozumiem, że zadanie takiego pytania jest pańskim obowiązkiem. Źródło tej informacji pana nie obchodzi. Wiarygodność źródła jest na tyle niepodważalna, bym zdecydował się przekazać informację waszemu prezydentowi. Ciąg dalszy nastąpi. Czy i pan ma podobne sygnały?

Słyszając takie pytanie Goodley zamarł, wpatrzony w puste miejsce na biurku. Nie miał żadnych instrukcji na wypadek podobnej sytuacji. Owszem, wiedział o tym, że prezydent Ryan omawiał zasady współpracy z Gołowąką, i że dyskutował również w tej sprawie z Edem Foleyem i obaj postanowili ją podjąć. Ale nikt nie powiedział Benowi Goodleyowi, jaki obowiązuje kurs, gdy chodzi o przekazywanie informacji Moskwie. Nie może teraz dzwonić do Langley po instrukcje, bo jeśliby teraz zwlekał, Rosjanin pomyśli, że rozmawia ze słabym partnerem. Był na miejscu i musiał podjąć błyskawiczną decyzję. Cały powyższy proces myślowy trwał jedną trzecią sekundy.

— Tak, panie ministrze, mamy takie sygnały. Pański telefon zbiegł się z rozmową, jaką przed chwilą przeprowadziłem z dyrektorem Foleyem. Ma pan świetne wyczucie czasu.

— Hmm, widzę doktorze Goodley, że wasi ludzie analizujący wiadomości są szybcy jak dawniej. Jaka szkoda, że wasze źródła informacji i siatki nie są na ich poziomie.

Ben nie odważył się odpowiedzieć na tę uwagę, chociaż przeraziła go jej dokładność. Nie było człowieka, którego Ben szanowałby bardziej od Jacka Ryana. I teraz przypomniał sobie szacunek, jaki Jack zawsze okazywał swemu rozmówcy przy telefo-



nie na drugim końcu drutu. Witamy w pierwszej lidze, chłopcze. Żadnych fałszywych podań. Powinien był powiedzieć, że to Foley do niego zadzwonił.

— Panie ministrze, w ciągu najbliższej godziny będę rozmawiał z prezydentem Ryanem i przekażę mu pańską informację. Dziękuję za telefon właśnie w takiej chwili.

— Do widzenia, doktorze Goodley.

Zjednoczona Republika Islamska! — odczytał Ben z kartki, na której to zanotował. Istniała już kiedyś Zjednoczona Republika Arabska, nieprawdopodobny związek Syrii z Egiptem, skazany na niepowodzenie z dwóch powodów: oba kraje nie pasowały do siebie z powodu istotnych sprzeczności interesów, a po drugie, związek powstał tylko w celu zniszczenia Izraela, który skutecznie przeciwstawił się realizacji tego celu.

Iran nie był państwem arabskim — jakim był Irak — a raczej aryjskim, mającym perskie korzenie etniczne i językowe. Iran wyznawał jedyną wielką religię, która w swoich pismach świętych potępia wszelki rasizm i obwieszcza równość wszystkich ludzi wobec Boga, bez względu na kolor skóry. Zachód często o tym zapomina. Tak więc islam ma być z natury rzeczy siłą jednoczącą, a owo nowe dziwaczne państwo ma ów fakt uwypuklać nazwą. Już to wiele mówiło i Gołowko uważał, że nawet tego nie po-

trzeba wyjaśnić. Podobnie, jak nie musiał mówić, że jest pewny, iż Ryan zdaje sobie z tego wszystkiego sprawę. Goodley raz jeszcze rzucił okiem na swój ścienny zegar. W Moskwie także była noc. Gołwko pracuje do bardzo późna. Ben podniósł słuchawkę i wcisnął ten sam co poprzednio klawisz — trójkę. Zajęło mu niecałą minutę streszczenie rozmowy z Moskwą.

— Możemy wierzyć temu, co on mówi, W każdym razie w tej sprawie — powiedział Foley. — Siergiej Nikołajewicz to zawodowiec. Domyślam się, że trochę cię docisnął, a może i poturbował.

— Zmierzył mi futerko na karku — przyznał Goodley.

— To przyzwyczajenie z dawnych dni. Oni lubią gierki pod hasłem „kto ważniejszy”. Nie przejmuj się tym i nie rewanżuj się. Najlepiej to ignorować — sugerował Foley. — No dobrze, co go martwi?

— Martwią go południowe republiki WNP.

— W pełni się zgadzam — odezwał się inny głos.

— Vasco?

— Tak, Vasco. Właśnie wszedł.

Ben Goodley musiał powtórzyć wszystko, co przed chwilą powiedział Foleyowi. Mary Pat też prawdopodobnie tam była. Każde z nich osobno było bardzo dobre w tym, co robili. Ale razem w jednym gabinecie, wspólnie myśląc, stawali się śmiercionością bronią.

— To mi wygląda na dużą sprawę — podsumował Goodley.

— Też tak uważam — odparł Vasco przez gabinetowy mikrofon u Foleya. — Musimy się trochę rozejrzeć. Zadzwonimy do ciebie za piętnaście, może dwadzieścia minut.

— Uwierzysz, że Avi ben Jakob zapukał do nas? — powiedział Ed, kiedy ustał szum w słuchawce. — Muszą też mieć gorący dzień.

Co za ironia, że Rosjanie pierwsi skontaktowali się z Ameryką, pomyślał Ben. I że w ogóle się skontaktowali. Dzwoniąc ponadto na bezpośredni numer Białego Domu, w obu sprawach uprzedzając Izraelczyków. Zabawne. Ale na krótko. Wszyscy gracze byli świadomi, że sytuacja jest śmiertelnie poważna. Najgorsze przeżywają najprawdopodobniej Izraelczycy. Rosja ma tylko zły dzień. A Amerykę czeka udział w bolesnym doświadczeniu.

\* \* \*

Chociaż byli kryminalistami, nie wolno było odmówić im prawa do modlitwy. Przyszedł do nich uczony mułła, który głosem stanowczym, ale uprzejmym zapoznał ich z oczekującym ich losem, cytował całe święte sury i przedstawił szansę pogodzenia się z Allachem, nim staną przed nim twarzą w twarz. Wszyscy tę szansę akceptowali, a czy wierzyli w to, co robia, to już zupełnie inna sprawa i prawdę znał tylko Allach. Niemniej mułłowie wykonali swój obowiązek. Potem wyprowadzono skazanych na więzienne podwórze.

Cały przebieg wydarzeń przypominał nieco zasady funkcjonowania taśmy produkcyjnej. Czas każdej czynności był ściśle wyliczony. Trzej duchowni pozostawiali skazanym trzykrotność czasu potrzebnego na to, by doprowadzić więźnia do słupka, zastrzelić i usunąć ciało, nim zostanie doprowadzony następny. Wypadało pięć minut na jedną egzekucję i piętnaście na modlitwę.

Dowódca 41. Dywizji Pancерnej był typowym generałem, z tym jednak, że jego religijność należała do szczątkowych. Związano mu ręce jeszcze w celi, w obecności

jego imama — generał przedkładał terminologię arabską nad farsią. Następnie wyprowadzili go żołnierze, którzy jeszcze przed tygodniem salutowali wyprężeni i drżeli na jego widok. Generał pogodził się ze swoim losem i nie miał zamiaru poniżającym zachowaniem sprawiać satysfakcji tym perskim bydlakom, przeciwko którym walczył na bagnistym pograniczu. W duchu przeklinał jednak — kierując owe przekleństwa na ręce Allacha — swych tchórzliwych przełożonych, że jemu wyznaczyli rolę kozła ofiarnego. Gdy przykuwano go kajdankami do słupa, pomyślał, że to może on powinien był zabić prezydenta i ogłosić się dyktatorem. Zerknął na mur za słupkiem, by zobaczyć, jak strzelają żołnierze plutonu egzekucyjnego. Niemal z humorem, wisielczym co prawda, pomyślał, że być może umierać będzie o kilka sekund dłużej. Prychnął ze złością. Wojskowe wykształcenie odebrał w Rosji, był kompetentnym oficerem. Zawsze starał się być dobrym żołnierzem, nie mieszał się do polityki, posłusznie wypełniał wszystkie rozkazy — bez względu na to, jakie — i może dlatego polityczne kierownictwo kraju nigdy w pełni mu nie ufało. I teraz spotyka go taka nagroda za wierną służbę!

Podszedł kapitan, niosąc opaskę na oczy.

— Proszę o papierosa — powiedział generał. — A opaskę niech pan sam sobie założy na noc.

Kapitan tylko skinął głową, nie zmieniając wyrazu twarzy. Był całkowicie otepiąły po dziesięciu egzekucjach w ciągu minionej godziny. Wytrząsnął z paczki papierosa, włożył generałowi do ust i zapalił. Dopiero wtedy wypowiedział słowa, które uważał, że musi wypowiedzieć:

— *Salaam alejkum!* Niech zagości w tobie pokój.

— Więcej pokoju zagości we mnie niż w tobie, młody człowieku — odparł generał. — Czyń swą powinność. Sprawdź, czy masz załadowany pistolet. — Generał zamknął oczy na jedno długie, wspaniałe zaciągnięcie się dymem. Zaledwie przed paroma dniami lekarz ostrzegł go przed paleniem przy jego stanie zdrowia. Dobry żart! Myślałmi przebiegał lata swej kariery wojskowej. Cud, że jeszcze żyje po tym, co Amerykanie zrobili z jego dywizją w 1991 roku. Ileż to już razy uniknął cudem śmierci. Wyścig z nią można przedłużać, ale nigdy wygrać. Tak jest zapisane. Święta prawda. Pociągnął jeszcze raz. Amerykański Winston. Rozpoznał smak. Jak zwykłemu kapitanowi udało się zdobyć całą paczkę? Żołnierze podnieśli broń na komendę „cel”. Na ich twarzach

malowała się absolutna obojętność. Oto co zabijanie robi z ludzi. To, co jest rzekomo okrutne i okropne, staje się zwykłą. . .

Kapitan podszedł do ciała zwisającego na nylonowej lince oplątującej kajdanki. Znowu to samo. Wyciągnął Browninga 9 mm i strzelił z odległości metra. Ucichły jęki. Dwaj żołnierze odcięli linkę i odciągnęli zwłoki na bok. Trzeci żołnierz założył nową linkę na słup. Czwarty grabiami przeczesał ziemię dokoła słupa. Nie chodziło o ukrycie śladów krwi, ale o zmieszanie jej z ziemią, bo na plamie krwi można się poślizgnąć. Następnym miał być polityk, a nie żołnierz. Żołnierze w większości umierali z godnością, tak jak ten ostatni. Ale nie cywile. Cywile skomleli i szlochali, wzywając na pomoc Allacha. I zawsze chcieli mieć związane oczy. Dla kapitana wszystko to było bardzo pouczające. Nigdy jeszcze nie uczestniczył w czymś podobnym.

\* \* \*

Przygotowanie wszystkiego zajęło kilka dni, ale teraz byli już rozlokowani w osobnych domach w różnych częściach miasta. Żadna z rodzin nie miała wielu ochroniarzy. Najwyżej dwóch. Cóż mogliby oni poradzić? Najwyżej odganiać żebraków, gdyby

rodzina szła ulicą. Często się spotykali — każdemu z generałów przydzielono samochód — głównie w celu załatwienia reszty spraw związanych z wyjazdem. Sprzecali się również, czy powinni kontynuować razem podróż do nowego wspólnego miejsca pobytu, czy też rozjechać się we wszystkie strony. Jedni twierdzili, że byłoby bezpieczniej i oszczędniej wspólnie kupić gdzieś wielką połąć ziemi i zacząć na niej budować. Inni jasno stawiali sprawę, że skoro udało im się opuścić Irak i nigdy nie zamierzają do niego powrócić (tylko dwóch miało złudzenia, że powrócą jako bohaterowie, by przejąć władzę — ale to była czysta fantazja i wszyscy z wyjątkiem tych dwóch zdawali sobie z tego sprawę), to największym dla nich szczęściem będzie zapomnieć o niektórych towarzyszach broni. Już od dawna drobne rywalizacje pomiędzy poszczególnymi generałami ukrywały głęboką antypatię, której nowe okoliczności bynajmniej nie załagodziły. Najbiedniejsi z generałów zebrali fortuny nie mniejsze niż czterdzieści milionów dolarów, a jeden zdołał umieścić na szwajcarskich kontach grubo ponad trzysta — co stanowi sumę większą, niż potrzeba, by żyć w luksusie gdziekolwiek na świecie. Większość wybrała Szwajcarię, która wciąż była cichą przystanią dla ludzi bogatych i poszukujących spokojnego życia. Kilku zerkało dalej na wschód. Sułtan Brunei poszukiwał



oficerów, którzy zreorganizowaliby mu armię, i trzech generałów postanowiło zgłosić swoje kandydatury. Sudański rząd natomiast rozpoczął nieformalne rozmowy z paroma generałami w celu ewentualnego zatrudnienia ich w charakterze doradców w obliczu rozpoczętej ofensywy przeciwko animistycznej mniejszości na południu kraju.

Ale generałowie mieli poważniejszy problem niż ich osobista przyszłość. Wszyscy uciekli z Iraku z rodzinami. Wielu także z kochankami, które teraz mieszkały w domach swoich patronów, ignorowane przez sfrustrowane rodziny. Ale to miało się zmienić.

Sudan to kraina pustynna, gdzie suchy żar z nieba pali skórę. Niegdyś był to protektorat brytyjski. W stolicy kraju jest szpital dla cudzoziemców. Posiada spory angielski personel. Nie jest to najlepszy szpital, ale lepszy niż większość w Afryce saharyjskiej. Personel medyczny stanowią głównie młodzi i raczej idealistycznie myślący lekarze, którzy przybyli z głowami pełnymi romantycznych koncepcji na temat Afryki i ich własnych karier (powtarza się to już od ponad stu lat). Z czasem lekarze poznają prawdę, ale nie opuszczają rąk i w większości są bardzo kompetentni.

Dwaj nowi pacjenci przybyli w odstępie niespełna godziny. Najpierw dziewczynka w towarzystwie zaniepokojonej matki. Dziewczynka miała cztery lata i, jak usłyszał

doktor Ian MacGregor, w zasadzie nie chorowała. Owszem, miała objawy lekkiej astmy, ale to — jak słusznie zauważyła matka — nie powinno stanowić problemu w Chartumie z jego wiecznie suchym powietrzem. Skąd przybyli? Z Iraku? Doktora nie obchodziła polityka i niewiele o niej wiedział. Miał dwadzieścia osiem lat i nowiutki dyplom internisty. Niedużego wzrostu, z przedwcześnie przerzedzonymi jasnymi włosami. Ważne w tym wypadku było to, że nie czytał biuletynu dotyczącego Iraku i informacji o poważnej chorobie zakaźnej. Personel szpitalny został poinformowany o pojawieniu się ebola w Zairze, ale były to tylko pojedyncze wypadki.

Mała pacjentka miała temperaturę 38 stopni. Nie była to alarmująca gorączka w przypadku dziecka, zwłaszcza w kraju, gdzie tyle właśnie wynosiła temperatura w południe. Tętno, ciśnienie i oddech w normie. Dziecko było osowiałe. Od jak dawna jesteście w Chartumie? Zaledwie od paru dni? Samolotem? Może to zbyt szybka zmiana strefy klimatycznej i czasowej? Są ludzie bardziej na to uczuleni i mniej, wyjaśnił MacGregor. Nowe środowisko mogło dziecko czasowo pozbawić dobrego samopoczucia. Może lekkie przeziębienie, jakaś grypa...? Nic poważnego. Sudan ma gorący klimat, ale w zasadzie zdrowy, może mi pani wierzyć! Zdrowszy niż inne kraje afrykańskie.

MacGregor naciągnął na dłonie gumowe rękawiczki nie z konkretnej potrzeby, ale wbił to mu w głowę na wydziale medycyny uniwersytetu w Edynburgu, że trzeba to robić zawsze, bo kiedy ten jeden raz nie zrobi się, to można skończyć tak, jak skończył doktor Sinclair. . . Ooo, nie słyszeli państwo, jak od pacjenta zaraził się AIDS? Jedna taka opowieść w zasadzie wystarczała. Teraz ta mała pacjentka nie wydawała się bardzo cierpiąca. Oczy troszkę spuchnięte, lekkie zaczerwienienie gardła, ale nic poważnego. Parę nocy dobrego snu i będzie po wszystkim. Nie widzę potrzeby przepisywania żadnych lekarstw. Może tylko aspiryna na gorączkę? Jeśli problem nie zniknie, proszę przyjść ponownie. Śliczne dziecko. Jestem pewien, że wszystko będzie w porządku. Matka zabrała córkę. Doktor uznał, że najwyższy czas na filiżankę herbaty. Ściągnął lateksowe rękawice, które ocaliły mu życie, i wyrzucił do skrzyni szpitalnych odpadów.

Drugi pacjent pojawił się po pół godzinie. Mężczyzna lat trzydzieści trzy, sprawiający wrażenie rzezimieszka, ponury i nieufny wobec afrykańskiego personelu, lecz nadzwyczaj uprzejmy wobec Europejczyków. Człowiek najwyraźniej zna Afrykę, pomyślał MacGregor. Może to jakiś arabski biznesmen? Wiele pan podróżuje? Ostatnio? Więc to chyba to. Musi pan być zawsze bardzo ostrożny, jaką pije pan wodę. To właśnie mo-

że tłumaczyć pańskie dolegliwości żołądkowe. Drugi pacjent także powrócił do domu z flakonikiem aspiryny oraz sprzedawanymi bez recepty pastylkami na rozwolnienie.

Po rutynowym dniu MacGregor przekazał dyżur koledze.

\* \* \*

— Panie prezydencie, Ben Goodley na *STU* — zawiadomiła Ryana stewardesa, w nomenklaturze wojskowej: sierżant-steward Sił Powietrznych. Następnie pokazała, jak działają pokładowe aparaty.

— Słucham, Ben?

— Otrzymaliśmy wiadomość, że iracki establishment idzie pod ścianę. Faksuję panu cały materiał, panie prezydencie. Rosjanie i Izraelczycy potwierdzają. — Jakby na dany mu znak wszedł podoficer i podał Ryanowi trzy kartki oznaczone stemplem TYLKO DO WIADOMOŚCI PREZYDENTA, chociaż tekst czytało już paru techników i operatorów, na razie tylko w samolocie, który właśnie zaczął podchodzić do lądowania w bazie Tinker.

— Poczekaj, Ben, niech przeczytam. — Ryan nie śpieszył się. Najpierw przeleciał cały tekst wzrokiem, a potem czytał wiersz po wierszu. — I kto się ostał?

— Vasco mówi, że nikt, kto by się liczył. Poszło całe kierownictwo partii Baas i wszyscy pozostali wyżsi oficerowie armii. Nie ma już nikogo z tych, którzy się liczyli. A teraz to, co wywołuje dreszcze... Mamy to z Palmy i...

— Kto to jest major Sabah?

— Sam to sprawdziłem, sir. Kuwejcki oficer wywiadu. Nasi ludzie mówią, że jest zręczny i szybko reaguje. Vasco zgadza się z jego oceną. Wszystko rozwija się tak, jak się obawialiśmy. I rozwija się cholernie szybko.

— Reakcja Saudyjczyków? — Ryan podskoczył w fotelu. VC-25A przebijał się przez warstwę chmur. Na ziemi chyba padało.

— Dotychczas żadnej. Nadal omawiają problem.

— No cóż. Poczekamy. Dziękuję za informacje. Bądź w kontakcie.

— Tak jest, panie prezydencie.

Prezydent odłożył słuchawkę i zmarszczył brwi.

— Kłopoty? — spytał Arnie.

— Irak. Sytuacja szybko się zmienia. W tej chwili odbywają się masowe egzekucje. — Ryan oddał Arniemu otrzymany faks.

Jak zwykle towarzyszyła temu pewna aura nierzeczywistości. Raport Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, uzupełniony i przerobiony przez CIA i inne agencje rządowe, podawał listę nazwisk. Gdyby Ryan znajdował się w swoim gabinecie, oprócz listy miałyby fotografie ludzi, których nigdy nie spotkał i nie spotka, ponieważ w czasie, kiedy samolot schodził do lądowania w Oklahomie, gdzie prezydent miał wygłosić przemówienie, ludzie ze zdjęć dokonywali albo już dokonali żywota. Czytanie listy to zupełnie jak słuchanie przez radio transmisji z meczu futbolowego, tyle że w tej rozgrywce ludzie tracili życie. Ale rzeczywistość wydawała się nierzeczywista, gdy chodziło o istoty ludzkie o dziesięć tysięcy kilometrów od Oklahomy, a Ryan dowiadywał się o wszystkim z nasłuchów radiowych, dokonywanych z odległości jeszcze większej, a następnie pośrednio mu przekazywanych. Mało realna rzeczywistość. Czyniła to przede wszystkim odległość, a następnie miejsce, w jakim w tej chwili Ryan się znajdował. Stu przywódców politycznych rozstrzelanych! Zje pan kanapkę przed opuszczeniem samolotu? Jednym tchem. Taki dualizm czy rozszczepienie mogłyby być nawet zabawne, gdyby

nie chodziło o konsekwencje w dziedzinie polityki zagranicznej. Nie, też nie byłoby zabawne. W tym odległym ludzkim dramacie nie ma nic zabawnego.

— O czym tak rozmyślasz? — spytał van Damm.

— Powiniennem przerwać turę i wrócić. Powiniennem być w Gabinetcie Owalnym. Sytuacja jest poważna i powiniennem trzymać rękę na pulsie.

— Źle rozumujesz! — odparł Arnie, kręcąc głową i podkreślając słowa wyciągniętym palcem. — Już nie jesteś prezydenckim doradcą do spraw bezpieczeństwa narodowego. Masz od tego ludzi. Jesteś prezydentem z ogromem wyjątkowo ważnych obowiązków. Prezydent nigdy nie koncentruje się na jednej sprawie i nigdy nie daje się uwiązać w Gabinetcie Owalnym. Ludzie to zauważą, a ludzie tego nie lubią, bo w ich pojęciu oznacza to, że nie prezydent panuje nad sytuacją, lecz sytuacja nad nim. Spytaj Jimmy’ego Cartera, jak mu wspaniale poszła druga kadencja. To było właśnie to. A poza tym Irak nie jest znowu tak ważny.

— Może stać się bardzo ważny, a sytuacja groźna w skali globalnej — zaprotestował Jack, gdy maszyna kołami dotknęła pasa.

— Bardzo ważna jest teraz tylko jedna rzecz. Twoje przemówienie w „Stanie Soone-ra” — odparł szef personelu. — Miłosierdzie zaczyna się na progu własnego domu. Ale nie tylko o to chodzi. Liczy się polityczna skuteczność. Masz być politycznie skuteczny tu, w Oklahomie. Spójrz przez okno, właśnie przed nami przemyka.

Samolot zwalniał, by się wreszcie zatrzymać. Ryan spojrział przez okno, ale przed oczami miał ogniste litery składające się na słowa: Zjednoczona Republika Islamska.

\* \* \*

Niegdyś było bardzo trudno przekroczyć granice Związku Radzieckiego. W strukturach KGB istniał potężny Główny Zarząd Wojsk Ochrony Pogranicza. Oprócz tysięcy żołnierzy granice zabezpieczała *Sistiema* — pas zasieków, pól minowych i umocnień okalający cały Kraj Rad. Jednakże wszystkie te zabezpieczenia, od dawna nie konserwowane i nie naprawiane, przestały przed czymkolwiek zabezpieczać, głównym zaś zajęciem nowego pokolenia pograniczników na punktach kontrolnych było zbieranie łapówek od przemytników, którzy pojawiali się z wielkimi ciężarówkami wyładowanymi towarami dla ogarniętych szaleń konsumpcji obywateli byłego imperium. Teraz



imperium było rozbite. Rozpadło się na wiele teoretycznie niepodległych republik, które w większości znalazły się ekonomicznie na własnym garnuszku, a co za tym idzie otrzymały względną samodzielność polityczną. Plan Stalina tego nie przewidywał. Kiedy Stalin ustanowił zasadę centralnego planowania, świadomie porozmieszczał różne gałęzie produkcji w odległych od siebie miejscach, aby wszyscy mieszkańcy imperium zależeli od wszystkich. Nie przyszło mu jednak na myśl, że misterna konstrukcja może runąć, gdy runą struktury państwa i, skoro to, czego się potrzebuje, jest niedostępne w dotychczasowym źródle, ludzie zaczną szukać nowych źródeł. Szmugiel, który podczas rządów komunistycznych był prawie niemożliwy, teraz rozkwitł, stając się narodowym przemysłem. A wraz z towarami napływały idee, których nie można było zatrzymać na granicy ani obłożyć cłem.

Na punkcie granicznym brakowało tylko jednego — komitetu powitalnego. Bo i po co? Przełożeni celników i wopistów otrzymywali swoje dole. Funkcjonariusze graniczni lojalnie się z nimi dzielili opłatami, pobieranymi za prawo przemytu. Wszystko odbyło się więc bardzo składnie. Emisariusz nie musiał opuszczać szoferki. Wszystkim zajął się kierowca, idąc na tył wozu, a po otwarciu klapy oferując funkcjonariuszom wybór

towaru. Nie byli zbyt chciwi. Z zasady nie brali więcej, niż mogli wywieźć w bagażnikach własnych samochodów. Wszystko odbyło się właściwie jawnie (z wyjątkiem tego, że dla zachowania pozorów operacja odbywała się w nocy). Na dokumentach przewozowych zostały przyłożone pieczęcie i ciężarówka mogła przejechać przez granicę.

Jazda trwała nieco ponad godzinę. Po wjeździe do sporego miasta, niegdyś karawan-seraju, kierowca zatrzymał wóz, a emisariusz zabrał niewielką torbę ze zmianą bielizny i przesiadł się do stojącego pod murem osobowego samochodu, którym miał kontynuować podróż.

Premier tej republiki twierdził, że jest muzułmaninem, choć w rzeczywistości był tylko oportunistą, byłym wyższym funkcjonariuszem KPZR, który w swoim czasie porzucił Allacha, aby ułatwić sobie polityczną karierę, a następnie, gdy powiały inne wiatry, zaczął się żarliwie modlić publicznie, choć w czterech ścianach okazywał absolutną obojętność. Jego wiara, jeśli tak można to nazwać, była wyłącznie wiarą w wartość dóbr doczesnych. W Koranie jest wiele wersetów dotyczących takich ludzi, żaden z nich nie jest pochwalny. Prezydent prowadził wygodne życie w luksusowym pałacyku, będącym niegdyś siedzibą partyjnego bonzy ówczesnej sowieckiej republiki. W tej oficjalnej re-

zydencji prezydent pił, spólkował i rządził — raz z nadmierną surowością, raz zbyt łagodnie. Nazbyt zapalczywie kontrolował lokalną gospodarkę (wyszkolony w komunizmie pozostał ekonomicznym nieukiem), nadto lekkomyślnie pozwalał kwitnąć islamowi, aby — jak mu się wydawało — dać ludziom złudzenie wolności. Dowodziło to całkowitego niezrozumienia islamskiej wiary, którą rzekomo sam wyznawał, prawo koraniczne bowiem dotyczy zarówno spraw ziemskich jak i duchowych. Podobnie jak wszyscy prezydenci przed nim, był przekonany, że lud go kocha. Emisariusz, który tu przybył, wiedział, że owo złudzenie jest powszechne wśród głupców. Zgodnie z planem, emisariusz dotarł do skromnego domku przyjaciela miejscowego przywódcy religijnego. Był nim człowiek prostej wiary i głęboko zakorzenionego honoru, uwielbiany przez wszystkich, którzy go znali, a przez nikogo nie znienawidzony, ponieważ w każdej sprawie roztropnie się wypowiadał, a gniew, który z rzadka okazywał, wynikał z wiary w zasady szanowane nawet przez niewiernych. Miał lat pięćdziesiąt kilka i w przeszłości wiele wycierpiał z rąk przywódców poprzedniego reżimu, co jednak nigdy nie zmniejszyło siły jego przekonań. Doskonale odpowiadał dziełu, które nań czekało, miał też wokół siebie grono wiernych mu ludzi.

Nastąpiły powitania świętym imieniem Boga, po czym podano herbatę, a po herbaty rozpoczęto poważną rozmowę.

— To hańba — zaczął emisariusz — że wierni żyją w takiej biedzie.

— Zawsze tak było, ale teraz przynajmniej możemy bez przeszkód wyznawać naszą wiarę. Ludzie powracają na łono islamu. Meczety są wyremontowane i z dnia na dzień pełniejsze. Czymże są dobra materialne w porównaniu z wiarą? — odparł miejscowy przywódca religijny tonem rozsądnego nauczyciela.

— Prawda — zgodził się emisariusz. — Niemniej Allach chce, by jego wiernym powodziło się dobrze, czy nie tak?

Wszyscy się z tym zgodzili. Obecni w pomieszczeniu byli ludźmi biegłymi w Koranie, a poza tym, kto przedkładałby biedę nad zamożność?

— Wierni przede wszystkim potrzebują szkół. Właściwych szkół — odparł przywódca religijny. — Potrzebujemy też lepszej opieki lekarskiej. Dość mam już pocieszenia rodziców zmarłego dziecka, które mogłoby żyć. Potrzebujemy wielu rzeczy. Temu nie zaprzeczam.

— To wszystko można załatwić... Jeśli są pieniądze — stwierdził emisariusz.

— Ta ziemia zawsze była biedna. Są bogactwa naturalne, ale nie były właściwie eksploatowane, a teraz straciliśmy wsparcie Moskwy. I to właśnie wtedy, kiedy uzyskaliśmy wolność, która pozwala nam kierować naszym przeznaczeniem. I właśnie teraz ten nasz głupiec premier zapija się w swoim pałacu i zabawia z kobietami. Gdyby był człowiekiem sprawiedliwym i wiernym swojej wierze, być może udałoby się nam zaprowadzić dostatek na tej ziemi — zauważył na końcu, bardziej ze smutkiem niż w złości.

— To, co mówisz, oraz nieco zagranicznego kapitału — wtrącił skromnie jeden z bardziej ekonomicznie uświadomionych członków orszaku świętego męża. Islam nigdy nie miał żadnych zastrzeżeń co do działalności handlowej. Chociaż Zachód uznaje go za religię walczącą mieczem, to w średniowieczu islam parł na wschód na kupieckich statkach i szerzył wiarę słowem, podobnie jak czynili to niegdyś chrześcijanie.

— W Teheranie uważa się, że nadszedł czas, by wierni poczęli działać zgodnie z nakazami Proroka. Popełniliśmy błąd wspólny wszystkim niewiernym, karmiąc narodową chciwość, miast karmić ludzi i dbać o zaspokojenie ich potrzeb. Mój nauczyciel, Mahmud Hadzi Darjaei, głosi potrzebę powrotu do fundamentalnych zasad naszej wiary —

wyjaśniał emisariusz, sącząc małymi łyżkami herbatę. Mówił także spokojnym tonem nauczyciela. Oratorstwo zachowywał na publiczne forum. W zamkniętym pokoju, siedząc z mężczyznami nie mniej uczonymi od siebie, stosował metodę spokojnego rozsądku. — Mamy bogactwa naturalne. Tylko Allah mógł nas nimi obdarzyć według Jemu znanego planu. A teraz obdarzył nas odpowiednią chwilą. Wy w tym pokoju zachowaliście wiarę i, mimo prześladowań, trwaliście przy Słowie Bożym, podczas gdy inni bogacili się. Jest teraz naszym obowiązkiem wynagrodzić was za to, powitać was w naszym gronie, dzielić z wami nasze bogactwo.

— Miłe są to słowa — usłyszał ostrożną odpowiedź. Ten, który te słowa wypowiedział, był sługą bożym, co wcale nie oznaczało naiwności. Z wielką wprawą ukrywał zawsze swoje myśli, a nauczyło go tego życie w systemie komunistycznym. Niemniej jasne było, jakim torem biegną.

— W naszych zamiarach leży zgromadzić wszystkich wyznawców Allacha pod jednym dachem — ciągnął emisariusz. — Tak jak tego pragnął wielki Prorok Mahomet, niech mu towarzyszą nasze błogosławieństwa i święty pokój. Dzieli nas miejsce za-

mieszkania, różni język, a często i kolor skóry, ale w naszej wierze jesteśmy jednacy. Jesteśmy wybrańcami Allacha.

— I jaki z tego płynie wniosek?

— Wniosek oczywisty: chcemy, aby wasza republika połączyła się z naszą. Będziemy działać w jedności. Wasi ludzie otrzymają od nas szkoły i opiekę lekarską. Pomożemy wam rządzić waszą ziemią. I będziemy braćmi, tak jak chce tego Allah.

Postronny obserwator z Zachodu mógłby uczynić uwagę, że wszyscy zebrani w pomieszczeniu wydają się być ludźmi prostymi. Takie wrażenie można było odnieść, widząc ich bardzo skromny ubiór, słysząc ich sposób wyrażania się lub po prostu dlatego, że siedzieli na ziemi. W rzeczywistości byli to ludzie roztropni i to, co zaproponował gość z Iranu, zaskoczyło ich niepomernie, niemniej niż zaskoczyłoby poselstwo z innej planety. Istniały olbrzymie różnice między mieszkańcami Iranu a ich republiki. Tak naprawdę to nic ich nie łączyło z wyjątkiem jednego. Mogłoby to być przypadkowe, tyle że prawdziwi wyznawcy Proroka nie wierzyli w przypadki. Kiedy Rosja, najpierw za carów, a następnie w okresie panowania marksizmu-leninizmu, podbiła ich kraje, odarła je, z czego mogła. Z ich własnej kultury. Ze spadku historii, ze wszystkiego

z wyjątkiem języka i wiary, które pozostawiono im na otarcie łez. Przez kilka pokoleń ten wyłom w podporządkowaniu sobie podbitych ziem określano eufemizmem „zagadnienia narodowościowe”. Próbowano nawet wprowadzać laickie szkolnictwo. W ostatecznym rozrachunku jedyną siłą jednoczącą pozostała religia, której, mimo wszelkich starań, nie udało się całkowicie zdławić. I teraz myśleli, że to dobrze, iż przynajmniej tyle ocalili. Wiary nie można całkowicie wytrzebić, a wszelkie tego próby czynią ludzi prawdziwie religijnych jeszcze silniej wierzącymi i gotowymi do poświęceń. A może takie było właśnie zamierzenie samego Allacha, który chciał wszystkim udowodnić, że jedynym ratunkiem może być tylko Prawdziwa Wiara? I teraz wieść o tym dotarła do przywódców duchownych, którzy przez cały czas trzymali wysoko zapalony kaganek prawdziwej wiedzy. Emisariusz doskonale wiedział, że wszyscy obecni w tym pokoleju o tym właśnie myślą. Zastanawiają się, czy to przypadkiem nie sam Allach każe odrzucić wszystko, co ich dzieliło, by połączyć siły, tak jak On sobie tego życzył. Miłość bliźniego jest jedną ze świętych prawd islamu, ale, niestety, długo była prawdą zapomnianą przez tych, którzy mienili się nosicielami słowa bożego. Związek Radziecki zdechł, jego spadkobierca jest kaleki i mieszkające na rubieżach niekochane dzieci



Moskwy zostały pozostawione samym sobie, rządzone przez namiastkę tego, co dawno minęło. I wszyscy zadawali sobie pytanie: czymże jest przedstawiona przez obcego propozycja, jeśli nie objawieniem? Sygnałem od samego Allacha.

Muszą zrobić tylko jedno: pozbyć się niewiernego, który mienił się ich premierem. Niech Allach go osądzi ich rękami.

\* \* \*

...i chociaż nie podobało mi się, jak w październiku potraktowaliście chłopaków z Bostonu — powiedział z uśmiechem Ryan do członków mistrzowskiej drużyny futbolowej NCAA z Uniwersytetu Oklahoma w Norman — muszę przyznać, że wasze dążenie do perfekcji jest częścią amerykańskiego ducha. — Czym wcale nie radował się Uniwersytet Florydy, który podczas ostatnich mistrzostw Orange Bowl zakończył grę z wynikiem 10:35.

Widownia i tym razem klaskała. Jack był tak uszczęśliwiony, że niemal zapomniał, iż to nie on napisał przemówienie. Pomachał prawą ręką, tym razem bez oporów, co wyraźnie pokazały kamery telewizji C-SPAN.

— Szybko się uczy — zauważył Ed Kealty. W takich sprawach był obiektywny. Jego publiczny wizerunek to sprawa osobna. Politycy są realistami, w każdym razie w sensie taktycznym.

— Ma świetnego korepetytora — przypomniał Kealty’emu jego szef sztabu. — Nie ma lepszego niż Arnie, a nasza wstępna zagrywka zaniepokoiła ich, Ed. I van Damm szybciotko wyjaśnił Ryanowi co jest grane. I chyba w ostrych słowach.

Nie musiał dodawać, że „gra” wiele nie przyniosła. Gazety opublikowały pierwsze wstępniaki, ale potem trochę pomyślały i zrobiły w tył zwrot. Nie na swoich szpaltach, prasa bowiem rzadko przyznaje się do błędu, ale poprzez tonację informacji wychodzących z Pokoju Prasowego Białego Domu. Nie znaczy to, że zaczęto chwalić Ryana, ale przestano używać politycznie morderczych określeń w rodzaju: „niepewny siebie”, „zagubiony”, „niezorganizowany” i tym podobnych. Żaden Biały Dom, w którym urzęduje Arnie van Damm, nie może być zdeorganizowany i waszyngtoński establishment doskonale o tym wiedział.

Nominacje gabinetowe Ryana trochę pogmatwały sytuację, ale okazało się, że nowi sekretarze podejmują właściwe kroki. Adler był jeszcze jednym z kręgu wtajemni-

czonych, który sam utorował sobie ścieżkę na wysokie stanowisko. Jeszcze jako młody urzędnik karmił dobrymi kąskami zbyt wielu komentatorów areny międzynarodowej — a czynił to przez lata — by teraz mieli obrócić się przeciwko niemu. I zawsze wykorzystywał każdą szansę, by wychwalać profesjonalizm Ryana na polu stosunków międzynarodowych. George Winston był wzięty z zewnątrz. Plutokrata, jak mawiano. Na biurku miał notes z numerami telefonów wszystkich redaktorów naczelnych pism i działów finansowo-ekonomicznych od Berlina do Tokio i często prosił o ich opinie oraz rady mogące mu pomóc w porządkowaniu własnego gospodarstwa. Najbardziej zaskakujący był Tony Bretano, któremu powierzono pieczę nad Pentagonem. Przez ostatnie dziesięć lat był w ogóle poza kręgiem wtajemniczonych. Teraz obiecał dziennikarzom piszącym o problemach obrony, że albo wymiecie świątynię, albo umrze usiłując to zrobić. I powiedział im, że mieli rację, iż Pentagon marnotrawi pieniądze, tak jak zawsze twierdzili, ale on przy poparciu prezydenta robi, co leży w ludzkiej mocy, by oczyścić z korupcji cały system zakupów wojskowych. Raz na zawsze. Dla niektórych nowi sekretarze stanowili mało sympatyczną gromadkę. Mimo iż nie należeli do waszyngtońskiej kliki politycznej, potrafili oczarować prasę i czynili to w elegancki sposób,

dyskretnie, w przedśionkach władzy. A co najgorsze, redakcyjny szpicel Kealty'ego zawiadomił, że „Washington Post” przygotowuje wieloodcinkowy artykuł o działalności Ryana w CIA, i że będzie to tekst niemal kanonizujący osobę byłego zastępcy dyrektora tej instytucji, pióra samego Boba Holtzmana. Holtzman był kwintesencją prasowego członka establishmentu i z niewiadomych powodów lubił Ryana osobiście, a gdzieś tam miał doskonałe źródło informacji na jego temat. Jeśli „Washington Post” zacznie to drukować i jeśli podchwyci to prasa we wszystkich stanach — obie rzeczy możliwe, gdyż podbudowałyby to jeszcze bardziej prestiż „Postu” i Holtzmana — to wówczas prasa zachowa ostrożny dystans od Kealty'ego i w komentarzach redakcyjnych pojawią się rady, by dla dobra kraju wycofał swoje roszczenia. Kealty straci oręż i jego polityczna kariera dobiegnie bardziej hańbiącego końca, niż to, co był zmuszony niedawno akceptować. Historycy, którzy byliby gotowi zamknąć oczy na jego osobiste przywary, z pewnością skoncentrowaliby się na nadmiernych ambicjach i miast widzieć w tym drobną wadę, zaczęliby szukać przejawów chorobliwych przerostów ambicji w całej jego karierze. Kealty znalazł się w sytuacji człowieka spoglądającego już nie w głąb wykopanego mu grobu, ale w otchłań, na której dnie czyha potępienie.

— Zapomniałeś o Callie — mruknął Ed.

— Nawet ostatnia niezdara uzbrojona w taki tekst może zabłysnąć — zgodził się szef sztabu. I w tym kryło się największe niebezpieczeństwo. Wystarczało, by Ryan sprawiał wrażenie, że jest kimś, obojętnie czy nim był, czy nie. A przecież nie był!

— Nigdy nie twierdziłem, że Ryan jest głupi — przyznał Kealty. Musi zdobyć się na obiektywizm. To już nie jest gra. To jest walka na śmierć i życie.

— Trzeba to zrobić szybko, Ed.

— Wiem — odparł Kealty. Ale wiedział również, że do ustrzelenia przeciwnika potrzeba mu sprawniejszej broni. Ciekawa myśl, jak na człowieka, który przez całe swoje polityczne życie był zwolennikiem ograniczenia prawa do posiadania broni.

## 25 — Rozkwitanie

Fermę kupił wraz ze stodołą, która służyła teraz jako garaż. Ernie Brown pracował w budownictwie i dobrze zarabiał, najpierw pod koniec lat siedemdziesiątych jako hydraulik (był członkiem związku i płacono mu według stawek związkowych), a potem na swoim — w latach osiemdziesiątych założył przedsiębiorstwo budowlane, aby uszczknąć coś z doskonałych interesów, jakie w tym czasie można było robić w Kalifornii. Chociaż dwa rozwody nadszarpięły jego majątek, sprzedał korzystnie swoje przedsiębiorstwo, trafiając na odpowiednią chwilę, wziął pieniądze i kupił spory kawałek ziemi w okolicy, która nie była jeszcze na tyle modna, by cena nieruchomości wzrosła, pod-

bijana przez typków z Hollywood. Udało mu się nabyć całe 25 hektarów absolutnej prywatności. Właściwie to prywatności miał więcej, gdyż o tej porze roku sąsiednie rancza były puste, pastwiska zamrożone, a spędzone do zagród bydło zjadało paszę z silosów. Można było jeździć tam i z powrotem przez kilka dni i nie napotkać drugiego samochodu na drodze, tak w każdym razie mówiono w Krainie Wielkiego Nieba. Oczywiście, nie licząc autobusów szkolnych, zastrzegali miejscowi.

W cenie rancza uwzględniona była nie tylko stodoła, ale i pięcotonowa ciężarówka z silnikiem diesla, a do niego zakopana przy stodole cysterna na sześć tysięcy litrów. Rodzina, która sprzedała ranczo z budynkiem mieszkalnym, ze stodołą, ciężarówką i cysterną obcemu przybyszowi z Kalifornii, nie miała pojęcia, że przepisuje tytuł własności na wytwórnę bomb. Pierwszym zadaniem Erniego i Pete'a było uruchomienie starej ciężarówki. Udało im się to w czterdzieści minut. Nie dlatego, że chodziło tylko o wymianę starego akumulatora na nowy, ale po prostu Pete Holbrook był utalentowanym mechanikiem. Silnik wozu zaryczał więc nowym życiem i wyraźnie okazywał ochotę pozostania wśród żywych. Samochód nie był zarejestrowany i nie miał tablic, co było bliskie regule w tej krainie olbrzymich posiadłości ziemskich i nikt im nie przesko-

dził spokojnie dojechać do magazynu zaopatrzenia farm, sześćdziesiąt kilometrów na północ.

Przybycie ciężarówki było dla magazynu zwiastunem wiosny. Trudno sobie coś lepszego wymarzyć. Zbliżała się pora zasiewów (w okolicy było sporo ferm zbożowych — pszenica), no i zajeżdża pierwszy poważny klient i od razu kupuje całą górę nawozu azotowego dopiero co przywiezionego z hurtowni w Helenie. Ernie i Pete kupili cztery tony — ilość nie wzbudzającą podejrzeń — które napędzany propanem wózek widłowy ułożył na pace ciężarówki. Klienci zapłacili gotówką, uścisnęli dłoń sprzedawcy i odjechali z uśmiechem.

— Czeka nas kawał roboty — powiedział Holbrook w połowie drogi do rancza.

— Święta racja. I sami będziemy musieli ją odwalić. A może chcesz ściągnąć kogoś do pomocy, kto może okazać się donosicielem? — zapytał Brown i odwrócił głowę.

— Co racja to racja — odparł Pete, gdy w przeciwnym kierunku przemknął wóz policji stanowej. Policjant nawet nie zerknął w ich kierunku, ale obaj kompani w szoferce aż się spocili ze strachu.



Brown wszystko przekalkulował już z dziesięć razy. — Będzie nam jeszcze potrzebny jeden taki łądunek. Że to, cholera, jest takie ciężkie. — Drugi zakup zamierzali zrobić następnego dnia w składzie nawozów sztucznych pięćdziesiąt kilometrów na południowy zachód od farmy. Tego wieczoru będą to paskudztwo rozładowywać i przenosić do stodoły. Dlaczego na tej cholernej farmie nie ma widłaka? — zastanawiał się Holbrook. Na szczęście dostawca przywiezie i wpompuje do cysterny paliwo, kiedy przyjdzie czas na jego uzupełnienie. To stanowiło pewne pocieszenie.

\* \* \*

Na chińskim wybrzeżu było zimno, co ułatwiło pracę satelitom przesuwającym się nad dwiema bazami morskimi. Obecnie marynarka ChRL nazywała się Służbą Morską Armii Ludowowyzwoleńczej, co było tak jawnym pogwałceniem wszelkich tradycji morskich, że marynarki państw zachodnich ignorowały oficjalną nazwę, używając tradycyjnej. Obrazy zarejestrowane przez satelity trafiły do Narodowego Centrum Sił Zbrojnych w Pentagonie, gdzie oficer dyżurny zapytał swego oficera wywiadu:

— Chińczycy mają jakieś ćwiczenia?

— O niczym takim nie wiem.

Z fotografii wykonanej w podczerwieni wynikało, że dwanaście ustawionych w jednym rzędzie okrętów rozgrzewało silniki, podczas gdy normalną procedurą było czerpanie energii elektrycznej z brzegu. Bliższe oględziny wykazały, że w basenie portowym kręci się sześć holowników. Ekspertem dyżurnym elektronicznego zwiadu był w danej chwili oficer Armii. Zawołał więc oficera Marynarki.

— Przygotowują się do wyjścia w morze — padła oczywista odpowiedź.

— A może to tylko techniczna kontrola sprawności czy coś takiego?

— Nie potrzebowaliby do tego holowników. Kiedy będziemy mieli kolejne zdjęcia? — spytał komandor Marynarki, mając na myśli następny przelot satelity szpiegowskiego.

— Za pięćdziesiąt minut.

— Wtedy z pewnością zobaczycie na zdjęciach kilka okrętów wychodzących z obu baz w morze. Stawiam trzy do jednego, że wybierają się na manewry morskie. — Chwilę się zastanawiał. — A politycznie coś się tam smaży?

— Nic — odparł oficer dyżurny.

— No to manewry. Może ktoś postanowił sprawdzić ich gotowość. — Można by się więcej dowiedzieć z oficjalnego komunikatu Pekinu, ale miało to nastąpić dopiero za pół godziny — w przyszłości, za której rozszyfrowywanie płacono oficerom zwiadu elektronicznego, ale której w danym przypadku nie potrafili przewidzieć.

\* \* \*

Dyrektor ośrodka był człowiekiem religijnym, jak tego należało oczekiwać od kogoś na tak eksponowanym stanowisku. Niegdyś zdolny lekarz, i wciąż zdolny wirusolog, żył jednakże w kraju, gdzie użyteczność ludzi mierzy się ich oddaniem szyickiej odmianie islamu. W wypadku dyrektora nikt nie miał wątpliwości, że tak jest. Modlił się o określonych porach i cała jego praca w laboratorium była od tych pór uzależniona. Tego samego wymagał od swoich podwładnych. Jego oddanie wierze było tak wielkie, że wykraczał poza ścisłe nauki islamu, nie zdając sobie nawet z tego sprawy, a przecież przez cały czas powtarzał sobie, że nigdy nie sprzeniewierzył się Świętemu Słowu Proroka czy Woli Allacha. Jakżeby się odważył? Przecież on tylko pomaga niewiernym powrócić na łono islamu.

Dyrektor był kierownikiem laboratorium, a materiał doświadczalny, czyli więźniowie, tak czy inaczej, byli osobnikami skazanymi na śmierć. Nawet pomniejsi kryminaliści między nimi, złodzieje, czterokrotnie pogwałcili koraniczne prawo. Tak, na pewno zasługują na śmierć, przekonywał siebie. Każdego dnia zawiadamiano ich, że nadchodzi godzina modlitwy. I chociaż klękali, skłaniali głowy i wypowiadali właściwe słowa, łatwo można było stwierdzić, patrząc na telewizyjny monitor, że tylko udają. Uczestniczą w rytuale, ale nie modlą się szczerze, tak jak nakazał Allah. To ich czyniło odszczepieńcami — a odszczepieństwo było przestępstwem zasługującym na karę śmierci. Winni są wszyscy, mimo że tylko jeden wysłuchał prawomocnego wyroku.

Był wyznania Bahai. A wyznawcy Bahai stanowili mniejszość praktycznie już wytępioną. Stanowili sektę, która się ukształtowała już po powstaniu islamu. Chrześcijanie i Żydzi byli przynajmniej wymienieni w Świętej Księdze, choć ich religie są fałszywe. I wyznają tego samego Boga. Boga, którego prorokiem był Mahomet. Bahai pojawili się później, wynajdując coś nowego i fałszywego, co ich degradowało do statusu pogan. Odrzucając Prawdziwą Wiarę, zasłużyli na sprawiedliwy gniew. I właśnie dlatego wypadało, by ten właśnie Bahai pokazał, że eksperyment się powiódł.

Warto odnotować, że więźniowie byli tak oziępli beznadziejnością swojej sytuacji, że początkowo wcale nie reagowali na symptomy choroby. Do ich pomieszczenia weszli sanitariusze — jak zwykle w ochronnych kombinezonach — by pobrać próbki krwi. Jedną z dodatkowych korzyści stanu, w jakim znajdowali się więźniowie, było to, że zbyt załamani i oziępli, nie sprawiali kłopotów. Wszyscy przebywali w więzieniu przynajmniej kilkanaście miesięcy, karmieni byli podle, co też miało wpływ na stan fizyczny, zmniejszając zasoby energii życiowej, poddani dyscyplinie tak surowej, że nie odważali się jej przeciwstawić. Nawet skazani i świadomi tego, co ich czeka, nie lubią przyspieszać procesu umierania. Wszyscy ulegle poddawali się pobieraniu próbek krwi przez zadziwiająco ostrożnych sanitariuszy, którzy każdą fiolkę oznaczali numerem łóżka „pacjenta”.

W laboratorium pod mikroskop pierwsza poszła krew pacjenta nr 3. Test na obecność przeciwciał nie był do końca pewny, a sprawa była zbyt poważna, by pozwalać sobie na ryzyko błędu. Przygotowano więc próbki, które umieszczono pod mikroskopami elektronowymi, ustawionymi z początku na powiększenie dwudziestotysięcznokrot-

ne. Bardzo precyzyjny mechanizm zapewniał ostrość obrazu, gdy wędrowano w lewo, w prawo, w górę, w dół po każdym skrawku badanego preparatu. I nagle...

— Jest! — wykrzyknął dyrektor i zwiększył powiększenie do stutysięcznokrotnego. Na czarno-białym monitorze zobaczyli to, czego szukali. W jego kraju istniały wielowiekowe tradycje pasterskie i dlatego dyrektorowi natychmiast przyszedł na myśl pastorał: łańcuch rybonukleinowy, cieniutki, zawinięty na jednym końcu, na drugim proteinowe pętle. Oto klucz do działania wirusa. Świat medyczny jeszcze dobrze nie rozumiał całego procesu przemian RNA, i bardzo dobrze. Taki stan rzeczy odpowiadał dyrektorowi specjalizującemu się w broni biologicznej.

— Patrz, Moudi! — wykrzyknął.

— Już wiem — odparł idący w jego kierunku młodszy lekarz. Ebola Mayinga znajdowała się we krwi odszczepieńca oznaczonego numerem 3. — Moudi przed chwilą przeprowadził test na obecność przeciwciał i wiedział, jak próbka krwi zmienia kolor.

— Mamy potwierdzenie, że wirus może się przenosić drogą kropelkową.

— Jestem tego samego zdania — odparł Moudi. Nie drgnęła mu nawet powieka.

— Za dzień, może dwa, powinna nastąpić druga faza — powiedział dyrektor. —  
Wtedy będziemy wiedzieli już na pewno. — Na razie musiał napisać raport.

\* \* \*

Komunikat zaskoczył ambasadę amerykańską w Pekinie. W rutynowych lakonicznych zdaniach obwieszczał, że chińska marynarka przeprowadzi wielkie manewry w Cieśninie Tajwańskiej. Przewidziano ostre strzelanie raketami woda-powietrze i woda-woda w terminach, które zostaną podane później. Rząd Chińskiej Republiki Ludowej zawiadamia lotnictwo wszystkich krajów oraz ogłasza zamknięcie akwenu cieśniny, aby linie lotnicze i żeglugowe mogły skorygować rejsy. Na tym kończył się komunikat i to właśnie zaniepokoiło zastępcę ambasadora, który natychmiast odbył naradę z attaché wojskowym i szefem placówki CIA. Żaden z nich nie potrafił niczym uzupełnić informacji zawartych w komunikacie oprócz zwrócenia uwagi, że komunikat ani słowem nie wymienia Tajwanu. Ambasada wysłała informacje do Pentagonu, do Departamentu Stanu i do CIA w Langley.

\* \* \*

Darjaei długo szukał w pamięci twarzy, która pasowałaby do nazwiska, a twarz, którą sobie przypominał, była chyba nie tą, gdyż należała do młodego człowieka, jeszcze chłopca, w Kum. Wiadomość zaś przyszła od dorosłego mężczyzny z przeciwległego końca globu. Raman... no tak, Aref Raman, bystry inteligentny chłopak! Jego ojciec był handlarzem samochodów. Sprzedawał Mercedesy. Sprzedawał je w Teheranie możliwym. On sam był człowiekiem chwiejnej wiary, ale jego syn nie. Syn nawet nie zamrugał, gdy dowiedział się o śmierci rodziców zabitych przypadkowo właściwie przez żołnierzy szacha, gdy znaleźli się na niewłaściwej ulicy w niewłaściwym czasie, w tłumie demonstrantów, z którymi nic ich nie łączyło. Doszło do ulicznych zamieszek i rodzice zginęli. Razem modlili się za dusze zabitych — Aref Raman i jego nauczyciel Darjaei. Śmierć z ręki tych, którym się ufa! To była wielka nauka na przyszłość, chociaż w jego wypadku zbędna. Raman w tym czasie był chłopcem głębokiej wiary, a ponadto bardzo wstrząsnęła nim sprawa jego starszej siostry, która nawiązała bliższe stosunki z amerykańskim oficerem, hańbiąc tym siebie i ród Ramanów. Aref otrzymał



nowych „rodziców”, starsze małżeństwo, z którym wyjechał z Iranu. Rodzinny majątek Ramanów został przekazany do Europy, a stamtąd do Ameryki, gdzie „Ramanowie” żyli spokojnie, nie wdając się w żadną działalność polityczną. Darjaei sądził, że już dawno zmarli. Aref był desygnowany do wypełnienia wielkiej misji. Już przedtem świetnie opanował język angielski, a potem pobierał długo nauki. Wreszcie wstąpił do służby państwowej i wykonywał swe obowiązki z tą samą perfekcją, którą wykazał kiedyś, podczas pierwszej fazy rewolucji, kiedy to własnoręcznie zastrzelił dwóch oficerów sił zbrojnych szacha, kiedy spokojnie pili whisky w hotelowym barze.

Od tamtych dni robił tylko to, co mu kazano. Czyli nic. Miał się po prostu wtopić w amerykańskie społeczeństwo. Zniknąć. Miał pamiętać o swojej misji, ale nie wolno mu było nic przedsięwziąć. Ajatollah był dumny, że wybrany przez niego chłopak sprawdził się. Z krótkiej wiadomości dowiedział się, że misja jest niemal wykonana.

Angielskie słowo *assassin*, czyli zabójca, pochodzi od arabskiego *haszszasz* — *haszsz*, środek używany niegdyś przez Nizari, tych wyznawców islamu, którzy fundowali sobie narkotykowe wizje rajy przed wyruszeniem na morderczą misję. Według Darjaei Nizari byli heretykami, a zażywanie narkotyków godne potępienia. Nizari nie byli in-

telektualnymi mocarzami, ale za to skutecznie służyli przez parę stuleci swoim panom, mistrzom terroru, takim jak Hasan czy Raszid ad-Din. Wykonując zleczone im morderstwa, umożliwiali utrzymanie równowagi sił w regionie obejmującym obszar dzisiejszej Syrii i Persji. Darjaei uważał, że w tej koncepcji tkwi ślad geniuszu. Fascynowała go ona od młodości. Wprowadzać wiernego agenta do obozu wroga! Było to zadanie wymagające wielu lat, a więc musiało opierać się na głębokiej wierze wykonawcy. Nizari w efekcie zawiedli, ponieważ byli heretykami, odciętymi od prawdziwej wiary. Zwabiali do swej sekty pojedyncze jednostki, ale nie przyciągali mas. I dlatego mogli służyć tylko jakiemuś określönemu człowiekowi, ale nie Allahowi. I musieli dodawać sobie animuszu haszyszem, tak jak niewierni czynią to pijąc alkohol. Błyskotliwy zamysł zawiódł. Niemniej był to zamysł błyskotliwy. Darjaei miał teraz pod ręką swojego człowieka, który był gotów wykonać zadanie, prosił o instrukcje, czekając na przeciwnym końcu zakamuflowanego kanału łączności, obsługiwanego przez ludzi, którzy osiedlili się w Ameryce przed co najmniej piętnastu laty.

Wykonanie misji przez Ramana zależało tylko od wyboru właściwej chwili. Nawet po piętnastu latach Raman nie uległ, nadal posługiwał się głową, nie wspomagany zad-

nymi narkotykami, a w dodatku wyszkolony przez samego Wielkiego Szatana, jakim jest Ameryka. Idea i myśl tak piękna, że nie potrzeba okraszać jej nawet uśmiechem.

Na prywatnej linii zadzwonił telefon.

— Słucham?

— Mam dobre wieści — zawiadomił dyrektor laboratorium.

\* \* \*

— Miałeś chyba rację, Arnie — powiedział Jack, przechadzając się podcieniami Zachodniego Skrzydła Białego Domu. — Wyrwanie się stąd bardzo dobrze mi zrobiło.

Szef personelu zauważył, oczywiście, prężniejszy krok prezydenta, ale nie uczynił na ten temat żadnej uwagi. Prezydent zdążył wrócić do Białego Domu na kolację, którą zjadł w gronie rodzinnym. Co za różnica w porównaniu z oficjalnymi lunchami czy wieczornymi przyjęciami, kiedy to trzeba wysłuchać nudnych przemówień. Co najmniej cztery wieczorne godziny stracone, a w nocy następny lot. Rano szybki przysnic i z powrotem to samo: nieustająca kampania, jaką prezydent musi prowadzić przez całą swą kadencję. Tak jakby już same godziny spędzone w gabinecie pracy nie były prze-

ciążone ogromem obowiązków, zawsze podporządkowanych potrzebom utrzymania na piedestale prezydenckiego wizerunku. No cóż, to było w demokracji konieczne, bo obywatele oczekiwali od prezydenta czegoś więcej, niż siedzenia za biurkiem i wykonywania swej misji. Prezydentura była czymś, czym można się zachłysnąć, wcale tego nie lubiąc — co wydawało się wewnętrzną sprzecznością, póki się tego nie popróbowano.

— Poszło ci bardzo dobrze — powiedział van Damm. — Telewizyjne obrazki pierwsza klasa, a rozmowa z twoją żoną nadana przez NBC też była bez zarzutu.

— Cathy bardzo skrytykowała antenowy materiał. Uważa, że wycięli najlepsze fragmenty.

— Mogło być gorzej. — Przynajmniej nie spytali jej o aborcję, pomyślał Arnie. Aby tego uniknąć, wykorzystał długie, które miała w stosunku do niego NBC, a Tom Donner był podczas lotu poprzedniego dnia traktowany jak senator, otrzymując rzadki prezent w postaci prawa do filmowania podczas lotu. Za tydzień zaś Donner, jako pierwszy komentator telewizyjny, miał uzyskać wywiad z Ryanem w Gabinetie Ovalnym. I tym razem będzie mógł zadać dowolne pytania. Oznaczało to wielogodzinne korepetycje van Dammy z jego podopiecznym, by Jack nie nadepnął na żadną minę. Chwilowo jednak

van Damm pozwalał Ryanowi płać się w blasku minionego dnia. W sumie wyprawa na Środkowy Zachód się udała. Jej głównym celem było nie tylko oderwanie Ryana od biurka, aby poczuł, czym jest naprawdę prezydentura, ale i pokazanie go jako człowieka z krwi i kości, by jeszcze bardziej zmarginalizować Kealty'ego.

\* \* \*

— Dzień dobry, Ben — powiedział wesoło prezydent, idąc za biurko i siadając w wygodnym obrotowym fotelu. — No więc powiedz mi, jak dziś wygląda świat.

— Możemy mieć poważny problem. Chińska marynarka wychodzi w morze — poinformował Goodley, pełniący obowiązki prezydenckiego doradcy do spraw bezpieczeństwa. Prezydencka ochrona właśnie obdarzyła go kryptonimem Szuler.

— No i? — Ryan doszedł do wniosku, że radosny poranek jest już historią.

— Wygląda to na wielkie manewry. W komunikacie jest mowa o ostrym strzelaniu. Nie ma jeszcze żadnej oficjalnej reakcji Tajpei.

— Mają tam jakieś wybory czy coś takiego? — spytał Ryan.

— Dopiero za rok. Tajpei niczym nie chce urazić Chin kontynentalnych. Ich stosunki handlowe są stabilne. Innymi słowy, nie mamy wytłumaczenia powodu rozpoczęcia tych manewrów.

— Co mamy w tym rejonie?

— Jeden okręt podwodny w Cieśninie Tajwańskiej. Przysłuchuje się Chińczykom.

— A lotniskowce?

— Najbliższy na Oceanie Indyjskim. „Stennis” powrócił do Pearl Harbor w celu naprawy silników. „Enterprise” też. I oba przez pewien czas tam pobędą. Spiżarnia jest pusta. — Szuler przypomniał prezydentowi to, co on sam przed kilkoma miesiącami powiedział swemu poprzednikowi.

— A ich wojska lądowe? — spytał Ryan.

— Właściwie nic nowego. Owszem, aktywność nieco wyższa od normalnej, jak powiedzieli Rosjanie, ale to już tak trwa od dłuższego czasu.

Ryan oparł głowę o skórę fotela i wpatrzył się w stojącą na biurku filiżankę kawy bezkofeinowej. Podczas wyjazdu stwierdził, że bardzo mu ona odpowiada — żołądek

lepiej na nią reaguje. Podzielił się tą obserwacją z Cathy, która obdarzyła go uśmiechem i dodała: „Od lat ci to mówiłam”.

— No dobrze, Ben, daj mi jakiś scenariusz wydarzeń!

— Rozmawiałem ze specami od Chin w Departamencie Stanu i w CIA — zaczął Goodley. — Może ich wojskowe kierownictwo podejmuje jakiś ruch w ramach polityki wewnętrznej? Może demonstrując gotowość bojową, chcą przesłać sygnał do politbiura w Pekinie, że nadal istnieją i nadal się liczą? Wszystko inne byłoby w istocie czczą spekulacją, a ja nie powinienem tego robić, prawda, szefie?

— „Nie wiem” oznacza, że się nie wie, prawda? — Był to aforyzm, który Ryan lubił i często powtarzał.

— Właśnie to mi pan wbijał w głowę na drugim brzegu Potomaku, panie prezydencie — odparł Goodley, ale bez oczekiwanego przez Ryana uśmiechu. — Nauczył mnie pan także, abym bardzo nie lubił tego, czego nie potrafię zrozumieć i wyjaśnić. — Goodley chwilę milczał, a potem dodał: — Oni wiedzą, że my wiemy. Wiedzą, że nas to musi zainteresować. Wiedzą, że w Białym Domu jest nowy człowiek. Wiedzą też, że,

zwłaszcza na początku, nie chce mieć na głowie dodatkowych kłopotów. Więc dlaczego to robią?

— Otóż to — powiedział prezydent cicho. — Andrea? — zwrócił się do stojącej pod ścianą agentki, która udawała, że nic jej to nie obchodzi.

— Słucham, sir?

— Gdzie tu w okolicy siedzi najbliższy palacz? — spytał Ryan bez odrobiny wstydu.

— Panie prezydencie, nie mam po. . .

— Nie kłam, wiesz doskonale. Muszę zapalić.

Andrea skinęła głową i wyszła do sekretariatu. Znała objawy równie dobrze jak prezydent. Ze zwykłej kawy na kawę bez kofeiny, a teraz papieros. To nawet dziwne, że dopiero teraz.

Po minucie prezydent stwierdził, że i tym razem palaczem jest kobieta. Znowu cieniutki papieros. Wraz z papierosem i niezadowoloną miną, Andrea przyniosła zapalki i popielniczkę. Ryan zastanawiał się, czy Tajna Służba miała podobne problemy z Rooseveltem i Eisenhowerem.



Zaciągnął się, głęboko zatopiony w myślach. Chiny były cichym współnikiem w konflikcie — nawet w myślach Ryan nie potrafił zmusić się do użycia słowa „wojna” — z Japonią. Tak w każdym razie przypuszczano. Poszczególne elementy pasowały do siebie, ale nie było dowodów pozwalających na wydanie Specjalnej Oceny Wywiadu.

Ryan podniósł słuchawkę telefonu.

— Chcę mówić z dyrektorem Murrayem.

Jednym z miłych atrybutów prezydentury był telefon. „Będzie mówił prezydent” — to proste zdanie wypowiedziane przez sekretarkę nonszalanckim głosem, jakby zamawiała pizzę, jeszcze nigdy nie zawiodło, wywołując natychmiastową, czasami bliską paniki reakcję po drugiej stronie drutu. Prezydent rzadko czekał dłużej niż dziesięć sekund. Tym razem trwało to sześć.

— Dzień dobry, panie prezydencie!

— Dzień dobry, Dan. Jak się nazywa ten inspektor japońskiej policji, który nas...?

— Dżisaburo Tanaka — odparł natychmiast Murray.

— Jest coś wart?

— Można na nim polegać. Nie gorszy od każdego z nich. Czego pan od niego potrzebuje, panie prezydencie?

— Zakładam, że wyciskają, co się da z Yamaty?

— Może pan śmiało założyć, sir, że się nie patyczkują. — Pełniący obowiązki dyrektora FBI powiedział to bardzo poważnym tonem.

— Chcę wiedzieć o jego kontaktach z Chińczykami.

— Chyba da się zrobić. Spróbuję natychmiast go złapać. Czy mam do pana zadzwonić, panie prezydencie?

— Nie. Poinformuj Bena Goodleya.

— Rozumiem, sir. Już dzwonię. W Tokio zbliża się północ.

— Dziękuję, Dan. Cześć. — Ryan odłożył słuchawkę. — Spróbujmy to rozplatać. . .

— Postaram się, szefie — odparł Goodley. — Stanę na głowie.

— Coś jeszcze gdzieś się dzieje? Irak?

— To samo, co wczoraj. Kolejne egzekucje. Rosjanie przekazali nam to, co mają o „Zjednoczonej Republice Islamskiej”. Wszyscy sądzimy, że to całkiem możliwe, ale jawnie nie zrobili jeszcze żadnego ruchu. Miałem się tym właśnie dziś zająć, ale. . .

— No to leć i się zajmij.

\* \* \*

— No dobrze, jakie reguły gry? — zapytał Tony Bretano. Robby Jackson nie przepadał za robieniem czegokolwiek na prędcie, ale taka to już była praca nowo mianowanego J-3 — szefa wydziału operacyjnego Kolegium Szefów Sztabów. W ciągu ostatnich paru dni zdążył polubić Tony’ego Bretano, desygnowanego na stanowisko sekretarza obrony. Bretano był twardy i ostry, ale warczał raczej na pokaz. Umysł miał giętki, świetnie funkcjonujący i podejmował szybko decyzje. No i jako inżynier mógł wiedzieć to, czego Jackson nie wiedział. Poza tym nie bał się pytać.

— W tamtym rejonie mamy „Pasadenę”, uderzeniowy okręt podwodny na patrolu, panie sekretarzu. Oderwaliśmy ją od podglądania i pętania się za chińskimi okrętami podwodnymi, i kazaliśmy płynąć na północny zachód. Następnie kierujemy na ten obszar jeszcze parę jednostek, przydzielamy akweny dozoru i każemy mieć otwarte oczy. Nawiązujemy łączność z Tajpei i prosimy, żeby nam przekazywali, co widzą i słyszą. Zwykle włączają się do gry. Włączą się i teraz. Normalnie podesłalibyśmy bliżej jakiś

lotniskowiec, ale, niestety, tym razem nie mamy nic w pobliżu. A poza tym, przy braku jakichkolwiek gróźb pod adresem Tajwanu, byłaby to przesadna reakcja. Natomiast z bazy lotniczej Andersen na Guam wyślemy samolot dozoru elektronicznego.

— Reasumując: zbieramy informacje i poza tym nic konkretnego? — spytał sekretarz obrony.

— Zbieranie informacji to bardzo konkretna rzecz, sir, ale ma pan rację: nic więcej.

Sekretarz obrony uśmiechnął się. — O tak, to bardzo konkretne. Coś o tym wiem. To ja zbudowałem satelity, których używacie. Co one nam powiedzą?

— Najprawdopodobniej kilometry nasłuchów. Nałapią ich tyle, że wszyscy nasi siolodzy w Port Meade będą mieli po uszy roboty. Z tych rozmów niewiele się dowiemy, jeśli idzie o ogólne intencje. Jednakże, z punktu widzenia operacyjnego, pożytek będzie duży: dowiemy się o ich możliwościach, o zdolności operacyjnej. O ile znam admirała Mancuso, dowódcę naszych sił podwodnych na Pacyfiku, każe paru swoim jednostkom pobawić się w kotka i myszkę z Chińczykami. Nic ostentacyjnego. To jest tylko jedna z naszych opcji, jeśli przebieg chińskich manewrów wyda się Mancuso podejrzany.

— Niezbyt dobrze pana zrozumiałem.

— Chodzi o to, że jeśli chce się śmiertelnie przerazić marynarza, to zawiadamia się go, że w okolicy są okręty podwodne. Zawiadamia się go, wystawiając nagle peryskop w środku jego formacji i natychmiast znikając. Jest to ostra, niemiła dla przeciwnika zagrywka. Nasi ludzie są w tym niezli. Bert Mancuso wie, jak to robić. Bez niego nie dalibyśmy rady Japończykom.

— Rzeczywiście jest aż tak dobry? — Dla nowego sekretarza obrony nazwisko Mancuso nic nie znaczyło.

— Nie ma lepszych. To człowiek, którego należy słuchać i to uważnie, podobnie jak Dave'a Seatona, szefa Floty Pacyfiku.

— Admirał DeMarco powiedział mi. . .

— Czy mogę coś szczerze powiedzieć, sir? — spytał J-3.

— Zawsze i tylko szczerze, Jackson!

— Bruno DeMarco został zastępcą szefa operacji morskich tylko z jednego powodu. . .

Bretano natychmiast zrozumiał, o co chodzi. — Aha, żeby wygłaszał przemówienia i nie robił nic, co mogłoby zaszkodzić Marynarce? — W odpowiedzi otrzymał skinienie głowy Robby'ego. — Rozumiem, admirale Jackson.

— Nie znam się wiele na przemyśle, sir, ale na temat budynku, w którym się znajdujemy, mogę wiele powiedzieć. W Pentagonie znajdzie pan dwa rodzaje wojskowych: oficerów i urzędników. Admirał DeMarco spędził tu ponad połowę swojej kariery. Mancuso i Seaton są oficerami liniowymi i robią, co w ich mocy, by tu nie trafić.

— Podobnie jak admirał Robby Jackson — zauważył z uśmiechem Bretano.

— Odpowiada mi zapach słonego powietrza, sir. Nie mam zamiaru uwijać tu sobie gniazdka. Pan zdecyduje, czy ja panu odpowiadam, czy nie. A poza tym — westchnął — jestem tu, ponieważ dłużej nie mogę latać, a tylko dlatego włożyłem mundur. Wszystko mi jedno, czy odpowiadam panu, czy nie, mam obowiązek powiedzieć, że kiedy Seaton i Mancuso otwierają usta, to trzeba milczeć i słuchać.

— Coś ty taki wnerwiony, Robby? — zapytał sekretarz obrony z wyraźnym niepokojem. Bretano znał się na ludziach i wiedział, że Jacksona też warto słuchać.

— Wnerwiony? Może na los. Artretyzm. Powtarza się w rodzinie. Ale jakoś sobie daję radę. Mogło być gorzej. Nie przeszkadza mi to jeszcze w golfie, a poza tym admirałowie i tak niewiele latają.

— Nie zależy ci na dalszym awansie? — Bretano miał zamiar przypiąć Jacksonowi jeszcze jedną gwiazdkę.

— Jestem synem kaznodziei z Missisipi. Dostałem się do Annapolis. Przez dwadzieścia lat pilotowałem myśliwce i jeszcze żyję, żeby móc panu o tym powiedzieć. — Co nie udało się wielu z mojego rocznika, pomyślał ze smutkiem Robby. — Mogę w każdej chwili przejść w stan spoczynku i otrzymać jeszcze dobrą pracę. Bez względu na to, co ze mną tu się stanie, jestem wygrany. Ale Ameryka była dla mnie dobra i coś ode mnie się jej należy. Czyli muszę mówić prawdę, sir, i wypełniać, jak mogę najlepiej swoje zadania. I pies drapał konsekwencje.

— Wygląda na to, że nie należysz do tej drugiej kategorii wojskowych. Nie jesteś, jak to nazwałeś, urzędnikiem w mundurze?

— Bretano był ciekawy, jakie Jackson może mieć wykształcenie poza Akademią Marynarki. Mówił jak kompetentny inżynier.

— Zdecydowanie nie. Wolałbym grać na fortepianie w burdelu. Byłoby to uczciwsze.

— Wiesz co, Jackson? Będzie się nam dobrze razem pracowało. Naskicuj plan. I miej oko na Chińczyków.

— W zasadzie mam tylko doradzać i . . .

— Więc uzgodnij to z Seatonem. Odnoszę wrażenie, że on też ciebie uważnie słucha.

\* \* \*

Zespoły inspekcyjne ONZ były tak przyzwyczajone do ciągłych rozczarowań, że inspektorzy nie wiedzieli, jak sobie poradzić z niespodzianym podporządkowaniem się ich prośbom. Dyrekcje kontrolowanych przedsiębiorstw wręczały im tony dokumentów, fotografii oraz taśm wideo, i niemal gnały inspektorów przez wszystkie hale fabryczne, wyjaśniając szczegółowo funkcjonowanie urządzeń i wskazując te, które w specyficznych okolicznościach mogłyby być wykorzystywane do produkcji zakazanych produktów. Często też iraccy inżynierowie skwapliwie informowali, jak można permanentnie neutralizować różne groźne składniki. Nadal jednak pozostawał drobny



problem, a mianowicie ten, że nie ma praktycznej różnicy między zakładami produkcji broni chemicznych, a tymi które produkują środki owadobójcze. Gazy paraliżująco-drgawkowe były przypadkowym odkryciem przy okazji badań nad skutecznym środkiem do eliminacji robactwa (większość środków owadobójczych to gazy paraliżująco-drgawkowe), a jeśli już o tym mowa, to były nimi również ich główne składniki chemiczne, zwane „prekursorami”. Poza tym każdy zakład chemiczny wytwarza najrozmaitsze produkty uboczne szkodliwe dla zdrowia człowieka, w tym także śmiertelne trucizny.

Ale obowiązywały pewne reguły, a jedna z tych reguł zakładała, że uczciwi ludzie nie produkują zakazanych broni. No i Irak z dnia na dzień stał się właśnie takim uczciwym członkiem międzynarodowej wspólnoty.

Ten fakt został jasno stwierdzony podczas posiedzenia Rady Bezpieczeństwa ONZ. Ambasador Iraku przemawiał ze swego fotela przy okrągłym stole, demonstrując wykresy i zestawienia wykazujące, co już zostało poddane inspekcji i ubolewając, że przedtem nie mógł ujawnić prawdy. Obecni na sali dyplomaci świetnie go rozumieli. Oni sami tyle nakłamali, że już nie wiedzieli, co jest prawdą, a co nie. Dlatego też, wysłu-

chując kolejnej „prawdy”, obwieszczanej przez irackiego ambasadora, nie dostrzegali kryjącego się za jego słowami wielkiego kłamstwa.

— Wobec faktu pełnego podporządkowania się mojego kraju rezolucjom ONZ, usilnie prosimy, by, w obliczu palących potrzeb naszych obywateli, jak najszybciej zostało zniesione embargo na dostawy żywności — zakończył ambasador. Obecni za stołem dyplomaci z zadowoleniem stwierdzili, że nawet ton wystąpienia ambasadora był niezwykle układny.

— Oddaję teraz głos ambasadorowi Islamskiej Republiki Iranu — obwieścił ambasador ChRL, pełniący rotacyjną funkcję przewodniczącego Rady.

— Żaden kraj nie ma większych niż my powodów do niechęci wobec Iraku — oświadczył wezwany do zabrania głosu mówca. — Chemiczne zakłady, kontrolowane dziś przez międzynarodowe zespoły ekspertów, produkowały broń masowego rażenia i środki te były użyte przeciwko Iranowi. Jednakże naszym obowiązkiem jest uznać, że oto nastał nowy dzień dla naszego sąsiada. Obywatele Iraku długo cierpieli z powodu postępowania ich byłego władcy. Tego władcy już nie ma i nowy rząd wykazuje każdym swym postępkiem, że wraca na łono wspólnoty międzynarodowej. W obliczu tego

faktu Islamska Republika Iranu poprze wnioski o natychmiastowe zniesienie embargo. Na własną rękę zorganizujemy doraźne dostawy żywności, by ulżyć doli obywateli Iraku. Iran proponuje, by zniesienie embargo było uzależnione od kontynuowania obecnej polityki przez rząd iracki. W tym też celu przedstawiamy projekt rezolucji numer 3.659...

Scott Adler przyleciał do Nowego Jorku, aby zająć fotel przedstawiciela Stanów Zjednoczonych w Radzie Bezpieczeństwa. Stały przedstawiciel USA przy ONZ był doświadczonym dyplomata, ale w pewnych sytuacjach bliskość Waszyngtonu okazywała się bardzo pożyteczna, a to właśnie, zdaniem Adlera, była jedna z takich sytuacji. Czy jego obecność coś zmieni, to już zupełnie inna sprawa. Sekretarz stanu nie miał w rękawie żadnych asów. W dyplomacji czasami najlepszym zagranem jest zrobić dokładnie to, czego żąda przeciwnik. Na przykład w 1991 roku bardzo się obawiano, że Irak po prostu wycofa się z Kuwejtu, pozostawiając Amerykę i jej sojuszników w głupiej sytuacji. Nie mogliby ruszyć palcem, a Irak jeszcze na pewien czas zachowałby swą potęgę wojskową. Na szczęście takie wyjście okazało się zbyt chytne jak na irackie myślenie. Ale na pewno ktoś dobrze zapamiętał lekcję. Kiedy się żąda, żeby ktoś coś zrobił, bo

inaczej nie dostanie czegoś, czego potrzebuje, i ten ktoś to robi, to wówczas trudno go pozbawiać tego, czego ten ktoś tak bardzo potrzebuje.

Adler znał dobrze sytuację, ale co mogło mu to pomóc? Przypominało to trochę pokera. Człowiek pokazuje trzy asy, a przeciwnik wyklada kolor. Pełna informacja nie zawsze pomaga. Jedyne, co w tym wypadku może opóźnić procedurę, to żółwi krok, charakterystyczny dla wszelkich poczynań ONZ. Ale i krok potrafi ulec przyśpieszeniu, jeśli dyplomaci doświadczą napadu entuzjazmu. Adler mógł prosić o odłożenie głosowania nad wnioskiem, póki Irak nie udowodni pełnego wykonania zobowiązań wynikających z rezolucji ONZ, ale, niestety, Iran dał sobie radę z tym problemem, przedstawiając projekt rezolucji tylko warunkowo zawieszającej embargo. I jednocześnie zawiadomił, że tak czy inaczej, z rezolucją ONZ czy bez niej, zamierza do Iraku żywność dostarczać — co już zresztą zrobił, wysyłając konwój ciężarówek — przy założeniu, że rzecz nielegalna robiona jawnie, staje się uznanym faktem. Sekretarz stanu zerknął na swego ambasadora — od lat byli przyjaciółmi — i przechwycił ironiczne mrugnięcie. Ambasador brytyjski spoglądał na bloczek zabazgrany rysunczkami. Rosjanin z zapalem przeglądał depesze. Nikt nie słuchał. Bo i po co. Za dwie godziny

rezolucja Iranu przejdzie. No cóż, mogło być gorzej. Adler będzie miał przynajmniej okazję porozmawiać w cztery oczy z chińskim ambasadorem i zadać mu parę pytań na temat tych manewrów morskich. Znał odpowiedź, jaką otrzyma, ale nadal nie będzie wiedział, czy prawdziwą, czy też całkowicie kłamliwą. Oczywiście. Jestem sekretarzem stanu najpotężniejszego państwa świata, ale dziś pozostaję wyłącznie widzem, pomysłał.

## 26 — Chwasty

Nie ma nic gorszego, niż widok chorego dziecka, pomyślał doktor MacGregor. Miała na imię Sahaila. Ładne imię dla ładnej dziewczynki. Ojciec przyniósł ją na rękach. Na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie mężczyzny szorstkiego w obejściu. MacGregor z doświadczenia wiedział, że takim ludziom można w zasadzie ufać. W tym wypadku choroba dziecka jeszcze bardziej uwypukliła te cechy. Za ojcem szła matka. Towarzyszył jej jeszcze jeden Arab. Za nimi zjawił się Sudańczyk, wyglądający na urzędnika. MacGregor zlustrował cały orszak, wszystko odnotował w pamięci i na tym poprzestał, gdyż dorośli nie byli chorzy. Chora była Sahaila.

— Witam ponownie, młoda damo — zwrócił się do dziewczynki z uśmiechem, mającym podeprzeć samopoczucie dziecka. — Źle się czujesz, tak? No to zobaczymy i coś poradzimy. Chodź ze mną.

Obecność przedstawiciela władzy wskazywała, że ci ludzie są dla kogoś ważni. Postanowił okazać im odpowiednie względy. Poprowadził wszystkich do gabinetu. Ojciec posadził córkę na leżance i cofnął się parę kroków, pozostawiając matkę, która trzymała małą za rękę. Ochroniarze — bo to jednak byli chyba ochroniarze, doszedł do wniosku MacGregor — wycofali się na zewnątrz. Lekarz dotknął czółka Sahaili. Rozpalone. Co najmniej trzydzieści dziewięć. Umył starannie ręce i założył rękawiczki, podobnie jak poprzednim razem. Była to przecież Afryka, a w Afryce trzeba stosować wszystkie środki ostrożności. Zmierzył jej temperaturę w uchu: trzydzieści dziewięć i cztery. Tętno szybkie, ale u dziecka nie wzbudza to specjalnego niepokoju. Krótkie badanie serca stetoskopem dało normalne odgłosy. Żadnych szmerów w płucach, chociaż mała oddychała szybko, podobnie jak szybko biło jej serce. Gorączka, rzecz częsta u małych dzieci, zwłaszcza u tych, które zmieniły niedawno warunki klimatyczne.

— Jakie ma objawy? — spytał rodziców.

— Nie może jeść... — tym razem ojciec zabrał głos. — A jeśli idzie o wypróżnianie...

— Wymioty i biegunka? — spytał MacGregor, badając oczy dziecka. Żadnych objawów chorobowych.

— Tak, doktorze. Jedno i drugie.

— Przybyliście państwo niedawno? — Podniósł głowę, nie słysząc odpowiedzi. — Muszę to wiedzieć.

— Tak. Niedawno. Z Iraku.

— I wasza córka objawia lekką zadyszkę, jak przy astmie, i nic więcej, tak? Nie ma innych problemów zdrowotnych?

— Tak. Zadyszka i temperatura. Przeszła wszystkie szczepienia. Nigdy jej się nic podobnego nie przytrafiło — wyjaśnił ojciec. Matka tylko potakiwała. Ojciec przejął wszystko w swoje ręce, prawdopodobnie dlatego, by okazać autorytet, skłonić lekarza do energiczniejszego działania. MacGregorowi to nie przeszkadzało.



— Czy po przyjeździe jadła coś radykalnie odmiennego, niż w Iraku? Widzi pan, zmiana otoczenia ma olbrzymi wpływ na ludzi. Rozstraja ich także fizycznie. Zwłaszcza dzieci. To może być tutejsza woda, na przykład.

— Dałam jej lekarstwo, ale pogorszyło się — wtrąciła matka.

— To na pewno nie woda — powiedział ojciec autorytatywnie. — Nasz dom ma własną studnię. I woda jest bardzo dobra. Jakby na dany znak Sahaila jęknęła i, odwróciwszy główkę, zwymiotowała na stół. Struga połała się na ceramiczną posadzkę. Wymiociny miały niedobry kolor. Czerwone i czarne plamki. Czerwone dobrej krwi, świeżej, czarne zakrzepłej, starej. To nie zmiana strefy klimatycznej czy czasowej ani woda! Może wrzód? Zatrucie pokarmowe? MacGregor zamrugał i instynktownie sprawdził, czy ma na dłoniach rękawice. Matka rozglądała się za ligninowymi serwetkami. . .

— Niech pani tego nie dotyka — powiedział dziwnie zmienionym głosem MacGregor. Zmierzył ciśnienie. Niskie — potwierdzałoby to wewnętrzne krwawienie. — Sahailo, chyba będziesz musiała spędzić noc z nami, żebyś jutro mogła bawić się z dziećmi — powiedział.

\* \* \*

To już nie tak, jak za dawnych czasów. Ale co jest? Mimo to Mancuso nadal znajdował satysfakcję w tym, co robił. Miał za sobą zupełnie przyzwoitą wojnę — zawsze myślał o tamtych dniach jako o wojnie. Jego okręty podwodne dokonały dokładnie tego, do czego były przeznaczone. Utraciwszy „Ashville” i „Charlotte” — wtedy gdy jeszcze nie było wiadomo o rozpoczęciu wrogich działań — nie utracił już nic więcej. Jego okręty podwodne wykonały skrupulatnie wszystkie powierzone im zadania, zapędzając nieprzyjacielską flotyllę w zręcznie zastawioną pułapkę, wspierając błyskotliwą operację specjalną, dokonując uderzeń rakietowych spod wody i, jak zwykle, zbierając informacje. Dowódca sił podwodnych Floty Pacyfiku cieszył się z tego, że wydobyl z zapomnienia stare nosiciele rakiet balistycznych. Wielkie i nieporęczne, gdy chodziło o szybkie podchody, spisały się świetnie w zleconych im misjach. Teraz, ściągnięte do portu, tkwiły u nabrzeża, a ich załogi na nieco rozkołysanych nogach szwędały się po mieście. Mancuso doszedł do wniosku, że czas na trochę skromności i przyznał w du-

chu, że Nelsonem z pewnością nie jest. Ot, wykonał dobrze pracę, za którą mu płacono. A teraz dostał nowe zadanie.

— Więc o co im chodzi? Co oni tam kombinują? — spytał swego bezpośredniego przełożonego, admirała Dave'a Seatona.

— Tego nie wie nikt. — Seaton przyleciał, żeby się przyjrzeć sytuacji z bliska. Jak każdy prawdziwy marynarz, starał się wyrywać z gabinetu jak można najczęściej, choćby tylko po to, by odwiedzić gabinet kogoś innego. — Może wielkie manewry. Ale możliwe, że chcą sprawdzić nowego prezydenta: postanowili podrażnić tygrysa patykami i zobaczyć, co z tego wyjdzie. — Wojskowi nie lubili tego rodzaju sprawdzania, gdyż zawsze łączyło się to z ryzykiem. Zdarzały się ofiary. Ponieważ chodziło o sprawdzenie czujności i reakcji sił zbrojnych, ofiarami z reguły padali wojskowi.

— Znam Ryana osobiście — powiedział z powagą Burt.

— Tak?

— Niezbyt dobrze, ale znam. Kiedy mieliśmy tę historię z „Czerwonym Październikiem”...

Seaton skrzywił się, ale z uśmiechem. — Jeśli kiedykolwiek spróbujesz mi to opowiedzieć, to jeden z nas będzie musiał zabić drugiego. A ja jestem większy. — Historia „Czerwonego Października” była jednym z największych sekretów Marynarki i niewielu ją znało, najwyżej z plotek, których krążyło wiele i to często sprzecznych.

— Tak, ale pan należy do kategorii tych, którzy powinni wiedzieć, admirale. Powinien pan wiedzieć, jakim facetem jest zwierzchnik sił zbrojnych. Pływałem z nim.

— Co ty mówisz?

— Ryan był ze mną na pokładzie. Zjawił się tam nawet jeszcze przede mną. — Mancuso był niemal szczęśliwy, że wreszcie może komuś bezkarnie opowiedzieć całą morską przygodę. Dave Seaton był dowódcą teatru działań wojennych i powinien wiedzieć, kim jest człowiek, który wydaje z Waszyngtonu rozkazy.

— Słyszałem, że miał coś wspólnego z operacją, i że pojawił się w bazie, ale myślałem, że tylko w Norfolk, kiedy wciągali tego Ruska do doku. Ryan był szpiegiem, tak?

— Nie tylko. Zabił faceta. Zastrzelił. W przedziale raketowym. Zanim jeszcze zjawiłem się na pokładzie. Trzymał w rękach ster, kiedy taranowaliśmy Alfę. Był absolut-

nie przerażony, ale to zrobił. Nasz obecny prezydent tam był i to zrobił! I jeśli Chińczycy chcą go sprawdzić, to niech sobie sprawdzają. Ja stawiam na Ryana każde pieniądze.

— Dobrze wiedzieć — mruknął Seaton.

— Więc jaką mamy misję? — spytał dowódca flotylli.

— J-3 chce, żebyśmy trochę się rozejrzeli.

— Zna pan Jacksona lepiej ode mnie, admirale. Zalecenia?

— Jeśli to tylko manewry, to obserwujemy zza węgła. Jeśli jest inaczej, pokażemy, że nas to obchodzi. Poza tym, nie mamy kogo innego, żeby zwiedził Cieśninę Tajwańską.

Wystarczyło wyrzeć przez okno, żeby to wiedzieć. „Enterprise” i John Stennis” stały w suchym doku. Dowódca Floty Pacyfiku nie miał do dyspozycji ani jednego lotniskowca i nie miał mieć jeszcze przez dwa miesiące. „Johnnie Reb”, który na dwu śrubach popłynął na odbicie Marianów z japońskich rąk, spoczywał teraz koło swego starszego brata, z wielkimi otworami wykrajnymi palnikami acetylenowymi, czekając na nowe turbiny i przekładnie. W przypadku Marynarki Stanów Zjednoczonych przyszłowiowe wymachiwanie szabelką należało do obowiązków lotniskowców. I może na

tym polegała część chińskiego planu: sprawdzić reakcję Ameryki w sytuacji, gdy tradycyjna reakcja nie była możliwa.

— Będzie mnie pan krył przed DeMarco? — spytał Mancuso.

— Nie rozumiem. Przed czym, dlaczego?

— DeMarco to stara szkoła. Uważa, że to bardzo źle, jeśli przeciwnik spostrzeże, że ktoś mu depcze po piętach. Moim zdaniem jest to czasami z korzyścią. Jeśli mam potrząsnąć klatką Chińczyka, to Chińczyk powinien słyszeć grzechot prętów, prawda?

— Dobrze, każę odpowiednio zredagować rozkazy. A co i jak zrobisz, to twoja sprawa. Na początek chcę mieć na taśmie nagrania wszystkich ich rozmów. Jeśli któryś z żółtych kapitanów zacznie się chwalić nową dziewczyną, też to chcę mieć.

— Rozkaz jasny jak słońce, Dave! Takie lubię. Dostaniesz nawet jej numer telefonu.

\* \* \*

— I nic nie możemy zrobić, choćbyśmy na głowie stawali — zakończył podsumowanie Cliff Rutledge.

— Tyle to już sam wiem, Cliff — odparł Scott Adler. — Żywiłem jednak błędne, jak widzę, wrażenie, że podwładni są od tego, by proponować błyskotliwe alternatywy, a nie odbierać wszelkie nadzieje. Albo, tak jak w tym wypadku, mówić mi to, z czego doskonale zdaję sobie sprawę.

Do tej chwili mieli szczęście. Niewiele przedostało się do mediów. Waszyngton był w szoku, ogłuszony tym, co się stało, a młodszym funkcjonariuszom, którzy niespodziewanie zajęli wyższe stanowiska, brakowało jeszcze tej pewności siebie, by samodzielnie inicjować przecieki do środków masowego przekazu. Ludzie, którymi Ryan obsadził wyższe stanowiska, byli bardzo wobec niego lojalni — nieoczekiwana korzyść z sięgnięcia poza powiązane ze sobą kręgi zawodowych polityków. Taka sytuacja nie mogła jednak trwać wiecznie.

— Brak reakcji jest zawsze jakimś wyjściem — zauważył lekko Rutledge, zastanawiając się, jaka byłaby reakcja. Sugerował tym, że podobna alternatywa różniłaby się od niemożności zrobienia czegokolwiek. Podobnie subtelne metafory nie były obce Waszyngtonowi.

— Zajęcie takiego stanowiska tylko zachęca do dalszych kroków sprzecznych z naszymi interesami — zauważył ze złością inny z kolei doradca.

— Czyżby? W przeciwieństwie do milczącego obwieszczenia naszej impotencji? — odparował kwaśno Rutledge. — Oświadczenie, że nam się coś nie podoba, i nie zrobienie niczego, by temu zapobiec, jest jeszcze gorsze niż niezajmowanie żadnego stanowiska.

Adler pomyślał, że zawsze można liczyć na absolwenta Harwardu, jeśli chodzi o dzielenie włosa na czworo, ale nie na wiele więcej. Ten profesjonalista służby zagranicznej dotarł do gabinetu na szóstym piętrze wyłącznie dzięki temu, że bardzo ostrożnie stapał, co oznaczało, że nigdy nie prowadził w tańcu partnerki, tylko ona jego. Z drugiej strony, jegomość ma doskonałe kontakty. A raczej miał. Cliff chorował na najgorszą chorobę dyplomatów. Według niego negocjować można wszystko ze wszystkimi. Adler tak nie uważał. Czasami trzeba stać twardo na swoim stanowisku i o pewne sprawy walczyć, bo jeśli nie, to przeciwnik zacznie spychać i sam wybierze teren ostatecznej rozgrywki. A wtedy traci się panowanie nad sytuacją. Zadaniem dyplomatów jest zapobiegać wojnie. To misja poważna, którą według Adlera skutecznie



i z korzyścią dla własnego kraju można wypełnić wiedząc, gdzie znajduje się granica ustępstw w jakichkolwiek negocjacjach. Tak uważał Adler. Dla podsekretarza stanu Rutledge'a — dyplomacja to taniec bez wytchnienia. I ktoś inny jest wodzirejem. Adler nie zgromadził jeszcze dostatecznego kapitału politycznego, aby wyrzucić Rutledge'a lub mianować go ambasadorem gdzieś, gdzie nie narobi wielkiej szkody. Sam nadal czekał na potwierdzenie swojej nominacji przez Senat.

— A może określimy to jako wydarzenie regionalne? — zasugerował jeszcze inny z uczestniczących w naradzie wyższych funkcjonariuszy służby zagranicznej.

Adler wolno obrócił głowę w jego kierunku. Czyżby Rutledge przygotowywał sobie alibi?

— To nie jest wydarzenie regionalne — stwierdził sekretarz stanu, w swojej własnej sali konferencyjnej zajmując twardą pozycję, z której zamierzał przejść do kontrataku, jeśli zajdzie taka potrzeba. — Sprawa dotyczy żywotnych interesów Stanów Zjednoczonych. Mamy zobowiązania wobec Arabii Saudyjskiej.

— Wielka wydma piasku — stwierdził pogardliwie Cliff. — Jeszcze nie mamy powodów, by się w to wtrącać. Iran i Irak łączą się w Zjednoczoną Republikę Islamską.

No to co? Potrzeba im lat, by zorganizować nowe państwo. Przez ten czas siły, o których wiemy, że istnieją i dojrzewają w Iranie, osłabiają reżim teokratyczny. Nowa polityczna rzeczywistość nie jest rezultatem jednokierunkowego procesu. Zgodzicie się z tym chyba, panowie? Ze strony świeckiego odłamu irackiego społeczeństwa możemy wiele się spodziewać. Jego wpływ na Iran będzie znaczny. Jeśli wpadniemy w panikę i zaczniemy się wtrącać, tylko ułatwimy życie Darjaeiemu i jego fanatykom. Jeśli jednak popuścimy, to zmniejszymy potrzebę mobilizacji ideologicznej i nasilenia retoryki antyzachodniej. Powiedzmy jasno: nie możemy przeciwstawić się ich chęci zjednoczenia. Skoro tego nie możemy, to co możemy? Odpowiedź sama się narzuca: korzystajmy z okazji rozpoczęcia dialogu z nowym państwem.

Adler musiał przyznać, że w tej propozycji jest element logiki. Zauważył też potakiwania głowami wokół stołu. Jakże dobrze znał oba wymienione przez Rutledge'a hasła: okazja, dialog.

Z odległego kąta stołu dobiegł głos: — Saudyjczykom zrobi się gorąco i głupio. — Wyrazicielem tej myśli był Bert Vasco, najmłodszy z obecnych. — Myślę, że nie ocenia pan prawidłowo sytuacji, panie Rutledge. Iran jest odpowiedzialny za zamordowanie. . .

— Nie mamy na to dowodów.

— Al Capone nie został nigdy skazany za masakrę w dniu świętego Walentego, ale widziałem film. . . — Vasco, powołany do zespołu ekspertów Białego Domu, nabył pewności siebie. — Ktoś dyryguje całym procesem, ktoś nakazuje rozstrzeliwania, ktoś decyduje o fizycznej eliminacji najpierw najwyższego dowództwa armii, a następnie rzezi całego kierownictwa partii Baas. A teraz to religijne odrodzenie! Obraz, jaki mi się rysuje przed oczami, to nowa tożsamość. Narodowo-religijna tożsamość, co w dużym stopniu stępi lub nawet unicestwi umiarkowane oddziaływanie elementów świeckich, o którym pan wspominał. Obecne wydarzenia przyhamują też co najmniej na rok wewnętrzną opozycję w Iranie. Poza tym nie mamy pojęcia, co tam jeszcze się kłuje. Darjaei to urodzony spiskowiec. To cierpliwy, w pełni oddany swojej idei, bezlitosny skurw. . .

Przerwał mu jeden z sojuszników Rutledge'a: — I jest na ostatnich nogach. . .

— A skąd znowu takie przypuszczenie? — zapytał Vasco. — Nieźle przygotował obecną operację.

— Ale ma grubo po siedemdziesiątce.

— Nie pije, nie pali. Na wszystkich nagraniach, jakie mamy z jego publicznych wystąpień, wygląda jak okaz zdrowia. Niedocenianie tego człowieka byłoby błędem, jakich wiele popełniliśmy w przeszłości.

— Nie ma kontaktu ze społeczeństwem.

— Może o tym nie wie. Miał w każdym razie dobry rok, a wszyscy zawsze oklaskują zwycięzcę — odparował Vasco.

— Może się martwisz, Bert, że stracisz gabinet w Białym Domu, kiedy już powstanie Zjednoczona Republika Islamska? — zażartował ktoś z obecnych. Był to cios poniżej pasa i to w dodatku wymierzony przez dużo starszego funkcjonariusza Departamentu Stanu.

Cisza, jaka po tym nastąpiła, była jednoznaczna: powstawał konsens, ale nie taki, jakiego sobie życzył sekretarz stanu. Najwyższy czas przejąć kontrolę.

— Dobrze, punkt następny — powiedział Adler. — Jutro wrócą ci z FBI, żebyś pomówił o skradzionym liście Kealty’ego. I zgadnijcie, z czym wrócą?

— Byle nie to piekielne pudło — ktoś jęknął. Nikt nie zauważył nagłego obrotu głowy Rutledge’a.

— Traktujcie to jako rutynową kontrolę naszych osobistych przywilejów posiadania sekretów istotnych dla bezpieczeństwa państwa — poinformował Adler swych podwładnych. Detektory kłamstwa były doskonale znane starszym rangą pracownikom.

— Psiakrew, Scott! — przemówił Cliff w imieniu wszystkich. — Albo nam się ufa, albo nie i wtedy. . . Straciłem już zbyt wiele godzin na te zabawy.

— Nigdy przecież nie znaleźli listu Nixona z jego rezygnacją — ktoś dodał.

— Może schował go do kieszeni Henry K.? — wtrącił trzeci głos.

— Jutro. Rozpoczynamy o dziesiątej. Wszyscy. Ja również — zakończył Adler, który też był zdania, że to strata czasu.

\* \* \*

Miał jasną karnację, szare oczy i rudawe włosy. Sądził, że jest to spadek po jakiejś Angielce, wplątanej w losy minionych pokoleń. W każdym razie taki żart krążył w rodzinie. Jedną z korzyści było to, że mógł uchodzić za Europejczyka. A ponieważ był bardzo ostrożny, mógł to czynić nadal. Przed nielicznymi operacjami farbował włosy i zakładał ciemne okulary. Dawniej zapuszczał też brodę — czarną! — z czego pokpi-

wano w jego środowisku, nazywając go Gwiazdorem. Wielu z kpiarzy już nie żyło. On przetrwał. Izraelczycy być może mieli jego fotografię. Z Izraelczykami nigdy nic nie wiadomo, wiadomo natomiast, że rzadko dzielili się informacjami. Nawet ze swymi amerykańskimi opiekunami, co już było głupotą. A poza tym nie można martwić się wszystkim, jakimiś fotografiami w jakiejś szafie Mossadu.

Z Frankfurtu przyleciał na podwazyngtońskie lotnisko imienia Dullesa. Zabrał dwie torby podróżne — idealne rekwizyty poważnego biznesmena, jakim był w istocie. Nie miał nic do zadeklarowania celnikom oprócz litra szkockiej whisky kupionej w bezcłowym sklepie portu lotniczego we Frankfurcie. Cel podróży do Stanów? Trochę dla przyjemności, trochę dla biznesu. Bezpiecznie się teraz chodzi po Waszyngtonie? Okropne to, co się stało. Widział to chyba ze sto razy w telewizji. Straszne, prawda? Bezpiecznie? Naprawdę? A więc wszystko powraca do normy? Wspaniale! Wynajęty samochód czekał na parkingu. Zmęczony długim lotem, pojechał do pobliskiego hotelu. W hotelu kupił gazetę, zamówił kolację do pokoju i włączył telewizor. Następnie wyjął z podróżnej torby laptopa i podłączył do telefonu — wszystkie hotelowe telefony w Ameryce miały już odpowiednie gniazdko. Włączył się w Internet, by zawiadomić

Badrajna, że przybył do kraju, w którym miał dokonać handlowego rekonesansu. Specjalny program przekształcił kodowane zdanie w absolutny bełkot elektroniczny.

\* \* \*

— Witam panów! Jestem John Clark — zwrócił się John do piętnastu uczestników pierwszego kursu. Na ten poranek ubrał się staranniej niż zwykle: dobrze skrojony garnitur, wyprasowana koszula i krawat w prążki. Najpierw chciał zrobić wrażenie wyglądem. Potem dopiero w inny sposób. Wybranie pierwszej piętnastki okazało się łatwiejsze, niż zakładano. Mimo konkurencji Hollywood, a może dzięki jego produkcji, CIA stała się instytucją bardzo popularną wśród amerykańskich obywateli. Zawsze jest co najmniej dziesięciu kandydatów na każdy wolny etat. Wystarczyła więc komputerowa weryfikacja wszystkich podań, aby znaleźć owych piętnastu, którzy odpowiedzialiby parametrom planu BŁĘKIT. Każdy z wybranych był policjantem z uniwersyteckim dyplomem, miał za sobą co najmniej czteroletni staż w policji i czysty jak łąza życiorys, nadal drobiazgowo sprawdzany przez FBI. Sami mężczyźni. To chyba błąd, pomyślał John, ale chwilowo nie miało to większego znaczenia. W większości biali, dwóch czar-

nych, jeden Azjata. Głównie z policji wielkowiejskich. Wszyscy znali co najmniej dwa języki obce.

— Jestem terenowym oficerem wywiadu — oświadczył John. — Nie agentem, nie szpiegiem, nie funkcjonariuszem operacyjnym, ale oficerem wywiadu. Pracuję w tym biznesie od dłuższego czasu. Jestem żonaty i mam dwoje dzieci. Jeśli któryś z was oczekuje szalonych nocy z platynowymi blondynkami albo strzelania do wszystkiego, co się rusza, to niech stąd zmyka. Robota jest przeważnie cholernie nudna, zwłaszcza jeśli ktoś jest na tyle mądry, że ją wykonuje tak, jak powinien. Wszyscy jesteście policjantami, więc doskonale wiecie, o co w tym interesie chodzi. Zajmujemy się przestępstwami na bardzo wysokim szczeblu. Naszym zadaniem jest uzyskanie odpowiednio wcześniej i odpowiednio dobrych informacji, aby zapobiec tym przestępstwom, nim zaczną ginąć ludzie. Osiągamy nasz cel, uzyskując informacje i przekazując je tym, którzy ich potrzebują. To robimy my. Inni oglądają zdjęcia satelitarne lub czytają cudzą korespondencję. My odwalamy najcięższą robotę. Mamy uzyskiwać informacje od ludzi. Niektórzy są porządni i przekazują dobre informacje. Niektórzy nie są tacy porządni i żądają pieniędzy lub chcą się na kimś zemścić, lub czuć się kimś ważnym. Nas nie obchodzi, kim oni



są. Każdy z was pracował z ulicznymi informatorami. Wasi informatorzy będą często ludźmi wykształconymi, reprezentującymi wpływy i tak dalej, ale w istocie będą bardzo podobni do tych, z którymi już pracowaliście. I będą żądać od was tego samego: lojalności i ochrony. A od czasu do czasu będziecie musieli któregoś przycisnąć. Jeśli się w robocie poślizgniecie, to wasz człowiek zginie, a czasami, w niektórych miejscach, w których przyjdzie wam działać, zginie też jego żona i dzieci. Nie myślcie sobie, że żartuję albo tylko was straszę. Będziecie pracowali w krajach, gdzie prawo oznacza wyłącznie to, co ktoś chce, żeby w danej chwili oznaczało. W minionych dniach widzieliście dostatecznie dużo w telewizji, prawda? — spytał. Egzekucje kierownictwa partii Baas były pokazywane przez wszystkie sieci na całym świecie, poprzedzane rutynowym ostrzeżeniem, by chronić przed tymi przekazami dzieci i osoby wrażliwe, które zresztą po tym ostrzeżeniu jeszcze chętniej wszystko oglądały.

Piętnastu mężczyzn poważnie skinęło głowami.

— W większości wypadków nie będziecie mieli broni. Macie używać szarych komórek, by przeżyć, bo czasami będziecie ryzykować życiem. Straciłem wielu przyjaciół w terenie. Niektórych w miejscach znanych wam z telewizji czy lektury, innych w miej-

scach, o których nawet nie słyszeliście. Teraz świat jest być może lepszy, ale nie wszędzie. Ale wy nie pojedziecie do tych lepszych miejsc — zapowiedział John. Siedzący w głębi sali Ding Chavez z trudem opanowywał śmiech.

— A dobre strony naszej roboty? — rzucił retoryczne pytanie John. — Podobnie jak dobre strony roboty policyjnej. Każdy zły, którego zgarniecie z ulicy, to ocalenie czyjegoś życia. W waszej nowej robocie uzyskanie dobrej informacji i dostarczenie jej w odpowiednie miejsce też może ocalić życie. Może ocalić życie milionom ludzi.

John rozglądał się przez chwilę po swoich podopiecznych.

— Jestem waszym instruktorem. Wychowawcą klasy. Szkolenie będzie trudne, wyczerpujące, ale i dające zadowolenie. Zaczynamy jutro o ósmej trzydzieści rano. Do zobaczenia. — John zszedł z podwyższenia i ruszył w kierunku wyjścia. Chavez otworzył przed nim drzwi. Po chwili znaleźli się na świeżym powietrzu.

— Panie C, gdzie mogę się zapisać, żeby mieć to zadowolenie? — zażartował.

— Przecież musiałem im coś powiedzieć. — Była to najdłuższa od wielu lat oracja Johna.

— Co musiał zrobić Foley, żeby skompletować tę drużynę rekrutów? — spytał Ding.

— Dożynki za pasem. Trzeba było szybko działać.

— Myślę, że powinieneś być parę tygodni poczekać. Foley też jeszcze czeka na zatwierdzenie przez Senat — stwierdził Ding. — No ale jestem tylko młodszy szpion. Co ja tam mogę wiedzieć?

— Czasami zapominam, jaki z ciebie wyrósł cwaniak.

\* \* \*

— Kim, do cholery, jest Żeng Han San? — spytał Ryan.

— Facetem, którego szukamy. Pięćdziesiąt kilka lat, ale wygląda dużo młodziej, średniego wzrostu i, jak powiada nasz przyjaciel, średni we wszystkim innym — meldował Dan Murray, zerkając w notatki. — Aha, dziesięć kilo nadwagi w stosunku do wzrostu. Myślący, spokojny i załatwił Yamatę.

— O? — zdziwiła się Mary Pat Foley. — A jak?

— Yamata była na Sajpanie, kiedy opanowaliśmy sytuację. Zadzwoił do Pekinu w poszukiwaniu bezpiecznego schronienia. Żeng zachował się, jakby faceta nie znał.

Umowa? Żadnej umowy nie było. Żeng odłożył słuchawkę i Yamata drugi raz już nie uzyskał połączenia. Nasi japońscy przyjaciele uważają to za osobisty afront i zdradę.

— Wydaje się, że śpiewa jak kanarek — zauważył Ed Foley. — Czy to nie wydaje się podejrzane?

— Nie — odparł Ryan. — Podczas drugiej wojny światowej japońscy jeńcy, którzy wpadli nam w ręce, śpiewali jeszcze głośniej.

— Pan prezydent ma rację — potwierdził Murray. — Pytałem Tanakę właśnie o to. Twierdzi, że to sprawa kultury. Yamata chce odebrać sobie życie. W kręgu ich kultury uznaje się to za postępowanie honorowe. Ale oni pilnują go przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Zabrali mu nawet sznurowadła. Facet uważa, że jest tak doszczętnie zhańbiony, iż nie ma już sensu zachowywania niczego w tajemnicy. Cholernie skuteczna technika przesłuchań. Poza tym Żeng jest rzekomo dyplomata. Yamata twierdzi, że był oficjalnym członkiem delegacji handlowej. Departament Stanu nigdy o nim nie słyszał. Japończycy nie mają go na żadnej liście dyplomatów. Dla mnie to oznacza jedno: szpieg, a więc... — spojrzął na Foleyów.

— Wrzuciłam go do komputera — odparła Mary Pat. — Zero. Ale skąd wiemy, że to prawdziwe nazwisko?

— Nawet gdyby było prawdziwe, to też niewiele by nam to dało — wtrącił Ed Foley. — Wiemy wyjątkowo mało o ludziach ich wywiadu. Jeśli jednak wolno mi zgadywać, to zaryzykuję hipotezę: facet nie jest szpiegiem, ale dyskretnym przedstawicielem rządu. Dlaczego tak sądzę? Ponieważ zawarł umowę o dużym wymiarze. W wyniku tej umowy ich siły zbrojne są nadal w stanie podwyższonej gotowości bojowej. Dlatego Rosjanie są tacy zdenerwowani. Kimkolwiek jest ten facet, jest na pewno liczącym się graczem.

Nie była to rewelacja na miarę trzęsienia ziemi.

— Czy możecie coś zrobić, żeby się dowiedzieć? — spytał delikatnie Murray.

Mary Pat pokręciła głową. — Nie mamy na miejscu ludzi, to znaczy nie mamy takich, którzy byliby przydatni w tej sprawie. W Hongkongu mamy dobrą parę małżeńską, która zmontowała niezłą niewielką siatkę. Mamy paru ludzi w Szanghaju. W Pekinie też paru agentów na niskich szczeblach w Ministerstwie Obrony, ale to są inwestycje na przyszłość, kiedy awansują. Wykorzystanie ich teraz nie przydałoby się na nic, a tylko

zagroziło ich bezpieczeństwu. Dan, powiedzmy sobie szczerze: główny nasz problem z Chinami polega na tym, że właściwie nie wiemy, jak funkcjonuje ich rząd. Istnieje tyle różnych niesłychanie skomplikowanych płaszczyzn i piętér władzy, że możemy tylko zgadywać. Członkowie politbiura są chyba rozszyfrowani. Tak nam się w każdym razie wydaje. Ostatnio nabraliśmy podejrzeń, że jeden z członków biura nie żyje. Nie jesteśmy pewni. Od miesiąca usiłujemy to wyniuchać. Nawet Rosjanie nas informowali, kiedy grzebali swoich. Ale nie Chińczycy — zauważyła zastępczyni dyrektora pionu operacyjnego i wypła łyżek wina. Ryan zaczął lubić te sesje z najbliższymi współpracownikami, po godzinach biurowych, przy drinku. Nie przyszło mu nawet do głowy, że przedłuża ich dzień pracy. I że omija swego doradcę do spraw bezpieczeństwa narodowego. Ale chociaż Ben Goodley był zarówno lojalny jak i mądry, Ryan nadal wołał, jeśli mógł, usłyszeć wszystko z pierwszych ust.

Ed Foley przejął pałeczkę: — Bo to jest tak: dostrzegamy i rejestrujemy różnorodność polityczną na szczytach władzy, ale nigdy nie mieliśmy dobrego rozeznania, jeśli idzie o drugich skrzydków. Politbiuro to ludzie starsi, którzy już są ograniczeni fizycznie. Muszą mieć jakieś inne oczy i uszy. I przez lata ci ich pomocnicy zgroma-

dzili w swoich rękach wielką władzę. Powstaje pytanie: kto naprawdę rządzi? Właśnie tego na pewno nie wiemy. I nie możemy wiedzieć, dopóki ich nie zidentyfikujemy.

— Dobrze was rozumiem — odparł Murray, sięgając po kufel z piwem. — Kiedy zajmowałem się przestępczością zorganizowaną, czasami identyfikowaliśmy jakiegoś *capo* długo podpatrując, kto komu otwiera drzwi limuzyny. Cholerna robota. — Całość tej wypowiedzi składała się na największy komplement, jaki CIA kiedykolwiek otrzymała od FBI. — Kiedy głębiej się nad tym zastanowić, dochodzi się do wniosku, że zachowanie operacyjnej ostrożności nie jest znowu tak trudne.

— Argument na rzecz planu BŁĘKIT — mruknął Ryan. Dyrektor pionu operacyjnego pokiwał głową. — Mogę obwieścić dobrą nowinę. Pierwsza piętnastka rozpoczyna szkolenie. Dziś rano John wygłosił powitalne przemówienie.

Ryan przejrzał plan redukcji etatów w CIA. Ed zabrał się do tego z siekierą, proponując zmniejszenie budżetu Firmy o pięćset milionów dolarów w przeciągu pięciu lat, przy jednoczesnym zwiększeniu liczby ludzi w terenie rozumianym globalnie. To powinno zadowolić Kongres, chociaż niewielu będzie o tym wiedziało, gdyż poważna część właściwego budżetu CIA ukryta jest w różnych pozycjach federalnych wydatków.

A może jednak wiadomość ujrzy światło dzienne, pomyślał Jack. Przeciek jest bardzo prawdopodobny.

Przeciek. Nienawidził ich w całej swojej karierze. Ale teraz przecieki były częścią sztuki rządzenia. I czy w związku z tym powinien zrewidować swój pogląd w tej kwestii? Czy teraz przecieki są w porządku, skoro on sam je robi? Psiakrew! Prawa i zasady nie powinny zależeć od widzimisię jednej osoby.

\* \* \*

Ochroniarz miał na imię Saleh. Był okazałej budowy, silny, jak wymagała tego praca. I nie powinien poddawać się chorobom czy słabościom. Człowiek tej profesji nie przyznaje się po prostu, że coś mu dolega. Skoro jednak dolegliwości nie ustępowały, wbrew zapowiedziom lekarza — Saleh wiedział, że wszyscy ludzie są podatni na problemy żołądkowe — a w dodatku po oddaniu moczu zobaczył krew w muszli klozetowej, no to wtedy... Ludzkie ciało nie wydala krwi, chyba że człowiek jest ranny albo zaciął się przy goleniu. W każdym razie nie wydala w czasie normalnej czynności fizjologicznej. A jeśli wydala, to są podstawy do niepokoju, tym większego, że dotknęło



to kogoś zdrowego jak byk. Jak wielu innych, Saleh przez pewien czas zwlekał, licząc, że to może chwilowa dolegliwość, która szybko zniknie, tak jak znikają objawy przeziębienia. Ale było coraz gorzej i wreszcie strach przeważył. Opuścił willę przed świtem, wsiadł do samochodu i ruszył w kierunku szpitala. W drodze musiał się zatrzymać, gdyż napadły go nudności. Wsiadł i zwymiotował na ulicę. Nie patrząc na to, co zostawia, wsiadł i pojechał dalej. Z każdą minutą czuł się słabszy. Resztkami sił dobrnął z wozu do szpitalnych drzwi. W nędznej izbie przyjęć czekał, podczas gdy szukano jego karty ze szpitalnej rejestracji. Przerazały go zapachy środków dezynfekcyjnych, które wywołują taki lęk u psa, że nie chce iść, wyrywa się ze smyczy, skamle, ponieważ w jego świadomości zapachy te kojarzą się z bólem. Wreszcie czarnoskóra pielęgniarka wywołała nazwisko pacjenta. Saleh wstał, wyprostował się i wszedł do tego samego gabinetu, w którym już raz był.

\* \* \*

Druga dziesiątka przestępców niewiele różniła się od pierwszej, tyle że nie było w niej odszczepieńca. Trudno byłoby ich polubić, pomyślał Moudi, patrząc na zapa-

dłe szare twarze i spowolnione ruchy. I te twarze! Wyglądali właśnie jak kryminaliści. Żaden nie patrzył mu prosto w oczy, mieli rozbiegane spojrzenia, jakby tylko szukali okazji do ucieczki czy przestępstwa. Na ich twarzach malowały się jednocześnie strach i okrucieństwo. I chociaż doktor sam uznał, że jest to dość powierzchowna obserwacja, tkwił przy swoim: różnili się od niego i wszystkich innych ludzi, których znał.

— Mamy tu grupkę chorych — powiedział im. — Przydzielono was do opieki nad nimi. Jeśli dobrze wykonacie swoją pracę, wyszkolimy was na sanitariuszy. I zostanieie nimi w waszych więzieniach. Jeśli będziecie się lenić, to powrócicie do waszych cel. Nieposłuszeństwo lub niewłaściwe zachowanie będą natychmiast surowo karane.

Skinęli głowami. Znali surowość kar w irańskich więzieniach, które nie były wzorami penitencjarnych zasad. I nie karmiono w nich po ludzku. Wszyscy więźniowie mieli ziemistą cerę i zaropiałe oczy.

Czy tacy ludzie zasługują na troskę? — zapytywał siebie doktor. Chyba nie. Każdy z nich popełnił jakąś zbrodnię. Albo wiele zbrodni. Chodziło o poważne przestępstwa. A ile z nich jeszcze umknęło wymiarowi sprawiedliwości, to już wiedzą tylko sprawcy i Allah. Resztką litości, jaka jeszcze ostała się w Moudim, było cząstką osadu pozosta-

łego po studiach medycznych, które nakazywały dostrzegać przed sobą istoty ludzkie bez względu na to, kim są. Ale nie wątpił, że tę słabość uda mu się pokonać. Bandyci, złodzieje, pедераści — wszyscy pogwałcili prawo w kraju, gdzie prawo pochodzi od Boga. Jest surowe, ale sprawiedliwe. Amnesty International już dawno przestała biado-lic na temat irańskich więzień. Może więc będzie mogła zwrócić baczniejszą uwagę na inne sprawy, jak, na przykład, na złe traktowanie wiernych w krajach Zachodu. W tej dziesiątce z pewnością nie było świętego, zresztą świętym można zostać tylko wtedy, kiedy się nie żyje. Zobaczymy, czy los tej dziesiątki jest wyznaczony tą samą ręką w księdze życia i śmierci. Skinał głową w kierunku więziennego dozorca, który zaczął wykrzykiwać polecenia nowym „sanitariuszom”.

Już poprzednio zostali zarejestrowani, wykapani, ogoleni, zdezynfekowani, przebra-  
ni w szpitalne zielone fartuchy z liczbą od jednego do dziesięciu na plecach. Na nogach  
mieli pantofle z grubej tkaniny. Uzbrojeni strażnicy odprowadzili ich do drzwi komo-  
ry sterylizacyjnej, w której znajdowali się wojskowi sanitariusze oraz jeden uzbrojony  
strażnik, trzymający się w ostrożnej odległości. W dłoni w rękawiczce trzymał pistolet.  
Moudi powrócił do aseptycznej salki obserwacyjnej z monitorami. Na czarno-białych

ekranach obserwował więźniów idących korytarzem, rozglądających się ciekawie na lewo i prawo — z pewnością w poszukiwaniu drogi ucieczki. Uzbrojony strażnik szedł parę metrów za nimi. Od czasu do czasu więźniowie odwracali głowy w jego kierunku. Po drodze wydawano nowym przybyszom sprzęt: plastikowe kubły, gąbki i szmaty. Kubły też były numerowane.

Nieco zaniepokoił więźniów fakt, że wojskowi sanitariusze mieli na sobie ochronne kombinezony. Cóż jednak mogli zrobić? Człapali dalej. Wrośli w ziemię dopiero po przekroczeniu progu szpitalnej sali. Zatrzymał ich zapach, a może widok. . .

Jeden z sanitariuszy wskazał na monitor, na którym widać było człowieka zamarłego w progu. Po chwili człowiek ten zaczął coś mówić. Cisnął kubłem o ziemię i wygrażał pięścią, podczas gdy pozostali przyglądali się, ciekawi, co nastąpi dalej. Zza skraju obrazu wychynał strażnik z wycelowaną bronią. Strzelił z odległości dwóch metrów. Dziwne było widzieć strzał, ale go nie słyszeć. Kula trafiła w sam środek twarzy kryminalisty. Padł na ziemię. Na ścianie pozostały czarne plamy. A przynajmniej takie wydawały się na monitorze. Najbliżej stojący wojskowy sanitariusz wskazał palcem jednego z więźniów i wydał jakieś polecenie. Więzień podniósł kubel i wszedł do sali chorych.

Z tą grupą więźniów nie powinno być więcej kłopotów. Moudi przeniósł wzrok na sąsiedni monitor.

Tym razem był to kolorowy ekran. Połączono go z obrotową kamerą wyposażoną w obiektyw o zmiennej ogniskowej. Moudi ustawił kamerę na łóżko w rogu. Pacjent nr 1. Nowy przybysz z jedynką na plecach i wiadrem w ręku stanął w nogach łóżka, nie wiedząc, co ma dalej robić. W salce był mikrofon, ale niezbyt dobrze zbierał dźwięki. Zamontowano mikrofon kierunkowy zamiast pól sferycznego. I tak strażnicy wyłączali go podczas swoich dyżurów, gdyż z głośnika dobiegały jedynie krzyki, jęki i rżenia umierających. Chorzy na ebolę w obecnym stanie nie budzili już obaw, że będą próbować buntu. Jak można było przewidzieć, najgorszy był nadal odszczepieniec: stale się modlił i nawet usiłował pocieszyć tych, do których mógł sięgnąć ze swego łóżka. Co więcej, usiłował innych namówić do modlitwy, ale to były nieodpowiednie modlitwy. Poza tym więźniowie nie należeli do kategorii rozmawiających z Bogiem nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach.

Tak więc sanitariusz nr 1 stał chyba przez minutę, spoglądając na pacjenta z tym samym numerem, z nogą przykutą do łóżka. Moudi przesunął lekko kamerę i zrobił

zbliżenie przykutej kostki. Stalowa bransoleta zdarła skórę z nogi i wgryzła się w ciało. Materac pod spodem był czerwony od krwi. Leżący człowiek — przestępca, poprawił się w myślach Moudi — wił się jakby w zwolnionym tempie. Sanitariusz przypomniał sobie, co mu nakazano. Włożył lateksowe rękawiczki, zwilżył gąbkę i przetaił nią czoło umierającego. Moudi ustawił obiektywy kamery na szeroki plan. Pozostali więźniowie-sanitariusze zrobili to samo, co ich kolega nr 1. Gromadka wojskowych sanitariuszy wycofała się.

Nie myślano już o żadnym poważniejszym leczeniu chorych. Nie było sensu tego robić, ponieważ ludzie ci już spełnili wyznaczoną im rolę. A więc żadnych zastrzyków, żadnych obchodów, żadnych testów. Badania pod mikroskopem wykazały, że wszyscy więźniowie zostali zakażeni wirusem ebola. Stwierdzono, że szczep Mayinga może przenosić się drogą kropelkową, czyli podczas kaszlu lub kichania. Teraz pozostało tylko sprawdzić, czy wirus nie tracił swoich zabójczych zdolności przy reprodukcji w ciele nowych ludzkich królików doświadczalnych... i że nowa generacja jest na tyle silna, by powędrować ku ofiarom w strumieniu aerozolu, zarażając je równie skutecznie, jak została zarażona pierwsza dziesiątka więźniów. Moudi widział, że w zasadzie druga

dziesiątka robi, co jej nakazano, ale robi to niedbale, przecierając czoła chorych mało łagodnymi ruchami. Zaledwie paru okazywało prawdziwe współczucie. Być może Allah to dostrzeże i okaże tym ostatnim litość, gdy nadejdzie ich czas za niespełna dziesięć dni.

\* \* \*

— Oceny semestralne dzieci — powiedziała Cathy, gdy Jack wszedł do sypialni.

— Dobrze czy źle? — spytał.

— Sam obejrzyj — odparła.

Co też w nich znajdę? — pomyślał prezydent, biorąc świadectwa do ręki. W zasadzie nie były złe. Dołączone opinie — każdy nauczyciel uzasadniał krótko wydanie takiego a nie innego stopnia — stwierdzały, że od paru tygodni wypracowania domowe uległy wyraźnej poprawie... aha, maczali więc w tym palce agenci Oddziału. Zabawne. No tak, ale to miało i inny, mniej przyjemny aspekt: obcy ludzie wyręczali go w obowiązkach ojca. Lojalność agentów podkreślała tylko fakt, że zawiódł. Nie spełnia swego obowiązku wobec własnych dzieci.

— Jeśli Sally zamierza kiedykolwiek dostać się na Hopkinsa, musi bardziej przykładać się do fizyki — zauważyła Cathy.

— To jeszcze dzieciak. . . — Dla ojca będzie zawsze małą dziewczynką, która. . .

— Sally dorasta. I wiesz co? Interesuje ją pewien młody futbolista. Na imię mu Kenny i jest. . . Jak oni to nazywają. . . ? aha, „odlotowy” — zameldowała żona. - Kenny’emu przydałby się także fryzjer. Nosi włosy dłuższe od moich.

— Czy nie jest jeszcze za młoda. . . — skomentował prezydent.

— Dziwne, że tak późno. Ja zaczęłam chodzić na randki, kiedy miałam. . .

— Nie chcę nic wiedzieć.

— Ale w rezultacie wyszłam za ciebie, panie prezydencie. . .

— I to dość dawno temu. . .

— Którędy droga do sypialni Lincolna? — spytała Cathy.

Jack spojrział na jej stolik nocny i zobaczył szklankę. Cathy wypila parę drinków. Jutro nie będzie operowała.

— Lincoln nigdy tam nie spał, mała. Nazywają to sypialnią Lincolna, ponieważ. . .



— Wiem. Obraz. Ale podoba mi się łóżko — odparła z uśmiechem. Odłożyła lekar-  
skie notatki i zdjęła okulary do czytania. A potem wyciągnęła ręce do Ryana. — Wiesz  
co, jeszcze nie kochałam się z najpotężniejszym mężczyzną na świecie. W każdym razie  
nie w tym tygodniu.

— A czas jest dobry? — spytał. Cathy nigdy nie używała pigułek antykoncepcyj-  
nych.

— Dlaczego nie ma być dobry? — Cathy miewała okresy równie regularnie jak  
tykanie metronomu.

— Nie chcesz przecież jeszcze...

— Może jest mi to obojętne?

— Przecież masz czterdzieści lat — przypomniał mało delikatnie Jack.

— Dzięki za przypomnienie. Ale nie pobiłabym rekordu... Co cię trapi?

Jack długo milczał. — Nie, nie, nic. Nie zrobiłem tej wasektomii. A miałem...

— Nie zrobiłeś. Nawet nie rozmawiałeś o tym z Pat. A miałeś porozmawiać. A je-  
ślibyś zrobił to teraz — dodała ze zjadliwym uśmiechem — napiszą o tym wszystkie  
gazety. A nawet może obejrzymy komunikat lekarski w telewizji. Ilustrowany zdję-

ciami. Kto wie, może Arnie wytłumaczy ci, że to dobry przykład dla członków partii zerowego przyrostu naturalnego... Z drugiej strony, trzeba pamiętać o bezpieczeństwie narodowym...

— Co ty bredzisz?

— Wcale nie bredzę. Prezydent Stanów Zjednoczonych bez jaj. Kto będzie szanował taką Amerykę?

Jack miał nieprzepartą ochotę wybuchnąć śmiechem, ale się powstrzymał. Mogła usłyszeć nocna zmiana agentów Oddziału na korytarzu.

— Co w ciebie dziś wstąpiło? — spytał.

— Może wreszcie przyzwyczajam się do tego wszystkiego. A może mam po prostu ochotę na...

W tym momencie zadzwonił telefon przy łóżku. Cathy ze złością sięgnęła po słuchawkę, klnąc pod nosem.

— Słucham? Tak, doktorze Sabo. Pani Emory? Rozumiem... Nie. Nie sądzę... dajcie coś na sen... Bandaży nie zdejmować, póki nie powiem. I wpisać na kartę, co jej dajecie. Pani Emory uwielbia robić szum o byle co. Tak. Dobranoc, doktorze! — Odło-

żyła słuchawkę i zaczęła wyjaśniać: — Wszczepiłam jej soczewkę. Przed paroma dniami. Ona nie lubi mieć przewiązanego oka. Ale jeśli zdejmę zbyt wczesnie osłonę. . .

— Chwileczkę. Twój kumpel ze szpitala dzwoni bezpośrednio do naszej sypialni?

Była to linia nie przechodząca przez centralę, chociaż na ciągłym podsłuchu, jak wszystkie linie Białego Domu. W każdym razie powinna być na podsłuchu. Ryan o to nie pytał i chyba nie chciał wiedzieć.

— Miał przecież numer do poprzedniego domu. O co ci chodzi? Ja lekarz, ja leczyć, ja profesor. Do mnie dzwonić jak pacjent chora. Zwłaszcza taki babsztyl.

— *Interruptus* — powiedział Jack, kładąc się obok żony. — Nie chcę więcej dzieci. Ty chcesz?

— Ja chcę się kochać z mój mąż. Ja mam dość patrzeć w kalendarz. A jeśli chodzi o dzieci. . . Co ma się stać, to się stanie. Przypominasz mi moich pacjentów, tych starszych. . . — Uśmiechając się, dotknęła jego twarzy. — Nie myślę o tym. Lubię być kobietą. . .

— Też lubię, kiedy nią jesteś. . . — odparł.

## 27 — Wyniki

Niektórzy mieli dyplomy z psychologii. Ten kierunek studiów jest popularny wśród funkcjonariuszy porządku publicznego. Jeden z ochroniarzy zdobył nawet doktorat, napisawszy pracę o typowych profilach psychologicznych przestępców. Wszyscy zaś, łącznie z tymi bez dyplomów, mieli jeden niezastąpiony talent: umieli czytać w myślach. W tej dziedzinie Andrea Price była mistrzem. Chirurg szła do helikoptera wyjątkowo sprężystym krokiem. Miecznik odprowadził ją przed chwilą na parter i na pożegnanie pocałował. Pocałunek był zwyczajny, natomiast trzymanie się za ręce w windzie nie. W każdym razie nie ostatnio. Zwyczajny nie był również ten energiczny krok. Pri-

ce wymieniła spojrzenie z paroma agentami i wszyscy się zrozumieli, jak to policjanci potrafią, i uznali, że to bardzo dobrze. Tylko Raman, który był sztywniejszy, niczego po sobie nie pokazał. Jego pasją był sport i Andrea wyobrażała go sobie spędzającego wszystkie wieczory przed ekranem telewizyjnym. Pewno nawet nastawiał magnetowid na nagrywanie sportowych programów, kiedy akurat miał służbę. No cóż, w Oddziale są ludzie o różnej mentalności.

— Jak wygląda dzisiejszy dzień? — spytał Jack, gdy helikopter oderwał się od ziemi.

— Chirurg leci — jednocześnie usłyszała Andrea w słuchawce. -Wszystko w porządku — meldowali obserwatorzy ze swoich stanowisk na dachach budynków rządowych wokół Białego Domu. Przez ostatnią godzinę, tak jak co dzień, dokładnie badali każdy skrawek terenu. Na ulicach byli ci sami co zwykle ludzie. Agenci nazywali ich „swoimi”, gdyż znali ich z widzenia. Pojawiali się często. Niektórzy byli zafascynowani Pierwszą Rodziną, wszystko jedno jaką. Dla nich Biały Dom był scenerią najprawdziwszej amerykańskiej opery mydlanej. Dla ochroniarzy „swoi” stanowili zagrożenie przez sam fakt swego istnienia. Psychologowie Tajnej Służby usiłowali zrozumieć po-

wody, które tym ludziom kazały raz po raz przychodzić pod Biały Dom. Zrozumienie przychodziło im trudno. Fascynacja „Dynastią” czy „Dallas”, która kazała szukać ciągu dalszego w pobliżu najbardziej znanej rezydencji w kraju? Chęć obejrzenia na własne oczy skrawków życia wysokich sfer? Tak, snajperzy, tkwiący na dachu sąsiadującego z Białym Domem dawnej siedziby rządu, Old Executive Building, oraz na dachu Departamentu Skarbu, znali wszystkich stałych bywalców obserwując ich codziennie przez potężne lornetki, znali także ich nazwiska, ponieważ między nimi kręcili się agenci udający włóczęgów lub zwykłych przechodniów. Wcześniej czy później każdy ze „swoich” zostanie sprawdzony. Agent szedł za nim aż do miejsca zamieszkania, sprawdzał nazwisko, po czym dyskretnie przeprowadzano wywiad środowiskowy. W wypadku jakichś wątpliwości, sporządzano portret psychologiczny delikwenta, a każdy wykazywał jakieś odstępstwa od normalności. Na tym nie koniec: agenci Tajnej Służby pracujący na zewnątrz sprawdzali, czy osobnik nie nosi broni. Stosowano w tym celu różne metody: potrącenie przez „biegacza” celebującego swój poranny jogging, dokładne obmacanie podczas podnoszenia z ziemi i gorącego przeproszania po uprzednim podstawieniu nogi. Dzisiejszego ranka nikt z ulicznej widowni nie wydawał się groźny.

— Wczoraj wieczorem nie przeczytał pan porządku dnia, panie prezydencie? — zadała niemądre pytanie Andrea, niespodziewanie oderwana od swych obowiązków pytaniem Ryana.

— Nie. Postanowiłem odrobić zaległości telewizyjne — skłamał Miecznik, nie zdając sobie sprawy, że jego kłamstwo zostało wykryte, zanim je wypowiedział.

Angela zauważyła, że prezydent nawet się nie zarumienił. Ze swojej strony nic po sobie nie pokazała. Nawet prezydent ma prawo do sekretów lub choćby do złudzenia, że je ma.

— Proszę wziąć mój egzemplarz, panie prezydencie. — Angela podała parę kartek. Ryan przeczytał pierwszą część, do południa. — Sekretarz skarbu przychodzi na śniadanie. Przed nim jest tylko Szuler.

— Jaki kryptonim ma u was George? — spytał Ryan, skręcając do Zachodniego Skrzydła.

— Kupiec. Bardzo mu się spodobał — odparła Angela.

— Dzień dobry, panie prezydencie! — Gdy Ryan wchodził do Gabinetu Owального, Ben Goodley czekał już obok biurka.

— Cześć, Ben. — Ryan rzucił na biurko rozkład dnia i przebiegł wzrokiem po blacie, czy nie czekają nań jakiś ważne dokumenty.

— No, to jazda! — powiedział, siadając.

— Ukradł mi pan całą chwałę, panie prezydencie, rozmawiając z ekipą Departamentu Stanu. Ale trudno. Mamy coś niecoś na temat Żenga. Jednej wersji już na pewno wysłuchał pan wczoraj...

Prezydent skinął głową i gestem dłoni polecił mówić dalej.

— Chińczycy wpuścili do Cieśniny Tajwańskiej piętnaście okrętów w dwu formacjach. Jedna sześć, druga dziewięć jednostek. Jeśli pan chce, mam tu dokładne rozbięcie na klasy, ale są to wszystko niszczyciele i fregaty. Z powietrza obserwuje je jeden *EC-135*. Mamy tam też nasz okręt podwodny „Pasadena”. Wcisnął się między obie formacje. Dwa inne okręty są w drodze z centralnego Pacyfiku. Przewidziany czas dotarcia na obszar naszego zainteresowania: pierwszy — trzydzieści sześć godzin, drugi — pięćdziesiąt. Dowódca Floty Pacyfiku, admirał Seaton, nakazał pośpiech i pełny dozór po przybyciu na miejsce. Proponowane przez Seatona rodzaje obserwacji są już na biurku



sekretarza obrony. Przedyskutowałem je przez telefon z Bretano. Widać, że Seaton zna się na robocie.

Goodley zaczerpnął powietrza.

— A teraz polityka. Rząd Tajwanu oficjalnie nie dostrzega manewrów. Jednakże ich sztabowcy są w kontakcie z naszymi okrętami za pośrednictwem dowództwa Floty Pacyfiku. Nasi ludzie będą siedzieli przy ich stacjach nasłuchowych... — Goodley spojrzął na zegarek. — Może już nawet siedzą. Departament Stanu uważa, że nic wielkiego się nie dzieje, ale też pilnie obserwuje.

— Ogólna ocena sytuacji? — spytał Ryan.

— Mogą to być rutynowe ćwiczenia, niemniej szkoda, że nie wybrali innego czasu. Nie widać żadnych jawnych prób wywarcia nacisku.

— I dopóki czegoś takiego nie dostrzeżemy, nie będziemy natrętni. W porządku, my również oficjalnie nie dostrzegamy manewrów. Zachowujemy milczenie i nic nie mówimy o wysłaniu naszych okrętów. Żadnych komunikatów, żadnych informacji podczas konferencji prasowych. Jeśli nas będą pytać, wznosimy ramionami i mówimy, że to nic wielkiego.

Goodley skinął głową. — Teraz Irak. Informacji nadal mało. Ich telewizja dostała religijnego bzika. Szyici. Irańscy duchowni, których tam oglądamy, mają nieograniczony czas antenowy. Dzienniki telewizyjne podają głównie religijne informacje. Komentatorzy coraz bardziej histeryczni. Egzekucje w pełnym toku. Nie mamy pełnej listy, ale liczba rozstrzelanych z pewnością przekroczyła setkę. Może to już koniec? Kierownictwo partii Baas przestało istnieć. Pomniejsze rybki są za kratkami. Coś tam pisnęli w telewizji o tym, jak szlachetny i litościwy jest rząd tymczasowy wobec „pomniejszych przestępców”. To cytat. Owa litościwość jest religijnie uzasadniona, a poza tym coś mi się wydaje, że „pomniejsi przestępcy” wrócili na łono Allacha. Mamy zdjęcia z ich telewizji, jak siedzą wokół imama i roztrząsają swoje grzechy. Jeszcze jedna warta zasygnalizowania sprawa: zorganizowana aktywność, wyraźnie wzmożona, w irańskiej armii. Jednostki gorliwie ćwiczą. Mamy nasłuchy rozmów na wojskowych częstotliwościach dowodzenia taktycznego. Rozmowy rutynowe, ale bardzo ich dużo. Więcej niż zwykle. Mieli nocną sesję w Departamencie Stanu, żeby się w tym połapać. Sesję zorganizował podsekretarz do spraw politycznych, Rutledge. Podobno do cna wymęczył facetów z Biura Wywiadu i Studiów Departamentu Stanu. — Biuro było najmniejszą

i najbiedniejszą krewną wywiadowczego światka, ale pracowała w nim garstka bardzo sprawnych analityków. Ich doskonale obeznanie ze światem dyplomacji, pozwalało czasami dostrzec to, czego inni nie zauważyli.

— Konkluzja? — spytał Ryan. — Z tej nocnej sesji?

— Żadnej konkluzji. — Goodley miał ochotę powiedzieć „oczywiście żadnej”, ale się powstrzymał. — Za jakąś godzinę będę z nimi rozmawiał.

— Nie lekceważ ludzi z WIS. Zwłaszcza uważnie słuchaj. . .

— . . . Berta Vasco. Wiem. Dobry chłop, ale szóste piętro doprowadza go do białej gorączki. Rozmawiałem z nim przed dwudziestoma minutami. Spytał, czy są gotowi, bo mają tylko czterdzieści osiem godzin. W ciągu tego czasu coś się stanie. Nikt się z tym nie zgodził. Nikt! — Szuler wybił to ostatnie słowo.

Ryan przechylił fotel do tyłu. — Uważasz, że ma rację?

— Brak jest dowodów wspierających jego ocenę. W CIA nie zgadzają się z nim, w Departamencie Stanu nie popierają jego stanowiska. Nawet mi nie powtórzyli jego argumentacji. Dopiero on mi to sam powiedział. Ale coś mi nie pozwala powiedzieć, że Vasco się myli. — Goodley zamilkł, zdając sobie sprawę, że myśli i mówi inaczej niż

myślałby i mówił każdy inny funkcjonariusz Agencji Bezpieczeństwa Narodowego. — Musimy się nad tym poważnie zastanowić, szefie. Vasco ma świetny instynkt. I jaja.

— No cóż, szybko się dowiemy. Vasco ma rację, czy jej nie ma, ale jest najlepszy z tych, którzy tam są. Załatw, żeby Adler z nim porozmawiał. I powiedz Scottowi, żeby zostawił go w spokoju, jeśli się okaże, że w przypadku Iraku nie miał racji.

— To mi się podoba, sir. Vasco pod prezydenckim parasolem. Może w ten sposób zachęcimy innych, żeby nie bali się samodzielnie pomyśleć.

— A Saudyjczycy? — spytał Ryan.

— Na razie żadnej reakcji. Moim zdaniem, boją się prosić o pomoc, póki nie zajdzie potrzeba.

— W ciągu najbliższej godziny porozum się z księciem Alim. Chcę znać jego opinię.

— Tak jest, sir.

— A jeśli on chciałby porozmawiać ze mną, powiedz mu, że może to uczynić o każdej porze dnia i nocy. I dodaj, że jest moim przyjacielem i że zawsze mam dla niego czas.

— To już wszystko, sir. — Goodley wstał. — Kto mi wybrał ten piękny kryptonim? Szuler?

— My — odezwał się kobiecy głos z kąta. Angela Price podniosła dłoń do minisluchawki w uchu. — W pańskich aktach jest notatka. Musiał pan nieźle grać w pokera w akademiku.

— Z pewnością czytała też pani, co moje dziewczyny o mnie mówiły. Ale nie chcę tego wiedzieć. — Po tych słowach doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego ruszył do drzwi.

Gdy wyszedł, Ryan powiedział:

— Pierwszy raz o tym słyszę, Andrea.

— Kiedyś wygrał duże pieniądze w kasynie w Atlantic City. Niedoceniają go z powodu młodego wieku. Już jest Kupiec — poinformowała.

Ryan rzucił okiem na rozkład zajęć. Aha, chodzi o wystąpienie George'a w Senacie. Prezydent jeszcze przez minutę tkwił nad listą porannych spotkań. W tym czasie pojawił się steward w mundurze Marynarki, niosąc tacę z lekkim śniadaniem.

— Panie prezydencie, sekretarz skarbu — anonsowała Angela Price z progu bocznych drzwi.

— Dziękuję. Zostaw nas samych — powiedział Ryan, wstając zza biurka, gdy do gabinetu wkroczył George Winston.

— Dzień dobry, sir — powitał prezydenta. Drzwi za nim cichutko się zamknęły. Sekretarz skarbu miał na sobie szyty na miarę garnitur, w dłoni trzymał papierową teczkę z paroma dokumentami. W odróżnieniu od Ryana, Winston przyzwyczyił się nosić marynarkę zawsze i wszędzie. Ryan zdjął swoją i rzucił na biurko. Obaj usiedli na bliźniaczych kanapkach, mając między sobą niski stolik.

— No więc, co słyhać po drugiej stronie ulicy? — spytał Ryan, nalewając sobie kawy, tym razem z kofeiną.

— Gdybym tak prowadził mój fundusz powierniczy, miałbym na karku inspekcję giełdową od rana do nocy i straciłbym licencję. Sprowadzam paru moich ludzi z Nowego Jorku. W Departamencie Skarbu pracuje zbyt wielu typków, których jedynym zajęciem jest patrzeć jeden na drugiego i wmawianie sobie, jacy to są ważni. Nikt za nic nie odpowiada. W Columbus Group często podejmujemy decyzje kolektywnie,

na wspólnych naradach, ale, na miłość boską, podejmujemy je we właściwym czasie, odpowiednio wcześniej, aby miały jakieś praktyczne znaczenie. Tu jest za dużo ludzi, panie prezy. . .

— Wciąż mam na imię Jack. W każdym razie w tych czterech ścianach. Wiesz, George. . . — Otworzyły się drzwi z sekretariatu i wszedł fotograf z Nikonem. Nie powiedział słowa. Rzadko kiedy się odzywał. Tylko pstrykał, a wszyscy udawali, że go nie ma. Wspaniała posada dla szpiega, przemknęło przez głowę Ryanowi.

— Dziękuję, Jack. Jak daleko mogę się posunąć? — spytał Kupiec.

— Już ci to raz powiedziałem. Twój departament, kierujesz nim, jak uważasz. Byleś mnie pierwszemu o wszystkim mówił.

— Właśnie ci teraz mówię. Mam zamiar zrobić redukcje. Chcę ustawić pracę tak jak w porządnym biznesie. — Chwilę się zastanawiał. — I mam zamiar zmienić ustawę podatkową. Boże drogi, jeszcze dwa dni temu nie miałem pojęcia, jak wszystko jest poplątane i pogmatwane. Poza tym. . .

— Pamiętaj, że nie wolno ci majstrować przy budżecie. Żaden z nas nie ma jeszcze odpowiedniego doświadczenia i dopóki Izba Reprezentantów nie zacznie funkcjonować

w nowym składzie. . . — Fotograf wyszedł, zadowolony, że udało mu się uchwycić prezydenta we wspaniałej pozie z dwiema rękami wyciągniętymi nad tacą ze śniadaniem.

— „Dziewczyna Miesiąca” — powiedział Winston, głośno się śmiejąc. — Pewno trafisz na rozkładówkę. — Wziął francuski rogalik i posmarował masłem. — Przeprowadziliśmy komputerową symulację. Wyszły nam dokładnie te same wpływy do budżetu, ale kto wie, Jack, czy w rzeczywistości nie wzrośnie wysokość funduszy dyspozycyjnych.

— Jesteś pewien? Czy nie musisz dokonać pełnej analizy?

— Nie, Jack. Żadnych dodatkowych analiz już nie potrzebuję. Sprowadziłem do Departamentu Marka Ganta. Mam go u boku jako doradcę. Zna na wylot wszystkie komputerowe symulacje. Lepiej niż ktokolwiek, kogo znam. Cały ubiegły tydzień spędził na rozgryzaniu budżetu. . . Nikt ci nie powiedział? System podatkowy jest nieustannie sprawdzany. Po co mi dodatkowa analiza? Biorę słuchawkę i po pół godzinie mam tysiącstronicowy elaborat na temat wpływów podatkowych w 1952 roku i jaki wpływ miał system podatkowy na każdy sektor gospodarki. — Sekretarz skarbu odsapnął na chwilę. — Wnioski? Wall Street jest bardziej skomplikowana, a używa prostszych metod.



I te metody sprawdzają się. Dlaczego? Właśnie dlatego, że są proste i łatwiejsze w zastosowaniu. I dokładnie za półtorej godziny zamierzam powiedzieć im to w Senacie. Oczywiście, jeśli się zgodzisz.

— Jesteś absolutnie pewien tego, co mówisz, George? — spytał Ryan. To był jeden z największych problemów prezydentury, a może nawet największy. Prezydent nie mógł sprawdzić wszystkiego, co robiono w jego imieniu. Sprawdzenie nawet jednego procentu już stanowiłoby heroiczny wysiłek. Nie mógł nic sprawdzić, a za wszystko był odpowiedzialny. Ta świadomość skazała wielu prezydentów na rolę bezwolnych obserwatorów wydarzeń. Całkowicie zawodzili jako menedżerowie.

— Zapewniam cię, Jack, że jestem tego absolutnie pewien. Tak pewien, że aż gotów zaryzykować wszystkie pieniądze moich inwestorów.

Dwie pary oczy spotkały się ponad śniadaniowym stolikiem. Obaj mężczyźni doskonale się znali i wiedzieli, ile każdy z nich jest wart. Prezydent mógł na przykład teraz powiedzieć, że narodowy budżet i dobro społeczeństwa ważą więcej niż te kilka miliardów dolarów, którymi Winston obraca w Columbus Group, ale nie powiedział. Winston zbudował swoje imperium inwestycyjne z niczego. Podobnie jak Ryan, czło-

wiek skromnych sfer, stworzył od podstaw wielką instytucję w gałęzi gospodarki, w której konkurencja jest wręcz przysłowiowo dzika. Jego narzędziami były głowa i głęboka uczciwość. Wyznawał zasadę, że powierzone mu pieniądze są ważniejsze niż jego własne. I zasadę tę skrupulatnie stosował. Dlatego też zdobył majątek, wpływy i znaczenie. Zawsze pamiętał, dzięki czemu osiągnął to, co osiągnął. Prezydent zastanawiał się jeszcze przez parę sekund i skinął głową.

— No to leć z tym do nich! — powiedział.

I w tym momencie Winston zaczął mieć wątpliwości. Zaskoczyło Ryana, że człowiek tak potężny jak sekretarz skarbu opuścił wzrok na stół i powiedział coś znacznie ciszej i mniej pewnie, niż brzmiała jego zapowiedź zaledwie kilka sekund wcześniej:

— Zdajesz sobie sprawę, że politycznie to wywoła. . .

Ryan mu przerwał: — To, co zamierzasz powiedzieć, jest dobre dla państwa, dla całego kraju?

— Tak jest, sir — padła odpowiedź, wzmocniona energicznym skinieniem głowy.

— No to nie zwracaj mi głowy polityką i rób swoje.

Sekretarz skarbu otarł usta serwetką z emblematem Białego Domu i po raz drugi spuścił oczy. — Wiesz, co ci powiem? Kiedy to wszystko się skończy i wrócimy do normalnego życia, powinniśmy znaleźć jakiś sposób, żeby pracować razem. Niewielu jest takich, jak my, Ryan!

— Nie zgadzam się. Jest bardzo wielu. Problem polega na tym, że bardzo rzadko trafiają do rządu. Wiesz, kto mi to powiedział? Cathy. I ma rację. Kiedy ona coś spa-prze, pacjent może oślepnąć. Tylko sobie wyobraź! Jeden błąd i jakiś człowiek traci wzrok na całe życie! Albo nawet umiera. Personel ostrego dyżuru jest nieustannie na granicy załamania. Trudna sytuacja, George. Znacznie trudniejsza niż obracanie papierami wartościowymi. To samo dotyczy policjantów. To samo dotyczy żołnierzy. Musisz natychmiast reagować, w przeciwnym wypadku może stać się coś bardzo złego. Ale ci ludzie, którzy muszą i umieją podejmować podobne decyzje, nie walą tłumnie do Waszyngtonu. Idą tam, gdzie uważają, że muszą iść, gdzie toczy się prawdziwe życie — powiedział Ryan niemal z żalem. — Prawdziwie dobrzy ludzie idą tam, gdzie są potrzebni i prawie zawsze wiedzą instynktownie, gdzie to jest.

— I ci dobrzy stronią od głupot. To prawda. Powiadasz, że dlatego tu ich wielu nie ma? — Winston przechodził w tej chwili swój własny prywatny kurs rządzenia państwem i doszedł do wniosku, że Ryan jest wcale niezłym nauczycielem.

— Dlatego. Ale kilku jest. Na przykład Adler w Departamencie Stanu. Jest tam jeszcze jeden dobry, którego odkryłem. Nazywa się Vasco. To są ci, którzy umieją powiedzieć „nie”, gdy potrzeba. Ale cały system jest przeciwko nim. Takich ludzi muszę wyłuskiwać i chronić. Są pod moim parasolem. Przeważnie urzędnicy niższego szczebla, ale to, co robią, ma wielką wartość. Dzięki nim system funkcjonuje. Nie są często zauważani, ale im nie zależy na honorach. Im zależy na załatwieniu sprawy, na służeniu społeczeństwu. Wiesz, co chciałbym zrobić? Co naprawdę chciałbym zrobić? — spytał Ryan, po raz pierwszy gotów zdradzić swe najtajniejsze myśli, którymi nie śmiał się podzielić nawet z Arniem.

— Wiem. Stworzyć system, który naprawdę funkcjonuje, który dostrzega ludzi dobrych i oferuje im to, na co zasługują. Czy zdajesz sobie sprawę, jakie to jest trudne, nawet w niewielkich instytucjach? Ile ja się musiałem o to nawalczyć u siebie. A Depar-

tament Skarbu ma więcej woźnych, niż ja miałem finansistów. Nawet nie mam pojęcia, od czego tutaj powinienem zacząć. . .

Tak, tylko Winston potrafi zrozumieć moje marzenie i mój problem, pomyślał prezydent.

— To będzie jeszcze trudniejsze, niż myślisz — odparł Winstonowi. — Ci, którzy naprawdę pracują i coś umieją, nie chcą szefować. Chcą pracować. Cathy mogłaby być dyrektorem szpitala. Ofiarowywano jej także katedrę na wydziale medycyny Uniwersytetu Wirginii. A to już jest coś! Ale to pozostawiłoby tylko połowę czasu dla pacjentów. A Cathy lubi gabinet lekarski. Lubi to, co robi. Któregoś dnia Bernie Katz w Hopkinsie przejdzie na emeryturę i ofiarują jej jego fotel, ale wiem, że ona odmówi. Jestem tego pewien. Chyba że ją przekonam.

— Tego, o czym marzysz, nie da się zrealizować. — Winston pokręcił głową. — Ale myśl jest wspaniała.

— Przed ponad stu laty Grover Cleveland zreformował służby publiczne — przypomniał Ryan swemu gościowi. — Wiem, że nie potrafimy dokonać cudu, ale potrafimy

usprawnić to, co istnieje. I ty nawet usiłujesz to zrobić. Przed chwilą to referowałeś. Pomyśl więc o mojej koncepcji rewizji całego systemu.

— Obiecuję, że o tym pomyślę. — Sekretarz skarbu wstał. — Jak tylko uporam się z rewolucją w moim własnym baraku. Ilu wrogów wolno nam sobie sprawić?

— Każdy ma bez liku wrogów — odparł filozoficznie Ryan. — Jezus też ich miał.

\* \* \*

Podobało mu się przezwisko Gwiazdor i, usłyszawszy je po raz pierwszy przed piętnastu laty, zaczął się uczyć, jak najlepiej wykorzystać swoją powierzchowność. Jego misją był obecnie rekonesans, jego bronią — osobisty czar. W repertuarze miał kilka akcentów. Ponieważ tym razem podróżował na niemieckich dokumentach, używał akcentu frankfurckiego, który pasował do niemieckiego garnituru, portfela i obuwia, kupionych za pieniądze jednego ze sponsorów znalezionych ostatnio przez Alego Badrajna. Firma wynajmu samochodów zaopatrzyła go w doskonałe mapy, rozłożone teraz na pustym siedzeniu po prawej. Dzięki nim nie musiał wkuwać na pamięć wszystkich tras. Byłoby to kłopotliwe, zajmowałyby czas i część jego fotograficznej pamięci.

Pierwszym przystankiem była szkoła św. Marii, około dziesięciu kilometrów od Anapolis. Katolicka szkoła prowadzona przez zakonnice dla dzieci w różnym wieku, od przedszkolaków aż po dwunastą klasę. W sumie niemal sześćset dzieci. Z ekonomicznego punktu widzenia optymalna liczba. Gwiazdor zamierzał objechać teren dwa lub trzy razy — rzecz o tyle łatwa, że szkoła zajmowała część przylądka, na którym niegdyś znajdowała się duża farma. Kościół katolicki wycygał ją od jakiejś bogatej rodziny. Na farmę prowadziła tylko jedna droga. Tereny szkolne kończyły się na brzegu zatoki, a po prawej, za boiskami, płynęła skrajem rzeka. Po przeciwnej stronie drogi stały domy osiedla mieszkaniowego. Budynków szkolnych było jedenaście. Jedne blisko siebie, inne stały samotnie. Gwiazdor znał wiek swoich „celów” i dzięki temu mógł bez większego trudu wypatrzeć budynki, w których większość czasu lub cały dzień spędzały dzieci w tym przedziale wiekowym. Warunki taktyczne nie były korzystne, a okazały się jeszcze gorsze, gdy dostrzegł ochroniarzy. Szkoła dysponowała sporym terenem — co najmniej dwieście hektarów — co pozwalało na szeroki pas obronny, którego naruszenie łączyło się z ryzykiem natychmiastowego wykrycia. Zauważył trzy duże pojazdy z przyciemnianymi szybami. A mogło być ich więcej. Model Chevrolet

Suburban. Oczywiście, nie były to samochody do przewozu dzieci i ich opiekunów. Ilu jest tych ochroniarzy? Dwaj mężczyźni stali na zewnątrz, ale każdy wóz miał z pewnością czteroosobową załogę uzbrojonych strażników. Co najmniej dwa pojazdy są opancerzone, a ich pasażerowie z Tajnej Służby mają ciężką broń. Wyjeżdżać trzeba tą samą drogą, którą się przyjechało. Kilometr do szosy. A co od strony zatoki Chesapeake? Gwiazdor zjechał na sam brzeg. Kuter Straży Przybrzeżnej. Niewielki, ale z pewnością ma radiostację. Już to samo czyni go poważnym zagrożeniem. Zatrzymał samochód na końcu drogi i poszedł obejrzeć dom z wbitym w trawnik słupkiem z tablicą NA SPRZEDAŻ. Z samochodu wyjął poranną gazetę i ostentacyjnie sprawdził ogłoszenie na złożonej stronie, porównując adres z numerem domu. Rozejrzał się dokoła. Powinien się pośpieszyć. Strażnicy są czujni i chociaż nie mogą sprawdzić wszystkiego — nawet federalna Tajna Służba ma ograniczony czas i środki — nie należy ryzykować i wzbudzać podejrzeń zbyt długim przebywaniem w tym rejonie. Pierwsze wnioski nie nastrajały optymistycznie. Dostęp ograniczony. Zbyt wiele dzieci. Wyłuskanie dwojga właściwych będzie trudne. Ochroniarzy jest wielu, rozrzuconych po terenie. To były poważne minusy. Liczba ochroniarzy mniej znaczyła niż duża przestrzeń. W parę sekund



można zneutralizować każdą ilość ludzi pod warunkiem, że znajdują się w grupie. Dać im jednak pięć sekund na otrząśnięcie się, a instynkt i szkolenie wezmą górę. Ludzie z Tajnej Służby są dobrze wyszkoleni. Mają plany obrony. Jedne do przewidzenia, inne nie. Na przykład ten kuter Straży Przybrzeżnej. Jego załoga mogłaby zejść na ląd i zaatakować od tyłu napastników. Albo ochroniarze mogliby wycofać się ze swoimi podopiecznymi w bezpieczne miejsce i rozpocząć kontratak. Dać im pięć minut, a będą górą. Przez radio wezwą na pomoc lokalną policję. Gwiazdor nie wątpił w ich doskonałe wyszkolenie i pełne oddanie. Gdy przybędzie policja, nacierający zostaną odcięci. Lokalna policja dysponuje nawet helikopterami. Nie, miejsce było stanowczo niekorzystne do przeprowadzenia zamierzonej operacji. Ze złością rzucił gazetę na siedzenie i odjechał. Po drodze rozglądał się na boki, w poszukiwaniu nieoznakowanych samochodów policyjnych. Na kilku podjazdach stały furgonetki, ale na szybach żadnej z nich nie widział arkuszy przyciemnionego plastiku, za którym siedziałby człowiek z kamerą. Niemniej zerknięcia w bok potwierdziły poprzednią ocenę, że teren operacji jest niekorzystnie położony. Przechwycenie tych dwojga dzieci byłoby łatwiejsze w drodze. Łatwiejsze, ale wcale nie łatwe. Ochrona pojazdu jest z pewnością doskonała. Nie mó-

wiąc już o samym samochodzie: kewlarowe panele, lexanowe szyby, specjalne opony. I dodatkowa ochrona w powietrzu — helikoptery. Wszystko to, nie licząc nieoznakowanych pojazdów i łatwego dostępu do posiłków policyjnych.

Okej, okej! Gwiazdor złapał się na tym, że wyraża pierwszą, jaka mu się nasunęła, myśl amerykańszmem. Amerykanizmem mającym uniwersalne zastosowanie. A teraz Giant Steps. Całodzienne przedszkole i żłobek. Ritchie Highway powyżej Joyce Lane. Adres znał na pamięć. Zlokalizował miejsce na mapie. Zaraz tam pojedzie. Jest tam tylko jeden „cel”, ale teren — Gwiazdor miał przynajmniej nadzieję — będzie bardziej sprzyjający.

\* \* \*

Winston od ponad dwudziestu lat tkwił w biznesie, w którym wykorzystywał swój finansowy instykt. Przez te lata nauczył się pewnej teatralności i nabył parę aktorskich cech, w tym tremy. Tym razem jednak trema była obustronna. W komisji tylko jeden senator zasiadał w poprzednim Senacie, ale należał wówczas do mniejszości. Katastrofa *Boeinga 747* zmieniła układ sił w izbie na korzyść senatora, który, nie zmieniając

partii, należał teraz do większości. Oprócz tego jednego, wszyscy mężczyźni i kobiety zasiadający na masywnych dębowych ławach byli nie mniej zdenerwowani niż Winston.

Kiedy siadał i rozkładał papiery, na sąsiednim stole sześciu urzędników wykladało potężne tomiska. Winston całkowicie ich ignorował, natomiast od czasu do czasu zerkał na kamery telewizji C-SPAN.

Desygnowany na sekretarza skarbu kandydat wkrótce poczuł się lepiej i zaczął wymieniać uwagi z Markiem Cantem, który rozłożył przed sobą laptopa i wystukiwał coś na klawiaturze. Nagle runął z hałasem stojący obok stół, nadmiernie przeciążony wielkimi tomami, które rozsypały się po ziemi. Na sali wszyscy jednocześnie zareagowali głośnymi sapnięciami. Winston obrócił się, zadowolony z efektu. Jego pracownicy zrobili dokładnie to, co im kazał: ustawili opasłe tomiska ustaw regulujących zobowiązania podatkowe obywateli Stanów Zjednoczonych jedno na drugim pośrodku stołu zamiast na całej powierzchni blatu.

— Ale numer, George! — szepnął Gant, powstrzymując się z trudem od śmiechu.

— Kto wie, może Bóg jest po naszej stronie — odparł Winston i szybko wstał, żeby zobaczyć, czy nikt nie doznał uszczerbku. Na szczęście wszyscy byli zdrowi i cali. Zwabieni hałasem wpadli do sali strażnicy. Szybko stwierdzili, że nic się nie stało.

Winston powrócił na swoje miejsce za stołem i pochylił się do mikrofonu.

— Bardzo przepraszam, panie przewodniczący, za to małe zamieszanie. Ale nic się nie stało. Jesteśmy gotowi. Proszę o rozpoczęcie przesłuchania.

Przewodniczący komisji senackiej uderzył młotkiem, otwierając posiedzenie i uciśnięciem salę. Przez cały czas wpatrywał się w stos woluminów na posadzce. Po minucie George Winston został zaprzysiężony.

— Czy ma pan wstępne oświadczenie, panie Winston? — padło pytanie.

— Miałem, sir. — Sekretarz skarbu potrząsnął głową. Nadal bardzo mu się chciało śmiać. I nikły uśmiezek wymknął mu się mimo woli. — Muszę przeprosić członków komisji za ten drobny incydent. Te książki miały ilustrować jeden z moich problemów, no ale... skoro spadły... — Przełożył kilka dokumentów, wyprostował się i zaczął mówić: — Panie przewodniczący, szanowni członkowie komisji. Nazywam się George

Winston i prezydent Ryan poprosił mnie, abym porzucił moją firmę i służył krajowi jako sekretarz skarbu. Pozwolicie państwo, że powiem kilka słów o sobie.

\* \* \*

— Co o nim wiemy? — spytał Kealty.

— Bardzo dużo. Mądry i chytry. Twardy. I uczciwy. A poza tym krezus. Bogatszy od samego pana Boga. — Nawet od ciebie, pomyślał szef sztabu, ale głośno tego nie powiedział.

— Był kiedyś sprawdzany? Jakies dochodzenie?

— Nigdy. — Szef sztabu pokręcił głową. — Może i ślizgał się po cienkim lodzie, ale... nie, nie powinienem tego mówić, Ed. O Winstonie wszyscy mówią, że ściśle przestrzega zasad czystej gry. Jego konsorcjum inwestycyjne jest wysoko cenione. Zarówno ze względu na wyniki, jak i nieskazitelną uczciwość. Przed ośmiu laty miał pracownika, który był na bakier z przepisami, i sam przeciwko niemu zeznawał w sądzie oraz z własnej kieszeni wyrównał straty poniesione przez inwestorów w wyniku kręactw tego człowieka. Z własnej kieszeni! Kosztowało go to czterdzieści milionów dolarów.

Oszust odsiedział pięć lat. Tak, Ryan wybrał dobrego człowieka. Nie jest politykiem, ale szanują go na Wall Street.

— Niech to szlag! — skomentował Kealty.

\* \* \*

— Wiele rzeczy należy zrobić, panie przewodniczący... — Winston odłożył przygotowany tekst wstępnego oświadczenia. Oskarżycielskim gestem wskazał stos ksiąg na podłodze. — Ten połamany stół i te woluminy na stosie. Patrzycie państwo na ustawy podatkowe Stanów Zjednoczonych. Podstawą systemu prawnego jest zasada, że nieznanomość prawa nie może stanowić argumentu obrony podczas rozprawy w sądzie. Ale ten aksjomat jest obecnie bezsensowny. Departament Skarbu i Urząd Podatkowy tworzą i wprowadzają w życie przepisy podatkowe dla całego kraju. Przepraszam, ustawy podatkowe są, jak wiemy, uchwalane przez Kongres. Dzieje się to głównie wówczas, gdy Departament Skarbu przedstawi odpowiedni projekt ustawy. Kongres wprowadza poprawki, uchwała ustawę, a my, to znaczy Departament Skarbu, stosujemy uchwalone przepisy podatkowe. W wielu przypadkach interpretacja ustawy, którą wy uchwalicie,

jest pozostawiona urzędnikom mojego departamentu, a jak wszyscy wiemy, wykładnia potrafi być niemniej istotna od samej ustawy. Mamy też specjalne sądy podatkowe, których orzecznictwo staje się obowiązującym prawem. No i w rezultacie mamy tony zadrukowanego papieru — dramatycznym gestem wskazał na stos książek. — Ośmielam się twierdzić, że nikt, łącznie z najbardziej oświeconymi prawnikami, nie potrafi tego wszystkiego rozgryźć i zrozumieć.

Dla większego efektu Winston przez chwilę milczał, a potem wznowił wykład dla senatorów:

— Mamy nawet tak absurdalną sytuację, że kiedy obywatel przychodzi do urzędu skarbowego z dokumentami i zeznaniem podatkowym, prosząc o pomoc urzędników, których obowiązkiem jest stosowanie prawa, a urzędnicy popełnią błąd, to ów obywatel, proszący władze o pomoc, jest odpowiedzialny finansowo za błąd przez te władze popełniony. Kiedy obracałem papierami wartościowymi i źle doradziłem klientowi, to ja byłem odpowiedzialny za szkody poniesione przez klienta.

Winston wziął głęboki oddech i ciągnął dalej:

— Podatki mają zaspokoić potrzeby budżetowe rządu, aby ten mógł sprawnie służyć obywatelom. Ale gdzieś po drodze stworzyliśmy cały przemysł, który wyciąga od ludzi miliardy dolarów. Dlaczego tak się dzieje i po co? Po to, by wyjaśniać przepisy podatkowe, z roku na rok coraz bardziej skomplikowane, przepisy, których sami urzędnicy skarbowi nie znają na tyle dobrze, by móc wziąć odpowiedzialność za prawidłowość składanych przez podatników zeznań. Senatorowie doskonale wiedzą — członkowie komisji nie mieli o tym akurat zielonego pojęcia — jak ogromne pieniądze są wydawane na aparat pobierania podatków i kontroli skarbowej. A to nie są czynności specjalnie produktywne, prawda? Naszym obowiązkiem jest służba narodowi, a nie fundowanie bólu głowy podatnikom. Kolejna pauza.

— W związku z tym, panie przewodniczący i szanowni członkowie komisji, doszedłem do wniosku, że jest kilka spraw, które, mam nadzieję, udałoby mi się rozwiązać i uregulować podczas mojej kadencji w Departamencie Skarbu, jeśli komisja uzna, że należy mnie zatwierdzić na stanowisku sekretarza. Po pierwsze, chciałbym całkowicie zrewidować, a właściwie przetworzyć i przeredagować nasz zbiór ustaw, przepisów i rozporządzeń wykonawczych dotyczących podatków. Chciałbym stworzyć spójną ca-



łość, która byłaby zrozumiała dla przeciętnego podatnika. Bez furtek, bez uprzywilejowywania kogokolwiek, bez odpisów i ulg. Chciałbym, aby wszyscy podatnicy byli traktowani tak samo. Jestem już w tej chwili gotów przedstawić odpowiednie propozycje w tej sprawie. Chciałbym współpracować z komisją senacką, by moim propozycjom nadać kształt ustawy. Chcę pracować właśnie z wami, panie i panowie. Do mojego gabinetu nie wpuszczę żadnych przedstawicieli wielkich korporacji i innych grup nacisku, by dyktowali mi, co mam robić. I apeluję do was, abyście od tej chwili też ich nie wpuszczali do swoich gabinetów. Panie przewodniczący, jeśli zaczniemy dyskutować z każdym, kto ma małą propozycję w interesie wąskiej grupy mającej rzekomo specjalne potrzeby i domagającej się ulg, to stanie się to, co się właśnie stało. — Winston po raz wtóry wskazał dłonią złamany stół i stos książek. — Wszyscy jesteśmy Amerykanami i naszym zadaniem jest pracować dla wspólnego dobra. Jeśli pozwolimy podskubywać nasz system podatkowy przez byle lobbystę z biurem i klientelą, to na dłuższą metę dużo stracimy. Stracą wszyscy Amerykanie. Stracą znacznie więcej pieniędzy, niż gdyby wszyscy płacili należne podatki. Ustawy naszego państwa nie powinny być żerem dla księgowych i adwokatów prywatnego sektora, ani dla biurokratów sektora publicznego.

go. Ustawy, które wy uchwalacie i które tacy jak ja wprowadzają w życie, mają służyć potrzebom obywateli, a nie potrzebom rządu.

Winston rzucił okiem na notatki.

— Po drugie, chciałbym, aby mój departament funkcjonował sprawnie. Sprawność nie należy do zasobu słów chętnie używanych przez rząd. Jeszcze rzadziej takie zjawisko jak sprawność można zaobserwować w rządowych agendach. To musi się zmienić. No cóż, nie potrafię zmienić całego Waszyngtonu, ale mogę postarać się zmienić departament, który powierzył mi prezydent, i którym, mam nadzieję, pozwolicie mi kierować. Wiem, jak kierować biznesem. Columbus Group służy dosłownie milionom ludzi. Pośrednio i bezpośrednio. Z dumą kierowałem tym konsorcjum. Był to wspaniały ciężar. W ciągu najbliższych kilku miesięcy zamierzam opracować projekt budżetu dla Departamentu Skarbu, budżetu, który nie będzie zawierał jednego zbędnego wydatku. — Było to buńczuczne i nierealistyczne oświadczenie, ale robiło duże wrażenie. — W tej sali wielokrotnie już słyszano podobne słowa i nie będę miał pretensji, jeśli nie przyjmiecie moich słów na wiarę. Chcę wam jednak powiedzieć, że znany jestem jako człowiek, który słowa popiera rezultatami. Obiecuję wam rezultaty. Prezydent Ryan musiał na mnie

krzyczeć, żeby mnie skłonić do przeniesienia się do Waszyngtonu. Bardzo mi się nie podoba w Waszyngtonie, panie przewodniczący — oświadczył Winston komisji i od tej chwili miał wszystkich w garści. — Chcę wykonać powierzone mi zadanie i zmykać. Ale zadanie musi być wykonane, jeśli mi pozwolicie. Na tym kończę, panie i panowie.

Najbardziej doświadczonymi osobami na tej sali byli dziennikarze w drugim rzędzie sekcji dla publiczności. W pierwszym rzędzie siedziała żona Winstona i reszta jego rodziny. Dziennikarze dobrze widzieli, jak oficjalny Waszyngton funkcjonuje, jak się załatwia sprawy i co należy mówić. Kandydat na członka rządu powinien zwyczajowo ckliwie opowiadać o zaszczycie, jakim jest służenie ojczyźnie, o radości z powierzenia mu tak ważnej funkcji, o odpowiedzialności, jak będzie jego, czy ją przygniatać, itd.

Nie podoba mu się w Waszyngtonie? Dziennikarze przerwali robienie notatek, spojrzeli na podium, na którym siedzieli członkowie komisji, a potem na siebie.

\* \* \*

Gwiazdorowi podobało się to, co zobaczył. Autostrada z czterema pasmami jezdni zaledwie o kilkaset metrów od przedszkola, a poza tym cała sieć mniejszych dróg. A co

najważniejsze, prawie wszystko jak na dłoni. Tuż za przedszkolem kępa drzew rosnących tak gęsto, że chyba nie było tam samochodu patrolowego. Jakiś musieli jednak mieć. . . Zamyślił się. W pobliżu stał dom z garażem, prawie naprzeciwko obiektu, i ten dom. . . No tak, przed domem stały dwa wozy. Dlaczego nie w garażu? Najprawdopodobniej Tajna Służba załatwiła to z właścicielem posesji. Idealne miejsce. Pięćdziesiąt metrów od przedszkola, front budynku we właściwym kierunku. . . Gdyby stało się coś niedobrego, rozległby się alarm i drzwi garażu poszłyby w górę, z wnętrza wyskoczyłby pojazd wsparcia ochrony. . .

W podobnych systemach ochrony zawsze musi być opracowany plan postępowania w nadzwyczajnych sytuacjach. Musi to być niewzruszony, pewny plan. Agenci Tajnej Służby są cwani i opracowali plan na wszystkie przewidywalne okoliczności. Gwiazdor spojrzął na zegarek. Jak sprawdzić swoje podejrzenia? Na początek musi zaparkować samochód. Naprzeciwko przedszkola, po drugiej stronie drogi był sklep 7-Eleven. Ten sklep także trzeba sprawdzić, ponieważ nieprzyjaciel z pewnością dokooptuje kogoś do personelu. Może nawet parę osób. Podjechał, zaparkował wóz, wszedł do sklepu, po którym kręcił się dobrą minutę.

— Mogę panu w czymś pomóc? — usłyszał głos. Kobieta, lat dwadzieścia pięć. . . Chyba jednak starsza, ale usiłuje wydać się młodszą. Odpowiednie uczesanie i makijaż. Gwiazdor się na tym znał, sam przecież używał w terenie kobiet. I zawsze im to mówił: młoda osoba budzi mniejsze podejrzenia, zwłaszcza kobieta. Oblekając twarz w uśmiech zakłopotania, podszedł do lady.

— Szukam map — wyjaśnił.

— Są tu, na półce pod ladą — odparła sprzedawczyni.

Z pewnością agentka, pomyślał. Ma zbyt żywe spojrzenie, jak na kogoś wykonującego tak prostą pracę.

— Ach, oczywiście! — odparł z niesmakiem wobec podobnego gapiostwa ze swojej strony. Wybrał książkowy plan, zawierający wszystkie osiedla i ulice w okolicy. Zaczął przerzucać kartki, ukradkiem zerkając na budynek po drugiej stronie ulicy. Opiekunki wyprowadzały właśnie dzieci na plac zabaw. Cztery opiekunki. Przy tej liczbie dzieci powinno ich być dwie. A więc dwie to agentki. Dostrzegł też stojącego w głębokim cieniu mężczyznę. Potężnej budowy, wzrost co najmniej 190 centymetrów, garnitur. Plac zabaw był naprzeciwko samotnego domu z garażem. W domu czy w garażu, z pewno-

ścią znajdowali się dodatkowi pilnujący. Dwóch albo trzech. Tak, na pewno tam tkwili przez cały czas. Operacja me będzie łatwa, ale przynajmniej już wiedział, gdzie i jak nieprzyjaciel rozmieścił swoje siły.

— Ile ta mapa kosztuje? — spytał.

— Cena jest wydrukowana na okładce.

— Bardzo przepraszam. Rzeczywiście. — Sięgnął do kieszeni. — Pięć dolarów i dziewięćdziesiąt pięć centów — mruknął do siebie wyławiając z kieszeni monety.

— Plus podatek. — Sprzedawczyni wybiła sumę na elektronicznej kasie. — Mieszka pan w okolicy? — spytała.

— Od niedawna. Jestem nauczycielem.

— A czego pan uczy?

— Niemieckiego — odparł, przeliczając otrzymaną resztę. — Rozglądam się za jakimś domem. Dziękuję za mapę. Muszę zmykać. Mam masę roboty. — Pożegnał się lekkim europejskim skinieniem głowy i wyszedł. Tym razem już nie rozglądał się na boki. Gwiazdor poczuł nagły chłód. Był pewien, że sprzedawczyni jest agentką Tajnej Służby. Na pewno teraz bacznie go obserwuje. Być może spisuje nawet numer samo-

chodu, a jeśli nawet to zrobi, a Tajna Służba sprawdzi, dowie się tylko, że użytkownik nazywa się Dieter Kolb i jest obywatelem niemieckim z Frankfurtu. Ta przykrywka powinna wystarczyć, jeśli nie złączą szperać głębiej. Pojechał na północ autostradą Ritchie Highway i przy pierwszej okazji skręcił w prawo.

To była sprawa wyboru odpowiedniego miejsca. I oto znalazł dogodnie usytuowany parking na polanie. Okoliczne lasy wkrótce się zazielenią wraz z nadchodzącą wiosną, zasłonią widok na przedszkole. Tył domu, w którego garażu znajdował się najprawdopodobniej Suburban ochrony, miał zaledwie parę okien wychodzących na pagórek, a okna przesłaniały od wewnątrz story. Podobnie i budynek przedszkola. Gwiazdor wyjął miniaturową lornetkę i zaczął przypatrywać się przedszkolu. Nie było to łatwe, gdyż przeszkadzały liczne pnie drzew. Chociaż Tajna Służba należała do najlepszych instytucji tego typu, jej pracownicy nie byli doskonali. Nie ma ludzi doskonałych. W tym konkretnym przypadku, nie wybrano najlepszego miejsca dla tak ważnego dziecka. Nic dziwnego, skoro rodzina Ryanów już przedtem wszystkie swoje dzieci tu przysyłała. Wychowawcy byli najprawdopodobniej doskonali, a Ryan i jego żona lekarka znali ich i być może przyjaźnili się z nimi. Informacje, jakie „Kolb” wyczytał w Internecie pod-

kreślały fakt, że Ryan i jego rodzina pragną jak najmniej zmian w życiu, do jakiego przywykli i które lubili. Bardzo to ludzkie. I głupie.

Przyglądał się dzieciom hasającym po placu zabaw. Plac był gęsto pokryty wiórami. Co za wzruszający obrazek: dzieciaki w kokonach grubych zimowych kombinezonów — w ocenie Gwiazdora temperatura wynosiła poniżej dziesięciu stopni — biegały, podciągały się na drążkach, huśtały się, grzebały w ziemi. Staranność ubiorów wskazywała, że dzieci są pod dobrą opieką, gdyż same nie potrafiłyby się pozapinać i opatulić. Przecież to były tylko zwykłe dzieci. Z wyjątkiem jednego. Z wyjątkiem którego? Z tej odległości nie mógł tego powiedzieć, póki nie zrobi zdjęć wszystkich. Ale na to przyjdzie czas. To jedno nie było dzieckiem. To jedno było przedmiotem politycznego oświadczenia, które ktoś złoży. Kto złoży to oświadczenie i po co — to już nie obchodziło Gwiazdora. Będzie teraz przez wiele godzin obserwował, nie myśląc wcale, co może wyniknąć w rezultacie jego poczynań. Albo nie wyniknie. Nic go to nie obchodziło. Zrobi konieczne notatki, sporządzi szczegółowe mapy i konieczne szkice, a potem o wszystkim zapomni. „Kolb” już przed wielu laty całkowicie zobojeźniał. To, co zaczął z religijną pasją podczas wyzwoleńczej świętej wojny, stało się po prostu do-



brze płatną pracą. A jeśli dzięki tej pracy nastąpi politycznie korzystne wydarzenie, to tym lepiej. Tylko że to się jeszcze ani razu nie zdarzyło, mimo wielkich nadziei, marzeń i rozpalającej retoryki przywódców. Na duchu podtrzymywała go praca i świadomość własnej perfekcji. Gwiazdor sam nie mógł pojąć, dlaczego tak się stało, dlaczego większość fanatyków zginęła. Co za ironia losu! Na jego twarzy pojawił się kwaśny grymas. Prawdziwi wierni załatwieni przez własną pasję i głęboką wiarę.

\* \* \*

— Wielu będzie przeciwnych charakterowi proponowanego przez pana planu. Sprawiedliwy plan powinien opierać się na zasadzie podatku progresywnego — powiedział senator. — Było jasne, że jest to ów ocalały, a nie nowy lokator Kapitolu. — Pański plan nakłada zbyt wielki ciężar na barki pracującego Amerykanina.

— Dobrze pana rozumiem, senatorze — odparł Winston upiwszy łyżeczek wody. — Ale co pan ma na myśli mówiąc: „pracującego Amerykanina”? Ja pracuję. Od zera zbudowałem swój biznes. To była ciężka praca. Pierwsza Dama, Cathy Ryan, zarabia około czterystu tysięcy dolarów rocznie. Warto zauważyć, że to jest dużo więcej, niż

otrzymuje jej mąż, prezydent Stanów Zjednoczonych. Czy pan ją wyklucza z owych „pracujących”? Jest chirurgiem okulista. Mam brata lekarza i wiem, ile godzin dziennie pracuje. Zgadzam się, że dwie wymienione przeze mnie osoby zarabiają więcej, niż zarabia przeciętny Amerykanin, ale to rynek już dawno temu zdecydował, że ich praca jest więcej warta niż to, co robią inni ludzie. Jeśli ktoś ślepnie, to nie pomoże mu członek związku pracowników przemysłu samochodowego ani nawet adwokat. Pomóc może tylko lekarz. Ale to wcale nie oznacza, że lekarz nie pracuje, senatorze! To oznacza, że jego praca wymaga wyższych kwalifikacji i dłuższej nauki. Dlatego też rekompensata za tę pracę musi być wyższa. A gracz w koszykówkę? Oto jeszcze inna kategoria wysoko kwalifikowanej pracy. I jestem pewien, że nikt na tej sali nie ma obiekcji co do wysokości wynagrodzenia, na przykład, Kena Griffeya juniora. Dlaczego nie ma? Ponieważ Griffey jest najlepszy w tym, co robi. Jeden z czterech czy pięciu najlepszych na świecie. I za to jest po królewsku wynagradzany. Ponownie mamy do czynienia z prawami rynku. Winston odsapnął i wznowił tyradę:

— Ogólnie rzecz biorąc, a przemawiam teraz jako zwykły obywatel, a nie kandydat na sekretarza skarbu, protestuję zdecydowanie przeciwko fałszywej dwudzielnej

klasyfikacji. Ludzie w niebieskich kołnierzykach, czyli w owej nomenklaturze „pracujący” Amerykanie, i ludzie w białych kołnierzykach. To niektórzy politycy usiłują forsować taki podział. W tym kraju jedynym sposobem uczciwego zarabiania pieniędzy jest wytwarzanie produktu lub dostarczanie usługi społeczeństwu. I generalnie można powiedzieć, że im ciężej i mądrzej się pracuje, tym więcej się zarabia. A eufemizm „pracujący Amerykanie” na robotników fizycznych, co weszło u nas w zwyczaj, nie ma dziś większego sensu. Narzuca się natomiast podział na tych, którzy umieją więcej i mają większe zdolności oraz pozostałych. A niepracujących i leniących się bogaczy znaleźć można tylko w filmach. Kto z was, na tej sali, gdyby dano mu szansę, nie zamieniłby się natychmiast z Kenem Griffeyem albo Jackiem Nicklausem? Czyż każdy z nas nie marzy, aby w czymkolwiek być aż tak dobrym jak oni? Ja o tym marzę. Niestety, nie potrafię machać tak świetnie kijem baseballowym.

Nastąpiła chwila pauzy.

— Lub zostać naprawdę utalentowanym twórcą oprogramowania komputerowego — kontynuował Winston. — Też tego nie potrafię. A zostać wynalazcą? Czy nie jest pracującym Amerykaninem dyrektor, który firmę przynoszącą straty przekształca

w kwitnącą instytucję? Czy pamiętacie, co powiedział Samuel Gompers<sup>2</sup>? Że największym grzechem przemysłowca jest niewytworzenie zysku. Dlaczego? Po prostu dlatego, że firma wykazująca zysk jest dobrze prowadzoną firmą i tylko taka firma potrafi dobrze płacić swoim pracownikom, a ponadto wypłacać dywidendy udziałowcom, a udziałowcy to ludzie, którzy inwestują w firmy tworzące miejsca pracy dla robotników.

Winston zwrócił się do senatora, który wyrażał wątpliwości:

— Senatorze, chyba zapominamy, po co tu jesteśmy, i co chcemy załatwić. Rząd nie zapewnia stanowisk pracy produktywnych w dosłownym znaczeniu tego słowa. Rząd nie powinien tego robić. To General Motors, Boeing i Microsoft zatrudniają robotników, którzy wytwarzają to, czego ludzie potrzebują. Zadaniem rządu jest ochrona ludzi, pilnowanie, by prawo było przestrzegane, i zważanie, by przestrzegano zasad gry. To ostatnie podobne jest do roli sędziego na boisku piłki nożnej. I nie jest zadaniem rządu karanie ludzi za to, że dobrze podają piłkę, że dobrze grają. Zbieramy podatki, by rząd mógł funkcjonować i wypełniać swoje zadania. Powinniśmy te podatki zbierać w spo-

---

<sup>2</sup>Słynny działacz związkowy (przyj. red.).

sób, który najmniej zaszkodzi gospodarce. Podatki z natury rzeczy mają ujemny wpływ i od tego uciec nie możemy, ale możemy stworzyć taki system opodatkowania, który uczyni najmniej szkody, a może nawet zachęci ludzi do wykorzystania swoich pieniędzy w sposób korzystny dla ogólnego wzrostu gospodarczego.

— Już czuję, do czego pan zmierza — odezwał się senator. — Za chwilę zacnie pan mówić o obniżeniu podatku z tytułu zysków od kapitału. Ale na tym skorzysta tylko niewielu, kosztem. . .

— Wybacz pan, senatorze, że przerywam, ale to nie odpowiada prawdzie. I pan dobrze o tym wie. Obniżenie podatku od dochodu z kapitału oznacza, że ludzie więcej będą inwestować. Pozwoli pan, że to wyjaśnię. Powiedzmy, że zarobiłem tysiąc dolarów. Zapłaciłem podatek, ratę długu hipotecznego, ratę za samochód, kupiłem żywność, a co pozostało, zainwestowałem w akcje firmy komputerowej XYZ. XYZ, otrzymawszy moje pieniądze, wynajmuje za nie pracownika. Pracownik ten pracuje na swoim stanowisku tak, jak ja na moim. Z jego pracy powstaje produkt, który odpowiada potrzebom potencjalnych klientów. Klienci kupują produkt, firma ma zysk, którym dzieli się ze mną, wypłacając dywidendę. Te pieniądze są opodatkowane jako zwykły przy-

chód. Sprzedaję akcje XYZ i kupuję innej firmy, która też z kolei bierze kogoś do pracy. Pieniądze uzyskane ze sprzedaży akcji są dochodem z kapitału. Minęły czasy, kiedy ludzie przechowywali pieniądze w materacach. I nie chcemy, żeby to robili. Chcemy, by inwestowali w Amerykę i współobywateli. . . Idziemy dalej: ja już zapłaciłem podatek od pieniędzy, które zainwestowałem, prawda? I to, co zainwestowałem, pomaga memu współobywatelowi uzyskać pracę. Z tej pracy powstaje produkt dla ogółu obywateli. I za to, że pomogłem komuś uzyskać pracę, za to, że pomogłem, by nowy pracownik mógł coś wyprodukować, otrzymałem skromną dywidendę. Zadowolony jest człowiek, który otrzymał pracę. Zadowolony klient, który kupił produkt rąk tego robotnika. Wobec tego postanawiam dokonać czegoś podobnego gdzie indziej. Dlaczego mam być za to karany? Czyż nie byłoby lepsze zachęcać ludzi do podobnych operacji inwestycyjnych? I nie zapominajcie panowie, że inwestowane pieniądze były już opodatkowane. Praktycznie rzecz biorąc więcej niż raz.

Winston głęboko westchnął i pokręcił głową.

— To niedobre dla kraju, dla gospodarki. I tak już źle, że tyle zabieramy ludziom z zarobionych przez nich pieniędzy, a do tego metoda zabierania jest szkodliwa. Wy-

wołuje niekorzystne zjawiska. Po co tu jesteśmy, panie senatorze? Powinniśmy pomagać, usprawniać, a nie szkodzić. Rezultat jest opłakany. Mamy system podatkowy tak skomplikowany, że na pokrycie kosztów ściągania podatków musimy wyciągać od ludzi dodatkowe miliardy dolarów. Całkowicie zmarnowane pieniądze. A jeszcze dorzucicie dodatkowe miliardy dolarów inkasowane przez księgowych i adwokatów, którzy żerują na fakcie, że ludzie nie potrafią zrozumieć przepisów podatkowych! — zakończył argumentację kandydat na sekretarza skarbu i przeszedł do podsumowania: — Ameryka nie jest zbudowana na zazdrości. Ameryka nie jest zbudowana na rywalizacji. W Ameryce nie ma klas. W Ameryce nikt nie mówi obywatelowi, co ma robić. Urodzenie wiele nie znaczy. Spójrzcie po sobie, członkowie komisji senackiej. Syn farmera, syn nauczyciela, syn kierowcy ciężarówki, syn adwokata, a pan, senatorze Nikolides, jest synem imigranta. Gdyby społeczeństwo amerykańskie składało się z ściśle zdefiniowanych klas, to czy moglibyście tu się znaleźć, w Senacie Stanów Zjednoczonych?

Długa tyrada Winstona była próbą odpowiedzi przepytującemu go senatorowi, zawodowemu politykowi, synowi zawodowego polityka, i, na marginesie, skończonemu

sukinsynowi. Dlatego też Winston celowo nie wymienił jego pochodzenia. Wymienieni natomiast byli mile połączani, zwłaszcza że towarzyszyły temu kamery telewizyjne.

— Panowie, postarajmy się nieco ułatwić ludziom osiągnięcie tego, co nam udało się osiągnąć. Coś trzeba zmienić w systemie podatkowym. Wszyscy to wiemy. Skoro trzeba, to zrobmy to tak, by zachęcić naszych współobywateli do wzajemnego pomagania sobie. Jeśli jest prawda, jak niektórzy twierdzą, że Ameryka ma strukturalny problem gospodarczy, to moim zdaniem problemem jest pewna niewydolność, jeśli idzie o tworzenie szans dla ludzi, miejsc pracy. Żaden system nie jest doskonały. Akceptując ten fakt, poprawmy to i owo. I po to tu jesteśmy.

— Ale każdy system wymaga, by wszyscy płacili tyle, ile się od nich należy — stał przy swoim ten sam przesłuchujący Winstona senator.

— Co to znaczy: „ile się należy”? To nic nie znaczy. Albo znaczy, że od każdego tyle samo. Byłaby to bzdura. Wobec tego ten sam procent. To mogłoby oznaczać „ile się należy”. Proszę jednak zwrócić uwagę, że dziesięć procent od miliona dolarów stanowi zawsze dziesięć razy więcej niż dziesięć procent od stu tysięcy dolarów i dwadzieścia razy więcej od dziesięciu procent od pięćdziesięciu tysięcy dolarów. Ale w naszych



przepisach podatkowych „ile się należy” oznacza wyciąganie, ile się da od tych, którym bardzo dobrze się powodzi, i wypłacenie ich. . . Przepraszam, dla ścisłości muszę uzupełnić to, co przed chwilą powiedziałem: ci bogaci wynajmują adwokatów i rzeczników interesów, którzy pogadają z odpowiednimi personami na arenie politycznej i oto do systemu podatkowego zostaje wpisana klauzula dająca milionowe zwolnienie podatkowe, tak że kura nie zostaje całkowicie oskubana. Wszyscy to wiemy, wszyscy to znamy. I jaki jest tego wszystkiego efekt? — Raz jeszcze szerokim gestem Winston wskazał stos rozsypanych książek. — Oto on. Wielki program zatrudnienia dla armii urzędników, księgowych, adwokatów, lobbystów. Gdzieś po drodze zwykli podatnicy są po prostu zapominani. I nic nas nie obchodzi, że oni nie mogą zrozumieć systemu, który miał im rzekomo służyć. Tak nie powinno być. — Winston pochylił się do mikrofonu, dotykając do prawie ustami. — Ja panu powiem, co moim zdaniem, powinno znaczyć „ile się należy”. Powinno znaczyć, że wszyscy niesiemy ten sam ciężar biorąc na barki jedną z równych części. Wówczas „ile się należy” odzyska swoje właściwe znaczenie. Będzie to jednocześnie oznaczać, że system nie tylko zezwala, ale zachęca nas do aktywnego uczestniczenia w rozwoju gospodarczym. „Ile się należy” powinno

również oznaczać proste i zrozumiałe dla każdego prawo podatkowe, aby wszyscy wiedzieli, czym mogą dysponować, a co trzeba oddać w formie podatków. „Ile się należy” powinno również oznaczać płaskie jak stół boisko, gdzie wszyscy mają te same szanse i na którym Griffeye nie powinni być karani za to, że lepiej od innych radzą sobie z piłką. Uwielbiamy Kena Griffeya, służy nam za wzór. Pomóżmy stworzeniu większej ilości Kenów Griffeyów w różnych dyscyplinach ludzkiej działalności. Nie zagrażajmy im drogi do sukcesu!

— Niech sobie wszyscy zafundują ciasto i zjedzą — szepnął szef sztabu Kealtyego.

— Trudno im radzić, by sobie kupili hot doga — odparł były wiceprezydent uśmiechając się szeroko. — No wreszcie!

— No wreszcie — powtórzył również jak echo towarzyszący mu sekretarz.

\* \* \*

Wszystkie wyniki były dwuznaczne. Technik FBI przez cały poranek przeprowadzał testy. Wykresy powstałe na złożonym w harmonijkę papierze mogły świadczyć na korzyść lub na niekorzyść sprawdzanej osoby. Nic nie można było na to poradzić. Ca-

lonocna sesja poświęcona była ważnemu problemowi, ale technik nie miał prawa być w nią wtajemniczony. Tak mu powiedziano. Domyślał się, że chodziło o sytuację w Iraku i Iranie. Jak każdy oglądał i słuchał CNN. Ludzie, których podłączała do detektora kłamstw, byli zmęczeni i poirytowani. Niektórzy mylili się nawet, podając nazwiska i swoje stanowisko. Wszystko, co miał na papierze, było bezużyteczne. Najprawdopodobniej.

— Zdałem? — spytał wesoło Rutledge, zdejmując z ramienia mankiet aparatu do mierzenia ciśnienia. Sprawiał wrażenie człowieka, dla którego podobne testy są chlebem codziennym.

— No cóż, na pewno już panu poprzednio powiedziano. . .

— Tak, powiedziano, że to nie jest egzamin. Żadne zdał albo nie zdał — odparł podsekretarz stanu. — Tylko niech pan to powie facetowi, który z powodu tego pudła stracił klasyfikację osoby godnej zaufania, a usłyszy pan niezłą wiązanke. Nienawidzę tej cholерnej maszyny.

A ja czuję się jak cholerny dentysta wrywający zęby, pomyślał technik, który uważał się za najlepszego specjalistę w swoich magicznych sztuczkach. Nigdy nie wiadomo:

wyrwać czy nie. Tego dnia nie dowiedział się niczego, co mogłoby pomóc w dochodzeniu.

— Ta nocna sesja, w której pan uczestniczył. . .

— Chwileczkę! — przerwał Rutledge. — O tym mi nie wolno mówić.

— Chciałem tylko wiedzieć, czy to normalna rzecz, takie nocne narady.

— Przez pewien czas będzie to chyba normalne. Zresztą pan pewno domyśla się, o co chodzi. — Agent FBI skinął głową, podsekretarz stanu uczynił to samo. — Tak sądziłem. No to wie pan, że sprawa jest bardzo poważna i będziemy tym mocno zajęci, zwłaszcza moi ludzie. Stąd zbyt wiele kawy, zbyt wiele nieprzespanych godzin i nerwy w strzępach. — Spojrzał na zegarek. — Moja grupa robocza zbiera się za dziesięć minut. Jeszcze pan ode mnie czegoś chce?

— Nie, dziękuję, sir.

— A ja dziękuję za półtoragodzinny seans rozrywkowy — rzucił Rutledge, idąc do drzwi. Łatwo poszło, co? Trzeba tylko poznać technikę przesłuchiwania. Aby uzyskać pewny rezultat trzeba mieć odprężonych i wypoczętych ludzi. Detektor kłamstw w zasadzie rejestruje tylko skok ciśnienia i wilgotności naskórka przy zaskoczeniu nie-

wygodnym pytaniem. Niech więc wszyscy będą śpiący. Proste, prawda? A tak naprawdę to Irańczycy wzięli na siebie całą robotę. On ma tylko od czasu do czasu dorzucać do ognia. Ta myśl spowodowała, że się uśmiechnął, wchodząc do toalety.

\* \* \*

Gwiazdor sprawdził czas i odnotował go w pamięci. Z budynku z garażem wyszli dwaj mężczyźni. Po zamknięciu drzwi jeden z nich obrócił się i powiedział coś do drugiego. Ruszyli w kierunku parkingu przed przedszkolem. Po drodze rozglądali się na boki w sposób, który ich określał nie mniej wyraźnie, niż gdyby mieli na sobie mundury i u pasa broń. Z garażu wyjechał Suburban. Dobra kryjówka, ale zbyt oczywista dla bystrego obserwatora. Z budynku przedszkola wyszło razem dwoje dzieci. Jedno prowadziła kobieta, drugie mężczyzna. . . ten sam, który stał w cieniu drzwi, kiedy dzieci wychodziły po południu na plac zabaw. Mężczyzna był potężnej postury. Widać, że silny. I jeszcze dwie kobiety. Jedna poszła do przodu, druga została z tyłu. Rozglądały się bardzo uważnie. Dzieci zostały zaprowadzone do nieoznaczonego samochodu. Suburban zatrzymał się na podjeździe, ruszył w kierunku autostrady, inne wozy za nim. Po

piętnastu sekundach za kolumną pojechał wóz policyjny, który Gwiazdor poprzednio już widział.

Zadanie trudne, ale do wykonania. Misja mogła mieć kilka różnych epilogów, ale wszystkie były do przyjęcia przez zleceniodawców. Świetnie się składa, że Gwiazdor nie miał najmniejszej słabości do dzieci. Już uczestniczył w podobnych misjach i nauczył się, że na dzieci nie należy patrzeć, jak na dzieci, ale jak na cele operacji. Ta mała, którą ochroniarz trzymał za rękę swą wielką łapą, była przedmiotem zainteresowania tych, którzy wydadzą polityczne oświadczenie. Tak, to na pewno ona. Dziecko równa się polityczne oświadczenie. Gwiazdor podejrzewał, że Allah by tego nie aprobował. Nie ma religii na świecie, która sankcjonuje czynienie krzywdy dzieciom, ale religie nie są narzędziami, którymi spełnia się wymagania racji stanu. Nie są, bez względu na to, w co mogą wierzyć obecni przełożeni Badrajna, Religie są czymś przeznaczonym dla idealnego świata, a padół ziemski daleki jest od ideału. I dlatego wolno sięgać do niecodziennych środków, by osiągnąć religijny cel, a to oznacza... coś, o czym lepiej nie myśleć. To tylko biznes. I jego jest sprawą zrobić, co można, nie zwracając uwagi na żadne święte kanony. Gwiazdor nie miał żadnych zahamowań, jeśli o to chodzi, i być

może dlatego nadal żyje, podczas gdy inni przestali oddychać, a jeśli dobrze postrzega sytuację, to wkrótce do tych nieżyjących dołączy wielu następnych.

## 28 — Kwilenie

Politycy raczej nie lubią niespodzianek. Chociaż uwielbiają robić niespodzianki bliźnim — przeważnie innym politykom, przeważnie publicznie, zawsze doskonale zaplanowane i przygotowane ze starannością, z jaką w dżungli zastawia się pułapki — nie znoszą, gdy sami są nimi obdarowanymi. Obdarowywanie się prezentami jest losem polityków w krajach, gdzie polityka jest tak zwanym cywilizowanym zajęciem.

W Turkmenii jeszcze do tego nie doszło. Premier — mógł sobie wybierać w wielu innych tytułach, ale ten przedkładał nawet nad tytuł prezydenta — radował się życiem i stanowiskiem. Gdyby nadal był tylko dostojnikiem nieboszczki komunistycznej partii



Turkmeńskiej Republiki Radzieckiej, byłby pod wieloma względami bardziej skrepowany, niż obecnie. Musiałby nieustannie sterczeć przy telefonie z Moskwy, jak ryba na haczyku na końcu długiej żyłki. Ale teraz już nie musiał. Moskwa tak daleko nie sięgała, a on był bardzo grubą rybą. Pełen życia mężczyzna pod sześćdziesiątkę, który lubił żartować i kochał ludzi. W tym konkretnym wypadku „ludźmi” była przystojna urzędniczka w wieku dwudziestu lat, która po sutej kolacji i odrobinie ludowych tańców (premier w nich celował) zabawiła go, jak tylko potrafi młoda kobieta. Obecnie premier, siedząc obok kierowcy czarnego Mercedesa, wracał pod ugwieżdżonym niebem do swej oficjalnej rezydencji. Na ustach miał uśmiech mężczyzny, który przed chwilą we właściwy mężczyźni sposób udowodnił, kim jest. Może i załatwi dziewczynie awans... za kilka tygodni. Był dysponentem, jeśli nawet nie absolutnej władzy, to dostatecznej nawet dla człowieka pazernego. Stąd też głębokie zadowolenie z życia. Był popularny wśród ludzi, jako przywódca stojący mocno nogami na ziemi, i umiał grać swoją rolę. Wiedział, kiedy siadać z ludźmi, czyją prawicę ścisnąć, jak poklepać kogoś po plecach, a przed kamerami telewizyjnymi wyraźnie pokazywał, że jest „jednym z nich”. Za czasów dawnego reżimu nazywano to kultem jednostki, bo to był kult jednostki i premier

doskonale o tym wiedział, uważając, że jest to konieczny instrument polityki. Niósł na swoich barkach wielką odpowiedzialność, wykonywał swą powinność i za to coś mu się należało. Jedną z tych rzeczy była niemiecka limuzyna. Inna z „rzeczy” szła pewno w tej chwili do łóżka, może nawet z uśmiechem i westchnieniem zadowolenia. O tak, życie było piękne. Premier nie wiedział jeszcze, że pozostało mu go tylko sześćdziesiąt sekund.

\* \* \*

Nigdy nie brał policyjnej eskorty. Bo i po co? Wszyscy go kochali. Był tego pewien. Poza tym wracał późno. Zobaczył jednak wóz policyjny z włączonym kogutem. Zatrzymał się tuż za skrzyżowaniem i zagradał drogę. Na zewnątrz stał policjant z podniesioną ręką. Właściwie nawet nie patrzył na Mercedesa, rozmawiając przez radio. Premier był ciekaw, co też się stało. Jego kierowca-ochroniarz zaklął pod nosem i zwolnił. Zatrzymał wóz na samym skrzyżowaniu i sprawdził, czy pistolet łatwo wychodzi z kabury. Ledwo Mercedes stanął, kiedy kierowca i jego pasażer usłyszeli jakiś hałas po prawej. Premier obrócił głowę i miał jeszcze ułamek czasu na szerokie otworzenie

oczu, w których polu widzenia pojawił się stalowy zderzak ciężarówki Kamaz i uderzył w limuzynę z prędkością czterdziestu kilometrów na godzinę. Zderzak rąbnął w dolny skraj bocznych szyb i Mercedes został odrzucony o dziesięć metrów w lewo, zatrzymując się na kamiennej ścianie biurowego budynku. Wtedy dopiero do rozbitego wozu podszedł policjant w towarzystwie dwóch innych, którzy wynurzyli się z cienia. Kierowca nie żył, miał skręcony kark. Policjant domyślił się tego z kąta ułożenia głowy. Niemniej jego kolega sięgnął przez rozbity szybę i potrząsnął głową zmarłego, żeby sprawdzić. Ku zdumieniu wszystkich premier jeszcze żył. I kwilił. Żyje pewno dlatego, że był pijany, pomyśleli policjanci. Cały rozluźniony i bezwładny. To się szybko załatwi. Starszy policjant, ten, który rozmawiał przez radio, podszedł do ciężarówki, otworzył skrzynkę z narzędziami, wygrzebał z nich łyżkę do opon, wrócił do rozbitego samochodu i żelaznym drażkiem trzepnął premiera w potylicę. Wykonawszy zadanie, rzucił łyżkę kierowcy ciężarówki. Premier Turkmenii zmarł w wyniku obrażeń odniesionych podczas wypadku samochodowego. W kraju będą musiały odbyć się wybory, prawda? Ludzie na pewno wybiorą przywódcę, którego znają i szanują.

\* \* \*

— Tak, panie senatorze. To był bardzo długi dzień — zgodził się Tony Bretano. — Jeśli o mnie chodzi, miałem długie i ciężkie dwa tygodnie, zapoznając się z arkanami nowej funkcji i nowymi ludźmi, ale, jak pan to dobrze wie, zarządzanie to zarządzanie, a Departament Obrony od dłuższego czasu nie miał zarządcy. Najbardziej mnie niepokoi sprawa kontraktów dla wojska. Procedura przetargowa trwa zbyt długo, zbyt wiele kosztuje. Problemem jest nie tyle korupcja, co narzucanie standardów tak wysokich, że... Posłużę się przykładem: gdyby kupowało się żywność w ten sam sposób, w jaki Departament Obrony kupuje broń, to można by umrzeć z głodu, nie mogąc zdecydować się w supermarkecie, czy wziąć gruszki w syropie firmy Libby, czy Del Monte. TRW jest moim zdaniem dobrym koncernem i nie wyobrażam sobie, bym mógł nim w ten sposób zarządzać. Akcjonariusze zlinczowałiby mnie. Stać nas na lepsze administrowanie instytucją publiczną i mam zamiar dopilnować, by tak było.

— Panie sekretarzu — odezwał się zjadliwie senator. — Jak długo jeszcze ma to trwać? Dopiero co wygraliśmy wojnę...

— Senatorze, Ameryka ma najlepszą służbę zdrowia na świecie, a mimo to ludzie nadal umierają na raka i zawały serca. Czasami nawet najlepsze nie wystarcza, prawda? Ale co ważniejsze i bezpośrednio dotykające problemu: może zrobić to, co robimy — tylko lepiej i taniej? Nie przyjdę do was po dodatkowe fundusze. Zakupy dokonywane przez armię będą większe, o tak! Szkolenie i gotowość bojowa będą lepsze. Proszę pamiętać, że istotnymi pozycjami w budżecie obrony są wydatki osobowe. I tu możemy wiele zaoszczędzić. Departament zatrudnia zbyt wielu pracowników w niewłaściwych miejscach. Marnuje się pieniądze podatników. Ja coś o tym wiem. Płacę podatki, duże podatki. Nie wykorzystujemy właściwie ludzi i to, senatorze, jest najbardziej karygodne, stanowi szczyt marnotrawstwa. Sądzę, że śmiało mogę obiecać redukcję zatrudnienia o dwa, a może o trzy procent. A kto wie, czy nie więcej, gdy rozgryzę ostatecznie system zawierania kontraktów. Jeśli o to ostatnie chodzi, będę musiał prosić o ustawową pomoc. Nie ma najmniejszego powodu, dlaczego musimy czekać osiem do dwunastu lat na nowy samolot. Zanim podejmiemy decyzję, studiujemy, aż wszystkim niedobrze się robi. Niegdyś miało to służyć oszczędzaniu pieniędzy podatników, a teraz wydajemy ich więcej na owo studiowanie i zastanawianie się, niż na sam sprzęt. Uważam, że nad-

szedł czas, by przestać co dwa lata na nowo wynajdywać koło. Nasi obywatele pracują na pieniądze, które my wydajemy i winni im jesteśmy przynajmniej jedno: wydawać je mądrze.

Bretano rozejrzał się po członkach komisji senackiej.

— Moim zdaniem nie ma rzeczy ważniejszej, kiedy Ameryka wysyła swych synów i córki na obszary, gdzie grozi niebezpieczeństwo, niż baczenie, by ci synowie i córki byli jak najlepiej wyszkoloną, najlepiej uzbrojoną i najlepiej zaopatrzoną siłą na obszarze konfliktu. Możemy to osiągnąć za mniejsze pieniądze, usprawniając system. — Na szczęście nowy senator nie wie, że to jest niemożliwe, pomyślał Bretano. Przed rokiem taka sztuczka nie udałaby się. Nie przeszłoby to, co przed chwilą powiedział. Sprawny i wydajny system to pojęcia obce dla większości agend rządowych, nie dlatego, że pracują w nich niewłaściwi ludzie, ale z tej prostej przyczyny, że im nikt nigdy nie powiedział, że można wszystko robić inaczej. Dobrze jest pracować w drukarni banknotów, ale jeśli za te banknoty kupuje się za dużo ciastek i karmi się tylko nimi, to można szybko stracić zdrowie i życie. Gdyby rzeczywiście sercem Ameryki miał być

jej rząd, to Amerykanie co do jednego już dawno padliby trupem. Na szczęście serce Ameryki biło gdzie indziej, a organizm otrzymywał lepszy pokarm.

— Po co nam taka armia i tyle broni w epoce, kiedy...

Bretano raz jeszcze przerwał upartemu senatorowi. Muszę się wyleczyć z przerywania ludziom, pomyślał, kiedy otwierał usta, ale nie mógł wytrzymać tego typu.

— Czy pan ostatnio przyglądał się budynkowi po drugiej stronie ulicy, senatorze?

Senator prychnął zirytowany. Zabawne było to widzieć. Zabawne też było, że niemal identycznie zareagował własny doradca Tony'ego Bretano, siedzący po lewej. Senator dysponował ważkim głosem. Tu, w komisji, i na sali obrad plenarnych. Przewodniczący komisji zrozumiał aluzję i z powagą uderzył młotkiem w stół, obwieszczając zakończenie sesji i zapowiadając głosowanie następnego dnia rano. Senatorowie w większości już ujawnili, jak zamierzają głosować, wychwalając otwarte i szczere wystąpienie kandydata (a czynili to w słowach niemal równie naiwnych, jak jego wystąpienie) oraz wyrażając chęć bliskiej z nim współpracy w przyszłości.

\* \* \*

Ledwo ONZ uchwaliła rezolucję, już pierwszy statek popłynął pełną parą do irackiego portu Basra. Natychmiast potężne paszce podobnych do odkurzaczy urządzeń wyssały z niego zboże i od tej chwili sprawy potoczyły się szybko. Po raz pierwszy od wielu lat starczy chleba na poranne śniadanie Irakijczyków — oświadczyła wszem i wobec iracka telewizja, uzupełniając wiadomość nadawanymi na żywo scenami z okolicznych piekarni, gdzie piekarze sprzedawali swe wyroby tłumom szczęśliwych, uśmiechniętych ludzi. Komunikat kończył się informacją, że tegoż dnia obradować będzie nowy rząd rewolucyjny, rozpatrując szereg spraw o kapitalnym znaczeniu dla całego narodu. Informacje, oświadczenia i komunikaty zostały nagrane przez Palmę oraz Sztorm, i przekazane dalej. Jednakże najważniejsza informacja dnia pochodziła z innego źródła.

Gołowko był gotów uznać, że w istocie turkmeński premier zginął w wypadku. Jego słabostki i upodobania dobrze były znane SWR, a wypadki samochodowe zdarzają się wszędzie, w Turkmenii także. Zwłaszcza w Związku Radzieckim nieproporcjonalnie duża była liczba wypadków spowodowanych pijaństwem kierowców. Jednakże Gołow-



ko nie należał do ludzi, którzy wierzą w jakiegokolwiek zbiegi okoliczności, zwłaszcza kiedy są one podejrzane i w czasie niefortunnym dla interesów jego kraju. Nie pomagało też, że miał do dyspozycji środki, które mu pozwalały przeanalizować problem. Premier nie żył. Będą musiały odbyć się wybory. Potencjalny zwycięzca był ogólnie znany. Do tego wszystkiego doszła informacja, że irańskie jednostki wojskowe szykują się do marszu na zachód. W krótkim czasie dwóch przywódców niezbyt odległych od siebie państw odeszło z tego świata. I oba te państwa graniczą z Iranem. Nawet gdyby to był zbieg okoliczności, Gołowko by w niego nie uwierzył. Doszedłszy do tego wniosku, wziął do ręki słuchawkę telefonu.

\* \* \*

Okręt podwodny USS „Pasadena” znajdował się między dwiema formacjami okrętów marynarki Chińskiej Republiki Ludowej, operujących w danej chwili w odległości dziewięciu mil morskich od siebie. „Pasadena” była uzbrojona, wiozła pełny zapas torped i rakiet, niemniej znajdowała się w sytuacji samotnego policjanta na Times Square w noc sylwestrową, usiłującego wszystkiego dopilnować. W takiej sytuacji trzymanie

w ręku nawet odbezpieczonego pistoletu nie na wiele się przydaje. Co kilka minut z kiosku wysuwał się maszt detektora promieniowania elektromagnetycznego, aby pochwycić zewsząd napływające sygnały, a sonarzyści zbierali skrupulatnie wszystkie echa w centrali hydro. Tylu obserwatorów, ilu tylko mogło się zmieścić, obstało stoł nakresowy, nanosząc dane określające pozycje poszczególnych jednostek. Dowódca polecił zejść niżej, na sto metrów, tuż pod pierwszą warstwę termokliny, aby zyskać kilka minut na spokojne przeanalizowanie sytuacji, która stała się zbyt złożona, by mógł wszystko zapamiętać. Kiedy okręt znieruchomiał na nowej głębokości, podszedł do stołu nakresowego.

No tak, manewry morskie, ale ich charakter nieco odbiegał od normy. Zwykle podczas takich manewrów formacja „dobrych” usiłuje powstrzymać „złych”, którzy chcą zrobić kuku „dobrym”. I z położenia okrętów w każdej z faz zawsze można powiedzieć, kto jest „dobry”, a kto „zły”. W tym wypadku okręty miast wrogo na siebie patrzeć, skierowały dzioby na wschód. Na wschodzie leżała Republika Chin, czyli Tajwan. Pierwszy oficer nanosił na mapę otrzymane informacje. Dla dowódcy obraz stał się jasny.

— Hydro do centrali — odezwał się głośnik.

— Dowódca! — powiedział komandor do mikrofonu.

— Dwa nowe kontakty, sir. Sierra Dwadzieścia i Dwadzieścia Jeden. Oba podwodne. Sierra Dwadzieścia, namiar trzy-dwa-pięć... chwilka... już chyba wiem. Przypomina okręt podwodny o napędzie atomowym klasy *Han*, czysty szum na pięćdziesięciu hercach, echo kadłuba także. Sierra Dwadzieścia Jeden, także jednostka podwodna, namiar trzy-trzy-zero, zaczyna wyglądać na *Xia*, sir.

— Okręty podwodne? Na manewrach floty? — spytał oficer operacyjny.

— Jak czysto odbierasz Dwadzieścia Jeden? — spytał sonarzysty pierwszy oficer.

— Cały czas się poprawia, sir — odparł sonarzysta. Cała ekipa hydrolokacji znajdowała się w pomieszczeniu na prawej burcie przed centralą. — Echo kadłuba wskazuje na *Xia*... *Han* kieruje się na południe, obecny namiar trzy-dwa-jeden... obroty śruby wskazują na osiemnaście węzłów.

— Sir! — wezwał dowódcę pierwszy oficer, nanosząc na mapę ostatnie informacje. Wynikało z nich, że *Han* i *Xia* są za północną formacją.

Dowódca spojrział na mapę i chwilę się zastanawiał.

— Hydro, macie coś jeszcze? — spytał do mikrofonu.

— Nasłuch jest coraz bardziej skomplikowany. Na morzu robi się tłok — poinformował szef sekcji hydro.

— Komu to mówicie — mruknął pochylony nad stołem nakresowym oficer nawigacyjny.

— Coś od wschodu? — nalegał kapitan.

— Sześć kontaktów, statki handlowe.

— Mamy wszystko, co pływa — potwierdził szef sekcji hydro. — Ani śladu tajwańskiej floty.

— Wkrótce się pojawi — pomyślał głośno dowódca.

\* \* \*

Generał Bondarienko także nie wierzył w zbiegi okoliczności. A poza tym nie dostrzegał żadnych uroków w południowych rubieżach dawnego Związku Radzieckiego. Najprawdopodobniej wpłynął na to pobyt na afgańskim pograniczu w pewną mroźną tadżycką noc. W zasadzie nie miały nic przeciwko rozwodowi Rosji z muzułmańskimi

pseudopaństwami na południowej granicy. Tylko że, niestety, w prawdziwym świecie zasady nie obowiązywały.

— Więc co mam o tym myśleć? Co się tam dzieje? — spytał Bondarienko.

— Jesteś wprowadzony w sytuację iracką?

— Jestem, *gaspadin priedsiedatiel*.

— No to ty mi powiedz, co się dzieje — polecił Gołowko.

Bondarienko pochylił się nad stołem i wodząc palcem po mapie zaczął mówić:

— Wydaje mi się, że to, co pana niepokoi, to możliwość, iż Iran zechce sięgnąć po status supermocarstwa. Fuzja z Irakiem oznacza zwiększenie potencjału, jeśli idzie o ropę naftową, o blisko czterdzieści procent. Poza tym daje im to wspólną granicę z Kuwejtem i Arabią Saudyjską. Z kolei podbój tych dwóch państw podwoiłby zasoby ropy naftowej Irano-Iraku. Można też przypuścić, że drobne państwa arabskie Zatoki Perskiej także padłyby ofiarą aneksji. Obiektywne możliwości spełnienia tego scenariusza są aż nadto widoczne — kontynuował generał chłodnym tonem profesjonalisty, zapowiadającego katastrofę. — Ludność połączonego Iraku i Iranu przewyższa sumę ludności wszystkich pozostałych państwa regionu. Chyba pięć do jednego, praw-

da? Jeszcze więcej? Możliwe, dokładnie nie pamiętam, niemniej taki potencjał ludzki jest czynnikiem decydującym. I, w wypadku połączenia obu państw, staje się prawdopodobny podbój lub wywarcie politycznej presji i uzyskanie tym samym politycznego przyczółka w muzułmańskich państwach regionu. Już samo to zapewnia Zjednoczonej Republice Islamskiej status potęgi ekonomicznej i pozwoli na dowolne ograniczenie dostaw ropy Europie i Azji.

Bondarienko chwilę się zastanawiał.

— A teraz Turkmenia, panie przewodniczący. Jeśli, jak przypuszczacie, nie jest to zbieg okoliczności, mamy sygnał, iż Iran zamierza rozszerzyć swoje wpływy również na północ i, kto wie, czy nie chce pochłonąć także Azerbejdżanu. . . — Wodził palcem po mapie — Uzbekistan, Tadżykistan i Kazachstan. To by trzykrotnie zwiększyło potencjał ludzki, zapewniając jednocześnie wcale pokaźną bazę surowcową. W następnej kolejności ofiarą mogłyby paść Afganistan i Pakistan. I oto powstałoby imperium od Morza Czerwonego aż po Hindukusz. . . nie. . . od Morza Czerwonego po Chiny. I wówczas nasza południowa granica byłaby usiana wrogimi prowincjami owego imperium. — Podniósł głowę i spojrzął w oczy przewodniczącemu. — Sytuacja jest znacznie gor-

sza, niż początkowo myślałem, Siergieju Nikołajewiczu. Wiemy ponadto, że Chińczycy łakomym okiem patrzą na Syberię. Nowe państwo islamskie zagraża naszym zakaukaskim polom naftowym. Nie jestem w stanie obronić tych terenów. Obrona kraju przed Hitlerem była zabawką w porównaniu z tym, co nas czeka — zakończył.

Gołowko stał po przeciwnej stronie mapy. Wezwał Bondarienkę w specyficznym celu. Starszozna wojskowa była spadkiem po poprzednim reżimie. Na szczęście zaczynała wymierać, a Gienadij Józefowicz należał już do nowego pokolenia. Sprawdził się podczas tej poronionej awantury afgańskiej, był na tyle dojrzały, by wiedzieć, co to jest wojna — w pewnym sensie on i inni oficerowie jego pokolenia zdobyli przewagę nad tymi, których w przyszłości mieli zastąpić — i na tyle młody, że nie niósł na barkach ideologicznego bagażu poprzedniego pokolenia. Należał do optymistów, zawsze gotów do uczenia się od Zachodu, gdzie ostatnio spędził miesiąc w różnych armiach NATO, podpatrując, co się da, zwłaszcza od Amerykanów. Jednakże teraz Bondarienko spoglądał na mapę z przerażeniem.

— Ile czasu to potrwa? — spytał generał. — Ile im zajmie zorganizowanie nowego państwa?

Gołowko wzruszył ramionami. — Kto to wie? Trzy lata, może nawet tylko dwa. W najlepszym dla nas wypadku pięć.

— Dajcie mi pięć lat i środki na odbudowanie potęgi wojskowej naszego kraju, a będziemy mogli... być może... Nie. Nie mogę dać na to gwarancji. Wiem, że rząd nie da mi ani pieniędzy, ani potrzebnych środków. Nie może dać. Pieniądzy po prostu nie ma.

Bondarienko podniósł głowę i napotkał wlepiony weń wzrok przewodniczącego, który spytał: — Więc co wtedy?

— Wtedy, kiedy oni będą gotowi, to wolałbym być ich oficerem operacyjnym. Łatwiejsze zadanie. Na wschodzie do obrony pasmo górskie. I bardzo dobrze, ale mamy tylko dwie linie kolejowe dla zaopatrzenia logistycznego i to jest bardzo niedobrze. Środek. Co będzie, jeśli wchłoną Kazachstan? — Postukał palcem w mapę. — Spójrzcie, jak to już blisko Moskwy. A co z sojusznikami? Ukraina? Turcja? No, a na przykład Syria? Wszystkie bliskowschodnie państwa będą musiały akceptować fakt powstania nowego kolosa i zawrzeć z nim jakieś porozumienie. Wtedy przegrywamy. Możemy zagrozić użyciem broni nuklearnej, ale co to nam pomoże? Chiny mogą stracić pięćset



milionów ludzi i nadal będą miały większy potencjał niż my. Poza tym ich gospodarka rozwija się, a nasza upada. Oni mogą sobie pozwolić na zakup broni od Zachodu, albo jeszcze lepiej — na zakup licencji i samodzielną produkcję. W tej sytuacji użycie przez nas broni nuklearnej, taktycznej czy strategicznej, nie tylko mijałoby się z celem, ale także byłoby niebezpieczne. Istnieje poza tym aspekt polityczny problemu, ale to już wam pozostawiam, panie przewodniczący. Militarnie będziemy słabsi we wszystkich istotnych dla wojny rodzajach broni. Nieprzyjaciel będzie miał przewagę uzbrojenia, liczebności i terenu. A ponieważ będzie mógł zakręcić reszcie świata kurek z ropą, zmniejszą naszą szansę uzyskania zagranicznej pomocy, zakładając oczywiście, że jakiegokolwiek zachodnie państwo byłoby w ogóle skłonne do pomagania nam. Stoimy w obliczu potencjalnej zagłady.

Dla przewodniczącego bardzo niepokojący był fakt, że Bondarienko tak spokojnie wypowiedział tę opinię. Przecież Bondarienko nigdy niepotrzebnie nie straszy. Bondarienko zawsze przedstawia rzeczowy obraz sytuacji.

— Jak możemy temu zapobiec?

— Nie wolno nam dopuścić do utraty południowych republik. Żebym jeszcze wiedział, jak je zatrzymać. Przejąć kontrolę wojskową nad Turkmenią? Toczyć wojnę partyzancką, bo oczywiście taka się rozpocznie? Nasza armia nie jest przygotowana do takiej wojny. Nawet jednej malutkiej, a będzie ich z pewnością więcej, prawda? — Poprzednik Bondarienki został wylany z powodu nieudolności armii w rozprawieniu się z Czeczeńcami. Nieskomplikowana w założeniu pacyfikacja, obróciła się w klęskę, obwieszając światu, że rosyjska armia to tylko cień potężnej siły sprzed zaledwie kilku lat.

Funkcjonowanie Związku Radzieckiego opierało się na strachu. Zdawał sobie z tego sprawę Gołowko. Zdawał i Bondarienko. Obywatele byli posłuszni, bo się bali KGB, a lęk przed tym, do czego była zdolna Armia Radziecka — znali dobrze sposoby, jakimi wielokrotnie rozprawiała się z rebeliami — zapobiegał wybuchowi poważniejszych politycznych rozruchów. Radzieckie niepowodzenie w Afganistanie — i to mimo stosowania niesłychanie brutalnych metod — było sygnałem, że już nie ma czego się bać. Związek Radziecki przestał istnieć, a na jego miejscu pozostało słabe państwo. Cień dawnej świetności. Cieniowi zagrażało obecnie nowe słońce, wschodzące na południu.

Gołowko odczytywał te i podobne myśli na twarzy swego gościa. Rosji brakuje tak potrzebnej w obecnej chwili potęgi wojskowej. Tylko dzięki hałaśliwej chełpliwości Rosji Zachód ją jeszcze podziwiał i nawet się bał — Zachód bowiem pamiętał Układ Warszawski, po Europie nadal krążyło widmo Armii Radzieckiej gotowej do marszu aż po Zatokę Biskajską — chociaż w innych częściach świata domyślano się prawdy. Europa i Ameryka nie mogły zapomnieć żelaznej pięści. Widzianej, choć na szczęście nie odczuwalnej. Ci natomiast, którzy tę pięść dawniej odczuwali i nagle przestali, wiedzieli, co się dzieje. I wiedzieli, co to może oznaczać.

— Czego ci potrzeba?

— Czasu i pieniędzy. I politycznego poparcia w kwestii odbudowy potęgi wojskowej. Potrzeba mi też zachodniej pomocy. — Generał nie przestał wpatrywać się w mapę. Poczł się nagle jak spadkobierca bogatego, potężnego rodu. Rodziny kapitalistycznej. Patriarcha rodu zmarł, a on jest spadkobiercą całego majątku. Okazuje się jednak, że majątek jest zadłużony powyżej swej wartości. Bondarienko wrócił z Ameryki podniesiony na duchu, przekonany, że dostrzegł właściwą drogę, kształt przyszłości i zna już sposób zapewnienia bezpieczeństwa swemu krajowi. Właściwy sposób: zawodowa ar-

mia złożona z fachowców, którzy decydują się na wieloletnią służbę, ożywionych *esprit de corps*, dumnych strażników wolnego państwa. Na ziszczenie podobnego marzenia trzeba lat. W powstałej sytuacji. . . Jeśli Gołowko i jego służby specjalne mieli rację, to można było liczyć tylko na to, że naród pośpieszy na apel, jak pośpieszył w 1941 roku. Rosja miała szczęście w wojnie z faszystami. Ale na szczęściu nie można bazować, myśląc o przyszłości.

Natomiast można i trzeba uwzględnić to, że nieprzyjaciel okaże się przebiegły i nieobliczalny, a jego posunięcia nie do przewidzenia. Inni ludzie też patrzą na tę samą mapę, dostrzegają odległości i przeszkody — obliczają stosunek sił.

\* \* \*

Saleh jeszcze nigdy tak nie cierpiał. Widział cierpienie innych, sam zadawał ból w czasie, kiedy służył w tajnej policji swego kraju. Ale cierpienia tamtych były inne, ból mniejszy. Jego agonია musiała być chyba sumą wszystkich tamtych cierpień. Płacił za nie. Całe jego ciało od stóp do głowy zżerał przeraźliwy ból. Należał do ludzi silnych, muskularnych, twardych jak stal. Ale nie teraz. Teraz każda tkanka bolała, a kiedy pró-

bował zmienić nieco pozycję, by sobie ulżyć, skutek był mizerny. Ból był tak wielki, że zabił strach, który przecież powinien mu towarzyszyć.

Doktor nie wyzbył się strachu. MacGregor miał na sobie pełny strój ochronny, łącznie z maską na twarzy i rękawiczkami na dłoniach, które się nie trzęsły tylko dzięki wielkiej koncentracji doktora. Przed chwilą pobrał krew od pacjenta. Zachowywał przy tym ostrożność większą, niż kiedykolwiek przedtem w życiu, większą, niż przy chorych na AIDS. Dwaj sanitariusze założyli na ramię i ściągnęli opaskę, podczas gdy on pobierał próbki do osobnych fiolek. Jeszcze nigdy nie spotkał się z podobnym przypadkiem gorączki krwotocznej. Czytał o niej w podręcznikach medycznych i w publikacjach fachowych. Intelktualnie było to interesujące, ale do pewnego stopnia przerażające, tak jak rak czy typowo afrykańskie choroby. Słyszał, czytał. Teraz miał to przed oczami.

— Saleh? — odezwał się cicho.

— Tak... — ledwo słyszalny jęk.

— Jak tu przybyłeś? Muszę wiedzieć, jeśli mam ci pomóc.

Nie miał najmniejszych wahań. Żadnych myśli o potrzebie zachowania tajemnicy czy o względach bezpieczeństwa. — Z Bagdadu — wyrzucił z siebie i dodał niepotrzebnie: — Samolot. . .

— A czy przedtem odwiedzałeś Afrykę?

— Nigdy przedtem. — O centymetr obrócił głowę w prawo, potem w lewo. Powieki miał zaciśnięte.

Pacjent usiłuje pokazać, że się nie boi, że potrafi wszystko wytrzymać, pomyślał doktor.

— Pierwszy raz jestem w Afryce — wyjaśnił Saleh.

— Czy ostatnio miałeś stosunek? W ubiegłym tygodniu? — Może jakaś miejscowa prostytutka?

Pacjent dość długo zastanawiał się nad sensem usłyszanych słów, wreszcie zaprzeczył nieznacznym ruchem głowy.

— Od dawna żadnej kobiety — odparł.

MacGregor widział to na jego twarzy: już nigdy więcej. Ja już nigdy. . .

— Byłeś w kontakcie z kimś, kto gdzieś podróżował?

— Nie. Tylko Bagdad. Jestem ochroniarzem generała. Tylko z nim cały czas.

— Dostaniesz środek uśmierzający ból. I zrobimy transfuzję krwi. Spróbujemy spędzić gorączkę. Obłożymy cię lodem. Za chwilę wrócę.

Pacjent skinął głową, doktor wyszedł z pokoju, niosąc kilka fiolek z krwią w dłoni obleczonej rękawiczką.

Pielęgniarki i sanitariusze zabrali się do swojej roboty, MacGregor do swojej. Krew z jednej fiołki podzielił na dwie części. Obie z niesłychaną ostrożnością zapakował do wysyłki: Instytut Pasteura i CCZ. Pozostałe próbki oddał pierwszemu laborantowi, bardzo kompetentnemu Sudańczykowi. Następnie skomponował faks. Rozpoznanie: gorączka krwotoczna nieznanego pochodzenia. Potem wymienił kraj, miasto... Zaraz, zaraz, nim wyśle faks musi zadzwonić. Podniósł słuchawkę i połączył się ze swoim łącznikiem w miejscowym Ministerstwie Zdrowia.

— Tu? W Chartumie? — zdziwił się ministerialny lekarz. — Jest pan pewien? Skąd jest pacjent?

— Tu, w Chartumie, a pacjent twierdzi, że przybył z Iraku.

— Z Iraku? A skąd by się tam to wzięło? Sprawdził pan krew na przeciwciała?

— Właśnie w tej chwili krew jest badana.

— Ile to jeszcze potrwa?

— Z godzinę.

— Chcę zobaczyć preparat, zanim pan cokolwiek zrobi — zdecydował lekarz rządowy.

Chce się wykazać, pomyślał MacGregor. Zamknął oczy i zacisnął mocno dłoń na słuchawce. Rządowy lekarz pełnił swą funkcję dzięki protekcji, jako syn długoletniego ministra, a najlepsze, co o nim można było powiedzieć, to to, że, siedząc w luksusowym gabinecie, nie szkodził pacjentom, bo ich nie miał. MacGregor z trudem się opanował. No cóż, to samo działo się w całej Afryce. Miejscowe rządy dbały przede wszystkim o dochód z turystyki. Tego właśnie Sudanowi najbardziej brakowało — turystów. Było ich niewielu, poza kilkunastoma antropologami, usiłującymi dokopać się do szczątków prymitywnego człowieka, na południu, w pobliżu etiopskiej granicy. We wszystkich ministerstwach zdrowia na całym tym wspaniałym kontynencie było to samo. Rządowe służby zdrowia zaprzeczały wszystkiemu. To jeden z powodów, dla których AIDS rozszalało się w środkowej Afryce. Zaprzeczali, ciągle zaprzeczali. Jaki procent ludności



musi umrzeć, aby przestali zaprzeczać? Dziesięć procent? Trzydzieści? Pięćdziesiąt? Ale wszyscy bali się krytykować afrykańskie rządy i ich tępych urzędników. Jakże łatwo jest otrzymać etykietkę rasisty. Lepiej więc milczeć, a ludzie niech sobie umierają.

— Doktorze, jestem pewien mojej diagnozy, a moim obowiązkiem jest. . . — nalegał MacGregor.

— Wszystko może poczekać do mojego przyjścia — padła oschła odpowiedź. Nie wygram nic w ten sposób, pomyślał MacGregor, a stracić mogę wiele. Sudańczycy mogli unieważnić jego wizę jeszcze tego samego dnia. I kto leczyłby wówczas pacjentów?

— Dobrze, doktorze — odparł z rezygnacją. — Niech pan szybko przychodzi.

— Mam jeszcze kilka spraw do załatwienia i zaraz potem przyjdę. — „Zaraz potem” mogło oznaczać u schyłku dnia albo nazajutrz. Obaj rozmówcy doskonale o tym wiedzieli. — Czy pacjent jest izolowany?

— Zostały podjęte wszystkie środki ostrożności — zapewnił MacGregor.

— Jest pan świetnym lekarzem i wiem, że mogę panu zaufać, iż nic poważnego się nie wydarzy — po tych słowach rządowego lekarza linia zamarła.

MacGregor ledwo odłożył słuchawkę, kiedy rozległ się dzwonek.

— Tak?

— Doktorze, proszę przyjść szybko do czwórki — prosiła pielęgniarka.

Po trzech minutach już tam był. Sahaila! Sanitariusz wynosił właśnie basen z wymiocinami. Znajdowała się w nich krew. MacGregor uświadomił sobie, że i ona przyjechała z Iraku. O mój Boże!

\* \* \*

— Nikt z was nie ma powodu czegokolwiek się bać. — Słowa były pozornie uspokajające, ale nie na tyle, na ile chcieliby tego członkowie Rady Rewolucyjnej. Irańscy mułłowie z pewnością nie kłamali, ale siedzący wokół stołu generałowie i pułkownicy nie zapomnieli, że jako kapitanowie i majorowie walczyli przeciwko Irańczykom. Nikt nie zapomina wrogów z pola walki. Zawsze pozostają wrogami.

— Chcemy, abyście przejęli dowodzenie siłami zbrojnymi waszego kraju — kontynuował starszy mułła. — Współpracując będziecie mogli zachować stanowiska. Żądamy tylko przysięgi na Allacha. Przysięgi złożonej nowemu rządowi.

Oficerowie wiedzieli, że nie skończy się na tym „tylko”. Będą pilnie obserwowani. Jeśli zrobią jeden fałszywy krok, zostaną rozstrzelani. Nie mieli jednak innego wyjścia. Egzekucje bez wyroku były na porządku dziennym w Iranie i Iraku, stanowiąc doskonałą metodę likwidacji prawdziwych i wymaganych dysydentów w obu krajach.

Ocaleni z pogromu starsi oficerowie irackich sił zbrojnych wymienili skryte spojżenia. Mogli przejąć dowodzenie i odzyskać autorytet tylko dzięki czynnej pomocy dawnych wrogów, którzy stali u szczytu stołu, z błogimi uśmiechami na twarzach — uśmiechami, które daje zwycięstwo i świadomość, że trzyma się w dłoni dar życia.

Tytułarny przewodniczący rady skwapliwie skinął głową. Po dziesięciu sekundach w jego ślady poszli wszyscy pozostali, a wraz z tym gestem tożsamość ich kraju przeszła do historii.

Teraz pozostawało przeprowadzić tylko kilka rozmów telefonicznych.

\* \* \*

W kolejnej dziesiątce znalazł się pederasta. Opiekował się takim jak on przestępcą — w tym wypadku dodatkowo mordercą — i z podglądu na monitorze wynikało, że nie szczędził trudu, przyśpieszając przebieg doświadczenia.

Moudi nie omieszkła poinstruować sanitariuszy, by bardzo pilnie baczyli na nowych „sanitariuszy”. Nowi stosowali zwykłe środki ostrożności. Nosili rękawiczki, starannie się myli, sprząтали dokładnie salę, wycierając wszelkie płyny. To ostatnie zadanie stało się coraz trudniejsze w miarę postępu choroby pacjentów poprzedniej dziesiątki. Zbiorowy jęk, jaki Moudi odbierał przez głośnik, mówił wiele o tym, jak chorzy cierpieli, zwłaszcza że nie dawano im żadnych leków przeciwbólowych, co było pogwałceniem islamskiego nakazu okazywania miłosierdzia. Druga dziesiątka, a właściwie tylko już dziewiątka królików doświadczalnych robiła, co im kazano, ale bez masek. Masek im nie wydano.

Pederasta był młodym mężczyzną. Mógł mieć dwadzieścia parę lat. Wyjątkowo starannie opiekował się powierzonym mu chorym. Nie było ważne, czy robił to z litości,

widząc cierpienia człowieka, czy też chciał wydać się litościwym, by potem samemu na litość zasłużyć. Moudi zrobił zbliżenie. Skóra leżącego była zaczerwieniona i sucha, ruchy powolne, hamowane przeraźliwym bólem. Lekarz podniósł słuchawkę telefonu. Po minucie w kadr kamery monitorującej wszedł jeden z wojskowych sanitariuszy w kombinезonie, zamienił kilka słów z pederastą i włożył mu do ucha termometr. Po chwili wyszedł z sali. Na korytarzu wziął do ręki słuchawkę.

— Ósemka na temperaturę trzydzieści dziewięć i dwa, twierdzi, że czuje zmęczenie i bolą go kończyny. Ma zaczerwienione i opuchnięte oczy — zameldował rzeczowym głosem sanitariusz. Było rzeczą jasną, że w stosunku do istot poddanych eksperymentowi sanitariusze zachowują obojętność. Żadnego uczucia wspólnoty, jakie odczuwali wobec siostry Jeanne Baptiste, która, choć należała do niewiernych, była kobietą wielu cnót. Ci na sali nie należeli do ludzi cnotliwych, co skutecznie eliminowało odruchy litości.

A więc to prawda, szczep Mayinga przenosi się drogą kropelkową. Moudi był teraz tego pewien. Pozostawało pytanie, czy podczas mutacji nie traci śmiertcionośnych cech. Jeśli nowy chory umrze, nie będzie już najmniejszych wątpliwości. Kiedy połowa dzie-

wiątki wykaże symptomy choroby, przeniesie ich się na drugą stronę holu do osobnej sali, pierwsza zaś dziesiątka — wszyscy już wykazywali objawy agonalne — zostanie zlikwidowana.

Dyrektor będzie bardzo zadowolony, pomyślał Moudi. Ostatnia część eksperymentu spełniła pokładane w niej nadzieje. Oto zyskali broń, jaką nikt jeszcze nigdy nie dysponował. Czyż to nie wspaniałe? — pomyślał lekarz.

\* \* \*

Odlot był zawsze łatwiejszy przy zastosowaniu starej sztuczki. Gwiazdor przeszedł przez bramkę, został zatrzymany, magiczna różdżka przejechała po nim od góry do dołu. Uśmiech zażenowania. Jak zwykle to wieczne pióro! Potem udał się do sali pasażerów pierwszej klasy. Po drodze nawet nie zerknął na boki, by sprawdzić, czy czatują tu gdzieś policjanci. Gdyby czatowali, już by go zatrzymali. Skoro nie zatrzymali, to oznacza, że ich nie ma. Do torby podróźnej miał przypięty skórzany notes, ale chwilowo nim się nie interesował. We właściwym czasie ogłoszono jego lot. Długim korytarzem poszedł do samolotu i szybko odnalazł swoje miejsce w przedniej kabine *Boeinga 747*.

Tylko połowa foteli była zajęta. Bardzo dobrze. Zaraz po starcie wyjął notes, ze skórzanego pokrowca wyciągnął bloczek papieru i zaczął zapisywać wszystko to, czego do tej chwili nie chciał powierzyć żółtym kartkom. Jak zwykle pomagała mu fotograficzna pamięć. Pracował przez bite trzy godziny. W połowie Atlantyku poddał się potrzebie snu. Podejrzewał, zupełnie słusznie, że potem długo mu się to nie uda.

## 29 — Proces

Kealty pomyślał, że to może być już jego ostatni strzał. Z przyzwyczajenia sięgnął do myśliwskiej metafory, nie zastanawiając się nawet nad ironią podobnego porównania. Miał ważniejsze sprawy na głowie. Poprzedniego wieczoru mobilizował swoich popleczników w mediach. Tych, na których mógł jeszcze liczyć. Pozostali nie wycofali się otwarcie, ale tkwiąc w niepewności, woleli utrzymywać dystans. Nie było trudno zainteresować tych pierwszych. Podczas dwugodzinnego nocnego spotkania kilka odpowiednio dobranych kluczowych słów i zdań podsyciło ich ciekawość. Wszystko



nieoficjalnie, bez prawa powoływania się na źródło, bez cytowania. Oczywiście, dziennikarze zgodzili się.

— Sprawa jest bardzo niepokojąca — obwieścił. — FBI poddała całe najwyższe piętro Departamentu Stanu przesłuchaniom z użyciem wykrywacza kłamstw. — Najwyższe piętro zajmowało kierownictwo Departamentu Stanu. Dziennikarze coś słyszeli o testach z poligrafem, ale nie mieli potwierdzenia. Była nim informacja od Kealty'ego. — Co bardziej jednak niepokoi, to podejmowane decyzje polityczne. Rozbudowa sił zbrojnych za namową Bretano, który od lat jest czołowym reprezentantem kompleksu przemysłowo-wojskowego. Wyrósł w nim. Ten człowiek oświadcza, że zamierza zlikwidować wszystkie zabezpieczenia w systemie zamówień dla sił zbrojnych, chce ograniczyć kontrolę Kongresu nad procedurami przetargowymi. A ten George Winston! Chcecie wiedzieć, czego on żąda? Zniszczyć cały system podatkowy, chce uczynić go bardziej agresywnym i całkowicie znieść podatek od zysków kapitałowych. A dlaczego? Żeby przerzucić cały ciężar podatków na klasę średnią i świat pracy, dając kapitalistom bezpłatny bilet na jazdę ku jeszcze większym majątkom.

Kealty, po chwili milczącego wzburzenia, ciągnął:

— Nigdy nie uważałem Ryana za profesjonalistę. Nie jest osobą na tyle kompetentną, by zajmować tak wysokie stanowisko. Ale czegoś podobnego się nie spodziewałem. On jest reakcjonistą, radykalnym konserwatystą. Sam nie wiem, jak go nazwać i jak wy to nazwiecie. . .

— Jest pan pewien tej historii w Departamencie Stanu? — spytał przedstawiciel „New York Timesa”.

Kealty skinął głową. — Absolutnie. Na sto procent. Przecież musieliście o tym słyszeć. . . Czyżbyście zaniedbywali wasze obowiązki? W samym środku bliskowschodniego kryzysu FBI dręczy naszych czołowych speców od polityki zagranicznej, całe kierownictwo Departamentu, oskarżając je o kradzież nie istniejącego listu?

— I w takiej chwili „Washington Post” zamierza opublikować materiał beatyfikujący Ryana — niby wyrwało się szefowi sztabu Kealty’ego.

— Hola, hola! — wykrzyknął reporter z „Postu”, prostując się w krześle. — To nie ja. To Bob Holtzman. Powiedziałem zastępcy naczelnego, że to niezbyt dobry pomysł. . .

— Skąd poszedł przeciek? — spytał Kealty.

— Pojęcia nie mam. Bob nigdy nie puszcza pary z ust.

— I co Ryan majstruje z CIA? Chce trzykrotnie zwiększyć zatrudnienie pionu operacyjnego. Trzykrotnie zwiększyć liczbę szpiegów! Naszemu krajowi tylko tego brakuje do szczęścia, tak? Co ten Ryan wyrabia? — rzucił retoryczne pytanie Kealty. — Zwiększa siły zbrojne. Zmienia przepisy podatkowe, żeby szybciej mogli bogacić się bogaci i rozbudowuje CIA, żeby było takie, jak w latach zimnej wojny. Wracamy do lat pięćdziesiątych. Po co Ryan to wszystko robi? Co mu chodzi po głowie? Czyżbym w tym mieście był jedynym człowiekiem zadającym jeszcze pytania? Kiedyż wreszcie wy, dziennikarze, zaczniecie dobrze wykonywać swój zawód? Ryan usiłuje stłamsić Kongres. I udaje mu się to. Gdzie są media? Kto ma dbać o interes obywateli?

— Do czego właściwie zmierzasz, Ed? — zapytał przedstawiciel „Timesa”.

Gest pełnej frustracji został wykonany z zawodową maestrią. — Stoję tu przed wami na moim własnym grobie. Nie mam nic do zyskania. Ale nie potrafię spokojnie patrzeć na to, co się dzieje. Chociaż Ryan posiada całą konstytucyjną władzę, nie mogę dopuścić do tego, by on sam i kilku jego koleżków skoncentrowali całą władzę w swoich rękach, rozbudowali aparat szpiclowania nas, zmienili prawo podatkowe na korzyść grupki ludzi, którzy nigdy nie płacili pełnych podatków, jakie powinni płacić. A Ryan chce

ich jeszcze bardziej wzbogacić. Nie mogę też pozwolić na to, by kosztem podatników wspomagał przemysł zbrojeniowy. A jaki będzie jego następny krok? Ograniczy swobody obywatelskie! Jego żona jest codziennie przewożona do pracy helikopterem, a żaden z was, panowie, nawet nie zauważył, że czegoś podobnego nikt przedtem nie robił. Mamy prezydenturę imperialną, o jakiej nawet nie marzył Lyndon Johnson. A Kongres na to nie reaguje. Wiecie, kogo mamy w fotelu prezydenckim? — Kealty pozostawił ich przez chwilę w napięciu. — Króla Jacka Pierwszego. Ktoś powinien zareagować. Dlaczego wy nie reagujecie, panowie?

— Co pan wie na temat artykułu Holtzmana? — chciał dowiedzieć się przedstawiciel „Boston Globe”.

— Ryan ma ciekawy życiorys. W latach pracy w CIA zabijał ludzi.

— Cholerny James Bond — wpadł Kealty emu w słowo szef sztabu.

Dziennikarz „Washington Post” uznał, że musi bronić honoru gazety.

— Holtzman nic takiego nie podaje. Jeśli pan ma na myśli ów wypadek, kiedy terroryści przyszli...

— Nie o to chodzi. Holtzman ma napisać o sprawie moskiewskiej. To nawet nie była operacja Ryana. Decyzję wydał sędzia Arthur Moore, kiedy był zastępcą dyrektora CIA. Ryan był tylko figurantem. A w ogóle była to ingerencja w ściśle wewnętrzne sprawy Związku Radzieckiego. I nikomu wówczas nie przyszło do głowy, że być może cały pomysł nie jest wcale taki dobry. No bo pomyślcie, zadzieranie z rządem kraju posiadającego dziesięć tysięcy głowic skierowanych na Amerykę. Wiecie, panowie, że to, co wówczas zrobiono, nazywa się aktem wojny? I po co było to wszystko? Żeby ocalić swojego człowieka przed aresztowaniem, ponieważ pomógł nam wyłuskać szpiegów w łonie CIA. Jestem pewien, że tego wszystkiego nie opowiedział Holtzmanowi. Mam rację?

— Nie czytałem materiału — odparł przedstawiciel „Postu”. — Słyszałem tylko to i owo.

Ta odpowiedź była warta śmiechu. Kealty miał w redakcji „Washington Post” lepsze źródła informacji, niż polityczny komentator tegoż dziennika.

— No dobrze, twierdzi pan, że Ryan zabijał ludzi jak James Bond — odezwał się beznamiętnym tonem przedstawiciel „Postu”. — Dowody?

— Cztery lata temu. Pamiętacie te bomby w Kolumbii? Rozwaliły kilku bossów karteli narkotykowych. — Kealty poczekał, aż paru dziennikarzy skinęło głową. — To była operacja CIA. Ryan polecał do Kolumbii. To był jeszcze jeden akt wojny, moi drodzy. Znam zaledwie te dwa. . .

Kealty’ego szczerze bawiło, że Ryan sam tak pieczołowicie kopie swój własny grób. Realizacja w CIA planu BŁĘKIT już wywoływała poruszenie w wydziale wywiadu. Kierowniczej kadrze groziła wcześniejsza emerytura lub poważne skurczenie ich biurokratycznych ksiągtek. A wielu z nich tak kochało spacerki korytarzami wielkiej władzy. Bardzo łatwo uwierzyli, że są niezastąpieni i nieodzowni dla bezpieczeństwa kraju, i w związku z tym musieli coś przedsięwziąć, prawda? A ponadto Ryan nastąpił w Langley na niejeden odcisk i teraz nadszedł czas zapłaty. Świetnie się składa, że Ryan stanowił teraz wielki, wysoko ustawiony cel. Odplacający za nadepnięte odciski i sfrustrowani nie mieli wyrzutów sumienia. Przecież informowali tylko byłego wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych. A kto wie, czy nie prawdziwego prezydenta. Nie, w żadnym wypadku nie pisnęliby nic prasie. To byłoby naruszeniem prawa. Oni nikogo

nie informowali, ale po prostu rozmawiali z wysoko postawionym politykiem o żywotnych problemach politycznych.

— Czy jest pan tego pewien? — spytał dziennikarz z „Globe”.

— Mam wszystkie daty. Pamięta pan, kiedy umarł admirał James Greer? On był nauczycielem i opiekunem Ryana. Z pewnością już na łożu śmierci opracował całą operację. Ryana nie było na pogrzebie. Znajdował się wtedy w Kolumbii. To jest niepodważalny fakt. Możecie sprawdzić. Być może dlatego właśnie James Cutter popełnił samobójstwo. . .

— Przecież to był wypadek — przerwał dziennikarz z „Timesa”. — Wyszedł rano pobiegać i. . .

— I wbiegł tuż pod przejeżdżający autobus? Słuchajcie, moi drodzy, przecież nie mówię, że został zamordowany, nikogo nie oskarżam. Twierdzę po prostu, że Cutter był uwikłany w nielegalną operację, którą kierował Ryan. Cutter bał się konsekwencji. Jego śmierć pozwoliła Ryanowi zatrzeć ślady. Wiecie co, jak tak sobie myślę, to docho-  
dzą do wniosku, że nie doceniałem Jacka Ryana. Waszyngton nie widział większego spryciarza od czasów Allena Dullesa, a może Billa Donovana. Ale czasy takiego po-

stępowania minęły. Nie potrzebna jest nam CIA z trzykrotnie większą liczbą szpiegów. Nie musimy gromadzić więcej pieniędzy na obronę. Nie potrzebujemy przerabiać ustaw podatkowych, aby chronić milionerów, z którymi Ryan chodzi pod rękę. A z pewnością nie potrzebujemy prezydenta, którego zdaniem należy brać przykład z lat pięćdziesiątych, bo były takie wspaniałe. Nie wolno pozwolić, aby wyrządzał temu krajowi krzywdę. Sam już nie wiem. . . — W tym miejscu Kealty zaprezentował kolejny gest rozpaczy. — Ale być może będę musiał samotnie stawiać czoło powstałej sytuacji. Wiem, że w oczach przyszłych historyków mogę stracić reputację, tak ostro się przeciwstawiając, ale. . . Psiakrew, niegdyś, kiedy po raz pierwszy składałem przysięgę na wierność konstytucji naszego kraju, kiedy po raz pierwszy zasiadłem w Izbie, potem w Senacie, i wreszcie, kiedy Roger poprosił mnie, abym był u jego boku wiceprezydentem. . . Wiecie, takich rzeczy się nie zapomina. I chociaż może. . . może nie jestem odpowiednim do tego facetem. . . Zgadzam się, zgadzam! Wiem, że jestem winny okropnych rzeczy. Zdradzałem żonę, przez wiele lat nadużywałem alkoholu. Naród amerykański z pewnością zasługuje na kogoś lepszego ode mnie, by powiedzieć „nie” Ryanowi i zrobić to, co trzeba. . . Ale widzę, że tylko ja głośno oponuję, i, bez względu na wszystko, nie mo-



gę zawieść nadziei pokładanych we mnie przez tych, którzy na mnie głosowali, którzy mnie tu wysłali, bym ich reprezentował. Więc zrobię, co będę mógł, bez względu na osobiste koszty. Ryan nie jest prezydentem Stanów Zjednoczonych. Ryan dobrze o tym wie. Gdyby sobie nie zdawał z tego sprawy, nie usiłowałby zmienić tylu rzeczy od razu. Dlaczego usiłuje zniszczyć kierownictwo Departamentu Stanu? Dlaczego miesza się do spraw związanych z prawem do aborcji? Dlaczego miesza się do ustaw podatkowych, wykorzystując do obalenia systemu podatkowego multimiliardera Winstona? Usiłuje legalizować swoją nielegalną prezydenturę. Będzie pokrzykiwał na Kongres, póki jego bogaci sojusznicy nie wybiorą go królem albo czymś w tym rodzaju. A kto ma w obecnej chwili reprezentować naród?

— Wcale tak nie postrzegam Ryana, Ed — odezwał się dziennikarz z „Globe” po paru sekundach głuchego milczenia. — Prowadzi politykę prawicową, z tym się zgodzę, ale otwartą, szczerą. . .

— Jakie jest pierwsze prawo polityki? Skuteczność. — Wtrącił dziennikarz z „Timesa”. — Jeśli ta historia z Rosją i ta druga z Kolumbią są prawdziwe. . . Taki był

wtedy obyczaj naszego rządu. Wtykaliśmy nos w sprawy innych rządów. Teraz już tego obyczaju nie ma. W każdym razie podobno nie ma. I nie na tak wysokim szczeblu. . .

— Nigdy tego od nas nie otrzymaliście, nie wolno wam zdradzić źródła nikomu z Langley. — Szef sztabu porozdawał dziennikarzom kasety magnetofonowe. — Macie na nich wystarczająco dużo łatwo sprawdzalnych faktów, by uwiarygodnić wszystko, co wam powiedzieliśmy.

— Zajmie nam to kilka dni — zauważył dziennikarz z „San Francisco Examiner”. Obracał w palcach kasetę i pytającym wzrokiem spoglądał na kolegów. Wszyscy już się zbierali do wyjścia. Wyścig rozpoczęty. Każdy z obecnych chciałby być pierwszym, który puści w świat sensacyjną informację. Zaczną pracować, gdy tylko zasiądą za kierownicami swoich samochodów. Będą przesłuchiwali kasetę. Przewagę mieli ci, którzy mieli najbliżej do domu.

Kealty raz jeszcze zabrał głos:

— Panowie, mam nadzieję, że zrozumieliście powagę sytuacji i że odniesiecie się do niej z całą powagą, jaka przystoi dziennikarzom. Żałuję, że nie znalazłem lepszej od siebie osoby, która mogłaby udźwignąć ten ciężar. Kogoś z lepszą przeszłością. Nie

chodzi mi o mnie, o poprawienie własnego wizerunku. Chodzi mi o kraj. Chodzi o dobro kraju i liczę, że przyłożycie się do tego, robiąc, co można.

— Postaramy się, Ed — odparł dziennikarz „Timesa”, po czym spojrział na zegarek. Czekala go długa praca, aż do dziesiątej wieczorem, kiedy wszystkie materiały muszą spłynąć do drukarni. Przez cały dzień będzie pisał, sprawdzał, konfrontował, sprawdzał ponownie, konferował z zastępcą naczelnego, by uzyskać górną połowę pierwszej strony. Gazety z Zachodniego Wybrzeża miały trzygodzinną przewagę, znajdując się w innej strefie czasowej. Ale dziennikarz z „Timesa” wiedział, że tak naprawdę liczy się Wschodnie Wybrzeże. Dziennikarze odstawili kubki po kawie na stół, wstali, zabrali magnetofony, chowając je do kieszeni marynarek i, z otrzymaną kasetą w lewej ręce, a kluczykami w prawej, pognali do samochodów.

\* \* \*

— Mów, Ben — polecił Jack niespełna cztery godziny później.

— Nadal nic w lokalnej telewizji, ale nagraliśmy materiał przekazany na mikrofalach do retransmisji. — Goodley zamilkł, gdy Ryan zajmował miejsce za biurkiem. —

Jakość zbyt zła, by można było pokazać obraz, ale ścieżka dźwiękowa zachowana. W skrócie: cały dzień upłynął im na konsolidowaniu władzy. Jutro podadzą wszystko do wiadomości publicznej. Ulica już pewno wie, a oficjalny komunikat będzie przeznaczony dla świata.

— Sprytne — powiedział prezydent.

— Zgadzam się — odparł Goodley. — Na północy mamy kolejny numer. Premier Turkmenii gryzie ziemię. Podobno zginął w wypadku samochodowym. Gołowko z tym dzwonił po piątej rano. Nie sprawia wrażenia człowieka szczęśliwego. Jest zdania, że Irak i Turkmenia są elementami tej samej gry.

— Czy jest coś na poparcie takiego przypuszczenia? — spytał Ryan, wiążąc krawat. Ależ głupie pytanie!

— Chyba pan żartuje, szefie. W całej tej historii nie mamy nawet okrucha sprawdzonej wiadomości czy podejrzeń.

Jack przez chwilę patrzył na blat prezydenckiego biurka. — Wiesz, Ben, przy całej tej opinii, jaką mają ludzie, że CIA jest taka potężna i wszechwiedząca. . .

— Niech pan nie zapomina, że ja tam pracuję, panie prezydencie. Ale chyba ma pan rację. Dzięki Bogu za telewizję CNN. Dobrze w tym wszystkim jest to, że Rosjanie mówią nam coś niecoś z tego, co wiedzą.

— Są przestraszeni — wyraził opinię prezydent.

— I to bardzo — zgodził się doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego.

— A więc mamy *Anschluss* Iraku i nieżyjącego przywódcę Turkmenii. Wnioski?

— Nie lekceważę opinii Gołowki. Bez wątpienia ma tam na miejscu agentów. Wydaje się, że jest w podobnej do nas sytuacji. Może tylko obserwować i zamartwiać się, ale nie dysponuje żadnymi zasobami operacyjnymi. Może śmierć tego ich premiera to zbieg okoliczności, ale wywiady nie powinny w takie rzeczy wierzyć. Jestem pewien, że Siergiej nie wierzy. Jest pewny, że to element tej samej gry. Moim zdaniem jest to zupełnie możliwe. Porozmawiam o tym z Vasco. Jego opinia o tym, co się tam smaży, zaczyna być zatrwajająca. To nie moje określenie, ale jego własne. Dziś odezwą się Saudyjczycy. . .

A wkrótce po nich Izraelczycy, pomyślał Ryan. — Chiny? — spytał. Może na przeciwległej półkuli rzeczy mają się lepiej. Płonne nadzieje.

— Wielkie manewry morskie. Połączone siły nawodne i podwodne, powietrznych jeszcze nie ma, ale obserwacja satelitarna pokazuje, że w bazach myśliwców trwają gorączkowe przygotowania. . .

— Zaraz, zaraz, co to znowu. . . ?

— Właśnie, sir. Jeśli to były planowane manewry, to dlaczego się do nich nie przygotowali razem z marynarką? O ósmej trzydzieści mam o tym rozmawiać z Pentagonem. Nasz ambasador w Pekinie odbył krótką rozmowę z kimś z ich Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Otrzymał informację, że to nic wielkiego, bo nawet nie poinformowano o tym ministerstwa, a więc są to tylko rutynowe ćwiczenia.

— Kłamstwo.

— Zupełnie możliwe. Tajwan nadal nie robi z tego powodu żadnego szumu, ale podobno dziś wysyłają tam jakieś okręty. Mamy jednostki zmierzające na obszar manewrów. Tajwańczycy współpracują z nami. Nasi obserwatorzy są w ich stacjach nasłuchowych. Wkrótce zapytają, co zamierzamy zrobić, jeśli wydarzy się A albo B. Musimy się nad tym poważnie zastanowić. Pentagon twierdzi, że Chiny kontynentalne nie mają dostatecznych środków, by dokonać inwazji, podobnie jak ich nie mieli w dziewięćdzie-

siątym szóstym. Lotnictwo tajwańskie jest jeszcze silniejsze niż wtedy. Moim zdaniem, nie chodzi o ten kierunek. Może to naprawdę są tylko manewry? Może po prostu chcą się dowiedzieć, jak my... to znaczy jak pan, panie prezydencie, zareaguje?

— Co sądzi Adler?

— Mówi, żeby chwilowo ignorować. I chyba ma rację. Tajwan siedzi cicho, więc i my powinniśmy robić to samo. Posłaliśmy okręty podwodne, ale ich nie pokazujemy. Dowódca Floty Pacyfiku osobiście wszystko nadzoruje.

— Niech będzie w stałym kontakcie z sekretarzem obrony. Co na to Europa?

— Cisza i spokój. To samo nasza półkula. To samo Afryka. Wie pan co, panie prezydencie? Jeśli Chińczycy tylko straszą, to rzeczywistym problemem pozostaje jedynie Zatoka Perska. Istota problemu polega na tym, że zrobiliśmy tam porządek w 1990 roku i obiecaliśmy Saudyjczykom, że ich nie pozostawimy z ręką w nocniku. Potwierdzimy to teraz, a wieść się rozniesie i w odpowiednim czasie dotrze do drugiej strony. Wówczas druga strona powinna się zastanowić i dojść do wniosku, że należy dać sobie spokój. Nie podoba mi się ta cała Zjednoczona Republika Islamska, ale sądzę, że damy sobie z nią radę. Iran jest z natury rzeczy niestabilny, jego mieszkańcy pragną świeże-

go powietrza, większej wolności, a kiedy jej posmakują, kraj się zmieni. Wytrzymamy obecną sytuację.

Ryan uśmiechnął się, nalewając kubek kawy. — Jest pan coraz pewniejszy siebie, doktorze Goodley.

— Płaci mi pan za myślenie, panie prezydencie. Wobec tego muszę się przed panem spowiadać z tego, co mi się pęta po głowie.

— Dobrze, wracaj do swojej roboty i informuj mnie o wszystkim. Muszę się dziś zastanowić nad rekonstrukcją Sądu Najwyższego. — Goodley wyszedł, a Ryan, popijając kawę, czekał na Arnie'ego. Wszystko to nie jest znowu takie trudne, pomyślał. Zwłaszcza, kiedy ma się dobry zespół współpracowników.

\* \* \*

— Wszystko sprowadza się do umiejętności uwodzenia. . . — wyjaśniał Clark paru rzędom skupionych twarzy. Zauważył też ironiczny uśmiech Dinga siedzącego w głębi audytorium. Przed chwilą kandydaci obejrzeni film szkoleniowy, który omawiał historię sześciu znanych spraw. Istniało tylko pięć kopii tego filmu i ta, którą pokazano,



była właśnie przewijana przed odniesieniem jej do szafy pancernej. Clark uczestniczył w dwóch z przedstawionych operacji. W lochach gmachu przy placu Dzierżyńskiego 2 wykonano wyrok na agencie, którego zdradziła wtyczka KGB w Langley. Inny agent miał fermę w pełnej brzozy okolicy na północy stanu New Hampshire. Pewno bardzo tęsknił za krajem. Ale Rosja nadal była Rosją, której tradycja surowo potępiała zdradę stanu. Nie był to wymysł komunistycznego reżimu, by karać za to śmiercią. Tak, zdrajcy własnego kraju do śmierci pozostają sierotami. . . Clark przerzucił stronę i kontynuował z zapisków:

— Wybierajcie ludzi mających problemy. Okazujcie im współczucie. Ludzie, z którymi będziecie pracowali, nie należą do istot bez skaz. Wszyscy będą mieli o coś i do kogoś żal. Niektórzy sami przyjdą do was. Nie musicie ich kochać, ale macie obowiązek zachować się wobec nich lojalnie.

Przez chwilę wpatrywał się w słuchaczy.

— Co miałem na myśli, mówiąc o uwodzeniu? Każdy z was tu obecnych już choćby raz kogoś uwiódł, prawda? Co jest integralną częścią tej sztuki? Słucha się więcej, niż się samemu mówi. Potakuje się. Zgadza za argumentami. Mówi się człowiekowi, że bez

wątpienia jest znacznie mądrzejszy od przełożonego. Znacie takie typki, jak ułał pasują do tego, którego zwierzający się opisał. W waszym własnym kraju też są tacy na wysokich stanowiskach. Mówicie, że też trafił wam się ktoś taki. I że przy takim rządzie trudne jest życie uczciwego człowieka, prawda? Oczywiście, że honor jest najważniejszy. Kiedy wasz rozmówca zacznie mówić o honorze, już wiecie, że chce pieniędzy. No i bardzo dobrze. Pamiętajcie, że oni nigdy nie spodziewają się, że dostaną tyle, ile żądają. Najważniejsze jednak, żeby wzięli pieniądze, żeby połknęli haczyk. Mamy budżet, który w zasadzie pozwala zaspokoić ich potrzeby. Kiedy raz wezmą, tracąc dziewictwo, nie mają drogi odwrotu. Wasi agenci, ludzie, których zwerbujecie, zachłysną się tym, co robią. Co za frajda być szpiegiem. Najgorsi są idealisci. Doświadczają poczucia winy. Piją. Któregoś wieczoru decydują się pójść do spowiedzi. Nawet mnie się to z jednym przydarzyło. Są tacy, którzy, raz złamawszy zasadę lojalności, uważają, że wszystkie zasady przestały obowiązywać. Mogą na przykład napastować każdą napotkaną kobietę, bardzo wiele ryzykując.

Clark wyprostował się:

— Prowadzenie agentów jest wielką sztuką. Trzeba być zarazem matką, ojcem, księdzem i nauczycielem. Trzeba im wytłumaczyć, że muszą dobrze dbać o swoje rodziny, a zarazem o własny tyłek. Dotyczy to głównie owych „dobrych” agentów z głowami pełnymi ideałów. W wielu wypadkach można na nich polegać, ale zwykle przesadzają. Chcą dostarczać zbyt wiele, co prowadzi do samounicestwienia. Niektórzy przemieniają się w apostołów krucjaty. Niewielu uczestników krucjat dożyło sędziwego wieku. . .

W audytorium było cicho, jak makiem zasiał. Wszyscy słuchali z zapartym tchem. Clark mówił dalej:

— Najbardziej można polegać na agencie, który chce pieniędzy. Tacy nie lubią ryzyka. I zawsze planują, że któregoś dnia wycofają się z biznesu i będą prowadzić wspaiałe życie w Hollywood, gruchając sobie z gwiazdkami filmowymi. I to jest najlepsze, jeśli idzie o agentów pracujących dla pieniędzy: chcą żyć, żeby te pieniądze móc wydawać. Z drugiej strony, kiedy trzeba coś załatwić szybko, kiedy konieczne jest podjęcie ryzyka, to też można wykorzystać „ciulaacza na starość”, tylko że trzeba być przygotowanym na ewakuowanie go następnego dnia. Wcześniej czy później agent używany do ryzykownych przedsięwzięć powie, że ma dość, i zażąda zabrania go do bezpiecznego

kraju. Z tego, co wam tu opowiadam, wynika jedno: w tym biznesie nie ma schematu i niewzruszonych norm postępowania. Trzeba myśleć. Trzeba dobrze znać ludzi. Jacy są, jak postępują, jak rozumują. Trzeba odczuwać wspólnotę z agentami. Możecie ich lubić lub nie, ale to autentyczne uczucie wspólnoty musi istnieć. Przeważnie nie będziecie lubili swoich agentów — uprzedził Clark. — Oglądajcie ten film. Każde wypowiedziane słowo było autentyczne. Trzy z operacji skończyły się śmiercią agenta. Jedna śmiercią oficera prowadzącego. Nigdy nie zapominajcie o groźbie takiego finału. Teraz przerwa. Następną lekcję poprowadzi pan Revell. — Clark zebrał notatki i przeszedł na tył audytorium. Rekruci wchłaniali sens wysłuchanej lekcji.

Tylko jeden zapytał głośno:

— Czy to znaczy, panie C, że uwodzenie jest dozwolone? — Był to Ding.

— Tylko wtedy, kiedy ci za to płacą, Domingo — odparł Clark.

\* \* \*

Wszyscy z drugiej grupy więźniów byli już chorzy. Objawy wystąpiły mniej więcej w tym samym czasie, na przestrzeni dziesięciu godzin. Gorączka, dreszcze, bóle.

Jak przy zwykłej grypie. Moudi wiedział, że zdają sobie sprawę lub podejrzewają, co się stało. Niektórzy nadal pomagali przydzielonym im jeszcze bardziej chorym z pierwszej dziesiątki. Inni wzywali na pomoc wojskowych sanitariuszy lub zobojętnieli siadali w sali chorych i nic nie robili, sparaliżowani myślą, że wkrótce stanie się z nimi to samo, co z tymi leżącymi w łózkach. I w ich wypadku pobyt w więzieniu i złe odżywianie tylko przyśpieszały proces.

Pogarszanie się stanu pierwszej dziesiątki postępowało w przewidzianym tempie. Odczuwali coraz większe bóle. Ból był chwilami tak dotkliwy, że przestawali się wić, gdyż bolało więcej przy najmniejszym ruchu niż w nieruchomej pozycji. Jeden wydawał się już bliski śmierci i Moudi zastanawiał się, czy, tak jak w wypadku Benedicta Mkusy, serce tej ofiary nie jest przypadkiem jeszcze mniej odporne na wirusa ebola Mayinga, niż serca pozostałych. A może ta zmutowana odmiana działa inaczej? Może tkanki serca przyciągały tego wirusa, zachęcając do usadowienia się właśnie w nich? Akademickie pytanie, choć rzecz warta zbadania. Ale teraz nie czas na badania i teorie. Problem w zasadzie został rozwiązany.

— Nie ma sensu dłużej kontynuować tej fazy — powiedział dyrektor do Moudiego. Stał obok młodego lekarza i spoglądał w ekrany monitorów. — Czas na następny krok.

— Jak pan sobie życzy — odparł Moudi, podniósł słuchawkę i przez minutę rozmawiał.

Przygotowania zajęły piętnaście minut. Po tym czasie w kadrze monitora pojawili się sanitariusze i wyprowadzili z salki wszystkich dziewięciu więźniów z drugiej grupy. Zaprowadzili ich do innej sporej sali po drugiej stronie korytarza. Sala była też wyposażona w kamery telewizyjne i na osobnym zestawie monitorów lekarze mogli obserwować, co się dzieje. Więźniom przydzielono łóżka i dano jakiś środek, który uśpił wszystkich w ciągu paru minut. Wtedy sanitariusze wrócili do pierwszych dziesięciu. Połowa z nich spała, pozostali znajdowali się w stanie całkowitego otępienia, niezdolni do jakiegokolwiek reakcji i oporu. Tych zabito najpierw, wstrzykując każdemu dożylnie silny narkotyk syntetyczny. A potem to samo z tymi śpiącymi... Egzekucje zajęły zaledwie kilka minut i można o nich powiedzieć, że były aktem miłosierdzia. Zwłoki ładowano na szpitalne wózki i kolejno odwożono do krematorium. Następnie zrobiono paki z materaców i pościeli, by także je spalić. Pozostały tylko metalowe szkielety łóżek, które

wraz z całym pomieszczeniem spryskano chemikaliami. Salka miała pozostawać przez wiele dni zaplombowana, następnie ponownie spryskana. Kiedy wszystko zostało zrobione, personel mógł spokojnie zająć się drugą grupą — dziewięcioma kryminalistami, którzy na własnej skórze, a raczej ciele, dowiedli — tak się w każdym razie wszystkim wydawało — że wirus ebola Mayinga może być przenoszony drogą kropelkową.

\* \* \*

Cały dzień zajęło przedstawicielowi ministerstwa dotarcie do szpitala. Biedak musiał być bardzo zajęty przerzucaniem papierków, pomyślał doktor MacGregor, potem sutą kolacją no i wreszcie nocą z kobietą, która w danej chwili umilała mu życie. A papierki na biurku jak leżały, tak pewno nadal leżą.

Lekarz był bardzo ostrożny. Najpierw stanął na progu, a potem zrobił tylko jeden mały krok, by można było zamknąć za nim drzwi. I już się nie ruszył. Przechylił tylko głowę i zamrużył oczy z pewnością po to, by lepiej ocenić stan pacjenta odległego odeń o dwa metry. Światło w pokoju było przyciemnione, by nie razić wzroku Saleha. Mimo to odbarwienie skóry pacjenta nie ulegało wątpliwości. Dwa wiszące worki z krwią

i kroplówka z morfiny dopowiadały resztę, wraz z kartą chorobową, którą gość trzymał w trzęsących się dłoniach obleczonych rękawiczkami.

— Przeciwciała? — spytał sucho, usiłując odzyskać urzędową godność.

— Wynik pozytywny — odparł MacGregor.

Wiadomość o pierwszym udokumentowanym wypadku choroby spowodowanej wirusem ebola — nikt nie wiedział, od jak dawna ta choroba istnieje i ile wiosek w dżungli wytrzebiła — rozeszła się lotem błyskawicy wśród personelu szpitala. Wielu pracowników w popłochu opuściło budynek. I to, jak na ironię, pomogło opanować sytuację znacznie szybciej, niż gdyby pacjentów długo leczono. Chorzy zmarli, nikt się do nich nie zbliżał, więc i nie zaraził. Afrykańscy lekarze wiedzieli teraz, jakie środki ostrożności przedsięwziąć. Wszyscy mieli maski i rękawiczki, surowo przestrzegano też procedur dezynfekcji. Afrykański personel często bywa nieostrożny i obojętny na przepisy higieny, ale tę lekcję wszyscy wzięli do serca.

Dla tego pacjenta nikt już nie mógł nic zrobić.

— Z Iraku? — spytał lekarz z ministerstwa.

MacGregor skinął głową.



— Tak mi powiedział.

— Muszę to skonsultować z odpowiednimi czynnikami — powiedział gość.

— Doktorze, należy wysłać raport — nalegał MacGregor. — Istnieje groźba wybuchu epidemii. . .

— Poczekaj pan, aż będziemy wiedzieć więcej. Raport, jeśli go wyślemy, musi zawierać konieczne informacje, aby przyniósł jakiś pożytek.

— Ale. . .

— Muszę mieć wszystkie dane, aby podjąć właściwą decyzję. — Pokazał kartę choroby. Teraz, kiedy odzyskał pozycje zwierzchnika, dłonie mu się już nie trzęsły. — Czy pacjent ma tu jakąś rodzinę? Co może mi pan o nim powiedzieć?

— Nie wiem, czy ma rodzinę. Nic o nim nie wiem.

— Musimy to sprawdzić. Proszę zrobić ksero jego karty szpitalnej i przysłać mi ją faksem.

MacGregor skinął głową. Był zdruzgotany. W chwilach takich jak ta nienawidził Afryki. Jego kraj rządził tu przez ponad sto lat. Jego ziomek ze Szkocji nazwiskiem

Gordon<sup>3</sup> przyjechał do Sudanu i zakochał się w nim. Czyżby był szalony? Gordon zginął przed stu dwudziestu laty. W 1956 roku Sudan zwrócono Sudańczykom. Zbyt szybko. Zabrakło czasu i pieniędzy na stworzenie instytucjonalnej infrastruktury, która by pomogła w przekształceniu pustynnych plemion w naród. Ta sama historia powtórzyła się potem na wszystkich innych obszarach kontynentu. To był jeszcze jeden temat, którego ani on, ani żaden inny Europejczyk nie poruszali publicznie w rozmowach, chyba że w ścisłym gronie i to też nie zawsze, w obawie, że zostaną uznani za rasistów. Jeśli to było znamię rasisty i on, MacGregor, był rasistą, to po co tu przyjechał?

— Przyślę kopie w ciągu dwóch godzin — obiecał.

— Doskonale. — Gość wyszedł. Za drzwiami czekała przełożona pielęgniarek, która miała go zaprowadzić do komory dezynfekcyjnej. W tym wypadku wysoki urzędnik Ministerstwa Zdrowia z pewnością wykona każde polecenie jak dziecko pod okiem czującej matki.

---

<sup>3</sup>Charles George Gordon, znany jako „Chiński Gordon”, był gubernatorem Sudanu w latach 1877-1880. Zginął podczas powstania Mahdiego w 1885 roku (przyt. red.).

Prokurator Martin przyszedł z dobrze wypchaną aktówką, z której wyjął czternaście teczek z dokumentami i ułożył je w porządku alfabetycznym na niskim stoliku przed sofą. Okładki były oznaczone literami od A do M, ponieważ prezydent Ryan nie życzył sobie znać z góry nazwisk.

— Wie pan, panie prezydencie, czułbym się znacznie lepiej, gdyby nie dał mi pan prawa selekcji. . . — powiedział, nie podnosząc głowy.

— A to dlaczego?

— Jestem tylko prawnikiem, sir. Dobrym, owszem, i teraz kieruję wydziałem karnym, bardzo się z tego cieszę, ale jestem tylko. . .

— A jak pan myśli, że ja się czuję? — spytał dość ostro Ryan, ale następnie głos mu zmiękł. — Nikt od czasów Waszyngtona nie miał podobnego problemu. I jeśli pan myśli, że ja wiem, co powinienem w tym wypadku zrobić. . . Niech to diabli, nie jestem nawet prawnikiem, bym mógł zrozumieć to wszystko bez ściągawki.

Martin uśmiechnął się.

— Przepraszam, sir. Zasłużyłem na tę odpowiedź.

Ryan potrafił określić wymagane kryteria. Miał przed sobą wykaz najlepszych sędziów federalnych. Każda z czternastu teczek zawierała historię zawodowej kariery sędziego Federalnego Sądu Apelacyjnego Stanów Zjednoczonych, od pierwszego (w Bostonie) do ostatniego (w Seattle). Prezydent kazał Martinowi i jego ludziom wybrać sędziów z co najmniej dziesięcioletnim stażem, z co najmniej pięćdziesięcioma pisemnymi uzasadnieniami orzeczeń, w ważnych sprawach (w odróżnieniu od spraw błahych, takich jak na przykład orzeczenia w sprawach o wierzytelności). Dodatkowym warunkiem było to, aby żadne z tych uzasadnień, a więc i orzeczeń nie było odrzucone przez Sąd Najwyższy, a jeśli jedno lub dwa były, to zostały „zrehabilitowane” późniejszymi postanowieniami Sądu Apelacyjnego.

— Gromadka porządnych ludzi — powiedział Martin.

— Wyrok śmierci?

— Konstytucja stawia sprawę jasno, panie prezydencie. Piąta poprawka. — Martin zacytował z pamięci: „Żadna osoba za to samo przestępstwo nie będzie dwukrotnie narażona na sądzenie zagrażające jej życiu ani w żadnej kryminalnej sprawie nie będzie

zmuszona do świadczenia przeciwko sobie, ani też nie będzie pozbawiona życia, wolności i majątku bez właściwego procesu zgodnego z prawem”. Tak więc, przy właściwym procesie można komuś odebrać życie, ale wolno go sądzić tylko raz. Sąd w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych ustalił to kryterium w wielu sprawach, w toku wielu procesów, gdy po karnej sprawie odbywał się proces cywilny, w którym rozpatrywanie elementu karnego zależało od „specjalnych” okoliczności. Wszyscy sędziowie trzymali się tej zasady. Z paroma zaledwie wyjątkami. Raz orzeczenie sędziego D w Misissipi zostało zakwestionowane. Argumentem był wówczas niedorozwój umysłowy oskarżonego. Dobre uzasadnienie, choć przestępstwo było ohydne. Sąd Najwyższy potwierdził orzeczenie, nawet bez dodatkowych przesłuchań i komentarza prawnego. Problemu tego, sir, tak naprawdę nie można rozwiązać, wynika bowiem z samej natury prawa. Wiele prawnych zasad opiera się na orzeczeniach w sprawach wyjątkowych. Jest nawet takie powiedzenie, że trudne sprawy rodzą złe prawo. Jak na przykład ta sprawa w Anglii. Może pan pamięta? Dwóch szczeniaków zamordowało dziecko. Co, do diabła, ma zrobić sędzia, kiedy oskarżonymi są ośmioletni chłopcy, bez wątpienia winni okrutnej zbrodni? Co innego może zrobić, niż modlić się, by zachorował, a sprawę dostał do rąk

inny sędzia? Niemniej, opierając się na podobnych przypadkach, usiłujemy stworzyć spójne prawo. Jest to niemożliwe, ale próbujemy.

— Rozumiem, że wybrałem twarde, zdecydowanych i pewnych swojej wiedzy kandydatów. Ale czy sprawiedliwych? — spytał prezydent.

— Pamięta pan, panie prezydencie, co powiedziałem po przyjściu? Że wolałbym nie mieć podobnego zadania. Wybrałem według zaleceń i mego sumienia. Inaczej nie mogłem. W teczce E znajdują się dane sędziego, który zakwestionował orzeczenie wydane na bazie dowodów uzyskanych przez moich najlepszych ludzi. Zakwestionowany został sposób uzyskania dowodu, a więc i prawo przedstawiania go w sądzie. Byliśmy wtedy wściekli. Chodziło wówczas o pułapkę, jaką zastawia się na podejrzanych. Nigdy nie jest wiadomo, co wolno, a czego nie. Gdzie jest granica? Sędzia E rzucił okiem na argumenty stron i najprawdopodobniej podjął słuszną decyzję, która w tej chwili stanowi precedensową wykładnię dla FBI.

Jack patrzył na czternaście teczek. Lektura na tydzień. Przed paroma dniami Arnie powiedział, że to właśnie jest najważniejszą prezydencką decyzją. Decyzją o kapitalnym znaczeniu. Żaden szef państwa od czasów Waszyngtona nie stał w obliczu konieczno-

ści mianowania całego składu Sadu Najwyższego. A ponadto wypadek Waszyngtona dotyczył czasów, kiedy narodowy consensus w sprawie prawa był głębszy niż w obecnej Ameryce. W tamtych czasach określenie „okrutna i odbiegająca od norm kara” oznaczało spalenie na stosie lub łamanie kołem. Obie te kary były stosowane w przedrewolucyjnej Ameryce. Jednakże w najnowszych orzeczeniach to określenie nabrało nowego znaczenia: okrutną karą może być pozbawienie dostępu do telewizji kablowej lub prawa do przeprowadzenia operacji w celu zmiany płci. Nawet ciasnota w więzieniach gwałciła powyższą normę prawną. Tak, więzienia są zatłoczone, więc co? Może wypuścić na wolność niebezpiecznych przestępców, żeby nie być okrutnym dla wyrzutków społecznych, pomyślał Ryan.

Teraz miał szansę zmienić ten stan rzeczy. Wystarczy wybrać sędziów, którzy podzielają jego surowy stosunek do przestępczości w ogóle. Znienawidził przestępczość, wysłuchując opowieści ojca, porucznika policji, o jakiejś szczególnie okrutnej zbrodni albo o mało inteligentnych sędziach, którzy nie oglądali nawet miejsca zbrodni i nie znali prawdziwych okoliczności, w jakich przestępstwo zostało popełnione. Ryan miał jeszcze osobisty powód do podobnego stosunku do świata przestępczego. Usiłowano go

zamordować wraz z rodziną. Wiedział doskonale, co czuje człowiek zagrożony, jaka fala oburzenia go ogarnia, gdy uświadamia sobie, że istnieją ludzie gotowi innym odebrać na zimno, bez wahania życie. Ot, niemal mimochodem, jakby kupowali cukierki w sklepie na rogu. Że istnieją ludzie polujący na innych, niczym na zwierzyne. Parokrotnie patrzył w oczy Seana Millera i nie dostrzegał w nich nic. Absolutna pustka. Żadnego ludzkiego błysku, śladu przynależności do gatunku ludzkiego. Żadnych uczuć, nawet żadnej nienawiści i żalu, że nie ma powrotu do społeczności, z której został odsunięty na zawsze. . .

A mimo to. . .

Ryan zamknął oczy, wspominając tę chwilę, kiedy trzymał Browninga w zimnych jak lód palcach, chociaż gotowała się w nim krew. Była to cudowna chwila, w której mógł położyć kres życiu człowieka pragnącego zabić jego, Cathy, Sally i Małego Jacka, czekającego jeszcze na wyjście z łona matki. Patrzył mu wtedy prosto w oczy i wreszcie dojrzał w nich strach. Strach przebił się przez pancerz obojętności. . . Ileż to razy dziękował litościwemu Bogu za to, że nie odwiódł kurka. Bo wtedy chciał zabić. I zrobiłby to. Pragnął tego bardziej, niż czegokolwiek innego w życiu. Jack pamiętał też zabija-



nie. Ilu ich było? Terrorysta w Londynie. Drugi Irlandczyk w Stanach. Agent KGB na „Czerwonym Październiku”. Byli też inni. Przez lata miewał koszmarnie sny na temat owej straszliwej nocy w Kolumbii. Ale z Seanem Millerem sprawa była inna. Wtedy to nie była konieczność. To chodziło raczej o wymierzenie sprawiedliwej kary. Ryan tam był, reprezentował prawo, i jakże pragnął zniszczyć to bezwartościowe życie. Ale nie uczynił tego. Prawo, które wydało wyrok śmierci na Millera i jego kompanów. . . Prawo w osobach sędziów beznamiętnych, bezstronnych, zimnych. . . tak jak powinno być. Dlatego też teraz trzeba wybrać jak najlepszych ludzi, by wypełnić nimi pustą ławę sędziowską Sądu Najwyższego. Decyzje, które jego obowiązkiem jest podejmować, nie będą dotyczyły jednego oszalałego człowieka, który jednocześnie próbuje ocalić i pomścić rodzinę. Sędziowie mają obwieszczać prawo dla wszystkich, a nie prawo dla pragnących zaspokoić własne potrzeby. Tak powinno i tak musi być. I jego obowiązkiem jest doprowadzenie do tego przez wybór odpowiednich ludzi.

Widząc wyraz twarzy prezydenta Martin zapytał: — Trudny problem, prawda?

— Proszę zaczekać chwilkę. . . — Jack wstał i poszedł do pokoju sekretarek. — Która z pań pali? — spytał.

— Ja — odparła Ellen Sumter. Była w wieku Ryana i najprawdopodobniej chciała zerwać z nałogiem, jak w każdym razie twierdzą wszyscy mający tyle lat. Bez dalszych pytań podała prezydentowi paczkę cienkich Virginia Slim, takich samych, jakimi poczęstowała Jacka wojskowa stewardesa. Wraz z papierosami wręczyła zapalniczkę. Jack wziął jednego, zapalił, podziękował skinieniem głowy i wrócił do gabinetu. Nim zdołał zamknąć drzwi, dogoniła go pani Sumter z popielniczką z własnego biurka.

Jack usiadł i zaciągnął się, patrząc na dywan z pieczęcią prezydenta Stanów Zjednoczonych, częściowo zasłoniętą meblami.

— Jakim prawem ktoś kiedyś postanowił, że jeden człowiek ma otrzymać tak wielką władzę? Bo to, o czym ja tutaj mam zdecydować. . .

— Chyba winić za to trzeba Jamesa Madisona, sir. Pan ma wybrać ludzi, którzy będą decydować o znaczeniu każdego słowa konstytucji. Wszyscy mają pod pięćdziesiątkę albo nieco po pięćdziesiątce, więc jeszcze sobie sporo pożyją. Ale niech się pan tak nie trapi, panie prezydencie. Najważniejsze, że nie podchodzi pan do tego, jak do zabawy w wyciąganie losów. Postępuje pan bardzo rozważnie, tak jak trzeba. Nie wskazuje pan palcem na kobiety tylko dlatego, że są kobietami, ani na Murzynów, bo mają ciemną

skórę. Dałem panu dobry zestaw i wszystko, co można o nich powiedzieć. Z wyjątkiem nazwisk. Z lektury nie domyśli się pan, kto jest kim, chyba że czytuje pan kroniki sądowe. Ale nie przypuszczam, żeby pan to zrobił. Zapewniam, sir, że wszyscy są dobrzy. Spędziłem długie godziny układając tę listę, a wytyczone przez pana pożądane cechy wiele mi pomogły. Dał pan dobre wytyczne. Boję się ludzi, którzy lubią mieć władzę dla samej władzy. Dobrzy sędziowie zastanawiają się długo nad tym, co robią. Myślą przed wydaniem decyzji. Wybrałem sędziów z prawdziwego zdarzenia. Sędziów, którzy mieli do podjęcia trudne decyzje. . . Niech pan się z nimi zapozna. Zobaczysz pan, jak ciężko musieli pracować, by dojść do takich, a nie innych wniosków, i jakie są rezultaty ich pracy.

Ryan znowu się zaciągnął. Palcem postukał w leżące na biurku teczki z dokumentacją. — Nie znam na tyle prawa, by zrozumieć wszystkie zawiłości. Właściwie nie znam wcale prawa z wyjątkiem zasady, że nie wolno go łamać.

— To bardzo dobry punkt startu. — Nie musiał mówić więcej. Nie każdy lokator Gabinetu Ovalnego przestrzegał tej zasady. Obaj to wiedzieli, ale o tym nie mówi się człowiekowi siedzącemu właśnie w prezydenckim fotelu.

— Wiem, czego nie lubię. Wiem, co bym chciał zmienić. Ale czy mam, na Boga, prawo dokonywania podobnego wyboru?

— Z całą pewnością ma pan takie prawo, panie prezydencie, ponieważ przez ramię zagląda panu Senat. Zapomniał pan? Może nie zgodzi się na jednego lub dwóch z proponowanych przez pana kandydatów. Wszyscy umieszczeni przeze mnie na liście zostali sprawdzeni przez FBI. Wszyscy są uczciwi. Wszyscy są mądrzy. Żaden z nich nigdy nie ubiegał się o nominację do Sądu Najwyższego poprzez znajomków czy polityczne kontakty. Jeśli spośród tej czternastki nie wybierze pan dziewięciu, którzy panu odpowiadają, poszukamy dalej. Chociaż byłoby lepiej, gdyby robił to już kto inny, nie ja. Dyrektor Biura Praw Obywatelskich byłby do tego bardzo dobry. Jest ode mnie ciut na lewo, ale umie myśleć.

Prawa obywatelskie. Czy na tym trzeba opierać politykę rządu? — pomyślał Ryan. Jak i skąd ma wiedzieć, na czym polegają prawa obywatelskie i odpowiednie traktowanie ludzi, którzy mogą, choć nie muszą, nieco się różnić od wszystkich innych? Prędzej czy później, człowiek traci zdolność obiektywnej oceny i wtedy zaczyna posługiwać się

własnymi przekonaniemiami, a przekonania zawierają masę uprzedzeń... Skąd ma więc wiedzieć, co jest słuszne? O Boże!

Zaciągnął się po raz ostatni i zdusił niedopałek. Odnowiony nałóg spowodował lekki szumek w głowie.

— No cóż, czeka mnie poważna lektura. I długa.

— Ofiarowałbym moją pomoc, ale chyba lepiej, żeby pan wszystko przeczytał sam, panie prezydencie. W ten sposób niczyje uprzedzenia nie zmaczą procesu decyzyjnego. Niech pan nie zapomina, że to był mój wybór. Może nie byłem najodpowiedniejszą osobą, żeby go dokonać, ale pan mnie wyznaczył i otrzymał pan produkt najlepszego myślenia, na jakie mogłem się zdobyć.

— Chyba po nikim nie można oczekiwać niczego więcej — zauważył Ryan, nadal wpatrzony w czternaście teczek.

\* \* \*

Dyrektor Biura Praw Obywatelskich Departamentu Sprawiedliwości Stanów Zjednoczonych sprawował swoją funkcję jeszcze w czasach prezydenta Fowlera. Przedtem

był radcą prawnym korporacji i lobbystą — co przynosiło większe korzyści materialne niż praca na uczelni. Aktywny na scenie politycznej, miał grono własnych „wyborców”, choć w życiu nie został drogą głosowania wybrany na żadne stanowisko. „Wyborcami” nazywał swoich klientów. A miał ich wielu, bo chociaż w aparacie państwowym pracował z przerwami, to na coraz wyższych stanowiskach, co pozwalało na szerokie kontakty z kręgami władzy. Kolacje z grubymi rybami, przyjęcia, konferencje w ministerialnych gabinetach — w interesie klientów, na których mu zależało lub nie (adwokat ma obowiązek służyć wszystkim), stworzyły wreszcie warunki, w których to klienci musieli ubiegać się o niego, a nie on o nich. Człowiekowi potrzebne są honoraria od garstki, aby mógł dobrze służyć ogółowi — to była jego maksyma. Nawet pewno nie wiedział, że postępuje zgodnie z inną maksymą, Bena Johnsona, który powiedział: „Pozostając ostoją prawa, rozmawiaj z jego adwersarzami”. Europejskiego pochodzenia, z rodowodem amerykańskim sięgającym lat kiedy nie było jeszcze Stanów Zjednoczonych, przemawiał często na zgromadzeniach, gdzie zaskarbił sobie wielkie uznanie tych wszystkich, którzy myśleli podobnie jak on. Z uznania ludzi zrodziły się wpływy. Trudno powiedzieć, co bardziej oddziaływało na co. Wpływy na jeszcze większy podziw czy

odwrotnie. Już w pierwszym okresie pracy w Departamencie Sprawiedliwości zwrócił uwagę paru osobistości ze świata wielkiej polityki. Ponieważ wykazywał też wielkie umiejętności i talent, zwrócił także uwagę wielkiej waszyngtońskiej firmy prawniczej. Porzuciwszy służbę publiczną, by zatrudnić się we wspomnianej kancelarii, wykorzystywał swe kontakty polityczne, by z kolei skuteczniej wykonywać swą profesję, a ta skuteczność zrodziła w następstwie dodatkową wiarygodność w politycznym światku, gdzie jedna ręka nieustannie myje drugą, aż wreszcie trudno jest rozróżnić, która ręka jest czyja. W trakcie rozwijania się jego kariery sprawy, które prowadził w sądach, stały się jakby jego wizytówką. Był to proces stopniowy i tak w zasadzie logiczny, że właściwie trudno było dostrzec, kiedy i jak nastąpił.

I teraz to właśnie stało się problemem. Znał i podziwiał Patricka Martina jako prawniczego talent, który rozwinął skrzydła w Departamencie Sprawiedliwości, występując wyłącznie przed sądami. Nie miał nawet tytułu prokuratora federalnego Stanów Zjednoczonych (nosili je prawnicy z nominacji politycznej, głównie wybierani przez senatorów dla reprezentowanych przez nich stanów), lecz był raczej apolitycznym profesjonalistą, który wykonywał prawdziwą robotę, podczas gdy jego szef pisał przemówienia,

zajmował się rozdzielaniem spraw między pracowników i realizacją swych politycznych ambicji. Trzeba było przyznać, że Martin był naprawdę utalentowanym taktykiem prawnym — czterdzieści jeden spraw wygranych, jedna przegrana — a okazywał się jeszcze lepszy jako administrator prowadzący młodych prawników. Nie znał się jednak na polityce, pomyślał dyrektor Biura Praw Obywatelskich, i dlatego nie był odpowiednim człowiekiem, by cokolwiek doradzać prezydentowi Ryanowi. I to właśnie zrodziło obecny dylemat. Miał przed sobą listę. Jeden z jego ludzi pomógł Martinowi ją sporządzić, a ponieważ jego ludzie byli mu lojalni, ponieważ wiedzieli, że w Waszyngtonie ścieżka w górę wiedzie śladem szefa, który jedną rozmową telefoniczną mógł każdemu załatwić pracę w wielkiej firmie prawniczej, znalazł się ktoś, kto podrzucił listę szefowi. Z nie wymazanymi nazwiskami.

Dyrektorowi wystarczyło przeczytanie czternastu nazwisk. Nie musiał sięgać do akt personalnych. Znał wszystkich. Jeden, w czwartym obwodzie w Richmond, odrzucił orzeczenie niższej instancji i napisał długi elaborat, kwestionując konstytucyjność całego pozwu. Świetne uzasadnienie, które doprowadziło do ostrego podziału opinii w Sądzie Najwyższym, gdzie pięciu głosowało za, czterech przeciw. Sprawa była bardzo



dyskusyjna i akceptowanie przez Sąd Najwyższy argumentów sędziego Sądu Apelacyjnego też było dyskusyjne.

Nowojorski sędzia, również kandydat na liście, podzielił w innej sprawie stanowisko rządu, ale, czyniąc to, ograniczył jednocześnie obszar stosowania zasady prawnej, na której oparł swoje orzeczenie. Sprawa nie poszła wyżej i tym samym stała się obowiązującym precedensem na dużym obszarze Stanów.

To są niewłaściwi ludzie, doszedł do wniosku dyrektor. Mają zbyt jednostronną koncepcję władzy sądowniczej. Oddają zbyt wiele Kongresowi i legislaturom stanowym. Pat Martin inaczej podchodzi do prawa. Martin nie dostrzegął, że sędziowie powinni naprawiać to, co jest w prawie złe. Dyrektor i Martin często dyskutowali na ten temat podczas lunchów. W ożywionej, ale zawsze przyjacielskiej atmosferze. Martin był miłym człowiekiem i doskonałym dyskutantem. Trudno było go przygwoździć argumentami. Trzymał się swej opinii bez względu na to, czy była słuszna, czy nie. Chociaż to czyniło zeń doskonałego oskarżyciela publicznego, to jednak... Martin nie miał odpowiedniego temperamentu pasującego do otaczającej go rzeczywistości. Nie dostrzegął otoczenia takim, jakie ono powinno być. W ten sam sposób ustalił listę kandydatów,

a Senat może okazać się na tyle głupi, że zatwierdzi prezydencki wybór. Do tego nie wolno dopuścić. Do władzy należy dopuszczać ludzi, którzy wiedzą, jak z niej korzystać.

Dyrektor nie miał wyboru. Włożył listę do koperty, kopertę schował do wewnętrznej kieszeni marynarki, podniósł słuchawkę telefonu, wybrał numer i umówił się na lunch z jednym ze swoich politycznych „kontaktów”.

## 30 — Prasa

Zrobili wszystko, żeby zdążyć na poranne wiadomości, tak przemożny był wpływ telewizji na opinię publiczną. W ten sposób określało się rzeczywistość, zmieniało ją i dekretowało. Zaświtał bez wątpienia nowy dzień. Widzowi pozostawiono co do tego niewiele wątpliwości. Za plecami spikera zawisła nowa flaga: dwie małe złote gwiazdy na zielonym tle — barwie islamu. Rozpoczął od wersetów z Koranu, potem przeszedł do spraw politycznych. Powstało nowe państwo, które przyjęło nazwę Zjednoczonej Republiki Islamskiej. Obejmie ono narody dawnego Iranu i Iraku, a kierować się będzie islamskimi zasadami pokoju i braterstwa. Zostanie wybrany nowy parlament, zwany

*Majlis*. Wybory, jak zapowiedział, odbędą się przed końcem roku. Do tego czasu rządy będzie sprawować Rada Rewolucyjna, w której skład wejdą wybitni politycy obu narodów, w proporcji zgodnej z liczbą ludności. Dzięki temu Iran miał zagwarantowaną dominację, o czym spiker nawet się nie zająknął, ale było to niepotrzebne.

Żaden inny kraj, ciągnął, nie ma powodu lękać się ZRI. Nowo powstałe państwo zadeklarowało życzliwość wobec wszystkich islamskich braci oraz narodów, które utrzymywały przyjacielskie stosunki z jego dawniej samodzielnyimi częściami. Bez komentarza pozostawiono fakt, że oświadczenie to było wewnętrznie sprzeczne. Nie wszyscy „islamscy bracia”, by wspomnieć chociaż o państwach znad Zatoki Perskiej, pozostawali w przyjaznych relacjach z którymkolwiek z krajów, które stworzyły ZRI. Wspólnota międzynarodowa nie ma powodów do niepokoju, albowiem w dalszym ciągu będzie się likwidować instalacje wojskowe na terenie dawnego Iraku. Bezzwłocznie zostaną uwolnieni wszyscy więźniowie polityczni. . .

— Którzy zrobią miejsce dla nowych — oznajmił major Sabah w Palmie.

Nie musiał do nikogo dzwonić. Poranne wiadomości oglądano nad całą Zatoką, a wszędzie, gdzie włączony był telewizor, jedyną szczęśliwą twarzą było oblicze na

ekranie, przynajmniej do chwili, gdy pojawił się obraz spontanicznych demonstracji pod różnymi meczetami, z których wylegli zebrani na poranne modły ludzie, aby dać wyraz swej radości.

\* \* \*

— Witaj, Ali — powiedział Jack. Czytał akta pozostawione przez Martina i czekał na telefon, przy czym znowu dręczył go ból głowy, o który, można było mniemać, przyprawiało samo wejście do Gabinetu Ovalnego. Zadziwiające, że tyle czasu potrzeba Saudyjczykom, aby zapewnić połączenie swemu książęcemu ministrowi bez teki. Być może mieli nadzieję, że zły sen sam się rozwieje, co było postawą nie tak rzadką w tej części świata. — Tak, oglądam właśnie telewizję. — U dołu ekranu, może dla zabezpieczenia przed zakłóceniami fonii, widać było tłumaczenie wystukiwane przez specjalistów z Agencji Bezpieczeństwa Narodowego. Niezależnie od pewnej kwiecistości stylu, zasadnicza treść była absolutnie czytelna dla wszystkich zebranych w pokoju. Adler, Vasco i Goodley zjawili się w gabinecie natychmiast po rozpoczęciu emisji, co zwolniło Ryana od konieczności czytania, chociaż nie od bólu głowy.

— To bardzo niepokojące, aczkolwiek nie jest to niespodzianką — oznajmił książę.

— Nie sposób było temu zapobiec, chociaż rozumiem, co wasza wysokość musi odczuwać — powiedział zmęczonym głosem prezydent. Mógł szukać ratunku w kawie, ale z drugiej strony chciał przynajmniej trochę się przespać.

— Zamierzamy postawić naszą armię w stan podwyższonej gotowości bojowej.

— Czy chcielibyście czegoś od nas w tej chwili?

— Na razie tylko zapewnienia, że nadal możemy liczyć na poparcie USA.

— Możecie, rozmawialiśmy o tym wcześniej. Nic się nie zmienia, jeśli chodzi o naszą gotowość zapewnienia Arabii Saudyjskiej bezpieczeństwa. Gdyby chodziło o jakieś zewnętrzne demonstracje tej gotowości, skłonni jesteśmy podjąć wszelkie kroki, oczywiście w granicach rozsądku. Czy... ?

— Nie, panie prezydencie, na razie nie występujemy z żadną formalną prośbą.

Ton głosu sprawił, że Jack przeniósł wzrok z głośnika na gości.

— W takim razie, czy mogę zaproponować, aby pańscy ludzie przedyskutowali możliwe posunięcia z naszymi przedstawicielami?

— Musi się to odbyć w sekrecie. Nasz rząd nie chciałby zaognić sytuacji.

— Rozumiem. Możecie zacząć od admirała Jacksona, który jest J-3 w...

— Tak, panie prezydencie, widzieliśmy się we Wschodniej Sali. Wyznaczę odpowiednie osoby, które jeszcze dzisiaj się z nim skontaktują.

— Dobrze. Gdybyś chciał czegoś ode mnie, Ali, zawsze możesz dzwonić bez skrupowania.

— Dziękuję, Jack. Śpij dobrze.

Tobie też to się przyda, tak samo jak nam wszystkim, pomyślał Ryan.

Cisza. Ryan na wszelki wypadek sprawdził, czy telefon jest wyłączony i spojrzał po zebranych.

— Opinie?

— Ali chciałby czegoś od nas, ale król jeszcze się nie zdecydował — rozpoczął Adler.

— Spróbują nawiązać kontakt ze ZRI — zasugerował Vasco. — Na Bliskim Wschodzie pierwszym odruchem jest podtrzymanie dialogu, kontynuowanie małych interesików, a Saudyjczycy będą w tym pierwsi. Przypuszczam, że Kuwejt i reszta małych

państw będzie się bacznie przypatrywać, ale powinniśmy wkrótce mieć od nich jakieś opinie, najpewniej nieoficjalnymi kanałami dyplomatycznymi.

— Czy w Kuwejcie mamy dobrego ambasadora? — spytał prezydent.

— Willa Bacha — poinformował Adler, z przekonaniem kiwając głową. — Duże doświadczenie. Niezły. Może bez specjalnej wyobraźni, ale twardy zawodnik, zna język i kulturę, ma sporo przyjaciół w rodzinie królewskiej. Zna się na biznesie. Był bardzo pomocny w rozmowach między naszymi przedsiębiorcami a ich rządem.

— Na dodatek ubezpiecza go bardzo dobry szef misji — dorzucił Vasco. — Ma też świetnych attaché, sprawdzeni wywiadowcy.

— Dobra — powiedział Ryan, zdjął okulary do czytania i przetarł oczy. — Bert, powiedz mi, co będzie dalej.

— Wszyscy po południowej stronie Zatoki robią w portki ze strachu. Spełniły się ich najgorsze koszmary senne.

Ryan pokiwał głową i przeniósł wzrok na innego z rozmówców.



— Ben, jak najszybciej muszę mieć sporządzoną przez CIA ocenę zamiarów ZRI. Porozum się z Robbym i zorientuj się w możliwych wariantach naszych działań. Wciągnij do tego Tony’ego Bretano.

— Langley będzie miało niewiele danych — zwrócił uwagę Adler.

To nie ich wina. I dlatego przestawią wersje od ataku nuklearnego — przecież, Iran mógł mieć bombę — po boską ingerencję, z trzema czy czterema rozwiązaniami pośrednimi, wszystkie opatrzone teoretycznym uzasadnieniem, pomyślał Jack. Dzięki czemu prezydent, jak zwykle, będzie mógł podjąć błędną decyzję, za którą tylko on zostanie obwiniony.

— Tak, wiem. Scott, my także zobaczymy, czy uda się nawiązać kontakt ze ZRI.

— Gałązka oliwna?

— Chwytasz w lot — mruknął prezydent. — Wszyscy uważają, że potrzebują trochę czasu na zwanie szeregow, zanim będą sobie mogli pozwolić na jakieś radykalne pociągnięcia?

Nie wszyscy tak uważali.

— Czy mogę, panie prezydencie? — spytał Vasco.

— Tak, Bert, nawiasem mówiąc, bardzo dobre przemówienie przed komisją senacką. Trochę może przesadziłeś z harmonogramem, ale w całości — znakomicie.

— Dziękuję, panie prezydencie. Co się tyczy zwarcia szeregów, chodzi panu o ludność, tak?

Ryan i wszyscy pozostali przytaknęli. Aby móc sprawnie rządzić, potrzeba trochę więcej niż tego tylko, by ludzie zaakceptowali nowe reguły.

— Panie prezydencie, niech pan porówna liczbę mieszkańców Iraku, którzy muszą przyzwyczaić się do nowego porządku, z liczebnością krajów nad Zatoką. To wielka różnica, jeśli chodzi o odległość i obszar, ale ludnościowo — niewielka.

W ten sposób Vasco przypominał wszystkim, że chociaż Arabia Saudyjska większa była od Teksasu i Arizony, zamieszkiwało ją mniej obywateli niż Filadelfię.

— Niczego nie zrobią od zaraz — sprzeciwił się Adler.

— Mogą, panie sekretarzu. Wszystko zależy od tego, jak pan rozumie „zaraz”.

— Iran ma zbyt wiele problemów wewnętrznych. . . — zaczął Goodley.

Zadowolony z obecności i uwagi prezydenta Vasco nie zamierzał oddać inicjatywy.

— Nie można lekceważyć religii — przerwał. — To czynnik jednoczący, który może zatriumfować nad problemami wewnętrznymi, a przynajmniej je zminimalizować. To zapowiada ich flaga. I nazwa państwa. Ludzie na całym świecie biorą stronę zwycięzców. A czyż Darjaei nie wygląda teraz na triumfatora? I jeszcze coś.

— Co takiego, Bert? — spytał Adler.

— Ta flaga. Zwróciliście uwagę, że te dwie gwiazdy są dziwnie małe?

— Więc? — ponaglił Goodley.

Ryan zerknął na ekran telewizora, gdzie nadal widać było spikera na tle zielonej flagi. . .

— Jest tam cholernie dużo miejsca na następne.

\* \* \*

Był to moment spełnienia marzeń, ale rzeczywistość okazała się w tym przypadku piękniejsza od wizji, gdyż okrzyki entuzjazmu dochodziły z zewnątrz, a nie z wnętrza duszy. Mahmud Hadzi Darjaei zjawił się jeszcze przed świtem, a wraz ze wschodem słońca wstąpił do głównego meczetu, zdjawszy uprzednio buty, a także obmywszy dło-

nie i ramiona, albowiem człowiek powinien stawać przed swym Bogiem oczyszczony. W pokorze wysłuchał muezzina ze szczytu minaretu, ale tym razem ludzie nie odpłynęli po zakończeniu modlitwy, aby zakosztować jeszcze odrobiny snu. Dzisiaj tłum z okolicznych dzielnic zgromadził się wokół meczetu w skupieniu tak nabożnym, że gość był do głębi poruszony. Na Darjaeim, który nie zajął żadnego wyróżnionego miejsca, niepowtarzalność tej chwili wywarła dostatecznie silne wrażenie, aby łzy potoczyły się po ciemnej, pomarszczonej twarzy. Zrealizował pierwsze ze swych zamierzeń. Spełnił pragnienia Proroka Mahometa. Przywrócił w pewnym stopniu jedność wiary, co było pierwszym krokiem w jego świętej misji. W skupionej ciszy, która zapadła po zakończeniu porannych modłów, Darjaei powstał i wyszedł na ulicę, gdzie go natychmiast rozpoznano. Ku rozpaczy ochrony, zszedł na ulicę, odpowiadając na powitania ludzi, którzy zrazu oniemieli, a potem w ekstatycznym zachwycie zaczęli się cisnąć, żeby z bliska zobaczyć, jak niedawny wróg ich państwa spaceruje niczym z dawna oczekiwany gość.

Nie było żadnych kamer, które by to utrwały. Nie chciał, by propagandowa sztuczność zakłóciła wielkość tej chwili, a chociaż wiedział, że naraża się na niebezpieczeń-

stwo, nie zamierzał się cofać. Chciał uzyskać naraz wiele odpowiedzi. Chciał przekonać się o sile Wiary, zobaczyć, czy na nowo rozgorzała ona w duszach tych ludzi, a także czy Allah błogosławi jego zamiarom, sam bowiem Darjaei był człowiekiem bardzo skromnym, a to, co musiał zrobić, czynił nie dla siebie, lecz dla Boga. Z jakiej innej przyczyny — często zadawał sobie to pytanie — wybrałby życie pełne niebezpieczeństw i wyrzeczeń? Zbiegowisko szybko zamieniło się w tłum, który gęstniał z każdą chwilą. Ludzie, których nigdy dotąd nie widział na oczy, samorzutnie przyjęli na siebie role jego strażników, siłą torując drogę przed osłabłymi pod ciężarem lat nogami, podczas gdy jego ciemne oczy zerkały to w prawo, to w lewo w oczekiwaniu ataku, ale wszędzie spostrzegał tylko radość. Wykonywał w kierunku zebranych gesty, które mogły się wydać błogosławieństwem patriarchy, a jego skupiona twarz i błyszczące oczy, przyjmowały wyrazy miłości i szacunku, odpowiadając na nie obietnicą jeszcze większych dokonań, które przewyższą dotychczasowe.

\* \* \*

— Jaki to człowiek? — spytał Gwiazdor. We Frankfurcie przesiadł się do Aten, i dopiero potem poleciał do Bejrutu, a następnie skierował się do Teheranu. Znał Darjaeiego tylko ze słyszenia.

— Wie, na czym polega władza — odparł Badrajn, wsłuchany w okrzyki za oknami. Wojna pomiędzy Irakiem i Iranem trwała niemal dziesięć lat. Na śmierć posyłano dzieci. Rakiety rujnowały miasta w obu krajach. Strat w ludziach nigdy nie uda się dokładnie ustalić, a chociaż działania zbrojne ustały przed kilku laty, dopiero teraz nadszedł prawdziwy koniec wojny. Dokonał się w ludzkich sercach, a nie na kartach traktatów, i jeśli był zgodny z prawem, to przede wszystkim bożym, które różniło się od prawa ludzkiego. W euforii, która wybuchła, sam kiedyś by się pograżył, ale teraz inaczej już patrzył na wszystko. Takie uczucia euforii w rękach umiejętnego sternika nawy państwowej okazywały się użytecznymi narzędziami. Na ulice wyszli ludzie, którzy jeszcze niedawno zrzędzili na to, co mają i czego nie mają, wąpili w rozsądek swego przywódcy, domagali się — w tej mierze, w jakiej to możliwe w społeczeństwie tak ściśle kontrolo-

wanym — swobód, których im odmawiano. I nagle wszystkie utyskiwania umilkły — ale na jak długo? Oto podstawowe pytanie i dlaczego momenty takie trzeba umiejętnie wykorzystywać. A w tym Darjaei był prawdziwym mistrzem.

Badrajn odwrócił uwagę od nabożnego gwaru.

— A zatem, czego się dowiedziałeś?

— Najciekawsze informacje uzyskałem z telewizji. Prezydent Ryan radzi sobie nieźle, ale ma kłopoty. Nie wszystkie instytucje rządowe w pełni funkcjonują. Wybory do Kongresu rozpoczną się w przyszłym miesiącu. Ryan jest popularny. Amerykanie wręcz uwielbiają dowiadywać się, co myślą inni. Ich biura sondażowe dzwonią z pytaniami do kilku tysięcy ludzi, i na tej podstawie ogłaszają, jaką opinię podzielają wszyscy.

— Z jakim efektem? — spytał Badrajn.

— Wydaje się, że większość pochwała to, co robi Ryan, przy czym właściwie kontynuuje on tylko to, co robił jego poprzednik. Nawet nie wybrał sobie jeszcze wiceprezydenta.

— Dlaczego?

Gwiazdor skrzywił usta.

— Sam się nad tym zastanawiałem. Zdaje się, że chodzi o to, iż decyzja taka musi uzyskać aprobatę Zgromadzenia Narodowego, a ono na razie nie może zasiąść w pełnym składzie. I to trochę jeszcze potrwa. Co więcej, jest pewien problem z dawnym wiceprezydentem — nazywa się Kealty — który utrzymuje, że to on jest prawowitym prezydentem, tymczasem Ryan pozwala mu gardłować, zamiast go posadzić. Ich system prawny nie bardzo potrafi dać sobie radę ze zdradą.

— A gdyby udało nam się zabić Ryana?

Gwiazdor pokręcił głową.

— Bardzo trudna sprawa. Na wędrowkę po Waszyngtonie poświęciłem całe popołudnie. Siedziba prezydenta jest bardzo czujnie strzeżona, nie wpuszcza się żadnych turystów. Ulica przed gmachem jest zamknięta. Z książką w ręku siedziałem przez godzinę na ławce i obserwowałem. Strzelcy wyborowi na wszystkich okolicznych budynkach. Szansą byłaby dla nas jakaś jego zagraniczna podróż, to jednak wymagałoby rozległych przygotowań, na które nie mamy czasu. Tak więc pozostają tylko...

— Jego dzieci — dokończył Badrajn.



\* \* \*

O Boże, kiedy ja teraz będę widywał rodzinę, pomyślał Jack. W towarzystwie Jeffa Ramana wyszedł z windy i spojrzął na zegarek. Już po północy. Cholera. Udało mu się jedynie w pośpiechu zjeść obiad z dziećmi i Cathy, potem pognął na dół do swoich raportów i doradców, a teraz... wszyscy już spali.

Pusty korytarz na piętrze był zbyt obszerny, aby oferować złudzenie domowej intymności. Widać było trzech agentów i oficera dyżurnego z walizeczką, w której spoczywały kody nuklearne. O tej porze wszędzie panowała cisza, a wewnątrz bardziej przywodziło na myśl elegancki dom pogrzebowy niż siedlisko życia rodzinnego. Żadnego bałaganu, żadnych zabawek na dywanie, żadnych pustych szklanek przed telewizorem. Zbyt gładko, zbyt schludnie, zbyt zimno. I zawsze ktoś w pobliżu. Raman wymienił spojrzenia z pozostałymi agentami, których skinięcia oznaczały: „Tak, wszystko w porządku”. W pobliżu żadnego nieznanego z bronią, pomyślał Ryan. Dobrze i to.

Sypialnie były tutaj nazbyt od siebie oddalone. Poszedł najpierw na lewo, do pokoju Katie. Otworzył drzwi i zobaczył swoją najmłodszą pociechę, która dopiero niedawno

przeniosła się z kołyski do łóżeczka; spała na boku, a obok niej niedźwiadek z brązowego pluszu. Wciąż na noc nakładano jej śpioszki. Jack pamiętał, że Sally nosiła takie same, a dzieci przypominają w nich zawiniątka. Teraz jednak Sally nie mogła się doczekać dnia, kiedy sama ruszy na zakupy przy Victoria Street, a Mały Jack — który od dawna protestował przeciw temu przydomkowi — nastawał na luźne krótkie spodenki, które właśnie stały się modne pośród chłopców w jego wieku, i które należało nosić możliwie jak najniżej, bowiem szpan polegał właśnie na ryzyku, że mogą opaść. Przynajmniej została jeszcze jedna kilkulatka. Jack podszedł do łóżeczka, stał przy nim przez dobrą minutę, przez tę chwilę był tylko i wyłącznie ojcem. Potem rozejrzał się; także tutaj zirytował go aseptyczny porządek. Wszystko wyzbierane, żadnego drobiazgu na podłodze. Ubranko na następny dzień schludnie złożone na szafce. Nawet białe skarpetki porządnie umieszczone obok bucików ze zwierzączkami z komiksów wymalowanymi na czubkach. Czy dzieci mogą się dobrze czuć w takich warunkach? Wszystko to przypominało mu jakiś film z Shirley Temple z czasów, gdy jego ojciec i matka byli dziećmi: opowieść z życia wyższych sfer, podczas której nieustannie zadawał sobie pytanie: „Czy ludzie naprawdę tak żyli?”

Nie, nie normalni ludzie, a tylko królowie i osoby skazane na prezydenturę. Jack uśmiechnął się, pokręcił głową i wyszedł. Nawet drzwi nie dano mu zamknąć, gdyż zrobił to za niego agent Raman. Ryan nie miał wątpliwości, że gdzieś w tym budynku jakieś urządzenie zarejestrowało fakt otwarcia i zamknięcia drzwi, czujniki poinformowały, że ktoś znalazł się w sypialni, a ściszony głos natychmiast oznajmił komuś, że to tylko Miecznik zajrzał do Foremki.

Wsadził głowę do pokoju Sally. Starsza córka także spała i najprawdopodobniej śniła o pewnym koledze z klasy — Kennym? Sonnym? W każdym razie o kimś, kto był „odlotowy”. U Małego Jacka leżał wprawdzie na dywanie komiks, ale z uchylonej szafy wyglądała świeżo uprasowana biała koszula, ktoś wyczyścił także jego buty.

Kolejny zmarnowany dzień, pomyślał prezydent, a do agenta powiedział:

— Dobranoc, Jeff.

— Dobranoc, panie prezydencie — odpowiedział Raman sprzed progu prezydenckiej sypialni. Ryan skinął mu głową na pożegnanie i agent zamknął drzwi, a potem zerknął w lewo i prawo na swych kolegów. Prawa ręka musnęła broń ukrytą pod marynarką, a w oczach na króciutką chwilę zamigotał uśmiech na myśl o tym, co bez naj-

mniejszych trudności mogło się tu rozegrać przed chwilą. Rozkaz jednak nie nadszedł. Osoba, która pozostawała z nim w kontakcie, była ostrożna i miała rację. Aref Raman pełnił dziś nocny dyżur jako dowódca Oddziału. Przespacerował się korytarzem, zadał jednemu z agentów obojętne pytanie, potem windą zjechał na parter i wyszedł przed budynek. Na zewnątrz zaczerpnął powietrza, przeciągnął się, a przy okazji zlustrował wartowników. Także i tutaj panował spokój. W Lafayette Park, po drugiej stronie ulicy, widać było demonstrantów, którzy o tej porze zbili się w grupkę i coś popalali; co dokładnie, trudno było powiedzieć, ale Raman miał pewne podejrzenia. Może haszysz? — pomyślał z lekkim uśmiechem. To byłoby zabawne. Poza tym słychać było tylko ruch uliczny, gdzieś od wschodu odległą syrenę, obok na straży stali ludzie, którzy usiłowali odpędzić senność rozmowami o koszykówce, hokeju czy wiosennych treningach baseballowych, a zarazem wpatrywali się w cienie dookoła, spodziewając się zagrożenia co najwyżej stamtąd. Błędne założenia, przemknęło Ramanowi przez głowę, gdy odwracał się i wchodził do środka.

\* \* \*

— Czy można je porwać?

— Dwoje starszych nie, pojawiłoby się zbyt wiele trudności, natomiast najmłodsza tak, aczkolwiek także i to będzie zarówno niebezpieczne, jak i kosztowne — ostrzegł Gwiazdor.

Badrajn skinął głową. Trzeba wybrać szczególnie wiarygodnych ludzi. Darjaei miał takich. To było oczywiste, gdy zważyć na to, co zdarzyło się w Iraku. Przez kilka minut przypatrywał się w milczeniu szkicom sytuacyjnym, podczas gdy jego gość wstał, żeby spojrzeć przez okno. Demonstracja nadal trwała; uczestnicy krzyczeli teraz: „Śmierć Ameryce!”. I oni, i ich dyrygenci mieli dobrze przetrenowane to zawołanie.

Potem Gwiazdor powrócił do stołu.

— Na czym polega właściwie zadanie, Ali? — spytał.

— Strategicznym celem jest to, żeby Amerykanie nam nie przeszkadzali — odparł Badrajn. „Nam” oznaczało teraz to, co chciał przez to słowo rozumieć Darjaei.

\* \* \*

Cała dziewiątka, pomyślał, kiwając głową, Moudi. Sam przeprowadził test na przeciwciała, a mówiąc ściślej, przeprowadził go trzykrotnie, za każdym razem z pozytywnym wynikiem. Wszyscy byli zarażeni. Dla bezpieczeństwa podano im narkotyki i powiedziano, że nic im nie grozi. I istotnie byli bezpieczni — do chwili, gdy się okaże, że wirus uzyskał pełną żywotność, nie osłabioną przez mutowanie w organizmach wcześniejszych nosicieli. Otrzymywali najczęściej morfinę, która miała ich uspokoić i otępić. Najpierw więc Benedict Mkusa, potem siostra Jeanne Baptiste, następnie dzieściu kryminalistów, a teraz jeszcze dziewiątka. Dwadzieścia dwie ofiary, jeśli zaliczyć do nich także siostrę Marię Magdalенę. Zastanowił się, czy Maria Magdalena nadal modli się za niego w raju. Mało prawdopodobne.

\* \* \*

Sahaila, powtórzył w myśli doktor MacGregor, przeglądając notatki. Była chora, ale sytuacja się ustabilizowała; temperatura spadła o cały stopień. Od czasu do czasu odzyskiwała przytomność. Początkowo myślał, że przyczyną jest różnica stref czaso-

wych, do chwili, gdy w wymiocinach i stolcu pokazała się krew, która jednak potem zniknęła. . . Jakieś zatrucie pokarmowe? Ta diagnoza wydawała się całkiem prawdopodobna. Na pewno jadła to samo, co reszta rodziny, ale mógł jej się trafić zepsuty kawałek mięsa. . . Albo, jak to często się zdarza u dzieci, połknęła coś szkodliwego. Dosłownie każdego tygodnia zdarzały się podobne przypadki w gabinetach lekarskich na całym świecie, szczególnie często zaś w Chartumie. Tyle że ona przyjechała z Iraku, podobnie jak Saleh. Raz jeszcze spojrzął na analizę przeciwciał we krwi tego ostatniego i pokręcił głową. Ochroniarz był poważnie chory i jeśli jego system odpornościowy sam sobie nie poradzi. . .

U dzieci, przypomniało się MacGregorowi, trochę zaskoczonymu tym skojarzeniem, system ten jest najczęściej wydajniejszy niż u dorosłych. Wszyscy rodzice dobrze wprawdzie wiedzą, że u dziecka złe samopoczucie i wysoka gorączka mogą pojawić się zupełnie znienacka, wynika to jednak z faktu, że wraz z tym jak dziecko rośnie, jego organizm wystawiony jest na dokonywany po raz pierwszy atak najróżniejszych chorób. Gdy do tego dochodzi, organizm zaczyna zwalczać najeźdźcę, wytwarzając przeciwciała, które odtąd zawsze już będą niszczyć tego konkretnego przeciwnika (odrę, świnkę

i tak dalej) ilekroć się pojawi, za pierwszym razem na ogół szybko go pokonując, co sprawia, że maluch rozgorączkowany jednego dnia, już następnego może się rwać do zabawy. Tak zwane choroby „dziecięce” to te, które pokonujemy w dzieciństwie. Narażony na nie dorosły znajduje się w o wiele większym niebezpieczeństwie; świnka może dorosłego mężczyznę przyprawić o impotencję, wietrzna ospa, u dziecka ledwie dolegliwość, potrafi zabijać dorosłych, podobnie jak odra. Dlaczego? Ponieważ na przekór swej pozornej kruchości, dziecko jest jednym z najbardziej odpornych żywych organizmów. Szczepionki, jakie podaje się dzieciom, mają chronić te nieliczne, u których, z najróżniejszych przyczyn — zapewne genetycznych, ale badania jeszcze tego jednoznacznie nie rozstrzygnęły — owa odporność nie jest tak silna. Nawet choroba Heinego-Medina, charakteryzująca się porażeniami mięśni, pozostawia trwałe efekty tylko u niewielu spośród swych ofiar. Tyle że zawsze były to dzieci, a tych dorośli bronią z zjadłością na ogół kojarzoną ze światem zwierzęcym — i całkiem słusznie, myślał MacGregor, gdyż to instynktowny „program” w naszej duszy nakazuje nam opiekuńczość wobec dzieci — i pewnie dlatego tak wiele naukowych wysiłków od lat poświęca się chorobom najmłodszych. . . Dokąd to poszybowały moje myśli? — zadziwił się le-



karz. Często zdarzało się, że jego umysł wędrował samodzielnie, niczym po wielkiej bibliotece, szukając właściwego odsyłacza do odpowiedniej półki. . .

Saleh przyjechał z Iraku. Sahaila także przybyła z Iraku. Saleh chorował na ebola.

U Sahaili wystąpiły symptomy grypy, zatrucia pokarmowego albo. . .

Pierwsze objawy ebola były podobne do grypowych. . .

— O Boże — zdławionym głosem jęknął MacGregor. Zerwał się od biurka i skoczył do pokoju dziewczynki. Po drodze chwycił strzykawkę i kilka pustych probówek. Na widok igły zapiszczała, jak to dziecko, ale MacGregor miał wprawę i, zanim zdążyła się na dobre rozplakać, było już po wszystkim. Uspokojenie jej zostawił matce, czuwającej w nocy przy łóżku.

Dlaczego, durniu, wcześniej nie pomyślałeś o testach?! — wyrzucał sobie ze wściekłości lekarz.

\* \* \*

— Oficjalnie nie ma ich u nas — urzędnik z Ministerstwa Spraw Zagranicznych poinformował swego kolegę z Ministerstwa Zdrowia. — A o co chodzi?

— Wydaje się, że to ebola.

Na tę informację mężczyzna zareagował raptownym mruganiem oczu i gwałtownym pochyleniem się nad stołem.

— Czy to pewne?

— Raczej tak — oznajmił sudański lekarz. — Widziałem wyniki testu na przeciwciała. Robił go Ian MacGregor, jeden z naszych brytyjskich gości. To bardzo dobry lekarz.

— Czy ktoś jeszcze o tym wie?

— Nie. — Lekarz zdecydowanie pokręcił głową. — Nie ma powodu do paniki. Pacjent został całkowicie odizolowany. Personel szpitala zna się na rzeczy. Musimy poinformować o tym przypadku Światową Organizację Zdrowia. . .

— Jest pan pewien, że nie ma niebezpieczeństwa epidemii?

— Żadnego. Jak powiedziałem, natychmiast zatroszczono się o odizolowanie chorego. Ebola to groźna choroba, ale wiemy, jak się zabezpieczyć — powiedział z pewnością w głosie medyk.

— To skąd konieczność zwracania się do WHO?

— W takich sytuacjach przysyłają zespół swoich specjalistów, którzy nadzorują terapię, służą radą i starają się wykryć ogniska zakażenia, aby. . .

— Ten, jak mu tam, Saleh, nie zaraził się u nas?

— Z całą pewnością nie. Gdyby istniała taka możliwość, pierwszy bym o tym wiedział — zapewnił gość.

— Czy mam zatem rację: skoro nie ma obawy, że choroba, którą przywiózł tutaj ze sobą, może się rozszerzyć, bezpieczeństwo naszego kraju nie jest zagrożone?

— Słusznie.

— Rozumiem.

Urzędnik zapatrzył się w okno. Obecność uciekinierów z Iraku w Sudanie nadal była tajemnicą, a w interesie jego kraju było, aby ów sekret zachować. Spojrzał na swego rozmówcę.

— Zatem nie poinformuje pan WHO. Gdyby rozeszła się wieść o tym, że ci Irakijczycy są u nas, musielibyśmy się liczyć z poważnymi komplikacjami dyplomatycznymi.

— Z tym może być pewien problem. Doktor MacGregor to młody lekarz, który nie wyzbył się jeszcze pewnych idealistycznych. . .

— Sam z nim porozmawiam. Jeśli będzie oponował, porozmawia z nim ktoś inny. Jeśli takie ostrzeżenie przekazało się we właściwy sposób, rzadko kiedy bywało lekceważone.

— Jak pan uważa.

— Czy Saleh przeżyje?

— Najprawdopodobniej nie. Śmiertelność w przypadku wirusa ebola wynosi osiem na dziesięć przypadków, a jego stan gwałtownie się pogarsza.

— Ma pan jakieś podejrzenia, jak mógł się zarazić?

— Żadnych. Utrzymuje, że nigdy przedtem nie był w Afryce, ale od takich ludzi nie należy oczekiwać prawdomówności. Mogę jeszcze z nim porozmawiać.

— Trzeba spróbować.

\* \* \*

PREZYDENT ODDAJE SĄD NAJWYŻSZY KONSERWATYSTOM, głosił nagłówek. Sztab Białego Domu nigdy nie śpi, a z przywileju tego co najwyżej korzysta od czasu do czasu sam prezydent. Reszta Waszyngtonu jeszcze się nie ocknęła, kiedy na

biurkach pojawiły się egzemplarze różnych gazet, nad którymi pochylały się głowy tych, którzy wyszukać mieli kąski szczególnie ważne dla administracji rządowej. Artykuły zostaną wycięte, zebrane razem i skopiowane dla „Rannego Ptaszka”, nieoficjalnego biuletynu, dzięki któremu ludzie u władzy mogli się zorientować, co w trawie piszczy, a przynajmniej, co piszczy w trawie prasowej, gdzie wiadomości prawdziwe mieszały się z fałszywymi.

— Mamy gdzieś przeciek — zauważył jeden z analityków, wycinając artykuł z „Washington Post”.

— Na to wygląda. Wydaje się także, że informacja już krąży — powiedział inny, który siedział właśnie nad „Timesem”.

Wewnętrzny okólnik Departamentu Sprawiedliwości podaje nazwiska sędziów, których kandydatury gabinet Ryana chciałby zaproponować na dziewięć wakujących miejsc w Sądzie Najwyższym.

Każdy z kandydatów ma za sobą staż w Najwyższym Sądzie

Apelacyjnym. Lista wyraźnie preferuje konserwatystów. Nie można na niej znaleźć żadnych osób, które zyskały aprobatę prezydentów Fowlera czy Durlinga.

Normalnie nominacje takie przedkładane są do zaopiniowania Amerykańskiemu Stowarzyszeniu Prawników, tym razem jednak lista przygotowana została przez wyższych urzędników Departamentu Sprawiedliwości, którymi kieruje Patrick J. Martin, zawodowy prokurator i szef wydziału karnego.

— Prasie się to najwidoczniej nie podoba.

— Dziwisz się? Wytnij także ten wstępniak. Szybko zareagowali, nie ma co.

\* \* \*

Nigdy jeszcze nie pracowali tak ciężko. Zadanie w praktyce przełożyło się na szesnaście godzin harówki dziennie, ledwie odrobinę piwa na wieczór, pośpieszne posiłki podgrzewane w kuchence mikrofalowej i jedynie radio w charakterze rozrywki. Teraz

akurat musiało grać na pełny regulator. W tej chwili gotował się ołów. Używali takiego samego urządzenia jak hydraulicy: podobna do odwróconej rakiety butla z propanem i palnikiem na szczycie, gdzie umieszczona była metalowa czara z ołowiem, utrzymywana przez płomień w stanie płynnym. W czarze zanurzano łyżkę i jej zawartość wlewano do form na 505-granowe pociski kalibru 0,58 cala, przeznaczone do strzelb lądowych odprzodowo. Podobnych używali traperzy tutaj, na Zachodzie w latach dwudziestych XIX wieku. Było dziesięć form, każda z miejscem na cztery kule.

Jak na razie, myślał Ernie Brown, wszystko układa się dobrze, zwłaszcza jeśli chodzi o dyskrecję. Sprzedaż nawozów sztucznych nie była kontrolowana, podobnie jak oleju napędowego i ołowiu. Wszystkich zakupów dokonywali w kilku miejscach, aby w żadnym z nich zamówienie nie było zbyt wielkie.

Czekało ich wiele mozolnej dłubaniny, ale jak zauważył Pete, Jim Bridger<sup>4</sup> nie dotarł do Kalifornii helikopterem. Nie, całą tę długą drogę przebył na końskim grzbiecie, mając pewnie jednego lub dwa konie juczne, a poruszał się z szybkością trzydziestu,

---

<sup>4</sup>James Bridger (1804-1881) słynny amerykański traper i handlarz futer (przyp. red.).

czterdziestu kilometrów dziennie, na kolację posilając się jakimś złapanym bobrem, ha-  
rując ciężko i z rzadka trafiając na podobnego do siebie wędrowca, z którym wymieniali  
się może gorzałką czy tytoniem. Taka była tradycja ludzi ich pokroju. I to się liczyło.

Harmonijnie podzielili się pracą. Pete nalewał roztopiony metal, a kiedy docierał do  
ostatniej formy, w pierwszej, zanurzonej w wodzie, ołów zdążył już ostygnąć na tyle, że  
kiedy otworzyło się jej połówki, w środku ukazywały się twarde i foremne kule, które  
łądowały w pustej puszcze po oleju. Ernie zbierał rozlany ołów i wrzucał go z powrotem  
do czary, aby nic się nie zmarnowało.

Jedyną większą trudność sprawiło zdobycie betoniarki, ale w miejscowej prasie  
znaleźli informację o licytacji sprzętu po likwidowanej firmie budowlanej i za marne  
dwadzieścia jeden tysięcy dolarów nabyli trzyletni pojazd w zupełnie dobrym stanie  
i z zaledwie 150.000 kilometrów na liczniku. Przywieźli ją, naturalnie, w nocy i ukryli  
w stodole, a z odległości sześciu metrów jej reflektory spoglądały na nich niczym ślepią  
jakiegoś drapieżnika.

Praca była monotonna. Na ścianie stodoły rozwiesili plan centrum Waszyngtonu  
i, mieszając ołów, Ernie wpatrywał się w nią, a w jego głowie rodziły się obrazy. Znał



wszystkie odległości, one zaś odgrywały tutaj kluczową rolę. Chłopcy z Tajnej Służby uważali się za strasznych mądrali. Zamknęli Pennsylvania Avenue, aby żadna bomba nie znalazła się w pobliżu siedziby prezydenta. Całkiem sprytnie, tyle że nie zwrócili uwagi na jeden mały drobiazg.

\* \* \*

— Ale ja muszę — sprzeciwił się MacGregor. — To mój obowiązek.

— Nie, nie musi pan — spokojnie poprawił przedstawiciel Ministerstwa Zdrowia. — Nie ma takiej konieczności. Pacjent przywiózł chorobę ze sobą. Izolacja była słusznym posunięciem. Personel wie, co ma robić, w dużej mierze dzięki temu, że świetnie go pan wyszkolił. Natomiast byłoby to z wielką szkodą dla mojego kraju, gdyby informacja o tym przypadku wydostała się na zewnątrz. Rozmawiałem w tej sprawie z urzędnikami w MSZ i oni do tego nie dopuszczają. Czy wyraziłem się jasno?

— Jednak. . .

— Jeśli będzie się pan upierał, wydamy nakaz opuszczenia Sudanu.

MacGregor poczerwieniał. Miał bladą cerę, wyróżniającą ludzi z północy, i na jego twarzy nazbyt wyraźnie odbijały się uczucia. Wystarczyło, by ten sukinsyn skorzystał z telefonu, a w domu zjawiał się policjant — zupełnie niepodobny do „bobbies”, których znał z ulic Edynburga — kazał mu się natychmiast spakować i jechać wraz z nim na lotnisko. To właśnie przytrafiło się lekarzowi z Londynu, który w słowach odrobinę za mocnych pouczał przedstawiciela rządu o niebezpieczeństwach związanych z AIDS. Poza tym, MacGregor nigdy nie zostawiłby swoich pacjentów; oto jego słaba strona, o czym aż za dobrze wiedział rozmówca. Młody i pełen pasji lekarz nie odda łatwo swoich chorych pod opiekę komuś innemu, szczególnie w kraju, gdzie leczenie praktycznie nie istniało.

— Co z Salehem?

— Wątpię, żeby przeżył.

— Szkoda, ale niewiele na to można było poradzić. Ma pan jakieś podejrzenia, jak mógł zapaść na tę chorobę?

Młody człowiek znowu poczerwieniał.

— Nie i to właśnie jest najgorsze.

— Sam z nim porozmawiam.

To nie takie łatwe z odległości trzech metrów, przyszło do głowy MacGregorowi, ale jego myśli zaprzętały już inne problemy.

Badanie ujawniło obecność przeciwciał wirusa ebola także we krwi Sahaili, ale stan dziewczynki się poprawiał. Temperatura spadła o kolejne pół stopnia. Badania potwierdzały, że ustał krwotok z jelit, a także poprawiła się praca wątroby. Był pewien, że mała pacjentka przeżyje. W jakiś tajemniczy sposób złapała wirusa ebola i w sposób równie tajemniczy uporała się z nim. Nie znając odpowiedzi na pierwszą zagadkę, nie mógł także rozwiązać drugiej. Zastanawiał się, czy Sahaila i Saleh zarazili się w ten sam sposób, wydawało się to jednak mało prawdopodobne. Układ odpornościowy dziecka mógł być bardziej efektywny niż w przypadku dorosłego, ale fizycznie dziecko nigdy nie będzie tak silne jak zdrowy, dojrzały mężczyzna, jakim był Saleh. Ten najwyraźniej umierał, podczas gdy dziecko zdrowiało. Dlaczego?

W Iraku nie notowano do tej pory przypadków ebola, a w każdym razie nie było o tym żadnych informacji. Z drugiej strony, Irak podobno pracował nad bronią biologiczną. Czy możliwe, by wirusy wydostały się poza ściany laboratoriów, tyle że całą

sprawę utajniono? Kraj jednak znajdował się teraz w stanie politycznego chaosu, o czym donosił SkyNews, a takiej sytuacji nie sposób utrzymać w tajemnicy, ani zapanować nad epidemią.

MacGregor był lekarzem, a nie detektywem. Ci, którzy znali się na jednym, i na drugim, pracowali dla Światowej Organizacji Zdrowia, w Instytucie Pasteura w Paryżu lub Centrum Chorób Zakaźnych w Ameryce. Nie byli może bardziej od niego błyskotliwi, ale mieli o wiele więcej, i to specyficznego, doświadczenia.

Sahaila. Musiał nieustannie obserwować jej stan, pobierać kolejne próbki krwi. Czy mogła jeszcze zarażać innych? Musiał sprawdzić, co na ten temat mówiła literatura. Wiedział tylko tyle, że jeden układ odpornościowy radził sobie z chorobą, a drugi — nie. Jeśli miał dojść do jakichś wniosków, musiał dokładnie śledzić przypadek dziewczynki. Może potem uda mu się przemyścić informację za granicę, ale na razie musi pozostać tutaj.

Na dodatek, zanim kogokolwiek poinformował, przesłał próbki krwi do Instytutu Pasteura i CCZ. Urzędnicy nic o tym nie wiedzieli, a ewentualne telefony będą skierowane do szpitala i samego MacGregora. A wtedy będzie mógł wyjaśnić całą sytuację,

włącznie z jej politycznymi aspektami, będzie mógł odpowiedzieć na jedne pytania, a postawić inne. Musiał uzbroić się w cierpliwość.

— Postąpię zgodnie z pańskim życzeniem, panie doktorze — powiedział. — Rozumiem, że bierze pan na siebie odpowiedzialność za niedopełnienie ciężących na nas obowiązków.

## 31 — Kręgi na wodzie

Dziennikarze mieli się zjawić z samego rana, Ryan musiał się więc poddać torturze makijażu i ułożenia włosów.

— Powinniśmy mieć tutaj krzesło fryzjerskie z prawdziwego zdarzenia — powiedział Jack do krzątającej się wokół niego pani Abbot. Dopiero wczoraj dowiedział się, że prezydencki fryzjer — fryzjerka, mówiąc ściślej — zjawia się w Gabinetcie Ovalnym, tak że szef państwa nie musi się nawet ruszać ze swego fotela. To straszne chwile dla Tajnej Służby, pomyślał, która wie, że ktoś operuje nożyczkami czy brzytwą o kilka centymetrów od aorty ich podopiecznego.

— Arnie, co ustalono z Donnerem?

— Po pierwsze, będzie zadawał pytania, jakie będzie chciał. Dlatego musisz się zastanowić nad każdą odpowiedzią.

— Dobrze, Arnie — obiecał Jack.

— Podkreśl to, że jesteś przede wszystkim obywatelem, a nie politykiem. Dla Donnera znaczyć to będzie niewiele, dużo natomiast dla tych, którzy wieczorem obejrzą wywiad — radził van Damm. — Spodziewaj się pytania w sprawie sędziów.

— Gdzie był przeciek? — spytał z irytacją Ryan.

— Tego nigdy nie wiadomo, a im bardziej będziesz próbował to ustalić, tym bardziej będziesz się upodobniał do Nixona.

— Dlaczego tak jest, że cokolwiek zrobię, zaraz ktoś... a zresztą... — Jack nie dokończył myśli i ze zrezygnowanym westchnieniem zerknął na Mary Abbot, która kończyła zabiegi przy jego fryzurze. — Wspomniałem chyba o tym George'owi Winstonowi, prawda?

— Szybko się uczysz. Jeśli przeprowadzisz przez ulicę staruszkę, zaraz jakieś feministki uznają, że zachowujesz się protekcjonalnie wobec kobiet. Jeśli jej nie pomożesz,

Amerykański Związek Emerytów i Rencistów ogłosi, że jesteś nieczuły na problemy ludzi w podeszłym wieku. Każdy twój czyn wiąże się z czyimiś interesami, reprezentowanymi przez różne grupy nacisku, którym o wiele bardziej chodzi o ich klientelę niż o ciebie. Zasada brzmi tak: urazić możliwie jak najmniejszą liczbę ludzi, ale to nie znaczy: nikogo. Jeśli usiłujesz to osiągnąć, zrażasz do siebie wszystkich.

Oczy Ryana nagle się rozszerzyły.

— Chwyciłem. Powiem coś takiego, co rozwścieczy każdego, a wtedy wszyscy mnie pokochają!

Arnie nie dostrzegł ironii.

— Każdy twój dowcip kogoś rozwścieczy. Dlaczego? Śmiech zawsze kogoś dotknie, a poza tym niektórzy ludzie są w ogóle pozbawieni poczucia humoru.

— Mówiąc inaczej, istnieją takie typy, które wręcz marzą o tym, żeby się na coś złościć, a ja jestem najlepszym do tego obiektem.

— Szybko się uczysz — powtórzył szef personelu z ponurym uśmiechem. Obawiał się tego wywiadu.



\* \* \*

— Na Diego Garcia mamy pływające magazyny uzbrojenia — oznajmił Jackson i wskazał odpowiednie miejsce na mapie.

— Ile? — spytał Bretano.

— Zmieniliśmy właśnie TOS...

— Co to takiego? — przerwał sekretarz obrony.

— Tabela Organizacji i Sprzętu. — Generał Michael Moore był szefem sztabu wojsk lądowych; podczas wojny w Zatoce dowodził jedną z brygad 1. Dywizji Pancerniej. — Sprzętu wystarczy spokojnie dla brygady, powiedzmy, dla w pełni wyposażonej ciężkiej brygady wojsk lądowych, wraz ze wszystkim, czego potrzeba dla trwających miesiąc działań operacyjnych. Ponadto, mamy też trochę wyposażenia w Arabii Saudyjskiej. Sprzęt jest niemal bez wyjątku nowy, czołgi *M1A2*, *Bradleye*, raketowe systemy przeciwlotnicze. W ciągu trzech miesięcy wysłamy nowe ciągniki artyleryjskie. Saudyjczycy — dodał — w części pokrywają koszty. Z formalnego punktu widzenia, część sprzętu należy do nich i stanowi zapasowe uzbrojenie dla ich sił, niemniej my się nim opiekujemy.

my i trzeba jedynie dostarczyć samolotami żołnierzy, żeby mogli wsiadać i wyjeżdżać z garaży.

— Od kogo zaczniemy, kiedy zwrócą się do nas z prośbą?

— To zależy — odpowiedział Jackson. — Najprawdopodobniej na pierwszy ogień pójdzie 11. pułk kawalerii pancernej. W razie nagłego zagrożenia dostarczymy drogą powietrzną 10. pułk, który stacjonuje na pustyni Negew, co nie zajmie nawet dnia. W przypadku ćwiczeń — 3. pułk z Teksasu i 2. z Luizjany.

— Pułk kawalerii pancernej, panie sekretarzu — dorzucił Mickey Moore — jest ofensywnie skomponowaną formacją o sile brygady. Wiele kłów, krótki ogon. Jest praktycznie samowystarczalny i przeciwnik powinien się dwa razy zastanowić, zanim go zaatakuje. Jednak w przypadku dłuższej misji, pułk potrzebuje dodatkowego batalionu, który zająłby się zaopatrzeniem i remontami.

— Następnie mamy na Oceanie Indyjskim lotniskowiec — ciągnął Jackson — który również znajduje się w Diego wraz z resztą grupy, żeby załogi mogły trochę wypocząć na lądzie. — Oznaczało to wprawdzie, iż na całym atolu nagle zaroilo się od marynarzy, ale mogli przynajmniej rozprostować kości, zagrać w softballa i wypić parę piw. —

W ramach naszych gwarancji dla Izraela na Negew stacjonują także *F-16*, skrzydło, a nawet trochę więcej. Ono i 10. pułk to spora siła. Ich zadaniem jest szkolenie izraelskich sił obrony, co jest dość absorbujące. Żołnierze lubią ćwiczenia, panie sekretarzu — zapewnił generał Moore. — A z pewnością wolą je od prawdziwych bitew.

— Będę musiał pojechać tam i trochę się poprzyglądać — powiedział Bretano. — Jak tylko uporam się z budżetem Departamentu Obrony, czy raczej, z początkiem prac nad nim. Wygląda to dość marnie, panowie.

— Zależy od sytuacji, panie sekretarzu — powiedział Jackson. — Z pewnością to za mało, żeby prowadzić wojnę, ale może wystarczy, by do niej nie dopuścić.

\* \* \*

— Czy dojdzie do następnej wojny w Zatoce Perskiej? — spytał Tom Donner.

— Nie widzę powodu do takich obaw — odpowiedział prezydent, który starannie pilnował tembru głosu. Odpowiedź była ostrożna, ale w słowach powinny zabrzmieć pewność siebie i spokój. Była to pewna forma kłamstwa, z kolei jednak powiedzenie prawdy mogło zmienić cały układ sił. Oto część gry pełnej blefów i fałszów, która stała

się nieodłącznym składnikiem międzynarodowej rzeczywistości. W imię prawdy należało mówić coś, co nie było prawdziwe. Churchill powiedział kiedyś: „W czasach wojny prawda staje się tak cenna, że na jej straży musi stanąć kłamstwo”. Ale w czasach pokoju?

— Nasze stosunki z Iranem i Irakiem nie były jednak w ostatnich czasach przyjazne.

— Przeszość jest przeszłością, Tom. Nie można jej zmienić, ale należy z niej wyciągnąć wnioski. Nie ma żadnego istotnego powodu, żeby pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a krajami tego regionu panowała wrogość. Dlaczego mielibyśmy się nienawidzić? — spytał retorycznie Ryan.

— Podejmiemy zatem rozmowy ze Zjednoczoną Republiką Islamską? — nalegał Donner.

— Zawsze jesteśmy gotowi do rozmów, szczególnie kiedy mogą one sprzyjać umocnieniu przyjacielskich stosunków. Zatoka Perska to region o wielkim znaczeniu dla całego świata. Pokój i stabilna sytuacja na Bliskim Wschodzie leżą w interesie wszystkich państw. Dość już było tutaj wojen. Iran i Irak walczyły przez osiem lat i co osiągnęły? Poniosły jedynie ogromne straty w ludziach i sprzęcie. A na dodatek jeszcze te nie-

ustanne konflikty pomiędzy Izraelem i jego sąsiadami. Wystarczy tych waśni. Narodziło się nowe państwo, przed którym stoją wielkie wyzwania. Na szczęście nie brakuje mu bogactw naturalnych, aby zaspokoić potrzeby swych obywateli. Przesyłamy im nasze najlepsze życzenia, a jeśli możemy się na coś przydać, zawsze chętnie wyciągniemy pomocną dłoń.

Nastąpiła krótka przerwa, najprawdopodobniej przeznaczona na reklamy; wywiad miał się znaleźć na antenie o dwudziestej pierwszej. Po przerwie Tom Donner przekazał inicjatywę swemu starszemu koledze, Johnowi Plumberowi.

— Jak pan się czuje w roli prezydenta?

Ryan przekrzywił głowę i uśmiechnął się.

— Cały czas powtarzam sobie, że na ten urząd zostałem nie wybrany, lecz skazany. A teraz poważnie. Okazało się, że czeka mnie tu praca dłuższa i cięższa niż mogłem przypuścić, ale jestem zadowolony. Arnie van Damm jest geniuszem organizacyjnym. Tutaj, w Białym Domu, mam znakomitych współpracowników. Otrzymuję dziesiątki tysięcy listów z wyrazami poparcia. Korzystając z okazji, chciałem serdecznie podziękować nadawcom i zapewnić ich, że jest to dla mnie wielka pomoc.

— Panie Ryan — Jack zauważył, że jego tytuł doktorski przestał się już liczyć — jakie rzeczy chciałby pan zmienić? — spytał Plumber.

— To zależy od tego, John, co rozumiesz przez „zmianę”. W tej chwili moim najważniejszym zadaniem jest zapewnienie skutecznej pracy rządu. W tych kwestiach trudno mówić o zmianach, a raczej o odnowie. Ciągłe nie mamy pełnego Kongresu — ten stan potrwa do czasu nowych wyborów do Izby Reprezentantów — a w tej sytuacji nie mogę mu przedstawić do zatwierdzenia budżetu. Kierownictwo najważniejszych departamentów starałem się powierzyć jak najlepszym ludziom. Muszą zadbać o ich właściwe funkcjonowanie.

— Panie prezydencie, pański nowy sekretarz skarbu, George Winston, jest dość powszechnie krytykowany za chęć wprowadzenia drastycznych zmian w naszym systemie podatkowym.

— Mogę powiedzieć tylko tyle, że w pełni go popieram. Obowiązujący system jest niesłychanie skomplikowany, co sprawia, że jest zasadniczo niesprawiedliwy. W pierwszej chwili pomysł George’a może się wydawać samobójczym posunięciem rządu, ale

ostateczny efekt będzie korzystny dla budżetu, także z racji oszczędności, które zostaną poczynione w innych sferach.

— Liczne są jednak głosy tych, którzy sprzeciwiają się regresywnemu cha. . .

— Przepraszam, John, ale muszę ci przerwać. Bardzo wiele nieporozumień wynika tylko z tego, że ludzie posługują się pokrętnym językiem. Jeśli wszyscy zostaną obłożeni takim samym podatkiem, to wcale nie znaczy, że ma on regresywny charakter. Byłoby tak wtedy, gdyby podatek się zmniejszył tak, że w efekcie biedniejsi płaciliby więcej niż bogaci. A przecież wcale do tego nie dążymy. Użycie niewłaściwych słów grozi tym, że wprowadza się ludzi w błąd.

— Ale tak się to określało od lat.

Plumber najwyraźniej nie był przygotowany na atak ze strony lingwistycznej.

— Z czego wcale nie wynika, że było to słuszne — ripostował Jack. — Poza tym, John, raz jeszcze chciałem powtórzyć: nie jestem politykiem i dlatego lubię rzeczy nazywać wprost. Zastosowanie równej stopy podatkowej odpowiada słownikowej definicji sprawiedliwości. John, przecież dobrze wiesz, o co w tym wszystkim chodzi. Ty i Tom zarabiacie duże pieniądze — o wiele większe niż ja — i na koniec każdego roku roz-

rachunkowego do dzieła biorą się wasi doradcy podatkowi. Z pewnością dokonaleś jakichś inwestycji, dzięki którym możesz obniżyć wysokość podatku, prawda? Skąd wzięła się taka możliwość? Wiadomo: są odpowiednie grupy nacisku, które tak wpłynęły na kongresmanów, że ci wprowadzili małe poprawki do ustawy. Dlaczego? Bo zapłacili za to bogacze. Jaki jest tego efekt? System, który oficjalnie nazywa się „progresywnym”, zawiera w sobie takie malutkie udoskonalenia, że ostatecznie owe wyższe stopy podatkowe nie stosują się do tych, którzy im formalnie podlegają. Prawnicy i doradcy podatkowi podsuwają pomysły, jak oszukać system i system zostaje gładko oszukany. Ostatecznie zatem owe wyższe stopy podatkowe są wierutnym kłamstwem, a politycy dobrze o tym wiedzą, kiedy opracowują akty prawne. Jaka jest z tego korzyść? Żadna, John. Po prostu, żadna. To tylko wielka gra, nic więcej. Gra, podczas której marnuje się czas, oszukuje ludzi, a na dodatek wydaje się mnóstwo pieniędzy na jej twórców i animatorów. Skąd się biorą te pieniądze? Ano nie skądinąd jak z kieszeni podatników, którzy opłacają to wszystko. Spójrz jednak, co się dzieje, kiedy George Winston ogłasza, że chce zmienić ten system. Ci, którzy zatrudnieni są przy tej grze i zarabiają na niej, używają zwodniczych słów, aby wykazać, że to my robimy coś nie-



sprawiedliwego. Moim zdaniem, to oni tworzą najgroźniejszą i najbardziej szkodliwą grupę interesu.

— A panu ta sytuacja zdecydowanie się nie podoba? — uśmiechnął się John.

— W każdej dotychczasowej pracy jako inwestor giełdowy, nauczyciel historii czy urzędnik państwowy, starałem się mówić prawdę. I nie zamierzam tego zmieniać. Są bez wątpienia rzeczy, które wymagają zmiany, i o jednej z nich chciałbym teraz coś powiedzieć.

Wszyscy rodzice w Ameryce wcześniej czy później muszą oznajmić swym dzieciom, że polityka jest sprawą brudną i wstrętną. Ty dowiedziałeś się o tym od swojego ojca, ja od swojego, przyjęliśmy to jako rzecz naturalną i zwyczajną, jako coś, co rozumie się samo przez się. Ale tak wcale nie jest, John. Przez całe lata akceptowaliśmy fakt, że polityka. . . Chociaż nie, najpierw trzeba się porozumieć co do terminów, zgoda? Ustrój polityczny umożliwia rządzenie krajem, ustanawianie praw, których trzeba przestrzegać, nakładanie podatków. To bardzo ważne sprawy, prawda? Zarazem jednak pozwalamy, żeby zajmowali się nimi ludzie, których nie zaprosilibyśmy do siebie do domu, którym nie oddalibyśmy pod opiekę swoich dzieci. Nie wydaje ci się to odrobinę

dziwne, John? Zgadza się na to, żeby na scenie politycznej główne role pełnili ludzie, którzy nieustannie przeinaczają fakty i naginają prawo, aby było korzystne dla sponsorów finansujących ich kampanie wyborcze. Którzy nierzadko kłamią w żywe oczy. Pozwalamy na to. Zgadza się na to także wy, ludzie ze środków masowego przekazu, aczkolwiek nie tolerowałibyście takich postaw u swoich kolegów, mam rację? To samo dotyczy lekarzy, nauczycieli, naukowców.

— Więc coś tutaj jest nie w porządku — ciągnął prezydent, który pochylił się nad blatem i nie usiłował już nawet walczyć z podnieceniem w głosie. — Mówimy przecież o naszej ojczyźnie i nie wolno nam obniżać poziomu wymagań stawianych wobec polityków, a wprost przeciwnie — trzeba je podwyższać. Trzeba domagać się od nich inteligencji i konsekwencji. To dlatego, John, jeżdżę po całym kraju z przemówieniami. Jestem politycznie niezależny, nie mam powiązań z żadną partią. Mój program najlepiej streszcza się w zdaniu, że chcę, aby wszyscy odnosili korzyść ze swojego państwa. To poprzysiągłem, a słowa przysięgi traktuję jak najpoważniej. Nauczyłem się już, że niektórych to irytuje, ale nie zamierzam ich przeproszać ani dostosowywać swoich przekonań do interesów którejś z grup interesu, jakkolwiek głośnych i wymownych miałyby

rzeczników. Znalazłem się tutaj, aby służyć wszystkim, a nie tylko tym, którzy robią najwięcej hałasu i mogą zaoferować największą łapówkę.

Plumber nie pokazał po sobie, jak podoba mu się ten wybuch.

— Świetnie, panie prezydencie, to może zaczęlibyśmy od praw obywatelskich?

— O ile mi wiadomo, konstytucja jest daltonistką, nie rozróżnia kolorów. Ale nie przywiązuje też wagi do innych różnic. Absolutnie niezgodna z prawami naszego kraju jest wszelka dyskryminacja ludzi z powodu ich wyglądu, języka, którym mówią, kościoła, do którego uczęszczają, czy kraju, z którego pochodzili ich przodkowie. Te prawa należy jeszcze wzmocnić. Chodzi o to, byśmy byli wszyscy równi w oczach prawa, niezależnie od tego, czy go przestrzegamy, czy łamiemy. Ci, którzy go nie szanują, będą mieli do czynienia z Departamentem Sprawiedliwości.

— Czy to nie nazbyt idealistyczny pogląd?

— A co jest niewłaściwego w idealizmie? — odpowiedział pytaniem na pytanie Ryan. — I czy na pewno nie jest mu po drodze ze zdrowym rozsądkiem? Czy nie lepiej, byśmy pracowali razem, zamiast tego, by wielu ludzi zabiegało jedynie o interes swój i małych grup, z którymi są związani? Czyż to nie Amerykanami jesteśmy przede

wszystkim, a dopiero potem ludźmi o różnym kolorze skóry, odmiennych zawodach, upodobaniach i przyzwyczajeniach? Dlaczego nie mielibyśmy pokusić się o to, żeby odrobinę bardziej współpracować i razem znajdować rozwiązania różnych trudności? Ten kraj powstawał nie w tej intencji, by różne jego części składowe skakały sobie nawzajem do gardeł.

— Ktoś mógłby powiedzieć, że w ten sposób próbujemy zadbać, aby każdy uzyskał to, co mu się należy.

— A przy okazji doprowadzamy do całkowitej deprawacji nasz ustrój polityczny.

Musieli przerwać, żeby kamerzyści mogli zmienić kasetę. Jack spojrział z utęsknieniem w kierunku sekretariatu, marząc o papierosie. Potarł ręce, usiłując się rozluźnić. Wprawdzie zyskał szansę, by powiedzieć publicznie to, co powtarzał od lat, nie mógł się uwolnić od napięcia.

— Kamery są wyłączone — powiedział Tom Donner i nieco swobodniej rozsiadł się w fotelu. — Naprawdę sądzi pan, że możemy wyemitować cały ten materiał?

— Muszę próbować mówić o tym głośno, bo inaczej, co mi pozostanie? Cała struktura rządu się zatrzęsała i wszyscy o tym wiedzą. Jeśli ktoś nie spróbuje na nowo jej poskładać, może być tylko gorzej.

W tej chwili Donner niemal poczuł sympatię do swego rozmówcy. Szczerłość Ryana była niezwykła, mówił o wszystkim, co mu ciążyło na sercu. Musiał jednak panować nad swoimi uczuciami. Rzecz nie w tym, że Ryan był porządnym człowiekiem. On nie usiłował niczego chować w zanadru. Kealty miał rację i dlatego także Donner miał zadanie do wykonania.

— Gotowe — powiedział realizator.

— Właśnie, Sąd Najwyższy. — Donner zastąpił kolegę. — Pojawiły się pogłoski, że przegląda pan listę kandydatów na sędziów, która zostanie przedstawiona Senatowi.

— Tak — potwierdził Ryan.

— Co może pan nam powiedzieć na temat tych osób?

— Szukam jak najlepszych sędziów. Sąd Najwyższy jest pierwszym strażnikiem konstytucji. Powinni w nim zasiąść ludzie, którzy rozumieją spoczywającą na nich odpowiedzialność i uczciwie interpretują prawo.

— Uczciwie, to znaczy: zgodnie z intencjami rządu?

— Tom, pozwolę sobie przypomnieć, że zgodnie z konstytucją, Kongres stanowi prawa, władza wykonawcza je realizuje, a sądy objaśniają. Powiada się, że jest to system wzajemnych ograniczeń i przeciwwag.

— Niemniej w naszych dziejach to właśnie Sąd Najwyższy bywał ważną siłą sprzyjającą przemianom w kraju.

— Zgoda, ale nie wszystkie wyszły mu na dobre. Dred Scott rozpoczął wojnę domową, zaś sprawa Plessy przeciw Ferguson<sup>5</sup> doprowadziła do nieszczęścia, które cofnęło Stany Zjednoczone o siedemdziesiąt lat. Nie można jednak zapominać, że jeśli chodzi o prawo, jestem laikiem i . . .

— I właśnie dlatego przyjęło się, że Amerykańskie Stowarzyszenie Prawników wydaje swoją opinię o kandydatach. Czy przedstawi mi pan swoją listę?

— Nie. — Ryan pokręcił głową. — Po pierwsze, wszyscy kandydaci musieli już zyskać aprobatę środowiska, aby zająć tak eksponowane stanowiska. Po drugie, także

---

<sup>5</sup>W 1896 roku Sąd Najwyższy wydał wyrok w sprawie dotyczącej segregacji rasowej w wagonach kolejowych na terenie stanu Luizjana (przyp. red.).

Stowarzyszenie jest grupą interesu, czyż nie? Zgoda, ma prawo troszczyć się o sprawy swoich członków, jest to jednak organizacja skupiająca ludzi żyjących z tego, że stosują prawo, podczas gdy Sąd Najwyższy jest instytucją, która opiniuje o prawie powszechnym. Czyż nie dochodziłoby do konfliktu interesów, gdyby grupa, która korzysta z prawa, wybierała ludzi je interpretujących? W innej dziedzinie nie ulegałoby to żadnej wątpliwości, dlaczego tutaj miałyby być inaczej?

— Nie wszyscy podzielają pański pogląd.

— To prawda, a ASP ma swoją wielką siedzibę w Waszyngtonie i na swoje usługi wielu lobbystów. Tom, moje zadanie nie polega na tym, aby służyć interesom tej czy innej grupy. Mam, najlepiej jak potrafię, strzec, chronić i bronić konstytucji. Do pomocy w realizacji tego zadania usiłuję znaleźć ludzi, którzy, podobnie jak ja, sądzą, że słowa przysięgi traktować trzeba właśnie dosłownie, bez szukania pretekstów, żeby się z tego wymigać.

— John? — zwrócił się Donner do kolegi.

— Panie prezydencie, spędził pan wiele lat w Centralnej Agencji Wywiadowczej.

— Tak — przyznał Jack.

— Co pan w niej robił?

— Pracowałem przede wszystkim w wydziale wywiadu, przeglądając informacje, które docierały do nas z różnych źródeł, usiłując ocenić ich istotne znaczenie, a potem przekazując je dalej. Po pewnym czasie zacząłem kierować tym wydziałem, za prezydentury Fowlera zostałem zastępcą dyrektora. Potem, jak z pewnością pamiętacie, prezydent Fowler powołał mnie na swojego doradcę do spraw bezpieczeństwa narodowego — odpowiedział Jack, starając się w miarę możliwości jak najmniej zagłębiać w przeszłość.

— Czy pełnił pan także jakieś funkcje poza Langley?

— Tak, doradzałem zespołowi negocjatorów, którzy pracowali nad umowami rozbrojeniowymi, brałem także udział w różnych konferencjach.

— Panie prezydencie, wedle pewnych pogłosek pana działalność poza centralą była znacznie bogatsza; podobno uczestniczył pan w kilku operacjach, w których zginęli... obywatele ZSRR.

Jack zawahał się przez chwilę, dostatecznie długą na to — czuł to dobrze — aby nie uszła uwagi widzów.



— John, od wielu lat zasadą naszego rządu jest to, że nie wypowiada się on na temat operacji wywiadowczych. Ja też nie zamierzam odstępować od tej reguły.

— Amerykanie mają prawo wiedzieć, jakiego typu człowiek zasiadł na fotelu prezydenckim — nie ustępował Plumber.

— Przedstawiciele rządu nigdy nie będą komentować operacji wywiadu. Jeśli chodzi o mój charakter i moje poglądy, nasza rozmowa przed kamerami ma pomóc widzom w wyrobieniu sobie opinii na ten temat. Natomiast nie ulega wątpliwości, że w interesie kraju leży zachowanie niektórych spraw w tajemnicy. Gdybyś złamał tajemnicę i ujawnił źródła swoich informacji, zostałbyś wykluczony z grona dziennikarzy. Gdyby państwo nie strzegło swoich tajemnic, wiele osób zostałoby narażonych na niebezpieczeństwo.

— Jednak. . .

— Nie, John, ta kwestia została wyczerpana. Nasze służby wywiadowcze działają pod nadzorem Kongresu. Zawsze popierałem tę zasadę i zrobię wszystko, żeby w dalszym ciągu obowiązywała.

Obaj reporterzy byli najwyraźniej rozczarowani, a Ryan był dziwnie spokojny, że ta część wywiadu nie ukaże się wieczorem na ekranach.

\* \* \*

Badrajn musiał wybrać trzydzieści osób, a kłopot polegał nie tyle na znalezieniu odpowiedniej liczby gotowych do działania kandydatów, co na ocenie ich inteligencji. Miał odpowiednie kontakty. Jeśli było czegoś na Bliskim Wschodzie w nadmiarze to z pewnością terrorystów, ludzi podobnych do niego, chociaż najczęściej młodszych, którzy swe życie poświęcili Sprawie tylko po to, aby patrzeć, jak na ich oczach ponosi ona klęskę. To jednak tylko pogłębiało ich gniew i pasję co, z pewnego punktu widzenia, było bardzo korzystne. Po bliższym zastanowieniu doszedł do wniosku, że właściwie wystarczy mu dwadzieścia sprytnych, bystrych osób; pozostała dziesiątka winna się odznaczać jedynie poświęceniem i posłuszeństwem. Wszyscy bez wyjątku powinni być karni, wszyscy gotowi na śmierć. Na szczęście Hezbollah nadal miał do dyspozycji setki fanatyków, gotowych opasać się ładunkami wybuchowymi.

Stało się to tradycją w tej części świata, chociaż Mahomet nie w pełni by to może popierał, ale Badrajn nie był człowiekiem przesadnie religijnym jako specjalista w dziedzinie operacji terrorystycznych. Tak czy owak, w tej chwili nie musiał się martwić o ludzi gotowych wykonać każde polecenie otrzymane przez niego od Darjaeiego, ten zaś zapewni ich, że udział w *dżihad*, świętej wojnie, gwarantuje im wieczne zbawienie.

Przez chwilę przeglądał listę swych kontaktów, potem przeprowadził trzy rozmowy telefoniczne. Ich treść została przekazana przez całe łańcuszki pośredników, ale ostatecznie zaplanowana liczba osób w Libanie i innych miejscach świata zaczęła przygotowywać się do podróży.

\* \* \*

— No i jak poszło, trenerze? — zapytał Jack z uśmiechem.

— Lód był kruchy, ale chyba udało ci się wyjść z tego suchą stopą — odparł Arnie van Damm z wyraźną ulgą. — Bardzo mocno zaatakowałeś grupy interesu.

— A czy to źle? Wszyscy o tym mówią!

— Wiele zależy od tego, panie prezydencie, o jakie grupy chodzi i o jakie interesy. Mają swoich orędowników, a niektórzy potrafią zbliżyć się do ciebie z wyrazem twarzy niewiniątka, ale tylko po to, by znieńska chlasnąć ci przez gardło maczetą. — Szef personelu na chwilę umilkł. — Ogólnie rzecz biorąc, wypadłeś niezłe. Nie powiedziałeś niczego takiego, co można by poważnie wykorzystać przeciw tobie. Zobaczymy, jak to zmontują na wieczór, a także, co Plumber i Donner powiedzą na zakończenie. Tych kilka ostatnich minut liczy się najbardziej.

\* \* \*

Probówki dotarły do Atlanty w hermetycznym pojemniku, który ze względu na kształt nazywano pudłem na kapelusze. Tak czy owak, było to urządzenie, które miało zapobiec wydostaniu się bardzo szkodliwych substancji na skutek przemieszczania, uderzeń czy ludzkiej nieostrożności. Oprócz licznych zamknięć i plomb, pokryte było wieloma plakietkami ostrzegawczymi i wszyscy ludzie związani z transportem traktowali je z najwyższą ostrożnością, co dotyczyło również kuriera, który na miejsce przeznaczenia dostarczył je o 9.14.

Pojemnik znalazł się w laboratorium, gdzie najpierw dokładnie zbadano, czy nie został uszkodzony, a, po spryskaniu silnym środkiem dezynfekującym, otworzono go zgodnie z bardzo szczegółowymi przepisami. Załączone dokumenty wyjaśniały, dlaczego konieczna była taka ostrożność. Podejrzewano, że obie próbki zawierają wirusy powodujące wysoką gorączkę i krwotok jelitowy, co w przypadku Afryki mogło oznaczać kilka chorób, z których każda była ogromnie niebezpieczna. Technik pracujący w rękawiczkach sprawdził, czy próbki nie zostały naruszone. Umieszczona w nich krew zostanie zbadana na obecność przeciwciał i porównana z innymi próbkami. Dokumenty powędrowały na biurko doktora Lorenza z oddziału patogenezy specjalnej.

\* \* \*

— Gus? Tu Alex — usłyszał w słuchawce Lorenz.

— Co, dzisiaj także nici z rybek?

— Może podczas weekendu. Jeden z chłopaków z neurochirurgii ma żaglówkę, a ryb nie trzeba tutaj, na szczęście, daleko szukać.

Profesor Alexandre z okna wychodzącego na wschodnią dzielnicę Baltimore mógł widzieć port, a dalej zatokę Chesapeake, w której roilo się podobno od pięknych ryb.

— Co porabiasz? — spytał Gus i spojrzał pytająco na sekretarkę, która weszła z teczką.

— Sprawdzam informacje o epidemii w Zairze. Coś nowego?

— Nie, dzięki Bogu. Dobrze, że tamto ognisko wygasło tak szybko, bo. . . — Lorenz zamilkł, gdyż otworzył właśnie teczkę i spojrzał na pierwszą stronę. — Poczekaj chwilę. Chartum? — mruknął pod nosem.

Alexandre czekał cierpliwie. Lorenz czytał powoli i uważnie. Starszy mężczyzna wszystko lubił robić metodycznie, co zresztą decydowało o tym, że był tak znakomitym naukowcem. Rzadko kiedy robił fałszywy krok, ponieważ zanim postawił stopę, bardzo długo się namyślał.

— Nadeszły właśnie dwie próbki z Chartumu. Nadawcą jest doktor MacGregor, Szpital Angielski w Chartumie, dwoje pacjentów, dorosły mężczyzna i czteroletnia dziewczynka, podejrzenie gorączki krwotocznej. Próbki są teraz w laboratorium.

— Chartum? Sudan?

— Tak wynika z dokumentów — potwierdził Lorenz.

— Kawał drogi od Kongo.

— Samoloty, Alex, samoloty — pokiwał głową Lorenz. Międzynarodowy transport lotniczy był jedną ze zmór epidemiologów. Na pierwszej stronie widniał jeszcze numer telefonu i faksu. — No nic, na razie trzeba poczekać na wyniki testów.

— A co z poprzednimi próbkami?

— Wczoraj skończyłem analizę. Ebola Zaire, szczep Mayinga, aż do ostatniego aminokwasu zgodny z próbkami z 1976 roku.

— Wirus, który zabił George'a Westphala — mruknął Alexandre.

— Przenosił się drogą kropelkową.

— Tego nigdy ostatecznie nie potwierdzono, Alex — zastrzegł się Lorenz.

— Sam wiesz, Gus, jaki był ostrożny. Nauczył się tego od ciebie.

— Pierre Alexandre przetarł oczy. Bolała go głowa. Musi zmienić lampkę na biurku. — Daj mi znać, co z tymi nowymi próbkami, dobrze?

— Oczywiście. Nie ma specjalnego powodu do obaw. Sudan jest kiepskim miejscem dla tego bandyty. Gorąco, sucho, dużo słońca. Poza organizmem wirus nie może

przetrwać dłużej niż dwie minuty. Tak czy owak, zobaczę, co powie szef laboratorium, a potem może jeszcze dzisiaj zrobię mikrografię... Nie, raczej jutro rano. Za godzinę mamy zebranie.

— Dobrze. Muszę teraz coś zjeść. Zadzwonię do ciebie jutro, Gus.

Alexandre, który nadal bardziej uważał się za pułkownika niż profesora, odłożył słuchawkę i poszedł do stołówki. Z przyjemnością stwierdził, że przyjdzie mu stanąć w kolejce za Cathy Ryan.

— Dzień dobry, pani profesor.

— Ach, Pierre, dzień dobry. Co nowego w świecie mikrobów?

— Nic się nie zmienia. Potrzebuję porady — oznajmił, wybierając dla siebie kanapkę.

— Wirusy to nie moja specjalność. — Nie była to do końca prawda, gdyż miała sporo kontaktów z chorymi na AIDS, którzy cierpieli między innymi na dolegliwości okulistyczne. — A o co chodzi?

— Bóle głowy — powiedział w drodze do kasy.



— Ach, tak? — Cathy bezceremonialnie zdjęła koledze okulary z nosa i podniosła je do światła. — Nie zaszkodziłoby, gdybyś je przetaił od czasu do czasu. Masz mniej więcej minus dwie dioptrie i całkiem ładny astygmatyzm. Kiedy ostatnio badałeś oczy? — Oddała mu okulary, mniej więcej zgadując, co usłyszy w odpowiedzi.

— Czy ja wiem? Jakieś trzy...

— Rozumiem, że lata a nie miesiące temu. Powinieneś być odrobinę mądrzejszy. Niech twoja sekretarka porozumie się z moją i ustalą datę wizyty. Siądziemy razem?

Wybrali stolik pod oknem; Roy Altman podążył za nimi jak cień, uważnym spojrzeniem omiatając salę i widząc przy okazji, że to samo robią inni członkowie Oddziału. Wszystko w porządku.

— Wiesz co, chyba wypróbujemy na tobie naszą nową technikę laserową. Możemy tak zmienić kształt twojej rogówki, żebyś zszedł do zera dioptrii.

Nadzorowała powstawanie i wprowadzanie także tego programu.

— Czy to bezpieczne? — spytał niespokojnie profesor Alexandre.

— Jedynych niebezpiecznych dla zdrowia zabiegów dokonuję w kuchni — poinformowała profesor Ryan.

— Rozumiem.

— A jak tam w domu?

\* \* \*

Wszystko zależy od zredagowania, myślał Tom Donner. Siedział przy domowym komputerze, dopracowując końcowy komentarz, w którym wyjaśni, co Ryan miał w istocie na myśli, składając szczerze na pozór... Na pozór. Te dwa słowa same pojawiły mu się w głowie. Był w branży od dobrych kilku lat, a zanim związał się z telewizją, pracował jako reporter prasowy w Kongresie. Pisał o nich wszystkich i znał ich wszystkich. Pękaty notatnik zawierał wszystkie ważne w mieście nazwiska i numery. Jak każdy dobry reporter, miał swoje „układy” i „dojścia”. Mógł podnieść słuchawkę i połączyć się z kim zechciał, w Waszyngtonie bowiem reguły kontaktów z mediami były nader nieskomplikowane: albo było się źródłem informacji albo ich bohaterem. Jeśli ktoś nie chciał współpracować z mediami, te szybko znajdowały jego wroga, który od takiej współpracy się nie uchylał. W innym kontekście sytuację taką określa się zazwyczaj słowem „szantaż”.

Instynkt podpowiadał Donnerowi, że nigdy jeszcze, przynajmniej w sferze publicznej, nie spotkał kogoś takiego jak Ryan. . . Ale czy instynkt w tym przypadku nie zwodził go czasem? „Jestem jednym z was”, owo pozowanie na przeciętnego człowieka datowało się w polityce co najmniej od czasów Juliusza Cezara. Istnieli władcy, którzy, zabiegając o sympatię czy poparcie poddanych, sugerowali, że w niczym istotnym nie różnią się od nich. Nigdy jednak nie była to prawda. Przeciętni ludzie nigdy nie zachodzili tak wysoko. Ryan awansował w CIA, stosując się do reguł obowiązujących w tej instytucji i musiał tak robić. Miał wrogów, szukał sojuszników, lawirował, żeby wyjść na swoje. A te informacje, które otrzymał, na temat Ryana w CIA. . . czy może z nich skorzystać? Nie tym razem. Raczej w jakimś programie informacyjnym, co byłoby zresztą wabikiem, który odciągnąłby widzów od codziennej telewizyjnej papki.

Donner wiedział, że musi postępować rozważnie. Nie atakuje się urzędującego prezydenta dla zabawy. . . chociaż? Czy mogło być coś bardziej pasjonującego niż łowy na prezydenta? Obowiązywały tutaj jednak pewne reguły. Informacja musiała być absolutnie pewna. Nie jedno źródło, lecz kilka niezależnych, na dodatek wiarygodnych. Donner musiałby się skontaktować z szefem programów informacyjnych, ten wraz ze

swymi ludźmi obwąchałby wszystko, sprawdził ze wszystkich stron, potem zapoznałby się jeszcze z tekstem reportażu i dopiero wtedy Donner dostałby zielone światło.

„Przeciętny obywatel”. Ale czy przeciętny obywatel pracuje dla CIA, uczestniczy w szpiegowskich akcjach? To pewne, że Ryan był pierwszym szpiegiem, który został gospodarzem Gabinetu Ovalnego... czy jednak na pewno dobrze się stało?

Tak wiele było niejasnych miejsc w jego życiorysie. Sprawa w Londynie. Zabił tam kogoś. Terrorysty, którzy napadli na jego dom — także i tam zabił co najmniej jednego. Ta nieprawdopodobna historia z wykradzeniem radzieckiego okrętu podwodnego, kiedy, jak utrzymywał informator Donnera, z ręki Ryana zginął rosyjski marynarz. W związku z tym nasuwało się pytanie: czy aby na pewno Amerykanie chcą, by taki właśnie człowiek był lokatorem Białego Domu?

A on z tego wszystkiego chciał się wywikłać jako... przeciętny obywatel. Zdrowy rozsądek. Prawo. Przysięga. Wierność słowom.

To kłamstwo, pomyślał Donner. Nie może być inaczej. Sprytny z pana sukinsyn, panie Ryan.

Jeśli istotnie to taki spryciarz, i wszystko jest jednym wielkim łgarstwem — co dalej? Zmiany w systemie podatkowym. Zmiany w Sądzie Najwyższym. Wszystko w imię skuteczności. . . Pan Bretano w Departamencie Obrony. . . Niech to wszyscy diabli!

Nasuwało się podejrzenie, że to Ryan i CIA maczali palce w tej katastrofie na Kapitolu. Ale nie, to zbyt nieprawdopodobne. Ryan był oportunistą. Wszyscy ci, z którymi Donner miał do czynienia w trakcie swej kariery dziennikarskiej, byli oportunistami, począwszy od pierwszej posady reportera związanego z lokalną stacją w Des Moines w Iowa. Tam za sprawą reportażu Donnera urzędnik okręgu wylądował w więzieniu, co zwróciło na reportera uwagę szefów rozgłośni. Politycy. Donner zajmował się najróżniejszymi sprawami, od lawin po wojny, ale to politycy najbardziej go pasjonowali.

A ci się nie zmieniali. Dobrze wiedzieli co powiedzieć, gdzie i kiedy. Jeśli czegośkolwiek się nauczył, to właśnie tego. Spojrzał w okno a potem sięgnął po telefon, drugą ręką kartkując notatnik z telefonami.

— Ed? Tutaj Tom. Słuchaj, jak wiarygodni są twoi informatorzy i jak szybko mógłbym się z nimi spotkać?

Na twarz jego rozmówcy wypełził szeroki uśmiech, czego, oczywiście, słuchawka nie zarejestrowała.

\* \* \*

Sahaila siedziała na łóżku. W takich chwilach rodziła się nadzieja, której młody lekarz zawsze się lękał. Medycyna w opinii młodego lekarza była najbardziej odpowiedzialnym z ludzkich zajęć. Każdego dnia podejmował w takim czy innym stopniu rozgrywkę ze śmiercią. Nigdy nie wyobrażał sobie, że jest rycerzem stającym do pojedynku, śmierć bowiem była przeciwnikiem, który nigdy nie stawał do walki, zawsze jednak był obecny. Ukrywał się w ciele każdego pacjenta albo też czyhał w pobliżu, a zadaniem lekarza było odnalezienie go i zniszczenie, zaś oznaki zwycięstwa widziało się na twarzy pacjenta.

Sahaila nadal czuła się niedobrze, ale to minie. Otrzymywała na razie tylko płyny, była słaba, ale nie będzie już słabsza. Temperatura opadała. Wszystkie wskaźniki albo się ustabilizowały albo powracały do poziomu normalnego. Zwycięstwo było niewątpli-

we. Śmierć cofnęła swoje ręce; w normalnej sytuacji dziewczynka dalej rosłaby, bawiła się, uczyła, wyszła za mąż i została matką.

Tego jednak MacGregor nie mógł być do końca pewien. Podjęta przez niego kuracja była czysto objawowa i nie sięgała do przyczyn. Nie potrafił rozstrzygnąć, co zostało osiągnięte dzięki jego zabiegom, a co wydarzyłoby się i tak, samo z siebie. Gdyby nie leczył jej, wyzdrowienie, w tym klimacie, mogłoby nastąpić za sprawą gorąca, odwodnienia, nie mógł więc z całą pewnością sukcesu przypisywać sobie, chociaż chciałby tak myśleć, gdy spoglądał na uroczą dziewczynkę, która niedługo znowu zacznie się uśmiechać. MacGregor zbadał jej tętno, a ów odległy kontakt z sercem, które nie tak szybko przestanie bić, był kojący. Dziewczynka usnęła. Delikatnie położył jej rączkę na kółdrze.

— Wasza córka będzie zdrowa — oznajmił rodzicom, umacniając nadzieje, które już pojawiły się w ich sercach.

Matka gwałtownie westchnęła, a potem ukryła twarz w dłoniach. Ojciec usiłował nie zdradzać swoich uczuć, ale o wszystkim mówiły oczy. Powstał, mocno uścisnął rękę lekarza, a potem popatrzył mu w oczy.

— Nigdy panu tego nie zapomnę — powiedział iracki generał.

Potem trzeba było iść do Saleha; MacGregor z ociąganiem wyszedł na korytarz, a przed wejściem do pokoju, zmienił ubranie. Powitał go obraz klęski. Ciało mężczyzny było przymocowane pasami do łóżka. Choroba zaatakowała już mózg. Demencja była kolejnym objawem ebola; nieobecne oczy Saleha wpatrywały się w zacieki na suficie. Pielęgniarka podała kartę choroby, która informowała, że stan pacjenta nieustannie się pogarsza. MacGregor wpatrywał się przez chwilę w liczby, potem z grymasem na twarzy polecił zwiększyć dawkę morfiny. W tym przypadku leczenie objawowe w niczym nie pomogło. Jedno zwycięstwo, jedna porażka, a gdyby zmuszono go do wyboru, kto ma przeżyć, a kto umrzeć, postąpiłby tak samo, gdyż Saleh zdążył już trochę posmakować świata. Tyle że teraz życie w nim wygasało i miało potrwać nie dłużej niż pięć dni, a MacGregor mógł jedynie uczynić to odejście mniej bolesnym — dla pacjenta i dla otoczenia. Po pięciu minutach MacGregor z zamyśloną twarzą siedział znowu za biurkiem w swoim gabinecie.

Skąd wziął się ten wirus? Dlaczego jeden chory umiera, a drugi zdrowieje? Raz jeszcze dokładnie przypomniał sobie wszystko, co wiedział o obu przypadkach. Ta sama choroba, ten sam czas, dwa zupełnie odmienne rozwiązania. Dlaczego?



## 32 — Powtórki

— Nie mogę panu tego dać, nie może pan zrobić kopii, natomiast może się pan przyjrzeć. — Mężczyzna wręczył Donnerowi fotografię. Miał na rękach bawełniane rękawiczki, które podał wcześniej także dziennikarzowi, mówiąc: — Odciski.

— Skąd to jest? — spytał Donner. Miał przed sobą czarno-białe zdjęcie 8x10, na którym nie było żadnych stempli. Przynajmniej na przedniej stronie.

— Musi pan to wiedzieć?

W pytaniu zawarta była przestroga.

— Nie — przyznał Donner.

Nie wiedział dokładnie, jak Ustawa o Szpiegostwie miała się do pierwszej poprawki, z pewnością jednak lepiej było nie wiedzieć, czy jest to dokument tajny.

— To uzbrojony w pociski balistyczne radziecki okręt podwodny o napędzie atomowym, a tutaj na pokładzie mamy Jacka Ryana. Niech pan zwróci uwagę, że jest w mundurze Marynarki. Była to operacja CIA prowadzona przy jej współpracy. — Mężczyzna podał Donnerowi lupę, żeby mógł dokładniej zbadać szczegóły. — Udało nam się zasugerować Rosjanom, że okręt zatonął w połowie drogi pomiędzy Florydą a Bermudami. Chyba nadal trwają w tym przeświadczeniu.

— Gdzie on jest w tej chwili? — spytał Donner.

— Rok później zatopili go koło Puerto Rico — wyjaśnił człowiek z CIA. — Tym razem naprawdę.

— Dlaczego tam?

— To najgłębsze miejsce na Atlantyku w pobliżu Ameryki, prawie sześć kilometrów. Nikt nie będzie go tam szukał, a nawet jeśli, to nie uda się tego zrobić bez naszej wiedzy.

— Zaraz, przypominam sobie! — z ożywieniem powiedział Donner. — Rosjanie urządzili wielkie manewry, my podnieśliśmy w związku z tym straszny raban i rzeczywiście, stracili jeden okręt. . .

— Dwa. — Pojawiło się następne zdjęcie. — Widzi pan zniszczenia na dziobie? „Czerwony Październik” w pobliżu Wysp Karolińskich staranował i zatopił inny radziecki okręt podwodny, który wciąż leży tam na dnie. Roboty Marynarki wyniosły z kadłuba wiele pożytecznych rzeczy. Zrobiono to pod pozorem akcji ratowniczej prowadzonej w związku z awarią pierwszego okrętu. Rosjanie nigdy się nie dowiedzieli, co się stało z drugim.

— I nie było żadnego przecieku?

W głosie człowieka, który pół życia spędził na wrywaniu rządowi tajemnic, zabrzmiało niekłamane zdziwienie.

— Ryan potrafi zadbać o dyskrecję. — Kolejna fotografia. — Torba ze zwłokami. Członek radzieckiej załogi. Ryan zastrzelił go z pistoletu, za co otrzymał pierwsze odznaczenie. Uznał chyba, że nie możemy sobie pozwolić na zdemaskowanie. . .

— Morderstwo?

— Nie. — Informator z CIA nie chciał posuwać się tak daleko. — Według oficjalnej wersji, zawartej w dokumentach, wybuchła strzelanina, byli ranni. . .

— Czy możliwe, żeby to było zainscenizowane? — zastanawiał się na głos Donner.

— Możliwych jest wiele rzeczy, ale nie ta. Kogo jeszcze tutaj mamy? To admirał Dan Foster, wówczas szef operacji morskich. To komandor Bartolomeo Mancuso, który dowodził USS „Dallas”. Został przerzucony na pokład „Czerwonego Października”, żeby dopomóc w ucieczce radzieckiego okrętu. Nawiasem mówiąc, nadal w służbie, teraz jako admirał ma pod swoją komendą wszystkie okręty podwodne na Pacyfiku. A to kapitan Marko Aleksandrowicz Ramius z radzieckiej marynarki, dowodził „Czerwonym Październikiem”. Mieszka dziś w Jacksonville na Florydzie i pod nazwiskiem Mark Ramsey jest doradcą w bazie Marynarki w Mayport. Normalna sprawa. Dostał też znaczne stypendium rządowe, ale dobrze na nie zapracował.

Donner notował szczegóły, przypominając sobie twarze. Nie wątpił w prawdziwość informacji. Także tutaj istniały pewne reguły. Jeśli ktoś nałgał dziennikarzowi, nie tak trudno było sprawić, aby zwierzchnicy dowiedzieli się, którędy przeciekły tajne wiadomości, a co gorsza stawał się obiektem nagonki prasy, która w istocie była bardziej

bezwzględna niż najsroższy prokurator. Ten przynajmniej musiał się trzymać zasad procesowych.

— Ślicznie — mruknął Donner.

Jedna koperta ze zdjęciami zniknęła w torbie, pojawiła się druga.

— Poznaje pan tego faceta?

— Zaraz, zaraz... Giera... Giera i coś dalej... Był...

— Mikołaj Gierasimow. Był szefem KGB.

— Zginął w katastrofie lotniczej pod...

Nowe zdjęcie. Ten sam człowiek, odrobinę starszy, bardziej siwy i tęższy.

— Fotografia zrobiona dwa lata temu w Winchester w stanie Wirginia. Ryan pojechał do Moskwy, oficjalnie jako doradca podczas rozmów START. Ułatwił ucieczkę Gierasimowowi. Nie wiadomo dokładnie jak; w każdym razie udało się też zabrać żonę i córkę. Operacją tą dowodził bezpośrednio sędzia Moore. Ryan zawsze tak działał, nigdy ściśle w ramach instytucji. Żeby być uczciwym, to znakomity agent, świetny. Oficjalnie pracował dla Jima Greera w wydziale wywiadu, a nie w wydziale operacyjnym. Nigdy nie popełnił żadnego błędu, a w każdym razie ja o żadnym nie wiem.

O niewielu osobach można to powiedzieć, a jednym z powodów jest fakt, że to naprawdę bezwzględny facet. Bezwzględny i skuteczny. Nigdy nie oglądał się na przepisy, zawsze robił wszystko po swojemu, ale wtedy. . . No cóż, mamy jednego martwego Rosjanina na pokładzie „Czerwonego Października”, całą załogę okrętu podwodnego na dnie koło Karolin, a wszystko po to, aby sekret się nie wydał. W tym przypadku nic nie wiem na pewno, akta są pełne luk. Nie ma na przykład żadnych informacji, jak udał się ten numer z żoną i córką Gierasimowa. Słyszałem tylko jakieś plotki.

— Do cholery, jaka szkoda, że nie wiedziałem tego wszystkiego kilka godzin wcześniej.

— No i co, wykiwał cię, prawda?

Pytanie padło z głośnika na stole, a zadał je Ed Kealty.

— On to potrafi — pokiwał głową człowiek z CIA. — Ryan jest śliski, potwornie śliski. Przemknął przez CIA gładko jak przed laty Dorothy Hamill na olimpiadzie w Innsbrucku. Kongres go uwielbia. A dlaczego? Bo pozuje na najbardziej uczciwego faceta po Lincolnie Sprawiedliwym. Tyle że ludzie płacili za to życiem.

Informator nazywał się Paul Webb i był wysokim urzędnikiem w wydziale wywiadu, nie na tyle jednak ważnym, by uchronić swych podwładnych od wylądowania na liście zwolnionych. Webb w swojej opinii powinien już kierować wydziałem wywiadu i z pewnością tak by się stało, gdyby Ryan nie został zausznikiem Jamesa Greera. Tak więc kariera Webba zakończyła się na jednym z wyższych szczebli CIA, ale nawet i tego nie zdołał utrzymać. Pozostawała mu emerytura. Tej nikt mu nie mógł odebrać. . . . Chociaż, gdyby ktoś się dowiedział, w jaki sposób te akta wydostały się z Langley, byłby w poważnych kłopotach. A może nie? Ostatecznie, co takiego przytrafiało się tym, którzy umożliwiali przeciek wiadomości? Dziennikarze ich kryli i pomagali im. . . . a poza wszystkim on zdecydowanie nie lubił być obiektem gry pod tytułem „redukcja etatów”. Sam by się do tego przed sobą nie przyznał, gdyby to jednak były inne czasy, gniew mógłby sprawić, że poszukałby kontaktu. . . . Ale nie, nie z nieprzyjacielem. Lepiej z prasą, która przecież nie była wrogiem. Ostatnio powtarzał to sobie wielokrotnie, aczkolwiek dawniej żywił dość odmienne przekonania.

— Zostałeś wykiwany, Tom — powtórzył przez telefon Kealty. — Nie ty jeden, witaj w klubie. Nie znam wszystkich spraw, które Paul ma w zanadrzu, ale może coś ci opowie o Kolumbii. Co, Paul?

— Nie natrafiłem na żadne akta w tej sprawie — przyznał Webb — ale wiadomo, że są takie specjalnie utajnione, do których dostęp będzie możliwy nie wcześniej niż w roku 2050, lub coś koło tego. Na razie nikt do nich nie może zajrzeć.

— Jak to możliwe? — z ożywieniem spytał Donner. — Słyszałem przedtem jakieś plotki, ale nie mogłem uzyskać potwierdzenia.

— Jak możliwe było tak głębokie utajnienie? Tak zdecydował Kongres w niejawnym aneksie do ustawy o nadzorze nad służbami specjalnymi. CIA zwraca się z prośbą o specjalne potraktowanie danej sprawy i, jeśli Kongres zgadza się, dokumenty wędrują do kasy pancерnej. Chociaż w tym przypadku słyszałem nawet, że wszystko poszło na przemiał, niemniej mogę podać kilka możliwych do potwierdzenia faktów.

— Słucham — powiedział Donner i włączył magnetofon.



— Jak sądzisz, w jaki sposób udało się Kolumbijczykom rozbić kartel z Medellin? — spytał Webb i dostrzegł błysk w oku dziennikarza. Wszystko szło jak po sznurku.

— Były jakieś wewnętrzne rozgrywki, zaczęły wybuchać bomby...

— Podłożone przez CIA. W jakiś sposób, chociaż nie wiem, w jaki, udało nam się doprowadzić do wewnętrznej wojny między gangami. Wiem jednak na pewno, że w tym czasie był tam Ryan. James Greer był jego mentorem w Langley, traktował go jak syna. Tymczasem kiedy Greer zmarł, Ryana nie było na pogrzebie. Nie było go w domu, ale nie otrzymał żadnego zadania z Firmy — parę dni wcześniej wrócił z konferencji NATO w Belgii. Potem jakby się zapadł pod ziemię, co często się zdarzało w jego przypadku. Zaraz potem prezydencki doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego, Jim Cutter, zupełnie przypadkowo został przejechany przez autobus. Nie rozejrzał się, wybiegł wprost pod autobus; tak oznajmiło FBI, ale kto prowadził śledztwo? Don Murray. A jakie dziś piastuje stanowisko? Dyrektora FBI, prawda? Tak się jakoś złożyło, że on i Ryan znają się dobrze od ponad dziesięciu lat. Murray był facetem do specjalnych poruczeń zarówno u Emila Jacobsa, jak i Billa Shawa. Kiedy Biuro chciało załatwić

coś po cichu, zwracało się do Murraya. Przedtem był attaché prawnym w Londynie. Piękne miejsce dla agenta, mnóstwo kontaktów z najróżniejszymi służbami wywiadowczymi. Murray to szara eminencja w FBI; ma świetną pozycję i mnóstwo kontaktów. I to on właśnie wybrał Pata Martina, aby doradzał Ryanowi w sprawie nominacji do Sądu Najwyższego. Czy wszystko robi się teraz odrobinę jaśniejsze?

— Zaraz, chwileczkę. Także znam Dana Murraya. Twardy sukinsyn, ale z pewnością uczciwy gli. . .

— Poczekaj. Był w Kolumbii razem z Ryanem, co znaczy, że obaj w tym samym czasie znikają. Niech pan pamięta, że nie mam żadnych papierów, niczego nie mogę jednoznacznie dowieść, ale dobrze będzie się przyjrzeć sekwencji wypadków. Dyrektor Jacobs i cała reszta giną, a zaraz potem w Kolumbii zaczynają wybuchać bomby. W efekcie wielu chłoptasiów z kartelu udaje się na rozmowę ze Stwórcą, ale, niestety, towarzyszą im także osoby całkiem niewinne. Tak to zazwyczaj bywa z bombami. Bob Fowler, pamięta pan, prawda, podniósł tę sprawę, więc co się dzieje dalej? Ryan znika, podobnie jak Murray. Przypuszczam, że musieli czym prędzej kończyć operację, która wymknęła im się spod kontroli, a dokładnie w tym samym czasie, cóż za wy-

godny zbieg okoliczności, ginie Cutter. Cutter nie nadawał się do mokrej roboty i ktoś się pewnie obawiał, że się załamie, bo ma za słabe nerwy. Czego absolutnie nie można powiedzieć o Ryanie. Ani o Murrayu. Wie pan, załatwić dyrektora FBI i rozpieprzyć zbrodniczą organizację... Za to ostatnie zresztą trudno mieć do niego pretensję. W każdym razie rzeczy wyglądały jakoś tak: bandziory z Medellin zaczęły sobie pozwalać na zbyt wiele, co akurat przypadło na rok wyborów, a Ryan znajdował się na dobrej pozycji, więc ktoś wydał mu pozwolenie łowieckie, tyle że może nad całą sprawą było odrobinę trudno zapanować, co się zdarza, więc trzeba jej było ukręcić łeb. Wszystko zresztą zakończyło się sukcesem, a kartel się rozpadł...

— Ale na jego miejsce powstał drugi — zaproponował Donner, Webb zaś pokiwał głową z uśmiechem człowieka dobrze zorientowanego.

— To racja, ale nie zabili żadnego urzędnika amerykańskiego, mam rację? Ktoś im wyjaśnił, jakie reguły będą obowiązywać. Powtarzam, nie chodzi mi o to, że Ryan postąpił źle, ale pozostaje jeden drobiazg.

— Jaki? — spytał Donner ku rozczarowaniu Webba.

— Kiedy w obcym kraju używa się własnych sił zbrojnych przy czym giną ludzie, normalnie nazywa się to wojną. Ale i tym razem Ryanowi udało się gładko wyślizgnąć. Potrafi wykonywać urzekające gesty, których nauczył go jeszcze Jim Greer. Wrzucisz go do gnojówki, a on wynurzy się z niej uśmiechnięty i pachnący Old Spice'em.

— Dobrze, co mu pan konkretnie zarzuca?

— Nareszcie właściwe pytanie — westchnął Webb. — Jack Ryan jest chyba najlepszym agentem, jakiego mieliśmy od trzydziestu lat, najlepszym od czasów Allena Dullesa, a może nawet Billa Donovana. „Czerwony Październik” to była mistrzowska robota; wywiezienie z Rosji szefa KGB — jeszcze lepsza. Co do Kolumbii, zaczęli wykręcać tygrysowi ogon, ale zapomnieli o ostrych pazurach. Więc dobrze, Ryan jest świetny w swojej robocie, ale ktoś musi mu uprzytomnić, że istnieje coś takiego jak prawo.

— Taki facet jak on nie powinien zostawać prezydentem — wtrącił się Kealty, który ledwie mógł usiedzieć z niecierpliwości. W pokoju odległym o pięć kilometrów, jego szef sztabu omal nie zabrał mu telefonu, w obawie, że przełożony wszystko w ostatniej chwili zepsuje. Na szczęście Webb ciągnął dalej.

— Oddał Firmie wielkie usługi, był też całkiem niezły jako doradca Rogera Durlinga, ale to nie to samo co prezydentura. Tak, nabrał pana, panie Donner. Być może nabrał także Durlinga, kto to wie? Chodzi jednak o to, że facet zaczął teraz rekonstruować rząd, a robi to całkowicie wedle swego widzimisię, jak chyba pan zauważył. Nominacje dostają albo ludzie, z którymi pracował, niekiedy od bardzo dawna, albo zaproponowani przez jego totumfackich. Murray znalazł się na czele FBI. Naprawdę chce pan, żeby ktoś taki jak Don Murray kierował najpotężniejszą w USA organizacją ochrony prawa? Żeby ci dwaj wybrali Sąd Najwyższy? Dokąd nas to wszystko zaprowadzi? — Webb przerwał i westchnął ciężko. — Niełatwo mi to mówić. Jest jednym z nas, chłopakiem z Langley, ale nie powinien być prezydentem. Mam zobowiązania wobec swojej ojczyzny, a to nie to samo co lojalność wobec Jacka Ryana, prawda? — Webb pobierał zdjęcia i schował do koperty. — Muszę wracać. Jeśli ktoś dowie się, co zrobiłem... Wystarczy przypomnieć sobie los Jima Cuttera.

— Dziękuję — powiedział Donner.

Zdażył już podjąć w duchu kilka decyzji. Zegarek wskazywał trzecią trzydzieści, więc konieczny był najwyższy pośpiech. Wrzała w nim furia większa niż w duszy wzgardzonej kobiety: dziennikarz zorientował się, że został wyprowadzony w pole.

\* \* \*

Cała dziewiątka umierała. Miało to jeszcze potrwać od pięciu do ośmiu dni, ale ich los był przesądzony i wiedzieli już o tym. Na twarzach, spoglądających w umieszczone nad głowami kamery, nie było żadnych złudzeń. Egzekucja okazała się okrutniejsza od tej, którą nakazałby sąd, albo tak im się przynajmniej wydawało. Była to grupa groźniejsza od poprzedniej — lepiej zdawali sobie sprawę z tego, co się dzieje — dlatego też była ściślej kontrolowana. Moudi właśnie spoglądał w ekran, kiedy pojawili się wojskowi sanitariusze, aby pobrać próbki krwi. Sanitariusze sami znaleźli sposób na to, żeby pacjenci nie byli krnąbrni; towarzyszyli im pomocnicy, którzy w trakcie pobierania krwi trzymali nóż na gardle ofiary. Przestępcy, chociaż skazani na śmierć, byli przecież przestępcami i tchórzami; nie zamierzali przyśpieszać i tak rychłego już zgonu. Nie była to

metoda zalecana przez podręczniki medyczne, ale w tym budynku mało kto troszczył się o to. Moudi raz jeszcze ogarnął wzrokiem ekrany i wyszedł z pokoju.

Przewidywania mocodawców okazały się zbyt ostrożne, w każdym razie jeśli chodzi o liczbę potrzebnych wirusów. W komorze hodowlanej zarazki ebola rzuciły się na małpie nerki i krew z żarłocznością, której efekty nawet dyrektorowi zmroziły krew w żyłach. Chociaż wszystko rozgrywało się na poziomie molekularnym, obraz do złudzenia przypominał mrówki, które nie wiadomo skąd pojawiają się wokół leżącego na ziemi owocu, by już po chwili bez reszty pokryć go swoją czarną masą. Podobnie było z wirusami ebola, które całymi miliardami obsiadły tkanki podane im do pożarcia. Widok tej złowrogiej zupy przeraził nawet doświadczonego laboranta, a chociaż było jej teraz kilka litrów, nieustannie się rozmnażała, korzystając z zapasów krwi, które dostarczono z Teheranu.

Dyrektor porównywał pod mikroskopem elektronowym dwie próbki. Moudi podszedł i spojrzął na nalepki z datą na probówkach. Jedna zawierała krew Jeanne Baptiste, druga jednego z drugiej dziewiątki „pacjentów”.

— Są identyczne, Moudi — powiedział dyrektor.

Jeden z problemów związanych z wirusami polegał na tym, że spory, czy zaliczyć je do organizmów żywych, wynikały z faktu ich trudności z reprodukcją. Nitki RNA nie zawierały instrukcji genetycznej, która zapewniałaby to, że każda kolejna generacja będzie postępowała śladem swych przodków. Na tym polegała zasadnicza trudność adaptacyjna ebola i innych wirusów. Wcześniej czy później, każda epidemia wygasała, gdyż wirusy, źle przystosowane do środowiska ludzkich nośników, stawały się mniej śmiertelne. I to właśnie sprawiało, że idealnie nadawały się na broń biologiczną. Będą zabijać; będą się rozprzestrzeniać, ale zanim zajdzie to zbyt daleko, zaczną wymierać. To, ile osób padnie ich ofiarą w pierwszym ataku, zależało od jego intensywności. W przypadku ebola inwazja była zabójcza, ale zarazem zawierała mechanizm samoograniczenia.

— Mamy zatem co najmniej trzy stabilne pokolenia — pokiwał głową Moudi.

— Ekstrapolacyjnie można przyjąć siedem do dziewięciu.

Dyrektor był ostrożny w prognozach, Moudi bowiem powiedziałby: dziewięć do jedenastu, ale wolałby, żeby rację miał starszy kolega.



Na stoliku pod przeciwległą ścianą stało dwadzieścia pojemników. Podobne do tych, których użyto do zarażenia pierwszej grupy kryminalistów, były odrobinę zmodyfikowane, a z zewnątrz do złudzenia przypominały seryjne opakowania popularnego europejskiego kremu do golenia. (Firma była w istocie własnością Amerykanów, co zaskakiwało każdą osobę związaną z programem). Nie było w tym nic dziwnego, gdyż istotnie to właśnie ów krem zakupiono w dwunastu miastach pięciu różnych krajów, co można było odczytać z numerów seryjnych wytłoczonych na ich wklęsłych denkach. Tutaj, w Małpiarni, zostały opróżnione i starannie rozebrane, aby można było dokonać odpowiednich przeróbek. Każdy pojemnik miał teraz zawierać pół litra rozcieńczonej „zupy”, uzupełnionej o neutralny gaz (azot, ten bowiem nie wchodził w reakcje z „zupą” ani nie sprzyjał ewentualnemu zapłonowi) oraz małą porcją chłodziwa. Inna grupa przetestowała problemy związane z transportem. Przez ponad dziewięć godzin wirusowa zawiesina nie ulegała żadnej degradacji. Potem, wraz z ubytkiem chłodziwa, zarazki zaczynały ginąć. Po szesnastu godzinach wymierało ich dziesięć procent, te jednak, jak uznał Moudi, były i tak najslabsze, najpewniej w ogóle niezdolne do skutecznego zainfekowania organizmu ludzkiego. Po dwudziestu pięciu godzinach nieżywych miało być

następne pięć procent. Eksperyment wykazał, iż kolejne osiem godzin (z trudnych do wyjaśnienia przyczyn wyniki układały się w rytm odpowiadający jednej trzeciej doby) przyniesie zgon również pięciu procentom wirusów. Ale wtedy...

Wszystko było proste. Kurierzy wystartują z Teheranu. Czas przelotu do Londynu wynosił siedem godzin. Do Paryża — trzydzieści minut mniej. Do Frankfurtu trwał jeszcze krócej. Z każdego w tych trzech miast łatwo było udać się dalej w dowolnym kierunku. Bagaże nie zostaną poddane kontroli, gdyż ich właściciele, jako pasażerowie tranzytowi, nie będą musieli przechodzić przez kontrolę celną, która mogłaby ujawnić obecność nienaturalnie zimnych pojemników z kremem do golenia. W chwili, gdy chłodziwo zacznie się wyczerpywać, podróżnicy w kabinach pierwszej klasy podążać będą do miejsc przeznaczenia. Także tutaj znacznym ułatwieniem była intensywność międzynarodowej komunikacji lotniczej. Istniały międzynarodowe połączenia między Europą a Nowym Jorkiem, Waszyngtonem, Bostonem, Filadelfią, Chicago, San Francisco, Los Angeles, Dallas, Orlando, Las Vegas i Atlantic City, wszystkimi w istocie miastami amerykańskimi, gdzie odbywały się wystawy i targi branżowe. Wszyscy kurierzy polecą pierwszą klasą, aby mogli szybciej odebrać bagaż i przedostać się przez odpra-

wę paszportową oraz celną. Będą mieli zarezerwowane miejsca w dobrych hotelach, a także wykupione bilety powrotne. Mniej niż dwadzieścia cztery godziny upłyną od momentu zero do chwili dostarczenia zarzązków na miejsce, a wtedy osiemdziesiąt procent wirusów nadal będzie jeszcze aktywne. Potem zaś wszystko stawało się już sprawą losu, spoczywało w rękach Allacha. Nie, Moudi gwałtownie pokręcił głową. Boga nie należało do tego mieszać. Na to nie pozwalały jego przekonania religijne, jakiegokolwiek pożytki czyn ten mógł przynieść jego krajowi — a właściwie krajowi, którego jego ojczyzna stała się częścią.

Proste? Proste było to właściwie na początku, a potem... Siostra Jeanne Baptiste, której dawno spopielone ciało, zamiast wydać z siebie potomstwo dzieci, wydało potomstwo, którego nawet Allach musiał się brzydzić. Niemniej pozostawiła po sobie coś jeszcze. Moudi niegdyś uważał wszystkich ludzi Zachodu za niewiernych. W szkole dowiedział się o krucjatach, o tym, jak ci rzekomi rycerze proroka Jezusa mordowali muzułmanów, zupełnie niczym Hitler mordujący później Żydów, a z tego wyciągnął wniosek, że wszyscy chrześcijanie byli gorsi od jego braci w Wierze, dlatego też łatwo było ich nienawidzić jako zakały świata. I tymi przekonaniem zachwiała owa jedna

kobieta. Jaki właściwie był Zachód, jakie było chrześcijaństwo? Czy sądzić o nich na postawie owych okrutników z jedenastego (jak liczyli niewierni) wieku czy owej niewiasty z wieku dwudziestego, która pędziła życie pełne wyrzeczeń, a w imię czego? Pomagania chorym i dawania świadectwa wierze. Zawsze pokorna, zawsze pełna szacunku wobec innych. Nigdy nie złamała ślubów ubóstwa, czystości i posłuszeństwa — o tym Moudi był przekonany — a była im wierna z racji tych samych zasad, o których mówił Prorok. Jest jeden Bóg i jedna jest Prawda, a ona służyła im z pasją, która zrobiła na nim ogromne wrażenie, nawet jeśli za nic miał zasady rządzące jej religią.

A była nie tylko siostra Jeanne Baptiste, przypomniał sobie. Także Maria Magdalena. Również i ona została zamordowana, a dlaczego? Gdyż chciała dochować wiary swym przysięgom i ludziom, którymi się opiekowała. Nic z tego nie było naganne z punktu widzenia Koranu.

Nie miałby żadnych rozterek, gdyby pracował wyłącznie z czarnymi Afrykanami. Ich religie wydawały się wstrętne wyznawcy Koranu; wielu z nich było w istocie poganami, którzy nic nie wiedzieli o jedynym Bogu. Bez żadnych skrupułów gardziłby nimi

i nie przejmował się żadnymi chrześcijanami, gdyby na jego drodze nie stanęły siostry Jeanne Baptiste i Maria Magdalena. Dlaczego tak się stało?

Na nieszczęście było już za późno na stawianie takich pytań. Co było, minęło. Poszedł w kąt pokoju i zrobił sobie kawę. Był na nogach od ponad doby, a zmęczenie powodowało wątpliwości. Miał nadzieję, że gorący napój odegna je do chwili, gdy nadejdzie sen, a wraz z nim spokój, spokój!

\* \* \*

— Chyba nie mówisz poważnie! — parsknął Arnie. Głos Toma był pełen zakłopotania i skruchy.

— Może to z powodu tych detektorów metalu, w każdym razie taśma jest uszkodzona. Obraz jest niewyraźny, a chociaż słyhać nieźle, to jednak nakładają się jakieś trzaski. W tej postaci nie nadaje się do emisji. Cała godzina pracy na nic.

— Więc? — spytał van Damm.

— Mamy problem, Arnie. Rozmowa już została zapowiedziana na dziewiątą.

— Co ja mogę na to poradzić?

— Czy Ryan zgodziłby się powtórzyć wszystko na żywo? Teraz powinno pójść nawet jeszcze lepiej.

Szef personelu był odmiennego zdania. Na chwilę błysnęło mu w głowie, że mógłby oskarżyć Donnera o celową działalność, spowodowaną nadzieją, że więcej widzów zasiądzie przed telewizorami na wiadomość, że są jakieś kłopoty z wywiadem. Ale nie, tego nie mógł zrobić. Zadawanie się z mediami na tym szczeblu przypominało sytuację Clyde'a Beatty'ego, który stał na środku areny z krzesłem bez dna i rewolwerem na ślepaki, wiedząc, że wprawdzie panuje nad lwami, ale wystarczy najmniejszy błąd, a . . . Milczał, zmuszając w ten sposób Donnera, by ten wykonał następny ruch.

— Posłuchaj, Arnie, pytania będą takie same. Jak często prezydent może na sucho przećwiczyć odpowiedzi? Rano wypadł bardzo dobrze. John też tak uważa.

— Dlaczego nie nakręcicie raz jeszcze?

— Wchodzę na antenę za czterdzieści minut, będę wolny o wpół do ósmej. I potem mam się dostać do Białego Domu, powtórzyć wszystko od nowa, wrócić do studia, przejrzeć nagranie, oddać je do realizacji, a wszystko przed dziewiątą? — Urwał na chwilę. — Powiem ci, co zrobimy. Na początku wyjaśnię, że to my spapraliśmy taśmę,

a prezydent wielkodusznie zgodził się powtórzyć cały wywiad na żywo. Dla niego to czysty zysk.

Arnie van Damm wciąż miał wątpliwości. Zgoda, Jack wypadł nieźle. Nie bardzo dobrze, ale nieźle, szczególnie tam, gdzie mówił o uczciwości. Nawet w niewygodnych kwestiach budził zaufanie. Był odrobinę zdenerwowany, ale i to miało swoje zalety. Nie był politykiem — powtórzył to dwa, czy trzy razy — i dlatego nie mógł się dobrze czuć w tej sytuacji. Z badań przeprowadzonych w kilkunastu miastach wynikało, że wszystkim pytanym Ryan się podobał, gdyż był podobny do nich. Jack nie miał pojęcia o pomysle Arnie'ego, realizowanym w takiej tajemnicy, jak gdyby to była operacja CIA. Van Damm musiał jednak wiedzieć, jak szef powinien wyglądać w oczach wyborców, aby mógł rządzić jak najsprawniej. Ludzie uważali zatem, że Ryan zachowuje się w sposób godny prezydenta, a że ma swój własny styl — tym lepiej. A wywiad na żywo — niewykluczone, że usłyszawszy tę zapowiedź, jeszcze więcej widzów o dwudziestej pierwszej przełączy odbiorniki na NBC.

— Dobrze, Tom, wstępnie zgadzam się, ale prezydent musi to jeszcze potwierdzić.

— Byle szybko — jęknął Donner. — Jeśli się nie zgodzi, trzeba będzie przewracać cały program wieczorny, a wszystko skrupi się na mnie.

— Zadzwoń do ciebie za pięć minut — obiecał Arnie, wcisnął guzik, zostawił słuchawkę na biurku i wypadł z gabinetu, od progu już wołając do agentów:

— W pilnej sprawie do Szefa!

\* \* \*

— Co się stało? — spytał Ryan.

Nieczęsto drzwi jego gabinet otwierano bez pukania.

— Musimy powtórzyć wywiad — sapnął Arnie.

— Miałem niedopięty rozporek?

— Mary zawsze sprawdza takie rzeczy. Taśma jest uszkodzona. A nie ma czasu, żeby nakręcić od nowa. Te same pytania, wszystko tak... — Van Damm umilkł, gdyż przyszła mu nagle do głowy pewna myśl. — A gdyby twoja żona także przy tym była?

— Cathy nie znosi takich sytuacji — odparł prezydent.



— Wystarczy, żeby siedziała koło ciebie i uśmiechała się. To widzom się spodoba. Jack, od czasu do czasu musi wystąpić jako Pierwsza Dama. Teraz wszystko pójdzie jak po maśle. Może jeszcze na koniec dzieciaki. . .

— Nie ma mowy. Dzieci mają pozostać jak najdalej od polityki. Rozmawialiśmy na ten temat z Cathy.

— Ale. . .

— Nie, Arnie, ani dzisiaj, ani jutro, ani kiedykolwiek indziej. Ton głosu Ryana oznajmiał, że dyskusja jest skończona.

Szef personelu Białego Domu był zdania, że potrafi nakłonić swego mocodawcę do wszystkiego — ludzie najszybciej uznają cię za swojego, kiedy zobaczą cię w kręgu rodziny i tak dalej, i tak dalej — ale tym razem nie było czasu.

— Spytasz Cathy?

Ryan westchnął i w milczeniu skinął głową.

— W porządku. Powiem Donnerowi, że może z jej udziałem, ale to nic pewnego ze względu na jej obowiązki lekarskie. W jej towarzystwie będą trochę oględniejsi. To główne zadanie Pierwszej Damy.

— Może sam spróbuj ją o tym przekonać. Pamiętaj, że wprawnie operuje lancetem. Van Damm roześmiał się.

— Coś ci powiem. To bez wątpienia dama w stu procentach, ale twardsza od nas obu razem wziętych. Poproś grzecznie.

— Jasne.

Najlepiej tuż przed kolacją, pomyślał Ryan.

\* \* \*

— Zgodził się, ale będzie też jego żona.

— Dlaczego?

— A dlaczego nie? Tyle że to nie do końca pewne, gdyż nie wróciła jeszcze ze szpitala.

Obaj dziennikarze uśmiechnęli się, słysząc ostatnie zdanie.

— Zdajesz sobie sprawę z tego, że właśnie okłamałeś prezydenta Stanów Zjednoczonych? — zamyślił się John Plumber.

Był starszy od Donnera. Dobiał siedemdziesiątki, a chociaż w czasie II wojny miał kilkanaście lat, jako reporter był już w Korei, by potem pełnić funkcję korespondenta w Londynie, Paryżu, Bonn i wreszcie Moskwie, skąd został wydalony. Jego z lekka lewicowe poglądy polityczne nigdy nie przerodziły się w sympatię do ZSRR. Chociaż nie należał do pokolenia Edwarda R. Murrowa, to dorastał słuchając znakomitych komentarzy dziennikarza CBS i jeszcze dziś wystarczyło, by zamknął oczy, a słyszał odrobinę zachrypnięty głos, w którym było coś z dostojności kaznodziei. Ed zaczynał od radia w czasach, gdy głos był bardzo ważnym narzędziem profesjonalnym. Jego angielszczyzna była lepsza od tej, której używała większość jego współczesnych, a na głowę biła język dzisiejszych niedouczonej dziennikarzy i reporterów. Plumber czuł się po trosze jego duchowym uczniem, a każdemu tekstowi, czy był to artykuł, czy w biegu pisany komentarz, starał się nadać elegancką formę właściwą nauczycielowi, którego znał tylko ze słyszenia. Dobrze wiedział, że ludzie z taką uwagą słuchali Murrowa, ponieważ był uczciwy. Był równie zajadłym tropicielem sekretów władzy jak dzisiejsi jego następcy, ale wszyscy wiedzieli, że Ed Murrow zawsze gra fair i są zasady, których nigdy nie złamie. Plumber należał jeszcze do tego pokolenia dziennikarzy, które wierzyło, iż

w tym zawodzie obowiązują pewne normy, a jedna z nich zakazywała kłamstwa. Można prawdę naginać i naciągać, aby wydobyć potrzebną informację, nigdy jednak nie wolno z rozmysłem i wprost powiedzieć komuś coś, co byłoby sprzeczne z faktami. I Plumber wiedział, że w obecnej sytuacji Ed nigdy nie zachowałby się tak jak Tom.

— John, on nas wykiwał.

— Ty tak uważasz.

— A te informacje, które zdobyłem?

Przez dwie szaleńcze godziny wszyscy pracownicy NBC, którzy byli do dyspozycji, rzucili się do sprawdzania najdrobniejszych elementów możliwych do sprawdzenia. Coś było na rzeczy.

— Nie jestem pewien, Tom. — Plumber przetarł oczy. — Czy Ryan ma doświadczenie polityczne? Nie, nie ma. Czy się stara? Tak, bardzo. Czy jest szczery? Moim zdaniem, tak. Powiedzmy, na tyle szczery, na ile może być w tej sytuacji.

— To dlaczego nie pozwolić mu tego dowieść?

Plumber milczał. Miał wrażenie, że jego koledze majaczy już przed oczyma wizja gwałtownie rosnącej oglądalności, pochwał, może nawet nagrody Emmy. Z drugiej

strony, Tom był oddelegowany przez sieć do kontaktu z najważniejszymi osobistościami, miał dobre układy z szefostwem w Nowym Jorku, gdzie zasiadali teraz ludzie z jego generacji: biznesmeni, dla których najwyższą wyrocznią był wskaźnik oglądalności. Ryan zaś powtarzał, że zawsze potrafi dogadać się z ludźmi biznesu.

— Spróbujmy.

\* \* \*

Helikopter wylądował na Południowym Trawniku; steward piechoty morskiej zeskoczył i podał rękę Pierwszej Damie. W orszaku agentów Tajnej Służby poszła do wejścia, a następnie do windy, gdzie nawet nie zdążyła wyciągnąć ręki, gdy Roy Altman naciskał już guzik.

— Chirurg jedzie windą do rezydencji — poinformował z parteru agent Raman.

— Zrozumiałam — potwierdziła z piętra Andrea Price. Na jej polecenie pracownicy z pionu technicznego Białego Domu sprawdzili detektory metalu, ale nie znaleźli niczego nieprawidłowego. Na sugestię, że mógł zawinić jakiś statyczny ładunek, sucho przypomniano jej, że tutaj nawet powietrze było kontrolowane. Dalsza dyskusja nad

przyczyną uszkodzenia taśmy wideo nie miała sensu. Do diabła z dziennikarzami; oni byli jej największym utrapieniem.

— Cześć, Andrea — rzuciła w przelocie Cathy.

— Dzień dobry, pani Ryan. Kolacja zaraz będzie na stole.

— Dziękuję — powiedziała Cathy z progu sypialni. Od razu zauważyła, że na komódce leży jedna z jej wieczorowych sukien i biżuteria. Zamknęła drzwi i dwoma kopnięciami pozbyła się butów, a potem przebrała się po domowemu. Jak zawsze, zastanawiała się, czy jakieś kamery zarejestrowały i to wydarzenie.

Kucharz George Butler był znakomity. Udoskonalił nawet jej sałatkę szpinakową, dodając odrobinę rozmarynu do kombinacji, nad którą pracowała przez lata. Cathy asystowała mu raz w tygodniu, a on wprowadzał ją w niektóre ze swych sekretów. Zadawała sobie niekiedy pytanie, czy gdyby nie wybrała medycyny, odniosłaby jakieś sukcesy w sferze kulinarnej. Tylko onieśmienie nie pozwoliło Butlerowi na skomplementowanie jej talentów.

Zdażył poznać upodobania smakowe rodziny Ryanów, przy czym najtrudniej było dogodzić najmłodszej Foremce, co nie stało na przeszkodzie temu, że stała się ulubienicą całego personelu. Nie tylko kuchennego.

— Cześć, ma — powiedziała Katie.

— Witaj, kochanie. — Pocałunek pierwsza otrzymała Foremka, następny w kolejności był Jack. Dwójka najstarszych z ostentacyjną rezerwą traktowała czułości. — Jack, dlaczego moje wieczorowe rzeczy są na wierzchu?

— Dzisiaj wieczór będziemy występować w telewizji — odparł ostrożnie Miecznik.

— Dlaczego?

— Taśma z porannym nagraniem okazała się wadliwa, więc chcą powtórzyć rozmowę na żywo o dziewiątej, a jeśli zechcesz, też będziesz w niej uczestniczyć.

— I co mam mówić?

— Czy wszystko jest takie, jak sobie wyobrażałaś, i tak dalej.

— Chcesz, żebym weszła z talerzykiem ciastek i dzbankiem kawy?

— Najlepsze ciastka robi Georgie! — wtrąciła się Foremka. Starsze rodzeństwo parsknęło śmiechem, co nieco rozładowało sytuację.

— Jeśli nie chcesz, to nie, ale Arnie uważa, że to dobry pomysł.

— Wyśmienity — mruknęła z przekąsem Cathy i przypatrzyła się mężowi, przekrzywiając głowę. Może powinna porozmawiać z Arnie'em, żeby się dowiedzieć, za jakie sznureczki pociąga, iż tak wielki ma wpływ na Jacka?

\* \* \*

Bondarienko pracował do późnej nocy lub — zależnie od punktu widzenia — do wczesnego rana. Czasami spędzał za biurkiem ponad dwadzieścia godzin i bardzo szybko doszedł do wniosku, że łatwiej jest być pułkownikiem niż generałem. Jako pułkownik mógł sporo biegać, a także znacznie więcej czasu spędzać z żoną. Teraz... Cóż, nikt go nie zmuszał do robienia kariery. Zawsze był ambitny, inaczej bowiem czyż oficer z oddziałów łączności znalazłby się w afgańskich górach jako członek Specnazu? Stopień pułkownika, który otrzymał w uznaniu przez zwierzchników jego zdolności, był w pewnym momencie poważnie zagrożony, albowiem inny pułkownik, z którym współpracował, okazał się szpiegiem. Fakt ten do dzisiaj nie dawał mu spokoju. Misza Filitow szpiegował na rzecz Zachodu? To wstrząsnęło jego wiarą w wiele rzeczy, a przede



wszystkim w kraj, który zresztą niebawem się rozpadł. Związek Radziecki, który wychował go, dał mu mundur i wyszkolił, umarł pewnego grudniowego wieczoru, a jego miejsce zajęło państwo mniejsze, ale... sympatyczniejsze. Łatwiej było kochać Matkę Rosję niż ogromnego, wielonarodowego kolosa. Można by powiedzieć, że poszły sobie wszystkie dzieci adoptowane na siłę, a pozostały tylko prawdziwe, co także życie rodzinne uczyniło szczęśliwszym.

Chociaż biedniejszym. Dlaczego przedtem nie zdawał sobie z tego sprawy? Jego dawny kraj posiadał największą i najlepszą armię na świecie, a przynajmniej tak mu się wydawało, gdy myślał o nieprzebranych rzeszach żołnierzy, bogactwie sprzętu, a także o dumnym zwycięstwie nad niemieckimi najeźdźcami podczas najkrwawszej wojny w dotychczasowych dziejach. Ale sława tej armii poległa w Afganistanie, tam zostawiła ona swą dumę i swego ducha bojowego, trochę na wzór Amerykanów w Wietnamie. Ameryce udało się podźwignąć z tej porażki, jego ojczyzna dopiero rozpoczynała trudną rekonwalescencję.

Te pieniądze łożone na utrzymanie dalekich prowincji, które teraz się oderwały, przywłaszczając sobie wszystko i szukając innych sojuszników, także pośród wrogów Rosji. Zupełnie jak wyrodny pasierb.

Gołowko miał rację. Jeśli miało się zapobiec groźnemu rozwojowi wypadków, trzeba to zrobić jak najwcześniej. Ale jak? Dostatecznie trudne okazały się zmagania z oddziałami Czeczeńców.

Dzisiaj szef działu planowania, za pięć lat będzie głównodowodzącym, tego Bondarienko był pewien. Był najlepszym oficerem w swojej grupie wiekowej, a osiągnięcia bojowe zwróciły na niego uwagę najwyższych szczebli politycznych, co zawsze stanowiło dobrą rękojmię awansu. Jeśli otrzyma najwyższe stanowisko za późno, będzie mógł już dowodzić tylko w ostatniej, przegranej kampanii Rosji. Tymczasem gdyby na pięć lat dano mu fundusze i wolną rękę, jeśli chodzi o zmiany organizacyjne i szkoleniowe, przekształciłby rosyjską armię w potęgę, jaką nigdy jeszcze nie była. Bez żadnej żenady skorzystałby z wzorców amerykańskich, tak jak Amerykanie bez żadnej żenady wykorzystali radziecką taktykę podczas wojny w Zatoce. Na to, aby tak się mogło stać, potrzeba kilku lat względnego spokoju. Gdyby wojska rosyjskie uwikłane zostały

w beznadziejne walki na południowej granicy, na zbawienną reformę mogłoby zabraknąć środków i czasu.

Cóż więc miał począć? Jako szef działu planowania powinien wiedzieć. Tyle że nie wiedział. Na początek szła Turkmenia. Jeśli tutaj nie uda mu się powstrzymać zagrożenia, nigdzie się to nie uda. Po lewej stronie biurka leżał zestaw możliwych do użycia dywizji i brygad. Po prawej — mapa. Jedno i drugie pozostawały w żalosnej dysproporcji.

\* \* \*

— Ma pani takie piękne włosy — powiedziała Mary Abbot.

— Czepek fatalnie na nie wpływa — skrzywiła się Cathy — ale dzisiaj nie musiałam go nakładać.

— Nie zmienia pani fryzury. Od dawna ją pani nosi?

— Od naszego ślubu.

— I żadnej zmiany?

Mary Abbot była najwyraźniej poruszona tą informacją. Tymczasem Cathy myślała, że zawsze będzie chciała wyglądać jak Susannah York, czy raczej jak Susannah York, którą oglądała w filmach w koledżu. Podobnie było zresztą z Jackiem. On również czesał się tak samo, tyle że często nie miał czasu na fryzjera, więc przynajmniej to zmieniło się w Białym Domu, gdzie inni dbali o jego włosy. Mówiąc szczerze, niezależnie od okropnego wszędobylstwa, tutejszy personel potrafił o wiele lepiej zorganizować Jackowi życie niż ona. Najpewniej wykonywali to, co wynikało właśnie z grafiku zajęć, wcześniej o nic nie pytając, w przeciwieństwie do niej. I byli bardziej skuteczni.

Czuła większe zdenerwowanie, niż się spodziewała, większe niż podczas egzaminów medycznych, większe niż podczas pierwszej operacji, gdy całą siłą woli musiała nakazywać rękom, aby nie ośmieliły się drgnąć. Skoro jednak wtedy posłuchały, także i teraz musiały ulec perswazji. Była w końcu chirurgiem, a ten w każdej sytuacji musi panować nad sobą.

— Chyba już dobrze — powiedziała pani Abbot.

— Dziękuję. Lubi pani zajmować się Jackiem?

Zapytana uśmiechnęła się.

— Nienawidzi makijażu. Ale tak jest ze wszystkimi mężczyznami.

— Powiem pani w sekrecie, że i ze mną.

— Niewiele robiłam przy pani — natychmiast zapewniła Mary — gdyż pani skóra tego nie potrzebuje.

— Dziękuję — powiedziała z ciepłym uśmiechem pani Ryan.

— Czy mogę coś doradzić?

— Oczywiście.

— Niech pani wydłuży włosy o trzy, cztery centymetry. To lepiej podkreśli kształt pani twarzy.

— Tak samo mówi Elaine, moja fryzjerka w Baltimore. Raz spróbowałam, ale tylko bardziej się niszczą pod czepkiem operacyjnym.

— Co to za problem uszyć większy czeppek? Musimy dbać o naszą Pierwszą Damę!

Dlaczego sama o tym nie pomyślałam, zastanawiała się w duchu Cathy, a głośno powiedziała:

— Dziękuję, chyba skorzystam z tej rady.

— Tędy. — Pani Abbot wskazała drogę do Gabinetu Owalnego. Może się to wydawać dziwne, ale dotąd Cathy była tutaj dwa razy, a tylko raz zastała Jacka. Nagle uderzyło ją, jakie to dziwne. Przecież jej sypialnia była nie dalej od gabinetu męża niż pięćdziesiąt metrów. Biurko zdumiało ją swoim ogromem i staroświeckością, sam jednak gabinet, nawet teraz, gdy rozstawiono w nim kamery i reflektory, był bez porównania większy od jej pokoju w klinice Hopkinsa. Koło kominka, naprzeciw biurka znajdowało się miejsce, które, jak twierdzili agenci Tajnej Służby, było najczęściej na planecie fotografowane. Meble wyglądały zbyt oficjalnie, aby mogły być wygodne, a dywanik z prezydencką pieczęcią wydawał się absolutnie niegustowny, ostatecznie jednak nie był to normalny gabinet dla normalnej osoby.

— Witaj, kochanie — powiedział Jack i dokonał prezentacji. -Tom Donner, a to John Plumber.

— Dobry wieczór — powiedziała z uśmiechem Cathy. — Słucham pana podczas przygotowań do kolacji.

— Tylko wtedy? — powiedział z żartobliwym rozczarowaniem w głosie Plumber.

— Na górze w jadalni nie ma telewizora, a mnie ostatnio nie dopuszczają do kuchni.

— A czy mąż pani pomaga? — spytał Donner.

— Jack w kuchni? Nie, jest całkiem dobry przy grillu, ale kuchnia to moja domena, kiedy mam do niej przypadkiem wstęp.

Usiadła i przyjrzała się parze dziennikarzy. Nie czuła się wcale spokojniejsza. Reflektory były już zapalone. Zebrała się w sobie. Plumbara lubiła, Donner wyraźnie coś ukrywał. Ledwie tylko zdała sobie z tego sprawę, mina jej spoważniała i chciała powiedzieć to Jackowi, ale...

— Jeszcze minuta — oznajmił reżyser.

W gabinecie była, jak zwykle, Andrea Price, która stała w przejściu do sekretariatu. W otwartych drzwiach za plecami Cathy zajął miejsce Jeff Raman. Następny sztywniak, przeleciało Cathy przez myśl. Ale tak już widocznie musiało być w Białym Domu, że ludzie traktowali cię, jakbyś była nie wiadomo kim, i bardzo trudno było znaleźć się z nimi na przyjacielskiej stopie. No i jeszcze jedna przeszkoda: Jack i Cathy nie byli przyzwyczajeni do służby. Wynajmowali ludzi do pomocy, ale to co innego. U Hopkinsa pielęgniarki i sanitariusze przepadali za nią, gdyż odnosiła się do nich z szacunkiem, ale kiedy usiłowała tak samo zachowywać się tutaj, skutki nie były te same.

— Piętnaście sekund.

— Zaraz się zacznij — mruknął Jack.

Czy nie lepiej było zostać w Merrill Lynch? Cathy o mało nie powiedziała tego na głos. Ale nie, nie byłby szczęśliwy. Jego praca była dla niego tak samo ważna, jak dla niej leczenie oczu. W tym byli do siebie bardzo podobni.

— Dobry wieczór — powiedział Donner do kamery, która znajdowała się za plecami Ryanów. — Jesteśmy w Gabinetce Ovalnym, aby przeprowadzić rozmowę z prezydentem Ryanem i Pierwszą Damą Stanów Zjednoczonych. Jak informowałem już w wiadomościach wieczornych NBC, taśma, na której zarejestrowaliśmy przeprowadzony rano wywiad, okazała się wadliwa. Jesteśmy wdzięczni panu prezydentowi, że zgodził się na to, byśmy raz jeszcze zabrali mu czas. — Tom spojrział na prezydencką parę i dodał: — Raz jeszcze serdecznie dziękujemy.

— Witam ponownie, Tom.

— Razem z nami jest także pani Ryan. . .

— Przepraszam — przerwała Cathy, z uśmiechem, ale stanowczo. — Ponieważ taki ustalił się zwyczaj, nie protestuję, kiedy nazywa się mnie Pierwszą Damą, aczkolwiek



nie bardzo mi się to podoba, przy okazji jednak chciałabym podkreślić, że niezależnie od tego, iż mieszkam w Białym Domu, nie przestałam być lekarzem, czemu poświęciłam dużą część swego życia.

— Przepraszam, oczywiście, pani profesor — powiedział ze skruszoną miną Donner. — Zresztą obydwójce państwo macie tytuły naukowe.

— Tak. Jack w dziedzinie historii, ja w oftalmologii.

— Co więcej, za swoje osiągnięcia w dziedzinie chirurgii oka otrzymała pani nagrodę Laskera, nie mylę się, prawda?

— No cóż, od piętnastu lat zajmuję się medycyną. W szpitalu Uniwersytetu imienia Johna Hopkinsa wszyscy jesteśmy klinicystami i badaczami zarazem. Pracuję w grupie wspaniałych ludzi, a wspomniana przez pana nagroda jest wspólną zasługą ich wszystkich. Piętnaście lat temu Bernard Katz zachęcił mnie bym zainteresowała się problemem, w jaki sposób można wykorzystać laser do leczenia różnych ułomności oczu. Od tego czasu zajmuję się tymi kwestiami.

— Czy to prawda, że zarabia pani więcej od męża? — spytał Donner, przesyłając pod adresem kamery filuterny uśmiech.

— Dużo więcej — odparła i skrzywiła się żartobliwie.

— Zawsze powtarzam, że to Cathy jest mózgiem całego naszego przedsięwzięcia rodzinnego — wtrącił się Jack, ujmując dłoń żony. — Jest zbyt skromna na to, by powiedzieć, że w swojej dziedzinie jest po prostu najlepsza na świecie.

— Ale przyznała pani, że jest też Pierwszą Damą; jak pani się czuje w tej roli?

— Czy muszę odpowiadać? — rzuciła z czarującym uśmiechem, ale zaraz spoważniała. — Sposób, w jaki się tutaj znaleźliśmy... z pewnością o tym nie marzyliśmy, ale to trochę podobne do pracy w szpitalu. Przywożą ofiarę nieszczęśliwego wypadku, której przecież nikt o zdanie nie pytał, a my staramy się zrobić wszystko, co w naszej mocy. Jack nigdy nie ustępował z drogi wyzwaniom.

Trzeba było przejść wreszcie do rzeczy.

— Panie prezydencie, a co pan sądzi o swojej pracy?

— Zabiera bardzo dużo czasu. Wiele pracowałem w instytucjach rządowych, ale chyba nie doceniałem tego, jak pracowłonna jest ta posada. Na szczęście mam bardzo dobrych współpracowników, a w całej administracji rządowej pracują z poświęceniem tysiące ludzi. To ogromna pomoc.

— A teraz, gdy widzi to pan z bliska, jak by pan określił, na czym polega pańska praca? — spytał John Plumber.

— Zgodnie z przysięgą mam strzec i bronić konstytucji Stanów Zjednoczonych Ameryki — odparł Ryan. — Pracujemy nad rekonstrukcją rządu. Senat obraduje już w pełnym składzie, a kiedy wybory przejdą wszystkie szczeble, będziemy także mieli pełną Izbę Reprezentantów. Większość stanowisk w gabinecie jest już obsadzona.

— Mówiliśmy rano o wydarzeniach w Zatoce Perskiej. Jakie problemy dostrzega pan w tamtym regionie?

Pytanie znowu zadał Plumber. Ryan był bardziej pewny siebie niż rano, mówił przekonująco, ale John dostrzegł wyraz oczu jego żony, czujny i pełen napięcia.

— Stanom Zjednoczonym zależy na pokoju i stabilności na Bliskim Wschodzie. Gorąco pragniemy nawiązać przyjazne stosunki z nowo powstałą Zjednoczoną Republiką Islamską. Dostyc już konfliktów w tej części świata. Chciałbym wierzyć, że pokonałiśmy pewien zakręt. Po trwających przez całe pokolenia zawirowaniach, zawarłiśmy prawdziwy pokój z Rosją, powtarzam: pokój, a nie zawieszenie działań wojennych. Chcielibyśmy dalej kroczyć tą drogą. Być może nigdy nie było na świecie całkowitego

pokoju, ale czy dlatego mamy zrezygnować ze swoich dążeń? Myślę, John, że w ciągu ostatnich dwudziestu lat przebyliśmy długą drogę. Wiele jest jeszcze do zrobienia, ale mamy już spory kapitał osiągnąć.

— Po przerwie kontynuujemy rozmowę — powiedział Donner do kamery. Widział, że Ryan jest bardzo z siebie zadowolony. Znakomicie. Na stoliku pojawiły się szklanki z wodą. Wszyscy odświeżyli gardła, czekając aż zakończą się dwie reklamy. — Tak naprawdę, to chyba nienawidzi pani tego wszystkiego? — spytał Cathy.

— Jak długo mogę wykonywać swoją pracę, niewiele rzeczy mi przeszkadza, niepokoję się jednak o dzieci. Kiedy skończy się prezydentura Jacka, muszą być takie same, jak ich rówieśnicy, a my nie przygotowaliśmy ich na całą tę zawieruchę.

W milczeniu doczekali do końca przerwy.

— Ponownie jesteśmy w Gabinetcie Ovalnym wraz z panem prezydentem i jego małżonką. Panie prezydencie, nad jakimi zmianami pracuje pan w tej chwili?

— Tom, wolałbym użyć słowa „odnowa” niż „zmiana”. Przy okazji chciałbym jednak wprowadzić kilka poprawek. Nowych członków gabinetu doбираłem z myślą o tym, żeby cały rząd funkcjonował jak najsprawniej. Jak dobrze wiesz, nie jestem nowi-

cjuszem w służbie publicznej i sporo widziałem przykładów nieefektywności czy marnotrawstwa. Poleciłem zatem swoim współpracownikom, aby zastanowili się nad możliwością osiągnięcia takich samych, a nawet lepszych wyników przy mniejszych kosztach.

— Wielu prezydentów już tak mówiło.

— U mnie nie będą to tylko słowa — z powagą zapewnił Ryan.

— Pierwszym znaczącym posunięciem w pańskiej polityce wewnętrznej był atak na system podatkowy — zauważył Donner.

— Nie „atak”, Tom, chociaż tutaj rzeczywiście można mówić o „zmianie”. George Winston ma moje całkowite poparcie dla swych poczynań. Obowiązujący obecnie system podatkowy jest całkowicie niesprawiedliwy i to pod wieloma względami. Po pierwsze, ludzie nie mogą go zrozumieć, co oznacza, że muszą wynajmować specjalistów, żeby im wyjaśnili, o co chodzi z tymi podatkami. Jaki w tym sens: wydawać spore pieniądze, żeby ci powiedziano, jak działa prawo, które nakazuje zabrać następną porcję pieniędzy? Z kolei prawo takie nie jest żadnym nadnaturalnym tworem, to ludzie je tworzą. Dlaczego więc budować prawo, którego większość nie rozumie?

— Przy okazji chciałbym powtórzyć zastrzeżenie, że pański rząd podatek progresywny chce zastąpić regresywnym. Co ma pan do powiedzenia w tej sprawie?

— Mówiliśmy już o tym — zachnął się Ryan, a Donner z satysfakcją widział, że ofiara wpadła w pułapkę. Jedną z oczywistych słabości Ryana było to, że nie lubił się powtarzać. To zdecydowanie różniło go od zawodowych polityków. — Obłożenie wszystkich takim samym podatkiem jest rozwiązaniem jak najbardziej sprawiedliwym. A ponieważ jest to zasada zrozumiała dla wszystkich, jej wprowadzenie w istocie oznacza dla podatników oszczędność. Proponowany przez nas system podatkowy ma być neutralny względem dochodów. Dla nikogo nie będzie się wprowadzało żadnych różnic.

— To przecież znaczy gwałtowną obniżkę stopy podatkowej w przypadku najbogatszych.

— To prawda, ale zarazem chcemy zlikwidować wszystkie ulgi, które do systemu wprowadzili ich rzecznicy. Ostateczny efekt będzie taki, że najzamożniejsi płacić będą tyle samo, a może nawet odrobinę więcej, niż w tej chwili. Sekretarz Winston przeprowadził odpowiednie badania symulacyjne, a ja polegam na jego opinii.

— Panie prezydencie, naprawdę trudno uwierzyć, że wskutek obniżki stopy podatkowej o trzydzieści procent ludzie ci będą płacić więcej. To chyba urąga podstawowym zasadom arytmetyki.

— Spytaj twego doradcy podatkowego — powiedział z uśmiechem Ryan. — Albo jeszcze lepiej spójrz na swoje odpisy podatkowe. Wyznam ci coś, Tom. Zanim wstąpiłem do piechoty morskiej, skończyłem kurs księgowości, a przecież i mnie z początku nie chciało się w to wierzyć. Rząd, który robi rzeczy niezrozumiałe dla obywateli, nie służy ich interesom. Dlatego tutaj chciałbym rzeczywiście dokonać pewnych zmian.

Bingo!

Na twarzy Plumbara, który siedział po lewej stronie kolegi, pokazał się lekki grymas. Reżyser, wybierający ujęcia z poszczególnych kamer, zadbał o to, żeby skrzywienie to nie pojawiło się na ekranach, na których widzowie zobaczyli natomiast zwycięski uśmieшек Donnera.

— Świetnie, że takie stanowisko pan reprezentuje, panie prezydencie, gdyż wiele jest rzeczy, których Amerykanie chcieliby się dowiedzieć o poczynaniach swojego rzą-

du. Większość swej służby publicznej spędził pan w Centralnej Agencji Wywiadowczej, prawda?

— Racja, Tom, ale uzgodniliśmy już rano, że nie należy oczekiwać od prezydenta komentarzy na temat operacji wywiadowczych. Powody takiej dyskrecji są chyba dobrze zrozumiałe.

Ryan nie tracił spokoju, nie wiedział bowiem, co się przed nim otwiera.

— Przyzna pan jednak chyba, panie prezydencie, że brał pan osobiście udział w operacjach, które w efekcie przyczyniły się do zakończenia zimnej wojny, jak chociażby przechwycenie radzieckiego okrętu podwodnego „Czerwony Październik”. Odegrał pan w tym niemałą rolę, prawda?

Reżyser, z góry uprzedzony o tym, co nastąpi, zażądał najazdu na twarz Ryana, tak że było widać wyraźnie, jak ze zdumienia oczy robią mu się wielkie niczym spodki. Bez wątpienia, Ryan nie potrafił panować nad emocjami.

— Tom, przecież. . .

— Telewizjowicze powinni się dowiedzieć, że to w znacznej mierze dzięki panu powiodła się jedna największych operacji wywiadowczych wszech czasów. W nasze ręce



dostał się nietknięty okręt podwodny Sowietów, uzbrojony w balistyczne pociski rakietowe. Czy to prawda?

— Nie będzie żadnych komentarzy w tej sprawie.

Nawet makijaż nie był w stanie ukryć bladości twarzy Ryana. Cathy poczuła, że jego ręka zrobiła się zimna jak lód.

— A w niecałe dwa lata później zorganizował pan ucieczkę szefa KGB.

Jackowi udało się tym razem zapanować nad mimiką, ale głos miał głuchy i ponury.

— Tom, dość już tych wszystkich bezpodstawnych spekulacji.

— Panie prezydencie, ów były zwierzchnik KGB, Mikołaj Gierasimow, razem z rodziną mieszka w Wirginii. Dowódca „Czerwonego Października” na Florydzie. Nie są to więc tylko moje wymysły i dobrze pan o tym wie. Zaskakują mnie natomiast pańskie opory: dlaczego wzbrania się pan z przyznaniem, że wniósł pan tak istotny wkład do światowego pokoju, o którym mówił pan przed chwilą?

— Tom! Muszę powtórzyć to z całą stanowczością: na forum publicznym nie będę w żadnej formie wypowiadał się na temat operacji wywiadowczych. I na tym koniec.

— Amerykanie mają prawo wiedzieć, jaki człowiek zasiadł na fotelu prezydenckim.

Były to słowa, których jedenaście godzin wcześniej użył w tym samym pomieszczeniu John Plumber, który aż skulił się wewnętrznie, słysząc, jaki użytek został zrobiony z jego sformułowania, zarazem jednak nie mógł wystąpić przeciw koledze.

— Tom, przez wiele lat, najlepiej jak potrafiłem, służyłem ojczyźnie, ale, podobnie jak ty nie możesz ujawniać źródeł swoich informacji, agent wywiadu nie może opowiadać o wielu sprawach, gdyż wiele osób może przypłacić to życiem.

— Panie prezydencie, z tego, co wiem, były osoby, które życiem przypłaciły spotkanie z panem.

— Zgoda, ale niejedyn prezydent amerykański był wcześniej żołnierzem, a na wojnie...

— Zaraz — wtrąciła się Cathy z płomieniem w oczach. — Muszę coś powiedzieć. Jack wstąpił do CIA po tym, jak na naszą rodzinę napadli terroryści. Gdyby nie zrobił tego, co zrobił, nikt z nas by teraz nie żył. Byłam wtedy w ciąży z naszym synkiem, a oni w Annapolis chcieli zabić w samochodzie mnie i córkę, więc...

— Przepraszam, pani Ryan, ale teraz przerwa na reklamę.

— Tom, dość tego. To żadna powtórka. Jedno muszę ci uświadomić z całą brutalnością. Kiedy zaczynasz publicznie omawiać operacje wywiadowcze, zapłacić za to mogą inni. I to najwyższą cenę. Czy tego nie rozumiesz?

Kamery były wprawdzie wyłączone, ale magnetofony rejestrowały każde słowo.

— Panie prezydencie, ludzie mają prawo wiedzieć, co dzieje się w ich kraju, a moje zadanie polega na przedstawianiu faktów. Czy skłamałem w któryś momencie?

— Dobrze wiesz, że to pytanie, na które nie wolno mi odpowiedzieć — niemal warknął Jack.

Spokojnie, spokojnie, upominał sam siebie. Prezydentowi nie wolno tracić nerwów, szczególnie przed kamerami. Marko przecież nigdy nic im nie... a może? Był Litwinem, mogła mu się spodobać wizja, jak oto zostaje bohaterem narodowym, chociaż Jack chyba potrafiłby mu to wyperswadować. Inaczej rzecz przedstawiała się z Gierasimowem. Ryan gardził nim: najpierw zagroził mu śmiercią — z rąk jego rodaków, to jednak nie sprawiło specjalnej różnicy człowiekowi takiemu jak on — potem pozbawił go całej potęgi. Gierasimow pędził teraz wprawdzie życie daleko wygodniejsze niż mógłby sobie na to pozwolić w ZSRR, ale władza była dla niego z pewnością daleko

ważniejsza od wygód. Gierasimowowi marzyła się pozycja podobna do tej, jaką teraz zajmował Ryan, i z pewnością świetnie by się czuł w jego roli, ale zasadnicza różnica pomiędzy nimi polegała na tym, że ludzie kochający władzę najczęściej także jej nadużywali. Teraz nie miało to jednak najmniejszego znaczenia. Gierasimow z pewnością będzie gadał, dziennikarze zaś wiedzieli, gdzie go znaleźć.

I co teraz robić?

— Wracamy do Gabinetu Owального, gdzie jesteśmy gośćmi prezydenta Ryana i jego małżonki — powiedział Donner, z dziwnym upodobaniem podkreślając słowo „goście”.

— Panie prezydencie, jest pan ekspertem w sprawach narodowego bezpieczeństwa i spraw międzynarodowych — wpadł koledze w słowo John Plumber — ale mamy też liczne problem w kraju. Na przykład, trzeba odnowić skład Sądu Najwyższego. Czy mógłby nam pan wyjaśnić, jakie są pańskie zamierzenia w tej kwestii?

— Zwróciłem się do Departamentu Sprawiedliwości, aby przedstawiono mi listę najbardziej doświadczonych sędziów z Federalnych Sądów Apelacyjnych. Starannie ją teraz studiuje, a swoje kandydatury przedstawię Senatowi w ciągu dwóch tygodni.

— Było dotąd zwyczajem, że Amerykańskie Stowarzyszenie Prawników wypowiedało się na temat kandydatur, ale zdaje się, że tak nie będzie tym razem. Czy mogę zapytać, dlaczego, panie prezydencie?

— John, wszystkie osoby, które znajdują się na tej liście, zostały już ocenione przez swoje środowisko, gdyż wszystkie zasiadają w Sądach Apelacyjnych od co najmniej dziesięciu lat.

— Czy to prawda, że listę układali prokuratorzy? — spytał Donner.

— Doświadczeni specjaliści z Departamentu Sprawiedliwości. Ich pracami kierował Patrick Martin, który właśnie został naczelnikiem wydziału karnego, mając do pomocy innych wysokich urzędników, takich jak na przykład dyrektor Biura Praw Obywatelskich.

— Co nie zmienia faktu, że wszyscy są prokuratorami, to znaczy specjalistami od formułowania oskarżeń. Kto zaproponował panu Patricka Martina?

— To prawda, że sam nie znam aż tak dobrze Departamentu Sprawiedliwości, zatem oparłem się w przypadku Patricka Martina na rekomendacji dyrektora FBI, Daniela

Murraya. Bardzo dobrze poradził sobie ze śledztwem w sprawie runięcia samolotu na budynku Kapitelu, poprosiłem zatem o pomoc także w tej sprawie.

— Zdaje się, że z dyrektorem Murrayem jest pan zaprzyjaźniony od wielu lat?

— Tak — lakonicznie potwierdził Ryan.

— I pomagał on panu w przeprowadzeniu niektórych operacji wywiadowczych?

— Słucham?

— Na przykład operacji CIA w Kolumbii, gdzie pomagał pan w rozbiciu kartelu z Medellin.

— Jestem zmuszony do powtórzenia raz jeszcze i to z całą stanowczością: najmniejszym słowem nie skomentuję operacji wywiadu prawdziwych, wymyślonych ani jakichkolwiek innych. Czy wyraziłem się jasno?

— Panie prezydencie — ciągnął Donner, a na jego twarzy pojawił się wyraz troski — w efekcie tej operacji śmierć poniósł admirał James Cutter. Słyszysz wiele plotek na temat pana roli w tych i innych wydarzeniach inicjowanych przez CIA. Jeśli coś jest nieprawdziwe w tych pogłoskach, trzeba z tym skończyć, a my chcemy panu dać szansę, aby zrobił pan to możliwie jak najszybciej. Nie od rzeczy będzie także

przypomnienie, że na swój urząd nie został pan wybrany, w związku z tym nie został poddany naturalnemu procesowi osądu w oczach opinii publicznej, jak to się dzieje zazwyczaj z kandydatami na prezydenta. Powtarzam, Amerykanie mają prawo wiedzieć, kto zasiada w Białym Domu.

— Tom, świat wywiadu jest światem zamkniętym i tak być powinno. Rząd ma bardzo wiele spraw do zrobienia i nie o wszystkich z nich można dyskutować publicznie. Każdy z nas ma swoje prywatne sekrety: ja, ty, widzowie. W przypadku władz państwowych zachowanie tych tajemnic ma ogromne znaczenie dla bezpieczeństwa kraju, a także i tych ludzi, którzy mu służą, często wystawiając się na najwyższe ryzyko. Dotychczas media nie kwestionowały tych reguł, szczególnie przestrzegając ich w czasie wojny. Ale i w czasie pokoju są one zasadne.

— Czy jednak nigdy owa tajemnica nie może stać się zagrożeniem dla naszych interesów narodowych?

— Właśnie dlatego prawo stanowi, że działalność organów wywiadowczych jest nadzorowana przez Kongres. Gdyby owe uprawnienia lustracyjne spoczywały w rękach władzy wykonawczej, obawy mogłyby być uzasadnione. Jest jednak inaczej. Nasze po-

czynania kontroluje Kongres. We wspomnianych sprawach sam składałem wyjaśnienia w Kongresie.

— Potwierdza pan zatem, że były jakieś sprawy! Czy przeprowadzono tajną operację w Kolumbii? Czy brał pan w niej udział? Czy po śmierci ówczesnego dyrektora FBI, Emila Jacobsa, pomagał panu w tym Daniel Murray?

— Nie mam nic do powiedzenia.

Nastąpiła kolejna przerwa na reklamy.

— Dlaczego to robicie?

Ku zaskoczeniu wszystkich pytanie zadała Cathy.

— Pani Ryan. . .

— Profesor Ryan — upomniała Donnera.

— Przepraszam, profesor Ryan, trzeba skończyć z tymi plotkami.

— Już kiedyś to przeżywaliśmy. Usiłowano rozbić nasze małżeństwo, bezczelnie fabrykując kłamstwa. . .

— Cathy — powiedział półgłosem Ryan i pogłaskał żonę po ramieniu.

— Pamiętam wszystko, Jack, wiem, jak to było.



— Nie do końca.

— Właśnie — natychmiast podchwycił okazję Donner. — Ludzie chcą poznać prawdę do końca i dlatego, zanim nie wyjaśni się całkowicie tych spraw, nieustannie będzie wokół nich ferment.

Gdyby świat był urządzony jak należy, Jack powinien teraz wstać, cisnąć mikrofonem w Donnera i kazać mu się wynosić gdzie pieprz rośnie, tymczasem nie mógł się tak zachować i oto on, ponoć najpotężniejsza osoba na świecie, znalazł się nagle w sytuacji podejrzanego, który stanął w krzyżowym ogniu pytań. Kamery ponownie się włączyły.

— Rozumiem, panie prezydencie, że jest to dla pana trudny temat.

— W porządku, powiem coś takiego. W trakcie pracy w CIA musiałem niekiedy w służbie swej ojczyzny podejmować działania, o których długo jeszcze nie będzie można jawnie mówić. Podkreślam jednak, iż nigdy przy tym nie złamałem prawa, a każdy z tych przypadków został starannie zbadany przez Kongres. Spróbuję może opowiedzieć, dlaczego wstąpiłem do CIA. Nie chciałem tego, wykladałem wówczas historię w Akademii Marynarki. Lubię pracę nauczyciela, miałem też wtedy czas, żeby napisać kilka książek historycznych. Potem grupa terrorystów dokonała zamachu na mnie

i moją rodzinę. Podjęto dwie próby, aby nas zabić, wszystkich. To sprawa dobrze znana, w swoim czasie było o niej głośno. Wtedy uznałem, że moje miejsce jest w CIA. Dlaczego? Gdyż nie chciałem pozwolić, aby innych spotkało coś podobnego. To nie była praca moich marzeń, ale czułem, że taki jest mój obowiązek. I teraz, gdy jestem w Białym Domu, wiesz co ci powiem, Tom? To także nie jest praca moich marzeń. Męczy mnie nieustanna presja, doskwiera mi odpowiedzialność. Nie jest łatwa sytuacja osoby, która ma tak wiele władzy. Tak czy owak, znalazłem się jednak tutaj, złożyłem przysięgę i, najlepiej jak mogę, będę się starał jej dochować.

— Niemniej, panie prezydencie, jest pan pierwszym prezydentem, który nie ma za sobą doświadczeń politycznych. Pana poglądy w wielu kwestiach nie zostały poddane publicznej ocenie, a tym, co niepokoi wielu ludzi, jest fakt, że, jak się zdaje, pomagają panu osoby, które do wysokich stanowisk dotarły w podobny jak pan sposób. Są zatem Amerykanie, którzy niebezpieczeństwo upatrują w tym, że grupa osób bez doświadczenia politycznego przez kilka lat będzie wywierać dominujący wpływ na politykę naszego kraju. Co może pan na to odpowiedzieć?

— Po raz pierwszy spotykam się z takim zarzutem.

— Właśnie, można usłyszeć opinie, że zbyt wiele czasu spędza pan w tym gabinecie, a zbyt mało ma pan kontaktów z normalnymi ludźmi. Czy to panu nie doskwiera?

Donner czuł, że rybka połknęła haczyk, mógł więc sobie pozwolić na odrobinę współczucia w głosie.

— Niestety, mam wiele pracy do wykonania, a to jest miejsce, gdzie muszę to robić. A jeśli chodzi o moich współpracowników, spójrzmy, kto to jest. — Cathy poruszyła się niespokojnie. — Sekretarz stanu, Scott Adler, doświadczony dyplomata, którego ojciec przeżył holocaust. Znam Scotta od wielu lat i jest to jeden z najlepszych ludzi do kierowania tym departamentem. Departament Skarbu, George Winston, człowiek, który żmudnie wspinał się po szczeblach kariery zawodowej i oddał wielkie usługi, jeśli chodzi o ochronę naszego systemu finansowego podczas konfliktu z Japonią. W środowisku ekonomistów cieszy się zasłużonym szacunkiem. Departament Obrony, Anthony Bretano to niezwykle utalentowany inżynier i biznesmen, który jest właśnie w trakcie dokonywania niezbędnych reform w Pentagonie. Wspomniany Dan Murray, obecny dyrektor FBI, wiele lat spędził w policji. Widzisz więc, Tom, o co mi chodzi? Dobieram sobie fachowców, ludzi, którzy znajdują się na sprawach, które wymagają ich decyzji,

gdyż zajmowali się nimi praktycznie, a nie tylko rozprawiali o nich jak zawodowi politycy. Może to się komuś nie spodoba, ale przez lata spędzone w instytucjach rządowych zawsze bardziej ufać mogłem specjalistom niż profesjonalnym politykom. A tak nawiasem mówiąc, czy to znacznie lepiej, kiedy polityk otacza się swoim znajomymi, lub tymi, którzy sfinansowali mu kampanię wyborczą?

— Można odpowiedzieć, że zazwyczaj ludzie wybierani na najwyższe stanowiska mają znacznie bogatsze doświadczenie niż pan sugeruje.

— Z tym nie polemizuję, podkreślić jednak chciałem, że znam dobrze kwalifikacje osób, które powołałem na poszczególne stanowiska. Co więcej, takie jest prawo prezydenta, by za zgodą tych, którzy zostali wybrani na reprezentantów narodu, dobierać sobie współpracowników wedle własnego uznania.

— Skoro jednak tak wiele jest rzeczy do zrobienia, jak chce pan sobie radzić bez doświadczenia w sferze polityki? Waszyngton to miejsce, gdzie takie doświadczenie liczy się najbardziej.

— Może istnieje tutaj jakiś bardzo poważny problem — odparł Ryan. — Może nie zmieniający od lat kształt życia politycznego bardziej przeszkadza niż pomaga? Chciałem

wyraźnie powiedzieć jedno. Nie zabiegałem o ten fotel. Kiedy Roger zaproponował mi stanowisko wiceprezydenta, uzgodniliśmy, że po upływie kadencji wycofuję się ze służby publicznej. Chciałem wrócić do nauczania. Potem jednak nastąpiła tamta katastrofa i oto znalazłem się tutaj. Nie jestem politykiem. Nigdy nim nie byłem i w dalszym ciągu nim nie jestem, ponieważ jednak zostałem urzędującym prezydentem Stanów Zjednoczonych Ameryki, usiłuję wypełniać swe obowiązki najlepiej, jak potrafię. To wszystko.

— I na tym kończymy rozmowę. Dziękuję, panie prezydencie.

Ledwie zgasły kamery, Jack poderwał się i z pasją odpiął mikrofon od krawata. Obaj dziennikarze milczeli, podczas gdy Cathy wbiła w nich rozpalone spojrzenie.

— Dlaczego to zrobiliście?

— Słucham, pani profesor? — powiedział Donner.

— Dlaczego ludzie tacy jak wy nieustannie napadają na mojego męża? Czym sobie na to zasłużył? To najbardziej szlachetny człowiek, jakiego poznałam w życiu!

— My tylko zadajemy pytania.

— Tere fere! Ich dobór i sposób ich stawiania sprawia, że sami sobie odpowiadacie, zanim ktokolwiek zdąży otworzyć usta!

Donner i Plumber nie odzywali się; Ryan wyszedł bez słowa pożegnania. Wtedy na środek gabinetu wysunął się Arnie.

— Ciekawe, kto to wszystko wymyślił? — mruknął z grymasem i pokiwał głową.

\* \* \*

— Wypatroszyli go jak szczupaka — powiedział z satysfakcją Holbrook.

Zrobili sobie krótką przerwę w pracy, gdyż dobrze jest przyjrzeć się wrogowi.

— To groźny koleś — oznajmił Ernie Brown po krótkim zastanowieniu. — Wszyscy politycy to skurwiele, ale ten. . . Ani się obejrzysz, brachu, a będziemy tu mieli państwo policyjne.

Dla Człowieka z Gór była to myśl naprawdę przerażająca. Zawsze uważał polityków za największych szubrawców, ale teraz zobaczył, że się mylił. Politycy prowadzili rozgrywki o władzę gdyż ją kochali, a kochali ją, gdyż komenderowanie innymi dawało im poczucie wielkości. Ryan był znacznie gorszy: uważał, że ma słuszość.

— Niech to cholera — pokiwał głową. — Sam sobie wyznaczysz sąd. . .

— Zrobili go w konia, co nie, Ernie?

— Nie. Nic nie złapałeś? Oni rozgrywali własną gierkę.

## 33 — Uniki

Na pierwszych stronach wszystkich liczących się dzienników pojawiły się wstępniaki redakcyjne. Niektóre gazety zamieściły także zdjęcie domu Marko Ramiusa — okazało się, że jest nieobecny — a także rodziny Gierasimowa. Był w domu, ale ochroniarz nikogo nie wpuścił, w efekcie sam został wielokrotnie sfotografowany.

Donner zjawił się w pracy wcześniej i, ku swojemu zdziwieniu, spotkał Plumbara, który dotarł pięć minut wcześniej z numerem „New York Timesa” w dłoni.

— No i jak, Tom, kto kogo wykiwał?

— Co ty wy...

— Porobiło się, nie? — spytał kwaśno John. — Idę o zakład, że po spotkaniu z tobą ludzie Kealty’ego mieli jeszcze innych gości. Ale ty przechytrzyłeś wszystkich, prawda? Jeśli ktokolwiek się dowie, że taśma. . .

— Nie ma mowy — odparł pewny siebie Donner. — A z tymi materiałami prasowymi nasz wywiad wygląda jeszcze lepiej.

— Ciekawe dla kogo? — rzucił Plumber, idąc do drzwi. Pierwszą myślą, która go nawiedziła tego dnia, było to, że Ed Murrow nigdy by się nie zgodził, żeby włosy spryskano mu lakierem.

\* \* \*

Profesor Gus Lorenz skończył poranną odprawę. Wiosna wcześniej zawitała do Atlanty. Trawa i krzewy zaczęły rozkwitać, i wkrótce powietrze napełni się zapachem kwiatów magnolii, z których miasto słynęło. Wprawdzie, myślał Gus, wysoka zawartość pyłku kwiatowego w powietrzu oznaczała dla niego kłopoty z zatokami, ale gotów był płacić tę cenę za przyjemność mieszkania w tak pięknym miejscu. Po zakończeniu narady nałożył białe fartuch i udał się do swojego królestwa: Centrum Chorób Zakaź-



nych. CCZ — jak w skrócie mówiono — było chlubą rządu amerykańskiego jako jeden z najważniejszych na świecie ośrodków badawczych, do którego z ochotą ściągali najlepsi specjaliści. Niektórzy odchodzili następnie do uczelni medycznych, ale zawsze już potem cieszyli się sławą tych, którzy pracowali w CCZ, podobnie jak w środowisku wojskowym powodem do dumy jest służba w piechocie morskiej. I w jednym i w drugim przypadku chodziło o ludzi, których jako pierwszych kraj posyłał w miejsce zagrożenia. Jedni walczyli ze zbrojnym przeciwnikiem, drudzy z wrogiem mikroskopijnym, niemniej w obu przypadkach rodził się *esprit de corps*, który wiązał wszystkich, niezależnie od pełnionych funkcji i rang.

— Dzień dobry, Melliso — powitał Lorenz kierowniczkę swego laboratorium, która dostała się do CCZ, najpierw obroniwszy pracę magisterską, a później doktorską z biologii molekularnej na pobliskim Uniwersytecie Emory.

— Dzień dobry, panie profesorze. Nasz znajomy znowu się zameldował.

— Naprawdę?

Preparat był już pod mikroskopem. Lorenz staranie zasiadł nad przyrządem, sprawdził numer ewidencyjny próbki: 98-3-063A. Wszystko się zgadzało. Teraz tylko trzeba było wyregulować obraz. . . I oto był w całej okazałości: Pastorał.

— Masz rację. Przygotowałaś też tamtą próbkę?

— Tak panie profesorze.

Obraz na ekranie podzielił się na połowy i obok pierwszej pojawiła się także próbka z roku 1976. Były nieomal identyczne. Zakrzywienie na końcu łańcucha RNA nigdy, jak się wydawało, nie było takie samo, podobnie jak nieskończona jest zapewne różnorodność płatków śniegu, najważniejsze jednak były struktury białkowe na szczycie, a te. . .

— Szczep Mayinga — powiedział beznamiętnie.

— Tak — zgodziła się Mellisa, która pochyliła się, żeby za pomocą klawiatury przywołać na ekran próbkę 063B. — Tego było o wiele trudniej wyizolować, ale. . .

— Identyczne. To od dziecka?

— Tak. Mała dziewczynka.

Oba głosy były wyprane z emocji. Trzeba wielu lat, zanim uruchomi się mechanizm obronny i próbki staną się jedynie obiektem badania, oderwanym od ludzkiego ciała i cierpienia.

— W takim razie muszę odbyć kilka rozmów.

\* \* \*

Z oczywistych przyczyn obie grupy trzymano oddzielnie i jedna nie wiedziała o istnieniu drugiej. Badrajn przeprowadził rozmowę z dwudziestką, Gwiazdor — z dziewiątką. Przygotowania w obu przypadkach były do pewnego stopnia podobne. ZRI dysponowała wszystkimi możliwościami, które dostępne są samodzielnemu państwu. W Ministerstwie Spraw Zagranicznych był urząd paszportowy, było także studio graficzne i drukarnia. Dlatego też bez specjalnego trudu można było wystawić paszport dowolnego kraju, zaopatrzony w razie potrzeby w odpowiednie wizy. Mówiąc dokładniej, dokumenty takie sporządzano w wielu miejscach na świecie, tutaj jednak były one szczególnie dobrej jakości, zarazem bez śladów, które wskazywałyby na miejsce ich powstania.

Ważniejsza z obu misji była łatwiejsza z punktu widzenia bezpieczeństwa wykonawców, chociaż zależało to może od punktu widzenia. Badrajn patrzył po twarzach. Informacja o tym, czego mają dokonać, większość ludzi przyprawiłaby o dreszcz zgrozy, ci jednak przyjęli ją spokojnie. Zadanie, powiedział im, jest proste. Wjazd. Dostawa. Wyjazd. Podkreślił, że jeśli ściśle będą się trzymać instrukcji, absolutnie nic im nie grozi. Po tamtej stronie nie będą musieli z nikim się kontaktować, co bardzo ułatwiało misję. Każdy sam miał sobie ułożyć legendę, a charakter zadania był taki, że mogły się one pokrywać. Chodziło jedynie o to, aby brzmiały wiarygodnie, najlepiej więc, żeby każdy wybrał dla siebie jakąś specjalność zawodową, w której miał niejakie doświadczenie. Większość ukończyła studia, reszta mogła zdecydować się na handel albo gałąź rzemiosła, tak aby bez skrupowania mogli odpowiedzieć na stawiane ze znużeniem pytania urzędnika paszportowego.

Grupa Gwiazdora z o wiele większym entuzjazmem podeszła do swego zadania. Wynikało to może z faktu, że jej członkowie byli wyraźnie młodsi i niewiele wiedzieli o życiu, a jeszcze mniej o śmierci. Motywowała ich niecierpliwość, gloria męczeńskiej śmierci i nienawiść, a chociaż zaciemniały one osąd, z ochotą były wykorzystywane

przez ich nauczycieli, którzy nigdy nie cofali się przed tym, by podsycać nienawiść i ból. Informacje były znacznie bardziej szczegółowe, uzupełnione o fotografie, mapy i szkice. Wszyscy ścisnęli się, żeby lepiej widzieć, nikt nie miał wątpliwości co do celu misji. Życie i śmierć były czymś tak prostym dla ludzi, którym wydawało się, że znają Ostateczne Odpowiedzi. Wtedy nie stawia się pytań o drobniejsze kwestie. Inaczej było z Gwiazdorem, w którego głowie nieustannie powracały owe bardziej doczesne pytania, tyle że nigdy nie starał się szukać na nie odpowiedzi. W istocie zawsze chodziło mu jedynie o sam akt polityczny, bez żadnego związku z religią. Kiedy spoglądał na tamtych, wiedział, że z nimi jest inaczej. Tym łatwiej było skutecznie skorzystać z ich poświęcenia. Myśleli, że wiedzą wszystko, tymczasem wiedzieli bardzo niewiele, znali tylko fizyczną stronę czynu.

Gwiazdor czuł się jak morderca; nie było to po raz pierwszy, tym razem jednak miał stać z tyłu. Ci z przodu będą wystawieni na prawdziwe niebezpieczeństwo, gdyż zadania zapowiadały się jako najtrudniejsze z dotychczasowych.

Ciekawe, że nie mieli żadnych wątpliwości. Każdy z nich uważał się za kamień w procy Allacha, ale przecież do natury tych kamieni należało to, że były ciskane precz.

Może jednak będą się czuli szczęśliwi, a jeśli tak — czemu nie? Najlepszą porą, powiedział, będzie popołudnie, na krótko przed zakończeniem pracy, potem bowiem łatwo będzie zginać w mrowiu innych pojazdów. On sam też weźmie udział w akcji, aby ułatwić im ucieczkę. Jeśli do niej dojdzie, tę myśl zostawił dla siebie.

\* \* \*

— Powiedz, Arnie, co się właściwie dzieje? — spytał Ryan.

Tak się złożyło, że na dzisiejszy dzień Cathy nie miała zaplanowanych żadnych operacji. Przewracała się niespokojnie w łóżku przez całą noc i teraz nie bardzo nadawała się do pracy. On czuł się niewiele lepiej.

— Nie ulega wątpliwości, że był jakiś przeciek z CIA, może z Kapitolu, w każdym razie był to ktoś, kto wie trochę o tobie.

— O Kolumbii wiedzą tylko Fellows i Trent, ale wiedzą przecież także, że Murraya tam nie było. Reszta operacji jest całkowicie utajniona.

— A co tam się właściwie zdarzyło? — W głosie van Dama można było posłyszeć niekłamana ciekawość.

Ryan wykonał jakiś nieokreślony gest i zaczął tłumaczyć.

— Tak naprawdę chodzi o dwie operacje, REWIA i WZAJEMNOŚĆ. Pierwsza polegała na przerzuceniu do Kolumbii żołnierzy, którzy mieli zapolować na samoloty z narkotykami.

— Jak?

— Niektóre zestrzeliwały Siły Powietrzne, inne zmuszano do lądowania, załogi aresztowano i stawiano przed sądem. Coś się jednak wydarzyło, zginął Emil Jacobs i wtedy uruchomiono WZAJEMNOŚĆ. Przeprowadziliśmy bombardowanie, ale nie nad wszystkim udało się zapanować, ginęli cywile i cała sprawa zaczęła się rozłazić.

— Jaki miałeś w tym udział?

— Włączyłem się dopiero pod sam koniec. Jim Greer był umierający, a ja przejąłem część jego zadań, przede wszystkim związanych z NATO. Nic nie wiedziałem do czasu kiedy zaczęli rzucać bomby. Byłem wtedy w Belgii; uwierzysz, że dowiedziałem się o całej sprawie z telewizji? Wszystkim sterował Cutter. Udało mu się nakłonić sędziego Moore'a i Boba Rittera, żeby zacząć, a potem usiłował wszystko jak najprędzej zatuzować. To było prawdziwe szaleństwo. Cutter chciał zostawić żołnierzy na łasce losu,

że niby zaginęli. Dowiedziałem się o tym; włamałem się do archiwum z nagraniami Boba Rittera. Poleciałem do Kolumbii wraz z oddziałem ratunkowym i większość udało nam się wyratować. Nie było lekko — westchnął Ryan. — Wywiązała się strzelanina, ja sam obsługiwałem jeden z Minigunów helikoptera. Podczas ostatniego nawrotu zginął członek załogi, sierżant Buck Zimmer, którego rodziną zająłem się później i opiekuję się po dziś dzień. Niedługo potem wywahała to Liz Elliot i próbowała wykorzystać przeciwko mnie.

— Ale to jeszcze nie wszystko? — naciskał Arnie.

— Nie. Miałem zapoznać z przebiegiem operacji komisję kongresową, ale zależało mi na tym, żeby nie rozwalić rządu. Dlatego porozmawiałem z Trentem i Fellowsem, po czym zostałem wezwany przez prezydenta. Rozmawialiśmy przez chwilę, następnie ja wyszedłem, a Sam i Al jeszcze z nim zostali. Nie wiem dokładnie, co uzgodnili, ale...

— Zawalił wybory. Zmienił szefa swojej kampanii wyborczej, która została spieprzona na całej linii. Cholera jasna, Jack, coś ty zrobił?

Twarz van Damma pobladła z wrażenia. Jako kierujący kampanią Boba Fowlera, był przekonany, że to w dużej mierze za jego sprawą udało się odnieść błyskotliwy sukces



nad urzędującym prezydentem. Czyżby w istocie wszystko było ukartowane? A on ani przez chwilę nie miał żadnych podejrzeń?

Ryan przymknął oczy i z najwyższym oporem przywołał straszne wspomnienia.

— Zakończyłem operację, która formalnie była legalna, ale znalazła się nagle na skraju przepaści. Zrobiłem to w sposób bardzo dyskretny. Kolumbijczycy nigdy się nie dowiedzieli, a zarazem udało się nie dopuścić do drugiej afery w stylu Watergate, która przyniosłaby katastrofalne skutki nie tylko wewnętrzne, ale i zewnętrzne. Sam i Al złożyli pisemne przyrzeczenia, że dochowają tajemnicy, do nagrań dostęp będzie możliwy dopiero wiele lat po naszej śmierci. Ktokolwiek jest sprawcą przecieku, oparł się na pogłoskach i paru trafnych domysłach. Co zrobiłem? Myślę, że najlepiej jak potrafiłem, starałem się służyć prawu. Nie, Arnie, nie złamałem go. Trzymałem się przepisów, chociaż nie było to łatwe.

— Ryan otworzył oczy. — Proszę, Arnie, powiedz, jak załatwiono by taką sprawę w Peorii?

— Dlaczego nie przedstawiłeś tego wszystkiego Kongresowi, żeby...

— Zastanów się przez chwilę. Przecież to nie była jedyna sprawa. Cała Europa Wschodnia wrzała, Związek Radziecki trząsł się w posiadach, wiadomo było, że dzieje się coś wielkiego, i gdyby właśnie w tej chwili nasze władze państwowe się rozsypały, mogłoby to spowodować taki chaos, jakiego jeszcze świat nie widział. Przecież mając u siebie w domu taką hecę, w żaden sposób nie moglibyśmy pomóc Europie. A ja musiałem się decydować natychmiast: albo wkraczam do akcji, albo tamci żołnierze zostaną skazani na śmierć. Pomyśl tylko, w jakiej sytuacji się znalazłem. Nie miałem się do kogo zwrócić o radę. Admirał Greer już nie żył. Prezydent siedział w tym gównie po uszy. Myślałem wtedy, że to on manipuluje całą sprawą za pośrednictwem Cuttera, dopiero później się zorientowałem, że nie, że to ten cholerny pacan wpakował go w to szambo. Jedyne, co mi pozostało, to zwrócić się o pomoc do FBI. Pozostały tylko trzy osoby, którym mogłem jeszcze zaufać: Don Murray, Bili Shaw i jeszcze jeden facet z pionu operacyjnego w Langley. Bili — wiedziałeś, że był doktorem prawa? — wyjaśnił mi aspekty prawne, a Murray pomógł przygotować akcję ratunkową. Przeciw Cutterowi zaczęli prowadzić tajne śledztwo pod kryptonimem Odyseja, ale kiedy mieli się zwrócić do sądu z oskarżeniem o przestępczy spisek, Cutter popełnił samobójstwo.

Agent FBI znajdował się o pięćdziesiąt metrów od niego, kiedy Cutter rzucił się pod autobus. Poznałeś go, to Pat O'Day. W tej sprawie nikt nie złamał prawa, oprócz Cuttera. Wszystkie działania operacyjne były zgodne z konstytucją, tak mnie w każdym razie zapewnił Shaw.

— Ale politycznie. . .

— Wiem, wiem, nie jestem przecież aż takim ignorantem. Ale spójrz sam, Arnie. Nie popełniłem przestępstwa, w miarę swoich sił służyłem ojczyźnie, a zobacz, co z tego wyszło.

— Do diabła. Ale dlaczego Fowler nigdy nie wspomniał o niczym nawet słowem?

— Byli jeszcze Sam i Al. Uważali, że to może cieniem położyć się na całej prezydenturze Fowlera. Poza tym, nie wiem, co oni rzeczywiście powiedzieli prezydentowi. Nie chciałem wiedzieć wtedy, nie usiłowałem dowiedzieć się później, wszystko, co mogę w tej sprawie sądzić, to tylko spekulacje.

— Jack, nieczęsto mi się to zdarza, ale nie wiem, co powiedzieć.

— Spróbuj.

— Nie uda się tego ukryć. Dziennikarze mają dość poszlak, żeby poskładać fragmenty układanki, przynajmniej na tyle duże, aby Kongres musiał wszcząć śledztwo. A co z innymi historiami?

— Są prawdziwe — przyznał Ryan. — Przechwyciliśmy „Czerwony Październik”, a ja pomogłem uciec Gierasimowowi. Pomysł był mój, moje wykonanie i o mało co, a byłaby to moja ostatnia akcja, no ale udało się. Tymczasem musieliśmy wkroczyć, gdyż Gierasimow przygotowywał się do obalenia Andrieja Narmonowa, a gdyby mu się udało, być może dalej mielibyśmy na karku Układ Warszawski. Zadbaliśmy więc o dowody kompromitujące sukinsyna, któremu nie pozostawało nic innego niż skorzystać z propozycji i wsiadać do samolotu. Ciągłe jest wściekły na nas, chociaż pomogliśmy mu urządzić się tutaj. O ile wiem, jego żona i córka zdecydowanie wołają Amerykę od Rosji.

— Zabiłeś przy tym kogoś? — spytał Arnie.

— W Moskwie nie. Na okręcie podwodnym musiałem unieszkodliwić faceta, który usiłował go zniszczyć. Zastrzelił wcześniej jednego oficera i ciężko ranił dwóch innych.

W innej rzeczywistości, pomyślał van Damm, ten człowiek byłby bohaterem. Za-uważył, że Ryan nic nie wspomniał o Bobie Fowlerze i w ostatniej chwili powstrzy-manym przez Ryana ataku atomowym na święte miasto Kum. Znał tę sprawę z bliska i dobrze wiedział, że trzy dni później Bob Fowler mało nie wyzionął ducha na wieść, że cudem został uratowany przed aktem ludobójstwa na skalę Hitlera. Starszemu męż-czyźnie utkwiły w głowie słowa z czytanych w liceum „Nędzników” Hugo: „Jakim złem potrafi czasem być dobro”. I oto następny przykład. Więcej niż raz Ryan z najwyższym oddaniem służył swojemu krajowi, a tymczasem żaden z tych czynów nie wytrzymał-by próby publicznego osądu. Mądrość, patriotyzm, odwaga — wszystko to można było przedstawić w takim świetle, że bohater wydałby się łajdakiem. A Ed Kealty dobrze wiedział, jak to zrobić.

— Jak sobie z tym poradzimy?

— Czy jest coś jeszcze, o czym powinienem wiedzieć?

— Akta spraw „Czerwonego Października” i Gierasimowa są w Langley. W sprawie Kolumbii wiesz wszystko, co ci może się przydać. Nie jestem pewien, czy nawet ja mam

prawo odtajnić dokumenty. A poza tym, chcesz spowodować trzęsienie ziemi w Rosji? To najłatwiejszy sposób.

\* \* \*

— „Czerwony Październik”? — powtórzył z niedowierzaniem przewodniczący Gólowko, a potem spojrzął na sufit i zniemacka zachichotał.

— Niezły z ciebie skurwysyn, Iwanie Emmetowiczu, *job twoju mat*’!

Przekleństwo zostało wypowiedziane z nutką podziwu w głosie. Od pierwszego spotkania myślał z lekceważeniem o Ryaniu i musiał przyznać, że nic się potem w tym względzie nie zmieniło. Więc w ten sposób udało mu się skompromitować Gierasimowa! Robiąc tak, uratował być może Rosję, ale kraj winien ratować się własnymi siłami, a nie obcymi. Niektórych tajemnic nie powinno się nigdy ujawniać, gdyż leżało to w interesie wszystkich stron. To właśnie była tego rodzaju tajemnica, a ponieważ została wyjawiona, oba kraje znalazły się w kłopotliwej sytuacji. Rosjanie dowiadawali się oto, że istotny składnik swego potencjału wojskowego utracili na skutek zdrady na najwyższym szczeblu, a co gorsza, władze nic o tym wcześniej nie wiedziały. Na pierwszy rzut

oka musiało się to wydać nieprawdopodobne, ale sfabrykowana wersja wyglądała nader przekonująco, a na dodatek utrata dwóch okrętów podwodnych za jednym zamachem była wydarzeniem, o którym rosyjska marynarka wojenna wolałaby jak najszybciej zapomnieć, dlatego też śledztwo nie było nazbyt wnikliwe.

O drugiej sprawie Siergiej Nikołajewicz wiedział więcej niż o pierwszej. Ryan zgadł, że szykuje się *coup d'etat*. Oczywiście, mógł o wszystkim przestrzec jego i rzecz zostawić samym Rosjanom, z drugiej strony, musiałby być szaleńcem, żeby nie wykorzystać takiej okazji. Gierasimow musiał w tej sytuacji wyśpiewać wszystko co wiedział; najprawdopodobniej w ten sposób został zdemaskowany Ames, który był dla KGB skarbem nieocenionej wartości.

A ja zawsze myślałem, że cały ten Iwan Emmetowicz to zdolny amator, nic więcej, pokiwał głową Gołowko.

Jednak zawodowy podziw miał swoje granice. Rosja może niebawem potrzebować pomocy, a jak miała się zwracać o pomoc do kogoś, o kim będzie już teraz wiadomo, że bez żenady ingerował w jej problemy wewnętrzne? I znowu zabrzmiało ciche przekleństwo, ale teraz pełne złości.

\* \* \*

Nikomiu nie można zakazać poruszania się po publicznych szlakach wodnych, dlatego też Marynarka co najwyżej mogła przeszkadzać w tym, by wynajęty jacht motorowy nie zbliżył się nazbyt do doku 810. Do łodzi szybko dołączyły następne, aż wreszcie jedenaście kamer dokładnie sfilmowało dok remontowy, pusty teraz, gdyż nie znajdował się w nim żaden z amerykańskich okrętów podwodnych ani też ten, który, jak wieść niosła, stacjonował tutaj krótko, chociaż nie był amerykański.

Do akt personalnych Marynarki można się było dostać przy użyciu komputera i wielu dziennikarzy podejmowało właśnie próby, żeby dowiedzieć się w ten sposób czegoś o dawnym dowódcy USS „Dallas”. Poranny telefon do dowództwa okrętów podwodnych na Pacyfiku został odebrany przez oficera prasowego, który był znakomicie wyszkolony w udzielaniu wymijających odpowiedzi. W ciągu dnia owa umiejętność wielokrotnie była wystawiana na próbę. Nie tylko zresztą w jego przypadku.

\* \* \*

— Słucham, Ron Jones.



— Mówi Tom Donner, z NBC.

— Rozczaruję pana, ale ja oglądam CNN.

— Może jednak zechciałby pan obejrzeć nasz wieczorny program. Chciałbym zadać panu. . .

— Rano czytuję prasę. „Times” dociera tutaj na czas. Żadnych komentarzy.

— Ale przecież. . .

— Istotnie, pływałem na okręcie podwodnym. Ale to było dawno temu. Teraz mam własny interes, żonę, dzieci, wszystko jak Pan Bóg przykazał.

— Był pan głównym hydroakustykiem na USS „Dallas”, kiedy się to. . .

— Panie Donner, kiedy opuszczałem Marynarkę, podpisałem oświadczenie o zachowaniu tajemnicy wojskowej. Dlatego nie zamierzam rozmawiać o tych sprawach.

Był to pierwszy w życiu kontakt Jonesa z dziennikarzem i rzeczywiście potwierdziły się wszystkie pogłoski na temat tej grupy zawodowej.

— Wystarczy, żeby pan tylko potwierdził, że do niczego takiego nie doszło.

— Do jakiego „niczego”?

— Do wprowadzenia rosyjskiego okrętu podwodnego „Czerwony Październik”.

— Wie pan, jakie było najgorsze przezwisko na faceta z hydrolokacji?

— Nie.

— Elvis.

Ron przerwał rozmowę i połączył się z Pearl Harbor.

\* \* \*

Wraz ze świtem w Winchester w stanie Wirginia wozy telewizyjne pojawiły się w takiej liczbie, że przywodziły na myśl czasy wojny secesyjnej, gdy miasteczko ponad czterdzieści razy przechodziło z rąk do rąk wrogich armii.

Nie był formalnym właścicielem domu, podobnie zresztą jak nie była nim CIA. Teren należał do jakiejś tajemniczej korporacji, która tytuł własności przekazała pewnej fundacji. Dyrektorzy fundacji byli trudno uchwytnei, ponieważ jednak księgi wieczyste są w Stanach Zjednoczonych powszechnie dostępne, podobnie jak dane o spółkach i fundacjach, więc ostatecznie rozszyfrowanie wszystkiego zabrało mniej niż dwa dni, mimo wskazówki przyklejonej do akt w sądzie okręgu, aby urzędnicy dołożyli wszystkich starań, by zniechęcić ewentualnych ciekawskich.

Reporterzy, wszyscy zaopatrzeni w zdjęcia Gierasimowa, wymierzili ustawione na wysokich trójnogach aparaty z teleobiektywami w odległy o pięćset metrów dom, od niechcienia zarejestrowawszy także kilka pasących się koni, których obraz mógł się przydać jako ilustracja do reportażu „CIA ugaszcza rosyjskiego arcyszpiega jak udzielonego księcia”.

Dwóch ochroniarzy w panice zadzwoniło do Langley po instrukcje, ale biuro rzecznika prasowego CIA z niejakim zakłopotaniem mogło udzielić jedynie takiej rady, że ponieważ chodzi o posiadłość prywatną (prawnicy właśnie sprawdzali, czy dałoby się taką interpretację utrzymać), samowolny wstęp na nią jest wzbroniony.

\* \* \*

Od dobrych kilku lat Gierasimow nie śmiał się tak serdecznie. Oczywiście, bywały chwile miłe i przyjemne, ale takiego wydarzenia nie mógł sobie nawet wymarzyć. Zawsze uważał się za znawcę Ameryki, mając za sobą liczne akcje przeciw Wrogowi Nr 1, jak nazywano Stany Zjednoczone w państwie, któremu kiedyś służył, a które już nie istniało, musiał jednak przyznać, że dopiero teraz, gdy spędził w nim kilka lat, zobaczył,

iż jest to w istocie kraj niepojęty, gdzie nic nie trzymało się kupy i zdarzyć mogło się wszystko: najpewniej to, co najbardziej na pozór nieprawdopodobne. I oto był kolejny dowód na słuszność tej tezy.

Biedny Ryan, myślał, stojąc w oknie i popijając kawę. W jego ojczyźnie — za którą zawsze będzie uważał ZSRR — nic takiego nie mogło się wydarzyć. Wystarczyłoby kilku mundurowych o ostrym spojrzeniu, żeby zbiegowisko się rozpierzchnęło, a jeśli to by nie wystarczyło, innych środków było bez liku. No ale, oczywiście, nie w Ameryce, gdzie prasa cieszyła się swobodą wilka w syberyjskiej tajdze. Uśmiechnął się do siebie na tę myśl. Pewnie, przecież wilki są w Ameryce chronione. Czyżby ci głupcy nie wiedzieli, jak chętnie basiory zagryzają ludzi?

— Może postoją i się rozejdą — powiedziała Maria, która cicho stanęła za jego plecami.

— Nie sądzę.

— To będziemy tutaj uwięzieni? — zapytała ze strachem w głosie.

Pokręcił głową.

— Nie, Mario.

— A jeśli nas odeślą?

— Tego nie zrobią. Nie mogą. Nie wydaje się zdrajców, taka jest reguła. Nie oddaliśmy im Philby'ego, Burgessa, Mac Leana, chociaż byli to już tylko alkoholicy i degeneraci. O nie, chroniliśmy ich, dostarczaliśmy wódki i pilnowaliśmy, żeby mogli dogadzać swoim małym perwersjom. Taka jest reguła.

Dokończył kawę i poszedł do kuchni, żeby wstawić filiżankę i spodek do zmywarki. Popatrzył na nią z niechęcią. Ani w moskiewskim apartamencie ani na dacy nie było takiego urządzenia, gdyż miał ludzi, którzy wykonywali wszystkie polecenia. W Ameryce udogodnienia zastępowały władzę, wygoda była substytutem wyróżnionej pozycji.

Służący. Wszystko to powinno być stać się jego udziałem. Pozycja, służący, władza. Związek Radziecki dalej powinien być mocarstwem szanowanym i podziwianym na całym świecie. On powinien być zostać sekretarzem generalnym Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego, a wtedy rozpoczęłyby nieodzowne reformy, aby ukrócić korupcję. Z pewnością osiągnąłby porozumienie z Zachodem i zaprowadziłby pokój, ale byłby to pokój między równoprawnymi partnerami, nie zaś narzucony z powodu nagłego paraliżu jednego z nich. Nigdy nie był doktrynerem, chociaż za takiego uważał

go durny Aleksandrow. Był w Partii — gdzie indziej mógł być człowiek, który czuł, że los przeznaczył go do wielkich zadań? — a kiedy ktoś dostanie się między wrony, musi krakać jak i one.

Jednak nie. Los go zdradził, używszy do tego osoby Johna Patricka Ryana, a stało się to w zimną i śnieżną noc moskiewską w odludnej zajezdni tramwajowej. Miał teraz zapewnione wygody i bezpieczeństwo, jego córka niedługo miała się wżenić w — jak to określali Amerykanie — „stare pieniądze”, co w innych krajach nazywa się arystokracją, a dla niego było zbiorowiskiem bezwartościowych trutniów, z przyczyny których komuniści dokonali zwycięskiej rewolucji. Żonie bardzo podobał się dom i wąskie grono znajomych. Natomiast w jego duszy gniew nigdy nie wygasł.

Ryan stanął na drodze jego przeznaczenia, pozbawił go władzy i możliwości pokierowania losem własnego narodu, a kiedy potem sam znalazł się w takiej roli, nie wiedział, jak z niej skorzystać. Czyż nie wstyd, zostać pokonanym przez kogoś takiego? Ale przecież ciągle jeszcze mógł się zemścić, czyż nie? Z tą myślą w głowie Gierasimow poszedł do przedpokoju, zmienił buty, nałożył skórzaną kurtkę i wyszedł. Przez chwilę zastygł w zamyśleniu, potem zapalił papierosa i wolnym krokiem poszedł

w kierunku natrętów. Miał do przebycia czterysta metrów, a przez ten czas obmyślał, w jakich słowach wrazić swoją wdzięczność wobec prezydenta Ryana. Uważna obserwacja Ameryki i obyczajów prasy okazała się teraz bardzo pomocna.

\* \* \*

— Czy obudziłem pana, szefie? — spytał Jones. W Pearl Harbor była dopiero czwarta nad ranem.

— Niezupełnie. Rozumiesz, kontaktami z prasą zajmuje się u mnie kobieta, która jest teraz w ciąży. Wolałbym jej nie zwałać tego całego gówna na głowę.

Wiceadmirał Mancuso siedział za biurkiem, a telefon, zgodnie z wyraźnym poleceniem, miał się odzywać tylko w naprawdę ważnych przypadkach. Do których niewątpliwie zaliczała się z rozmowa z dawnym podwładnym.

— Zadzwonili do mnie z NBC, żeby się czegoś dowiedzieć o małej robótce na Atlantyku.

— Co im powiedziałaś?

— A jak pan myśli, szefie? — Niezależnie od charakteru całej sytuacji nie bez znaczenie pozostawał też fakt, że Jones większość zamówień dostawał od Marynarki. — Ja ich olałem, ale. . .

— Ale ktoś zacznie mówić. Zawsze tak jest.

— Już i tak wiedzą za dużo. „Today Show” nadawał na żywo z Norfolk. Nietrudno się domyślić, dlaczego się tam znaleźli.

Mancuso spojrział w kierunku zgaszonego telewizora. Na poranne wiadomości NBC było jeszcze za wcześnie, wybrał więc CNN. Na razie nadawali sport, niedługo miał być skrót najważniejszych informacji.

— Za drugim razem mogą zapytać o tę drugą robótkę z płetwonurkiem.

— Otwarta linia, doktorze Jones — ostrzegł dowódca floty podwodnej na Pacyfiku.

— Przecież nie mówię gdzie, szefie. Po prostu musi pan o tym pomyśleć.

— Mhm — mruknął Mancuso.

— Niech pan mi powie jedno.

— Co takiego, Ron?



— O co w tym wszystkim chodzi? Niech mnie pan dobrze zrozumie, ja nie bąknę ani słówka, ale ktoś to zrobi, nie ma co. Zbyt dobra marynarska opowieść, żeby nie opowiedzieć. Ale jaki w tym sens? Czy nie mieliśmy racji?

— Mieliśmy — odparł admirał. — Ale ludzie chyba lubią takie numery.

— Wie pan, mam nadzieję, że Ryan się nie ugnie. W wyborach będę głosował na niego. Co to za numer, żeby wyrwać im spod nosa szefa KGB i . . .

— Ron!

— Szefie, ja tylko powtarzam to, co usłyszałem w telewizji. Chryste, pomyślał Jones, swoją drogą, co to za historia. A wszystko prawda.

Po drugiej stronie, na ekranie telewizora Mancuso pokazał się napis: Wiadomości.

\* \* \*

— Tak, nazywam się Mikołaj Gierasimow — oznajmił mężczyzna. Co najmniej dwudziestu reporterów cisnęło się po drugiej stronie muru z wyciągniętymi mikrofonami, a ich pytania zagłuszały siebie nawzajem.

— Czy to prawda, że był . . .

— Czy jest. . .

— Czy pan. . .

— Podobno. . .

— Proszę o ciszę — zawołał podniósłszy dłoń, a po jakichś piętnastu sekundach mógł już ciągnąć: — Tak, kierowałem kiedyś KGB. Wasz obecny prezydent Ryan nakłonił mnie do wyjazdu i od tego czasu mieszkam wraz z rodziną w Stanach Zjednoczonych.

— W jaki sposób nakłonił pana? — jeden głos przebił się nad inne.

— No cóż, w świecie wywiadu gra się, jak by to rzec, twardo, a pan Ryan jest dobrym zawodnikiem. W tym czasie w moim kraju toczyła się walka o władzę. CIA wzięła stronę nie mojej frakcji, lecz przeciwnej — Andrieja Iljicza Narmonowa. Pan Ryan oficjalnie przyjechał do Moskwy jako doradca podczas rozmów Start. Dał znać, że chce się ze mną spotkać, bo ma mi do przekazania jakieś informacje. — Gierasimow specjalnie kaleczył głoski, żeby jego słowa zabrzmiały jeszcze bardziej wiarygodnie. — Powiedzmy tak: zaszachował mnie groźbą, iż ujawni moje przygotowania do, jak to ujął,

zdrady. Nie miał racji, ale groźba była poważna, zdecydowałem się więc wyjechać do Ameryki. Ja przyleciałem samolotem. Moja rodzina przyплыnęła okrętem podwodnym.

— Okrętem podwodnym?

— Tak, „Dallas”. — Przerwał, a potem dodał ze zjadliwym uśmiechem: — Dlaczego tak uwzięliście się na prezydenta Ryana? Dobrze przysłużył się swojemu krajowi. To arcyszpieg — zakończył z podziwem.

\* \* \*

— Tak to wygląda. — Bob Holtzman wyłączył fonię i obrócił się do swego redaktora naczelnego.

— Przykro mi, Bob — powiedział tamten i zwrócił mu tekst. Rzecz miała się ukazać za trzy dni. Holtzman doskonale pozbierał wszystkie informacje i ułożył z nich spójny i pochlebny obraz człowieka, którego gabinet znajdował się o pięć przecznic dalej. Nie można jednak iść pod prąd. Wszystko zaczynało się od jednego artykułu, ale potem pojawiały się kolejne z serii i nikt, nawet tak doświadczony dziennikarz jak Holtzman,

nie mógł już odwrócić tego prądu, szczególnie, gdy nie znajdował poparcia we własnej gazecie.

— Widzisz — ciągnął redaktor z wyraźnym zakłopotaniem — oceniasz to zupełnie inaczej niż ja. A jeśli to rzeczywiście rewolwerowiec, facet, który lubi strzelać z biodra? W porządku, z tym okrętem, dobra sprawa, zimna wojna i tak dalej, ale potem mieszać się w wewnętrzne sprawy Sowietów? Czy ktoś nie może tego przedstawić jako akt wojny?

— Przecież nie o to chodziło. Chciał uratować agenta o kryptonimie Kardynał. Gierasimow i Aleksandrow chcieli wykorzystać tę sprawę, żeby utopić Narmonowa i zablokować reformy, które rozpoczął.

— Słuchaj, może powtarzać to przez cały boży dzień, ale chodzi o ostateczny wydzźwięk. Naprawdę chcesz, żeby jakiś „Arcyszpieg” kierował naszym krajem?

— Ryan nie jest nikim takim, do jasnej cholery! — zawołał poiryutowany Holtzman. — Zgoda, nie patyczkuje się...

— O tak, co do tego nie ma wątpliwości. Zabił co najmniej trzy osoby. Zabił, Bob! Jak mogło Rogerowi Durlingowi przyjść do głowy, że to odpowiednia kandydatura na wiceprezydenta? Ed Kealty to żaden orzeł, ale przynajmniej...

— Przynajmniej wie, jak nami manipulować, Ben. Najpierw owinął sobie wokół palca tego naiwniaka z telewizji, a potem popchnął nas wszystkich, żebyśmy rozdmuchali tę historię.

— No... — Benowi Saddlerowi na chwilę zabrakło argumentów, ale zaraz odzyskał rezon. — To wszystko fakty, tak?

— Ben, zbyt długo siedzisz w tym interesie, żeby nie wiedzieć że powyrywane z kontekstu fakty wcale nie są prawdą.

— Trzeba się im dokładnie przyjrzeć. Ryan wygląda na faceta, który w każdej sprawie idzie na skróty. Dlatego chcę czegoś więcej o tej kolumbijskiej hecy. Weźmiesz to? Masz dobre chody w Firmie, ale muszę powiedzieć szczerze, że zaczynam się lękać, czy potrafisz być obiektywny.

— Bob, jeśli chcesz mnie, to z całym dobrodziejstwem inwentarza. Albo będzie to moja historia, albo zawsze możesz przedrukować to, co idzie w „Timesie”.

Redaktor poczerwieniał. Prasowe życie nie zawsze toczyło się gładko.

— Temat jest twój, ale uważaj, co chcesz powiedzieć. Jedno jest pewne, ktoś złamał prawo, Ryan wszystko zatuszował, a na dodatek wyszedł z tego pachnący jak niewinna róża. Chcę, żebyś o tym napisał. — Saddler wstał. — Ja muszę siadać do wstępniaka.

\* \* \*

Darjaei ledwie wierzył swoim oczom i uszom. Trudno było wybrać lepszą porę. Za kilka dni miał wykonać następny krok w kierunku ostatecznego celu, a ofiara sama posuwała się na skraj przepaści. Teraz wystarczyło jej tylko odrobinę dopomóc i . . .

— Czy nie ma w tym jakiegoś podstępu? Wszystko wygląda aż za pięknie.

— Raczej nie — odparł Badrajn. — Na wszelki wypadek zasięgnę tu i ówdzie informacji, i jutro rano przedstawię raport.

— Jak to możliwe?

Ajatollah najwyraźniej nie mógł wyzbyć się podejrzeń.

— Czy pamiętacie, wasza świątobliwość, co mówiłem o lwach i hienach? W Ameryce to sport narodowy. Nie ma w tym żadnego podstępu. To nie w ich stylu. Ale, jak mówię, upewnię się. Mam swoje metody.

— Zatem do jutra.

## 34 — WWW.TERROR.ORG

Tak czy owak czekało go dużo pracy. Znalazłszy się u siebie, Badrajn uruchomił komputer. Poprzez superszybki modem i łącze światłowodowe połączył się z ambasadą irańską — teraz ZRI — w Pakistanie, a stamtąd z Londynem, skąd można już było wejść do Internetu bez obawy wyśledzenia. Obecnie prawie niemożliwe stało się to, co dawniej było chlebem powszednim służb kontrwywiadowczych i antyterrorystycznych. Miliony ludzi miały dostęp do produkowanych w całym świecie informacji, a potrzeba było na to znacznie mniej czasu niż zabrałoby samo dotarcie do samochodu, który dopiero podwiózłby do najbliższej biblioteki. Na początek przeglądnął prasy: od „Timesa”



w Los Angeles do „Timesa” w Londynie, z Waszyngtonem i Nowym Jorkiem jako stacjami pośrednimi. Historia była wszędzie ta sama — w WWW pojawiła się szybciej niż w wersjach drukowanych — natomiast różniły się odrobinę artykuły redakcyjne. Daty podawano wszędzie nieprecyzyjnie, ale czuło się, że o coś naprawdę chodzi. Wiedział, że Ryan był agentem wywiadu, wiedział, że szanowali go Brytyjczycy, Rosjanie i Izraelczycy. To, o czym rozpisywały się teraz gazety, pozwalało zrozumieć przyczyny tego szacunku, zarazem jednak odrobinę zbiło z tropu Badrajna, co zapewne zaskoczyłoby jego zwierzchnika. Wydawało się, że Ryan może być bardziej niewygodnym przeciwnikiem niż Darjaei zakładał. Nie tracił głowy w najbardziej gorących momentach, a takich ludzi nie należało lekceważyć.

Nie ulegało wątpliwości, że Ryan znalazł się teraz na nie znanym sobie terenie, co jasno wynikało z informacji prasowych. Kiedy Badrajn przeskakiwał od jednej strony z wiadomościami krajowymi do drugiej, na ekranie pojawił się zupełnie świeżutki wstępniak, który domagał się zbadania przez Kongres działalności Ryana w CIA. Nota rządu kolumbijskiego w gładkich dyplomatycznych zwrotach domagała się wyjaśnień, a to mogło oznaczać początek następnego sztormu. Jak Ryan poradzi sobie z tymi

oskarżeniami i żądaniami? Badrajn musiał przyznać, że nie potrafi odpowiedzieć na to pytanie, co pogłębiło jego niepokój. Skopiował najważniejsze artykuły i przystąpił do pracy.

Specjalna strona Internetu poświęcona była imprezom handlowym w Stanach Zjednoczonych, zapewne przeznaczona dla, jak to się kiedyś nazywało, komiwojażerów. No cóż, o coś takiego właśnie mu chodziło: dostawa towaru. Trzeba było tylko wybrać odpowiednie miasto. Okazało się, że każde centrum targowe miało własną stronę, na której dumnie wychwalało swe zalety. Niemal wszystkie zamieszczały plany i porady, jak najsprawniej dojechać; wszystkie — numery telefonów i faksów. Wybrał dwadzieścia cztery miejscowości; cztery ponad plan, na wszelki wypadek. Jego agenci nie mieli czego szukać na wystawie bielizny damskiej, chociaż... Najlepsze były targi odzieżowe, prezentujące kolekcje zimowe — chociaż do Iranu nie zawitało jeszcze nawet lato — oraz salony samochodowe. Producenci najróżniejszych wozów prezentowali swe towary jak Ameryka długa i szeroka. Niczym cyrk objazdowy, pomyślał, a to natychmiast nasunęło nowy pomysł. „Cyrk”. Wybrał odpowiednią stronę, ale — niestety. O kilka ty-

godni za wcześniej na takie imprezy. Szkoda, prawdziwa szkoda. Niech więc będą targi samochodowe. I inne.

\* \* \*

Członkowie grupy drugiej byli już teraz bardzo ciężko chorzy i nadszedł czas, aby skończyć ich cierpienia. Mniej chodziło o miłosierdzie, a bardziej o skuteczność. Nie należało ryzykować zdrowiem personelu medycznego, który musiał się kontaktować z ludźmi skazanymi na śmierć przez prawo i naukę, dlatego też każdemu z nich — pod czujną kontrolą wpatzonego w telewizyjne ekrany Moudiego — wstrzyknięto dużą dawkę dilaudidu. Nie upłynęło kilka minut, a wszyscy „pacjenci” byli martwi. Teraz zostaną powtórzone znane już działania, Moudi zaś pogratulował sobie w myślach, iż dobrze opracowane instrukcje nie doprowadziły do zarażenia kogokolwiek z personelu. W jakiejś mierze spowodowane to było jego bezwzględnością i w normalnym szpitalu rzeczy nie ułożyłyby się może tak pomyślnie.

To dziwny paradoks życia, że refleksje pojawiają się wtedy, kiedy jest już na nie za późno. Moudi z równym powodzeniem mógłby się starać zatrzymać bieg spraw, jak zmienić kierunek obrotu Ziemi.

Sanitariusze zaczęli układać zwłoki na wózkach, wyłączył więc aparaturę; nie musiał oglądać tego raz jeszcze. Skierował swe kroki do laboratorium.

Grupa laborantów umieszczała teraz „zupę” w pojemnikach zwanych przez obsługę termosami. Było ich wielokrotnie więcej niż wymagały potrzeby operacji, nadmiar był jednak w tej sytuacji wygodniejszy niż niedostatek, a poza tym — nigdy nie wiadomo, kiedy znowu trzeba będzie sięgnąć po zabójczy roztwór. Wykonane z nierdzewnej stali, która nie traciła swych właściwości w niskiej temperaturze, termosy miały pojemność trzech czwartych litra. Napelnione i zamknięte, były następnie spryskiwane płynem antyseptycznym, który zagwarantować miał to, że ich zewnętrzna powierzchnia pozostała nieskażona. Potem wózki powiozą je do umieszczonej w piwnicy chłodni, gdzie będą przechowywane w płynnym azocie. Wirusy ebola mogły tu trwać przez całe dziesięciolecia, zastygłe w temperaturze zbyt niskiej na to, by cokolwiek w nich się zmieniało, i oczekujące chwili, gdy znowu wystawione na ciepło i wilgoć będą mogły

się rozmnażać — i zabijać. Jeden z termosów pozostał z laboratorium, umieszczony w kriogenicznym pojemniku, który na wieku wyświetlał informację o panującej wewnątrz temperaturze.

Niejaką ulgę sprawiało mu to, że jego rola w całym przedsięwzięciu wkrótce się skończy. Patrzył jak jego podwładni uwijają się przy pracy i zgadywał, że muszą ich nawiedzać podobne myśli. Już wkrótce dwadzieścia pojemników na krem do golenia zostanie napełnionych zupełnie inną substancją, a kiedy opuszczą budynek, ten zostanie dokładnie, centymetr po centymetrze, odkażony, aby uczynić go na powrót bezpiecznym. Dyrektor cały ten czas spędzi w gabinecie, Moudi zaś... No cóż, nie mógł zgłosić się znowu do WHO. Szczególnie, że dla Światowej Organizacji Zdrowia nie żył, zginął w katastrofie samolotowej nie opodal wybrzeży Libii. Ktoś będzie się musiał zatroszczyć o jego nową osobowość i nowy paszport, aby mógł na nowo ruszyć w podróż, jeśli... do tego dojdzie. Czyż bowiem bezpieczniejszym rozwiązaniem nie było...! Ale nie, nawet dyrektor nie posunie się do czynu tak bezwzględnego...

\* \* \*

— Dzień dobry, czy mógłbym rozmawiać z doktorem Ianem MacGregorem?

— A kto mówi?

— Profesor Gus Lorenz z CCZ w Atlancie.

— Proszę zaczekać.

Gus musiał czekać niemal dwie minuty, więc mógł zapalić fajkę i otworzyć okno. Młodszy koledzy niekiedy podrzinali sobie z niego, ale przecież nie zaciągał się, a poza tym to tak pomagało w myśleniu. . .

— Doktor MacGregor — usłyszał młodzieńczy głos.

— Gus Lorenz z Atlanty.

— Ach, witam, panie profesorze!

— Jak mają się pańscy pacjenci? — spytał Gus poprzez siedem stref czasowych. Podobał mu się głos MacGregory'ego, który najwyraźniej pracował do późnego wieczoru. Tak, potrzeba wiele pracy, żeby być dobrym lekarzem.

— Mężczyzna ma się coraz gorzej. Natomiast dziewczynce szybko się poprawia.

— Doprawdy? Zbadaliśmy obie próbki, które pan przysłał i obydwie zawierają wirusa ebola, szczep Mayinga.

— Czy to już pewne? — spytał młody lekarz.

— Nie ma żadnej wątpliwości, doktorze. Sam przeprowadziłem testy.

— Tego się obawiałem. Wysłałem także próbki do Paryża, ale stamtąd nie miałem jeszcze żadnej odpowiedzi.

— Potrzebuję teraz kilku informacji — powiedział Lorenz i sięgnął po notatnik. — Proszę mi powiedzieć coś więcej o pacjentach.

— Z tym jest pewien kłopot, panie profesorze.

MacGregor nie wiedział, czy telefon jest na podsłuchu, ale w kraju takim jak Sudan należało to założyć. Dlatego też zaczął starannie dobierać słowa, aby przekazać przez ocean to, co przekazać musiał.

\* \* \*

— Widziałem cię wczoraj w telewizji.

Profesorowi Alexandre zależało na spotkaniu Cathy Ryan w stołówce, aby mógł powiedzieć właśnie te słowa. Lubił ją. Któż by się spodziewał, że specjalistka od skalpela i lasera (dla Alexandre'a były to specjalności bardziej związane z rzemiosłem niż „prawdziwą” medycyną, którą on się zajmował) będzie się interesować genetyką? Może potrzebowała teraz jakichś słów otuchy.

— Mhm — bąknęła Cathy, wpatrzona w sałatkę drobiową, podczas gdy Pierre zajmował miejsce przy stole. Mimochodem zauważył, jak zeszywniał siedzący obok agent ochrony.

— Dobrze wypadłaś.

— Naprawdę? — Podniosła wzrok i powiedziała: — Najchętniej bym go spoliczkowała.

— Tego nie dało się wyczuć, natomiast bardzo dzielnie stawiałaś u boku męża. Myśle, że to zrobiło wrażenie.

— Posłuchaj, co napadło tych dziennikarzy, przecież. . .

Alex się uśmiechnął.



— Kiedy pies sika na hydrant pożarowy, nie nazwiesz tego aktem wandalizmu. To jego psia natura i tyle.

Roy Altman mało nie zakrzuszył się cola.

— Żadne z nas tego nie chciało, rozumiesz? Alexandre podniósł ręce w żartobliwym geście kapitulacji.

— Znam ten ból. Ja też za nic nie chciałem wstępować do wojska. Wzięli mnie zaraz po szkole, no ale z czasem dość mi się to spodobało, dosłużyłem się nawet pułkownika. Okazało się, że trzeba było nieźle wysilać umysł, a to się zawsze opłaca.

— Tyle że mnie nie płacą za to, żeby mnie opluwano — powiedziała Cathy na poły z irytacją, ale na poły już z uśmiechem.

— Ani twojemu mężowi — dodał Pierre.

— Wiesz, czasami myślę, że całą tę pracę powinien wykonywać za darmo, a cze-ki im zwracać. W ten sposób podkreśliłby, że jest o wiele więcej wart, niż wszystkie pieniądze, jakie mu dają.

— Myślisz, żeby byłby z niego dobry lekarz?

Oczy Cathy rozblęły.

— Muszę mu to powtórzyć. Powinien był zostać chirurgiem. Chociaż nie... Raczej coś podobnego do twojej specjalności, bo zawsze intrygują go zagadki.

— I mówi to, co myśli.

Niemal parsknęła śmiechem.

— Co nie zawsze jest przyjemne.

— Wiesz co? Moim zdaniem on także wypadł bardzo dobrze. Nigdy się nie poznaliśmy, ale tam na ekranie podobał mi się. To pewne, że nie jest politykiem, ale może od czasu do czasu potrzeba nam właśnie kogoś takiego? Głowa do góry, pani profesor! Co złego może was spotkać? Twój mąż rzuci prezydenturę, wróci do szkoły, którą tak lubi, sądząc z jego słów, a tobie nikt przecież nie odbierze narody Laskera.

— Są znacznie gorsze rzeczy...

— Ale od tych mamy tutaj pana Altmana, nieprawdaż? — Alexandre obrzucił spojrzeniem Roya. — Mam wrażenie, że jest pan dostatecznie rozłożysty, żeby zasłonić szefa od pocisków. — Agent Tajnej Służby nic nie odpowiedział, ale jego spojrzenie wyraźnie mówiło, że tak, w razie potrzeby, będzie bronił prezydenta własnym ciałem. — Ale wam zdaje się nie wolno mówić takich rzeczy, hę?

— Wolno, jeśli ktoś nas spyta. — Przez cały dzień Altman chciał coś powiedzieć. Także on widział wywiad, a od rana w Oddziale wymieniano luźne uwagi o tym, co mogłoby się przytrafić paru reporterom. Ludzie z Tajnej Służby nie byli pozbawieni wyobraźni. — Proszę pani, my wszyscy bardzo lubimy całą waszą rodzinę, a nie mówię tego z czystej grzeczności. Nie zawsze przepadamy za swoimi podopiecznymi. Teraz jest inaczej.

— Cześć, Cathy.

Dziekani James uśmiechał się i machał do niej w przelocie.

— Cześć, Dave — odpowiedziała i dopiero teraz zaważyła, jak z różnych miejsc sali uśmiechają się do niej i pozdrawiają ją koledzy, nawet ci, których słabo знаła.

— Ale wiesz, Cathy, żeby nigdy się nie przyznać, że wyszłaś za Jamesa Bonda. . .

Nie wiadomo, jak zareagowałyby na tę uwagę z innych ust, ale zupełnie rozbroiły ją łobuzerskie błyski w oczach Alexandre'a.

— Niewiele wiem. Odrobinę mi opowiedział, kiedy Durling zaproponował mu wiceprezydenturę, ale. . .

Pierre podniósł rękę.

— Dobrze, dobrze. Są rzeczy, o których i mnie nie wolno mówić. W końcu od czasu do czasu nadal zjawiam się w Fort Derrick.

— Mówisz: James Bond. Ale to jest zupełnie inaczej niż na filmach. Nie robi się takich rzeczy, a potem drink, całusa dziewczynie i w drogę. Miewa nocne koszmary, usiłuję go uspokoić, a z rana on udaje, że nic się nie stało, niczego nie pamięta. A ja wiem tylko o paru rzeczach. Kiedy w zeszłym roku byliśmy w Moskwie, podszedł do Jacka Rosjanin i rzucił uwagę, że kiedyś celował mu w głowę z pistoletu — Altman poderwał wzrok na te słowa — ale wszystko tak jakoś żartobliwie, a potem dodał, że pistolet i tak nie był nabity. Zjedliśmy razem kolację, jak jacyś przyjaciele, poznałam żonę tamtego, która była — uwierzysz? — pediatrą! Ona lekarz, a on szef rosyjskich szpiegów...

— To już za bardzo naciągane — przerwał jej Alexandre ze zmarszczonymi brwiami i oboje parsknęli śmiechem. Po chwili spoważniała i powiedziała za smutkiem:

— To wszystko jest takie okropne.

— Okropne? Hmm... Dostaliśmy informację o dwóch przypadkach ebola w Sudanie.

Spojrzała mu prosto w oczy.

— Tam? To dziwne. Przywieziono je z Zairu?

— Gus Lorenz właśnie to sprawdza. Czekam na telefon od niego — odparł Alexandre. — Nie ma mowy o lokalnym pochodzeniu.

— Dlaczego? — wtrącił się Altman.

— Bardzo niekorzystne środowisko — wyjaśniła Cathy znad swej sałatki. — Gorąco, sucho, dużo słońca. Ultrafiolet zabija wirusy.

— Jak palnik gazowy — dorzucił Alexandre. — Na dodatek nie ma dżungli, gdzie można by się ukryć w ciele jakiegoś zwierzęcia.

— Tylko dwa przypadki? — spytała Cathy pomiędzy kęsami.

Pierre, zadowolony, że wreszcie wzięła się do jedzenia, przytaknął.

— Dorosły mężczyzna i kilkuletnia dziewczynka, na razie nie wiem nic więcej. Gus miał dzisiaj zrobić testy, być może już je skończył.

— Parszywy zarazek. A ty nadal nie wiesz, co go przenosi.

— Dwadzieścia lat badań — przyznał Alexandre. — Nigdy nie znalazłem chorego zwierzęcia, to znaczy, oczywiście, nosiciel nie będzie chory, ale wiesz, o co mi chodzi.

— Zupełnie jak śledztwo w sprawie kryminalnej? — spytał Altman. — Szukanie dowodów zbrodni.

— Tak — zgodził się Alexandre. — Tyle że mamy do przeszukania cały kraj, a nie bardzo wiemy, za czym się rozglądać.

\* \* \*

Don Russell obserwował, jak pojawiają się łóźeczka. Po lunchu — dzisiaj były to cheeseburgery, szklanka mleka i jabłko — dzieci układały się do drzemki — przynajmniej zdaniem dorosłych — było to znakomite rozwiązanie. Panna Daggett wszystkim zarządzała bardzo sprawnie i maluchy szybko przywykły do codziennej rutyny. Łóźeczka wydobyto ze schowka, gdzie składano je na resztę dnia, a wszyscy znali swoje miejsca. Foremka zaprzyjaźniła się z Megan O'Day; obie — podobnie jak co najmniej jedna trzecia rówieśników — były najczęściej ubrane w stroje Oshkosha z naszytymi kwiatkami lub króliczkami. Jedyne kłopot związany był z zaprowadzaniem dzieciarni do łazienki, aby podczas drzemki nie doszło do mokrych niespodzianek, które i tak się jednak przydarzały. Cała procedura zabierała około kwadransa, krócej niż przedtem

dzięki pomocy dwóch agentek. Potem małe postaci znikwały pod kocami przytulone do misiów, a na oknach pojawiały się zasłony. Panna Daggett oraz jej pomocnice zasiadały do lektury.

— Foremka zasnęła — oznajmił Russell, który wyszedł na chwilę na zewnątrz.

— Sądząc po głosie, to nie lada osiągnięcie — mruknął ktoś z trójki ulokowanej w domku po drugiej stronie ulicy. Ich Chevrolet Suburban znajdował się w garażu. Dwaj agenci zawsze znajdowali się przy oknach wychodzących na Giant Steps. Zerkali w szyby i umilali sobie czas grą w karty. Co kwadrans — bez dokładności co do sekundy — Russell lub ktoś z jego ludzi obchodził teren. Ruch na Ritchie Highway nieustannie śledziła kamera. Wewnątrz przedszkola jedna osoba zawsze znajdowała się w miejscu, skąd mogła obserwować drzwi wejściowe i wyjściowe. Tym razem była to młoda i urodziwa Marcella Hilton, która ani na chwilę nie rozstawała się z torebką, specjalnie sporządzoną dla policjantek. W bocznej kieszeni, gotowy do natychmiastowego użycia, spoczywał *SigSauer* wraz z dwoma zapasowymi magazynkami. Marcella dla podkreślenia „przebrania” zapuściła włosy długie jak u hippisi (aczkolwiek Don musiał jej dopiero wyjaśniać, kim byli hippisi).

Ciągle trapiły go obawy. Zbyt łatwy dojazd, miejsce zbyt blisko ruchliwej autostrady, zupełnie odsłonięty duży parking, który łatwo obserwować z ukrycia. Przynajmniej udało się zrobić porządek z reporterami, czego stanowczo zażądała Cathy po tym, jak ukazało się kilka artykułów o Katie i jej koleżankach. Jeśli teraz zjawiali się jacyś dziennikarze, grzecznie lecz stanowczo ich wypraszano. Jeśli nalegali, mieli do czynienia z Russellem, który dziadkową dobroduszość rezerwował dla przedszkolaków. Na użytek dorosłych miał surową minę i czarne okulary, które upodobniłyby go do Schwarzeneggera, gdyby tamten nie był o siedem centymetrów niższy od Dona.

Na dodatek jego ekipę zredukowano do sześciu osób: trzy w przedszkolu, trzy po drugiej stronie ulicy, uzbrojonych w *Uzi* i *M-16* z celownikiem. W innym miejscu taka szóstka zupełnie by wystarczyła, ale nie tutaj. Zwiększenie ochrony sprawiłoby jednak, że przedszkole przypominałoby twierdzę, a Ryan i tak miał dość kłopotów na głowie.

\* \* \*

— Jakie wiadomości, Gus? — spytał profesor Alexandre.



Po powrocie z lunchu dowiedział się, że nastąpiło pogorszenie u jednego z chorych na AIDS, zanim jednak się tym zajął, zadzwonił do Atlanty.

— Ebola Mayinga, podobnie jak w dwóch przypadkach z Zairu. Mężczyzna jest umierający, ale stan dziewczynki stale się polepsza.

— To znakomicie. Co różni oba przypadki?

— Nie jestem pewien, Alex — odrzekł Lorenz. — Bardzo niewiele wiem o pacjentach, tylko tyle że mężczyzna nazywa się Saleh a dziewczynka Sahaila. Mamy jedynie wiek, nic więcej.

— Arabskie imiona, prawda?

Ale Sudan był przecież krajem islamskim.

— Tak się zdaje.

— Trzeba się koniecznie dowiedzieć o różnice.

— Wiem. Skontaktowałem się z lekarzem. Nazywa się Ian MacGregor, skończył, jeśli dobrze pamiętam, uniwersytet w Edynburgu, chyba niezły. Tak czy owak, on też nie widzi żadnych różnic. Pojawili się w szpitalu niemal w tym samym czasie i w bar-

dzo podobnym stanie. Pierwsze objawy wskazywały na gripę albo skutek niedawnej podróży. . .

— Skąd przylecieli? — przerwał Alexandre.

— Zapytałem, ale oznajmił, że nie może powiedzieć.

— Dlaczego?

— I o to, oczywiście, spytałem. Także i tego nie mógł wytłumaczyć, ale powiedział, że nie wiąże się to z samą chorobą.

Ton głosu Lorenza zdradzał, co lekarz myśli o całej sprawie. Obydwaj dobrze znali kłopoty z miejscowymi władzami, szczególnie gdy chodziło o AIDS.

— Jakież informacje z Zairu?

— Nic. To prawdziwa zagadka. Ta sama choroba pojawia się w dwóch miejscach odległych o cztery tysiące kilometrów, i tu, i tam dwa przypadki, dwoje chorych zmarło, jeden kona, stan zdrowia drugiego się poprawia. MacGregor natychmiast nakazał odpowiednie środki ostrożności, z tego, co mówił, wynika, że zna się na rzeczy.

Przez telefon można się było domyślić, że ostatnim słowom towarzyszyło wzruszenie ramion.

Ten ochroniarz miał więcej racji niż przypuszczał, pomyślał Alexandre. Było tutaj tyle samo medycyny co pracy detektywa, a sprawy przedstawiały się czasami równie beznadziejnie jak morderstwo bez wyraźnych śladów i motywów. W książce to mogłoby być nawet interesujące, ale nie w rzeczywistości.

— Co robimy dalej?

— Wiemy, że wirus Mayinga żyje. Wydaje się taki sam jak ten sprzed lat. Sprawdzimy jeszcze proteiny i ich sekwencje, ale czuję przez skórę, że potwierdzi się identyczność.

— Ale co jest nosicielem, Gus? Żebyśmy to nareszcie wiedzieli!

— Dziękuję ci za sugestię!

Lorenz był poirytowany w tym samym stopniu i z tego samego powodu, chociaż obaj od lat już zmagali się z tym problemem. No cóż, myślał starszy z lekarzy, trzeba było kilku tysięcy lat, żeby rozwiązać zagadkę malarii, wirusem ebola zaś zajmujemy się dopiero od dwudziestu pięciu. Wirus nieustannie czekał, przyczajony, uderzając i znikając niczym seryjny morderca. Tyle że nie miał mózgu, żadnej obmyślanej strate-

gii, nawet przenosić się nie mógł o własnych siłach. Był bardzo dobrze przystosowany do życia w warunkach niezwykle ściśle określonych i rzadko występujących.

— Wystarczy, żeby człowiek pomyślał o solidnym drinku, co?

— Moim zdaniem szklaneczka burbona zabija wirusa, ale nie zmartwienia. Muszę skończyć, zaraz mam obchód..

— Jak ci jest w klinice? — zapytał Lorenz.

— Nieźle znowu poczuć się lekarzem. Lubię dodawać ludziom odwagi. Ale i to należy do zawodu, prawda?

— Przefaksuję ci wyniki analiz, jeśli chcesz. Dobra wiadomość, że oba przypadki zostały fachowo odizolowane — powtórzył Lorenz.

— Do usłyszenia, Gus — odparł Alexandre, ale ponieważ wzrok znowu spoczął na karcie choroby, myśli zajęły się już czymś innym. Biały, trzydzieści cztery lata, homoseksualista, pojawił się odczyn gruźliczy. Jak to zahamować?

Wstał od biurka i wyszedł z pokoju.

\* \* \*

— Nie jestem zatem odpowiednią osobą do porady w sprawie nominacji sędziów? — spytał z przekąsem Pat Martin.

— Nie przejmuj się tak — odpowiedział Arnie. — Zdaje się, że nikt z nas nie nadaje się do niczego.

— Z wyjątkiem ciebie — zauważył z uśmiechem prezydent.

— Wszyscy popełniamy błędy — mruknął van Damm. — Mogłem spokojnie odejść z Bobem Fowlerem, ale Roger powiedział, że potrzebuje mnie, żeby interes dalej się kręcił, więc...

— Tak — kiwnął głową Ryan. — Ja też znalazłem się tutaj na podobnej zasadzie. No dobrze, pańska opinia, panie Martin?

— W żadnym z tych przypadków nie zostało naruszone prawo. Spędził trzy godziny nad aktami CIA i podyktowanym przez Jacka raportem z akcji w Kolumbii. W ten sposób jedna z sekretarek Ryana, Ellen Sumter, dowiedziała się o sprawach absolutnie tajnych, w końcu jednak była sekretarką prezydenta, a Jack i tak uchylił już trochę rąbka ta-

jemnicy. — W każdym razie nie przez pana. Można byłoby oskarżyć Rittera i Moore'a, że nie przedstawili Kongresowi pełnego sprawozdania ze swoich tajnych poczynań, ale ci mogliby się bronić, że otrzymali takie polecenie od urzędującego prezydenta, nawiasem mówiąc, zgodne z duchem klauzuli do ustawy „O operacjach szczególnie ryzykownych”. Powiadam, można by im postawić takie zarzuty, ale sam wolałbym nie oskarżać w tej sprawie. Usiłowali ograniczyć zagrożenie, jakim są dla kraju narkotyki, a żaden sędzia nie chciałby zapewne torpedować takich poczynań, szczególnie, że w efekcie kartel z Medellin istotnie się rozpadł. Prawdziwy problem pojawia się w kontekście stosunków międzynarodowych. Kolumbia wydaje się rozdrażniona, nie bez powodu. Są postanowienia prawa międzynarodowego i traktatów, które regulują sprawę takiej działalności, ale nie jestem na tyle obeznany z tą dziedziną, aby ryzykować jednoznaczną opinię. Z amerykańskiego punktu widzenia najwyższym aktem prawnym jest konstytucja, która orzeka, że prezydent jest naczelnym dowódcą sił zbrojnych. Orzeka on, jako dysponent władzy wykonawczej, co jest, a co nie jest zgodne z interesami narodu, dlatego też może podjąć każdą akcję, która służyć ma obronie owych interesów, gdyż na tym właśnie polega władza wykonawcza. Uwzględniony przez konstytucję system

blokad i ograniczeń ma zapobiec nadużyciom w tym względzie, te jednak najczęściej dokonywane są wewnątrz kraju. Mówiąc szczerze, w przypadku użycia sił zbrojnych Kongres może nie uchwalić funduszy, ale to właściwie jest wszystko, na co go stać. Jak zatem pan widzi, panie prezydencie, w najważniejszych kwestiach konstytucja jest dosyć elastyczna. Została ustanowiona z myślą o rozsądnych ludziach, którzy będą działać w rozsądny sposób. Co do obieranych przedstawicieli narodu zakłada ona, że będą znać jego potrzeby i chronić je, że znowu się powtórzę, zgodnie z rozsądkiem.

Czy twórców konstytucji, myślał Ryan, można nazwać politykami czy też nie?

— A reszta? — spytał Arnie.

— Operacje CIA? Zdecydowanie nie naruszają prawa, ale możliwe są problemy natury politycznej. Jeśli chodzi o moje doświadczenia, to sprawy dotyczące szpiegostwa wspominam bardzo dobrze. Tyle że dziennikarze spragnieni są czegoś gorącego i pikantnego.

Zupełnie nieźle, myślał van Damm. Oto dowiadywał się, że trzeciemu prezydentowi, z którym miał współpracować, nie groziło, chwalić Boga, więzienie, aczkolwiek można

się było spodziewać pewnych komplikacji politycznych, dla niego mających największe znaczenie.

— Czy należy oczekiwać przesłuchań jawnych czy zamkniętych? — spytał.

— To problem polityczny. Najważniejsze są reakcje zagraniczne. Trzeba to omówić z Departamentem Stanu. Znalazłem się w dwuznacznej etycznie sytuacji. Gdybym w którejkolwiek z tych trzech spraw natknął się na możliwość naruszenia prawa, nie mógłbym z panem o tym rozmawiać. W razie czego, moje wyjaśnienie będzie wyglądało następująco: pan, panie prezydencie, zlecił mi zbadanie, czy nie doszło w tych przypadkach do złamania prawa przez inne osoby, a polecenie to, jako urzędnik federalny, musiałem wykonać.

— Byłoby naprawdę miło, gdyby ktoś z mego otoczenie zaczął wreszcie używać jakiegoś ludzkiego, a nie tylko sztywno prawniczego języka — zauważył zgryźliwie Ryan. — I bez tego mam naprawdę problemów po uszy. Na Bliskim Wschodzie powstało nowe państwo, najwyraźniej nieprzyjaźnie do nas nastawione. Chińczycy wyczyniają jakieś hece na morzu, a ja nie mam jeszcze pełnego składu Kongresu.

— To rzeczywiście problem — zgodził się Arnie.



— Umiem czytać. — Jack zrobił gest w kierunku stosu wycinków. Właśnie odkrył, że gazety zaczęły go honorować przysyłanymi z wyprzedzeniem tekstami nieprzyjaznych wstępniaków, które miały się ukazać dnia następnego. Jakże miło z ich strony. — Czasami czułem się w CIA jak Alicja w Krainie Czarów. Teraz Firma wydaje mi się spokojnym, normalnym światem. Dość już z tym. Jeśli chodzi o Sąd Najwyższy, przebrnąłem przez połowę listy. Wszystkie propozycje mi się podobają. Za tydzień podam swoje kandydatury.

— Stowarzyszenie Prawników podniesie wrzask.

— Trudno. Nie mogę się ugiąć. Przynajmniej tego nauczyła mnie ta milutka, wieczorna rozmowa. Co zrobi teraz Kealty?

— Jego jedyną taktyką to osłabiać cię politycznie, grozić skandalami i ostatecznie zmusić do rezygnacji. — Arnie podniósł rękę w obronnym geście. — Nie twierdzę, że to ma sens.

— W tym cholernym mieście niewiele rzeczy ma sens. Między innymi dlatego nie wolno mi ustąpić.

\* \* \*

Jednym z najważniejszych elementów scalających nowy kraj miała być, naturalnie, armia. Dywizje dawnej Gwardii Republikańskiej pozostawiono w starym kształcie, dokonując tylko niewielkich zmian w sztabach. Egzekucje z poprzednich tygodni nie unicestwiły co prawda wszystkich przeciwników nowych porządków, teraz jednak sięgnięto po mniej drastyczne rozwiązania. Osoby, które znalazły się w niełasce stawiano przed dość oczywistą alternatywą: „Albo ustępujesz i wynosisz się bez hałasu, albo...” W każdym z przypadków podania z prośbą o dymisję składano bez chwili wahania.

Jednostki te składały się w dużej mierze z weteranów wojny w Zatoce, a przygnębiające wspomnienia związane z klęską poniesioną z rąk Amerykanów zostały przynajmniej w jakimś stopniu zrekompensowane przez późniejsze triumfalne rozprawy z buntowniczymi Kurdami, co przywróciło żołnierzom część dawnej dumy i pewności siebie. Magazyny części zamiennych pozwoliły na poważne odnowienie sprzętu, którego ilość miała się wkrótce gwałtownie zwiększyć.

Pod osłoną nocy szosą do Abadanu ciągnęły konwoje ciężarówek, przy czym do minimum zredukowano łączność radiową, co nie było jednak żadną przeszkodą dla satelitów.

\* \* \*

Trzy dywizje pancerne — tak brzmiała natychmiastowa ocena, dokonana w Centrum Armii do spraw Wywiadu i Analizy Zagrożeń, które mieściło się w pozbawionym okien budynku na terenie koszar Marynarki w Waszyngtonie. Identyczne wnioski zostały sformułowane w DIA i CIA. Ocenę sił zbrojnych nowo powstałego kraju dopiero sporządzano, ale wstępne obliczenia wskazywały na to, że ZRI dysponowała dwukrotnie potężniejszymi siłami zbrojnymi niż wszystkie pozostałe państwa znad Zatoki razem wzięte. Można było założyć, że ostateczne wyniki będą jeszcze gorsze.

— Zastanawiam się, dokąd im tak spieszo? — powiedział dowódca zmiany, w czasie kiedy przewijano taśmy.

— Na południu Iraku znajdują się szyici — przypomniał pułkownikowi sierżant, który zajmował się tym rejonem.

— A zarazem najbliżej stąd do naszych sojuszników.

— Tak jest, panie pułkowniku.

\* \* \*

Mahmud Hadzi Darjaei miał nad czym myśleć, a zazwyczaj starał się to robić z dala od meczetu. Ten jednak należał do najstarszych w Iraku, a rozciągał się z niego widok na najstarsze miasto świata, Ur. Życie poświęcił Bogu i Wierze, ale znał też historię i był politycznym realistą, który nieustannie powtarzał sobie, że wszystko łączy się w jedności świata i dlatego powinno być uwzględnione w rachubach. W momentach słabości czy podniecenia (które dla niego nie różniły się istotnie) łatwo było sobie powtarzać, że pewne rozstrzygnięcia zostały zapisane nieśmiertelną ręką Allacha, ale Koran za cnotę uznawał także rozagę, o którą w tej chwili najłatwiej było mu się pokusić podczas spaceru po ogrodzie wokół meczetu.

To tutaj narodziła się cywilizacja. Cywilizacja pogańska, ale wszystkie rzeczy musiały od czegoś się zacząć, a nie było winą tych, którzy przed pięcioma tysiącami lat

zaczęli budować to miasto, że Bóg nie objawił im się jeszcze w pełni. Brak ten naprawili ci, którzy na tym miejscu wzniesli meczet i jego ogrody.

Teraz jednak świątynia domagała się odnowy. Darjaei schylił się, żeby podnieść z ziemi płytkę, która odpadła ze ściany. Była niebieska, tak jak starożytne miasto, któremu ponad pięćdziesiąt wieków temu barwę pośrednią pomiędzy niebem a morzem nadali budowniczowie pogańskich świątyń i pałaców monarszych. Teraz ta sama barwa oblekała meczety. Można było odłupać fragment ze ściany, a potem w piasku wykopać kawałek sprzed trzech tysięcy lat i trudno byłoby je odróżnić. W żadnym innym miejscu na świecie przeszłość nie splatała się w równym stopniu z terażniejszością. Panował tu osobliwy spokój, szczególnie w chłodną bezchmurną noc, gdy sam spacerował po ogrodowych alejkach, gdyż nawet jego straż osobista zatrzymała się, pełna szacunku, w oddali.

Nad głową świecił księżyc w nowiu, otoczony bezlikiem gwiazd. Na zachodzie widniało pradawne Ur, ongiś potężne miasto, także i dzisiaj godne zobaczenia ze swymi ceglanymi murami i wyniosłym ziguratem, wzniesionym na chwałę zapomnianych już bogów. Kiedyś, dawno temu, karawany nieprzerwanymi sznurami wpełzały przez po-

tężne bramy do miasta i wypełzały z niego, a zadaniem ich było dostarczanie wszystkiego: od zboża po niewolników. Dookoła rozpościerały się nie piaszczyste wydmy lecz bujne, zielone pola, a w powietrzu gwarno było od głosów kupców i podróżnych. Opowieść o rajach narodziła się najprawdopodobniej niedaleko stąd, gdzieś między dolinami Tygrysu i Eufratu, które wlewały swoje wody do Zatoki Perskiej.

Był pewien, że tamci ludzie musieli podobnie doświadczać świata. Tutaj jesteśmy my, myśleli zapewne, a tam — oni: uniwersalne określenie dla tych, którzy nie należą do naszej wspólnoty. „Oni” zawsze byli groźni. Najpierw byli nimi nomadzi, którzy nie mogli wprost pojąć samej idei miasta. Jak można wyżyć w jednym i tym samym miejscu? Skąd wziąć trawę dla kóz i dla owiec? Z drugiej strony, jakże wspaniale można się tu obłowić. To dlatego wokół miasta musiały się wznieść obronne mury, które jeszcze silniej podkreśliły oddzielenie „nas” i „ich”, cywilizacji i nieokrzesania.

I nic się nie zmieniło. Dalej w świecie są wierni i niewierni, tyle że nawet pośród tych pierwszych pojawiły się różnice. Stał pośrodku kraju, który był także centrum Wiary, przynajmniej w sensie geograficznym, i stąd islam rozpoczął pochód na zachód i wschód. Prawdziwe centrum jego wiary leżało w kierunku, w którym zawsze

się zwracał podczas modłów: na południowy zachód stąd, w Mekce, gdzie spoczywa Kaaba i gdzie nauczał Prorok.

\* \* \*

Cywilizacja narodziła się w Ur, potem powoli i mozolnie, zaczęła się stąd rozpełzać, a wraz z przyływami i odpływami czasu, miasto odradzało się i upadało, wszystko, myślał Darjaei, z powodu fałszywych bóstw, braku jednej, scalającej idei, która jest nieodzowna dla cywilizacji.

To miejsce wiele mówiło o ludziach. Można było niemal posłyszeć ich głos, oni zaś sami nie bardzo różnili się na przykład od niego. Kiedy podnosili głowy, widzieli nad sobą to samo niebo i piękno tych samych gwiazd. Wsłuchiwali się — przynajmniej najlepsi z nich — w ciszę, podobnie jak on, a stawała się ona tłem dla ich najgłębszych myśli, w których zadawali sobie Ostateczne Pytania i najlepiej, jak potrafili, szukali na nie odpowiedzi. Tyle że były to odpowiedzi wypaczone i dlatego mury padały i cywilizacje umierały jedna po drugiej — z wyjątkiem jednej.

Moim zadaniem jest przywrócić jej chwałę, oznajmił bezgłośnie Darjaei dalekim gwiazdom. A ponieważ jego religia była prawdziwym Objawieniem, więc dlatego i cała zogniskowana wokół niej kultura rozkwitnie na nowo właśnie na terenach dawnego Edenu. Tak, tutaj buduje swoje miasto. Mekka pozostanie grodem świętym, błogosławionym i czystym, wolnym od handlu i zanieczyszczeń. Dość było tutaj miejsca na budynki rządowe. Nowy początek rozpocznie się tam, gdzie dokonał się stary początek, a nowy naród wzrośnie w dumę i potęgę.

Najpierw jednak. . .

Darjaei spojrział na swe dłonie: stare i sękatę, poznaczone przez blizny dawnych tortur, ciągle jednak słuchające nakazów umysłu. Niedoskonałe narzędzie, tak jak on był tylko niedoskonałym narzędziem zamysłów Boga — ale przecież narzędziem wiernym, które zdolne było do karania, jak i kojenia cierpień. Potrzebne było jedno i drugie. Znał na pamięć cały Koran — co jego religia gorąco zalecała wiernym — i potrafił na każdą okoliczność przywołać odpowiedni cytat. Lepiej może niż inni wiedział, że często przeczą one sobie, wszystko jednak miało ostateczny fundament w woli Allacha, która była wyższa ponad pojedyncze słowa. Te zawsze trzeba było rozpatrywać we właści-



wym kontekście. Morderstwo to zło, które prawo koraniczne karało niezwykle surowo. Nie jest jednak złem zabicie wroga Wiary. Czasami różnica między tymi sytuacjami była trudna od ustalenia i dlatego za ostateczną przewodniczkę trzeba było mieć Wolę Najwyższego. Allah pragnął zgromadzić wszystkich wiernych pod dachem jednej religii, a chociaż wielu było takich, którzy dawali temu świadectwo słowem i uczynkiem, to jednak ludzie najczęściej byli słabi i wielu trzeba było zmusić, aby dostrzegli, gdzie leży ich dobro. Być może uda się połączyć sunnitów i szytów więzami pokoju i miłości, tak by jedni na drugich spoglądali z szacunkiem, ale najpierw trzeba stworzyć odpowiednie po temu warunki. Poza kręgiem islamu znajdowali się inni, a chociaż i ich obejmowała boża łaska, to przecież stracili do niej prawo, gdyż sprzeciwiali się Wierze i byli jej wrodzy. Im dłoń jego przyniesie karę, przed którą nie będzie ucieczki.

Nie będzie, gdyż usiłowali zniszczyć Wiarę, brukając ją pieniędzmi i dziwacznymi ideami, zagarniając bogactwa ziemi i porywając dzieci, aby wydawać je na swe zgubne nauki. Dla Wiary były niebezpieczne także wszelkie z nimi interesy. Będą próbowali udaremnić jego próbę zjednoczenia islamu. Jakiegokolwiek wytoczą racje ekonomiczne i polityczne, w istocie za wszystkimi stać będzie świadomość, że zjednoczony islam

jest śmiertelnym zagrożeniem dla ich bezbożności i obecnej potęgi. Byli wrogami tym groźniejszymi, że twarze skrywali pod maskami przyjaźni, a intencje — pod gładkimi słówkami.

Nie miał przeto wyboru. Przyszedł tu, aby dumać w samotności i zadać Bogu pytanie, czy jest jakaś inna droga. Ale ów błękitny kafelek opowiedział mu o tym, co było, o czasach, które odeszły, o cywilizacjach, po których zostały tylko niejasne wspomnienia i zrujnowane budynki.

Miał wizję i wiarę, której brakło wszystkim innym. Teraz chodziło tylko o to, aby wizję tę wprowadzić w życie pod kierunkiem tej samej Woli, która sterowała ruchem gwiazd na niebie. Bóg jako narzędzi wiary używał potopu, zarazy i klęsk. Mahomet nie cofał się przed wojną. Także i jemu więc nie wolno stchórzyć.

## 35 — Plan operacyjny

Kiedy siły zbrojne jakiegoś kraju zaczynają się przemieszczać, inni przypatrują się temu z najwyższą uwagą, aczkolwiek reakcja uzależniona jest od rozkazów przywódców. Przesunięcie sił irańskich do dawnego Iraku było sprawą wewnętrzną niedawno powstałej Zjednoczonej Republiki Islamskiej. Czołgi i inne pojazdy gaśnicowe zostały przewiezione na lorach, ciężarówki potoczyły się na własnych kołach. Wystąpiły normalne problemy. Niektóre oddziały, ku zakłopotaniu swych dowódców i wściekłości przełożonych, zmyliły drogę, wkrótce jednak każda z trzech dywizji trafiła do swej nowej siedziby, gdzie czekała już na nią tego samego typu dywizja iracka. Ponieważ

armia iracka została siłą okrojona, przybysze bez trudu mogli pomieścić się w nowych bazach, gdzie sztaby, prawie natychmiast połączone w centra korpusów, przystąpiły do organizowania wspólnych manewrów. Wzajemne zapoznanie się było utrudnione przez różnicę języków i kultur, niemniej obie armie korzystały z podobnych doktryn i podobnego uzbrojenia, a sztabowcy, podobnie myślący na całym świecie, bardzo troszczyli się o wzajemne zrozumienie.

— Ile?

— Trzy związki taktyczne w sile korpusu — oficer sprawozdawczy poinformował admirała Jacksona. — Jeden złożony z dwóch dywizji pancernych oraz dwa z pancernej i zmechanizowanej. Odrobinę są może ubodzy w artylerię, ale sprzętu zmechanizowanego mają pod dostatkiem. Wyśledziliśmy uwijające się po pustyni pojazdy dowodzenia i łączności.

— Coś więcej? — spytał Robby.

— Poligony artyleryjskie na zachód od Abu Sukajr zostały wyrównane i uprzątnięte, a w bazie lotniczej leżącej na północ od Nedżef pojawiły się nowe *MIG-i* i *Su*, ale w podczerwieni silniki są zimne.

— Ocena?

Tym razem pytanie postawił Tony Bretano.

— Panie sekretarzu, to może znaczyć wszystko — odpowiedział pułkownik. — Kiedy nowe państwo musi połączyć dwie różne armie, pojawia się wiele problemów. Zaskoczyło nas trochę, że integracja dokonuje się na szczeblu korpusów, gdyż to niesie ze sobą trudności logistyczne, ale z psychologiczno-politycznego punktu widzenia to nie jest głupie pociągnięcie, gdyż podkreśla ono, że jest to teraz jeden kraj.

— Nie ma żadnych zagrożeń dla nas? — upewnił się sekretarz obrony.

— Żadnych bezpośrednich, przynajmniej na razie.

— Jak szybko te korpusy mogą stanąć na granicy saudyjskiej? — zapytał Jackson, aby być pewnym, że jego zwierzchnik dostrzega całość problemu.

— Jeśli nie będzie kłopotów z paliwem, od czterdziestu ośmiu do siedemdziesięciu dwóch godzin. My potrzebowalibyśmy na to dwa razy mniej czasu, ale to już kwestia wyszkolenia.

— Skład formacji?

— Trzy korpusy to w sumie sześć dywizji, czyli ponad tysiąc pięćset czołgów, dwa tysiące dwieście bojowych wozów piechoty, ponad sześćset dział, ale dokładnie nie wiemy, gdyż ciągle mamy kłopoty z rozpoznaniem ich czerwonej drużyny. Przepraszam, panie sekretarzu, to nasze określenie na artylerię — wtrącił pułkownik. — Logistycznie wszystko zbudowane wedle starego radzieckiego modelu.

— Co to znaczy?

— Że logistyka jest ulokowana na poziomie dywizji. My też tak robimy, ale utrzymujemy oddzielne formacje, które wspomagają jednostki manewrujące.

— Głównie rezerwiści — rzucił Jackson pod adresem sekretarza.

— Radziecki model pozwala na bardziej zintegrowane jednostki manewrujące, ale tylko na krótki czas. Nie są w stanie wykonać operacji porównywalnych z naszymi pod względem czasu i odległości.

— Pozwolę sobie dodać — powiedział oficer sprawozdający — że kiedy w 1990 roku Irakijczycy wkroczyli do Kuwejtu, ograniczał ich logistyczny ogon. W pewnym momencie musieli się zatrzymać, żeby uzupełnić paliwo, amunicję i sprzęt.

— To tylko część prawdy — wtrącił Jackson. — Skoro zaczęliście, pułkowniku, to musicie skończyć.

— Po przerwie, która wyniosła dwanaście do czterdziestu ośmiu godzin, znowu byli gotowi do akcji, ale nie podjęli jej z przyczyn politycznych.

— Zawsze mnie to zastanawiało. Czy to znaczy, że mogli zdobyć saudyjskie pola naftowe?

— Bez trudu — potwierdził pułkownik. — Przez następne miesiące Saddam miał chyba o czym myśleć — dodał z odrobiną satysfakcji w głosie.

— Zatem potencjalnie jest to jednak poważne zagrożenie? Jacksonowi podobało się to, że Bretano stawia proste, zwięzłe pytania i uważnie wysłuchuje odpowiedzi. Zdawał sobie sprawę z tego, jak wielu rzeczy nie wie, i nie krył się z tym.

— Tak, panie sekretarzu. Trzy korpusy stanowią siłę podobną do tej, której użył Husajn. W razie agresji potrzebne będą także jednostki okupacyjne, ale to zupełnie inna sprawa. Bez wątpienia to potężna pięść.

— Na razie jednak w kieszeni. Ile trzeba czasu, żeby się to zmieniło?

— Co najmniej kilka miesięcy, jeśli nie robiliby tego na łapu-capu. Wszystko zależy od ich globalnych politycznych zamiarów. Ich oddziały są wyszkolone według odmiennych standardów, a zintegrowanie sztabów i organizacji korpusów to niełatwy problem.

— Proszę dokładniej — powiedział Bretano.

— To tak jak grupa kierująca jakąś firmą. Każdy powinien znać każdego, aby zaczęli myśleć w ten sam sposób i w lot rozumieli się nawzajem. Albo, powiedzmy, jak drużyna futbolowa. Jeśli ściągnie pan jedenastu facetów z różnych miast, nie może pan oczekiwać, że natychmiast zaczną grać koncertowo. Muszą nauczyć się tych samych zasad rozgrywki, muszą wiedzieć, czego można oczekiwać od każdego.

Sekretarz obrony pokiwał głową.

— Rozumiem. Problem nie w sprzęcie, lecz w ludziach.

— Właśnie, panie sekretarzu — powiedział pułkownik. — Prowadzić czołg nauczy się pan w kilka minut, ale nie od razu pozwoliłbym panu jeździć w mojej brygadzie.

— To pewnie dlatego tak się cieszyacie, że co kilka lat przychodzi zupełnie świeży sekretarz — zauważył z ironicznym uśmiechem Bretano.

— Sekretarze uczą się bardzo szybko.



— Co zatem powiemy prezydentowi?

\* \* \*

Okręty chińskie i tajwańskie zachowywały stałą odległość między sobą, zupełnie jak gdyby ktoś z północy na południe pociągnął niewidzialną linię przez Cieśninę Tajwańską. Jednostki Republiki Chińskiej naśladowały zachowanie przeciwników, niezmiennie tworząc ruchomą zasłonę oddzielającą ich od wyspy, ale obie strony przestrzegały niepisanych reguł.

Bardzo to cieszyło dowódcę USS „Pasadena”, którego załoga siedząca przy hydrolokatorach i radarach starała się rejestrować zachowanie obydwu flotylli, marząc o tym, aby nie doszło do wymiany ognia, z nimi, znajdującymi się między młotem a kowadłem,

— Torpeda w wodzie, kierunek dwa-siedem-cztery! — rozległ się okrzyk od sonaru. Wszyscy natychmiast się wyprężyli.

— Spokojnie! — rzucił komandor. — Dokładniej!

— Komandorze, taki sam zamiar jak kontakt Sierra Cztery Dwa, niszczyciel klasy *Luda II*, pewnie stamtąd odpalona.

— Cztery-dwa ma namiar dwa-siedem-cztery — potwierdził podoficer z sekcji radarowej — odległość dziesięć tysięcy metrów.

— Brzmi jak jedna z ich nowych torped, sześciopiórowa śruba, namiar zmienia się z północy na południe.

— Coś więcej? — spytał komandor, usiłując nie tracić spokoju.

— Celem może być Sierra piętnaście, panie komandorze.

Był to stary okręt podwodny klasy *Ming*, chińska kopia radzieckiej klasy *Romeo* zaprojektowanej pod koniec lat pięćdziesiątych. Okręt godzinę wcześniej wynurzył się, aby naładować baterie.

— Kierunek dwa-sześć-jeden, ta sama odległość.

Informację podał oficer kierujący sekcją radarową. Stojący po lewej szef sekcji hydroakustycznej przytaknął.

Komandor przymknął oczy. Pamiętał opowieści z dobrych, starych czasów zimnej wojny, jak to ludzie w rodzaju Barta Mancuso zapędzali się na północ na Morze Barentsa i czasami znajdowali się w centrum ćwiczeń ogniowych radzieckiej marynarki, być może omyłkowo wzięci za cel ćwiczebny. Dobra okazja, żeby sprawdzić wartość

radzieckiej broni, żartowali w zaciszu kantyn. Teraz wiedział, jak się wtedy musieli czuć.

— Mechaniczny dźwięk, źródło nie ustalone, kierunek dwa-sześć-jeden, brzmi jak pozorator, prawdopodobnie z Sierra Piętnaście. Namiar torpedy: dwa-sześć-siedem, przypuszczalna szybkość cztery-cztery węzła, kierunek przesuwają się ciągle z północy na południe! — dobiegł okrzyk od echosondy. — Chwila, nowa torpeda, namiar dwa-pięć-pięć!

— Żadnego kontaktu w tym kierunku, może być z helikoptera — poinformował szef sonarzystów.

Kiedy wróci do Pearl, będzie musiał wypytać Mancuso o tamte historie, pomyślał komandor.

— Ta sama charakterystyka akustyczna, kurs na północ, być może także na Sierra Piętnaście.

— W dwa ognie — mruknął pierwszy oficer.

— Na górze jest ciemno? — spytał nagle komandor. Czasami łatwo było zgubić rachubę.

— Tak, panie komandorze — potwierdził XO<sup>6</sup>.

— Czy w tym tygodniu przeprowadzali jakieś nocne akcje śmigłowców?

— Nie, panie komandorze. Wywiad mówi, że nie lubią w nocy wylatywać ze swych niszczycieli.

— Więc coś się zmieniło. Trzeba zobaczyć. Podnieść maszt ESM<sup>7</sup>.

— Jest, podnieść ESM.

Jeden z marynarzy pociągnął za odpowiednią dźwignię i z sykiem zaczęła się wysuwać napędzana hydraulicznie, cienka jak trzcina antena czujnika promieniowania elektromagnetycznego. „Pasadena” znajdowała się na głębokości peryskopowej, ciągnąc za sobą na kablu hydrolokator pasywny. Byli w najmniej zagrożonym miejscu, gdyby doszło do strzelaniny.

— Poszukać. . .

---

<sup>6</sup>XO — Executive Officer — zastępca dowódcy, pierwszy oficer (przyp. red.).

<sup>7</sup>ESM — Electronic Support/Surveillance Measures — elektroniczne środki wsparcia dozoru (przyp. red.).

— Mam, komandorze. Radar w paśmie K na kierunku dwa-pięć-cztery, typ lotniczy, częstotliwość i gęstość impulsów zgodna z francuskimi. Kręci się tu sporo radarów, chwilkę potrwa, zanim je sklasyfikujemy.

— Niektóre z ich fregat mają francuskie *Dauphiny* panie komandorze — przypomniał XO.

— Operacje nocne — powiedział w zamyśleniu dowódca. Tego się nie spodziewał. Helikoptery są kosztowne, a lądowanie na wąskich pokładach to w nocy zawsze ryzyko. Chińska marynarka szykowała się do czegoś.

\* \* \*

W Waszyngtonie nietrudno było się poślizgnąć. Stolica niezmiennie wpadała w panikę na wieść o pojedynczym płątku śniegu, chociaż nawet śnieżycy byłaby niewielkim strapieniem, gdyby w porę zabrano się do odśnieżania. Chodziło jednak o coś więcej. Tak jak niegdyś żołnierze na polu bitwy biegli za sztandarem, tak oficjele waszyngtońscy podążali za swymi dowódcami, ale czym bliżej szczytu, tym bardziej robiło się ślisko. Urzędnik niskiego czy średniego szczebla mógł pracować przy swoim biurku,

nie przejmując się osobą nowego szefa departamentu, czym jednak wyżej w hierarchii, tym częściej trzeba było samemu podejmować niełatwe decyzje, trzeba było od czasu do czasu nakazywać innym czy robić samemu coś, co nie całkiem zgadzało się z oficjalną wersją. Ktoś, kto regularnie zjawiał się w ważnym gabinecie — a najważniejszy znajdował się, oczywiście, w Zachodnim Skrzydle Białego Domu — zyskiwał sobie sławę i prestiż osoby mającej dostęp do wielkich tego świata, co zresztą poświadczało zdjęcie odpowiednio wyeksponowane na ścianie, jeśli jednak przytrafiało się coś osobie, obok której dumnie przeżyło się na fotografii, ta stawała się bardziej zawadą niż pomocą. Największą groźbę stanowiło to, że zamykały się drzwi zawsze dotąd stojące otworem i trzeba było dopiero próbować znaleźć do nich klucz, co mocno doskwierało ludziom, którzy już raz czy dwa sporo czasu poświęcili na takie zabiegi.

Najlepiej broniło przed taką sytuacją posiadanie kręgu przyjaciół i znajomych na tyle rozległego, aby znaleźli się w nim przedstawiciele wszystkich politycznych ugrupowań. Kiedy znało się wielu owych ludzi, przed którymi drzwi się otwierały, wtedy najgwałtowniejsze nawet zmiany na samych szczytach można było obserwować z niejakim spokojem, wiedząc, że piętro czy dwa piętra niżej rozpostarta jest ubezpieczająca

sieć znajomości. Także i ci ze świeczników cenili sobie jej obecność. Pod tym względem niewiele zmieniło się w porównaniu z dworem w starożytnych Tebach, gdzie sama znajomość z tymi, którzy mieli dostęp do faraona, oznaczała potęgę, dającą pieniądze i miłe poczucie ważności.

I podobnie jak w Tebach, także w dzisiejszym Waszyngtonie zbyt bliska zażyłość z niewłaściwymi dostojnikami groziła nieprzyjemnymi konsekwencjami, szczególnie jeśli faraon nie chciał uczestniczyć w grze, do której wszyscy zdążyli się przyzwyczaić.

A prezydent Ryan nie chciał. Przypominał uzurpatora na tronie, niekoniecznie złego człowieka, ale z całą pewnością obcego, który wzgardził mądrością establishmentu. Jego dostojnicy czekali cierpliwie, aż wzorem wszystkich prezydentów, zjawi się u nich po radę i naukę, ofiarując i otrzymując coś w zamian, jak działo się od wieków. Wspierali pomocą swego zapracowanego zwierzchnika, dbali o sprawiedliwość i pilnowali, by sprawy toczyły się swym starodawnym rytmem, którego słuszności dowodziło samo istnienie tych, którzy służyli systemowi i z niego korzystali.

Użytkowników Wielkiej Sieci w stan niejakiej konfuzji wprowadziło to, że stary system został nie tyle rozbity co zignorowany. Odbywali swoje bankiety i, nad kieliszkiem

Perriera oraz porcją pasztetu z gęsich wątróbek, z tolerancyjnym uśmiechem komentowali niewydarzone idee nowego prezydenta, który, mieli nadzieję, wreszcie przejrzy na oczy. Chociaż minęło już trochę czasu od owego niemiłego wieczoru, ozdrowienie nie przychodziło. Ludzie, którzy nadal znajdowali się „wewnątrz”, nominowani jeszcze przez Fowlera i Durlinga, zjawiali się na przyjęciach i oznajmiali, że niczego nie rozumieją. Najważniejsi lobbyści usiłowali uzyskać audiencję u prezydenta, tymczasem jego sekretariat uparcie informował, że szef jest niesłuchanie zajęty i nie ma czasu.

Nie ma czasu?

Nie ma czasu dla nich?

To zupełnie tak jakby faraon zniecka oznajmił wszystkim swoim dworzanom, że mają opuścić stolicę i rozjechać się do swych majątności. Jakże tak, żyć na prowincji. . . pośród pospólstwa?

Co gorsza, nowy Senat — a przynajmniej znaczna jego część — uległ zgubnemu wpływowi prezydenta. Powiadano, o zgrozo, że świeżo wybrany senator z Indiany miał na biurku kuchenny minutnik, który nastawiał na pięć minut, gdy miał do czynienia z kimś z grupy nacisku, i najwyraźniej nie słuchał, gdy usiłowano mu się uzmysłowić



absurdalność nowego systemu podatkowego. Z niedowierzaniem powtarzano sobie, że szefowi sławnej na cały Waszyngton firmy prawniczej, który jedynie chciał udzielić pewnych nauk nowicjuszowi z Peorii, powiedział ni mniej ni więcej, iż nie zamierza więcej wysłuchiwać takich rzeczy. Powiedział mu to, prosto w oczy. W innym kontekście historia taka byłaby nawet zabawna, zdarzało się bowiem także i wcześniej, iż przybywali do stolicy prowincjusze w głowami pełnymi mrzonek, jednak albo szybko się ich pozbywali, albo okazywało się, iż piękne słówka rezerwowali tylko dla wyborców.

Teraz było inaczej. Historia, ironicznie przedstawiona w jednym z pism ukazujących się w stolicy, w Indianapolis została przedstawiona z zainteresowaniem i sympatią, co powtórzyło kilka niezależnych redakcji. Nieopierzony senator zaczął chodzić w glorii niejakiej sławy i zdobywać naśladowców. Chociaż ich liczba nie była zbyt wielka, wystarczyła na to, aby jeszcze bardziej uprzykrzyć życie starym wyjadaczom, młokosa zaś wydzwignąć na stanowisko przewodniczącego ważnej podkomisji. Był to zaszczyt stanowczo zbyt wielki dla kogoś równie nieokrzesanego, przy czym sprawę pogarszał

fakt, że facet miał talent do używania fraz grzmiących, efektownych i mało uprzejmym, które dziennikarze cytowali z upodobaniem.

Nawet ci, którzy sami należeli do Sieci, informowali o nowych zdarzeniach, jakby doprawdy godne były upowszechniania.

Na rautach pokpiwano, że to tylko nowa moda, jak hula-hoop, zabawna i krótkotrwała, ale niektórzy zaczęli się niepokoić. Czasami wyrozumiały uśmiech zniknął w polowie dowcipu, a do głowy przychodziła nieprzyjemna myśl, iż może coś się na serio zmienia, chociaż wydawało się to niesłychane. Wszyscy wiedzieli, że system oparty jest na regułach, a reguł trzeba przestrzegać.

Podczas przyjęć w Georgetown coraz częściej można było zobaczyć zasepione twarze. Mieli eleganckie rezydencje, które trzeba było spłacać, dzieci, którym zapewniali wykształcenie, mieli pozycję w świecie, której utrzymanie wymagało znacznych kosztów.

Cała sprawa była doprawdy irytująca. Jak ci nowicjusze uzyskają niezbędną wiedzę, skoro nie chcą korzystać ze świątłych wskazówek doświadczonych bywalców? I czy owi bywalcy nie stanowili części narodu, który tamci mieli reprezentować? Czyż

nie za to brali pieniądze? Czyż nie nazywało się ich wybieralnymi przedstawicielami? Zaraz, zaraz, przecież niektórzy z nich w ogóle nie zostali wybrani, lecz wyznaczeni przez gubernatorów, którzy, myśląc jedynie o reelekcji, ulegli pełnym pasji, a kompletnie nierealistycznym słowom, wypowiedzianym przez Ryana w telewizji. Zupełnie jakby przemówił nowy prorok.

Podczas rozmów w Chevy Chase wyrażano obawy, że prawa, jakie ustanowią owe żółtodzioby, będą niestety... prawami, będą posiadały moc, chociaż zbraknie w nich mądrości. I oto okaże się, że ustawy mogą powstawać bez światłej pomocy, a była to perspektywa zdecydowanie niewesoła.

No i jeszcze wybory do Izby Reprezentantów, które lada dzień miały się rozpocząć w całym kraju. Znaney pokpiwali sobie, iż określenie „Izba” jest bardzo na miejscu: 435 prawodawców — każdy z własnym sztabem współpracowników — którzy nie kończące się debaty, posiedzenia i narady odbywać musieli w budynkach zajmujących niecałe dwadzieścia akrów. Prasa centralna na cały kraj rozgłaszała bulwersujące informacje lokalne; w szranki wyborcze stawali ludzie zupełnie niedoświadczeni, którzy nie mieli dotąd styczności z wielką polityką: biznesmeni, terenowi działacze samorządo-

wi, adwokaci, pastorzy, nawet kilku lekarzy. Niestety, należało się liczyć z możliwością sukcesu niektórych z nich, chwyтали się bowiem hasel populistycznych, mówili o konieczności pomocy prezydentowi i o „uzdrowieniu” Ameryki. Tymczasem Ameryka na nic nie chorowała, twierdzili ludzie z Wielkiej Sieci, gdyż oni przez cały czas czuwali nad jej zdrowiem!

Wszystko to było sprawką Ryana. Nigdy nie należał do ich grona. Miał czelność powtarzać przy każdej możliwej okazji, że w ogóle nie chciał być prezydentem!

Nie chciał???

Jak można nie chcieć tak wielkiej władzy, tylu zaszczytów do rozdania, tylu pochlebstw do wysłuchania?

Nie chciał???

A więc był obcym, był uzurpatorem.

Wiedzieli jednak, jak sobie z kimś takim poradzić. Niektórzy podjęli już wstępne manewry. Nie ci z wysokich pięter. Osoby mniej znaczne, działające w mniej ekspozowanych gremiach, za to skutecznie wykorzystujące fakt, że Sieć nie przestała istnieć i funkcjonować. Sieć zaś dysponowała nie jednym językiem i nie do jednych uszu

przemawiała. Obyło się bez planu, konspiracyjnych zebrań. Wszystko działo się samo z siebie, naturalną kolejną rzeczą. Jak zawsze.

\* \* \*

Badrajn ślęczał przed komputerem. Kluczową kwestię stanowił czas, a chociaż we wszystkich jego przedsięwzięciach był on ważny, teraz chodziło nie o precyzję utrafienia w odpowiedni moment, lecz o skrócenie trwania podróży. Poważnym utrudnieniem był fakt, że Teheran nadal był traktowany przez Zachód po macoszemu i z niejaką podejrzliwością, dlatego też niewielka była oferta przewoźników.

Zdumiewająco mało udało się znaleźć rejsów samolotowych nadających się do celów misji.

KLM, rejs numer 534, Teheran 1.10, jedno międzylądowanie, Amsterdam 6.10.

Lufthansa, rejs numer 601, Teheran 2.55, bez międzylądowania, Frankfurt nad Menem 5.50.

Aerofłot, rejs numer 516, Teheran 3.10, Moskwa 7.10.

Austrian Airlines, rejs numer 774, Teheran 3.40, bez międzylądowania, Wiedeń 6.00.

Air France, rejs numer 165, Teheran 5.25, Paryż, Charles de Gaulle 9.00.

British Airways, rejs numer 102, Teheran 6.10; jedno międzylądowanie, Londyn, Heathrow 12.45.

Żadnego bezpośredniego rejsu do Rzymu, Aten, a nawet Bejrutu! Mógłby co prawda wysłać ludzi z przesiadką w Dubaju — linie lotnicze Zjednoczonych Emiratów i Kuwejtu, rzecz charakterystyczna, utrzymywały stałe połączenia z Iranem — ale uznał, że nie jest to najlepszy pomysł.

Tylko kilka samolotów do wykorzystania, we wszystkich z pewnością zagraniczni agenci, albo przynajmniej załoga poinstruowana, na co zwracać uwagę i o czym informować jeszcze w trakcie lotu. Nie tylko więc czas był problemem.

Wybrał dobrych ludzi, w większości wykształconych, potrafiących się ubrać i poprowadzić rozmowę, a także grzecznie się od niej uchylić. Na liniach międzynarodowych najłatwiej było symulować sen, gdyż tak wielu pasażerów nie musiało go uda-

wać. Wystarczył jednak tylko jeden błąd, żeby cała misja została zagrożona. Wyraźnie ich o tym uprzedził.

Ze wszystkich portów docelowych Moskwa była najmniej atrakcyjna. Znacznie lepsze były: Londyn, Frankfurt, Paryż, Wiedeń i Amsterdam; codziennie jedno połączenie, a w każdym z tych miast możliwość skorzystania z całego mnóstwa przewoźników z całego świata, nie tylko Stanów Zjednoczonych. Zatem jedna grupa skorzysta z rejsu 601 do Frankfurta, skąd niektórzy udadzą się do Brukseli (a dalej Sabeną do Nowego Jorku) i Paryża (potem zaś Air France do Waszyngtonu, Delta do Atlanty, American Airlines do Orlando, United do Chicago), podczas gdy reszta poleci Lufthansą do Los Angeles. Grupa, która skorzysta z British Airways będzie miała następnie najwięcej możliwości do wyboru, a pośród nich Concorde do Nowego Jorku. Podstawowym zadaniem będzie nie zwracanie na siebie uwagi podczas pierwszego etapu podróży. Potem rozpląną się w anonimowym tłumie, korzystającym z usług międzynarodowego ruchu lotniczego.

Tam jednak, gdzie w grę wchodziło dwadzieścia osób, ryzyko pomyłki zwiększało się dwudziestokrotnie. Największym strapieniem było zawsze zabezpieczenie operacji. Połowę życia spędził na tym, by przechytryć Izraelczyków, a chociaż fakt, że żył

i działał, był najlepszym dowodem jego zdolności, to jednak tarapaty, w jakich nieraz się znajdował, osobę o słabszych nerwach doprowadziłyby do szaleństwa. W każdym razie plan podróży ułożony. Jutro zapozna z nim wykonawców. Spojrzał na zegarek. Właściwie dzisiaj.

\* \* \*

O dziwo, nie wszyscy beneficjenci Sieci podzielali krytyczny pogląd na działania prezydenta. Cóż, w każdej grupie znajdą się cynicy, czasami bojkotowani, czasami tolerowani, czasami z racji swej oryginalności akceptowani. Bywalcy, stojąc wobec wyzwania, jakim stawały się poglądy kogoś z ich grona, czasami przybierali pozę filozoficznej cierpliwości — przyjdzie jeszcze okazja, żeby się odegrać — ale tylko czasami. Szczególnie trudno było ustalić, jak traktować ludzi z prasy i telewizji, którzy jednocześnie należeli i nie należeli do towarzystwa. Należeli, gdyż mieli własne powiązania z tuzami polityki i docierali do najtrudniej dostępnych gabinetów, można więc było dowiedzieć się od nich interesujących rzeczy o wrogach i o przyjaciółach. Nie należeli, gdyż nie sposób było im ufać; można ich było wykorzystywać do swoich celów, sterować nimi



przy użyciu pochlebstwa i plotki, ale ufać? Nie, przenigdy. A w każdym razie, nie do końca. Niektórzy mieli nawet zasady.

— Arnie, musimy porozmawiać.

— Chyba tak — zgodził się van Damm, natychmiast rozpoznając rozmówcę, który znał jego bezpośredni numer.

— Dziś wieczór?

— Dobrze. Gdzie?

— U mnie?

Szef personelu Białego Domu zastanawiał się przez chwilę.

— Zgoda.

\* \* \*

Delegacja zjawiała się tuż przed wieczornymi modłami. Obie strony wymieniły serdeczne pozdrowienia, a następnie cała trójka weszła do meczetu, aby dopełnić religijnego rytuału. W normalnej sytuacji czuliby się potem oczyszczeni i odprężeni, tak jednak

się nie stało. Panujące napięcie było łatwo wyczuwalne, szczególnie dla jednego z rozmówców.

— Dziękujemy, że wasza świątobliwość zechciał nas przyjąć — zaczął książę Ali ibn Szeik. Nie widział powodu, by wspominać o tym, że oczekiwanie trwało bardzo długo.

— Cieszę się, że zdrowie was nie opuszcza — odparł Darjaei. — Dobrze jest pomodlić się razem. — Poprowadził swoich gości do stolika przygotowanego przez ludzi z jego ochrony, gdzie miała zostać podana kawa — gorąca i mocna. — Niech Allah pobłogosławi temu spotkaniu, przyjaciele. Czy mogę być w czymś pomocny?

— Chcielibyśmy porozmawiać o najnowszych wydarzeniach — odparł następca tronu, który upił łyk kawy, wpatrując się uważnie w Darjaeiego. Jego towarzysz, kuwejcki minister spraw zagranicznych, Mohammed Adman Sabah, na razie milczał.

— A o czym konkretnie? — spytał Darjaei.

— O waszych zamiarach, wasza świątobliwość — oznajmił bez ceregieli Ali. Duchowy przywódca Zjednoczonej Republiki Islamskiej westchnął.

— Wiele jest pracy do wykonania. Wszystkie te lata wojen i cierpienia, tak wiele ofiar ponoszonych daremnie, tak wiele szkód... Czyż nawet ten meczet nie jest tego świadectwem?

Darjaei wskazał na podupadającą świątynię.

— Tak, wiele było powodów do smutku — zgodził się Ali.

— Jakie zamiary? Chcę odrodzenia. Ci nieszczęśliwi ludzie zbyt wiele doświadczyli. I po co te wszystkie poświęcenia? W imię ziemskich ambicji bezbożników. Ta niesprawiedliwość wołała do Allacha o pomstę i Allah wysłuchał tego wezwania. Teraz może powróci między nas umiłowanie Boga i dostatek.

— To przedsięwzięcie na długie lata — zauważył minister Kuwejtu.

— Z pewnością — pokiwał głową Darjaei. — Teraz, gdy nie ciąży już na nas embargo na sprzedaż ropy naftowej, możemy do jego przeprowadzenia spożytkować bogactwa naszych ziem. Będzie to początek nowej epoki.

— Życia w pokoju — dorzucił Ali i zerknął badawczo na Darjaeiego.

— W pokoju — zapewnił solennie ajatollah.

— Czy możemy przyczynić się do tego dzieła? Jednym z filarów Wiary jest wszak szczodrość — powiedział Sabah, gość z Kuwejtu.

Odpowiedzią było niskie skłonienie głowy.

— Każdą dobrą intencję powitać trzeba z radością. I niechże jak najczęściej kierują nami wskazania wiary, a nie doczesne rachuby, które tak bezpiecznie zapanowały nad światem islamu. Na razie jednak, jak sami widzicie, tak wiele spraw domaga się załatwienia, że nie sposób ogarnąć ich wszystkich i ocenić, w jakiej kolejności je rozwiązywać. Dlatego bardziej szczegółowe rozmowy odłożyć trzeba na inną okazję.

Pomimo kwiecistych słów nietrudno było się zorientować, że oferta pomocy została odrzucona. Zgodnie z najgorszymi obawami księcia Alego, rozmówca nie kwapił się do wspólnych interesów.

— Podczas następnego spotkania krajów OPEC — Saudyjczyk podjął jeszcze jedną próbę — możemy podnieść problem takiego ustalenia kwot wydobycia, żeby zapewnić także ZRI godny udział w naszych zyskach.

— Tak nakazywałaby sprawiedliwość — zgodził się Darjaei. — Nie wymagamy wiele. Potrzeba drobnych korekt.

— W tej kwestii porozumieliśmy się zatem? — spytał Sabah.

— Oczywiście. To techniczna kwestia, którą mogą dopracować w rozmowie nasi specjaliści.

Obaj goście pokiwali głowami, myśląc w duchu, że właśnie uzgodnienie kwot wydobycia było problemem wzbudzającym zawsze najwięcej emocji. Gdyby wszystkie kraje posiadające ropę naftową wydobywały ją, nie oglądając się na żadne ograniczenia, ceny na rynkach światowych poleciałyby w dół, na czym straciliby wszyscy. Z drugiej strony, gdyby na produkcję nałożył nadmierne ograniczenia, ceny poszybowałyby tak wysoko, że klienci zmniejszyliby zamówienia, co także ostatecznie zmniejszyłoby zyski. Właściwe wypośrodkowanie ceny było każdego roku przedmiotem zawitych konsultacji ekonomicznych, utrudnianych dodatkowo przez to, że system gospodarczy każdego z uczestniczących w nich państw był odrębny i odrębną realizował politykę.

— Czy wasza świątobliwość chce przekazać coś za naszym pośrednictwem rządcom naszych krajów? — spytał Sabah.

— Pragniemy tylko pokoju, gdyż tylko on pozwoli, zgodnie z wolą Allacha, dwie nasze wspólnoty scalić w jedną. Niczego nie musicie się lękać z naszej strony.

\* \* \*

— Panów opinia?

Skończył się kolejny cykl ćwiczeń. Na podsumowaniu zjawili się wysocy oficerowie izraelscy, z których co najmniej jeden zajmował się wywiadem. Pułkownik Sean Magruder był wprawdzie kawalerzystą, ale, jak każdy wyższy dowódca, był nienasyconym pożeraczem informacji.

— Myślę, że Saudyjczycy są bardzo podenerwowani, podobnie jak i cała reszta sąsiadów.

— A pan?

Avi ben Jakob, oficjalnie wojskowy, co także i w tej chwili podkreślił przez nałożenie munduru, był zastępcą szefa Mossadu. Zastanawiał się, ile może ujawnić, ale przy zajmowanym przez niego stanowisku decyzja należała w istocie do niego samego.

— Także i my nie jesteśmy tym wszystkim zachwyceni.

— Historycznie rzecz biorąc — zauważył Magruder — sporo było kontaktów między Izraelem i Iranem, a jeśli brać pod uwagę kulturowe, to trzeba by się cofnąć aż do

imperium perskiego, bo zdaje się, że wasze święto Purim pochodzi z tamtego okresu. Ale nawet po upadku szacha izraelscy piloci wykonywali jakieś loty po stronie Iranu podczas wojny z Irakiem.

— W Iranie było wielu Żydów, więc trzeba było spróbować wydostać ich stamtąd — pośpiesznie wyjaśnił Jakob.

— Zdaje się, że to wy pośredniczyliście w rokowaniach „broń za zakładników”, które rozpoczął Reagan — dorzucił Magruder, aby pokazać, że i jemu niejedno obilo się o uszy.

— Nieźle ma pan informacje — mruknął Izraelczyk.

— Ich zdobywanie należy do moich obowiązków. Daleki jestem od ferowania ocen; kiedy jest jakaś sprawa do załatwienia, różne metody mogą prowadzić do jej realizacji. Teraz najbardziej interesuje mnie, co sądzicie, panowie, o ZRI.

— Uważamy Darjaeiego za najniebezpieczniejszego człowieka na świecie.

Magruder pomyślał o ściśle tajnej informacji na temat przerzucenia sił irańskich do Iraku, która dotarła do niego kilka godzin wcześniej.

— Mocne słowa, ale chyba uzasadnione.

Z czasem polubił Izraelczyków, chociaż nie zawsze tak było. Przez lata amerykańscy wojskowi serdecznie ich nie znosili z powodu arogancji i buty najwyższych dowódców małego państwa. Potem jednak wojna w Zatoce pokazała Izraelczykom prawdziwą wartość armii amerykańskiej. Zamiast powtarzać, wzorem lat ubiegłych, że nie trzeba ich uczyć, jak prowadzić wojnę w powietrzu i na lądzie, zaczęli studiować amerykańską doktrynę wojenną.

Niebagatelną rolę w zmianie tego nastawienia odegrało pojawienie się Bizonów na pustyni Negew. Amerykańska tragedia w Wietnamie ukróciła innego rodzaju arogancję, a efektem tego był nowy typ profesjonalizmu. Pod dowództwem Mariona Diggsa, pierwszego zwierzchnika odrodzonego 10. pułku kawalerii pancerniej, odbyło się kilka twardych lekcji, a jego następca, Magruder, udzielał teraz ich żołnierzom izraelskim, którzy przejść musieli to samo, co ich amerykańscy koledzy w Fort Irwin. Początki były mało obiecujące, pierwsze nieporozumienia omal nie zakończyły się bijatyką. Niemniej, kiedy Even Benny, dowódca izraelskiej 7. Brygady Pancerniej opuszczał pustynię Negew, mając na koncie kilka remisowych pojedynków z amerykańskimi instruktorami, serdecznie im podziękował za otrzymaną naukę i obiecał, że za rok zdecydowanie im



dokopie. Komputer w miejscowej Sali Gwiazdnych Wojen informował, że w ciągu kilku zaledwie lat wyniki jednostek izraelskich poprawiły się o czterdzieści procent, a teraz, chociaż ich oficerowie mieli z czego być dumni, wykazywali bardzo wiele samokrytycyzmu i pasji do nauki.

I oto jeden z ich najważniejszych wywiadowców ocenił powstałą sytuację powściągliwie i chłodno, nie oświadczając z pogardą, iż jego kraj w puch rozbije wszystko, czym może mu zagrozić świat islamu. Magruder odnotował w pamięci, by wspomnieć o tym w raporcie dla Waszyngtonu.

\* \* \*

Samolot, który „wpadł” do Morza Śródziemnego, nie mógł już teraz pokazywać się za granicami kraju. Nawet wykorzystanie go do odstawienia irackich generałów do Sudanu było błędem, teraz więc korzystał z maszyny jedynie Darjaei, któremu ciągle brakowało czasu, a władał ogromnym krajem. Nie minęły dwie godziny od rozmowy z sunnickimi gośćmi, a był na powrót w Teheranie.

— Słucham.

Badraj rozłożył na biurku papiery i zaczął wyliczać miasta, trasy i harmonogramy. Ten kurier, na przykład, wyleci z Teheranu o szóstej rano, aby do Nowego Jorku dotrzeć o drugiej czasu lokalnego, czas podróży wyniesie zatem dwadzieścia godzin. Stanowiące cel podróży centrum targowe imienia Jacoba Javitsa otwarte będzie do godziny dziesiątej wieczorem. Wyrusza o 2.55, po dwudziestu trzech godzinach przybędzie do Los Angeles, gdzie będzie wtedy świtać, a centrum targowe działać będzie przez cały dzień. Była to najdłuższa trasa, a i tak u jej kresu osiemdziesiąt procent zawartości „przesyłki” pozostanie aktywne.

— Nie wykryją ich?

— Wybrałem ludzi inteligentnych i wykształconych; wszyscy zostali starannie poustrzuowani. Chodzi jedynie o to, by niczym się nie wyróżniali, nie zwracali na siebie uwagi. Oczywiście, istnieje pewne zagrożenie, związane z tym, że zadanie wykonuje naraz dwadzieścia osób, ale taki był wasz rozkaz.

— Druga grupa?

— Wyruszą dwa dni później, podobnymi trasami. Tutaj niebezpieczeństwo jest znacznie większe.

— Zdaję sobie z tego sprawę. Czy to ludzie bogobojni?

— Tak — odparł Badrajn. — Niepokoi mnie ryzyko polityczne.

— Jakie?

— Natychmiast pojawi się pytanie, kto ich nasłał, chociaż dokumenty będą bez zarzutu i zapewni się wypróbowane środki bezpieczeństwa. Chodzi mi natomiast o samą Amerykę. Nieszczęśliwy wypadek, jaki przytrafia się politykowi, może spowodować wzrost sympatii do niego, a w ślad za tym — także politycznego poparcia.

Darjaei uniósł w zdumieniu brwi.

— A nie będzie dowodem jego słabości?

— U nas tak by było, u nich — niekoniecznie.

Darjaei zastanawiał się chwilę nad tymi słowami, a potem pokręcił głową.

— Widziałem Ryana i wiem, że to człowiek słaby. Nie potrafi sobie radzić ze swoimi kłopotami, nadal nie ma jeszcze zorganizowanego rządu. Jedno uderzenie, w chwilę potem drugie, załamanie go, a przynajmniej tak zaabsorbuje, że będziemy mogli nie brać pod uwagę Ameryki przy realizacji następnego celu.

— Lepiej ograniczyć się do pierwszej misji — przestrzegł Badrajn.

— Nie, musimy zadać im taki cios, jakiego nigdy jeszcze nie otrzymali. Kiedy podważymy ich zaufanie do przywódcy i do samych siebie — będą bezsilni.

Badrajn milczał. Miał do czynienia z człowiekiem świętym, który realizował świętą misję, nie do końca więc kierował się racjami rozumu. Z drugiej strony, Darjaei nie był tym, kto życzenia swe uważałby za rzeczywistość. To jednak musiało znaczyć, że istniał jeszcze jakiś plan, o którym Badrajn nie wiedział.

— Najlepiej byłoby zabić samego Ryana. Napad na jego dziecko spowoduje tylko powszechne oburzenie. Amerykanie są bardzo sentymentalni w niektórych kwestiach.

— Realizacja drugiego zadania zacznie się wtedy, gdy będzie już wiadomo, że pierwsze się powiodło? — upewnił się Darjaei.

— Tak.

— To zupełnie wystarczy — powiedział ajatollah, wpatrzony w harmonogramy lotów.

Badrajn skłonił się z szacunkiem i wyszedł. Darjaei ma jeszcze inny plan. Z pewnością.

\* \* \*

— Powiada, że jego zamiary są pokojowe.

— Zupełnie jak Hitler, Ali — przypomniał prezydent. Spojrzał na zegarek. W Arabii Saudyjskiej minęła północ. Jak należało się spodziewać, przed telefonem do Waszyngtonu Ali najpierw odbył naradę ze swoim rządem. — Wiesz wszystko o ruchach wojsk?

— Tak, w ciągu dnia twoi ludzie przedstawili kompletną informację. Musi jednak upłynąć trochę czasu, zanim tamci staną się naprawdę groźni. Nie można zrealizować inwazji z dnia na dzień. Znam się trochę na armii.

— To samo mówią moi doradcy — powiedział Ryan. — Co zamierzacie robić?

— Będziemy pilnie wszystko obserwować. W oddziałach odbywają się ćwiczenia. Mamy wasze zapewnienie o pomocy. Jesteśmy trochę zaniepokojeni, ale nie przesadnie.

— A gdybyśmy zorganizowali wspólne manewry? — zasugerował Jack.

— To mogłoby niepotrzebnie zaostrzyć sytuację — powiedział Ali bez przekonania w głosie. Najpewniej usiłował tę ideę przeforsować na posiedzeniu rady królewskiej, która ostatecznie się nie zgodziła.

— Czas kończyć, masz za sobą pracowity dzień. Powiedz mi jeszcze tylko, jak wygląda Darjaei? Nie widziałem go od czasu, gdy przedstawiłeś nas sobie.

— Jest zdrowy, chociaż zmęczony, czemu trudno się dziwić. Ostatnio ma niewiele czasu na odpoczynek.

— To racja. Ali?

— Tak, Jack?

Prezydent zawahał się na chwilę, uprzytomniwszy sobie brak dyplomatycznego przygotowania.

— Jak myślisz, na ile poważna jest sytuacja?

— A co mówią twoi doradcy?

— Zasadniczo to, co ty, ale niektórzy są naprawdę zatroskani. Musimy pozostawać w kontakcie.

— Bez wątpienia, panie prezydencie. Do widzenia.

Z uczuciem lekkiego rozczarowania Ryan rozejrzał się po gabinecie. Ali nie mówił tego, co chciałby powiedzieć, gdyż jego opinii nie podzielali wszyscy w otoczeniu króla, najpewniej z samym monarchą włącznie. Pozwalał sobie na bardzo delikatne aluzje,

ale wiele się zmieniło, także w ich wzajemnych kontaktach od czasu, gdy Jack został prezydentem. Teraz za każdym słowem czała się wielka polityka, on zaś przestał dla innych być normalnym człowiekiem, a stał się uosobieniem Ameryki. Może w bezpośredniej rozmowie wszystko wypadłoby inaczej, myślał Jack. Może. Nawet prezydenci muszą się jednak liczyć z czasem i przestrzenią. By nie wspominać o regułach polityki.

## 36 — Podróżnicy

Samolot holenderskich Królewskich Linii Lotniczych, rejs numer 534, zgodnie z rozkładem wystartował z lotniska w Teheranie o 1.10. Był pełen pasażerów, którzy o tej porze natychmiast zapadali się w fotelach, zapinali pasy, a potem sięgali po poduszki i koce. Wystarczyło, by koła oderwały się od ziemi, a zaczęto opuszczać oparcia i układać się do snu.

Na pokładzie znalazło się pięciu ludzi Badrajna, dwóch w pierwszej klasie, trzech w klasie biznes. Walizki spoczywały w ładowniach, podręczny bagaż został wsunięty pod fotele. Wszyscy odczuwali pewne napięcie i, niezależnie od zakazów religijnych,



pragnęli nieco je osłabić alkoholem, ten jednak mógł być serwowany dopiero od momentu, gdy samolot opuści przestrzeń powietrzną ZRI. Trzeba było cierpliwie czekać.

Pojawili się na lotnisku jak normalni podróżni i jak wszyscy oddali podręczny bagaż, aby prześwietlono go w aparacie rentgenowskim. Badanie było równie skrupulatne jak na lotniskach zachodnich, może nawet bardziej, jeśli zważyć na mniejszą liczbę samolotów do odprawy. Tak czy owak, prześwietlenie pokazało jedynie, że oprócz papierów, książek i drobiazgów, w torbach podróżnych znajdują się także przybory do golenia.

Wykształceni — niektórzy studiowali na Uniwersytecie Amerykańskim w Bejrucie, jedni, żeby uzyskać ceniony na Bliskim Wschodzie dyplom, inni, żeby bliżej poznać przeciwnika — ubrani byli z dyskretną elegancją: angielskie garnitury, jedwabne krawaty, wiszące w schowkach płaszcze z wielbłądziej wełny upodobały ich do współpasażerów. Nie było w ich postaciach nic, co na dłużej przyciągnęłoby uwagę.

\* \* \*

— A co ty o tym wszystkim sądzisz? — spytał van Damm.

Holtzman obrócił w palcach szklaneczkę, wpatrując się w kostki lodu.

— W innych okolicznościach nazwałbym to może spiskiem, ale nie w tej sytuacji. Jak na człowieka, który stara się uruchomić auto po wypadku, Jack robi wiele rzeczy nowych i zwariowanych.

— „Zwariowanych” to mocne słowo, Bob.

— Oni używają jeszcze mocniejszych. Wszyscy powtarzają: „Nie należy do nas” i alergicznie wręcz reagują na każdą jego inicjatywę. Sam jednak musisz przyznać, że to posunięcie z podatkami odbiega trochę od tradycyjnych reguł. Tak czy owak, rozpoczęła się ta sama co zawsze zabawa: kilka przecieków, odpowiednia ich prezentacja — a potem wszystko toczy się już własnym rozpędem.

Arnie pokiwał głową. To zupełnie jak ze śmieciami. Jeśli ktoś zebrał je w worek, a ten wrzucił do odpowiedniego kubła, nie było żadnego kłopotu: kilka sekund i ładowały w zbiornikach śmieciarki. Jeśli jednak ktoś cisnął je przez okno samochodu gnającego autostradą, potem trzeba je było zbierać całymi godzinami. I przeciwnicy rozrzucali właśnie śmieci na oślep, Jack zaś musiał marnować bezcenny czas na uganianie się za brudami po szosie, zamiast prowadzić wóz. Porównanie było może nie

najzręczniejsze, ale trafne. Politycy aż nazbyt często woleli zająć się tym, by przysporzyć innym sprzątańca, niż wziąć się do konstruktywnej pracy.

— Kto puścił farbę?

Reporter wzruszył ramionami.

— Ktoś z CIA, bardzo prawdopodobne, że zredukowany. Musisz przyznać, że z całym aparatem wywiadowczym załatwiono się trochę brutalnie. Ilu ludzi zwolniono w Langley?

— Dostatecznie wielu, żeby móc sobie pozwolić na nowych agentów w terenie. Hasło brzmi: oszczędność na działalności ogólnej, lepsza informacja, większa skuteczność i tak dalej. Niczego nie doradzam prezydentowi w tych sprawach, gdyż sam jest w tej dziedzinie specjalistą.

— Wiem, miałem prawie skończony artykuł na ten temat i chciałem właśnie do ciebie zadzwonić, żebym mógł się z nim spotkać, kiedy wybuchła ta heca.

— A co...?

— Co ja o tym sędzę? Naprawdę nie wiem, co myśleć o tym facecie. W niektórych kwestiach jest znakomity, w innych. . . Pijane dziecko we mgle, to delikatnie powiedziane.

— Mów szczerze.

— Podoba mi się — przyznał Holtzman. — Lubię go za tę jego cholerną szczerłość i uczciwość. Właśnie o tym chciałem napisać. A wiesz, co mnie najbardziej wkurza? Ktoś z „Postu” o tym, co ustaliłem, powiedział Edowi Kealty’emu, który powtórzył to Donnerowi i Plumberowi.

— A oni tę historię wykorzystali, żeby go udupić.

— Właśnie.

Van Damm zaśmiał się, ale był to śmiech nader gorzki.

— Cały Waszyngton, Bob.

— Posłuchaj, niektórzy z nas pamiętają jeszcze o tym, że jest coś takiego jak etyka zawodowa — powiedział ponuro dziennikarz.

— To był dobry reportaż. Sporo nad nim siedziałem, mam własne źródło w CIA, to znaczy mam kilka, ale to jest zupełnie nowe, a facet naprawdę dużo wie. Tyle że do

wszystkiego podszedłem bardzo krytycznie. Co mogłem, sprawdziłem, potem starannie oddzieliłem w tekście rzeczy, które wiem na pewno, od tych, które tylko podejrzewam, I wiesz co? Wychodzi z tego bardzo dobry obraz Ryana. Czasami chodził na skrót, to prawda, ale, o ile wiem, nigdy nie złamał prawa. Gdyby nagle coś nam poważnie zagroziło, właśnie takiego faceta chciałbym widzieć w Gabinetcie Owalnym. A potem moje informacje, które człowiek z Firmy mnie, a nie komuś innemu przekazał, wykrada jakiś skurwysyn i robi z nich własny użytek. O nie, Arnie, to nie tak! Ktoś zrobił mnie w konia, załatwił moją wiarygodność i wiarygodność mojej gazety. — Holtzman odstawił drinka na stół. — Wiem, co myślisz o mnie i w ogóle o ludziach z branży. . .

— Bob, nie. . .

— Zawsze przecież. . .

— Posłuchaj. To jasne, na czym polega moja funkcja tutaj: mam opiekować się swoim szefem, ale na pewno nie jest tak, że wszystkich dziennikarzy traktuję jak zarazę. Nie zawsze się zgadzamy, czasami dochodzi do konfliktów, ale jesteśmy sobie nawzajem potrzebni. Do diabła, czy myślisz, że gdybym cię nie szanował, siedziałbym teraz z tobą i popijał whisky?

Holtzman wpatrywał się spod oka w Arnie'ego i zastanawiał, czy tamten gra, bo czegoś od niego potrzebuje, czy też mówi prawdę. W przypadku van Damma nie tak łatwo dawało się odróżnić jedno od drugiego. Dokończył drinka. Szkoda, że facet gustował w taniej whisky i nie potrafił się lepiej ubrać. A może i to było częścią kostiumu? Gra polityczna była czymś pomiędzy metafizyką a nauką eksperymentalną. Niczego nigdy nie wiedziało się na pewno, a odkrycie jednego aspektu często uniemożliwiało poznanie innych. Tyle że właśnie dlatego była to gra tak pasjonująca.

— Okay, przyjmuję to jako komplement.

— To fajnie — uśmiechnął się van Damm i napełnił szklanki. — Teraz wyjaśnij, czemu do mnie zadzwoniłeś.

— Jak by to powiedzieć... — Holtzman zawahał się przez chwilę. — Nie mogę patrzeć spokojnie, jak szykuje się egzekucja niewinnego faceta.

— Brałeś już udział w niejednej — mruknął van Damm.

— Może i tak, ale nigdy nie byli to niewinni kolesie. Politycy, którzy dostawali może nie za to, za co najbardziej im się należało, a tylko za to, co można było udowodnić.

Mogę to ująć inaczej: Ryan powinien mieć równe szansę; nie może być tak, że ktoś go zaatakuje od tyłu.

— Ty z kolei jesteś wkurzony, że ktoś podkradł ci materiał, a być może i Pulitzera. . .

— Tak się składa, że mam już dwa — przypomniał sucho Holtzman.

Gdyby nie to, naczelny by się z nim nie cackał i ktoś inny rozpracowywałby teraz sprawę Ryana, pomyślał van Damm. Chętnych by nie zabrakło, gdyż konkurencja w „Washington Post” była ostra.

— Dobra, do rzeczy.

— Chciałbym wiedzieć, co się naprawdę zdarzyło w Kolumbii, jak wyglądała sprawa Jimmy’ego Cuttera i jego śmierci.

— O rany, Bob, nie masz pojęcia, czego się musiał wczoraj nasłuchać nasz ambasador w Bogocie.

— Hiszpański wspaniale nadaje się do przekleństw — zauważył z uśmiechem Holtzman.

— Przykro mi, ale ta historia nie może zostać ujawniona.

— Arnie, nie łudź się: zostanie ujawniona i problem polega na tym jedynie, kto to zrobi i jakie wyciągnie wnioski. Dałeś przed chwilą do zrozumienia, że uważasz mnie za niezgorszego pismaka.

Jak często bywa w Waszyngtonie, obie strony miały swoje sprawy do załatwienia. Holtzman chciał napisać artykuł, dzięki któremu może ubiegać się o następną nagrodę Pulitzera — niezależnie od tego, co powiedział, nigdy ich nie było za wiele — a także zidentyfikować złodzieja, który uzyskane przez niego informacje przekazał Kealty’emu, i poradzić mu, żeby czym prędzej wynosił się z „Postu”, jeśli nie chce, by Holtzman za sprawą kilku słówek szepniętych do odpowiednich uszu raz na zawsze złamał jemu, czy jej, karierę dziennikarską. Arnie natomiast za wszelką cenę chciał pomóc Ryanowi, okazywało się jednak, że musi w tym celu złamać prawo i zaufanie prezydenta. A decydować trzeba było natychmiast.

— Żadnych notatek, żadnych taśm,

— Jasne. „Wyższy urzędnik”, nawet bez wskazania instytucji.

— Powiem ci też od kogo możesz uzyskać potwierdzenie tego, co usłyszysz.

— Wie o wszystkim?



— Nawet więcej ode mnie — pokiwał głową van Damm. — Sam ledwie co dowiedziałem się o ważnym szczególe.

— Dzięki. Te same reguły będą się stosować do potwierdzającego źródła. Kto naprawdę wie, co się zdarzyło?

— Nawet Ryan nie wie wszystkiego. Wątpię, czy ktokolwiek wie.

Holtzman pociągnął jeszcze łyk, mówiąc sobie, że ten będzie już ostatni. Podobnie jak w przypadku chirurga, u niego również alkohol nie szedł w parze z pracą.

\* \* \*

Samolot KLM, rejs numer 534, po trzech godzinach i piętnastu minutach lotu, mając za sobą 1.905 kilometrów, lądował o 2.55 czasu lokalnego w Stambule. Trzydzieści minut wcześniej pasażerowie zostali w różnych językach obudzeni przez stewardesy, które poprosiły ich o złożenie foteli i zapięcie pasów. Lądowanie przebiegło gładko, niektórzy z pasażerów uchylili zasłony na oknach, by zobaczyć jeszcze jedno z miejsc, które nie różniły się od siebie na całym świecie: betonowe pole z białymi liniami pasów startowych oraz niebieskimi światełkami wskazującymi drogę kołowania. Kilka osób

zanurzyło się w mrok tureckiej nocy; ci, którzy lecieli dalej, znowu opuścili fotele, żeby uciąć sobie drzemkę w czasie następnych trzech kwadransów, jako że samolot miał rozpocząć drugą część podróży dopiero o 3.40.

Rejs numer 601 Lufthansy obsługiwany był przez dwusilnikowego *Airbusa 310*, podobnego jeśli chodzi o wielkość i możliwości do *Boeinga* KLM. Także pośród jego pasażerów znalazło się pięciu wysłanników Badrajna. O 2.55 rozpoczął się bezpośredni lot do Frankfurtu. Odprawa odbyła się bez żadnych szczególnych wydarzeń.

\* \* \*

— To jest naprawdę coś, Arnie.

— Dopiero w zeszłym tygodniu dowiedziałem się kilku istotnych rzeczy.

— Jesteś pewien wszystkiego? — spytał Holtzman.

— Fragmenty pasują do siebie. Nie mogę powiedzieć, żebym się bardzo ucieszył. Myślę, że i tak wygralibyśmy wybory, ale on po prostu nie chciał walczyć. Z rozmysłem przegrał. Powiem ci jednak coś: to był najodważniejszy i najbardziej honorowy czyn polityczny w tym stuleciu. Przyznam szczerze, że nie doceniałem go.

— Fowler wie o tym?

— Nie mówiłem mu, chociaż może powinienem.

— Zaraz, poczekaj. Pamiętasz jak Liz Elliot podsunęła mi ten kasek z Ryanem i . . .

— Tak, to część tamtej sprawy. Jack poleciał do Kolumbii, żeby wyciągnąć żołnierzy z pułapki. Facet, który siedział koło niego w helikopterze, zginął, więc od tej chwili opiekuje się jego rodziną. Liz zapłaciła za rozsiewanie plotek o rzekomym romansie Ryana.

— Jest jeszcze jedna kwestia, wokół której panuje zmowa milczenia. Podobno Fowler pogubił się, mało brakowało, żeby wystrzelił rakiety na Iran, a nie dopuścił do tego Ryan. W jaki sposób?

Holtzman zerknął na szklaneczkę i zdecydował się na następnego łyżeczka.

— Podłączył się do gorącej linii, odciął prezydenta i w bezpośredniej rozmowie nakłonił Narmonowa, żeby trochę ustąpili. Fowler natychmiast kazał agentom Tajnej Służby go aresztować, ale zanim dotarli do Pentagonu, wszystko już się uspokoiło. Na szczęście jego słowa poskutkowały.

Holtzman przeżuwał informację przez jakieś dwie minuty, ale znowu wszystkie fragmenty pasowały do siebie. Fowler dwa dni później podał się do dymisji. Był załamany, uznał, że utracił moralne prawo do rządzenia państwem z chwilą, kiedy nakazał skierować pocisk nuklearny na niewinne miasto. Ryan z kolei był tak wstrząśnięty tym wypadkiem, iż natychmiast wycofał się z wszelkiej służby publicznej i powrócił do niej dopiero na prośbę Rogera Durlinga.

— Tutaj pogwałcił wszelkie reguły — powiedział Holtzman, chociaż zarazem czuł, że nie jest to sprawiedliwy zarzut.

— Gdyby tego nie zrobił, może nie siedzielibyśmy tutaj. — Szef personelu Białego Domu nalał sobie znowu, Holtzman odmówił gestem ręki. — Rozumiesz teraz, o co mi chodzi, Bob, kiedy powiadam, że nie można ujawnić tej historii? Jeśli nagłośnisz ją, zaszkodziś tylko krajowi.

— W takim razie, dlaczego Fowler rekomendował Ryana Durlingowi? Musiał go przecież serdecznie nienawidzić?

— Bob Fowler ma wiele wad i popełnił niejedyn błąd, ale to porządny człowiek. Nie lubi osobiście Ryana, ale ten go uratował, on zaś powiedział Durlingowi, że Jack to... zaraz, jak to było... coś takiego: „Dobry facet na niebezpieczne czasy”.

— Co za szkoda, że nie ma politycznego doświadczenia.

— Szybko się uczy. Może cię zaskoczyć.

— Jeśli będzie miał wolną rękę, wypatroszy całą administrację. Wiesz, ja, w przeciwieństwie do Fowlera, czuję do niego sympatię, ale te pomysły polityczne...

— Wiele razy myślałem, że go rozgryzę, a potem okazywało się, że wcale nie. Wtedy musiałem sobie powtarzać raz jeszcze, że on nie gra według żadnego scenariusza, a rozwiązuje problemy. Daję mu papiery, on je czyta i wyciąga wnioski. Rozmawia z ludźmi, stawia dobre pytania, zawsze uważnie słucha odpowiedzi, ale decyzje podejmuje sam, jak gdyby dokładnie wiedział, co dobre, a co nie. Powiem ci jedno: na ogół rzeczywiście wie. Mnie wykiwał, rozumiesz — mnie. Mniejsza z tym, chodzi o to, że czasami sam przestaję wiedzieć, co tam w nim siedzi.

— Facet zupełnie z zewnątrz — powiedział cicho Holtzman — tymczasem...

— Właśnie, wszyscy traktują go tak, jak gdyby był z tej samej drużyny i dlatego stosują wobec niego te same zagrywki, a on tymczasem reaguje zupełnie na opak.

— Rozumiem, że podstawowa kwestia polega na tym, że jest zupełnie nieprzewidywalny. Niech to cholera — pokręcił głową Bob. — Naprawdę nienawidzi tej posady?

— Raczej tak, chociaż nie zawsze. Trzeba było go widzieć, jak miał spotkania na Środkowym Zachodzie. Wtedy poczuł bluesa. Wiedział, że ludzie go kochają, sam ich kochał, zupełnie się wyluzował. „Nieprzewidywalny”? Zależy jak na to spojrzeć. Znasz to powiedzenie golfowe, że najtrudniej jest posłać prostą piłkę? Wszyscy doszukują się zawijasów, a tu nie ma żadnych.

— Jeśli tak, to po co te tajemnice? — prychnął Holtzman.

— Muszę starać się chronić go przed mediami. Przecież nawet w twoim przypadku nie wiem, jak ty to przedstawisz; nie mogę być pewien, że tylko stwierdzisz fakty, tak jak powinienes.

Dziennikarz skrzywił się.

— Każdy polityk powinien być taki jak Ryan. Tyle że nie jest.

— Ten jeden jest prawdziwy — upierał się van Damm.

— I ja mam o tym napisać, tak? Kto w to uwierzy?

— Może tutaj jest pies pogrzebany — powiedział Arnie. — Całe swoje życie związałem z polityką i myślałem już, że nic mnie nie zaskoczy. A tu figa. Bez przechwałek, wszyscy wiedzą, że nie jestem pierwszym lepszym nowicjuszem, ale nagle pojawia się facet, który powiada, że król jest nagi, i ma rację, a jedyne co wszyscy potrafią zrobić, to udawać, że nie widzą gołego tyłka. Po prostu system nie jest na to przygotowany.

— I zniszczy każdego, kto będzie usiłował przy nim majstrować — mruknął Holtzman, myśląc jednocześnie: gdyby bajka Andersena rozegrała się w Waszyngtonie, tłum rozdeptałby dzieciaka.

— Jeśli dobrze pamiętam, powiedziałeś, że nie chcesz uczestniczyć w egzekucji na niewinnym facecie.

— Tak, ale co . . .

— A gdyby tak zająć się dworem króla?

\* \* \*

Następny miał być rejs Austrian Airlines numer 774. Czynności stawały się już rutynowe; pojemnik napełniono czterdzieści minut przed odlotem. Korzystna była bliskość Małpiarni, a także pora, gdyż nad ranem nie był niczym nadzwyczajnym widok osób pędem usiłujących zdążyć na samolot i podwładni Badrajna bynajmniej nie byli jedynymi spóźnialskimi. „Zupę” wprowadzano do puszki przez niewidoczny w promieniach rentgenowskich plastikowy zawór. Nad nią w izolowanym pojemniku umieszczano azot. Nie było to wprawdzie konieczne, jednak na wszelki wypadek z zewnątrz pojemniki spryskiwano środkiem antyseptycznym i wycierano do czysta. Były zimne, ale nie pokryte szronem. Płynny azot powoli parował; potem zostanie wypuszczony, łącząc się z powietrzem. Azot stanowi wprawdzie ważny składnik materiałów wybuchowych, ale sam w sobie jest niegroźny, bezbarwny i bezwonny. Nie wchodził w reakcje z zawartością pojemnika, będzie go więc odpowiednia ilość, by we właściwym momencie wyrzucić wirusy na zewnątrz.



Ci, którzy pracowali przy napełnianiu puszek, zażądali kombinezonów ochronnych, których nie warto było im odmawiać, żeby nie pracowali nerwowo i w podnieceniu. Trzeba jeszcze przygotować dwie grupy po pięć. Można to było zrobić za jednym zamachem, ale w ten sposób pojawiało się niepotrzebne ryzyko.

\* \* \*

Darjaei przewracał się w łóżku tej nocy, tak dla niego ważnej. Wprawdzie wraz z upływem lat potrzebował coraz mniej snu, na ogół nie miał jednak kłopotów z zaśnięciem. Kiedy nie było przeciwnych wiatrów, słyszał odgłos startujących samolotów, nie mający w sobie nic mechanicznego, a raczej przypominający naturalny dźwięk: daleki wodospad czy może trzęsienie ziemi. Teraz czekał na niego w napięciu, lękając się, że jakiś kataklizm może pokrzyżować jego plany.

Czy nie posunął się za daleko? Urodził się w kraju, gdzie wielu ludzi umierało młodo. Z dawnych czasów pamiętał epidemie chorób, potem poznał ich przyczyny, głównie marną wodę i złe warunki sanitarne, jako że przez większość jego życia Iran, niezależnie od wspaniałej historii, był państwem biednym i zacofanym. Odmiana nastąpiła dzięki

ropie naftowej i wielkim zyskiem, które dawała. Mohammed Reza Pahlavi — Szach-in-szach, Król Królów — zaczął odbudowywać kraj, ale jego błąd polegał na tym, iż próbował to uczynić zbyt szybko, na dodatek w sposób zjednujący mu coraz więcej przeciwników. W takich krajach jak Iran, kler stanowił ogromną potęgę, a wyzwalając chłopstwo, szach zagroził interesom zbyt wielu grup. Zwrócili się przeciwko niemu ci, którzy pełnili duchową władzę i do których wieśniacy zwracali się z błaganiami o pomoc w czasach niejasnych i niepewnych. Nawet w tej sytuacji zamierzenia szacha niemal się powiodły, ale „niemal” w świecie dbającym jedynie o zwycięzców oznaczało wyrok.

Co myśli człowiek w takiej chwili? Podstarzały, chory na raka, patrzył, jak dzieło całego życia w ciągu kilku tygodni rozpadało się w pył, jego współpracownicy ginęli z rąk rozwścieżonego tłumu, a on musiał pogodzić się nadto ze zdradą swoich amerykańskich sojuszników. Czy myślał wtedy, że posunął się za daleko? Tego Darjaei nie wiedział, a chciałby wiedzieć, gdy w ciszy perskiej nocy starał się pochwycić odległy grzmot.

Zbyt szybki marsz jest wielkim błędem; młodzieniec musi się uczyć dopiero tej prawdy, którą starzec dobrze zna, z drugiej jednak strony jeszcze większym błędem jest

działanie zbyt wolne i nazbyt niezdecydowane. Cóż to musi być za straszliwa zgrzyzota, kiedy człowiek rzuca się w łóżku, a sen nie nadchodzi, gdyż odpędza go wspomnienie szans przegapionych i utraconych bezpowrotnie!

Być może Reza Pahlavi przyszedł mu na myśl, gdyż także on, Darjaei, czuł, że kraj powoli zaczyna mu się wymykać z rąk. Przejawy tego były mało widoczne i rozproszone, ale potrafił je dostrzec. Malutkie zmiany w strojach, przede wszystkim kobiet. Nie gwałtowne, nie wyzywające, tak by nie sprowokować gniewnej reakcji ze strony prawowiernych muzułmanów, których czujność także powoli słabła, a w efekcie pojawiały się rozległe szare strefy, gdzie w miarę bezpiecznie buntownicy mogli próbować, jak daleko wolno się posunąć. Oczywiście, ludzie dalej wyznawali islam, oczywiście, nadal wierzyli, ale Święty Koran nie był aż tak precyzyjny, by wszystko przewidzieć, a naród się bogacił i chciał z tego korzystać. A bogacić się musiał, jak bowiem inaczej miałby pełnić rolę rycerza wiary? Najlepsi i najbardziej uzdolnieni z młodzieńców irańskich wyjeżdżali za granicę, gdyż w kraju nie było takich uczelni, jakimi szczycił się Zachód, i chociaż najczęściej powracali, nabywszy wiedzy i umiejętności, to jednak przywozili także ze sobą inne niewidoczne nabytki: wątpliwości, pytania, wspomnienia przyjem-

ności, które były tam tak łatwo dostępne, chociaż służą tylko ludzkiej słabości, a od tej nikt nie jest wolny. To, co rozpoczął Chomeini, a co on chciał dokończyć, musiało skończyć się inaczej niż w przypadku szacha. Odwróciwszy się od Pahlawiego, ludzie wrócili do islamu, Darjaei zaś chciał, by jego kraj odzyskał dawną potęgę bez schodzenia z drogi wiary. Chciał udowodnić swoim rodakom, że można mieć wszystko, co oferuje cywilizacja, zarazem jednak nie wyrzekać się wielkiej duchowej spuścizny. Aby to jednak uzyskać, musiał naocznie pokazać, że ma rację i że tylko bezkompromisowa wiara jest gwarancją prawdziwej mocy.

Śmierć przywódcy Iraku, nieszczęście, które spotkało Amerykę — czyż to nie były znaki? Studiował je starannie. Oto po dziesięcioleciach waśni, Iran i Irak łączyły się, a w tym samym czasie Ameryką targnął spazm kryzysu. Darjaei nie polegał jedynie na słowach Badrajna. Miał także innych ekspertów, którzy tłumaczyli mu, na czym polega życie w USA. Przez krótką, jednak bardzo ważną chwilę widział Ryana, wpatrywał się w jego oczy, słyszał słowa butne, ale puste, a dzięki temu mógł ocenić osobę, która być może stała się głównym przeciwnikiem. Wiedział, że Ryan nie mógł, bez złamania

prawa, wyznaczyć swego zastępcy, więc dlatego to był jedyny moment właściwy do działania, a jeśli będzie się wahał, bardzo prawdopodobne, że spotka go los szacha.

O, nie, za nic nie dopuści do tego, żeby miał przejść do historii jako drugi Reza Pahlavi. Zanim nadejdzie śmierć, będzie przywódcą wszystkich muzułmanów. Jeszcze miesiąc, a będzie władał całą ropą Zatoki Perskiej i dzierżył klucze do Mekki, a zatem uzyska dostęp do materialnych bogactw i do ludzkich dusz. Potem władzę swą będzie mógł rozciągnąć, dokąd zechce. Wystarczy kilka lat, aby stworzone przez niego państwo stało się supermocarstwem we wszystkich dziedzinach, a on następcy swemu pozostawi dziedzictwo, jakiego świat nie widział od czasów Aleksandra, różniące się jednak od tamtego imperium tym, że jego fundamentem będzie Słowo Boże. Aby zrealizować ten cel, aby zjednoczyć islam i spełnić w ten sposób wolę Allacha i Proroka Mahometa, nie może się cofać przed tym, co konieczne, a jeśli potrzeba dyktuje szybkie uderzenie, cios musi być jak grom. Wszystko nie było zresztą zbyt skomplikowane. Ledwie trzy kroki, z których ostatni i najtrudniejszy już był przesądzony, niezależnie od powodzenia planów Badrajna.

Czy działał za szybko? Nie. Działał zdecydowanie i odważnie. Tak to oceni historia.

\* \* \*

— Latanie w nocy to taka wielka sztuka? — zdziwił się Jack.

— Dla nich z pewnością — odparł Robby. Lubił te wieczorne posiedzenia w Gabinetnie Ovalnym, z drinkiem w rękę. - Zawsze bardziej oszczędzali na sprzęcie niż na ludziach. Helikoptery — w tym przypadku francuskie, których ma trochę nasza Straż Przybrzeżna — kosztują sporo i bardzo rzadko widzieliśmy, żeby używali ich do nocnych operacji. W tych manewrach ćwiczą ataki na okręty podwodne, więc może przy mierzają się do jakiejś akcji na holenderskie okręty klasy *Zeeleeuw*, które Republika Chińska kupiła w zeszłym roku. Ponadto sporo jest akcji kombinowanych, w których uczestniczą naraz jednostki morskie i powietrzne.

— Wnioski?

— Szykują się do czegoś, panie prezydencie. — Admirał rozłożył ręce. — Kłopot tylko...

— Robby — Ryan spojrział nad okularami do czytania, które ostatnio przepisała mu Cathy — jeśli wtedy, gdy jesteśmy sami, nie będziesz się zwracał do mnie po imieniu, wydam bezzwłocznie dekret w tej sprawie.

— Nie jesteśmy sami — sprostował admirał Jackson i lekkim ruchem głowy wskazał Price.

— Ach, Andrea, ale przecież ona się nie liczy... Ryan nagle urwał i zaczerwienił się.

— Tak, tak, panie admirale, niech pan to dobrze zapamięta — powiedziała agentka, z trudem tłumiąc śmiech. — Potrzeba było dobrych kilku tygodni, żebym to nareszcie usłyszała.

Jack wpatrywał się w blat i kręcił głową.

— Tu po prostu nie da się żyć. Najlepsi przyjaciele zwracają się do mnie na „pan”, a ja robię się grubiański wobec kobiet.

— Jack — powiedział Robby, starannie akcentując pierwsze słowo — jesteś moim naczelnym dowódcą. A ja co: prosty marynarz.

Wszystko po kolei, pomyślał Ryan, a głośno rzucił:

— Agentko Price?

— Słucham, panie prezydencie?

— Proszę napełnić sobie szklaneczkę i usiąść.

— Sir, jestem na służbie, a przepisy. . .

— Więc proszę sobie zrobić słabego drinka, ale tak czy owak jest to rozkaz prezydenta Stanów Zjednoczonych. Wykonać!

Chwilę się wahała, ale rozkaz był rozkazem. Nalała sobie whisky na dwa palce, dodając sporo lodu i wody, a potem usiadła obok J-3. Żona Jacksona, Sissy, była na górze z rodziną Ryana.

— Chciałem sprawę postawić jasno. Prezydent musi się odprężyć, a nie może tego osiągnąć wtedy, kiedy damy stoją, a przyjaciele odmawiają zwracania się do niego po imieniu. Czy to jasne?

— Aye, aye, sir — powiedział Robby i z komicznym pośpiechem dorzucił: — Jack, teraz wszyscy jesteśmy odprężeni i czujemy się wyśmienicie. — Zerknął na Price. — W razie gdybym zachowywał się niewłaściwie, ma mnie pani zastrzelić, prawda?

— W środek głowy.



— Co do mnie, wolę rakiety powietrze-powietrze. Pewniejsze.

— Z tego co słyszałam, był taki wieczór, kiedy całkiem dobrze dawał pan sobie radę z karabinem. Tak w każdym razie utrzymywał prezydent. A może to był pistolet maszynowy. Nawiasem mówiąc, dziękuję.

— Hę?

— Że mu pan uratował życie. Lubimy opiekować się Szefem, nawet jeśli za bardzo brata się z wynajętymi ochroniarzami.

Jack nalał sobie. Czuł, że po raz pierwszy zapanowała w tym pokoju atmosfera na tyle swobodna, że tych dwoje pozwalało sobie na żarty z niego: żarty z dobrego znajomego, a nie prezydenta.

— Tak mi się podoba o wiele bardziej. — Spojrzał na przyjaciela. — Słuchaj, Robby, ta panna naoglądała się i nasłuchiwała może nawet więcej od nas, ma skończone studia, dobrze poukładane w głowie, a ja muszę ją traktować jak... zaraz, jak to będzie... Gorylicę?

— Co ja mam na to powiedzieć? Pilot myśliwca z rozpieprzonym kolanem?

— Może byś się raz jasno zadeklarował: kiepski marynarz czy kiepski lotnik. Mówiąc szczerze, mam podobne problemy, nie bardzo wiem, kim mam być. Andrea?

— Tak, panie prezydencie?

Wiedział, że Price nigdy nie potrafi się zmusić, żeby mówić mu po imieniu.

— Co myślisz o Chinach?

— Niezbyt się na tym znam, ale skoro pan pyta, to odpowiem, że istnieje zbyt wiele możliwych odpowiedzi.

— To wystarczająco profesjonalna opinia — mruknął Robby. — Nikt z całej stajni ludzi prezydenta nie powiedziałby więcej. Kierujemy tam nasze okręty podwodne — zwrócił się do Ryana. — Mancuso chce jeszcze dokładniej wytyczyć graniczną linię północ-południe między obu flotami. Popieram go, a sekretarz także się zgodził.

— Jak sobie daje radę Bretano?

— Wie, czego nie wie, a to naprawdę ważne, Jack. Uważnie słucha wyjaśnień operacyjnych, stawia dobre pytania, szybko wszystko chwyta. W przyszłym tygodniu chce ruszyć w teren, zobaczyć, jak to wszystko wygląda nie tylko na papierze. Świetny or-

ganizator, ale trzeba powiedzieć, zamachnął się wielką miotłą. Widziałem jego plan ograniczenia biurokracji.

Przy ostatnich słowach Jackson przewrócił oczyma.

— Coś ci się nie podoba? — spytał Ryan.

— Nie mów tak, bo jeszcze panna Price gotowa uwierzyć. To wszystko jest i tak o pięćdziesiąt lat spóźnione. Widzi pani — ciągnął, zwracając się do Andrei — ja lubię zatłuszczony kombinezon przeciwprzeciążeniowy, zapach paliwa lotniczego i lądowanie w nocy na lotniskowcu. Ale wszyscy do mnie podobni są obstawieni przez zgraję urzędników, którzy siedzą wprawdzie za biurkami, ale przeszkadzają, jak psy chwytające za łydki. Bretano jest bardzo podobny, lubi inżynierów i konstruktorów, pośród których się obraca, a także i jemu dojedli do żywego biurokraci i kontrolerzy.

— Co z Chinami? — przypomniał Jack.

— Przeprowadzamy rutynowe loty wywiadowcze, które mają też funkcję szkoleniową. Nie wiemy, jakie są zamiary ChRL, CIA też niewiele potrafi powiedzieć. Z kolei Departament Stanu powiada, że ich rząd się dziwi o co tyle krzyku. Bo rzeczywiście. Tajwan ma dostatecznie silną flotę, żeby sam sobie poradził, chyba żeby zostali zaata-

kowani zniecka, ale to niemożliwe, bo odpowiedzieli własnymi ćwiczeniami, więc szeroko otwierają oczy i nadstawiają uszu. W sumie mnóstwo hałasu, w którym nie mogę się połapać.

— Zatoka Perska?

— Nasi ludzie w Izraelu donoszą, że wszystkiemu dokładnie się przypatrują, ale zdaje się, że brakuje im dobrych źródeł od chwili, gdy ci generałowie zostali odstawieni do Sudanu. Dostałem faks od Seana Magruderera. . .

— Kto to taki? — przerwał Ryan.

— Pułkownik, dowódca 10. pułku kawalerii pancernej na pustyni Negew. To facet, który ma bardzo często coś ciekawego do powiedzenia. „Najgroźniejszy facet na świecie” wyraził się o Darjaeim nasz dobry znajomy Avi ben Jakob. Magruder uznał te słowa za wystarczająco ważne, by nam je przekazać.

— I?

— Nie wolno nam spuścić oka z tego regionu. Darjaei ma imperialne zamiary, chociaż pewnie trochę potrwa, zanim zacznie je realizować. Saudyjczycy źle to rozgrywają.

Powinniśmy tam wysłać jakieś nasze oddziały, niekoniecznie duże, ale żeby podkreślić, że czuwamy.

— Sugerowałem to Alemu, ale rada królewska nie chce zaogniać sytuacji.

— Błąd — lakonicznie skwitował informację Jackson.

— Ja też tak sędzę. Będziemy nad tym pracować.

— Jak wygląda armia saudyjska? — zainteresowała się Price.

— Nie tak dobrze jak powinna. Po wojnie w Zatoce stało się modne wstępowanie do wojska, a sprzęt zaczęli kupować tak, jak by to chodziło o parę Mercedesów od hurtownika. Przez jakiś czas bawiła ich ta zabawa w żołnierkę, ale potem okazało się, że czołgi trzeba konserwować i remontować. Wtedy zatrudnili ludzi, którzy mieli się tym zajmować, trochę jak giermkowie u średniowiecznych rycerzy. Kiepsko też jest ze szkoleniem. To znaczy, sporo rozjeżdżają się czołgami i strzelają — *M-1* nieźle się do tego nadaje — ale nie ćwiczą w grupach, większych formacjach. Znowu przypominają się rycerze, pojedynki na kopie, na miecze, współczesna wojna wygląda jednak inaczej. Teraz wspólnie muszą działać wielkie zespoły. Mówiąc krótko, nie są tak dobrzy,

jak im się wydaje. Jeśli ZRI pozbiera wszystkie siły i ruszy na południe, będzie miała zdecydowaną przewagę, zarówno w ludziach, jak i w sile ognia.

— Jak sobie z tym poradzimy?

Ryan był wyraźnie zaniepokojony.

— Na początek dobrze było by, żeby jakaś część naszych żołnierzy poleciała tam, a oni, żeby przysłali tutaj swoich, którzy poznaliby trochę twardej walki w Narodowym Ośrodku Szkoleniowym. Rozmawiałem już o tym z Mary. . .

— Mary? — nie wytrzymała zdumiona Andrea.

— Generał Marion Diggs, w West Point dostał przezwisko „Mary” — wyjaśnił Robby. — Byłoby naprawdę nieźle, gdyby zjawił się tutaj pancerny batalion saudyjski, a nasz oddział instruktorów przez kilka tygodni poprzewracał ich trochę w piachu. Może coś by im to powiedziało. Tak się uczyliśmy my, tak się uczyli Izraelczycy, tak samo będą się uczyć Saudyjczycy — lepiej na poligonie niż na polu bitwy. Diggs świetnie się do tego nadaje. Dwa, trzy lata, może nawet mniej, gdyby odpowiedni poligon stworzyć na miejscu, a mieliby armię na całkiem niezłym poziomie.

Ryan skrzywił się.

— Izraelczycy zaczną kręcić nosami, a z kolei dwór z przyczyn wewnętrznych lęka się zbyt silnej armii.

— To opowiedz im historyjkę o trzech małych świnkach. Może nie bardzo ona pasuje do ich kultury, ale przestroga jest chyba jasna: wielki, zły wilk zjawił się pod ich drzwiami, więc powinni uważać.

— W porządku, Robby. Powiem Adlerowi i Vasco, żeby się tym zajęli.

Ryan zerknął na zegarek. Kolejny piętnastogodzinny dzień pracy. Nieźle byłoby wypić jeszcze jednego drinka, ale liczyć mógł co najwyżej na sześć godzin snu, a nie chciał wstawać z przesadnym kacem. Wychylił więc do końca szklaneczkę i wstał.

— Miecznik w drodze do rezydencji — zameldowała Andrea do mikrofonu.

Minutę później byli w windzie. Jeszcze zanim drzwi się otworzyły, Jack zaczął ściągać marynarkę; bywały chwile, kiedy jej nienawidził.

— Taki już jest — mruknął Robby pod adresem agentki.

— Mhm — mruknęła Andrea, która każdego dnia dowiadywała się coraz więcej o Mieczniku.

— Niech pani dobrze go pilnuje, agentko Price — powiedział Jackson. — Prezydentura kiedyś się skończy, a ja chciałbym wtedy nadal mieć przyjaciela.

Sprzyjające wiatry sprawiły, że to samolot Lufthansy dotarł jako pierwszy na miejsce przeznaczenia, którym był Frankfurt nad Menem. Dworzec lotniczy sprawiał wrażenie odwróconego lejka; wąską część stanowił rękaw prowadzący z samolotu, a szeroką — duża sala, w której odszukali odpowiedniego przejścia. Na razie mieli jednak trochę czasu — od jednej do trzech godzin — o bagaż zaś nie musieli się troszczyć: zostanie bez ich udziału dostarczony z jednego samolotu do drugiego. Nie musieli się też kłopotać o kontrolę celną, skoro nie zamierzała opuszczać budynku lotniska. Starannie unikali patrzenia sobie w oczy, nawet wtedy, kiedy, zupełnie przypadkowo, trzech z nich znalazło się jednocześnie w kawiarni, przy czym wszyscy zamówili kawę bezkofeinową. Dwóch udało się do toalety z naturalnych przyczyn; potem obaj zerknęli w lustro. Przed wyjazdem ogolili się wprawdzie, szczególnie jednak ten o ciemniejszym zarostcie przez chwilę w zamyśleniu gładził się po twarzy. A gdyby tak...? „O nie, tylko nie to”, pomyślał, uśmiechając się do swego odbicia. Z torbą na ramieniu pomaszerował do



poczekalni pierwszej klasy; niedługo zacznie się odprawa pasażerów, którzy lecieli do Dallas.

\* \* \*

— Jak minął dzień? — spytał Jack. Andrea i Robby pożegnali się już i tylko na zewnątrz pozostali agenci ochrony.

— Męcząco. Jutro i pojutrze obchód z Berniem.

Cathy, wyczerpana podobnie jak mąż, była już w szlafroku.

— Coś nowego?

— Nie u mnie. Zjadłam obiad z Pierre’em Alexandrem. Nowy profesor u Ralpa Fostera, przedtem był w Armii, bardzo błyskotliwy.

— Zajmuje się chorobami zakaźnymi? — jak przez mgłę przypomniał sobie Jack. — AIDS i te rzeczy?

— Tak.

Ryan bez słowa otrząsnął się ze wstrętem.

— Mówił, że niedawno odnotowano dwa przypadki wirusa ebola w Zairze, a parę dni temu znowu dwa w Sudanie. No ale to tylko pojedyncze przypadki, żadna epidemia.

— Zdaje się, że to okropna choroba, prawda? — spytał Jack i wyłączył światło.

— Osiem wypadków na dziesięć kończy się śmiercią. — Cathy poprawiła koldrę i przysunęła się do męża. — Dość już o tym. Sissy ma za dwa tygodnie koncert w Kennedy Center. Piąta Beethovena, prowadzi Fritz Bayerlein. Myślisz, że udałoby się dostać bilety?

Pomimo ciemności Jack był pewien, że żona się uśmiecha.

— Wydaje mi się, że znam dyrektora. Zobaczę, co się da zrobić. Kolejny dzień dobiegł końca.

\* \* \*

— Do zobaczenia rano, Jeff — powiedziała Andrea i skręciła w prawo do swego samochodu. Raman poszedł w przeciwnym kierunku.

Męcząca rutyna codziennych zajęć, godziny bezczynnego obserwowania i wyczekiwania, a z drugiej strony — nieustanna gotowość. Nie powinien się uskarżać; taka

praca — i już. Zatrzymał się przed bramą, poczekał, aż wartownik ją otworzy, a potem pojechał na północny zachód. Puste ulice pozwalały na szybką jazdę. Po drodze czuł, jak coraz bardziej ogarnia go senność.

Otworzył drzwi, wyłączył system alarmowy i podniósł z podłogi listy. Jeden rachunek, reszta zachęcała do niesłychanie korzystnego kupna rzeczy, które były mu zupełnie niepotrzebne. Powiesił płaszcz na wieszaku, zdjął uprząż z kaburą. Automatyczna sekretarka mrugała światelkiem. Ktoś zostawił wiadomość.

— Panie Sloan — odezwał się z magnetofonu głos, który natychmiast rozpoznał, chociaż słyszał go przedtem tylko raz. — Tutaj Alahad. Zamówiony przez pana dywan jest gotów do odbioru.

## 37 — Dostawa

Ameryka jeszcze spala, kiedy oni wsiadali do samolotów w Amsterdamie, Londynie, Wiedniu i Paryżu. Tym razem lecieli oddzielnie, nie istniało więc ryzyko, że ten sam celnik zacznie żywić jakieś podejrzenia, napotkawszy dwa dziwnie chłodne pojemniki z pianką do golenia tej samej firmy. Jedyne prawdziwe niebezpieczeństwo wiązało się z tym, że grupami opuszczali Teheran, dobrze jednak wiedzieli, iż mają zachowywać się tak, jak gdyby się zupełnie nie znali. Podróżując oddzielnie, nie powinni przyciągnąć niczyjej uwagi w międzynarodowym tłumie podróżnych.

Pierwszy wyruszył za ocean ten z pasażerów, który w porcie lotniczym Shiphol pod Amsterdamem wsiadał do samolotu *Boeing 747* Singapore Airlines. Rejs SQ 26 rozpoczął się zgodnie z rozkładem o 8.30, a znalazłszy się w powietrzu, maszyna skierowała się na północny zachód, aby wielkim łukiem podążyć w kierunku południowego cypla Grenlandii. Lot miał trwać prawie osiem godzin. Podróżny zajął miejsce w przedziale pierwszej klasy i opuścił oparcie fotela. W kolejnym punkcie docelowym nie było jeszcze godziny trzeciej, on zaś, podobnie jak inni pasażerowie pierwszej klasy, wolał sen od filmu. Szybko przypomniał sobie następne etapy wyprawy; nawet gdyby zapomniał, informacje, co czynić dalej, zawarte były w bilecie. Po chwili zapadł w spokojną drzemkę.

Tymczasem kolejno wzbijały się w powietrze samoloty, które brały kurs na Boston, Filadelfię, Waszyngton, Atlantę, Orlando, Dallas, Chicago, San Francisco, Miami i Los Angeles. W każdym z tych wielkich amerykańskich miast odbywały się właśnie jakieś znaczące targi. W dziesięciu innych, Baltimore, Pittsburghu, St. Louis, Nashville, Atlantic City, Las Vegas, Seattle, Phoenix, Houston i Nowym Orleanie miały miejsce imprezy mniejsze wprawdzie, ale także mogące liczyć na znaczne zainteresowanie.

Na chwilę przed zaśnięciem pasażer rejsu SQ 26 pomyślał o tym właśnie i upewnił się, że noga nie dotyka umieszczonej pod fotelem torby podróźnej, w której znajdował się między innymi zestaw do golenia.

\* \* \*

Było południe, a oni w okolicach Teheranu ćwiczyli strzelanie. Gwiazdor wiedział, że bardziej chodzi o odprężenie i rozrywkę niż o rzeczywistą potrzebę, jego podopieczni bowiem długo uczyli się tej umiejętności w dolinie Bekaa, na tyle gruntownie zapoznawszy się z różnymi rodzajami broni, że także ta, którą dostaną w USA, nie będzie dla nich żadnym zaskoczeniem. Byli zaprawieni nie tylko w strzelaniu do celu: każdy z nich potrafił prowadzić różne typy pojazdów, nie straszna im była walka wręcz. Każdego dnia kilka godzin przeznaczali na studiowanie planów i modeli. Zjawia się na miejscu po południu, w porze, gdy rodzice w drodze do domu odbierali pociechy, agenci zaś ochrony powinni być znużeni po całodziennym czuwaniu nad dziećmiakami zajętymi dziecinnymi sprawami. Gwiazdor otrzymał opis kilkunastu samochodów, które regularnie pojawiały się pod przedszkolem; kilka z nich należało do bardzo popularnych

typów, oferowanych przez większość wypożyczalni. Musieli pokonać przeciwnika wytrenowanego i doświadczonego, ale przecież żadnych nadludzi. Co więcej, w ich gronie znalazły się kobiety, których Gwiazdor, przy całej jego znajomości Zachodu, nie potrafił traktować jako poważnych przeciwników w jakiegokolwiek walce. Największa przewaga taktyczna grupy atakującej polegała na tym, że gotowa ona była użyć broni w każdej sytuacji, podczas gdy ochroniarze będą sparaliżowani obecnością dzieci, wychowawczyń i rodziców. Pierwszy etap nie nastęczał więc żadnych trudności, gorzej było z drugim — ucieczką, gdyby do niej miało dojść. Głośno nie poddawał tego w wątpliwość, musiał więc wszystkich zapoznać z planami odwrotu.

Gdyby nie marzyli o męczeńskiej śmierci w nie wypowiedzianej świętej wojnie, nie zgłosiliby się przecież do Hezbollahu. Ci zaś, którzy zginą wraz z nimi, mieli być częścią ofiarnego aktu. To jednak stanowiło dla Gwiazdora tylko zewnętrzne opakowanie, gdyż we wszystkim tym wcale nie chodziło o religię. Niektórzy ze świątobliwych kapłanów potępiali ich działania, ale byli też inni, którzy z przekonaniem głosili, że objawione Słowo usprawiedliwia i uzasadnia terror. Któż zatem ma rozsądzić, co Allah sądzi o ich czynach, skoro uczeni w piśmie mieli przeciwstawne w tej mierze opinie? Gwiaz-

dor nie czuł się w żadnym stopniu do tego uprawniony, a zresztą nie widział też takiej potrzeby. Dla niego było to kolejne wyzwanie zawodowe, następne zadanie do rozwiązania, najpierw na modelach, a potem w praktyce. Niewykluczone, że był to krok ku realizacji jakiegoś wielkiego celu, który dla niego oznaczałby życie w komforcie i może nawet jakąś władzę, ale nadmiernie nie zaprzątał tym sobie myśli. Kiedyś, wyobrażał sobie, że zdecydowane akcje mogą najpierw powalić Izrael na kolana, a potem w ogóle zetrzeć go z powierzchni ziemi, ale młodzieńcze sny dawno minęły. Oduczył się wybiegania w zbyt odległą przyszłość: liczyło się tylko kilka najbliższych kroków. Cel? Idee? Dla niego były to już tylko puste słowa, chociaż inaczej sprawa miała się zapewne z jego podwładnymi, z taką zjadłością strzelającymi do nieruchomych sylwetek.

\* \* \*

Dla inspektora Patricka O'Daya dzień rozpoczął się o 5.30. Zerwał się na dźwięk budzika, natychmiast pomaszerował do łazienki, zerknął na odchodne w lustro i poszedł do kuchni na poranną kawę. Było cicho, normalni ludzie spokojnie spali. Żadnych samochodów na ulicach, nawet ptaki drzemały jeszcze na drzewach. Wszedł na ganek,



żeby wyjąć gazety ze skrzynki, i zatrzymał się na chwilę, myśląc, dlaczego świat nie może być zawsze tak cichy i spokojny. Na wschodzie widać już było łunę świtu, chociaż najbardziej niezłomne gwiazdy świeciły jeszcze na niebie. Czyżby tylko on został pokarany obowiązkiem wstawania o tak wczesnej porze?

Dziesięć minut zabrało mu przejrzanie „Postu” i „Suna”, przy czym najwięcej uwagi poświęcił działom kryminalnym. Jako inspektor do specjalnych poruczeń dyrektora FBI nigdy nie wiedział, kiedy rozkaz może go skierować poza miasto czy nawet na drugi koniec kraju, co wiązało się z tak częstym wynajmowaniem opiekunki do córki, że poważnie zaczynał myśleć o tym, by zatrudnić kogoś na stałe. Mógł sobie na to pozwolić. Odszkodowanie, jakie otrzymał z towarzystwa ubezpieczeniowego po śmierci żony w katastrofie samolotowej, zapewniło mu finansową niezależność, chociaż wolałby jej nie mieć, byle tylko można było odwrócić bieg wypadków. Wahał się przez chwilę, czy nie jest to pasożytność na śmierci żony, ale w końcu odegnał skrupuły. Teraz pełen był wątpliwości. Opiekunka oznaczała tak potrzebną pomoc, zarazem jednak nie mógł się pogodzić z myślą, że Megan zacznie o jakiejś kobiecie myśleć jako o swej matce. Nie, O’Day robił, co mógł, aby zastąpić córce oboje rodziców, i by nie czuła braku

czulej opieki. Pytana przez rówieśników, odpowiadała, że mama poszła do nieba, ale przecież został tatuś. Ojciec i córka byli sobie tak bliscy, że czasami, na co dzień stykająca się z twardą stroną życia inspektor, bywał bliski łez wzruszenia. Dziecięca miłość nie zna żadnych ograniczeń, co dopiero, gdy jest się jej jedynym obiektem. O'Day dziękował niekiedy losowi, że od dobrych paru lat nie trafiła mu się żadna sprawa związana z kidnapingiem. Gdyby się trafiła. . . filiżanka w ręku inspektora nagle zadrżała, a palce zaciśnięte na uszku zbieleły. Jako młody agent prowadził sześć takich spraw, które teraz — szczególnie jako porwania dla pieniędzy — stały się rzadsze, przestępcy bowiem zorientowali się, że jest to gra nie warta świeczki, gdyż cała potęga FBI wali się wtedy na nich niczym karząca pięść. Dopiero teraz Pat czuł w pełni ohydę tej zbrodni, gdyż na to trzeba było zostać ojcem, wiedzieć co znaczy uścisk drobnych rączek, ale i wówczas z ledwością potrafił się opanować, gdy widział porywaczy. Pamiętał, jak jego pierwszy dowódca, Dominie DiNapoli — pośród kolegów krążyło powiedzenie: „najtwardszy koleś na Wschodnim Wybrzeżu, z rodziną Gambino<sup>8</sup> włącznie” — płakał, odprowadzając

---

<sup>8</sup>Znany szef mafii nowojorskiej (przyt. red.).

rodzicom uratowanego dzieciaka. Teraz wiedział już, że był to inny wyraz owej przy-słowiowej twardości Dominika. Porywacz zaś nigdy już nie opuści murów więzienia federalnego w Atlancie.

Następnie przyszała pora na Megan. Leżała skulona w swoich niebieskich śpioszkach z podobizną Myszki Miki na piersiach. Widać było jak szybko rośnie; nocne ubranko było już na nią za małe. Leciutko pogładził córkę po nosie, a ta natychmiast otworzyła oczy.

— Tatusiu!

Zerwała się i zawisła ojcu na szyi, on zaś zastanawiał się, jak dzieci mogą się budzić tak radosne. Nastąpiła kolejna wyprawa do łazienki. Zauważył z radością, że w nocy nic się nie przytrafiło, co było prawdziwym powodem do dumy. Zaczął się golić, gdyż specjalnie poczekał z tym, aż córka się obudzi. Ten codzienny rytuał niezmiennie ją fascynował. Kiedy skończył, nachylił się, ona zaś pogłaskała go po policzku i z powagą kiwnęła głową.

— Dobrze!

Na śniadanie były płatki bananowe i szklanka soku jabłkowego, czemu towarzyszył film Disneya na kuchennym telewizorze; ojciec powrócił do gazet. Skończywszy jeść, Megan zaniósła naczynia do zmywarki i sama je w niej umieściła, jak zwykle najczęściej problemów mając z talerzem. Było to znacznie trudniejsze od nakładania butów, w których miejsce sznurowadeł zajęły rzepy. Panna Daggett wspomniała kiedyś, że Megan jest niezwykle pogodną i bystrą dziewczynką, co jego ojcowską pierś napełniło dumą, a w chwilę później bólem po utraconej żonie. Pat powtarzał sobie, że w twarzyczce córki rozpoznaje rysy Deborah, ale nigdy nie był pewien, jak wiele w tym było wyobraźni, a jak wiele prawdy. Z całą pewnością odziedziczyła po matce błyskotliwość.

Jazda samochodem była kolejną rutynową czynnością. Słońce już świeciło, ruch na razie nie był duży. Megan jak zwykle z zainteresowaniem przypatrywała się mijanym samochodom.

Także na miejscu wszystko było jak zwykle. Jeden agent „pracował” w 7-Eleven, pozostali znajdowali się w domku naprzeciwko przedszkola i w nim samym. O nie, nikt nie ośmieli się porwać jego małej dziewczynki. Tam, gdzie chodziło o konkretną robotę, znikła rywalizacja pomiędzy Biurem a Tajną Służbą, co najwyżej znajdując

wyraz w dowcipach. Cieszył się z ich obecności. Megan od drzwi rzuciła się w objęcia panny Daggett; zaczynał się kolejny dzień nauki i zabawy.

— Cześć, Pat — powitał go agent w wejściu.

— Cześć, Norm.

Obaj mężczyźni jak na komendę ziewnęli.

— Zaczynasz tak samo wcześniej — powiedział agent Jeffers, należący do grupy chroniącej Foremkę.

— Jeszcze sześć tygodni. Niedługo i my zaczniemy się rozglądać za przedszkolem. Jaka ona jest?

— Panna Daggett? Zapytaj prezydenta — zażartował O'Day. — Wszystkie swoje dzieci do niej oddawali.

— To pewnie rzeczywiście nie jest zła. Co tam ze sprawą Kealty'ego?

— Ktoś w Departamencie Stanu łże. Tak mówią ludzie z BOZ. Nie wiadomo kto. Badania przy użyciu wykrywacza kłamstw są do niczego. Do was dochodzą jakieś słuchy?

— Wiesz, zaczyna gierkę z ludźmi ze swojej obstawy. Niedawno powiedział im, że mają wolną rękę, bo nie chciałby, żeby się znaleźli w sytuacji, kiedy. . .

— Jasne — kiwnął głową Pat. — Ale tej wolnej ręki tak naprawdę nie mają.

— Nie. Spotyka się z różnymi ludźmi z Firmy, nie do końca wiadomo z kim. W każdym razie nie wolno nam interesować się, co wykręca Miecznikowi. — Jeffers pokręcił głową z niesmakiem. — Nieźle, co?

— Ja jestem za Ryanem.

Oczy O'Daya zupełnie odruchowo badały teren.

— U nas też wszyscy — oznajmił Norm. — Mam nadzieję, że poradzi sobie z tym pieprzonym Kealtem. Słuchaj, kiedy jeszcze był wice, czasami ja go obstawiałem. Sterczałem jak ten dumny palant pod drzwiami, a on w środku przelatywał panienkę.

Obaj spojrzeli sobie w oczy. Były to historie, które powtarzali w zaufaniu; to, że agenci Tajnej Służby mieli z całkowitym poświęceniem bronić swych podopiecznych, nie przeszkadzało im krytycznie ich oceniać. — Słyszałem więcej podobnych historii. Ale tutaj wszystko w porządku?

— Russell chciałby dostać jeszcze trzech ludzi, ale nie wiem, czy mu dadzą. Ma trójkę wewnątrz, trójkę przez ulicę i jeszcze...

— Wiem — przerwał O'Day — w 7-Eleven. Zdaje się, że zna się na robocie.

— Pewnie, Dziadek jest najlepszy — powiedział z przekonaniem Jeffers. — Szkolił połowę ludzi w Oddziale, a żebyś wiedział, jak strzela. Z obu rąk.

Pat uśmiechnął się.

— Słyszę to od wszystkich. Będę się musiał kiedyś z nim spróbować.

Odpowiedzią był uśmiech.

— Andrea coś mi wspominała. Ściągnęła z Biura twoją teczkę...

— Cooo?

— Spokojnie, Pat, przecież musieliśmy sprawdzić każdego. Wiesz dobrze, kogo tutaj pilnujemy. Przy okazji zobaczyła twoje wyniki w strzelaniu. Słyszałem, że jesteś całkiem niezły, ale jedno ci mówię, jeśli chcesz iść w zawody z Russellem, przygotuj trochę forsy.

— Dobrze, ale niech i on na wszelki wypadek zacznie odkładać. O'Day bardzo lubił takie pojedynki.

— Zapamiętaj moje słowa.

Jeffers poprawił słuchawkę w uchu i po chwili powiedział.

— Ruszyli. Foremka wychodzi do ogrodu. Ciągle trzymają się razem z twoją małą.

— Ryanowa strasznie jest wyrośnięta, jak na małą dziewczynkę.

— Fajne dzieciaki. Czasami się dają, ale zaraz jest po wszystkim. To nic. Kłopot to będziemy mieć z Cieniem, jak zaczniesz się umawiać na prawdziwe randki.

— Daj spokój, nie chcę o tym słuchać.

— Mam nadzieję — powiedział z uśmiechem Jeffers — że nam trafi się chłopak. Mój ojciec, który kiedyś był kapitanem policji miejskiej w Atlancie, mówi, że córki to kara, jaką Pan Bóg wymierza ojcom za to, że są mężczyznami. Przez cały czas trzęsiesz się na samą myśl o tym, że mogą spotkać takiego łobuza, jakim byłeś ty, kiedy miałeś siedemnaście lat.

— Na razie jeszcze parę lat spokoju. Dobra, muszę się zbierać, bo inaczej kryminaliści rozhasają się na dobre.

O'Day klepnął agenta w ramię.

— O nią możesz być tutaj zupełnie spokojny, Pat.



Zamiast pojechać na południe szosą nr 50, O'Day zatrzymał się na kawę po drugiej stronie Ritchie Highway. Musiał przyznać, że ludzie z Tajnej Służby znali się na swojej robocie. Niemniej także i Biuro zajmowało się bezpieczeństwem prezydenta. Musi rano porozmawiać z chłopakami z BOZ, całkowicie nieformalnie, rzecz jasna.

\* \* \*

Dwoje pacjentów: mężczyzna zmarł, dziewczynka niemal w tym samym czasie wraca do domu. Był to pierwszy przypadek śmierci na ebola w karierze lekarskiej MacGregora. Nie śmierci w ogóle: widział ludzi, którzy zmarli na zawał, raka, albo po prostu ze starości. Lekarzy najczęściej przy tym nie było i wszystko spadało na ręce pielęgniarek. Teraz sam obserwował proces umierania. Organizm Saleha bronił się, a jego siła przedłużyła jedynie cierpienia. W końcu jednak uległ i bezradnie czekał już tylko na zgon. W końcu drgający punkcik, który odtwarzał na ekranie skurcze serca, przestał się odchyłać i pociągnął za sobą prostą linię. Nie będzie żadnych prób reanimacji. Odłączono przewody kroplówki i wraz z bandażami ostrożnie umieszczono w plastikowym pojemniku. Dosłownie wszystko, co choćby na chwilę zetknęło się z ciałem pacjenta,

zostanie spalone. W tej procedurze nie było niczego szczególnego; tak samo postępowano w przypadku chorych na AIDS i niektóre odmiany zapalenia wątroby. W przypadku wirusa ebola rozsądniej było spalić też samo ciało, na co zresztą należały władze. Cóż, jeszcze jedna przegrana bitwa.

MacGregor czuł się nieco zażenowany tym, że z uczuciem pewnej ulgi po raz ostatni ściągnął ochronny kombinezon, dokładnie obmył się i poszedł do Sahaili. Była jeszcze osłabiona, ale szybko powracała do siebie. Badania wykazały w krwi coraz liczniejsze przeciwciała. W jakiś osobliwy sposób jej organizm potrafił pokonać groźnego przeciwnika. Można ją teraz bezpiecznie przytulać i całować. W innych warunkach zostałaaby jeszcze w szpitalu na dalsze testy, a jej krew poddano by rozlicznym badaniom laboratoryjnym, władze jednak stanowczo się temu sprzeciwiły i oznajmiły, że mała pacjentka ma opuścić szpital natychmiast, gdy nic nie będzie groziło jej ani otoczeniu. MacGregor usiłował protestować, ale szybko zrezygnował; skądinąd był przekonany, że nie pojawiają się komplikacje. Lekarz sam uniósł dziewczynkę i posadził na ruchomym fotelu.

— Jak już będziesz zupełnie zdrowa, odwiedzisz mnie czasami? — zapytał z uśmiechem.

Pokiwała głową. Wspaniała dziewczuszka; dobrze mówiła po angielsku, miała żywe, bystre spojrzenie i czarujący uśmiech.

— Panie doktorze?

MacGregor obejrzał się i zobaczył ojca, który musiał być wojskowym, sądząc z postawy i sposobu zachowania. Widać było, że usiłuje znaleźć słowa, które wyraziłyby to, co działo się w jego sercu.

— Niewielka w tym moja zasługa. Córka jest silna i zdrowa; to ją przede wszystkim uratowało.

— W każdym razie jestem pana dłużnikiem.

Uścisk dłoni był mocny i serdeczny; MacGregor mógł żywić różne podejrzenia co do tego, czym zajmował się ten mężczyzna, teraz jednak chodziło tylko o prostą ludzką wdzięczność.

— Osłabienie może potrwać jakieś dwa tygodnie. Niech je, co chce i ile chce, a także niech śpi do woli.

— Będzie tak jak pan mówi — zapewnił ojciec.

— W razie jakichkolwiek problemów czy wątpliwości, ma pan mój telefon do szpitala i domowy.

— Gdyby zaś pan miał jakiegokolwiek trudności, niezależnie od ich charakteru, proszę dać mi znać.

Niewykluczone, że zyskałem sobie protektora, myślał MacGregor odprowadzając oboje do drzwi. Może kiedyś mi się to przyda. Potem wrócił do swego gabinetu.

\* \* \*

— Rozumiem zatem — powiedział ministerialny dygnitarz po wysłuchaniu sprawozdania — że niebezpieczeństwo jest zażegnane?

— Tak.

— Przebadano cały personel?

— Tak, ale jutro dla pewności raz jeszcze przeprowadzimy testy. Oba pokoje, w których przebywali pacjenci, zostaną starannie zdezynfekowane. Wszystkie rzeczy, z którymi mieli styczność, są właśnie palone.

— Zwłoki?

— Także zostały zapakowane i przygotowane do kremacji, zgodnie z pańskim poleceniem.

— Znakomicie. Doktorze MacGregor, spisał się pan wybornie, za co serdecznie panu dziękuję. Od tej chwili najlepiej będzie uważać ten niefortunny incydent za niebyły.

— Chciałbym się jednak dowiedzieć, w jaki sposób ebola znalazła się w Sudanie — powiedział lekarz, starając się, żeby zabrzmiało to możliwie jak najmniej natarczywie.

— To nie powinno interesować ani pana, ani mnie. Jednego możemy być pewni: tego typu incydenty już się więcej nie powtórzą.

— Muszę zatem przestać na pańskim zapewnieniu.

Padło kilka grzecznościowych formułek i MacGregor odłożył słuchawkę. Wpatrzył się w ścianę. Musi wysłać jeszcze jeden faks do CCZ. Chociażby po to, żeby poinformować, iż skończyło się na dwóch przypadkach. Także i dla niego była to pocieszająca myśl. Mógł powrócić do codziennej, mniej dramatycznej praktyki.

\* \* \*

Okazało się, że Kuwejt z o wiele większą skwapliwością niż Saudyjczycy zareagował na propozycję spotkania, co mogło wynikać z faktu, że o wiele bardziej lękał się potężnego sąsiada. Adler podał tekst faksu prezydentowi, który szybko przebiegł go oczyma.

— Brzmi to jak SOS.

— Słusznie — zaważył sekretarz stanu.

— Albo minister Sabah zapomniał o wymogach etykiety dyplomatycznej, albo jest bardzo wystraszony. Moim zdaniem to drugie — odezwał się Bert Vasco.

— Co o tym sądzisz, Ben? — spytał Jack. Goodley pokręcił głową.

— Możemy mieć tutaj problemy.

— Daruj sobie to „możemy” — mruknął Vasco.

— Dobra, Bert, ty jesteś naszym wrożem, jeśli chodzi o Zatokę Perską — zauważył prezydent. — Czego możemy się spodziewać?

— Tam obowiązuje osobliwy rytuał dogadywania się i rokowań. Żadne spotkanie nie może odbyć się bez całego rytuału. Wypowiedzenie wstępnego: „Cześć, jak się masz” trwa co najmniej godzinę. Sama nieobecność takich formuł jest już znacząca. Rzeczywiście, panie prezydencie, to brzmi jak SOS.

Swoją drogą, ciekawe, myślał Vasco, że zaczęli od modlitwy. Może dla Saudyjczyków był to jakiś sygnał, ale nie dla Kuwejtczyków?

Nawet najlepszy zewnętrzny obserwator mógł się pogubić w szczegółach tamtejszej sytuacji.

— To dlaczego Saudyjczycy bagatelizują problem?

— W rozmowie z księciem Alim odniósł pan jednak inne wrażenie, prawda?

Ryan skinął głową.

— Zgoda. Mów dalej.

— Sytuacja królestwa jest trochę schizofreniczna. Lubią nas i cenią jako strategicznego partnera, zarazem jednak nas nie znoszą, podobnie jak naszej kultury. Sprawa jest w istocie jeszcze bardziej skomplikowana, ale najogólniej można powiedzieć, że gnębi ich obawa, iż nadmierne otwarcie się na Zachód naruszy ich feudalny porządek

społeczny. Są bardzo konserwatywni tam, gdzie chodzi o ich tradycję, co dobrze było widać w 91 roku, kiedy zażądali, żeby nasi kapelani nie nosili na zewnątrz żadnych insygniów religijnych, bardzo kręcili nosami również na to, że u nas kobiety prowadzą samochody i noszą broń. Zatem z jednej strony wiedzą, że są zależni od nas w sprawach bezpieczeństwa — księżę Ali nie jeden raz prosił o potwierdzenie naszych gwarancji — z drugiej, lękają się, że możemy zdestabilizować sytuację wewnętrzną. Do tego dochodzi jeszcze sprawa religii. W sumie, woleliby dojść do porozumienia z Darjaeim, niż wzywać nasze wojska do obrony ich granic, dlatego większość rządu chce rozgrywać to miękko, wiedząc, że i tak się zjawimy, kiedy nas poproszą. Natomiast z Kuwejtem sprawa wygląda inaczej. Kiedy ich zapytamy, czy chcą z nami przeprowadzić manewry, natychmiast odpowiedzą „Tak”, nawet jeśli Saudyjczycy doradzają im coś innego. Wie o tym, na szczęście, także i Darjaei, który dlatego nie może wykonywać pośpiesznych posunięć. Jeśli ruszy na południe. . .

— CIA natychmiast o tym poinformuje — oznajmił z przekonaniem Goodley. — Wiemy, czemu się przypatrywać, a oni nie potrafią tego ukryć.



— Jeśli nasze oddziały pojawią się teraz w Kuwejcie, zostanie to odczytane jako wrogi krok — ostrzegł Adler. — Dlatego lepiej spotkać się najpierw z Darjaeim i posłuchać, co on ma do powiedzenia.

— On zaś pomyśli, że, podobnie jak Saudyjczycy, zrobimy wszystko, żeby tylko się dogadać, więc ma zielone światło — powiedział Vasco.

— Nie, takiego błędu nie popełni. Musi zdawać sobie sprawę z tego, jak ważnym regionem jest dla nas Zatoka Perska. Z pewnością tym razem nie będzie żadnych dwuznaczności.

Saddam Husajn twierdził, że w roku 1990 ambasador Gaspie przekazała mu milczącą aprobatę dla planów inwazji na Kuwejt, ona jednak temu zaprzeczała, a źródło informacji nie należało do najbardziej wiarygodnych. Mogło pójść o jakiś lingwistyczny niuans, ale najprawdopodobniej, o ile Husajn po prostu nie skłamał, usłyszał to, co chciał usłyszeć, co politykom przydarza się równie często jak dzieciom.

— Jak szybko możesz to zorganizować? — spytał prezydent.

— Bardzo szybko — odparł sekretarz stanu.

— Więc do dzieła — polecił Ryan. — Ben?

— Słucham, panie prezydencie.

— Rozmawiałem już o tym z Robbym Jacksonem, skoordynujcie działania, aby umożliwić szybkie przerzucenia naszych sił w tamten rejon. Dostatecznie dużych, żeby podkreślić nasze zainteresowanie, jednak nie na tyle dużych, by Darjaei mógł to uznać za prowokację. Porozumcie się z Kuwejtem i powiedzcie, że w razie potrzeby mogą na nas liczyć, i że na ich prośbę gotowi jesteśmy wysłać oddziały. Kogo możemy do tego celu użyć?

— 24. Dywizję Zmechanizowaną z Fort Stewart w Georgii — oznajmił Goodley, najwyraźniej rad z siebie. — Ich druga brygada jest teraz nieustannie w stanie podwyższonego pogotowia. Także jedną brygadę 82. Dywizji Powietrznodesantowej z Fort Bragg. Ponieważ sprzęt czeka w Kuwejcie, możemy być gotowi do drogi w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. Doradzałbym także ogłoszenie stanu podwyższonego pogotowia na okrętach transportowych w Diego Garcia. To można zrobić bez zwracania niczyjej uwagi.

— Pięknie, Bob. Powiedz sekretarzowi obrony, żeby wszystko przeprowadził... bez ostentacji.

— Tak jest, panie prezydencie.

— Oznajmię Darjaeiemu, że chcemy pozostawać w przyjaznych stosunkach ze Zjednoczoną Republiką Islamską — rzekł Adler — ale zależy nam też na pokoju w tym regionie, a to oznacza, między innymi, nienaruszalność granic. Ciekaw jestem, co na to odpowie?

Wszystkie oczy zwróciły się na Berta Vasco, któremu zaczynał nieco doskwierać status eksperta od spraw muzułmańskich.

— Wątpię, żeby nam się postawił.

— Wycofujesz się?

— Mam za mało informacji — powiedział Vasco. — Nie przypuszczam, żeby chciał z nami konfliktu. Raz już się coś takiego zdarzyło i wszyscy widzieli, jaki był koniec. Nie lubi nas, zgoda. Nie lubi Saudyjczyków i reszty sąsiadów, też zgoda. Nie chce jednak walnego starcia. Niewykluczone, że dałby sobie radę z nimi wszystkimi, to problem militarny, a ja jestem tylko doradcą politycznym, ale z pewnością byłoby to niemożliwe, kiedy miałby także do czynienia z nami. Przypuszczam więc, że dalej będą trwały po-

lityczne naciski na Kuwejt i Arabię, ale nie sędzę, żebyśmy musieli obawiać się czegoś więcej.

— Na razie — mruknął prezydent.

— Zgoda: „na razie”.

— Nie wymagam od ciebie zbyt wiele, Bert?

— Mówię, co myślę, a pan mnie słuca. Myślę, że nie od rzeczy byłoby sporządzić Specjalną Ocenę Wywiadu, obejmującą możliwości i zamiary ZRI. Potrzebuję więcej informacji.

— Bob, trzeba przygotować SOW; Bert ma mieć pełny dostęp do wszystkich źródeł. — Jack na chwilę zamilkł, a potem się uśmiechnął. — Wiecie, czasami wydawanie rozkazów jest zupełnie fajne. — Zaraz jednak spowaźniał. — Mamy tutaj zatem potencjalne zagrożenie, ale nic palącego? — Wszyscy pokiwali głowami. — Dziękuję panom. Będziemy się tam wszystkiemu uważnie przypatrywać.

Samolot Singapur Airlines, rejs numer 26, spóźnił się pięć minut i lądował o 10.25. Pasażerowie pierwszej klasy nie tylko mieli wygodniejsze fotele i lepszą obsługę, ale też szybciej mogli pokonać formalności związane z wjazdem do USA. Podróżny zdjął z karuzeli swój podwójny neseser i, z przerzuconą przez ramię torbą, zajął miejsce w kolejce. W ręku trzymał kartę pobytową, na której wypisał fałszywe informacje.

— Dzień dobry — powiedział urzędnik imigracyjny, przebiegł wzrokiem kartę, a potem przekartkował paszport. Dość stary, z licznymi stemplami wjazdu i wyjazdu. Znalazł wolne miejsce, na którym mógł przystawić swoją pieczęć. — W jakim celu przybywa pan do Stanów Zjednoczonych? — spytał.

— Interesy — brzmiała odpowiedź. — Chcę obejrzeć targi samochodowe w centrum Javitsa.

— Mhm — mruknął bez większego zainteresowania urzędnik, podstemplował paszport i wskazał podróżnemu następną kolejkę, gdzie jego bagaże prześwietlono, zamiast je otwierać.

— Coś do zadeklarowania?

— Nie.

Proste odpowiedzi były najlepsze. Celnik przyjrzał się zawartości toreb, ale nie dostrzegł niczego interesującego. Po chwili bagaże wraz ze swym właścicielem znajdowały się już na postoju taksówek.

Czekanie nie trwało dłużej niż pięć minut. Pierwsze zmartwienie, kontrolę celną, podróżny miał już za sobą. Aby się upewnić, że taksówka nie jest podstawiona, w ostatniej chwili zaczął szperać w torbach, przepuszczając kobietę, która stała za nim. Kiedy znalazł się na tylnym siedzeniu, ostentacyjnie rozglądał się po okolicy, choć w rzeczywistości chciał się tylko upewnić, że żaden wóz nie jedzie ich śladem. W gęstym potoku pojazdów byłoby to bardzo trudne, szczególnie jeśli zważyć, że była to jedna z wielu podobnych do siebie żółtych taksówek. Jedyny kłopot polegał na tym, że jego hotel znajdował się daleko od centrum wystawowego, będzie więc potrzebował jeszcze jednej taksówki, najpierw musiał się bowiem wpisać do księgi hotelowej.

Po godzinie był już w windzie zdążającej na szóste piętro; portier zaopiekował się jego neserem, gość jednak nie chciał się rozstawać z torbą podróżną. Po wręczeniu

napiwku, ani za małego, ani za dużego, podróżny wypakował ubrania, wyjął też zbędne rzeczy z torby, zostawiając komplet do golenia. Po prysznicu skorzystał z maszynki i pianki, które gościnnie zaoferował hotel. Niezależnie od podniecenia, czuł się nadspodziewanie dobrze. Ile był już w drodze? Dwadzieścia dwie godziny? Coś koło tego. Sporo jednak spał, a latanie nigdy nie wiązało się dla niego z żadnymi emocjami. Zamówił do pokoju lunch, potem się przebrał i, z torbą zarzuconą na ramię, zjechał na dół, gdzie czekała już na niego taksówka do centrum Javitsa. Salon samochodowy, pomyślał z satysfakcją. Zawsze lubił auta.

Większość z jego dziewiętnastu towarzyszy znajdowała się jeszcze w powietrzu, niektórzy właśnie lądowali — najpierw w Bostonie, potem kilku w Nowym Jorku, następnie jeden w Dallas — by przejść przez podobne punkty obserwacyjne, przy użyciu których Wielki Szatan usiłował zadbać o swe bezpieczeństwo. Niemniej ta fraza, tak często powtarzana przez Darjaeiego, tutaj była przesadna. Szatan zaglądał człowiekowi w oczy i potrafił czytać jego myśli, tu chodziło zaś o urzędników, ani bystrzejszych, ani bardziej przenikliwych od innych. Stawali się groźni, kiedy byli uprzedzeni. Lub gdy ktoś niepotrzebnie zwrócił na siebie ich uwagę.

\* \* \*

— Musicie wiedzieć, jak odgadywać intencje drugiej strony — oznajmił Clark. Trafiła mu się dobra klasa; w przeciwieństwie do szkoły, wszyscy chcieli się uczyć. Przypominało mu to trochę jego własne dni na Farmie: były to czasy zimnej wojny — każdy marzył o tym, żeby zostać Jamesem Bondem, a niektórzy nawet w to wierzyli w cichości ducha, na przekór słowom instruktorów. Większość jego kolegów ukończyła studia i nieźle znała się na książkach, ale nie na życiu. Uczyli się na ogół szybko, nie wszyscy jednak, a chociaż niedostatek pewnych umiejętności mógł w ich sytuacji mieć znacznie poważniejsze konsekwencje niż tylko zła ocena w indeksie, nawet wpadki były o wiele mniej widowiskowe niż w kinach. Raczej wyraźna informacja, że lepiej zmienić zawód. Clark wiązał duże nadzieje ze swoimi obecnymi uczniami. Bardzo możliwe, że nie kończyli historii na Dartmouth czy Brown, ale sporo wiedzieli o tym, co dzieje się na ulicy.

— Czy możliwe, żeby nasi agenci nas okłamywali?

— Panie Stone, pan pochodzi z Pittsburgha, prawda?



— Tak.

— Miał pan swoich informatorów. Kłamali?

— Czasami.

— Oto i odpowiedź. Agenci mogą opowiadać niestworzone rzeczy na temat swojego znaczenia, niebezpieczeństwa, które im grozi, mnóstwa innych rzeczy, a wszystko zależnie od ich chwilowego samopoczucia. Dlatego trzeba dobrze poznać ich nastroje i nawyki. Panie Stone, wiedział pan, kiedy pana człowiek zmyśla?

— Najczęściej tak.

— A skąd?

— Podawał za dużo informacji, które nie bardzo do siebie pasowały...

— No i proszę — przerwał Clark. — Czasami zastanawiam się, co ja tutaj właściwie robię, skoro wy i tak to wszystko już wiecie. Więc tyle, jeśli chodzi o ludzi. Ale zetkniecie się także w Firmie z osobami, która uważają, że wszystkiego można się dowiedzieć z satelitów. Tymczasem to nieprawda. Maszyny łatwo przechytryć, o wiele łatwiej niż ludzi. Ci mają swoje słabostki, najczęściej przesadne mniemanie o sobie, ale nic nie może zastąpić spojrzenia w oczy. Nawet w kłamstwie zawsze jest odrobina

prawdy. Rozegrajmy sobie taką sytuację. Moskwa, rok 1983, Prospekt Kutuzowa. Daliśmy znać agentowi, że ma się z nami spotkać tutaj za tydzień. On tymczasem zaczyna mieć kłopoty z szefem. . .

W drzwiach pojawił się Chavez i potrząsnął trzymaną w rękę kartką. Clark polecił asystentowi, żeby dalej prowadził zajęcia, i wyszedł na korytarz.

— Co się stało, Ding?

— Mary Pat, chce żebyśmy zjawili się jak najszybciej. Coś związanego z SOW.

— Na pewno na temat ZRI.

— Cóż za domyślność, panie C. Mamy być przed obiadem. Kto prowadzi?

\* \* \*

W Diego Garcia znajdowały się cztery okręty transportowe, stosunkowo nowe jednostki, zbudowane z myślą o tym, iż będą pływającymi garażami pojazdów wojskowych. Jedną trzecią stanowiły czołgi, ciągniki artyleryjskie i bojowe wozy piechoty, reszta to ciężarówki wyładowane wszystkim, czego może potrzebować armia: od amunicji po racje wody. Okręty pomalowane były na szaro, barwę Marynarki, ale kolorowe

pasy na kadłubach informowały, że jest to część Narodowej Floty Odwodów Obronnych, załogę zaś stanowili cywilni marynarze, których zadaniem było utrzymanie okrętów w stanie użyteczności. Nie nastęczało to specjalnych kłopotów. Co parę miesięcy uruchamiali wielkie silniki dieslowskie i pływali przez kilka godzin, sprawdzając pracę wszystkich mechanizmów. Wieczorem nadszedł jednak rozkaz, który nakazywał stan podwyższonej gotowości.

W maszynowniach pojawili się marynarze. Sprawdzono ilość paliwa, a także najważniejsze wskaźniki, które informowały, że statki są gotowe do wypłynięcia. Próba poszczególnych silników nie była niczym nadzwyczajnym; próba wszystkich naraz, była czymś, czego szczególnie w nocy nie mogły przegapić czujniki podczerwieni satelitów.

W pół godziny później odpowiednia informacja dotarła do Siergieja Gołowki, który zareagował tak, jak postąpiłby w jego sytuacji każdy szef służb wywiadowczych na świecie: zwołał naradę ekspertów.

— Gdzie jest amerykańska grupa lotniskowcowa? — zainteresował się przede wszystkim.

— Wczoraj wypłynęli z Diego Garcia i skierowali się na wschód.

— Opuszczają Zatokę Perską?

— Tak. Mają zaplanowane wspólne manewry z Australią o kryptonimie PUCHAR POŁUDNIA. Nie ma żadnych informacji, żeby zostały odwołane.

— Skąd więc to zamieszanie?

Analityk rozłożył ręce.

— Może normalna próba silników, ale ja bym to wiązał z sytuacją w Zatoce.

— Jak w Waszyngtonie? — spytał Gołowko.

— Polityczne ataki na naszego przyjaciela Ryana — poinformował szef sekcji amerykańskiej. — Dość ostre.

— Da sobie radę?

— Tak sądzi ambasador, z którym zgadza się nasz rezydent, ale Ryan nie panuje nad wszystkim. Ameryka zawsze chlubiła się swoim systemem przekazywania władzy, żadne prawo nie jest jednak w stanie przewidzieć sytuacji takiej jak ta. Ryan nie może bezpośrednio zaatakować swego przeciwnika. . .

— To, co robi Kealty, to zdrada stanu — zauważył Gołowko. W Rosji samo to słowo wystarczało, by w powietrzu poczuło się epokę lodowcową.

— Z punktu widzenia ich prawa, sprawa jest zagmatwana, tak powiadają eksperci. Jednak na razie na stanowisku pozostaje Ryan, gdyż pierwszy się tam znalazł.

Gołowko pokiwał głową, ale z twarzy nie zniknęła posępna mina. Informacje o „Czerwonym Październiku” i aferze z Gierasimowem nigdy nie powinny się były dostać do wiadomości publicznej. Wiedział o tej drugiej sprawie, miał pewne podejrzenia co do pierwszej. Jeśli chodzi o okręt podwodny, Amerykanom udało się wszystko znakomicie zakonspirować, tak że później Ryan mógł wykorzystać tę właśnie kartę, aby zmusić Kolę do wyjazdu. Tak musiało być; z perspektywy czasu wszystko zaczynało do siebie pasować, a rozgrywka była pierwszorzędną. Od chwili jednak, kiedy sprawa stała się tajemnicą poliszynela i dotarła również do Rosji, Gołowko, nie mógł bezpośrednio kontaktować się z Ryanem, chyba że chodziło by o nagłą sytuację kryzysową. Amerykanie wyraźnie szykowali się do czegoś, on jednak nie wiedział, do czego, a zamiast zapytać wprost, musiał czekać, aż jego agentom uda się to ustalić. Problem polegał i na katastrofie, która dotknęła amerykańskie władze, i na wyniesionym z CIA przyzwyczajeniu Ryana, aby polegać na niewielkiej grupie ludzi, zamiast kierować całą administracją, niczym dyrygent orkiestrą symfoniczną. Instynkt podpowiadał mu, że Ryan gotów byłby

do współpracy, że dawni wrogowie mogliby teraz połączyć swe siły we własnym do-  
brze rozumianym interesie, tymczasem ten zdrajca Kealty — nikt inny wszak nie mógł  
ujawnić informacji prasie — spowodował impas. Polityka!

Kiedyś była dla Gołowki najważniejszą rzeczą w życiu. Wstąpił do partii w wieku  
lat osiemnastu, dzieła Marksa i Lenina zgłębiał z pasją studenta teologii, a chociaż zapał  
z czasem minął, to przecież owe logiczne, chociaż nierzeczywiste, teorie nadały kształt  
jego dorosłemu życiu, aż wreszcie runęły dawne dekoracje ustrojowe, a on wylądował  
na stanowisku, które piastował. Dzisiaj potrafił zracjonalizować w kategoriach histo-  
rycznych przyczyny dawnej niechęci do Stanów Zjednoczonych: dwa supermocarstwa,  
dwa odmienne kręgi sojuszy, dwie odmienne doktryny sprawowania władzy, szczepione  
w jednym, długotrwałym konflikcie. Narodowa дума chciałaby, żeby zwyciężyła je-  
go ojczyzna, ale tak się nie stało. Jedno było pewne: skończyła się zimna wojna, a wraz  
z nią minął czas śmiertelnej konfrontacji pomiędzy Rosją i USA. Dzisiaj obie strony by-  
ły w stanie uznawać nawzajem swoje interesy i czasami zgodnie współdziałać. Raz już  
tak się zdarzyło. Iwan Emmetowicz zwrócił się do niego z prośbą o pomoc w konflikcie  
Stanów Zjednoczonych z Japonią i oba kraje zgodnie zrealizowały wspólnie postawiony

cel, co na szczęście nadal pozostawało tajemnicą. Ciekawe, myślał Gołowko, że Kealty nie zdecydował się na ujawnienie tej sprawy. Tak czy owak, w kraju, w którym prasy nie krępowały już dawne pęta, rozpoczęła się nagonka na Ryana nie gorsza niż w Ameryce, a w rezultacie Gołowko nie mógł sobie pozwolić nawet na jeden banalny telefon.

Silniki uruchomiono na transporterach nie bez powodu. Ryan szykował się do czegoś, albo dopiero coś planował, on zaś musiał znowu powrócić do roli szpiega, który knuje przeciw drugiemu szpiegowi, zamiast z nim współpracować. No cóż, nie miał wyboru.

— Utworzyć specjalną grupę do stałej analizy sytuacji w Zatoce Perskiej. Pozbierać wszystkie dostępne informacje. Ameryka będzie musiała jakoś zareagować. Po pierwsze, ustalić, co się dzieje. Po drugie, co mogą wiedzieć Amerykanie. Po trzecie, co mogą zrobić. Włączyć generała Bondarienkę. Zna się na ich armii, spędził tam trochę czasu.

— Tak toczna, *gaspadin predsjedatiel* — brzmiała zdyscyplinowana odpowiedź.

Dobrze, że przynajmniej to się nie zmieniło.

\* \* \*

Warunki były znakomite: nie za ciepło, nie za zimno. Centrum Javitsa położone było tuż nad rzeką, panowała więc w nim stosunkowo duża wilgotność, co też było korzystne. Będzie pod dachem, nie trzeba więc kłopotać się o promieniowanie ultrafioletowe, które zagrażało zawartości pojemnika. Miał dokładnie wykonać otrzymane polecenia, a to, czy wszystko potoczy się dalej zgodnie z planem, spoczywało już w rękach Allacha. Wsiadł z taksówki i wszedł do środka.

Po raz pierwszy znalazł się w tak obszernej budowli i przez chwilę stał stropiony, obracając w rękę plakietkę, którą otrzymał jako gość, oraz program z planem orientacyjnym. Po chwili jednak rozpoznał się: miał dużo czasu, który może poświęcić na rozejrzenie się pośród wszystkich tych samochodów.

Było ich mnóstwo; lśniły niczym klejnoty, jedne obracały się na ruchomych podiach, aby oszczędzić wysiłku tym, którym nie chciało się ich obejść, przy innych skąpo odziane dziewczyny kusily obiecującymi gestami, jak gdyby można było kochać się z maszynami. Chociaż z dziewczynami, kto wie, myślał, wpatrując się łakomie w ich



odślonięte twarze. Wiedział, że Ameryka wytwarza miliony samochodów, niemal we wszystkich możliwych kształtach i kolorach, co oznaczało ogromne marnotrawstwo. Bo czyż był samochód czymś więcej niż środkiem transportu, środkiem, który sam się niszczył i zanieczyszczał otoczenie? Cała ta wystawa była jednym wielkim łgarstwem, gdyż z wielkim nakładem sił i środków sugerowała coś innego: że samochód ma w sobie coś czarodziejskiego, magicznego. . .

Co jednak nie było do końca kłamstwem, musiał przyznać sam przed sobą. Na chwilę poczuł nawet czarowną gorączkę zakupów, ale jednak nie. . . To nie był *suk*, do którego atmosfery nawykł, nie było tu szeregów małych kramów, przed którymi wystawaliby kupcy, gotowi targować się dla samej radości targowania. O tak, Ameryka była zupełnie inna. Tutaj kobiety prostytuowały się, aby tylko sprzedać towar za cenę, z której nie było żadnego upustu. Targały nim sprzeczne uczucia. Z jednej strony, kusił go wyzywający czar kobiet, z drugiej, czuł się poruszony tak plugawym wykorzystaniem niewieściego ciała i z niejaką satysfakcją zauważył, że pośród wszetecznic nie ma żadnej o semickich rysach.

Wszystkie marki i modele. Wielka ekspozycja Cadillaka w dziale General Motors, w innej części Ford, gdzie uwagę podróżnego najbardziej przykuły Chryslery. Sekcja japońska świeciła pustkami, co niewątpliwie było efektem ostrej kampanii reklamowej, w czasie której wystawiane były przez krajowych producentów wielkie transparenty: AMERYKAŃSKI WYTWÓR AMERYKAŃSKICH RAK. Zapowiadał się ciężki rok dla Toyoty, Nissana i ich rodzimych konkurentów.

Ze złej passy Japończyków korzystali Europejczycy. Szczególnie wielki tłum zebrał się w dziale Mercedesa, a uwagę przyciągał przede wszystkim najnowszy model sportowy, połyskujący chromami i czarnym metalizowanym lakierem. Podróżny po drodze zbierał ze wszystkich stolików ulotki, które upychał w torbie, co upodabniało go do reszty zwiedzających. Kupił też hot doga, nie zastanawiając się nad tym, czy parówka jest czy nie jest z wieprzowiny; przecież nie obowiązywało tu prawo koraniczne, a on w głębi duszy niewiele sobie robił ze wszystkich tych zakazów. Sporo czasu spędził przy samochodach terenowych, zastanawiając się, czy wytrzymałyby wertepy Libanu lub Iranu; uznał że raczej tak. Szczególnie spodobał mu się model wzorowany na pojeździe wojskowym; gdyby miał wybierać, chyba na ten właśnie by się zdecydo-

wał. Zgarnął wszystkie materiały reklamowe i, oparty o stoisko, zagłębił się w lekturze. Sportowe auta były tylko na pokaz, tutaj znajdował coś naprawdę ciekawego. Skończył czytać i westchnął ciężko; cóż za szkoda, że nigdy nie będzie mieć czegoś takiego. Zerknął na zegarek. Zbliżał się wieczór. Wszędzie tłum ludzi, oczarowanych ekspozycją. Znakomicie.

Zauważył system klimatyzacyjny. Najlepiej byłoby w nim umieścić zawartość pojemnika, ale przestrzeżono go przed takimi pomysłami. Od czasu, gdy na zjeździe Legionu Amerykańskiego w Filadelfii w 1976 roku zebranych zaatakowała bakteria powodująca zapalenie płuc, od tej pory znana pod wdzięczną nazwą *Legionella*, bardzo dbano o antyseptykę takich urządzeń. Wodę, którą wykorzystywano do nawilżania powietrza, odkażano chlorem, ten zaś był zabójczy także dla wirusów. Znad kolorowej broszury zerknął na wielkie wentylatory, z których sphywało chłodne powietrze. Ogrzane przez ciała zwiedzających powietrze wzniesie się do góry, a stamtąd zostanie wchłonięte przez układ oziębiający, a zarazem do pewnego stopnia odkażający. Musiał przeto znaleźć miejsce, gdzie obieg powietrza będzie jego sprzymierzeńcem, a nie przeciwnikiem. Wiele uwagi poświęcając samochodom, zaczął przechodzić od jednego wentyla-

tora do drugiego. Czuł miękki, zimny powiew i zastanawiał się, gdzie najlepiej zostawić pojemnik. Okres rozpylania trwać będzie jakieś piętnaście sekund, co spowoduje lekki syk — który najprawdopodobniej zginie w gwarze — oraz mały obłok pary. Ta będzie widoczna tylko przez kilka sekund, by następnie bez śladu rozproszyć się w otaczającym powietrzu i rozejść na całą budowlę w ciągu jakichś trzydziestu minut. Ważne było, by na zarażenie narazić możliwie jak najwięcej osób.

Chociaż wystawa była ogromna i tak nie zapełniła całego Centrum Javitsa. Każda ekspozycja była oddzielona od reszty, trochę na podobieństwo pomieszczeń biurowych, a za wieloma powiewały wysokie proporce, które ustawiono jedynie po to, aby zapełnić puste miejsca. Nie było żadnych ogrodzeń, można się tam było dostać bez najmniejszego kłopotu, z czego zresztą korzystały niewielkie grupki, zarządzające na uboczu małe narady. Co jakiś czas pojawiali się także porządkowi. Ci stanowili pewne utrudnienie, mogli bowiem sprzątnąć pojemnik, zanim ten się rozładuje. Rzecz polegała więc na tym, aby stwierdzić, ile czasu zajmuje im okrążenie terenu, i wybrać najlepszy moment. Centrum zamykano dopiero za kilka godzin, z drugiej jednak strony uprzedzono go, że nie musi przesadnie troszczyć się o miejsce; najważniejsza była dyskrecja.

Przyjrzał się głównemu wejściu, przez które tłum wlewał się i wylewał. Nad nim znajdowała się bateria wentylatorów klimatyzacyjnych, które tworzyły coś na kształt bariery termicznej; otwory wlotowe umieszczono przede wszystkim w centrum hali. Powietrze sphywało zatem do środka z peryferiów, a każdy musiał przejść przez tę samą główną bramę. . . jak to wykorzystać? Po tej stronie było kilka miejsc z napojami i kanapkami, a tłok był niebezpieczny: ktoś mógłby podnieść pojemnik i wrzucić go do kosza. Przeszedł na drugi koniec; zaglądał do programu, zderzał się z innymi, aż znalazł się na końcu sekcji General Motors. Obok, ale bliżej centrum, znajdowały się Mercedes i BMW, wszystkie trzy stoiska oblegane. . . a do tego przeciąg spowodowany znajdującym się naprzeciwko głównym wejściem. Trzy stojące obok siebie proporce zasłaniały ścianę, ale za nimi dostrzegł trochę miejsca. Tutaj. Rozejrzał się, zerknął na zegarek, potem do programu, który wcisnął do torby, jednocześnie rozsuwając zamek kosmetyczki z przyborami do golenia. Raz jeszcze zrobił koło, by się upewnić, że nie ma lepszego rozwiązania; jego uwagę na chwilę przyciągnął inny zakątek, ale był zdecydowanie gorszy. Teraz przyszła kolej na ostateczne sprawdzenie, czy nikt go nie śledzi; czy nie przyciągnął niczyjego spojrzenia, a nie zamierzał swojej obecności podkreślać seriami

z *Kałasznikowa* czy eksplozjami granatów. Na wiele sposobów można było uprawiać terroryzm i żałował, że dopiero teraz się o tym dowiadywał. Ach, gdyby zawartość pojemnika rozpylić gdzieś w Jerozolimie... Może przyjdzie czas i na to, gdy złamie się głównego wroga jego świata i jego religii. Przez chwilę zaglądał w twarze tych, którzy tak nienawidzili jego i jego rodaków, a teraz tłoczyli się bezmyślnie jak bydło. Czas był najwyższy.

Podróżnik przysiadł, zasłonięty w dużej mierze przez proporce, wydobyl puszkę i ułożył ją na płask na betonowej podłodze, gdyż w ten sposób mniej była widoczna. Uruchomił prosty mechanizm zegarowy i powrócił na teren wystawowy, kierując się do wyjścia. Pięć minut później taksówka wiozła go do hotelu. Zanim się w nim znalazł, czasomierz otworzył zawór i w ciągu piętnastu sekund pojemnik się opróżnił. Syk zupełnie zginął w kakofonii innych dźwięków, mgiełka rozplynęła się, zanim ktokolwiek zdążył ją zauważyć.

\* \* \*

W Atlancie odbywał się pokaz żaglówek i jachtów. Co najwyżej połowa zwiedzających wystawę myślała poważnie o kupnie łódki, teraz czy w przyszłości. Reszta oddawała się marzeniom.

Przebudzenie będzie brutalne, pomyślał inny z podopiecznych Badrajna, kiedy opuszczał centrum wystawowe.

\* \* \*

W Orlando wystawiano pojazdy turystyczne. Tutaj wszystko poszło bardzo łatwo. Wystarczyło zajrzeć pod przyczepę kempingową, jak gdyby sprawdzając podwozie, i zostawić tam pojemnik.

\* \* \*

W chicagowskim Centrum McCormick odbywała się wystawa sprzętu gospodarstwa domowego; pośród mebli i sprzętów kręciło się mnóstwo kobiet zastanawiających się, co by było najbardziej przydatne w domu.

\* \* \*

W Houston zorganizowano jeden z największych w Stanach Zjednoczonych pokazów koni, pośród których było wiele arabów. Spiskowiec przed uruchomieniem mechanizmu zegarowego pomodlił się, aby nie ucierpiały te szlachetne zwierzęta, tak miłe Allahowi.

\* \* \*

W Phoenix demonstrowano sprzęt do golfa, na którym obecny tam wysłannik Badrajna zupełnie się nie znał, zabrał więc ze sobą dobrych kilka kilogramów literatury, którą zamierzał przejrzeć w trakcie powrotu na drugą półkulę.

\* \* \*

W San Francisco odbywały się targi komputerowe, a była to najbardziej tego dnia oblegana impreza handlowa w całym kraju. Przez Moscone Convention Center przewinęło się ponad dwadzieścia tysięcy ludzi. Tłok był tak wielki, że zamachowiec zaczął się w pewnej chwili denerwować, iż zanim opuści halę i znajdzie się pośród kawiarenek



na wolnym powietrzu, pojemnik zacznie rozpylać swoją morderczą zawartość. Udało mu się jednak, a do hotelu odległego o cztery przecznice wrócił na piechotę.

\* \* \*

Alahad zamykał już swój sklep z dywanami, kiedy zjawił się Aref Raman. Właściciel zamknął drzwi i pogasił światła.

— Jakie instrukcje?

— Żadnego ruchu bez wyraźnego rozkazu, ale w tej chwili chodzi przede wszystkim o to, czy jesteś gotowy do wykonania zadania.

— Czy to nie oczywiste? — zachnął się Raman. — Inaczej po co...?

— Wykonuję otrzymane polecenia — przerwał mu półgłosem Alahad.

— Tak, jestem gotów — odpowiedział zamachowiec.

Decyzja zapadła wiele lat temu, ale mimo wszystko poczuł dreszcz na dźwięk własnych słów.

— Czekaj zatem na rozkaz. Nadejdzie niedługo.

— Sytuacja polityczna. . .

— Jest znana, a w wiadomym miejscu nikt nie wątpi w twoje poświęcenie. Niech spokój cię nie opuszcza, Arefie. Dokonują się rzeczy wielkie, których kształtu nie znam, ale wiem, że nadchodzą. Czyn twój będzie jednym z najchwalebniejszych wydarzeń Świętej Wojny. Mahmud Hadzi pozdrawia cię i modli się za ciebie.

— Dzięki.

Raman skłonił się kornie przed dalekim błogosławieństwem. Głos duchownego słyszał tylko w telewizji, ale wtedy odwracał się w obawie, że ktoś mógłby dojrzeć jakąś zmianę na jego twarzy.

— To był dla ciebie ciężki czas — powiedział Alahad.

— Tak, ciężki.

— Niedługo to się skończy, bracie. Śpieszysz się?

— Nie.

— Chodź na zaplecze; pomodlimy się razem.

## 38 — Cisza przed burzą

— Nie jestem specjalistą od tego regionu — protestował Clark, co na Edzie Foleyu nie zrobiło żadnego wrażenia.

— Byłeś tam, a to przecież ty zawsze powtarzasz, że nic nie jest w stanie zastąpić dobrego nosa.

— A dzisiaj opowiadał o tym młodziakom na Farmie — dorzucił Ding z chytrym uśmieszkiem. — To znaczy, dzisiaj chodziło o to, jak odczytywać myśli z wyrazu oczu; przecież wszystko się łączy: dobre oko, dobry węch, dobre wszystkie zmysły.

On sam wprawdzie nie był w Iranie, ale przecież nie wyślą pana C samego?

— Jedziesz, John — odezwała się Mary Pat Foley, a ponieważ była szefem wydziału wywiadu, ucinało to wszystkie spory. — W każdej chwili możliwa jest decyzja sekretarza Adlera o wylocie. Ty i Ding wystąpicie w roli ochrony. Pilnujecie go, a jednocześnie rozglądacie się, żadnych podchodów, żadnych sekretów. Chcę, żebyście wyczuli nastrój ulicy. Małe rozpoznanie, to wszystko.

Zwykle wystarczało przejrzenie wszystkiego, co nakręcili reporterzy CNN, tym razem Mary Pat zadecydowała, że chce usłyszeć opinię doświadczonego wywiadowcy.

Zła strona tego, że było się dobrym instruktorem, polegała na długiej pamięci wychowanków, którzy, awansując, pamiętali, kto i czego ich nauczył. Clark przypominał sobie, jak Foleyowie uczęszczali na jego zajęcia na Farmie. Od samego początku, to ona przewodziła tej parze: wspaniały instynkt, świetna znajomość języka rosyjskiego i rosyjskiej mentalności, umiejętność zgłębiania ludzkiej psychiki, rzadko spotykana u najslawniejszych psychiatrów... a zarazem pewien niedostatek ostrożności, zbyt nieufanie, że spojrzenie niebieskich oczu i mina naiwnej blondynki pozwolą jej wybrnąć z najgorszych tarapatów. Ed nie miał jej pasji i zadziorności, lepiej natomiast potrafił z pojedynczych elementów uformować zarys całości i planować długotrwałe batalie.

Każde z nich miało swoje słabostki i mocne strony, razem stanowili znakomity tandem, a John był dumny z tego, że udało mu się nauczyć ich kilku rzeczy.

— Mamy tam jakieś wartościowe aktywa?

— Niestety nie. Adler chce w rozmowie w cztery oczy wyjaśnić Darjaeiemu reguły gry. Zatrzymacie się w ambasadzie francuskiej. Misja jest tajna. VC-20 do Paryża, stamtąd dowiozą was Francuzi. Przyjazd, rozmowa i zaraz wyjazd, ale znajdźcie godzinę, może dwie, pokręćcie się trochę po mieście; wicie: ceny chleba, co ludzie mówią na ulicy, jak się ubierają.

— No i będziemy mieć paszporty dyplomatyczne, tak że nic nam się nie może stać — dorzucił zgryźliwie John. — Kiedyś to już słyszałem, podobnie jak pracownicy naszej ambasady, którzy się tam znaleźli w 1979 roku.

— Adler jest sekretarzem stanu — przypomniał Ed.

— Mam nadzieję, że wiedzą, co to znaczy.

Bo o tym, że jest Żydem, wiedzą na pewno, pomyślał w duchu.

\* \* \*

Ćwiczenia zawsze się rozpoczynały od lotu do Barstow w Kalifornii. Autobusy i ciężarówki podjeżdżały pod samoloty, a żołnierze schodzili po stopniach i wsiadali na krótką przejażdżkę jedyną drogą, która prowadziła do Narodowego Ośrodka Szkoleniowego. Spod nieruchomych helikopterów przyglądali im się generał Diggs i pułkownik Hamm. Była to wzmocniona brygada Gwardii Narodowej Północnej Karoliny, a wizyty jednostek tej formacji w Fort Irwin należały do rzadkości. Ponieważ jednak Północna Karolina pochwalić się mogła — przynajmniej do tej pory — najdłużej zasiadającymi na Kapitolu kongresmanami, więc miejscowa Gwardia Narodowa zyskała najnowocześniejsze uzbrojenie i została wyznaczona jako brygada dublująca jedną z pancernych dywizji armii zawodowej. Trudno się dziwić, że jej członkowie nosili się jak prawdziwi żołnierze, a oficerowie przez cały rok przygotowywali się do ćwiczeń na najtwardszym poligonie w całych Stanach Zjednoczonych. A może i na świecie. Wystarali się nawet o dodatkowe paliwo, które pozwoliło im na kilka tygodni uzupełniających ćwiczeń. Teraz, zanim rzucili rozkaz wsiadania do samochodów, ustawiali swoich podwładnych

w dwuszeregach i coś im tłumaczyli, przekrzykując huk silników samolotowych. Diggs i Hamm obserwowali to z odległości pięciuset metrów.

— Strasznie są z siebie dumni, szefie — zaważył Hamm.

Z oddali doleciał głośny okrzyk kompanii czołgistów, którzy oznajmili właśnie swemu dowódcy, że z chęcią się z kimś spróbują. Wydarzenie upamiętniała karolińska ekipa telewizyjna.

— Żołnierze powinni być dumni, pułkowniku — odparł Diggs.

— O czymś jednak zapomnieli.

— O czym, Al?

— O poduszkach, żeby mieli na czym siedzieć.

Obaj oficerowie spojrzeli na siebie porozumiewawczo. Pierwszym zadaniem Czerwonych było przytrzeć trochę rożków zarozumiałcom. Czarny Koń z rzadka przegrywał co najwyżej jedną potyczkę i to zawsze mając za przeciwnika regularną armię. Hamm nie dopuszczał do siebie myśli, że nadchodzący miesiąc miałby w tym układzie cokolwiek zmienić. Dwa szwadrony czołgów *Abrams*, jeden *Bradleyów*, jeden artylerii

i szwadron zaopatrzeniowy przeciw całej brygadzie pancерnej przyjezdnych. To było niesprawiedliwe. Dla przyjezdnych.

\* \* \*

Robota była właściwie na ukończeniu. Najbardziej żmudne okazało się mieszanie, co jednak dla Ludzi z Gór było niezłą zaprawą. Właściwe proporcje nawozu (którego ważnym składnikiem był amoniak) i oleju napędowego zaczerpnęli z podręcznika. Obu ich nader rozbawiła myśl, że roślinki z ochotą spożywały materiał wybuchowy. Substancja używana w pociskach artyleryjskich także była oparta na amoniaku, zdarzyło się kiedyś po I wojnie światowej, że niemiecka fabryka nawozów sztucznych eksplodowała i usunęła z powierzchni ziemi całą wieś, łącznie z mieszkańcami. Olej napędowy miał dodatkowo wzbogacić ładunek w energię, przede wszystkim jednak zapewniał wilgoć, dzięki czemu wewnętrzna fala uderzeniowa lepiej się rozchodziła w materiale wybuchowym, co przyspieszało detonację. Składniki podawali przez dużą rurę, a do mieszania używali wiosła. W efekcie otrzymali błotnistą maź, która dawała się formować w bloki.



Wnętrze bębna było brudne, cuchnące i odrobinę niebezpieczne. Napełniali je na zmianę. Średnica wlewu, którym miał się dostawać półpłynny beton, wynosiła ponad metr. Holbrook przymocował do niego elektryczny wiatraczek, ponieważ wyziewy mieszanki były nieprzyjemne i mogły być niebezpieczne dla zdrowia; dostatecznym ostrzeżeniem były bóle głowy u obydwóch. Zajęło im to wszystko ponad tydzień, teraz jednak bęben był pełny w trzech czwartych, jak zaplanowali. Kolejne warstwy były nieco nierówne, luki wypełniali więc bardziej płynną mieszanką, którą dolewali z wiadra.

— Chyba już starczy, Pete — powiedział Ernie Brown. — Mamy jeszcze z pięćdziesiąt kilo, ale...

— Nie, nie, trzeba zostawić trochę pustego na górze — zgodził się Holbrook, który szedł po drabinie, po czym wyszli i usiedli na składanych krzeselkach, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza.

— Powiem ci jedno: dobrze, że już skończyliśmy.

— Ja też się cieszę.

Brown otarł twarz i odetchnął głęboko. Głowa pękała mu z bólu. Posiedzą sobie tutaj, aż wyrzucą z płuc wszystkie te smrody.

— Żeby nam tylko nie zaszkodziło.

— Komuś z pewnością zaszkodzi. Dobry był pomysł z tymi kulkami.

Do mieszanki dodali ołowiane kule, pełne dwie dwudziestolitrowe puszkę po oleju.

— Moja mama zawsze mówiła, że keksik musi być z orzeszkami — oznajmił Holbrook.

Brown ze śmiechu o mało nie spadł z krzeselka.

— O, ty, kurczę. . . — Złapał się nagle za głowę. — Jezu, jak mnie łeb boli.

\* \* \*

Zgoda na pomoc w przygotowaniu spotkania nadeszła z Quai d'Orsay z godną uwagi szybkością. Francja utrzymywała stosunki dyplomatyczne ze wszystkimi krajami sąsiadującymi z Zatoką Perską i handlowała z nimi wszystkim: od czołgów po lekarstwa. Francuskim oddziałom, które wzięły udział w wojnie w Zatoce, przyszło walczyć z przeciwnikiem uzbrojonym we francuską broń, co nie było jednak jakimś wyjątkowym zdarzeniem. O dwudziestej pierwszej zgoda została przekazana amerykańskiej ambasadzie, skąd w pięć minut teleks dotarł do Waszyngtonu, by natychmiast znaleźć

się w rękach leżącego jeszcze w łóżku Adlera. W tym czasie wykonywano inne niezbędne telefony, w pierwszej kolejności do 89. Skrzydła w bazie Sił Powietrznych Andrews.

— Tak? — powiedział Clark, podnosząc telefon w pokoju w „Mariotcie” w pobliżu Langley.

— Dzisiaj — usłyszał lakoniczną wiadomość.

Skinął lekko głową.

— Świetnie. Jestem spakowany.

Potem odwrócił się na drugi bok, żeby jeszcze trochę pospać. Przynajmniej przed tym wyjazdem nie będzie żadnej odprawy. Polecenia były jasne: pilnować Adlera, przejść się trochę po Teheranie, to wszystko. Nie trzeba się troszczyć o bezpieczeństwo. Jeśli Irańczycy — dalej używał tego terminu, bo czym go zastąpić — „Zrinczykami”? — będą chcieli zrobić im jakąś przykrość i tak dwóch facetów z pistoletami może jedynie posłusznie je oddać, licząc na to, że lokalne służby nie dopuszczą do linczu.

— Jedziemy? — mruknął ze swego łóżka Chavez.

— Tak.

— *Bueno.*

\* \* \*

Darjaei spojrział na stojący na biurku zegarek i odjął jedenaście godzin, niespokojny, czy czasem nie nastąpiła jakaś wpadka. Wątpliwości były zmorą ludzi na jego stanowisku. Podejmowało się decyzję, zlecało jej wykonanie, ale potem zaczynał się czas uciążliwych myśli i oczekiwania. Droga do sukcesu nigdy nie była łatwa i zawsze wiązała się z ryzykiem, o czym zupełnie nie myśleli ci, którym marzyła się funkcja głowy państwa.

Nie, wszystko musiało pójść dobrze. Niedawno odwiedził go ambasador francuski, niewierny wprawdzie, ale sympatyczny człowiek, który językiem farsy mówił tak biegle, iż Darjaei zastanawiał się nawet, jak w jego interpretacji zabrzmiałyby stare perskie wiersze. Ponadto człowiek bardzo dobrze ułożony, dbający o subtelności — propozycję spotkania przekazał z taktem kogoś, kto pośredniczy w rokowaniach małżeńskich między dwiema zwaśnionymi rodzinami. Gdyby Amerykanie dowiedzieli się czegokolwiek o sekretnej misji, przygotowanej przez Badrajna, nie wystąpiliby z podobną sugestią. W takiej sytuacji, gdyby chodziło im o bezpośredni, acz nieformalny kontakt,

zapropowaliby neutralny grunt (na przykład Szwajcarię). Tutaj jednak, do państwa, z którym zerwali oficjalne kontakty, wysyłali swego ministra spraw zagranicznych — w dodatku Żyda! Przyjacielskie kontakty, przyjacielska wymiana poglądów, przyjacielska propozycja przyjaznych stosunków, słowa francuskiego dyplomaty ociekały wręcz „przyjaźnią”, jego rząd bowiem miał bez wątpienia nadzieję, że jeśli wszystko potoczy się dobrze, obie strony będą pamiętały, kto dobrze się przysłużył nawiązaniu bliskich kontaktów, a jeśli źle, nie zostanie zapomniane, iż Francja dokładała wszelkich starań.

Przekłęci Francuzi, pomyślał. Gdyby ten ich Karol Młot w roku 110, czy jak to liczą niewierni — 732, nie zatrzymał Abd-ar-Rahmana pod Poitiers, cały świat wyglądałby teraz inaczej; nawet jednak Allah nie mógł zmienić historii. Wyprawa Rahmana nie powiodła się, gdyż w duszach jego wojowników chciwość zatriumfowała nad bogobojnością. Urzeczeni bogactwami wroga, zamiast walczyć, wzięli się do rabowania, co przeciwnikowi pozwoliło zewrzeć szyki i rzucić się do kontrnatarcia. Tak, to lekcja, którą trzeba dobrze zapamiętać. Na smakowanie owoców zwycięstwa przyjdzie czas. Najpierw trzeba powalić przeciwnika i zmiażdżyć, a dopiero potem można sobie brać, co się zechce.

Przeszedł do sąsiedniego pokoju, gdzie na ścianie wisiała mapa nowego państwa i jego sąsiadów. Wiedział, że mapy bywają zwodnicze: dystanse kurczą się, wszystko wydaje się w zasięgu ręki, szczególnie gdy ma się bolesną świadomość, iż tak wiele życia już upłynęło. A przecież nie potrafił opędzić się od myśli, że cel ostateczny jest tuż, tuż i nic nie może już teraz przeszkodzić w jego osiągnięciu.

\* \* \*

Z wyjazdem było znacznie mniej kłopotów niż z wjazdem. Podobnie jak większość krajów Zachodu, także Stany Zjednoczone bardziej interesowały się tym, co ludzie do nich wwożą, niż co z nich wywożą, a spiskowiec, który przedstawił właśnie paszport do kontroli na lotnisku JFK, nie mógł takiemu podejściu odmówić racji. Była 7.05; należącym do francuskich linii lotniczych samolotem Concorde miał rozpocząć pierwszy etap drogi do domu. Wiózł mnóstwo broszurek samochodowych, a także gotów był wychwalać pod niebiosa cuda wystawy, gdyby ktoś zaczął stawiać mu pytania, do czego jednak nie doszło. Wyjeżdżał i tyle. Paszport został od niechcienia podstemplowany,

nikt nie interesował się tym, że opuszcza USA następnego dnia po przylocie. Interesy są interesami.

W pierwszej klasie podawano kawę, on jednak odmówił. Znienacka poczuł, jak ogarnia do zmęczenie psychiczne i fizyczne. Teraz dopiero myślał ze zdziwieniem, jak wszystko łatwo poszło. Badrajn przewidywał to wprawdzie, nikt jednak nie uwierzył mu bez reszty, pamiętali bowiem, jak wszechobecni i sprawni byli agenci izraelscy. Wraz ze znikającym napięciem, napływała senność; w hotelu przewracał się długo w łóżku i usnął dopiero nad ranem. Kiedy znajdzie się już w Teheranie, ze śmiechem opowie o wszystkim Badrajnowi i poprosi o następne podobne zadanie. Przechodząc koło bufetu, dostrzegł butelkę z szampanem i napełnił sobie kieliszek. Chociaż zabraniała tego religia, trunkiem czciło się sukces na Zachodzie, a miał sobie czego gratulować. Dwadzieścia minut później zaproszono pasażerów do samolotu; wraz z innymi ruszył do przejścia. Jedyne, co go teraz martwiło, to różnica czasów. Concorde startował punktualnie o ósmej rano, a lądował w Paryżu o 17.45! Wyglądało na to, że zgubi obiad. Takie były paradoksy współczesnych podróży.

\* \* \*

Do bazy w Andrews pojechali oddzielnie, Adler limuzyną służbową, Clark i Chavez wozem tego ostatniego. Sekretarz stanu został przepuszczony bez żadnych ceregieli, oni musieli się wylegitymować, dzięki czemu zobaczyli, jak ręka wartownika podrywa się do daszka.

— Zdaje się, że nie lubisz tamtych okolic? — zagadnął młodszy z agentów.

— Widzisz, Domingo, w czasach, kiedy jeździłeś jeszcze na trójkołowym rowerku, byłem w Teheranie, mając kamuflaż tak marny jak papier gazetowy. Razem z tłumem krzychałem: „Śmierć Ameryce!” i patrzyłem, jak gromada szczeniaków z karabinami w garści wyprowadza przed bramę naszych ludzi z opaskami na oczach. Myślałem, że zaraz postawią ich pod jakąś ścianą i rozstrzelają. Poznałem naszego rezydenta, strasznie się nad nim znęcali.

Dobrze to pamiętał: stoi ledwie o pięćdziesiąt metrów i nic nie może zrobić. . .

— Jakie miałeś zadanie?



— Za pierwszym razem chodziło o szybkie uzyskanie dla Firmy pewnej informacji, za drugim — o ratowanie zakładników, co skończyło się katastrofą śmigłowców na pustyni. Wtedy wszyscy powtarzaliśmy, że to pech, ale dzisiaj myślę, że może lepiej, że tak się stało. W końcu udało się ich wydostać całych i zdrowych.

— Więc to z powodu złych wspomnień nie lubisz tego kraju?

Clark wzruszył ramionami.

— Nie do końca. Nigdy nie udało mi się ich poznać. Saudyjczyków rozumiem i nawet ich lubię. Jeśli przekonają się do ciebie, zostajesz przyjacielem na całe życie. Niektóre reguły mogą nas trochę śmieszyć, ale podobnie jest z nimi, kiedy nam się przyglądają. Trochę jak w starym kinie, wiesz, poczucie honoru, gościnność i tak dalej. Mam sporo dobrych doświadczeń. Zupełnie inaczej po przeciwnej stronie Zatoki. Za każdym razem chciałem stamtąd jak najprędzej się wynosić.

Ding zaparkował samochód. Wyjmowali torby z bagażnika, kiedy podeszła do nich sierżant.

— Jedziemy do Paryża, łaskawa pani — powiedział Clark i znowu pokazał legitymację.

— Zechcą panowie pozwolić za mną — powiedziała sucho podoficer i poprowadziła ich w kierunku budynku dla VIP-ów, skąd usunięto na czas ich pobytu wszystkich gości. Scott Adler siedział w szerokim fotelu i przeglądał jakieś papiery.

— Panie sekretarzu?

Adler podniósł głowę.

— Zaraz, zaraz, sam zgadnę. Pan to z pewnością Clark, a pan w takim razie — Chavez.

— Może znalazłoby się dla pana jakieś miejsce w Firmie — zażartował John i uściśnęli sobie dłonie.

— Dzień dobry panu — powiedział Chavez.

— Foley oznajmił mi, że w waszych rękach jestem bezpieczny.

Clark rozejrzał się i sięgnął po kawałek keksa. Nerwy? — pomyślał ze zdziwieniem. Ed i Mary Pat mają rację. Prosta rutynowa operacja, wpadną tylko na chwilę. Buzi buzi, nie podskakujcie, bo dostaniecie po nosie, pa, pa. Poza tym bywał w gorszych opałach niż w Teheranie; nie dużo gorszych, ale zawsze. Zerknął na trzymany w ręku kawałek

ciasta, który coś mu przypomniał; poczuł się tak, jak gdyby włosy zjeżyły się na ręce pod nieoczekiwanym dotknięciem.

— Powiedział mi także, że jesteście w drużynie przygotowującej ocenę specjalną i sporo wiecie.

— Znam Foleyów od dość dawna — mruknął John.

— Już pan tam bywał, prawda?

Clark wyjaśnił sprawę swoich pobytów w ciągu dwóch minut. Sekretarz stanu po kiwał głową.

— Ja też byłem w Iranie w tym czasie. Uratowali mnie Kanadyjczycy. Przyleciałem tam tydzień wcześniej i właśnie rozglądałem się za mieszkaniem, kiedy tłum zaatakował ambasadę. Dzięki Bogu, ominęła mnie cała heca.

— Zna pan więc Iran? Adler pokręcił głową.

— Słabo, nie władam językiem, potrafię powiedzieć raptem kilka słów. Pojechałem właśnie po to, żeby się trochę nauczyć, no ale nie wyszło, więc zająłem się innymi regionami. Dlatego z chęcią posłucham tego, co pan ma do powiedzenia.

— Nie wiem, na ile się to panu przyda, ale, oczywiście, proszę.

Młody kapitan zjawił się z informacją, że samolot jest gotów do lotu. Sierżant wzięła rzeczy Adlera, obaj agenci CIA swoje ponieśli sami. Oprócz dwóch zmian odzieży, mieli krótką broń — John preferował *Smith & Wessona*, Ding gustował w *Beretcie* 0,40 cala — i aparacie fotograficznym z teleobiektywem. Nigdy nie wiadomo, kiedy mogły się przydać.

\* \* \*

Bob Holtzman siedział zamyślony w swoim pokoiku. Było to standardowe pomieszczenie redakcyjne: przeszklone przepierzenia nie przepuszczały dźwięków, zarazem jednak pozwalały śledzić to, co się dzieje dookoła i utrzymywać kontakt wzrokowy z kolegami. Bardzo mu się chciało papierosa, ale nie wolno już było palić w budynku „Postu”, co Bena Hechta<sup>9</sup> wprowadziłyby w stan osłupienia.

Ktoś skontaktował się z Tomem Donnerem i Johnem Plumberem. Musiał to być Kealty. To, co Holtzman myślał o Kealtym, było odwrotnością jego opinii o Ryanie. Polityczne idee tego pierwszego brzmiały całkiem rozsądne, natomiast był odpychają-

---

<sup>9</sup>Amerykański pisarz, dramaturg i dziennikarz (przyp. red.).

cy jako człowiek. W innej epoce jego podboje erotyczne skwitowano by milczeniem, lub co najwyżej komentowano z niejakim podziwem. W istocie w Waszyngtonie pełno było kobiet, dla których władza była czymś równie czarownym, jak dla pszczoł miód, czy dla much coś zgoła innego. Politycy, którzy fakt ten wykorzystywali, byli na tyle czarujący, że większość „przekąseczek” — jak je nazywano — wyrozumiale uśmiechała się, gdy szybko przychodził czas rozstania. Były jednak takie, które nad tym bolały, co w przypadku Kealty’ego zdarzyło się kilkakrotnie. Jedna z dziewczyn popełniła nawet samobójstwo. Żona Boba, Libby, zajęła się tą sprawą, ale przygotowany artykuł wylądował w szufladzie redaktorskiego biurka, kiedy wybuchł konflikt z Japonią, podczas którego wszystkie media uznały, że historia już się przedawniła, dlatego też nie położyła się cieniem na publicznym wizerunku Kealty’ego. Nawet feministki, którym postawa Kealty’ego wobec kobiet nie mogła się podobać, porównywały jego grzeszki z zaletami idei politycznych i uznawały, że ostatecznie te drugie biorą górę nad pierwszymi. Tymczasem Holtzmana taka postawa wręcz oburzała: są przecież pewne zasady, których powinien się trzymać każdy.

Waszyngton był jednak Waszyngtonem.

Kealty skontaktował się z Donnerem i Plumberem — i musiało to nastąpić pomiędzy porannym nagraniem a wywiadem nadanym na żywo wieczorem. Ale w takim razie...

— O cholera! — wykrzyknął Holtzman, olśniony nagłą myślą.

To ci dopiero historia! Co więcej, historia, która bardzo spodoba się jego redaktorowi naczelnemu. Donner oświadczył w telewizji, że nagrana taśma została uszkodzona, ale to musiało być kłamstwem! A zatem dziennikarz telewizyjny z premedytacją oszukał widzów! Niewiele zasad obowiązywało w dziennikarstwie, a jeśli mówiło się o nich, to w sposób wysoce nieprecyzyjny, zasady prawdomówności nikt jednak nie podważał.

Holtzman byłby zachwycony, gdyby udało mu się wykazać winę Donnera. Pomiedzy prasą i telewizją toczyła się zaciekle rywalizacja, w której wygrywała ta mniej dostojna z siostr. Była bardziej zalotna, nieustannie się krygowała, ale była też zdecydowanie trzpiotowata, podobna do panienki, z którą można mieć przelotny romans, podczas gdy słowo drukowane przypominało dziewczynę, z którą poważnie myślało się o przyszłości.

Zniszczyłby tego pyszałka, zawsze wyelegantowanego, z włosami spryskanymi lakierem, a zrobiłby to, celebując zarazem wielką uroczystość wyklęcia oszusta ze

wspólnoty dziennikarzy. Za pomocą swych artykułów złamał już parę karier, tutaj jednak robiłby to ze szczególną lubością.

Co jednak z Plumberem, którego Holtzman znał i szanował? John znalazł się w telewizji w innej epoce, gdy ta zabiegała dopiero o uznanie w oczach publiczności i starała się przyciągnąć do siebie ludzi z racji szacunku, jakim cieszyli się w środowisku, a nie gwiazdorskiej urody. Niemożliwe, żeby Plumber nie wiedział o kłamstwie, ale jak mógł na nie przystać?

\* \* \*

Ryan musiał przyjąć ambasadora Kolumbii. Doświadczony dyplomata, pochodzący z arystokratycznej rodziny, na spotkanie z amerykańskim prezydentem ubrał się bardzo starannie. Mocno i serdecznie uścisnęli sobie ręce, wymienili kilka formułek grzecznościowych, pozując do zdjęć, aby następnie wejść do Białego Domu, gdzie ambasador natychmiast przeszedł do rzeczy.

— Panie prezydencie, na zlecenie mego rządu mam się dowiedzieć, jakie jest pańskie stanowisko w sprawie informacji, które pojawiły się ostatnio w waszych mediach, a dotyczą stosunków między naszymi państwami.

— Co chce pan usłyszeć?

— Informacje sugerują, że kilka lat temu Stany Zjednoczone dokonały w tajemnicy inwazji na Kolumbię. Jest to wiadomość zdumiewająca, jeśli zważyć na to, że zdarzenie takie stanowiłoby pogwałcenie norm prawa międzynarodowego oraz dwustronnych traktatów, określających zasady naszych wzajemnych stosunków.

— Rozumiem, co musi pan czuć w tej sytuacji i z całą pewnością na pańskim miejscu zareagowałbym podobnie. Dlatego chciałbym wyraźnie podkreślić, że obecny rząd Stanów Zjednoczonych Ameryki podobne działania uważa za absolutnie niedopuszczalne. Ma pan w tej sprawie moje osobiste poręczenie i ufam, że przekaże je pan swojemu rządowi.

Ryan wstał i nalał swemu rozmówcy kawy. Zdążył się zorientować, że w dyplomacji takie małe gesty mają o wiele większe znaczenie niż w życiu codziennym, a chociaż nie do końca rozumiał tego przyczyny, nie widział powodu, żeby nie skorzystać z okazji.



— Dziękuję — skłonił się ambasador.

— Nie wykluczam tego, że jest to kawa kolumbijska.

— Niestety, jesteśmy też znani z innego artykułu eksportowego — powiedział znacząco Pedro Ochoa.

— To nie wina pańskiego rządu.

— Miło mi to usłyszeć.

— Panie ambasadorze, jestem w pełni świadom tego, że pański kraj zapłacił wysoką cenę za bezceremonialne zachowanie strony amerykańskiej. Kiedy pracowałem w CIA, zapoznawałem się ze wszystkimi informacjami, które dotyczyły handlu narkotykami oraz jego wpływu na sytuację polityczną i społeczną w obu Amerykach. Nie brałem żadnego udziału w planowaniu i inicjowaniu bezprawnych akcji, miałem jednak okazję zobaczyć, jak wielkim problemem są narkotyki. Z niepokojem dowadywałem się o tym, że w pańskim kraju giną policjanci — wie pan, zapewne, że mój ojciec był oficerem policji — sędziowie i dziennikarze. Kolumbia dłużej i ciężiej niż jakikolwiek inny kraj w tym regionie pracowała nad tym, żeby stworzyć ustrój prawdziwie demokratyczny, i muszę panu wyznać, że wstydzę się za słowa, które niekiedy publicznie

wypowiadano na temat pańskiej ojczyzny. Problem narkotyków narodził się nie w Kolumbii, Ekwadorze czy Peru, lecz tutaj, a wy w nie mniejszym niż my stopniu jesteście ofiarami. To amerykańskie pieniądze zatruwają pański kraj, a rany, jakie zadają naszemu społeczeństwu narkotyki, w istocie obciążają nasze sumienie.

Ochoa wszystkiego mógł się spodziewać podczas tej rozmowy, ale nie słów, które usłyszał. Odruchowo rozejrzał się, czy rozmawiają istotnie w cztery oczy. Ochroniarze wycofali się, nie było nawet sekretarki, która sporządzałyby notatki. Już to było niezwykle, a na dodatek Ryan pośrednio potwierdził prawdziwość dziennikarskich doniesień.

— Panie prezydencie — powiedział w angielszczyźnie, której zaczął się uczyć w domu, aby później szlifować ją na Princeton — nieczęsto zdarza nam się słyszeć coś takiego z ust oficjalnego przedstawiciela Stanów Zjednoczonych Ameryki.

— Usłyszał je pan teraz i nie zamierzam się z nich wycofać. — Obaj rozmówcy patrzyli sobie w oczy. — Ani myślę dodawać sobie powagi bezpodstawnymi połajankami, a z dostępnej mi wiedzy wynika, że krytyka, czasami wręcz napastliwa, jakiej poddaje się pański rząd, jest najczęściej bezzasadna. Żeby zlikwidować handel narkotykami, trzeba najpierw zmniejszyć na nie popyt, co będzie jednym z głównych zadań moje-

go rządu. Przygotowujemy właśnie projekty ustaw, które karać będą nie tylko sprzedawców narkotyków, ale i ich użytkowników. Kiedy Kongres będzie już mógł zebrać się w pełnym składzie, postaram się o jak najszybsze uchwalenie nowych norm prawnych. Chciałbym też stworzyć nieformalny zespół roboczy, w którego skład weszliby przedstawiciele obu rządów, a który miałby określić, w jaki sposób możemy najbardziej efektywnie pomagać w waszych wysiłkach, ale zawsze, co raz jeszcze chciałbym podkreślić, z poszanowaniem suwerenności pańskiego kraju. Stany Zjednoczone nie zawsze były dobrym sąsiadem. Proszę mi powiedzieć, czy prezydent Kolumbii przyjąłby zaproszenie, abyśmy mogli bezpośrednio omówić wszystkie sprawy?

Będę musiał świecić oczyma za nasze wszystkie szaleństwa.

— Sądzę, że na propozycję taką przystanie z wielką ochotą, chociaż, co oczywiste, trzeba by dopiero ustalić termin, który odpowiadałby obu stronom.

— O tak, sam dopiero zaczynam się uczyć, jak wielu obowiązkom trzeba naraz poddać i jak często brakuje czasu na załatwienie spraw, z których żadna nie cierpi zwłoki. Może mój kolumbijski kolega mógłby mi coś w tej kwestii doradzić?

— Obawiam się, panie prezydencie, że zмага się z tymi samymi kłopotami.

Ambasador Ochoa zaczynał się już zastanawiać, jaką sporządzić notatkę z tej rozmowy. Wydawało się jasne, że Ryan autentycznie przeprasza za coś, do czego nie mógł się oficjalnie w imieniu swego kraju przyznać, a czego pełne ujawnienie mogłoby jedynie zaszkodzić wszystkim. Zarazem nie robił tego z racji politycznych.

A może?

— Panie prezydencie, czemu miałyby służyć wprowadzenie regulacji prawnych, o których pan wspominał?

— Pracujemy właśnie nad tym. Jestem zdania, że ludzie zażywający narkotyki robią to najczęściej dla przyjemności: chcą uciec od rzeczywistości, zabawić się, puścić wodze wyobraźni. Z naszych danych wynika, że co najmniej połowa osób, które sięgają po narkotyki, to nie ludzie uzależnieni, lecz ci, którzy szukają miłych przeżyć. Dlatego powinniśmy tę przyjemność trochę zakłócić, karząc za posiadanie i używanie każdej, najmniejszej nawet ilości narkotyków. Oczywiście, nie starczyłoby nam miejsc w więzieniach dla wszystkich takich osób, ale przecież tyle jest ulic w naszych miastach. . . . Za pierwsze wykroczenie trzydzieści dni uprzątnięcia śmieci w najbardziej zaniedbanych

dzielnicach, oczywiście — to istotna część kary — w specjalnym ubraniu. Jest pan zapewne katolikiem?

— Tak.

— Więc wie pan, co to znaczy wstyd. Nauczylismy się tego w szkole, nieprawdaż? Na razie prowadzimy zupełnie wstępne prace, trzeba rozwiązać różne problemy wykonawcze, w Departamencie Sprawiedliwości specjaliści badają zgodność projektów z konstytucją. Chcę się z tym wszystkim uporać do końca roku. Sam mam troje dzieci i wiem, co to znaczy strach przed narkotykami. Oczywiście, to nie wyczerpuje problemu. Ludzie naprawdę uzależnieni wymagają fachowej pomocy i przygotowujemy odpowiednie programy federalne i stanowe, ale jeśli uda nam się ukrócić zatruwanie się dla przyjemności, zmniejszymy obroty o połowę, a to chyba dobry punkt wyjścia?

— Będziemy się temu przyglądać z największym zainteresowaniem — zapewnił Ochoa.

Gdyby istotnie udało się o tyle zmniejszyć dochody handlarzy narkotyków, nie mieliby już pieniędzy, żeby kupować sobie bezpieczeństwo, co ogromnie ułatwiłoby poczynania rządu kolumbijskiego.

— Żałuję, że zaistniały powody, które kazały panu złożyć mi wizytę, ale muszę powiedzieć, iż rad jestem z tego, że mogliśmy szczerze porozmawiać. Bardzo panu za to dziękuję, panie ambasadorze. Jak najgoręcej chcę przy tym zapewnić pana i pański rząd, że z wielkim szacunkiem podchodzę do norm prawa, a szacunek ten nie kończy się na granicach Stanów Zjednoczonych. Cokolwiek wydarzyło się w przeszłości, chciałbym aby otworzył się nowy rozdział w dziejach naszych stosunków, a słowa swoje poprę czynami.

Obydwaj wstali, Ryan zaś ujął ambasadora pod ramię i poprowadził na zewnątrz. Przez kilka minut stali przed kamerami telewizyjnymi, tym razem w Ogrodzie Różanym. Biuro prasowe Białego Domu wyda oświadczenie na temat przyjacielskiego spotkania obu polityków. Zdjęcia będą potwierdzać prawdziwość stwierdzenia.

— Zapowiada się ładna wiosna — powiedział Ochoa, rozglądając się po bezchmurnym niebie, i czując powiew ciepłego wietrzyka.

— Lata tutaj potrafią być jednak bardzo niemiłe. A jak to wygląda w Bogocie?

— Jest wyżej położona, nie ma więc wielkich upałów, ale słońce bywa u nas srogie dla nieostrożnych. Piękny ogród. Moja żona kocha kwiaty i może nawet przejdzie do hi-

storii — rzekł z uśmiechem ambasador. — Wyhodowała nową odmianę róży, o kolorze złocistoróżowym.

— Jak się nazywa? — spytał Ryan, którego cała wiedza o różach sprowadzała się do tego, że zawsze trzeba uważać na kolce. O czymś trzeba jednak było mówić pod czujnym spojrzeniem kamer.

— Po angielsku „Piękny świt”. Zdaje się, że wszystkie dobre nazwy zostały już zajęte.

— Może zasadzilibyśmy jedną tutaj w ogrodzie?

— Maria będzie się czuła zaszczycona tą propozycją, panie prezydencie.

— A więc dogadaliśmy się w kolejnej sprawie, *señor*.

Po raz kolejny podali sobie ręce.

Ochoa dobrze znał reguły gry. Jego latynoska twarz rozplynęła się w uśmiechu przede wszystkim na użytek obiektywów, ale w uścisku dłoni było wiele niekłamanej sympatii.

— Piękny może nie świt, ale z pewnością początek dnia. Wszystkiego najlepszego, panie prezydencie.

— Dziękuję serdecznie.

Rozstali się. U wejścia do Zachodniego Skrzydła czekał na niego van Damm. Nie wiele się o tym mówiło, wszyscy jednak wiedzieli, że Gabinet Ovalny jest okablowany, jak nie przymierzając, studio nagraniowe.

— Uczysz się i to szybko — stwierdził szef personelu.

— To wcale nie było trudne, Arnie. Zbyt długo wodziliśmy tych ludzi za nos, teraz więc jedyne, co mi pozostało, to mówić prawdę. Trzeba jak najszybciej przygotować projekty tych ustaw. Ile to może potrwać?

— Kilka tygodni. Będzie trochę szumu.

— Mało mnie to obchodzi — odparł prezydent. — Dlaczego nie mielibyśmy zrobić czegoś pożytecznego, zamiast na pokaz wyrzucać pieniądze w błoto? Próbowaliśmy zestrzeliwać samoloty przemytników. Próbowaliśmy mordować. Próbowaliśmy sankcji. Próbowaliśmy wyłapywać handlarzy. Wypróbowaliśmy wszystkie możliwości, ale bez rezultatu, gdyż w grę wchodzi zbyt wielkie pieniądze. To może raz zacznijmy od źródła? Tutaj rodzi się problem, stąd płyną pieniądze.

— Mówię tylko, że będzie trudno.



— A czy jakakolwiek pożyteczna rzecz przychodzi łatwo? — odpowiedział pytaniem Ryan, który zamiast wprost udać się do siebie, zajrzał do sekretariatu.

— Ellen? — powiedział nieśmiało i oczyma wskazał Gabinet Owalny.

— Czy ja pana nie demoralizuję? — spytała pani Sumter, sięgając po papierosy, do wtóru dyskretnych uśmiechów koleżanek.

— Cathy na pewno by tak uważała, ale nie musi przecież wiedzieć o wszystkim, prawda?

W zaciszu swego pokoju prezydent Stanów Zjednoczonych zapalił cienkiego damskiego papierosa. Ale cóż, czy nie miał prawa do małej słabostki, skoro właśnie zażegnał potencjalny dyplomatyczny kataklizm?

\* \* \*

Obaj ostatni wysłannicy Badrajna opuścili Amerykę z tego samego lotniska pod Minneapolis, korzystając z linii Northwest i KLM. Badrajn musiał jeszcze poczekać kilka godzin. Ze względów na bezpieczeństwo, żaden ze spiskowców nie miał numeru telefonu, pod który miałby zadzwonić z informacją o powodzeniu bądź niepowodzeniu

akcji, a który w razie aresztowania mógłby być śladem prowadzącym do ZRI. Natomiast we wszystkich tranzytowych portach lotniczych w Europie znajdowali się ludzie Badrajna z harmonogramem podróży i to oni, na własne oczy zobaczywszy wysłanników, mieli następnie z publicznych automatów przekazać wiadomość tam gdzie trzeba.

Gdy wszyscy szczęśliwie powrócą już do Teheranu, przyjdzie kolej na następny krok. Na razie więc Badrajnowi nie pozostawało nic innego, jak siedzieć w gabinecie i czekać. Podłączył się do Internetu i zaczął przeglądać strony informacyjne, ale nie znalazł niczego interesującego. Najpierw wrócą jego ludzie i złożą raporty, ale i potem będą jeszcze musiały minąć trzy, cztery dni, może pięć, zanim do Centrum Chorób Zakaźnych w Atlancie popłyną pierwsze niepokojące doniesienia. I wtedy będzie już wiedział na pewno.

## 39 — Oko w oko

Przelot nad oceanem okazał się przyjemnością. *VC-20B* bardziej przypominał mały odrzutowiec dyspozycyjny niż wielkiego giganta pasażerskiego, a młodzi piloci, którzy zdaniem Clarka równie dobrze mogli się ubiegać dopiero o prawo jazdy, poprowadzili maszynę zręcznie i gładko. Samolot zaczął się obniżać w czerni europejskiej nocy, by osiąść ostatecznie na płycie lotniska wojskowego na zachód od Paryża.

Nie była przewidziana żadna ceremonia powitalna, ponieważ jednak Adler był urzędnikiem w randze ministerialnej, nawet jeśli przybywał w tajnej misji, ktoś mu-

siał wyjść mu na spotkanie. Ledwie turbiny zaczęły zwalniać obroty, przy samolocie pojawił się cywilny dygnitarz, którego Adler rozpoznał już ze szczytu schodów.

— Claude!

— Scott! Gratuluję awansu, stary przyjacielu.

Clark i Chavez badawczo się rozejrzeli, ale dokoła widać było tylko krąg francuskich żołnierzy lub policjantów — z tej odległości nie można było rozpoznać — z pistoletami maszynowymi w pogotowiu. Europejczycy bardzo lubili demonstrować broń maszynową, nawet na ulicach miast. Być może osłabiało to chęć do zamieszek, myślał John, ale z całą pewnością kryła się w tym pewna przesada. Tak czy owak, nie spodziewali się we Francji jakichś specjalnych zagrożeń i żadne istotnie na nich nie czekały. Adler z przyjacielem wsiedli do wozu reprezentacyjnego, Clark i Chavez zajęli miejsca w następnym. Załoga samolotu miała się udać na miejsca zasłużonego odpoczynku, co w żargonie Sił Powietrznych USA oznaczało możliwość wychylenia paru kieliszków wina z francuskimi kolegami.

— Przejdziemy na kilka minut do poczekalni, zanim wasz samolot będzie gotów do dalszej drogi — oznajmił pułkownik francuskich sił powietrznych. — Może chcecie się panowie odświeżyć?

— *Merci, mon commandant* — odrzekł Ding. Tak, pomyślał, Francuzi wiedzą, jak sprawić, abyś czuł się bezpiecznie.

— Dzięki za pomoc w przygotowaniu wszystkiego — zwrócił się Adler do przyjaciela. Razem służyli za granicą, najpierw w Moskwie, potem w Pretorii; obydwaj specjalizowali się w delikatnych misjach.

— Och, to nic wielkiego, Scott. — Co było nieprawdą, ale dyplomaci trzymają się swego języka nawet wtedy, kiedy nie muszą. Claude, w sposób specyficznie francuski, rozmawiając tak, jak gdyby negocjował postanowienia traktatu, pomógł kiedyś Adlerowi uporać się z depresją po rozwodzie, co z czasem stało się między nimi prawie żartem. — Nasz ambasador daje do zrozumienia, że zależy mu na delikatnym podejściu do sprawy.

— To znaczy jakim? — spytał kolegę sekretarz stanu. Dotarli, jak się wydawało, do klubu oficerskiego, a minutę później znaleźli się w prywatnej jadalni, gdzie na sto-

le czekała na nich butelka beaujolais. — Jaka jest twoja opinia, Claude? Czego chce Darjaei?

Lekkie wzruszenie ramion w równym stopniu należało do francuskiego stylu jak wino, które Claude rozlał do kieliszków. Wzniesli toast; wino było znakomite, nawet jak na standardy francuskiej służby dyplomatycznej.

— Nie jesteśmy pewni. Niepokoi nas śmierć premiera Turkmenii.

— A nie niepokoi was śmierć Saddama?

— Nikt nie ma chyba żadnych wątpliwości, Scott, ale to jednak odrębna sprawa?

— Niekoniecznie. — Następny łyk. — Claude, nadal jesteś najlepszym ekspertem w sprawach wina, jakiego znam. Co Darjaei o tym myśli?

— Pewnie różne rzeczy. Po pierwsze, ma wewnętrzne kłopoty; wy, Amerykanie, niezbyt to doceniacie. Ludność jest niespokojna, teraz, kiedy zdobył Irak, pewnie mniej, ale problemy pozostały. Naszym zdaniem, musi się umocnić, zanim będzie mógł zrobić coś więcej. Sądzymy także, iż całe przedsięwzięcie może się skończyć niepowodzeniem. Mamy nadzieję, że z czasem pewne skrajności znikną. Może przyjdzie na to czekać niedługo. Tak mi się zdaje; to nie jest VIII wiek, nawet w tej części świata.

Adler zastanawiał się przez kilka chwil, a potem pokiwał w zamyśleniu głową.

— Obyście mieli rację. Ten facet zawsze mnie przerażał.

— Wszyscy ludzie są śmiertelni. Ma siedemdziesiąt dwa lata, a porwał się na wielkie dzieło. A poza tym, trzeba go wypróbować, czyż nie? Jeśli porwie się na coś, wtedy odpowiemy razem, jak robiliśmy dawniej. Rozmawialiśmy o tym także z Saudyjczykami. Są zaniepokojeni, ale nie przesadnie. Tak samo oceniamy sytuację. I doradzamy rozsądek.

Może Claude ma rację? — pomyślał Adler. Darjaei był faktycznie stary, a zapanowanie nad nowo zdobytym krajem nigdy nie należało do rzeczy łatwych. Co więcej, najlepszym sposobem na uporanie się z wrogim państwem, była uprzejmość wobec sukinsynów, jeśli miało się odpowiednią cierpliwość. Mały handelek, paru dziennikarzy, odrobinę CNN, parę filmów dla dzieci i rodziców, takie rzeczy mogą zdziałać cuda. Jeśli starczy cierpliwości. I czasu. Na amerykańskich uniwersytetach sporo było studentów z Iranu. Być może to najlepsze narzędzie, za pomocą którego Ameryka mogła zmienić ZRI. Problem polegał na tym, że także Darjaei o tym wiedział. I oto on, Scott Adler, sekretarz stanu, który nigdy nawet się nie spodziewał, że zajmie takie stanowisko, musiał

teraz rozstrzygać, co robić dalej. Dosyć naczytał się historii dyplomacji, by wiedzieć, jakie to koszmarnie zadanie.

— Chyba rozumiem, o co ci chodzi, Claude, a my z pewnością nie chcemy tworzyć sobie nowych wrogów. Z całą pewnością wiesz o tym.

— *D'accord*. — Napełnił kieliszek Adlera. — Niestety, niczego takiego nie znajdziesz w Teheranie.

— Nigdy więcej niż dwa, kiedy jestem na służbie.

— Masz znakomitą załogę — zapewnił Claude. — Latają z nią nasi ministrowie.

— Francuska obsługa jest zawsze bez zarzutu.

\* \* \*

Clark i Chavez zgodzili się na Perriera, którego, jak słusznie sądzili, można tutaj było kupić taniej, co jednak nie dotyczyło cytryn.

— No i co tam w Waszyngtonie? — zapytał niedbale Francuz, a przynajmniej tak to wyglądało.



— Śmiesznie. Cały kraj dziwnie spokojny. Może to dobra recepta, żeby zwolnić część rządu? — powiedział John, usiłując się dostosować do tonu rozmówcy.

— A te historie o waszym prezydencie i jego przygodach?

— Bardzo mi to przypomina kino akcji — szczerze przyznał Ding.

— Ukraść rosyjski okręt podwodny? W pojedynkę? Niech mnie cholera! — zachichotał Clark. — Ciekaw jestem, kto to zmontował?

— Z pewnością nie szef rosyjskich szpiegów — oznajmił gospodarz. — Sam we własnej osobie wystąpił w telewizji.

— Strasznie jestem ciekaw, ile forsy zapłaciliście mu, żeby i on przeszedł na naszą stronę.

— Pewnie chce napisać książkę i zarobić jeszcze więcej forsy -zaśmiał się Chavez. — I, co gorsza, sukinsyn ją dostanie. A my, kochani przyjaciele, cóż, jesteśmy tylko pszczołkami robotnicami, prawda?

Żarciki na niewiele tutaj się zdały. Clark spojrział w badawcze oczy ich rozmówcy; facet był z DGSE i natychmiast rozpoznawał człowieka z CIA.

— Musicie być ostrożni z nektarem, który czeka na was tam, dokąd się udajecie, moi mili. Może się okazać za słodki.

Zupełnie jak początek karcianej rozgrywki. Francuz tasował. Jedno rozdanie, może całkiem przyjacielskie, ale tak czy owak trzeba było je odbyć.

— Co masz na myśli?

— Człowiek, z którym macie się spotkać, jest naprawdę niebezpieczny. Sprawia wrażenie, iż widzi to, czego my, ludzie Zachodu, nie widzimy.

— Pracowałeś w tym kraju? — spytał John.

— Byłem tam przejazdem.

— I?

To właśnie był cały Chavez.

— Nigdy ich nie rozumiałem.

— Tak — zgodził się Clark. — Wiem, co masz na myśli.

— Interesujący człowiek z tego waszego prezydenta. Francuz powrócił do dawnego wątku, a kryła się w tym czysta ciekawość, co było doprawdy zaskakujące u oficera wywiadu.

John spojrział mu prosto w oczy i postanowił podziękować za ostrzeżenie, jak jeden zawodowiec drugiemu.

— Tak, z pewnością to jeden z nas.

— A te zabawne historie?

— Nic na ten temat nie mogę powiedzieć.

Uśmiech.

Oczywiście, że są prawdziwe. Myślisz, że reporterom starczyłoby sprytu, żeby coś takiego wymyślić?

Obaj myśleli to samo i dobrze o tym wiedzieli, chociaż nie mogli tego powiedzieć na głos: co za szkoda, że nie możemy wyskoczyć razem na kolację i uraczyć się nawzajem paroma historyjkami. Tego się jednak po prostu nie robiło.

— W powrotnej drodze postawię ci drinka.

— Kiedy będziesz wracał, nie odmówię.

Ding patrzył tylko i słuchał. Stary ciągle miał styl i ciągle wiele można się było od niego nauczyć.

— Fajnie mieć przyjaciół — powiedział pięć minut później, kiedy wracali do francuskiego samolotu.

— To więcej niż przyjaciel, to zawodowiec. Uważnie przypatruj się takim ludziom, Domingo.

\* \* \*

Nikt nigdy nie powiedział, że rządzenie jest rzeczą łatwą, nawet wtedy, kiedy przy każdej sposobności wzywa się imienia Boga.

Z drugiej strony, skoro Iran i Irak były teraz jednym państwem, prawo musiało być to samo, jak zatem można było gwarantować jakieś prawa kobietom irańskim, a odmawiać ich irackim? Aby podjąć poważne decyzje, musiał wieczorem lecieć do Bagdadu.

Siedząc w swym prywatnym odrzutowcu, Darjaei oglądał program spotkania i chciało mu się wyć, ale na to był zbyt spokojnym człowiekiem, a przynajmniej tak o sobie myślał. Tak czy owak do czegoś musiał się poważnie przygotować — rankiem czekało go spotkanie z amerykańskim ministrem spraw zagranicznych, Żydem. Wyraz

jego twarzy, kiedy przeglądał papiery, przeraził nawet załogę, chociaż Mahmud Hadži nie zauważył tego, a nawet gdyby zauważył, nie zrozumiałby przyczyny

Dlaczego ludzie nie mogą wykazać trochę inicjatywy?

\* \* \*

Tym razem polecili *Dessault Falcon 900B*, prawie dziewięcioletnim, co do typu i funkcji podobnym do amerykańskiego *VC-20B*. Pilotami byli oficerowie francuskich sił powietrznych, obaj zbyt wysocy rangą na taki lot „czarterowy”; w kabinie obsługiwały urocze dziewczyny. W ocenie Clarka przynajmniej jedna była z DGSE. Może zresztą obydwie. Lubił Francuzów, a zwłaszcza ich służby wywiadowcze. Chociaż byli czasami nader kłopotliwym sojusznikiem, to jednak kiedy załatwiali delikatne interesy, robili to nie gorzej od innych, a najczęściej lepiej. W tym przypadku, na szczęście, sprawa nie była łatwa, gdyż samoloty są hałaśliwe i niełatwo w nich zainstalować podsłuch. Może z tej przyczyny to jedna, to druga stewardesa zjawiała się co piętnaście minut z pytaniem, czy czegoś czasem nie potrzeba.

Z uśmiechem odrzuciwszy kolejną ofertę, John zwrócił się do towarzyszy:

— Jeszcze coś, co powinniśmy wiedzieć?

— Raczej nie — odparł Adler. — Musimy rozgryźć tego faceta, wyniuchać, o co mu chodzi. Claude, mój przyjaciel z Paryża, powiada, że sprawy nie wyglądają aż tak źle, jak się może w pierwszej chwili wydawać, a to, co mówi, brzmi całkiem rozsądnie. No cóż, przede wszystkim mam do przekazania normalną informację.

— Będzie pan miły — z uśmiechem rzucił Chavez.

Sekretarz stanu odpowiedział uśmiechem.

— Może z zachowaniem dyplomatycznych reguł, ale w zasadzie tak. Czym pan się właściwie zajmuje, panie Chavez?

Clarkowi podobało się to pytanie.

— Chyba nie chce pan, żebyśmy zdradzili, skąd go wytrzasnęliśmy?

— Skończyłem pisać pracę magisterską — wyjaśnił z dumą młodzieniec. — Obrona będzie w czerwcu.

— Gdzie?

— George Mason University. U profesor Alpher.

Adler spojrział z zainteresowaniem.

— Ach, tak? Pracowała kiedyś dla mnie. Jaki temat?

— Sformułowałem to tak: „Studium konwencjonalnego rozsądku: błędne posunięcia polityczne w Europie na przełomie wieków”.

— Niemcy i Brytyjczycy?

Ding przytaknął.

— Głównie, a przede wszystkim bezsensowny wyścig w budowie pancerników.

— Konkluzja?

— Nie potrafiono wtedy rozpoznać różnicy między celami taktycznymi a strategicznymi. Faceci uważali, że myślą o „przyszłości”, a tymczasem chodziło im o coś bardzo doraźnego. Pomylili krótkoterminową politykę z dalekosiężnym interesem państwowym, co skończyło się wojną, która zniszczyła cały porządek europejski.

Ciekawe, pomyślał Clark, przysłuchując się tej krótkiej wymianie zdań, jak zmienia się akcent Dinga, kiedy mówi o uczelni.

— I pracujesz jako ochroniarz?

W głosie sekretarza stanu zabrzmiało niedowierzanie. Przez twarz Chaveza przemknął bardzo latynoski uśmiech.

— Pracowałem. Przepraszam, że ręce nie sięgają mi do ziemi, jak powinny.

— To dlaczego Ed Foley skierował was obu do mnie?

— To moja wina — powiedział Clark. — Mamy trochę się pokręcić i posłuchać, co w trawie piszczy.

— Twoja wina? — zdziwił się Scott.

— Kiedyś prowadziłem u nich szkolenia — wyjaśnił John, a to natychmiast ożywiło rozmowę.

— A więc to wy porwaliście Kogę! To wy. . .

— Tak, byliśmy tam — przyznał Chavez. Sekretarz stanu był najpewniej we wszystko wprowadzony. — Niezła zabawa.

Sekretarz stanu stwierdził, że nie powinien się obruścić na to, że miał ze sobą dwóch szpiegów; przynajmniej uwaga młodszego o rękach do ziemi nie była całkiem pozbawiona sensu. Ale absolwent George Mason. . .

— To wy sporządziliście raport, że Brett Hanson spieprzył sprawę, ten o Goto. Dobra robota, a właściwie znakomita.



Dziwił się przedtem, co tych dwóch robiło w grupie SOW w związku ze Zjednoczoną Republiką Islamską. Teraz już wiedział.

— Tyle że nikt nie słuchał — powiedział z goryczą Chavez. Mógł to być kluczowy moment wojny z Japonią.

Dzięki temu jednak mógł się zorientować, jak niewiele zmieniło się w polityce i dyplomacji od 1905 roku. Wiatr, który wiał wszystkim w oczy.

— Ja na pewno posłucham — obiecał Adler. — Dajcie mi znać, co wyniknie z waszego niuchania, dobrze?

— Jasne. Myślę, że to coś naprawdę dla pana interesującego — powiedział John i lekko unióśł brew.

Adler odwrócił się i dał znak jednej ze stewardes, ładnej brunetce, którą Clark uznał za niewątpliwego tajniaka. Była urocza i faktycznie bardzo ładna, ale między fotelami poruszała się bez charakterystycznej profesjonalnej zwinności.

— Słucham, panie ministrze?

— Ile czasu mamy do lądowania?

— Cztery godziny.

— Świetnie; czy możemy dostać talię kart i butelkę wina?

— Oczywiście.

— Nie wolno mi pić, kiedy jestem na służbie, sir — powiedział Chavez.

— Do czasu lądowania macie wolne — oznajmił Adler. — A ja lubię sobie zagrać w karty przed takim spotkaniem. To mnie uspokaja. Co powiecie panowie na przyjacielską rozgrywkę?

— Skoro pan nalega, panie sekretarzu — rzekł John. Mieli chwilę oddechu od czekającego ich zadania. — To co, mały pokerek?

\* \* \*

Wszyscy dobrze wiedzieli, którądy biegnie granica. Nie było żadnych oficjalnych komunikatów, a przynajmniej nie wymieniły ich Pekin i Tajpej, a przecież linia była uznawana i honorowana, gdyż ludzie w mundurach są praktyczni i spostrzegawczy. Samoloty Chińskiej Republiki Ludowej nigdy nie zbliżały się na mniej niż dziesięć mil morskich — szesnaście kilometrów — do linii biegnącej z północy na południe, a z kolei samoloty Republiki Chińskiej, uznając ten sam fakt, zachowywały podobny dystans

do określonej długości geograficznej. Po obu stronach owej granicy każdy z przeciwników mógł być agresywny, jak mu się żywnie podobało, rozbudowywać formacje, na jakie go było stać, a wszystko to było akceptowane bez najmniejszego sprzeciwu. Tego wymagały interesy stabilności. Zabawy z nabitą bronią zawsze były niebezpieczne, czy to w wydaniu państw, czy dzieci, tyle że te ostatnie łatwiej było przywołać do porządku, albowiem pierwsze były na to za duże.

Stany Zjednoczone miały w tym momencie cztery okręty podwodne w Cieśninie Tajwańskiej, wszystkie rozmieszczone wzdłuż, a właściwie pod niewidzialną linią, która była dla nich miejscem najbezpieczniejszym. Na północnym skraju przesmyku znajdowała się grupa trzech okrętów: krążownik USS „Port Royal”, w towarzystwie niszczycieli „Sullivans” oraz „Chandler”. Były to wszystko okręty obrony przeciwlotniczej, uzbrojone w sumie w 250 pocisków *SM2-MR*. Normalnie ich zadaniem była ochrona lotniskowca przed atakami z powietrza, teraz jednak „ich” lotniskowiec czekał w Pearl Harbor na wymianę silników.

„Port Royal” i „Sullivans” — nazwany tak, by uczcić pamięć pięciu braci, którzy zginęli na jednym okręcie w 1942 roku — były jednostkami typu *Aegis*, wyposażo-

nymi w potężne radary *SPY*, które kontrolowały wszystkie ruchy powietrzne, podczas gdy okręty podwodne zajęły się całą resztą. Na „Chandlerze” znajdowała się specjalna grupa zwiadu elektronicznego, która kontrolowała komunikaty radiowe. Podobnie jak policjant na patrolu, tak i okręty te nie tyle miały przeszkodzić w czymś, ile w łagodny sposób przypominać wszystkim, że siły prawa są na posterunku, a jak długo tu trwają, tak długo wszystko jest pod kontrolą. Tak to przynajmniej wyglądało w teorii. A gdyby ktokolwiek zaprotestował przeciw obecności tych okrętów, ich kraj macierzysty stanowczo podkreśliłby, że morza są dostępne dla wszystkich, a owa miniflotylla nikomu nie przeszkadza. Nikt natomiast nie zdawał sobie sprawy z tego, że okręty amerykańskie mogą być elementem czyjegoś planu. To, co się potem wydarzyło, wszystkich wprowadziło w osłupienie.

W powietrzu, chociaż jeszcze nie na ziemi, był już świt, kiedy klucz czterech myśliwców ChRL wystartował z kontynentu, kierując się na wschód, a w pięć minut później to samo zrobiła następna czwórka. Samoloty pojawiły się na skraju wielkich ekranów radarowych umieszczonych na amerykańskich okrętach. Rutynowo zostały opatrzone numerami, komputery zaś śledziły ich trasę, nie zaprzatając uwagi oficerów

i marynarzy w centrali na „Port Royal”. Do chwili gdy okazało się, że nie zamierzają zmienić kursu. Porucznik chwycił za telefon i nacisnął guzik.

— Tak? — odezwał się opryskliwy głos.

— Panie komandorze, tu centrala, mamy samoloty ChRL, chyba myśliwce, tuż przy linii granicznej. Kurs dwa-jeden-zero, wysokość pięć tysięcy, szybkość siedemset pięćdziesiąt. Dwadzieścia mil za nimi leci następna czwórka.

— Już idę.

Po kilku minutach, dowódca, częściowo tylko ubrany, zjawił się w centrali. Chociaż nie zdążył już zobaczyć, jak samoloty łamią uznaną milcząco granicę, to zdążył usłyszeć meldunek:

— Cztery myśliwce od wschodu.

Komputerom dla wygody polecono, aby myśliwce kontynentalnych Chin opatrywały symbolem NIEPRZYJACIEL, a samoloty Tajwańczyków — symbolem SOJUSZNIK. (Od czasu do czasu w pobliżu pojawiały się też maszyny amerykańskie, te jednak zajmowały się wywiadem elektronicznym, zawsze w takim położeniu, że trudno im było zagrozić). W tej zatem chwili widać było dwie formacje odległe o trzydzieści mil, ale

sunące na siebie czołowo z prędkością sumaryczną ponad tysiąc pięciuset kilometrów na godzinę. Radar wykazywał także obecność sześciu samolotów cywilnych, wszystkie na wschód od linii granicznej, leciały w swoich korytarzach, omijając uzgodnione sfery „ćwiczeń”.

— Klucz Sześć zmienia kurs — poinformował operator radaru. Była to pierwsza formacja ChRL. Dowódca patrzył, jak punkciki wykręcają na południe, podczas gdy maszyny tajwańskie nadal się zbliżały.

— Tajwańczycy obmacują klucz Sześć — poinformował operator konsoly ESM. — Radary w trybie poszukiwania.

— Może dlatego zawrócili — mruknął dowódca.

— Może się zgubili? — zasugerował oficer wachtowy.

— Jeszcze ciemno. Mogli nie zauważyć, że przekroczyli linię.

Nie wiedzieli, jakimi urządzeniami nawigacyjnymi dysponują Chińczycy z kontynentu, a pilotowanie jednoosobowej maszyny w nocy i ponad morzem nie sprzyjało precyzji.

— Następne pokładowe radary ze wschodu, pewnie Klucz Siedem — oznajmił operator ESM. Była to druga z zarejestrowanych formacji ChRL.

— Jakaś aktywność elektroniczna Szóstki? — zainteresował się wachtowy.

— Żadnej, sir.

Myśliwce ChRL wykonały zwrot i leciały teraz na zachód, w kierunku naruszonej linii granicznej, mając za sobą *F-16* Tajwańczyków. Od tego momentu wydarzenia potoczyły się nieoczekiwanym torem.

— Klucz Siedem, zmiana kursu, teraz zero-dziewięć-siedem.

— Lecą na szesnastki... i oświetlają je! — W głosie porucznika po raz pierwszy zabrzmiał niepokój. — Klucz Siedem obmacuje szesnastki, radary w trybie namiaru bojowego.

Także tajwańskie *F-16* zrobiły teraz zwrot. Najnowsze maszyny amerykańskie i ich elitarni piloci stanowili zaledwie jedną trzecią tajwańskich sił powietrznych, a ich zadaniem było śledzenie poczynąń ziomków z kontynentu i reagowanie na nie. Skoro Klucz Sześć zawrócił, naturalną kolejną rzeczą skupili uwagę na formacji nadal lecącej na wschód. Prędkość zbliżania ciągle wynosiła ponad tysiąc pięćset kilometrów na go-

dzinę i obie strony nawzajem oświetlały się radarami kontroli ognia. W stosunkach międzynarodowych było to uznawane za akt nieprzyjazny, albowiem stanowiło powietrzny odpowiednik mierzenia komuś w głowę z nabitego karabinu.

— Uwaga! — zawołał operator ESM. — Sir, Klucz Siedem wychodzi właśnie z namiaru.

Zamiast wyszukiwać cele, systemy radarowe pracowały teraz w trybie naprowadzania pocisków powietrze-powietrze. To, co kilka chwil wcześniej wydawać się mogło aktem nieprzyjaznym, teraz stało się aktem jawnej wrogości.

Formacja *F-16* rozpadła się na dwie niezależnie operujące pary, tak samo postąpiły myśliwce ChRL Pierwsza eskadra, Klucz Sześć, przekroczyła linię demarkacyjną i podążała wprost na zachód, jak się wydawało ku macierzystemu lotnisku.

— Sir, chyba wiem, co się tu dzieje. Proszę spojrzeć, jak. . .

Na ekranie pojawił się mały punkcik, który oddzielił się od jednego z tajwańskich *F-16*.

— O, cholera! — zaklął marynarz. — Rakieta w powietrzu.

— Dwie — poprawił dowódca.



Teraz już dwa pociski raketowe *AIM-120* amerykańskiej produkcji zdążyły do dwóch oddzielnych celów.

— O rany, uznali to za atak — wykrzyknął dowódca i rzucił w kierunku oficera łączności: — Natychmiast dawaj CINCPAC!

Nie trwało to długo. Jeden z myśliwców ChRL zamienił się na ekranie w chmurkę. Drugi położył się w ciasny skręt, w ostatnim ułamku sekundy umykając przed przeznaczoną mu rakieta.

Potem zawrócił, to samo zrobiła południowa para kontynentalnych myśliwców, a Klucz Sześć skręcił pod kątem prostym, biorąc kurs na północ z włączonymi radarami. Dziesięć sekund później sześć następnych pocisków szybowało w kierunku celów.

— Regularna bitwa! — zawołał oficer wachtowy, podczas gdy dowódca chwycił za słuchawkę.

— Mostek, centrum, alarm, alarm!

Następnie sięgnął po mikrofon *TBS* i połączył się z dowódcami obu jednostek towarzyszących, które znajdowały się o dziesięć mil na wschód i zachód od krążownika. Na USS „Port Royal” rozbrzmiał tymczasem klakson alarmowy.

— Widzę — zwięźle oznajmił dowódca „Sullivans”.

— Ja także — odezwał się „Chandler”. Był bliżej wyspy, ale dane otrzymywał za pośrednictwem innych jednostek *Aegis*.

— Następny załatwiony!

Kolejna z trafionych maszyn ChRL poleciała w kierunku nieruchomej, ciemnej powierzchni morza. Pięć sekund później zniknęła bezpowrotnie. W centrum zaroilo się od marynarzy zajmujących stanowiska bojowe.

— Sir, Klucz Sześć pozorował właśnie. . .

— Tak, widzę, ale teraz mamy większy kłopot na głowie.

Na ekranie *Aegis* rakiety były takie małe, że trudno je było rozpoznać, technicy jednak przerzucili sześć megawatów na teren „ćwiczeń” i obraz stał się wyraźniejszy.

— Cholera! — krzyknął oficer wachtowy. — *Skipper*, niech pan spojrzy!

Wystarczył jeden rzut oka na główny ekran, aby natychmiast się zorientować, co się stało. Ktoś wystrzelił pocisk naprowadzany na emisję ciepła, a największym w pobliżu źródłem ciepła był *Airbus 310* tajwańskich linii lotniczych, z dwoma wielkimi silnikami *CFG*, produkcji General Electric — opartymi na tym samym rozwiązaniu, co turbiny

napędzające każdy z trzech okrętów amerykańskich — które dla głowicy naprowadzanej na podczerwień były równie gorące jak słońce.

— Albertson, ostrzeżcie ich! — krzyknął dowódca.

— Air China Sześć Sześć Sześć, tutaj okręt wojenny USA, z północnego zachodu leci w waszą stronę pocisk rakietowy, powtarzam, natychmiast zmieńcie kurs, od północnego zachodu nadlatuje rakietka.

— Co? Co takiego?! — rozległ się okrzyk pełen niedowierzania, niemniej maszyna wykręciła w lewo i w dół, co jednak nie miało już większego znaczenia.

Punkcik symbolizujący pocisk, nawet na moment nie zszedł z kursu maszyny pasażerskiej. Jediną nadzieję można było pokładać w tym, że wypali zapas paliwa, zanim dosięgnie celu, jednak poruszał się z szybkością 3 machów, *Airbus* zaś zaczynał już wytracać szybkość, zbliżając się do lotniska. A ponieważ pilot, chcąc jak najszybciej znaleźć się bliżej ziemi, obniżył nos samolotu, pocisk tym łatwiej mógł rozpoznać cel.

— To wielka maszyna — mruknął dowódca.

— Ale tylko dwa silniki — zauważył oficer uzbrojenia.

— Trafienie! — oznajmił operator radaru.

— Posadź ją, posadź! — z pasją zawołał dowódca. Na ekranie symbol *Airbusa* powiększył się trzykrotnie, a także pojawił się sygnał alarmowy.

— Nadają Mayday, sir — oznajmił radiooperator. — Air China rejs Sześć Sześć nadaje Mayday... uszkodzenie skrzydła i silnika... być może pożar na pokładzie...

— Jakies pięćdziesiąt mil do najbliższego lotniska — powiedział oficer wachtowy. — Wziął kurs na Tajpej.

— Panie komandorze, na wszystkich stanowiskach załoga w gotowości. Na całym okręcie stan alarmowy jeden — zameldował oficer wachtowy.

— Dobrze.

Dowódca wpatrzył się w główny z trzech ekranów radarowych. Pojedynek myśliwców skończył się równie nagle, jak się zaczął; trzy maszyny zostały zniszczone, jedna zapewne uszkodzona, a obie strony wycofały się teraz, aby lizać rany i ustalić, co się właściwie stało. Kolejny klucz myśliwców wystartował z Tajwanu i uformował się już nad morzem.

— Panie komandorze! — odezwał się operator ESM. — Wydaje się, że radary na wszystkich jednostkach są przeciążone. Mnóstwo obiektów do równoczesnej klasyfikacji.

Dowódca wiedział jednak, że w tej chwili to się nie liczy; ważne było to, że, zgodnie ze wskazaniem monitora, *Airbus 310* zwalniał i opadał.

— CINCPAC — poinformował radiooperator.

— Tutaj „Port Royal” — dowódca zameldował się poprzez łącza satelitarne. — Mieliśmy tutaj małe starcie powietrzne, jeden pocisk przeleciał obok celu i trafił samolot pasażerski lecący z Hongkongu do Tajpej. Maszyna nadal jest w powietrzu, ale chyba ma kłopoty. Spadły dwa *MIG-i* ChRL i jeden *F-16* z Republiki, niewykluczone, że jeszcze jeden *F-16* został uszkodzony.

— Kto zaczął? — spytał oficer dyżurny dowództwa Floty Pacyfiku.

— Naszym zdaniem pierwszy pocisk odpalili Tajwańczycy. Mogła to być prowokacja. — Dowódca szybko przekazał przebieg zdarzenia. — Jak tylko będę gotów, natychmiast wysyłam zapis radarowy.

— Świetnie. Dzięki, komandorze. Natychmiast przekażę wiadomość dowódcy. Informujcie nas, gdyby coś jeszcze się zdarzyło.

— Oczywiście. — Dowódca zakończył połączenie i polecił wachtowemu: — Prześlijcie zapis całej awantury do Pearl.

— *Aye*, sir.

Air China 666 podążał w kierunku wybrzeża, radar pokazywał jednak, że odchyła się od kursu na Tajpej. Grupa zwiadu elektronicznego z „Chandlera” nasłuchiwała teraz na pasmach radiowych. Angielski jest uniwersalnym językiem powietrznej łączności, a kapitan trafionej maszyny mówił szybko i zrozumiale, prosząc o rozpoczęcie akcji ratunkowej, podczas gdy sam wraz z drugim pilotem walczyli o utrzymanie samolotu w powietrzu. Tylko oni wiedzieli, jak poważny jest problem. Wszyscy inni byli jedynie obserwatorami, którzy mogli tylko modlić się, aby *Airbus* utrzymał się w powietrzu jeszcze przez kwadrans.

\* \* \*

Wiadomość rozeszła się błyskawicznie, a ośrodkiem decyzyjnym stała się kwatera admirała Davida Seatona, rozlokowana na wzgórzu, które dominowało nad Pearl Harbor.

Dyżurny dowództwa służb łączności połączył się z dowódcą operacji morskich Floty Pacyfiku, który natychmiast kazał mu wysłać błyskawiczną szyfrówkę do Waszyngtonu. Następnie Seaton zaalarmował siedem amerykańskich okrętów — głównie podwodnych — znajdujących się w tym regionie, nakazując im najwyższą czujność. Potem informacja została rozesłana do amerykańskich „obserwatorów”, którzy śledzili przebieg ćwiczeń na różnych szczeblach struktury dowodzenia Republiki Chińskiej, a musiało trochę potrwać, zanim dotrze ona do adresatów. Nadal nie było amerykańskiej ambasady w Tajpej, dlatego też żaden attaché ani agent CIA nie mógł pognać na lotnisko, aby sprawdzić czy *Airbus*awi udało się bezpiecznie wylądować. W tej chwili Seaton mógł już tylko czekać, spodziewając się lawiny pytań z Waszyngtonu, na które na razie nic sensownego nie mógł odpowiedzieć.

\* \* \*

Ryan podniósł słuchawkę i powiedział: — Słucham.

— Doktor Goodley do pana, sir.

— Dobrze, łącz. — A po chwili: — Ben, o co chodzi?

— Mamy kłopot z Tajwanem, może być poważny.

Szef Narodowej Rady Bezpieczeństwa przekazał wszystko, co wiedział, a nie potrwało to długo.

Mówiąc szczerze, było to interesujące ćwiczenie z dziedziny przekazywania informacji. *Airbus* ciągle utrzymywał się w powietrzu, a prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki już wiedział, że jest problem — i nic więcej.

— Informuj mnie na bieżąco. — Ryan spojrział na biurko, od którego miał właśnie zamiar wstać. — Niech to cholera!

Jakaż to mila rzecz, władza prezydenta. Teraz niemal natychmiast dowiadywał się o wszystkich sprawach, na które nie mógł nic poradzić. Czy na pokładzie samolotu byli jacyś Amerykanie? O co chodziło? Co się właściwie działo?



\* \* \*

Mogło być znacznie gorzej. Darjaei znalazł się znowu na pokładzie samolotu, spędziwszy w Bagdadzie mniej niż cztery godziny, podczas których udało mu się załatwić sprawy skuteczniej niż zwykle, a na dodatek wzbudzić lęk w kilku osobach, ponieważ ośmieliły się kłopotać go tak trywialnymi sprawami. Zgaga przyczyniła się do jeszcze bardziej kwaśnego wyrazu twarzy, z jakim opadł na fotel i wykonał gest, aby załoga zaczynała startować, gwałtowny ruch przegubu, który dla wielu osób z personelu pokładowego wyglądał jak rozkaz: „Ściąć im głowy”. Trzydzieści sekund później schody były wciągnięte i silniki uruchomione.

\* \* \*

— Gdzie się tak nauczyłeś grać? — spytał Adler.

— W Marynarce, panie sekretarzu — odpowiedział Clark i po raz kolejny zgarnął pulę. Był dziesięć dolarów do przodu, nie chodziło więc o pieniądze, lecz o zasadę. Przed chwilą dzięki blefowi zabrał sekretarzowi stanu dwa dolary.

— Byłem przekonany, że marynarze są kiepskimi hazardzistami.

— Wszyscy tak mówią — uśmiechnął się Clark, układając ćwierćdolarówki w stosik.

— Trzeba mu patrzeć na ręce — poradził Chavez.

— Robię to nieustannie.

Stewardesa podeszła i rozlała resztkę wina. Wypadło mniej niż dwie lampki na osobę; wystarczająco, żeby umilić czas.

— Przepraszam, ile jeszcze?

— Godzina, panie ministrze.

— Dziękuję.

Adler uśmiechnął się do dziewczyny na odchodne.

— Dwa dolce w ciemno, panie sekretarzu — powiedział Clark.

Chavez obejrzał wszystkie karty. Dwie piątki. Nieźle jak na początek. W ślad za Adlerem rzucił cztery ćwierćdolarówki na środek stołu.

\* \* \*

Rakieta pozbawiła *Airbusa 310* prawego silnika, ale na tym się nie skończyło. Pocisk nadleciał od tyłu z prawej i uderzył w wielką turbinę z boku, a jej fragmenty rozorały powierzchnie sterujące skrzydła, niektóre dotarły do zbiornika paliwa — na szczęście nieomal pustego — smugi płonącego paliwa przyprawiły o panikę tych, którzy spojrzeli w tym momencie w okna. Jednak nie to wzbudziło grozę. Ogień na zewnątrz samolotu nikomu nie zaszkodzi, a opróżniony zbiornik nie wybuchł, co niewątpliwie mogłoby nastąpić, gdyby trafienie miało miejsce jakieś dziesięć minut wcześniej. Naprawdę fatalna wiadomość polegała na tym, że zostały zniszczone płaszczyzny sterowe.

Obaj mężczyźni w kabinie pilotów mieli duże doświadczenie, podobnie jak wszyscy, którzy latają na liniach międzynarodowych. *Airbus* mógł spokojnie lecieć na jednym silniku; lewy był sprawny i teraz ciągnął pełną mocą, podczas gdy drugi pilot wyłączał prawy i wciskał klawisze nowoczesnego systemu przeciwpożarowego. Kiedy po kilku sekundach zgasły sygnały ostrzegające o pożarze, drugi pilot odetchnął z ulgą.

— Ster wysokości uszkodzony — oznajmił pilot, obserwując wskazania przyrządów.

Problem nie wiązał się jedynie z załogą. *Airbus* był w istocie sterowany przez ogromnie rozbudowany program komputerowy, który przyjmował sygnały zarówno z czujników umieszczonych w kadłubie maszyny, jak i z kabiny pilotów, analizował je wszystkie, a potem wysyłał właściwe polecenia do płaszczyzn sterowych. Obmyślając samolot, programiści nie zakładali takich sytuacji jak trafienie pociskiem raketowym. Program zarejestrował bolesny brak silnika i uznał, że nastąpiło to na skutek eksplozji na pokładzie, gdyż tak kazano mu interpretować tego typu zdarzenie. Komputery pokładowe oceniły skalę szkód, ustaliły, które stery reagują i jak, a potem dostosowały się do sytuacji.

— Dwadzieścia mil — oznajmił drugi pilot, kiedy wskazanie pojawiło się na kursorze kierunku. Pilot przesunął do siebie dźwignię ciągu, komputery — samolot posiadał ich siedem — oceniły, że to słuszna decyzja i zmniejszyły obroty turbiny. Ponieważ większość paliwa została już spalona, maszyna była lekka, więc mocy mieli pod dostatkiem. Znajdowali się na tyle nisko, że zmiana ciśnienia nie doprowadzi do dekompresji. Sa-

molot był sterowny. Powinno się udać, uznali obaj piloci. Tajwański myśliwiec podleciał z boku, żeby obejrzeć uszkodzenia i usiłował o nich poinformować na zastrzeżonej częstotliwości, ale usłyszał tylko, żeby usunął się z drogi.

Załoga myśliwca widziała, jak pokrycie płatami odrywa się od *Airbusa*, i mimo wszystko usiłowała o tym przekazać wiadomość, ale zajęci piloci nawet nie odpowiedzieli. *F-5E* zajął więc pozycję obserwacyjną, przez cały czas pozostając w kontakcie z bazą.

— Dziesięć mil.

Szybkość spadła poniżej trzystu kilometrów na godzinę, usiłowali więc opuścić klapy i otworzyć sloty, jednak te po prawej stronie nie zareagowały odpowiednio, co stwierdziwszy, komputery nie wykonały operacji także po lewej. Lądowanie odbędzie się więc przy znacznej prędkości. Obaj piloci zmarszczyli czoła, zgodnie zakleli i pogodzili się z sytuacją.

— Podwozie — rozkazał kapitan. Drugi pilot wystukał odpowiednie polecenie; koła wyszły, a ich golenie zablokowały się, co obaj mężczyźni powitali z ulgą. Nie mogli wiedzieć, że obie prawe opony są zniszczone.

Widzieli już płytę lotniska, a na niej światła ekip ratunkowych; minęli ogrodzenie i szykowali się do lądowania. Normalnie szybkość podejścia wynosi dwieście dwadzieścia kilometrów na godzinę, oni mieli o sto więcej. Pilot wiedział, że będzie potrzebował każdego metra pasa, usiadł więc tuż za światłami oznaczającymi początek pasa.

*Airbus* mocno uderzył o płytę i zaczął się toczyć, ale nie potrwało to długo. W obu uszkodzonych oponach z prawej strony po trzech sekundach nie było ciśnienia i metal obu felg zaczął ryc brzdę w betonie. Zarówno piloci, jak i komputery usiłowali utrzymać maszynę w prostej linii, ale daremnie. *310* zboczył na prawo; lewe podwozie odpadło z hukiem wystrzału armatniego i samolot szorował teraz brzuchem. Przez chwilę wydawało się, że wyhamuje w trawie, ale zaczepił o nią końcem skrzydła i zaczął się przewracać. Zbiornik paliwa rozleciał się na trzy nierówne części. Kiedy oderwało się lewe skrzydło, buchnął płomień. Wprawdzie obie skrajne sekcje zbiornika odleciały na bok, jednak część środkowa stanęła w ogniu i żadne wysiłki straży pożarnej nic tu nie mogły pomóc. Ustalono potem, że sto dwadzieścia siedem osób uległo śmiertelnemu zatruciu. Sto cztery, włącznie z załogą, wyszły z życiem, ale odniósłszy najróżniejsze

obrażenia. W przeciągu godziny wszystkie serwisy zaczęły donosić o poważnym międzynarodowym incydencie.

\* \* \*

Kiedy samolot dotknął ziemi, Clark poczuł lekki powiew chłodu. Wyjrzawszy przez okno, odniósł wrażenie, że widzi coś znajomego, uznał to jednak za wytwór wyobraźni, a poza tym wszystkie międzynarodowe porty lotnicze musiały w ciemności wyglądać podobnie. Francuscy piloci kołowali w kierunku wydzielonego terminalu, zgodnie z poleceniem sunąc śladem odrzutowca dyspozycyjnego, który wylądował minutę przed nimi.

— No to jesteśmy na miejscu — powiedział Ding i ziewnął. Miał na ręku dwa zegarki, jeden wskazujący czas lokalny, drugi — waszyngtoński, a kiedy teraz spojrział na nie, próbował ustalić, który bliższy był odczuciom jego ciała. Potem wyjrzał przez okno z ciekawością turysty, ale jak zwykle czekało go rozczarowanie. Równie dobrze mogło to być Denver.

— Bardzo przepraszam — powiedziała ciemnowłosa stewardesa. — Otrzymaliśmy polecenie, aby wszyscy na razie pozostali w samolocie, dopóki nie wyjdą pasażerowie z maszyny przed nami.

— Parę minut krócej, parę minut dłużej — wzruszył ramionami Adler, zmęczony jak cała reszta.

Chavez wyjrzał przez okno.

— Jest tam, musiał się zjawić tuż przed nami.

— Czy zechciałaby pani zgasić światła w kabinie? — spytał Clark i zrobił gest w kierunku partnera.

— Ale...

Clark przerwał sekretarzowi stanu zdecydowanym ruchem ręki. Stewardesa wykonała polecenie; Ding natychmiast zrozumiał, o co chodzi, i wydobył z torby aparat fotograficzny.

— Co się dzieje? — ciszej spytał Clarka, kiedy w kabinie zrobiło się ciemno.

— Przed nami jest *Gulfstream* — odparł John. — Niewiele się ich tu widzi, a ten na dodatek kołuje do osobnego terminalu. Może uda nam się ustalić, kto nim leci.



Adler dobrze wiedział, że szpieg zawsze pozostaje szpiegiem. Nie sprzeciwiał się. Dyplomaci także gromadzili informacje, a wiedza o tym, kto ma prawo do tak kosztownych przelotów, mogła być pewną sugestią, kto naprawdę liczy się w rządzie ZRI. Kilka sekund potem kawalkada samochodów zatrzymała się koło *Gulfstreama* stojącego pięćdziesiąt metrów od nich.

— Jakaś szycha — powiedział Ding.

— Co załadowałeś?

— ASA 1200 — odparł Chavez, nastawiając teleobiektyw. Cały samolot znalazł się w wizjerze. Nie mógł już sobie pozwolić na większe zbliżenie. Zaczął robić zdjęcia, kiedy opadły schodki.

— No, no — pierwszy odezwał się Adler. — Właściwie trudno powiedzieć, że to niespodzianka.

— Darjaei, prawda? — spytał Clark.

— Tak, to właśnie nasz przyjaciel — potwierdził sekretarz stanu. Słyszając to, Chavez zrobił dziesięć szybkich ujęć, na których widać było człowieka wysiadającego z samolotu, powitania z osobami, które obejmowały go niczym dawno nie widzianego wuja,

a potem eskortowały do samochodu. Pojazdy ruszyły; Chavez pstryknął raz jeszcze, a potem schował aparat do torby. Poczekali jeszcze pięć minut, zanim pozwolono im opuścić maszynę.

— Czy muszę wiedzieć, która jest godzina? — spytał Adler, kierując się do wyjścia.

— Raczej nie — powiedział Clark. — Przypuszczam, że przed spotkaniem dadzą nam kilka godzin wolnego.

U stóp schodów czekał na nich ambasador francuski z jednym człowiekiem z ochrony ambasady i dziesięcioma miejscowymi. Do ambasady francuskiej mieli jechać dwoma samochodami, z dwoma irańskimi pojazdami z przodu i dwoma z tyłu w charakterze eskorty. Adler wsiadł wraz z ambasadorem do pierwszego; Clark i Chavez wpakowali się do drugiego, mając z przodu kierowcę i jeszcze jednego mężczyznę. Obaj byli najpewniej szpiegami.

— Witajcie w Teheranie, przyjaciele — odezwał się mężczyzna z przedniego siedzenia.

— *Merci* — odrzekł Ding i ziewnął.

— Przepraszamy, że musieliście się zrywać tak wcześnie — dodał Clark.

Tamten powinien być szefem placówki. Ludzi, z którymi on i Ding siedzieli w Paryżu, prawdopodobnie uprzedzili, że ta dwójka nie wygląda na normalnych ochroniarzy z Departamentu Stanu. Francuz natychmiast potwierdził to przypuszczenie.

— Słyszałem, że nie jesteście tu po raz pierwszy.

— A ty jak długo tu jesteś? — spytał John.

— Dwa lata — odparł tamten i dodał: — Auto jest czyste.

— Mamy dla pana wiadomość z Waszyngtonu — poinformował Adlera w pierwszym wozie ambasador, a potem przekazał wszystkie znane mu informacje o incydencie w Cieśninie Tajwańskiej. — Obawiam się, że będzie pan miał z tym trochę roboty po powrocie.

— Co niemiara — mruknął sekretarz. — Tego właśnie było nam potrzeba. Jakieś reakcje?

— O żadnych na razie nie słyszałem, ale wszystko może się zmienić w ciągu kilku godzin. Spotkanie z ajatollahem Darjaeim wyznaczone jest na dziesiątą trzydzieści, więc zdążycie się trochę przespać. Lot powrotny do Paryża zaraz po obiedzie. Służymy wszelką pomocą, jaka okaże się potrzebna.

— Dziękuję, panie ambasadorze.

Adler był zbyt zmęczony, aby znaleźć bardziej wyszukaną formułę.

\* \* \*

— Jakieś podejrzenia, co się tam stało? — spytał Chavez w następnym wozie.

— Wiemy tylko tyle, ile zdecydował się nam przekazać wasz rząd. Doszło do starcia nad Zatoką Tajwańską i pocisk raketowy trafił przypadkowo w *Airbusa*.

— Ofiary? — włączył się Clark.

— Jak na razie żadnych danych — odpowiedział szef placówki DGSE.

— Trochę trudno walnąć w samolot pasażerski tak, żeby nikt nie zginął.

Ding zamknął oczy i wyobraził sobie miękkie łóżko w ambasadzie.

\* \* \*

Dokładnie w tym samym czasie tę samą wiadomość otrzymał Darjaei. Zdziwił swojego sekretarza brakiem jakiegokolwiek reakcji. Mahmud Hadzi już dawno doszedł do wniosku, że ci, którzy niewiele wiedzą, niewiele też mogą zaszkodzić.

\* \* \*

Francuskiej gościnności w niczym nie umniejszał fakt, że miejsce, w którym się znaleźli, zupełnie nie przypominało Paryża. Trzech żołnierzy zabrało bagaż Amerykanów, podczas gdy inny poprowadził ich na kwatery. Łóżka były zasłane, na stolikach koło nich znalazła się lodowata woda. Chavez raz jeszcze obejrzał swoje zegarki, jęknął i zwałił się na posłanie. Z Clarkiem nie poszło tak łatwo. Kiedy to ostatni raz znalazł się w tym mieście? I dlaczego tak go to trapiło?

\* \* \*

Admirał Jackson poprowadził naradę, rozpoczynając ją od taśmy wideo.

— To nagranie z „Port Royal”. Podobną taśmę mamy z „Sullivans”, ale ponieważ nie ma większych różnic, skorzystamy z tej.

Znajdowali się w Sali Sytuacyjnej, admirał zaś długim drewnianym wskaźnikiem wodził po wielkim monitorze.

— To jest klucz czterech myśliwców, najprawdopodobniej *Szen-jang J-8*, które my z oczywistych względów wolimy nazywać *Finback*. Dwusilnikowy, dwuosobowy, osią-

gi podobne do starego *F-4 Phantom*. Klucz startuje z kontynentu i leci odrobinę za daleko. Obowiązuje tutaj prawo ziemi, a raczej wody, niczyjej, którego dotąd żadna ze stron nie naruszyła. Oto następny klucz, prawdopodobnie maszyny tego samego typu. . .

— Nie jesteście pewni? — przerwał Ben Goodley.

— Identyfikujemy ich samoloty pośrednio. Radar nie jest w stanie rozpoznać typu samolotu — wyjaśnił Robby. — Trzeba to dopiero wydedukować z ich zachowań w powietrzu, z emisji radarowych i radiowych, i tak dalej. W każdym razie pierwsza formacja leci na wschód i przekracza niewidzialną linię. — Wskaźnik przesunął się. — Tutaj mamy z kolei cztery tajwańskie *F-16*. Widzą, że Chińczycy znaleźli się za daleko i zaczynają ich namierzać. Wtedy pierwszy klucz zawraca na zachód, ale o. . . tutaj, drugi włącza swoje radary, zamiast jednak szukać swoich, kieruje je na *F-16*.

— Jakie jest twoje zdanie, Rob? — spytał prezydent.

— Wygląda na to, że pierwszy klucz ChRL miał przeprowadzić symulowany atak na kontynent, a zadaniem drugiego była obrona przed nalotem. Na pierwszy rzut oka wygląda to zatem na standardowe ćwiczenie. Tyle że grupa pościgowa zaczęła obmacywać nie te maszyny, a kiedy przestawili radary na namierzanie bojowe, jeden z Tajwańczy-

ków musiał uznać, że jest zagrożony i odpalił pociski, a to samo zrobił jego skrzydłowy. Tutaj, o, proszę, *Finback* dostaje *Slammerem*, drugi bardzo szczęśliwie robi unik i odpala swoją raketę. W związku z czym zaczyna się ogólna strzelanina. Ten *F-16* uskoczył przed jednym pociskiem, ale wystawił się na inny, o, tutaj, pilot się katapultuje; przypuszczamy, że się uratował. Ta para odpaliła cztery pociski, z których jeden trafił *Airbusa*. Nawiasem mówiąc, ledwie mu się to udało. Sprawdziliśmy zasięg, który wyniósł pięć kilometrów ponad to, co przyjmujemy dla tej klasy pocisków. W momencie kiedy trafił w *Airbusa*, wszystkie myśliwce zawróciły już do siebie. Chińczycy z kontynentu, ponieważ najprawdopodobniej kończyło im się paliwo, chłopcy z Republiki, bo nie mieli czym strzelać. Mówiąc krótko, z obu stron zupełnie przypadkowy incydent.

— Chcesz powiedzieć, że był to wypadek przy pracy?

Pytanie postawił Tony Bretano.

— Na to by wyglądało, gdyby nie jedna rzecz. . .

— Kto zabiera na ćwiczenia uzbrojone pociski? — powiedział Ryan.

— Właśnie, panie prezydencie. Tajwańczycy, wiadomo, zawsze biorą białe, gdyż całe te chińskie ćwiczenia uznali za zagrożenie. . .

— Białe? — znowu odezwał się Bretano.

— Proszę wybaczyć, panie sekretarzu, to żargon. Pociski bojowe są malowane na biało, ćwiczebne — najczęściej na niebiesko. Tylko dlaczego pilot ChRL miał rakietę naprowadzaną na podczerwień? W podobnych sytuacjach nie używa się ich, gdyż nie sposób ich zawrócić. Wystrzelony pocisk nikogo już nie słucha, „odpal i zapomnij”, jak my to określamy. I jeszcze jedno. Wszystkie rakiety, którymi ostrzelano *F-16*, naprowadzane były radarowo i tylko ten jeden pocisk, który trafił w *Airbusa*, był na podczerwień. Coś mi w tym śmierdzi.

— Nie przypadek, tylko celowe działanie? — spytał w zamyśleniu Jack.

— Istnieje taka możliwość, panie prezydencie. Wszystko z początku wygląda na klasyczną bójkę. Kilku odrobinę zbyt nerwowych pilotów, chwila zamieszania, giną ludzie, trudno dowieść czegoś innego, ale kiedy przyjrzeć się tej parze... od samego początku chodziło im o pasażera, chyba że rzeczywiście chcieli ustrzelić tajwańskiego myśliwca. Ale nie bardzo w to wierzę.

— Dlaczego?



— Przez cały czas zachowywali się nie tak, jak powinni — wyjaśnił admirał Jackson.

— Panika? — podsunął Bretano.

— Panie sekretarzu, po co brać narwańców zamiast ludzi o zdrowych nerwach? Sam pilotuję myśliwce i ja tego nie kupuję. Kiedy nagle znajduję się w sytuacji bojowej, przede wszystkim orientuję się, kto mi zagraża i walę mu prosto w zęby.

— Ile ofiar? — spytał przygaszonym głosem Jack.

Z odpowiedzią pośpieszył Ben Goodley.

— Wedle doniesień telewizyjnych ponad sto. Nie wszyscy zginęli, ale nie mamy żadnych bliższych danych. Należy się spodziewać, że na pokładzie byli jacyś Amerykanie. Hongkong i Tajwan załatwiają sporo interesów.

— Warianty?

— Przede wszystkim, panie prezydencie, musimy ustalić, czy byli tam jacyś nasi ludzie. W pobliżu mamy tylko jeden lotniskowiec „Eisenhower”, który płynie do Australii na PUCHAR POŁUDNIA. Tyle że i tak nic to nie pomoże, jeśli chodzi o stosunki Pekin -Tajpej.

— Musimy wystosować komunikat — odpowiedział Arnie.

— Trzeba się dowiedzieć, czy zginęli nasi obywatele — oznajmił Ryan. — Jeśli tak... To co, zażądamy wyjaśnień?

— Powiedzą, że to pomyłka — powtórzył Jackson. — Co więcej, najpewniej oskarżają Tajwańczyków, że pierwsi zaczęli strzelać i na nich zrzucą całą odpowiedzialność.

— Ale ty w to nie wierzysz, Robby?

— Nie, Jack... to znaczy, przepraszam, panie prezydencie, raczej nie. Chcę tę taśmę obejrzeć jeszcze z paroma osobami, żeby i one się wypowiedziały. Mogę się mylić... ale nie przypuszczam. Piloci myśliwców to piloci myśliwców. Jeśli strzelasz do faceta, który ucieka, zamiast do tego, który wali do ciebie, to robisz to rozmyślnie.

— Przesuniemy grupę „Ike’a” na północ? — spytał Bretano.

— Przygotujcie plan awaryjny na tę ewentualność — polecił prezydent.

- Wtedy zostawiamy Ocean Indyjski bez ochrony — zauważył Jackson. — „Carl Vinson” jest w drodze do domu i niedaleko ma już do Norfolk. „John Stennis” i „Enterprise” nadal stoją w dokach w Pearl, nie mamy więc na Pacyfiku żadnego gotowego

do akcji lotniskowca. Nie mamy żadnego w tej części świata, a potrzeba miesiąca, albo i więcej, żeby jakiś przesunąć tutaj z Atlantyku.

Ryan spojrział na Eda Foleya.

— Jakie prawdopodobieństwo, że zrobi się z tego wielka awantura?

— No cóż, Tajwan będzie bardzo niezadowolony. Użyto rakiet i są zabici. Został zaatakowany samolot narodowych linii lotniczych. Rządy są bardzo czułe na tym punkcie — powiedział szef CIA. — Może coś z tego wyniknąć.

— Ktoś chce coś zyskać? — spytał Goodley.

— No cóż, jeśli admirał Jackson ma rację... zresztą i ja nie bardzo wierzyłbym tutaj w przypadek. — Foley pokiwał głową. — Coś tu się rozgrywa, ale w tej chwili nie wiem jeszcze, co. Byłoby znacznie lepiej dla wszystkich, gdyby okazało się jednak, że to tylko przypadek. Nie bardzo mi się podoba pomysł ściągania lotniskowca z Oceanu Indyjskiego przy obecnej sytuacji w Zatoce Perskiej.

— Do czego może dojść między Chinami a Tajwanem? Bretano stawiał to pytanie zakłopotany. Na razie zbyt krótko piastował to stanowisko, aby być tak efektywny, jak tego potrzebował prezydent.

— Panie sekretarzu, Chińska Republika Ludowa ma dostatecznie dużo pocisków z głowicami nuklearnymi, aby zamienić Tajwan w popiół, ale mamy podstawy do przypuszczeń, że ma je także Republika Chin, więc...

— Około dwudziestu — przerwał Foley. — A te *F-16* mogą je donieść do samego Pekinu, jeśli zechcą. Dwadzieścia głowic nuklearnych to za mało, żeby zniszczyć całe Chiny, ale wystarczy, żeby cofnąć je w rozwoju o dziesięć, może nawet dwadzieścia lat. ChRL tego nie chce, to nie szaleńcy, admirałe. Rozważajmy starcie konwencjonalne, dobrze?

— Zgoda. ChRL nie ma możliwości, żeby dokonać inwazji na Tajwan. Mają zbyt mało sprzętu desantowego, nie przerzucą odpowiedniej liczby oddziałów. Co zatem może się zdarzyć, jeśli cała sprawa się rozkręci? Najprawdopodobniejsze są zacięte starcia w powietrzu i na morzu, to jednak do niczego nie doprowadzi, gdyż żadna ze stron nie może w ten sposób wykończyć drugiej. Nie potrafię sobie wyobrazić, w jakim celu ktoś miałby to robić rozmyślnie. Nazbyt samobójcza zagrywka.

Wzruszył ramionami. Wszystko brzmiało idiotycznie; z jednej strony celowy atak na samolot pasażerski wydawał się bez sensu, z drugiej — sam oświadczył zebranym, że najprawdopodobniej był to rozmyślny czyn.

— A my mamy ściśle kontakty handlowe z obiema stronami — pokiwał głową prezydent. — Wolelibyśmy nie dopuścić do zaostrzenia konfliktu, prawda? Przykro mi, Robby, wygląda na to, że będziemy musieli przesunąć tam lotniskowiec. Poskładajmy razem wszystkie możliwości i spróbujmy sobie wyobrazić, o co mogło chodzić Chińczykom z kontynentu.

\* \* \*

Clark zbudził się pierwszy, w dość nieszczególnym nastroju, co było bardzo niewskazane w obecnej sytuacji. Dziesięć minut później, ogolony i ubrany, otwierał drzwi, zostawiając w łóżku Chaveza, który i tak nie znał języka farsy.

— Poranny spacer? — spytał Francuz, który przywiózł ich z lotniska.

— Muszę się trochę przewietrzyć — przyznał John. — Przepraszam, jak się nazywasz?

— Marcel Lefevre.

— Szef placówki? — spytał obcesowo John.

— Mówiąc ściśle, jestem attaché handlowym — odparł tamten, co należało uznać za potwierdzenie. — Możemy przejść się razem?

— Oczywiście — odparł Clark z naturalnością, która zaskoczyła jego rozmówcę. — Chciałem się trochę rozejrzeć. Jest tu jakieś targowisko?

Dziesięć minut później znaleźli się w dzielnicy handlowej. O piętnaście metrów za nimi sunęli dwaj Irańczycy, którzy najwyraźniej mieli ich obserwować.

Dźwięki przywołały wszystkie wspomnienia. Farsi Clarka nie był zbyt olśniewający, szczególnie, że nie używał go od piętnastu lat. Miałyby spore kłopoty z dogadaniem się, jednak uszy szybko zaczęły wychwytywać słowa z rozmów i ofert, z jakimi ze straganów po obu stronach ulicy zwracano się do dwóch obcokrajowców.

— Ile kosztuje żywność?

— Sporo — odpowiedział Lefevre. — Szczególnie z powodu dostaw, jakie wysyłają do Iraku. Niektórzy na to sarkają.

Po kilku minutach John zorientował się, czego mu brakuje. Minęli stragany z żywnością i znaleźli się w królestwie złota, towaru zawsze cieszącego się popularnością w tej części świata. Byli sprzedawcy, byli kupujący, nie było natomiast entuzjazmu, który zapamiętał z dawnych czasów. Przyglądał się kramom, usiłując odgadnąć, jaka była przyczyna tej zmiany.

— Szuka pan czegoś dla żony? — spytał Lefevre.

Clark uśmiechnął się bez przekonania.

— Zawsze coś może się trafić. Wkrótce rocznica ślubu.

Stanął i zaczął oglądać naszyjnik.

— Skąd jesteście? — spytał sprzedawca.

— Ameryka — odparł John, również po angielsku. Tamten rozpoznał jego narodowość, pewnie po ubiorze, i korzystał z okazji, żeby porozmawiać w obcym języku.

— Nieczęsto widuje się tutaj Amerykanów.

— Szkoda. W młodości sporo podróżowałem w tych stronach.

Naszyjnik był naprawdę ładny, cena na przyklepionej karteczce rozsądna, jeśli zważyć na próbę, a rocznica ślubu istotnie była za pasem.

— Kiedyś może się to zmieni — powiedział złotnik.

— Nasze kraje dzieli wiele różnic — zauważył John.

Tak, mógł sobie na to pozwolić, szczególnie, że, jak zwykle, miał ze sobą mnóstwo forsy. Jedną z przyjemnych cech amerykańskiej waluty było to, że akceptowana była niemal powszechnie.

— Wszystko się zmienia — zauważył sentencjonalnie kupiec.

— To prawda — zgodził się John i obejrzał nieco droższy naszyjnik. — Mało tutaj radości, a to przecież ulica handlowa.

— Śledzi was dwóch ludzi.

— Tak? Ale przecież nie robię nic niezgodnego z prawem? — zapytał z troską Clark.

— Nie — odparł Irańczyk, ale widać po nim było zdenerwowanie.

— Wezmę ten — powiedział John, wyciągając rękę z naszyjnikiem.

— Jak pan płaci?

— Może być amerykańskimi dolarami?

— Oczywiście. Dziewięćset waszych dolarów.



Clark z trudem ukrył zdziwienie. Nawet w nowojorskiej hurtowni naszujnik kosztowałby trzy razy drożej, a chociaż na taką sumę nie mógłby sobie pozwolić, targowanie się należało do ulubionych rozrywek w tej części świata. Powiedzmy, że udałoby mu się zbić cenę do tysiąca pięciuset, co ciągle byłoby całkiem korzystne. Czy na pewno dobrze usłyszał?

— Dziewięćset?

Kościsty palec godził wprost w jego serce.

— Osiemset, ale ani dolara mniej. Chyba nie chce mnie pan zrujnować?! — wykrzyknął tamten.

— Twardy z ciebie negocjator.

— Jest pan bez serca. Mam dokładać do interesu? To piękny naszujnik i mam nadzieję, że chce go pan wręczyć swojej szanownej małżonce, a nie jakiejś taniej latawicy!

Clark pomyślał, że wystawił już złotnika na dostatecznie wielkie niebezpieczeństwo. Wyciągnął portfel, odliczył pieniądze i wręczył Irańczykowi.

— To za dużo. Nie jestem złodziejem! — obruszył się tamten i zwrócił Johnowi jeden banknot.

Siedemset dolarów za coś takiego?

— Przepraszam, nie chciałem pana urazić — powiedział Clark, chowając do kieszeni naszyjnik, który sprzedawca niemal cisnął mu, nie dołączając żadnego pudełka.

— Nie jesteśmy barbarzyńcami — powiedział cicho kupiec, a potem raptownie odwrócił się do nich plecami.

Clark i Lefevre doszli do końca ulicy i skręcili w prawo. Szli żwawo, zmuszając do pośpiechu swoich opiekunów.

— Co tu się dzieje, u diabła? — spytał Clark, który niczego podobnego się nie spodziewał.

— Entuzjazm dla rządu nieco się zmniejszył. To, co pan widział, jest całkiem typowe. Ładna robota, *monsieur* Clark. Od dawna w Firmie?

— Na tyle długo, żeby nie lubić takich niespodzianek. Zdaje się, że u was odpowiednim słowem w takiej sytuacji jest *merde*.

— Zatem prezent dla żony?

John skinął głową.

— Tak. Czy ten złotnik może mieć jakieś kłopoty?

— Mało prawdopodobne — odpowiedział Lefevre. — Wolno mu stracić na transakcji. Interesujący gest, nieprawdaż?

— Wracajmy. Muszę zbudzić sekretarza.

W piętnaście minut byli na miejscu; John natychmiast udał się do pokoju.

— Jaka pogoda na zewnątrz, panie C?

Clark sięgnął do kieszeni i rzucił coś przez pokój. Chavez złapał przedmiot w locie.

— Ciężkie.

— Jak myślisz, Domingo, ile to kosztowało?

— Wygląda na dwadzieścia jeden karatów... Dwa tysiące lekką rączką.

— Co byś powiedział na siedem stów?

— Pewnie jakiś twój kuzyn, tak? — zaśmiał się Chavez, ale zaraz spowaźniał. — Byłem pewien, że nas tutaj nie lubią.

— Wszystko się zmienia — powiedział John, cytując złotnika.

\* \* \*

— Ile ofiar? — spytała Cathy.

- Mowa jest o stu czterech osobach, które uszły z życiem, ale niektóre paskudnie pokiereszowane. Dziewięćdziesiąt potwierdzonych ofiar śmiertelnych, około trzydziestu nie potwierdzonych, to znaczy, na pewno nie żyją, nie udało się jeszcze zidentyfikować zwłok. — Jack odczytał raport dostarczony właśnie do drzwi sypialni przez agenta Ramana. — Szesnastu Amerykanów ocalało, pięciu zginęło. Los dziewięciu nieznany, najpewniej martwi. O Boże, na pokładzie było czterdziestu obywateli ChRL.

Pokręcił głową.

— Jak to możliwe? Jeśli będą chcieli zrobić z tego sprawę. . .

— A jak to możliwe, że robią interesy? Bo robią i to jest fakt, kochanie. Prychają na siebie i pluja jak kocury, ale są sobie nawzajem potrzebni.

— Co zrobisz? — spytała żona.

— Jeszcze nie wiem. Jutro rano, jak będziemy już więcej wiedzieć, wydam prasowy komunikat. I jak mam teraz spokojnie spać? — spytał prezydent Stanów Zjednoczonych. — Czternastu zabitych Amerykanów na drugim końcu świata. A ja miałem ich chronić, czyż nie? Nie mogę pozwolić, żeby ludzie bezkarnie zabijali obywateli mego kraju.

— Jack, codziennie giną ludzie — zauważyła Pierwsza Dama.

— Ale nie od pocisków powietrze-powietrze.

Ryan odłożył raport na stolik i wyłączył lampkę, zastanawiając się, kiedy uda mu się zasnąć i jak potoczą się rozmowy w Teheranie.

\* \* \*

Zaczęło się od uścisków dłoni. Urzędnik MSZ powitał ich na zewnątrz. Ambasador francuski dokonał prezentacji, po czym spiesznie zniknął w budynku, aby uniknąć kamer telewizyjnych, chociaż żadnej nie widać było dookoła. Clark i Chavez odgrywali swoje role, stojąc blisko — aczkolwiek nie za blisko — swego pryncypała i rozglądając się nerwowo, jak powinni robić. Sekretarz Adler podążył za Irańczykiem, cała reszta poszła w ich ślady. Wszyscy wraz z ambasadorem zatrzymali się w holu; do zaskakująco nowocześnie urządzonego gabinetu duchowego przywódcy Iranu wszedł tylko Adler ze swym przewodnikiem.

— Pokój z tobą — powiedział Darjaei, wstając na powitanie gościa. Mówił za pośrednictwem tłumacza, co było normalnym rozwiązaniem przy tego typu spotkaniach.

Po pierwsze, chodziło o precyzję sformułowań, po drugie, gdyby została popełniona jakaś fatalna gafa, zawsze można było odpowiedzialność złożyć na błąd tłumacza, co obu stronom pozwalało zachować twarz. — Niech Allah pobłogosławi temu spotkaniu.

— Dziękuję, że tak szybko zareagował pan na propozycję rozmowy — powiedział Adler i zajął miejsce.

— Przyjechał pan z daleka. Czy podróż była wygodna? — spytał uprzejmie Darjaei. Nic nie mogło zakłócić ceremoniału grzeczności, przynajmniej na początku.

— Przebiegła bez żadnych wydarzeń — powiedział Adler i z trudem powstrzymał się od ziewnięcia czy od dania wyrazu zmęczeniu w inny sposób. Trzy filiżanki mocnej europejskiej kawy zrobiły swoje, aczkolwiek żołądek nie czuł się po nich najpewniej. Podczas poważnych rozmów dyplomaci powinni zachowywać się jak chirurdzy w sali operacyjnej. Długa praktyka pozwalała skrywać emocje i panować nad niedyspozycjami cielesnymi.

— Żałuję, że nie możemy pana lepiej zapoznać z tym miastem. Tyle w nim historii i piękna. — Obaj czekali, aż słowa zostaną przełożone. Tłumacz miał około trzydziestki, był skupiony i — Adler nie był pewien swego wrażenia — bał się Darjaeiego? Był chyba

urzędnikiem ministerialnym, miał na sobie garnitur, któremu przydałaby się odrobina żelazka, natomiast Darjaei odziany był w powłóczyste szaty, podkreślające narodowość i godność duchownego. Mahmud Hadzi był poważny, ale jego zachowanie nie zdradzało żadnej wrogości.

— Może podczas następnej wizyty.

Przyjazne skinięcie głową.

— Oczywiście.

To słowo zostało wypowiedziane po angielsku, co przypomniało Adlerowi, że gospodarz rozumiał język swojego gościa. Żadnych zaskakujących manier, zanotował w pamięci sekretarz stanu.

— Dużo czasu upłynęło od ostatniego kontaktu między naszymi krajami, przynajmniej na tym szczeblu.

— To prawda, ale my radzi jesteśmy takim kontaktom. W czym mogę panu pomóc, panie sekretarzu?

— Jeśli nie miałby pan nic przeciwko temu, z chęcią porozmawiałbym o problemie stabilności politycznej w tym regionie.

— Stabilności? — spytał Darjaei. — Jak mam to rozumieć?

— Nowo powstała Zjednoczone Republika Islamska stała się największym państwem w regionie, co niektórych napawa troską.

— Moim zdaniem odbyło się to z pożytkiem dla stabilności. Czyż rząd Iraku nie był dla niej stałym zagrożeniem? Czy nie był agresorem w dwóch kolejnych wojnach? My z pewnością tak nie postępujemy.

— To prawda — przyznał Adler.

— Islam jest religią pokoju i braterstwa — ciągnął Darjaei, przemawiając tonem nauczyciela, którym był przez lata.

— To także prawda, ale w tym niedoskonałym świecie nie zawsze ludzie, którzy obnoszą się ze swoją religią, przestrzegają jej zasad — zauważył Amerykanin.

— Inne kraje nie szanują w takim stopniu bożych zasad, jak robimy to my. Tylko wtedy, gdy człowiek im się podporządkowuje, może liczyć na pokój i sprawiedliwość. Nie wystarczą same słowa; trzeba jeszcze żyć zgodnie z nimi.

Serdeczne dzięki za tę odrobinę szkółki niedzielnej, pomyślał Adler, jednocześnie z powagą kiwając głową. Ale jeśli tak jest, to po jaką cholere popierasz Hezbollah?



— Mój kraj pragnie jedynie spokoju w tym regionie, podobnie zresztą jak w całym świecie.

— Takie jest też pragnienie Allacha, objawione nam przez Proroka.

Wszystko już było, pomyślał Adler. Dawno temu prezydent Jimmy Carter wysłał podsekretarza stanu, aby spotkał się z poprzednikiem Darjaeiego w jego emigracyjnej siedzibie pod Paryżem. Szach miał poważne kłopoty, opozycji zamykano usta, co Stanom Zjednoczonym nie było na rękę. Podsekretarz powrócił do prezydenta z informacją, że Chomeini to „święty”. Carter uwierzył mu na słowo, przyczynił się do obalenia Rezy Pahlawiego i pozwolił, aby jego miejsce zajął „święty”.

Wkrótce potem rząd amerykański stał się pośmiewiskiem całego świata.

Adler nie zamierzał powtarzać tych błędów.

— Jedną z zasad, których trzyma się mój kraj, jest poszanowanie granic innych państw. Ich nienaruszalność jest warunkiem *sine qua non* regionalnej i globalnej stabilizacji.

— Sekretarzu Adler, z woli Allacha wszyscy ludzie są braćmi. Bracia mogą się czasami posprzeczać, ale wojna jest nienawistna w oczach Boga. Poza tym pana uwaga

niewco mnie zaskakuje; sugeruje pan, że nosimy się z wrogimi zamiarami wobec sąsiadów. Skąd takie podejrzenia?

— Przepraszam, źle mnie pan zrozumiał. Nie uczyniłem żadnej takiej sugestii. Przybyłem, abyśmy omówili sprawy nawzajem nas interesujące.

— Gospodarka pańskiego kraju i jego sojuszników zależy od tego regionu. Nie zamierzamy wam szkodzić. Potrzebujecie naszej ropy, my potrzebujemy przedmiotów, które można kupić za ropę. Nasza kultura przesiąknięta jest duchem handlu i dobrze o tym wiecie. Jest także przesiąknięta duchem islamu i wielkim bólem napawa mnie to, że, jak się wydaje, Zachód nigdy nie docenił natury naszej religii. Niezależnie od tego, co mogą mówić wasi żydowscy przyjaciele, nie jesteśmy barbarzyńcami i w istocie nie ma religijnego konfliktu między nami a Żydami. Z tego właśnie regionu pochodził patriarcha Abraham, a Żydzi jako pierwsi głosili chwałę prawdziwego Boga i zaprawdę powinien zapanować pokój między nami.

— Z prawdziwą radością słyszę te słowa. Co zapewni taki pokój? — spytał Adler, zastanawiając się, kiedy to ostatni raz ktoś usiłował zwalić mu na głowę całe drzewo oliwne.

— Czas i rozmowy. Dlatego lepiej może, żebyśmy pozostawali w bezpośrednim kontakcie. Oni także są ludźmi — nie tylko wiary, ale i handlu.

Adler nie był pewien, jak ma rozumieć słowa Darjaeiego. Bezpośredni kontakt z Izraelem. Czy to oferta, czy też subtelny przytyk pod adresem Amerykanów?

— A pańscy islamscy przyjaciele?

— Łączy nas wiara. Łączy nas ropa naftowa. Łączy nas kultura. W istocie na wiele sposobów stanowimy już jedną rodzinę.

\* \* \*

Clark, Chavez i ambasador siedzieli milcząc w holu. Personel ostentacyjnie ich ignorował od chwili, kiedy podane już zostały napoje chłodzące. Ludzie z ochrony znajdowali się w pobliżu, a chociaż nie spoglądali na przybyszów, ani na chwilę nie tracili ich też z oczu. Chavez miał okazję poznać coś nowego. Umeblowanie i wyposażenie wydawało się bardzo staromodne i dziwnie nieporęczne, zupełnie jak gdyby nic tutaj się nie zmieniło od czasu zmiany rządów — co, uzmysłowił sobie, odbyło się już dość dawno — przy czym raził nie tyle stopień zużycia, ile ich staroświeckość. Wszędzie

panowało też napięcie, co wyczuwało się w powietrzu. Urzędnik amerykański przyglądałby się mu ze zdziwieniem, nie robiła jednak tego żadna z sześciu osób obecnych. Dlaczego?

Clark tego właśnie się spodziewał. Ignorowanie było rzeczą zupełnie normalną. On i Ding występowali w charakterze goryli, stanowili więc niewarte uwagi sprzęty. Ludzie tutaj byli zaufanymi pomocnikami i podwładnymi, wiernymi wobec swego zwierzchnika, gdyż tak być musiało, zawdzięczali mu bowiem odrobinę władzy. Goście albo usankcjonują tę władzę w skali międzynarodowej, albo będą stanowić dla niej zagrożenie, a chociaż były to sprawy o życiowym znaczeniu dla maluczkich, ci mieli na nie wpływ taki jak na pogodę, obcych usuwali więc w ogóle z pamięci, z wyjątkiem ludzi specjalnie wyszkolonych do tego, aby każdego obcego traktować jako bezpośrednie zagrożenie, aczkolwiek protokół nie pozwalał na fizyczną wrogość, którą okazaliby z chęcią i niejaką pasją.

Dla francuskiego ambasadora było to jeszcze jedno praktyczne ćwiczenie w sztuce dyplomacji: rozmowa przy użyciu starannie dobranych słów, aby jak najmniej pokazać ze swoich kart, a jak najwięcej dowiedzieć się o kartach drugiej strony. Potrafił zgadnąć,

co się mówi w sąsiednim pokoju, potrafił nawet domyślić się znaczenia słów. Ale przede wszystkim interesowała go ich prawdziwość. Co tak naprawdę planował Darjaei? Ambasador i kraj, który reprezentował, mieli nadzieję na pokój w tym regionie, zatem wraz z kolegami starali się wpłynąć na to, aby i Adler uznał tę możliwość za realną, chociaż wcale nie byli tego pewni. Interesująca postać ten Darjaei. Duchowny, który z całą pewnością zamordował prezydenta Iraku. Rycerz pokoju i sprawiedliwości, który żelazną ręką włada swoim krajem. Wspaniałomyślny człowiek, który przeraża swoich podwładnych. Wystarczyło rozejrzeć się po pokoju, aby się o tym przekonać. Współczesny Richelieu Bliskiego Wschodu? Francuz smakował przez chwilę tę zupełnie nową ideę, zachowując jednocześnie nieporuszoną twarz. Jeszcze dzisiaj trzeba będzie ją przekazać ministrowi. A wcześniej temu nowo upieczonemu ministrowi amerykańskiemu. Adler cieszył się sławą dobrego dyplomaty, ale czy dobrego na tyle, aby sobie poradzić z tym zadaniem?

\* \* \*

— Po co w ogóle o tym mówić? Dlaczego miałbym rościć sobie jakieś terytorialne ambicje? — spytał Darjaei zupełnie spokojnie, ale głos jego nie skrywał irytacji. — Mój naród pragnie tylko jednego: pokoju. Zbyt wiele było tutaj walk. Przez całe życie studiowałem Wiarę i nauczałem jej, a teraz, kiedy dobiegam końca swoich dni, nareszcie panuje tutaj pokój.

— O niczym więcej nie marzymy w tym regionie, oprócz bardziej przyjaznych stosunków między naszymi krajami.

— O tym porozmawiać możemy później. Dziękuję pańskiemu krajowi za to, że nie sprzeciwiłście się zniesieniu sankcji handlowych wobec dawnego Iraku. Być może to dobry początek. Zarazem wolelibyśmy, żeby Ameryka nie ingerowała w stosunki między naszymi sąsiadami.

— Jesteśmy zobowiązani do troski o bezpieczeństwo Izraela — powiedział stanowczo Adler.

— Mówiąc ściśle, Izrael nie jest naszym sąsiadem — odparł Darjaei. — Jeśli jednak Izrael chce żyć w pokoju, my także tego chcemy.

Niezły jest, ocenił Adler. Niewiele ujawniał, przede wszystkim zaprzeczając. Żadnych deklaracji, z wyjątkiem tradycyjnych opowieści o pokojowych zamiarach. Robił to każdy przywódca państwowy, chociaż nie każdy z imieniem Boga tak często pojawiającym się na ustach. Pokój. Pokój. Pokój.

Tyle że Adler ani trochę nie ufał mu w sprawie Izraela. Gdyby naprawdę miał pokojowe zamiary, najpierw porozumiałby się z Jerozolimą, gdyż lepiej byłoby mieć Żydów po swojej stronie przed rozmowami z Waszyngtonem. Izrael był nieoficjalnym pośrednikiem w rokowaniach „broń za zakładników” i także został wystawiony do wiatru.

— Sądzę, że to dobra podstawa do dalszych rozmów.

— Jeśli pański kraj będzie traktował nas z szacunkiem, możemy rozmawiać. I wtedy przyjdzie pora na rozważenie poprawy w naszych wzajemnych stosunkach.

— Przekażę to mojemu prezydentowi.

— Także pański kraj miał ostatnio wiele powodów do smutku. Życzę wam siły, żebyście potrafili zaleczyć rany.

— Dziękuję.

Obaj powstali. Uścisnęli sobie dłonie i Darjaei odprowadził Adlera do drzwi.

\* \* \*

Clark zwrócił uwagę, że cały personel zerwał się na równe nogi. Darjaei odprowadził Adlera do wyjścia, raz jeszcze podał mu rękę, a potem zostawił go jego świcie. Dwie minuty później byli już w samochodach, które skierowały się wprost na lotnisko.

— Ciekaw jestem, jak poszło?

Pytanie Johna nie było skierowane do nikogo konkretnie, a chociaż wszyscy je sobie zadawali, pozostało bez odpowiedzi. Po pół godzinie dotarli w oficjalnej eskorcie na lotnisko międzynarodowe Mehrabad, gdzie w części zarezerwowanej dla samolotów wojskowych czekał na nich francuski odrzutowiec.

Odbyła się także ceremonia pożegnalna. Ambasador francuski rozmawiał przez kilka minut z Adlerem, nie wypuszczając jego ręki. Przy mnogości funkcjonariuszy irańskich służb bezpieczeństwa, Clarkowi i Chavezowi pozostawało tylko rozglądać się na boki, czego zresztą od nich oczekiwano. Widać było sześć myśliwców, przy których



uwijali się ludzie z obsługi. Nieustannie krążyli pomiędzy maszynami i hangarem, bez wątpienia wzniesionym jeszcze za czasów szacha. Ding zajrzał do środka, w czym nikt mu nie przeszkadzał. Stał tam jeszcze jeden samolot, w znacznej części rozebrany. Silnik znajdował się na podnośniku, obsługiwany przez inną grupę techników.

— Kurza farma, uwierzyłbyś? — spytał Chavez.

— Co takiego? — mruknął Clark, który spoglądał w inną stronę.

— Niech pan sam zobaczy, panie C.

John odwrócił się. Wzdłuż przeciwległej ściany hangaru stały rzędy metalowych klatek, wielkością przypominających pomieszczenia dla drobiu. Całe setki. Osobliwy widok w bazie lotniczej, pomyślał.

Po drugiej stronie lotniska Gwiazdor towarzyszył ostatniej grupie swego zespołu, która odlatywała do Wiednia. Przypadkiem spojrział w kierunku sektora dla prywatnych odrzutowców, gdzie pełno było ludzi i samochodów. Na chwilę zaciekawilo go to. Pewnie jakaś szycha z rządu. Także i on myślał o takiej funkcji, ale bez żadnej ostentacji. Samolot austriackich linii lotniczych pojawił się na płycie o czasie, aby wystartować przed maszyną czarterową.

## 40 — Otwarcie

Większość Amerykanów zbudziła się, aby dowiedzieć się o tym, o czym wiedział już ich prezydent. W katastrofie lotniczej na drugim końcu świata zginęło jedenastu Amerykanów, a trzech uznano za zaginionych. Miejscowa ekipa telewizyjna zdążyła w porę znaleźć się na lotnisku, uprzedzona przez kogoś z obsługi. Na taśmie wideo widać było jedynie kulę ognia tryskającą w odległym wybuchu, po której przychodziły zbliżenia tak typowe, że mogły pochodzić skądkolwiek. Dziesięć wozów strażackich okrążało płonący wrak i zlewało go wodą oraz pianą, zbyt późno, aby kogokolwiek uratować. Mknęły karetki pogotowia. Jacyś szczęśliwi rozbitkowie miotali się bezradni

w szoku. Inni ślaniali się w ramionach członków ekip ratunkowych. Były żony bez mężów, rodzice bez dzieci i cały ten dramatyczny chaos, który niczego nie tłumaczył, ani nie sugerował żadnych rozwiązań.

Rząd Republiki Chińskiej wystosował gniewne oświadczenie na temat powietrznego piractwa, domagając się natychmiastowego zwołania Rady Bezpieczeństwa. Kilka minut później stanowisko zajął też Pekin, który stwierdził, że jego samoloty wojskowe zostały zdradziecko zaatakowane podczas pokojowych ćwiczeń i w obronie własnej wystrzeliły pociski rakietowe. Stanowczo zaprzeczono, aby miało to jakikolwiek związek z katastrofą samolotu, a całkowitą odpowiedzialność zrzucano na zbuntowaną prowincję.

— Co jeszcze udało się ustalić? — spytał admirała Jacksona Ryan. Była siódma trzydzieści rano.

— Przez jakieś dwie godziny dokładnie obejrzeliliśmy jeszcze raz obie taśmy. Zaprosiłem paru pilotów, z którymi kiedyś latałem, i kilku facetów z Sił Powietrznych. Oto do czego doszliśmy. Po pierwsze, komuchy. . .

— Nie należy już tak ich nazywać, Robby — zauważył prezydent.

— Przepraszam, stare nawyki. Zatem dżentelmeni z Chińskiej Republiki Ludowej dobrze wiedzieli, że mamy tam okręty. Elektroniczna emisja jednostki typu *Aegis* jest widoczna jak Góra św. Heleny, a parametry i możliwości radaru *SPY* nie są żadną tajemnicą, gdyż korzystamy z tych rozwiązań od dwudziestu lat. Wiedzieli zatem, że obserwujemy i że nic nie umknie naszej uwadze.

— Dalej — ponaglił przyjaciela Jack.

— Po drugie, na „Chandlerze” mamy ekipę, która prowadzi nasłuch radiowy. Przetłumaczyliśmy komunikaty chińskich pilotów. Po trzydziestu sekundach od rozpoczęcia incydentu słychać — tu cytuję: — „Mam go, mam go, strzelam”. Jest to dokładnie moment, w którym w kierunku *Airbusa* odpalono raketę naprowadzaną na podczerwień. Po trzecie, każdy z tych, którzy siedzieli za sterami myśliwca, mówił to samo, co ja: po cholere strzelać do pasażera, który jest na granicy zasięgu twoich pocisków, kiedy tuż pod nosem masz przeciwników? Mówię ci, Jack, to paskudnie śmierdzi. Niestety, nie możemy dowieść, że nagrany głos pochodzi z samolotu, który strzelił do *Airbusa*, ale według mojej opinii i naszych przyjaciół z drugiej strony rzeki, było to działanie celowe.

Z pełną świadomością rozwalili samolot pasażerski — kończył admirał. — Szczęście, że ktokolwiek uszedł z życiem.

— Admirale — odezwał się Arnie van Damm — czy to oskarżenie utrzymałoby się przed sądem?

— Nie jestem prawnikiem, sir, lecz pilotem wojskowym. Mój zawód nie polega na przeprowadzaniu dowodów, ale powiem tyle: jest tylko jedna szansa na sto, że się mylę.

— Problem w tym, że nie mogę tego stwierdzić przed kamerami — powiedział Ryan i zerknął na zegarek. Za kilka minut miała zjawić się charakteryzatorka, aby przygotować go do wystąpienia telewizyjnego. — Jeśli zrobili to celowo...

— Jack, tutaj nie ma miejsca na żadne „Jeśli”!

— W porządku, Robby, słuchałem cię uważnie! — uciął Ryan, odetchnął głęboko, a potem spokojniejszym już tonem dodał: — Bez absolutnych dowodów nie mogę oskarżyć suwerennego kraju o podjęcie wojennych kroków. Ale w tych ścianach niech ci będzie: zrobili to celowo, a zarazem z pełną świadomością, że będziemy o tym wiedzieć. Po co?

Grupa doradcy prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego miała za sobą długą noc. Głos zabrał Goodley.

— Trudno powiedzieć, panie prezydencie.

— Chcą zaatakować Tajwan? — spytał Ryan.

— Nie mogą — oznajmił Jackson, niezrażony przyganą ze strony wodza naczelnego. — Nie mają środków, żeby dokonać inwazji. Nie widać żadnych nadzwyczajnych ruchów sił lądowych w tym regionie, tylko przemieszczenia na północnym zachodzie, które ostatnio tak zaniepokoiły Rosjan. Z militarne punktu widzenia odpowiedź brzmi: „Nie”.

— Może desant lotniczy? — zasugerował Ed Foley, ale Robby tylko pokręcił głową.

— Nie mają tylu odpowiednich samolotów, a nawet gdyby mieli, Tajwan dysponuje taką obroną przeciwlotniczą, że próba desantu oznaczałaby przedwczesne rozpoczęcie sezonu na kaczkę. Jak mówiłem wczoraj wieczorem: mogą rozpocząć działania na morzu i w powietrzu, ale nieuchronnie poniosą poważne straty — powiedział Jackson.

— Więc co, rozpieprzyli samolot pasażerski, żeby nas sprawdzić? — spytał Ryan. — To także nie na sensu.

— Jeśli zamiast „nas” powiesz „mnie”, wtedy nie jest to wykluczone — stwierdził spokojnie szef CIA.

— No nie, dyrektorze — obruszył się Goodley, — Na pokładzie samolotu było ponad dwieście osób, a musieli liczyć się z tym, że wszyscy zginą.

— Ben, nie oszukujmy się — powiedział Foley. — Dla tych sukinsynów ludzkie życie niewiele znaczy.

— Tak, ale...

— Dostyc już — przerwał Ryan. — Przypuszczamy, że to działanie celowe, ale nie mamy dowodów, ani nie potrafimy ustalić, czemu miałoby ono służyć. W takiej sytuacji nie mogę tego incydentu nazwać działaniem celowym, tak? — Wszyscy pokiwali głowami. — Za piętnaście minut muszę zejść na dół do Pokoju Prasowego, żeby złożyć oświadczenie, po którym posypią się pytania, a ja w odpowiedzi będę mógł tylko łącać.

— Tak to mniej więcej wygląda, panie prezydencie — przyznał van Damm.

— Ślicznie, nie ma co — prychnął Jack. — A Pekin będzie wiedział, a przynajmniej przypuszczał, że kłamię.

— Pewnie tak, chociaż nie mamy pewności — powiedział Ed Foley.

— Nie bardzo umiem kłamać — wyznał Ryan.

— To musisz się nauczyć — oznajmił szef personelu Białego Domu. — I to szybko.

\* \* \*

Podczas lotu z Teheranu do Paryża Adler wygodnie rozsiadł się z boku, wydobył notatnik i pisał przez całą drogę; korzystając z wyćwiczonej pamięci odtwarzał przebieg rozmowy i wszystkie swoje obserwacje, poczynając od wyglądu Darjaeiego, a kończąc na nienagannym porządku na biurku. Potem przez godzinę przeglądał notatki, by następnie przystąpić do końcowych wniosków. Zużył przy tym wszystkim sześć długopisów. Postój w Paryżu trwał mniej niż godzinę, co wystarczyło Clarkowi na krótką rozmowę z Claudem, a jego eskortie na szybkiego drinka. W końcu znowu znaleźli się w powietrzu dzięki *VC-20B* Sił Powietrznych.

— No i jak poszło? — spytał John.

Adler musiał upomnieć sam siebie, że Clark należał do grupy SOW i nie był zwykłym ochroniarzem.

— Najpierw proszę mi powiedzieć, co odkrył pan podczas spaceru.



Funkcjonariusz CIA sięgnął do kieszeni i podał sekretarzowi stanu złoty naszyjnik.  
— Czyżby miało to znaczyć, że jesteśmy zaręczeni? — zachichotał zdziwiony Adler.

Clark zrobił gest w kierunku swego partnera.

— On jest zaręczony.

Teraz, kiedy byli znowu w powietrzu, łącznościowiec włączył swoją aparaturę, a faks natychmiast zamruczał.

\* \* \*

— Ustaliliśmy, że śmierć poniosło jedenastu obywateli amerykańskich, los trzech jest nie wyjaśniony. Czworo rannych przebywa w miejscowych szpitalach. Na tym chciałbym zakończyć swe oświadczenie — powiedział Ryan.

— Panie prezydencie! — odezwało się naraz kilkadziesiąt głosów.

— Pojedynczo, proszę.

Jack wskazał kobietę w pierwszym rzędzie.

— Pekin utrzymuje, że to Tajwańczycy odpalili pierwszą rakietę. Czy może pan to potwierdzić?

— Analizujemy właśnie uzyskane informacje, ale zabierze to trochę czasu, zanim jednoznacznie je ocenimy, na razie więc wolałbym się powstrzymać od pochopnych wniosków.

— W każdym razie obie strony wystrzeliły rakiety, czy tak? — nastawała dziennikarka.

— Tak się wydaje.

— Kiedy zatem będziemy wiedzieć, czyja rakietą trafiła samolot pasażerski?

— Powiedziałem już, że analizujemy dane.

Nie rozwódź się nad tym, upomniał sam siebie i wskazał jednego z reporterów.

— Panie prezydencie, zginęło wielu obywateli amerykańskich i wszyscy chcieliby się dowiedzieć, jakie kroki zamierza pan podjąć, aby tego typu wypadek się nie powtórzył?

— Mogę powiedzieć tylko tyle, że rozważamy różne możliwości. Chciałbym też dodać, że wezwaliśmy oba państwa chińskie do rozwagi i starannego przemyślenia swoich

poczynań. Śmierć niewinnych ludzi nie leży w interesie żadnego kraju. Ćwiczenia wojskowe rozgrywają się w tym regionie od jakiegoś czasu, a rodzące się napięcie jest szkodliwe dla politycznej stabilności.

— Czy zatem zwrócił się pan do obu państw, aby przerwały ćwiczenia?

— Chcemy, aby rozważyły taką możliwość.

— Panie prezydencie — odezwał się John Plumber. — To pański pierwszy międzynarodowy kryzys i dlatego. . .

Ryan spojrział na starego dziennikarza i na końcu języka miał uwagę, że pierwszy kryzys wewnętrzny był zasługą pytającego, ale zdążył się już nauczyć, że nie można sobie robić wrogów z dziennikarzy, ani też traktować ich po przyjacielsku.

— Panie Plumber, zanim będzie można zająć jakiekolwiek stanowisko, najpierw trzeba ustalić fakty. Robimy wszystko, co w naszej mocy. Dzisiaj rano zebrała się grupa moich doradców do spraw bezpieczeństwa. . .

— W której nie było sekretarza Adlera — wtrącił Plumber. Reporter taki jak on nie omieszkiał sprawdzić, czyje wozy zjawiły się na zachodnim parkingu Białego Domu. — Dlaczego?

— Zjawi się jeszcze dzisiaj — oznajmił szorstko Ryan.

Plumber nie dawał za wygraną.

— A gdzie znajduje się teraz?

Ryan pokręcił głową.

— Wolałbym trzymać się jednego tematu. Jest zbyt wczesna pora dnia, aby odpowiadać na wiele pytań, a poza tym, jak sam pan zaznaczył, mam sporo do roboty.

— Ale to przecież pański główny doradca w sprawach międzynarodowych. Dlaczego go nie ma w takiej chwili?

— Następne pytanie — powiedział chłodno Ryan. Barry z CNN czekał już z następnym szpikulcem.

— Panie prezydencie, użył pan zwrotu „oba państwa chińskie”. Czy oznacza to zmianę w naszej polityce wobec Chin kontynentalnych, a jeśli tak. . .

\* \* \*

W Pekinie była ósma wieczór i wszystko układało się znakomicie, co potwierdzała telewizja. To osobliwe, oglądać polityków, którym tak bardzo brakowało gracji i sub-

telności, w czym celowali Amerykanie. Żeng Han San zapalił papierosa i pogratulował sam sobie. Spore niebezpieczeństwo wiązało się z inscenizacją „ćwiczeń”, szczególnie z uwagi na rodzaj używanej teraz broni, ale potem, zgodnie zresztą z jego oczekiwaniami, tajwańscy piloci okazali się na tyle uprzejmi, że zaczęli strzelać pierwsi, i teraz kryzys znajdował się całkowicie pod jego kontrolą. W każdej chwili mógł go zakończyć, po prostu odwołując swoje siły do baz. Wymusił na Ameryce, by zareagowała nie tyle jakimś posunięciem, ile jego brakiem, a potem kto inny weźmie na siebie ciężar spowodowania nowego prezydenta. Nie miał pojęcia, co wymyślił Darjaei? Próbę zamachu? Coś innego? Jemu zaś pozostawało tylko siedzieć i przyglądać się, tak jak w tej chwili, a kiedy przyjdzie pora — zabrać się do żniw. A pora niewątpliwie przyjdzie. Ameryce nie mogło bez końca sprzyjać szczęście. Nie z tym młodym głupcem w Białym Domu.

\* \* \*

— Barry, jedno państwo nosi nazwę Chińska Republika Ludowa, drugie — Republika Chin. Przecież muszę jakoś je nazwać, gdy chcę wspomnieć o obydwóch, prawda? — spróbował Ryan.

Do cholery, czyżbym znowu się władował?

— Tak, panie prezydencie, ale...

— Ale najprawdopodobniej zginęło czternastu amerykańskich obywateli i nie jest to najlepsza okazja do sporów semantycznych.

— Co zamierzamy zrobić? — odezwał się kobiecy głos.

— Po pierwsze, chcemy ustalić, co naprawdę się zdarzyło. Wtedy zastanowimy się nad reakcjami.

— Dlaczego jeszcze tego nie wiemy?

— Ponieważ przy takiej ilości informacji z całego świata, która do nas napływa, jest to po prostu niemożliwe.

— Czy to z tego powodu rząd zwiększa budżet CIA?

— Zgodnie z tym, co powiedziałem wcześniej, nie mieszajmy do tego problemu służb wywiadowczych.

— Ale panie prezydencie, otrzymujemy potwierdzone wiadomości, że...

— Napływają potwierdzone wiadomości o tym, że UFO regularnie tutaj lądują — obruszył się Ryan. — Czy i na to mam także odpowiadać?

W pokoju zapanowała cisza. Nie każdego dnia można było zobaczyć, jak prezydent traci cierpliwość, a to dziennikarze uwielbiali.

— Panie i panowie, wybaczcie, że pewne pytania muszę pozostawić w tej chwili bez odpowiedzi. Niektóre sam sobie stawiam, ale na rzetelną odpowiedź trzeba poczekać. Skoro ja muszę czekać na informacje, także i wy musicie uzbroić się w cierpliwość.

Ryan usiłował skierować konferencję na bezpieczne tory.

— Panie prezydencie, mężczyzna bardzo podobny do byłego szefa radzieckiego KGB pojawił się w telewizyjnym programie na żywo... — Dziennikarz przerwał, gdyż zobaczył jak twarz Ryana czerwienieje pod makijażem. Czekał na następny wybuch, ale się przeliczył. Prezydent wziął tylko głęboki oddech, a palce dłoni zaciśnięte na pulpicie zbieleły.

— Proszę dalej, Sam.

— Mężczyzna ten oznajmił, że jest tym, kim jest. Kot wydostał się z worka, panie prezydencie, i dlatego sędzę, że moje pytanie jest zupełnie na miejscu.

— Jeszcze go nie usłyszałem, Sam.

— Czy jest tym, za kogo się podaje?

— Nie sądzę, abym był najlepszym adresatem tego pytania.

— Panie prezydencie, to zdarzenie. . . ta operacja ma wielkie międzynarodowe znaczenie. Chociaż operacje wywiadowcze otoczone są ścisłą tajemnicą, od pewnego punktu mogą mieć poważny wpływ na stosunki międzynarodowe. W takim momencie naród amerykański ma prawo wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi.

— Sam, powtórzę to jeszcze raz: nigdy, przenigdy nie będę czynił problemów wywiadu sprawą publiczną. Zjawiłem się tutaj wczesnym rankiem, aby poinformować naszych obywateli o tragicznym i, jak dotąd, nie wyjaśnionym wypadku, w którym zginęło ponad sto osób, w tym czternastu Amerykanów. Rząd dołoży wszystkich starań, aby jednoznacznie ustalić, co się stało, i do tego dostosuje swoje dalsze posunięcia.

— Tak, panie prezydencie, ale czy politykę opieramy na uznaniu jednego państwa chińskiego czy dwóch?

— Nasza polityka się nie zmieniła.

— Czy ten ostatni incydent może spowodować taką zmianę?

— Nie chciałbym spekulować w kwestii tak poważnej. A teraz, zechciejcie mi wybaczyć, ale muszę wracać do pracy.



— Dziękujemy, panie prezydencie — usłyszał Ryan, zmierzając ku drzwiom. Zaraz za rogiem znajdowała się starannie zamaskowana, niewielka zbrojownia. Jack uderzył w ścianę pięścią tak mocno, że słychać było, jak wewnątrz zagrzechotało kilka *Uzi*.

— Niech to cholera! — zaklął w trakcie pięćdziesięciometrowego marszu do gabinetu.

— Panie prezydencie!

Ryan gwałtownie się odwrócił i zobaczył Robby'ego, który niósł jego neseser. Lotnik w charakterze posłańca wydawał się całkowicie nie na miejscu.

— Muszę cię przeprosić — powiedział Jack, nie dopuszczając Robby'ego do słowa. — Poniosło mnie.

Admirał Jackson klepnął przyjaciela w ramię.

— Następnym razem zagrajmy w golfa, dolara od dziury, a jeśli chcesz się popiekląć, zrób to ze mną, a nie z nimi. Widziałem już wcześniej, jaki jesteś poirytowany. Wyhamuj. Dowódca może się wściec przed frontem oddziału, tylko jeśli chce wpłynąć na morale — my to nazywamy techniką dowodzenia — ale nie naprawdę. Co inne-

go, nakrzyczeć na sztabowców. Ja jestem twoim sztabowcem — dokończył Robby. —  
Krzycz na mnie.

— Tak, wiem. Upominaj mnie, żebym. . .

— Jack?

— Tak, Rob?

— Świetnie dajesz sobie radę, tylko musisz nad sobą panować.

— Robby, nie mogę pozwolić na to, by zabijano Amerykanów. Nie po to objąłem to stanowisko.

Dłonie Ryana znowu zacisnęły się w pięści.

— Świat pełen jest gówna, panie prezydencie. Łudzi się pan, jeśli sądzi, że uda się je całe usunąć. Nie muszę ci tego mówić. Nie jesteś Bogiem, Jack, natomiast jesteś dobrym facetem, który wykonuje bardzo dobrą robotę. Natychmiast cię powiadomimy, jak tylko będziemy mieli jakieś nowe informacje.

— Kiedy wszystko się uspokoi, co powiesz na lekcję golfa?

— Jestem na twoje rozkazy.

Obaj przyjaciele uścisnęli sobie dłonie. Żadnemu nie wystarczało to w tej chwili. Jackson ruszył do drzwi, a Ryan znowu poszedł do swego gabinetu.

— Panno Sumter! — zawołał po drodze.

Dymek może okazać się pomocny.

\* \* \*

— Co to może znaczyć, panie sekretarzu? — spytał Chavez. Trzy stronice dostarczone bezpieczną linią faksową przekazały im wszystko, o czym wiedział prezydent. Przeczytała je cała trójka.

— Nie wiem — przyznał Adler. — Chavez, ta twoja praca magisterska. . .

— Tak, panie sekretarzu?

— Trzeba było trochę poczekać z napisaniem jej. Teraz dopiero widzisz dokładnie, jak to wygląda na górze. Lubieś grać w dzieciństwie w dwa ognie? Jedyne różnica polega na tym, że tutaj nie rzuca się gumową piłką.

Sekretarz stanu schował notatki do nesesera i dał znak sierżantowi lotnictwa, który miał ich obsługiwać.

— Słucham, panie sekretarzu?

— Czy dostaliśmy może coś od Clauda?

— Kilka butelek z doliny Loary — odpowiedział z uśmiechem podoficer.

— Zechciej otworzyć jedną i podać wraz z kieliszkami.

— Karty? — spytał John Clark.

— Nie. Wypiję jedną albo dwie lampki, a potem trochę się zdrzemnę. Wygląda na to, że czeka mnie następna podróż.

— Pekin? — rzucił John.

— Z pewnością nie Filadelfia — odparł Scott. Pojawiła się butelka i kieliszki. Trzydzieści minut później trzech mężczyzn rozłożyli fotele, a sierżant opuścił zasłony na oknach.

Tym razem to Chavez nie mógł zasnąć, podczas gdy Clarka sen zmorzył szybko. Adler miał sporo racji. W swojej pracy Chavez bezlitośnie krytykował polityków z przelotu stulecia za to, że nie potrafili wyjrzeć poza bezpośrednie problemy. Teraz Ding widział całą kwestię nieco lepiej. Bardzo trudno odróżnić bezpośrednie problemy taktyczne od strategicznych, kiedy trzeba reagować na nieustannie pojawiające się problemy.

Książki historyczne nie były w stanie przekazać charakteru, nastroju czasów, o których opowiadały. Nie tylko to. W fałszywym świetle przedstawiały ludzi. Sekretarz Adler, który chrapał obok w skórzanym fotelu, był zawodowym dyplomata, darzonym zaufaniem i szacunkiem przez prezydenta, człowieka, którego on bardzo podziwiał. Adler nie był głupi, nie można go było kupić, ale był tylko człowiekiem, a ludzie popełniają błędy, wielcy ludzie... wielkie błędy. Być może kiedyś jakiś historyk opisze ich podróż, ale czy będzie wiedział, jak to naprawdę wyglądało, a nie wiedząc, jak będzie mógł ocenić, co się wydarzyło?

O co chodzi? — pytał sam siebie Ding. Iran wchodzi do gry, zdobywa Irak, tworzy nowe państwo, a kiedy Ameryka usiłuje się z tym uporać, wydarza się coś nowego. Zdarzenie być może niewielkie w zestawieniu z innymi, ale skąd to można było wiedzieć na pewno? Jak to oceniać? Problem był taki sam od stuleci: politycy popełniali błędy, ponieważ tkwili w samym sercu wydarzeń i w żaden sposób nie mogli spojrzeć z boku, aby wyrobić sobie bezstronną ocenę. Byli w centrum uwagi, opływali w dostatki, ale czyż ich zadanie było przez to prostsze? Ledwie skończył pisać pracę magisterską, został zatrudniony i oficjalnie uznany za eksperta od stosunków międzynarodowych. Ale

to było kłamstwo, myślał Ding, z powrotem składając fotel. Przypomniawszy sobie myśl, która go nawiedziła podczas innego długiego lotu. Stosunki międzynarodowe aż nazbyt często polegały na tym, że jeden kraj usiłował bezwzględnie wykorzystać inny. Domingo Chavez, który wkrótce miał otrzymać tytuł magistra stosunków międzynarodowych, uśmiechnął się na tę myśl, chociaż nie było w niej nic zabawnego. Nie wtedy, kiedy ginęli ludzie. Nie wtedy, kiedy on i Clark byli pszczołkami robotnicami krzątającymi się na pierwszej linii frontu. Coś wydarzyło się na Bliskim Wschodzie. Coś innego w Chinach... odległych o siedem tysięcy kilometrów. Czy te dwie sprawy mogły się wiązać? A jeśli tak, to w jaki sposób? Jak to rozstrzygnąć? Historycy zawsze zakładali, że trzeba tylko przebiegłości, aby dokonywać takich rozstrzygnięć. Ale oni nie musieli podejmować żadnych decyzji...

\* \* \*

— To nie był jego najlepszy występ — zauważył Plumber, popijając mrożoną herbatę.

— John, miał niecałe dwanaście godzin, aby zacząć działać w sprawie, która rozegrała się na drugim końcu kuli ziemskiej — powiedział Holtzman.

Była to typowa waszyngtońska restauracja, pseudofrancuska, z wyszukаныmi potrawami w karcie, która średnią jakością równoważyła wysokimi cenami, wszelako obaj dziennikarze wydatków tego typu nie pokrywali ze swoich kieszeni.

— Powinien jednak lepiej dawać sobie radę — upierał się Plumber.

— Chodzi ci o to, że nie potrafi przekonywająco kłamać?

— To jedna z umiejętności, których oczekuje się od prezydenta.

— A gdy my go na tym przyłapiemy, wtedy...

Holtzman nie musiał kończyć.

— Bob, czy ktoś kiedyś mówił, że to łatwa posada?

— Czasami zastanawiam się, czy na pewno powinniśmy ją jeszcze utrudniać.

— Jak myślisz, gdzie jest Adler? — zastanawiał się na głos reporter NBC.

— Zadałeś dobre pytanie dziś rano — pochwalił reporter z „Postu” i podniósł do góry lampkę. — Ktoś zajął się już tym dla mnie.

— Podobnie u nas. A wystarczyło, żeby Ryan powiedział, że przygotowuje się do spotkania z ambasadorem Chin.

— Wtedy by skłamał.

— Ale to byłoby dobre kłamstwo, Bob. Na tym polega gra. Rząd stara się wykonywać posunięcia w sekrecie, a mu usiłujemy się do nich dokopać. Tyle że Ryan za bardzo lubuje się w tajemnicach.

— Dobrze, ale gdy go naciskamy, to po czyjej stronie gramy?

— Daj spokój, John. Ed Kealty dał ci cynk. Nie muszę być specjalistą od biologii molekularnej, żeby to wiedzieć. Zresztą wiedzą wszyscy.

— Ale to wszystko prawda, tak?

— Tak — przyznał Holtzman. — Zresztą nie tylko to.

— Doprawdy? Racja, pracowałeś nad tym tematem.

Nie dodał, że przykro mu, iż uprzedził młodszego kolegę, głównie z tej przyczyny, że wcale nie było mu przykro.

— Dowiedziałem się więcej, niż mogę napisać.

— Naprawdę?



Plumber poczuł zaciekawienie. Holtzman należał do dziennikarzy młodszych od niego o pokolenie, o pokolenie jednak starszych od młodych wilków. W oczach ich wszystkich Plumber był matuzalemem, aczkolwiek uczęszczali na jego seminaria prowadzone na Uniwersytecie Columbia.

— Naprawdę — zapewnił Bob.

— Czego na przykład?

— Czegoś takiego, o czym nie będę mógł napisać, przynajmniej przez bardzo długi czas. John, od dawna już pracowałem nad częścią tej historii. Znam agenta CIA, który wyciągnął żonę i córkę Gierasimowa. Za kilka lat opowie mi, jak to się wszystko odbyło. Historia o okręcie podwodnym jest prawdziwa i . . .

— Wiem, że jest prawdziwa, bo sam widziałem zdjęcie Ryana na pokładzie. Nie potrafię pojąć, dlaczego nie pozwolił na mały przeciek w tej sprawie.

— Nie łamie reguł. Nikt mu nigdy nie wyjaśnił, że to jest całkiem w porządku.

— Więcej czasu musi spędzać z Arnie'em.

— W przeciwieństwie do Eda.

— Kealty dobrze zna tę grę.

— Tak, John, może nawet odrobinę za dobrze. Wiesz, jest jedna kwestia, której nigdy nie potrafię do końca rozstrzygnąć — powiedział Bob Holtzman.

— Jaka?

— Czy my w tej grze mamy być widzami, sędziami czy zawodnikami?

— Bob, naszym zadaniem jest dostarczać prawdy czytelnikom, czyli widzom, jeśli wolisz.

— John, jakiej prawdy? — spytał Bob.

\* \* \*

— Poczerwieniały z gniewu prezydent Jack Ryan... — Jack sięgnął po pilota, ale zanim wyłączył głos reportera, który zadał mu pytanie o Chiny, doleciały go jeszcze słowa: — Tak, gniewny i...

— Mieli rację — odezwał się van Damm. — Gdzie istotnie jest Adler?

Prezydent spojrział na zegarek.

— Za dziewięćdziesiąt minut ma wylądować na Andrews. W tej chwili znajduje się najprawdopodobniej nad Kanadą. Zjawi się tutaj, ale zaraz będzie musiał chyba lecieć do Chin. O co im, do diabła, chodzi?

— Dobrze pytanie — mruknął szef personelu. — Ale od tego masz właśnie zespół do spraw bezpieczeństwa.

— Wiem tyle samo co oni, a to znaczy: nic — prychnął Jack i poruszył się z irytacją w fotelu. — Musimy zwiększyć wydolność naszych osobowych źródeł informacji. To niedopuszczalne, żeby prezydent tkwił w Białym Domu, nic właściwie nie wiedząc. Nie mogę podejmować decyzji, jeśli nie dysponuję informacjami, a skazani jesteśmy tylko na domysły, jeśli nie liczyć tego, co powiedział nam Robby. To twarde konkrety, ale nie bardzo wiadomo, co z nimi zrobić, bo nie pasują do całej reszty.

— Musi się pan nauczyć czekać, panie prezydencie. Prasa tego nie musi, a pan tak. Musi się pan też nauczyć koncentrować uwagę na tym, co może pan zrobić, jeśli istotnie to możliwe. Otóż — ciągnął Arnie — w następnym tygodniu mamy pierwszą turę wyborów do Izby Reprezentantów. Przygotowaliśmy dla pana parę wyjazdów, na których

wyłosi pan przemówienia. Musi pan to zrobić, jeśli chce pan mieć odpowiednich ludzi w Kongresie. Poleciłem Callie, żeby przygotowała wystąpienia.

— Główne tematy?

— Pana ulubione: podatki, działalność administracji, wspólnota narodu. Jutro rano dostarczymy panu konspekty. Musi pan trochę czasu spędzać pośród ludzi. Niech oni pana kochają, a pan także odpłaci im większą miłością. — Szef personelu zaskarbił sobie krzywe spojrzenie. — Mówiłem panu wcześniej: nie może pan dać się złapać tutaj w sidła, a łączność w samolocie jest bez zarzutu.

— Zmiana otoczenia dobrze mi robi — przyznał Ryan.

— Wie pan, co teraz naprawdę byłoby dobre?

— Co?

Arnie uśmiechnął się przebiegle.

— Tragiczny wypadek daje panu okazję, żeby wystąpić jako prezydent, spotkać się z rodzinami ofiar, wyrazić swój żal, obiecać pomoc federalną. . .

— Do jasnej cholery!!!

Okrzyk był tak głośny, że dotarł do sekretarek poprzez dziesięciocentymetrowej grubości drzwi. Arnie westchnął.

— Jack, nie możesz być takim zawziętym ponurakiem. Zapakuj do jakiejś skrzyneczki te wszystkie swoje humory i zamknij ją na siedem spustów. Żartowałem, a ty nawet nie chcesz pamiętać, że jestem po twojej stronie.

Arnie poszedł do swego gabinetu, a prezydent znowu został sam.

Kolejna lekcja czterdziestej piątej prezydentury USA. Jack był ciekaw, kiedy to się skończy. Wcześniej czy później będzie przecież musiał zacząć działać, jak na prezydenta przystało, ale na razie tak jeszcze nie było. Starał się postępować najlepiej, jak potrafił, jednak to nie wystarczało. Na razie? Czy sytuacja kiedykolwiek się zmieni? Nie wszystko naraz, pomyślał. Takiej rady wszyscy ojcowie udzielali swoim synom, nigdy jednak nie ostrzegali, że możliwość przechodzenia od jednej sprawy do drugiej jest luksusem, na który nie wszyscy mogą sobie pozwolić. Czternastu Amerykanów zabitych na lotnisku odległym o tysiące kilometrów, najpewniej zabitych z rozmysłem, którego intencji nie potrafił odgadnąć, on zaś miał odłożyć ten problem na bok, aby zająć się innymi obowiązkami, takimi na przykład, jak spotkania z ludźmi, o których miał

się troszczyć i których miał bronić, podczas gdy on usiłował jakoś uporać się z myślą, że nie dopełnił tego w stosunku do czternastu z nich. Czego było potrzeba, aby pełnić urząd prezydencki? Machnąć ręką na poległych obywateli i zabrać się do innych spraw? Do tego jednak trzeba być socjopata, czyż nie? Otóż nie. Tak właśnie musieli postępować lekarze, żołnierze, policjanci. A teraz kolej przyszła na niego. Musiał panować nad sobą, nie poddawać się frustracjom, a przez całą resztę dnia skupić uwagę na czymś innym.

\* \* \*

Gwiazdor spoglądał w dół na ocean, który znajdował się, jak oceniał, jakieś dziesięć kilometrów niżej. Na północy góra lodowa lśniła na niebieskoszarej powierzchni w jasnych promieniach słońca. Czyż to nie zdumiewające? Latał tak często, a żadnej z nich jeszcze nigdy nie zauważył. Dla człowieka pochodzącego z jego stron, samo morze było dostatecznie dziwne, równie wrogie życiu jak pustynia, aczkolwiek z innych przyczyn. Zaskakujące, jak z wyjątkiem koloru podobne było do pustyni: powierzchnia pocięta niemal równoległymi liniami, niczym diuny. Jeśli chodzi o niego, to z wyjąt-

kiem wyglądu — na punkcie którego był dość czuły, lubił na przykład uśmiechy, jakimi obdarzały go stewardesy — nie było w nim niczego pociągającego. Świat nienawidził jego i ludzi jego pokroju, a nawet ci, którzy korzystali z jego usług, woleli trzymać go na wyciągnięcie ręki, niczym złego, ale czasami przydatnego psa. Skrzywił się, spoglądając w okno. W jego kulturze psy nie były szanowanymi zwierzętami. On zaś znowu znajdował się na pokładzie samolotu, sam, gdyż jego ludzie w trzyosobowych grupach udawali się do miejsca, gdzie nikt ich radośnie nie przywita, a za sobą zostawiali miejsce, gdzie też niewiele bardziej ich lubiano.

Agenci amerykańskich służb wywiadowczych będą usiłowali go zidentyfikować i wytropić, ale Izraelczycy robili to od lat, a on wciąż żył. Po co to robił? Pytanie takie przychodziło czasami do głowy Gwiazdorowi, ale było na nie trochę za późno. Jeśli zawali obecną misję, nie będzie miał już żadnego miejsca pod słońcem. Miał walczyć w imię Allacha, czyż nie? *Dżihad*, święta wojna. Religijna nazwa dla aktów terroru, których zadaniem była obrona Wiary, ale on już w to nie wierzył. Czuł jakiś niejasny niepokój, nie mając ojczyzny, domu i... wiary? Czy kiedykolwiek ją miał? Jeśli sam sobie miał szczerze odpowiedzieć na to pytanie, odpowiedź brzmiałaby: nie. On i ludzie mu

podobni — a przynajmniej ci, którzy przetrwali — stawali się automatami, sprawnymi robotami, komputerami współczesnej epoki. Maszynami, które wykonywały polecenia, a które wyrzucało się, gdy nie były już potrzebne. Nie miał jednak wyboru.

Być może ludzie, którzy zlecili mu obecne zadanie, zwyciężą, a wtedy czeka go jakaś nagroda. Nieustannie to sobie powtarzał, chociaż nic dookoła nie wspierało tej wiary; bo przecież skoro nie wierzył już w Boga, cóż jeszcze kazałoby mu być wiernym zawodowi, który nawet jego pracodawcy traktowali z obrzydzeniem?

Dzieci. Nigdy nie był żonaty, o ile wiedział, nie był też ojcem. Owszem, miał kobiety, ale były to wszetecznice, które dawne wychowanie religijne kazało mu traktować z pogardą; nawet gdyby z przelotnych związków z nimi narodziło się jakieś potomstwo, byłoby przeklęte. Przyczyni się więc do śmierci dziecka. Dorośli byli niewierzącymi, mieli określone przekonania polityczne, posiadali rzeczy, one jednak nie — nie ciążyła jeszcze na nich żadna wina, ich ciała były jeszcze nie ukształtowane, umysły nie nauczyły się jeszcze odróżniać dobro od zła.

Gwiazdor powtarzał sobie, że takie myśli nawiedzały go już wcześniej, że wątpliwości były rzeczą normalną u człowieka, który staje przed trudnym zadaniem, i że zawsze



udawało mu się odłożyć je na bok i robić swoje. Jeśli świat kiedyś się zmieni, może wtedy. . .

Ale zmiany, które się dokonywały, były sprzeczne z jego życzeniami; więc jeśli ktoś zabijał po nic, to czy powinien dalej zabijać, aby coś jednak uzyskać? Dokąd prowadziła ta droga? Gdyby istniał Bóg, Wiara i Prawo, wtedy. . .

W coś jednak musiał w końcu wierzyć. Spojrzał na zegarek. Jeszcze cztery godziny. Miał zadanie do wykonania. Musi wierzyć w jego powodzenie.

\* \* \*

Skorzystali z samochodu, a nie helikoptera. Helikopter był zbyt widoczny. Aby całą sprawę jeszcze bardziej utajnić, wozy podjechały od Wschodniego Skrzydła. Adler, Clark i Chavez weszli do Białego Domu tymi samymi drzwiami, przez które Jack wchodził pierwszego wieczoru, i, na szczęście, nie zostali zauważeni przez nikogo z prasy. W Gabinetce Ovalnym było dość tłoczno. Był Goodley, byli Foleyowie, oczywiście, wraz z Arnie'em.

— Jak z różnicą czasów, Scott? — spytał Jack, witając ich w drzwiach.

— Jeśli dziś wtorek, to jesteśmy w Waszyngtonie — odparł sekretarz stanu.

— Ale przecież dzisiaj nie wtorek — powiedział Goodley, który nie złapał dowcipu.

— Więc rzeczywiście czasy musiały mi się poplątać.

Adler zajął swoje miejsce i wydobył notatki. Żołnierz piechoty morskiej, pełniący tutaj funkcje stewarda, wszedł z kawą, waszyngtońskim źródłem energii. Cała trójka podróżników sięgnęła po filiżanki.

— Opowiedz nam o Darjaeim — rzekł Ryan.

— Dobrze wygląda, trochę zmęczony — posłusznie zaczął Adler. — Na biurku porządek. Mówił spokojnie, chociaż z tego, co wiem, nigdy przy oficjalnych okazjach nie podnosi głosu. Ciekawe, że przybył do Teheranu niemal równo z nami.

— Tak? — zainteresował się Ed Foley, odrywając wzrok od swoich notatek.

— Przyleciał *Gulfstreamem* — potwierdził Clark. — Ding zrobił kilka zdjęć.

— Więc jest trochę w rozjazdach? To zrozumiałe — zauważył prezydent. Ryanowi wydawało się, że potrafi wczuć się w problemy Darjaeiego. Nie bardzo różniły się od jego kłopotów, nawet jeśli metody irańskie w niczym nie były podobne do amerykańskich.

— Otoczenie boi się go — dorzucił Chavez. — Odniosłem wrażenie, że to jakiś film o nazistowskich Niemczech. Ludzie w jego kancelarii byli strasznie napięci. Gdyby ktoś nagle zawołał: „Bum!”, podskoczyliby do sufitu.

— To prawda — pokiwał głową Adler, bez irytacji przyjmując fakt, że Ding wpadł mu w słowo. — Zachowywał się w sposób bardzo staroświecki: spokojny, układny, te rzeczy. Najważniejsze jednak to, że nie powiedział niczego istotnego; może to źle, może dobrze. Mówi, że chce pozostawać w stałym kontakcie z nami. Powiedział także coś, co można zinterpretować jako malutki gest dobrej woli wobec Izraela. Przez większość spotkania pouczał mnie, jak pokojowo nastawione wobec świata są on i jego religia. Podkreślił znaczenie ropy naftowej i wynikające z tego powiązania handlowe wszystkich stron. Oznajmił, że nie ma żadnych pretensji terytorialnych. W sumie same banały.

— Jak się zachowuje? Gestykulacja, mimika? — spytał prezydent.

— Wydaje się bardzo pewny siebie i swojej pozycji. Chyba ją lubi.

— Trudno się dziwić — mruknął Ed Foley. Adler pokiwał głową.

— Zgoda. Gdybym miał go określić jednym słowem, powiedziałbym: „zadowolony”.

— Kiedy poznałem go kilka lat temu — odezwał się Jack — był agresywny, wrogi, wszędzie węszył nieprzyjaciół.

— Dzisiaj... — sekretarz stanu zatrzymał się na chwilę, zastanawiając się, jaki właściwie dzień ma na myśli, mówiąc „dzisiaj” — ... nic z tego nie pozostało. Jak powiedziałem, „zadowolony”, ale w drodze powrotnej pan Clark przywiózł coś ze sobą.

— Co takiego? — zainteresował się Goodley.

— Uruchomił wykrywacz metali — powiedział John, wydobywając naszyjnik i podając prezydentowi.

— Malutkie sprawunki, tak?

— Wszyscy chcieli, żebym się trochę rozejrzał — przypomniał zebranym Clark. — Czy jest jakieś lepsze miejsce do obserwacji niż targ?

I John opowiedział o transakcji ze złotnikiem, podczas gdy Ryan oglądał naszyjnik.

— Skoro sprzedaje takie rzeczy za siedemset dolarów, to może nam wszystkim przydałby się jego adres. Myślisz, że to miało jakieś znaczenie?

— Towarzyszył mi szef francuskiej placówki. Powiedział, że facet był dosyć typowy.

— Więc? — ponaglił van Damm.

— Może Darjaei wcale nie ma podstaw do takiego zadowolenia — powiedział Scott Adler.

— Tacy jak on często nie rozumieją prostych ludzi — zauważył szef personelu.

— To dlatego upadł szach — skrzywił się Ed Foley — a Darjaei był jednym z tych, którzy się do tego przyczynili. Nie sądzę, żeby zapomniał tę lekcję... A poza tym wiemy, jak obchodzi się z ludźmi, którzy nie trzymają się w szeregu. — Obrzucił wzrokiem swojego agenta. — Dobra robota, John.

— Lefevre, ten francuski szpieg, dwa razy powtarzał, że według niego na ulicy panuje niedobry nastrój. Może miał w tym jakiś swój cel, ale raczej nie.

— Wiemy, że są niezadowoleni, ale tych nigdy nie brakuje — odezwał się Ben Goodley.

— Nie wiemy jednak ilu — powiedział Adler. — W sumie sądzę, że mamy do czynienia z człowiekiem, który chce byśmy wierzyli, że nic więcej mu nie potrzeba. Ma na swoim koncie kilka dobrych miesięcy. Pokonał najgroźniejszego przeciwnika. Ma jakieś wewnętrzne problemy, których wielkość musimy ustalić. Kursuje między Irakiem

a Iranem, sami byliśmy tego świadkami. Wygląda na zmęczonego. Jego personel żyje w ciągłym napięciu. Tak rozwodził się nad swoim pragnieniem pokoju, że niemal to kupiłem. Myślę, że potrzeba mu trochę czasu, żeby okrzepnąć. Clark powiada, że ceny żywności są wysokie. To potencjalnie bardzo bogaty kraj i dla Darjaeiego najlepszym rozwiązaniem byłaby szybka zamiana sukcesu politycznego na gospodarczy. Nikt nie straci na tym, kiedy żywność pojawi się na stołach. W tej chwili bardziej interesują go sprawy wewnętrzne niż zewnętrzne. Dlatego też wydaje mi się, że otwierają się tutaj przed nami pewne możliwości.

— Wyciągamy rękę w geście przyjaźni? — spytał Arnie.

— Na razie powinniśmy utrzymywać kontakty nieformalne, bez żadnego rozgłosu. Mogę kogoś do tego wyznaczyć. I zobaczymy, jak wszystko się dalej rozwinie.

Prezydent skinął głową.

— W porządku, Scott. Ale teraz będziesz chyba musiał jak najszybciej zająć się Chinami.

— Kiedy wylatuje? — spytał sekretarz stanu ze zbolałym wyrazem twarzy.

— Tym razem zapewnimy ci trochę większy samolot — obiecał prezydent.

## 41 — Hieny

Gwiazdor poczuł, jak główne podwozie uderza o płytę międzynarodowego lotniska im. Dullesa. Wstrząs nie położył wprawdzie kresu wątpliwościom, oznajmił jednak, że najwyższy czas odłożyć je na bok. Żył w praktycznym świecie, w którym rutyna była rutyną.

— Tak szybko z powrotem? — spytał oficer paszportowy, spoglądając na ostatni stempel w paszporcie.

— *Ja, doch* — odpowiedział Gwiazdor, zgodnie ze swą obecną niemiecką tożsamością. — Chyba będę musiał tu sobie kupić jakieś mieszkanie.

— Ceny w Waszyngtonie są dość wysokie — zauważył urzędnik, wstawiając pieczętę. — Życzę miłego pobytu.

— Dziękuję.

Nie miał przy sobie niczego nielegalnego, z wyjątkiem myśli, a poza tym wiedział, że amerykańskie służby wywiadowcze nigdy właściwie nie wyrządziły żadnych istotnych szkód żadnej grupie terrorystycznej. Tyle że ta wyprawa była odmienna, nawet jeśli wiedział o tym tylko on, samotnie teraz kroczący w tłumie. Jak zawsze, nikt na niego nie czekał. Będą mieli spotkanie, na które on przybędzie jako ostatni. Był cenniejszy od każdego innego członka grupy. Wynajął samochód i pojechał w kierunku Waszyngtonu, sprawdzając drogę za sobą w lusterku, jadąc rozmyślnie w złym kierunku, by przy powrocie sprawdzić, czy nikt za nim nie podąża. Wszystko było w porządku. Jeśli ktoś go śledził, robił to w sposób tak kompetentny, że nie zostawiał mu żadnych szans. Wiedział, jak to urządzić: kilka samochodów, helikopter, może dwa, ale tyle czasu i zachodu na zorganizowanie wszystkiego, poświęcano tylko wtedy, gdy przeciwnik wiedział niemal wszystko, a to oznaczałoby głęboką penetrację grupy przez CIA. Byli do tego zdolni Izraelczycy, czego lękał się każdy w ruchu terrorystycznym, ale brutalny



proces darwinowski wyeliminował wszystkich ludzi zbyt beztroskich: izraelski Mossad nigdy nie miał skrupułów, jeśli chodzi o przelew islamskiej krwi, gdyby więc został wykryty przez Żydów, od dawna by już nie żył. Powtarzał to sobie, spoglądając we wsteczne lustro, gdyż tylko dzięki ostrożności jeszcze żył.

Z drugiej strony zabawne wydawało mu się to, że bez Izraelczyków obecna misja nie byłaby możliwa. W Ameryce istniały wprawdzie ugrupowania islamskie, ale ich działalność miała charakter zdecydowanie amatorski. Obnosiły się ze swoją religią, spotykały w dobrze znanych miejscach, prowadziły między sobą rozmowy. Łatwo je było dostrzec i zidentyfikować jako obce ryby w ich stawie. A potem dziwili się, kiedy ich chwymano. Głupcy, myślał Gwiazdor. Służyli jednak jakiemuś celowi. Przyciągali uwagę, a nawet FBI miała ograniczone możliwości. Najlepsza na świecie agencja kontrwywiadowcza, ale zatrudniała tylko ludzi.

W jakimś stopniu nauczył się tego od Izraelczyków. Zanim nastąpił upadek szacha, jego własna tajna policja, Savak, szkolona była przez izraelski Mossad, a nie wszyscy jej funkcjonariusze zostali straceni wraz z nastaniem w Iranie nowych rządów. To, czego się nauczyli, przekazywali ludziom takim jak Gwiazdor, a nie były to reguły trudne do

przyswojenia. Im trudniejsze zadanie, tym więcej potrzeba ostrożności. Jeśli nie chcesz, by cię wyśledzono, musisz się roztopić w otoczeniu. W kraju świeckim nie należy być przesadnie nabożnym. W kraju chrześcijańskim czy żydowskim, nie bądź muzułmaninem. W kraju, gdzie nie ufają ludziom z Bliskiego Wschodu, pochodź z jakiegoś innego miejsca, a najważniejsze — bądź na ile można prawdomówny. Tak, pochodzę stamtąd, ale jestem chrześcijaninem, Kurdem czy Ormianinem i straszliwie prześladowano moją rodzinę, więc wyrwałem się do Ameryki, kraju prawdziwej wolności. I wystarczyło trzymać się tych zasad, by możliwości same otwierały się przed tobą, gdyż w Ameryce rzeczywiście wszystko przychodziło łatwo. Obcokrajowców witano tutaj z otwartością, która przypominała Gwiazdorowi rygorystycznie przestrzegane prawo gościnności, obowiązujące w jego kulturze.

Znalazł się oto w obozie wroga, a wątpliwości natychmiast się rozwiały, gdyż w tej atmosferze podniecenia nie tylko przyśpieszył się rytm serca, ale także pojawił uśmiech na twarzy. Tak, był najlepszy w swoim fachu. Skoro nawet Izraelczycy, którzy wyszkolili go zaocznie, nigdy nie potrafili go podejść, to tym bardziej nie uda się to Amerykanom. Trzeba tylko być czujnym.

Członkowie każdej trzyosobowej grupy byli nieco podobni do niego, nie tak jak on doświadczeni, ale dobrze znający się na swojej robocie. Każdy potrafi wynająć samochód i bezpiecznie prowadzić. Każdy potrafi zachować zimną krew i dobre maniery. Każdy, zatrzymany przez policjanta, będzie wobec niego uprzedzająco grzeczny, spyta się, co przeszkrobał, a potem poprosi o pomoc, gdyż ludzie bardziej zapamiętują napaśtliwość niż przyjazne nastawienie. Jeśli było się czujnym, wszystko szło łatwo.

Pierwszym etapem podróży Gwiazdora był przeciętny hotel na obrzeżach Annapolis, gdzie zameldował się jako Dieter Kolb. Amerykanie to tacy głupcy. Nawet policja była przekonana, że każdy muzułmanin musi być Arabem, i zdawało się, że nikt nie pamiętał o tym, iż Iran był krajem aryjskim, miał więc ten etniczny charakter, do którego aspirował dla swego narodu Adolf Hitler. Rozlokował się w pokoju i sprawdził zegarek. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, spotkają się za dwie godziny. Aby się upewnić, zadzwonił do odpowiednich linii lotniczych i dowiedział się o przyloty. Wszystkie samoloty wylądowały zgodnie z rozkładem. Oczywiście, mogą być jeszcze kłopoty z cłem i ulicznymi korkami, ale plan wszystko to uwzględniał.

\* \* \*

Byli już w drodze do następnego postoju, który wypadał w Atlantic City w stanie New Jersey, gdzie mieściło się duże centrum targowe. Najnowsze modele fabryczne i te, które znajdowały się na razie jeszcze w fazie projektowej, przewożone były w normalnych naczepach samochodowych, zabezpieczone tylko przed uszkodzeniem lakieru, ale niektóre jechały w zakrytych naczepach, jakie stosują ekipy wyścigów samochodowych. Agent jednego z producentów przeglądał zanotowane wypowiedzi, które uzyskano od osób oglądających wozy. Mężczyzna przetarł oczy. Ból głowy jak cholera, katar. Miał nadzieję, że nic się nie przyplątało. Takie są skutki wystawiania przez cały dzień pod wentylatorem klimatyzacji.

\* \* \*

Oficjalny telegram nie był zaskoczeniem. Amerykański sekretarz stanu proponował oficjalne spotkanie w celu przedyskutowania spraw interesujących obie strony. Żeng wiedział, że rozmów nie da się uniknąć, a najlepiej będzie je przeprowadzić w przyjacielskiej atmosferze, zajmując postawę urażonej niewinności i delikatnie indagując, czy

amerykański prezydent tylko przejeździł się podczas konferencji prasowej, czy też istotnie chodziło o zmianę długofalowej polityki rządu Stanów Zjednoczonych. Sama ta uboczna kwestia mogłaby zająć Adlerowi kilka godzin. Amerykanin najprawdopodobniej zaoferuje się jako mediator pomiędzy Pekinem i Tajpej, który przenosić się będzie z jednej stolicy do drugiej w nadziei na załagodzenie konfliktu. Co może okazać się korzystne.

Na razie ćwiczenia dalej się odbywały, aczkolwiek przy nieco większym poszanowaniu neutralnej sfery, która oddzielała oba kraje. Sytuacja była napięta, ale już nie w punkcie wrzenia. Ambasador wyjaśnił w Waszyngtonie, że to nie samoloty ChRL pierwsze odpaliły pociski, gdyż w ogóle nie nosiły się z żadnymi nieprzyjacielskimi zamiarami wobec nikogo. Jedynym prawdziwym problemem była zbuntowana prowincja i gdyby Ameryka przystała na absolutnie jedyne rozwiązanie problemu — istnieją tylko jedno Chiny — można by go rozwiązać szybko i skutecznie.

Tymczasem Ameryka od dawna obstawała przy polityce niepojętej dla wszystkich zainteresowanych krajów: usiłowała pozostawać w przyjaźni z Pekinem i Tajpej, a chociaż traktowała Tajwan jak ubogie kuzyna, zarazem wzbraniała się przed wyciągnię-

ciem logicznej konkluzji. Zamiast tego, stwierdzała wprawdzie, że tak, istnieją tylko jedno Chiny, nie mają one jednak prawa dyktować swoich reguł „drugim” Chinom, które zgodnie z oficjalną doktryną Stanów Zjednoczonych — po prostu nie istniały. Oto amerykańska konsekwencja. Jakże przyjemnie będzie to wytknąć sekretarzowi Adlerowi.

\* \* \*

— „Chińska Republika Ludowa z prawdziwą radością ugości sekretarza Adlera w interesie pokoju i stabilności politycznej w tej części świata”. Czyż to nie miło z ich strony? — powiedział Ryan.

Była dziewiąta wieczorem, on ciągle znajdował się w gabinecie i przez chwilę pomyślał, co dzieci oglądają w telewizji pod jego nieobecność. Wręczył dokument Adlerowi.

— Jest pan pewien, że zrobili to umyślnie? — sekretarz stanu zwrócił się do admirała Jacksona.

— Jeśli będę musiał obejrzeć to jeszcze raz, taśma może tego nie wytrzymać.

— Ludzie popełniają błędy.

— Nie w tym przypadku — powiedział Robby, obawiając się, że może jednak będzie musiał znowu zaprezentować nagranie wideo. — Poza tym ChRL prowadzi te ćwiczenia już bardzo długo.

— Naprawdę? — spytał Ryan.

— Tak długo, że powinni mieć kłopoty ze sprzętem. Mają o wiele gorszy od nas system remontowy, a na dodatek zużywają mnóstwo paliwa. Nigdy dotąd ich flota nie przebywała tak długo na morzu. Dlaczego tak to przeciągają? Przypuszczam, że ta kano-nada ma dostarczyć pretekstu, aby ogłosić zwycięstwo i z dumnie podniesionym czołem powrócić do portu.

— Niewykluczone, że w grę wchodzi narodowa duma, potrzeba zachowania twarzy — pokiwał głową Adler.

— W każdym razie nieco ograniczyli swoje operacje; nie naruszają linii demar-kacyjnej. Tajwańczycy są teraz w stanie podwyższonej gotowości. Może o to właśnie chodzi? — zasugerował J-3. — Nie atakuje się rozwścieczonego przeciwnika; trzeba mu dać trochę się odprężyć.

— Rob, przecież mówiłeś, że prawdziwy atak nie jest możliwy.

— Jack, skoro nie wiem, jakie mają intencje, muszę rozważać wszystkie możliwości. Mogą zorganizować jakiś poważny incydent w cieśninie i pewnie wyjdą z tego zwycięsko. Być może wywrą na Tajwan silny nacisk polityczny, aby wymusić jakieś ustępstwa. Zabili ludzi — Jackson przypomniał pozostałej dwójce — a chociaż dla nich wartość życia jest inna niż dla nas, kiedy się zabija, przekracza się pewną niewidzialną linię, a oni dobrze wiedzą, jak my na to patrzymy.

— Trzeba przesunąć lotniskowiec — powiedział Adler.

— Dlaczego, Scott?

— To będzie silna karta, którą da się wykorzystać. Będzie świadczyć o tym, że traktujemy całą sprawę poważnie. Jak powiedział admirał Jackson, dla nas śmierć jest czymś bardzo poważnym, oni zaś muszą pogodzić się z faktem, że nie możemy i nie chcemy dopuścić do podobnych sytuacji.

— A jeśli nie ustąpią i dojdzie do kolejnego incydentu, jak wtedy zareagujemy?

— Panie prezydencie, problemy operacyjne to moja działka. Możemy ulokować „Ike’a” po wschodniej stronie wyspy. Nie będą mogli przelecieć koło niego przypad-



kowo. Aby to zrobić, będą musieli przedrzeć się przez trzy pasy obronne: po pierwsze, siły nad cieśniną, potem obrona samego Tajwanu, wreszcie ściana, którą ustawi dowódca grupy lotniskowcowej. Mogę także umieścić *Aegis* na dolnym skraju cieśniny, aby radar pokrył cały jej obszar. To znaczy, jeśli rozkaże pan płynąć tam „Ike’owi”. Tajwan uzyska w ten sposób cztery dywizjony myśliwców i pełną powietrzną obserwację radarową. Powinni się poczuć trochę bezpieczniej.

— Co mnie z kolei zapewni lepszą pozycję przetargową w mediacjach między obu stronami — dorzucił Adler.

— Tyle że bez ochrony pozostawiamy Ocean Indyjski, co od dawna się nie wydarzyło.

Trudno było nie zauważyć, jak uporczywie Robby powraca do tej kwestii.

— Nic tam więcej nie mamy? — spytał Jack, myśląc jednocześnie, że sam powinien był wcześniej to ustalić.

— Krążownik „Anzio”, dwa niszczyciele, plus dwie fregaty, które ubezpieczają wymianę oddziałów na Diego Garcia. Nigdy nie pozostawiamy Diego bez ochrony okrętów wojennych, skoro są tam okręty transportowe ze sprzętem. Mamy tam także okręt

podwodny klasy 688. Wystarczy dla celów operacyjnych, ale nie dla demonstracji siły. Panie Adler, pan dobrze wie, co znaczy lotniskowiec.

Sekretarz stanu pokiwał głową.

— Robi silne wrażenie. To dlatego myślę, że powinien pokazać się w rejonie Chin.

— Tak, Rob, to będzie dobre posunięcie. Gdzie teraz jest „Ike”?

— Pomiędzy Australią a Sumatrą, powinien zbliżyć się do Cieśniny Sundajskiej. Manewry PUCHAR POŁUDNIA mają symulować natarcie Indii na północno-zachodnie wybrzeże Australii. Jeśli rozkaz zostanie wydany w tej chwili, „Ike” znajdzie się w okolicach Tajwanu za cztery dni.

— Niech tam płynie, Rob, najszybciej jak może.

— *Aye, aye, sir* — odrzekł Jackson, ale widać było, że ciągle trapią go wątpliwości. Pytającym gestem wskazał telefon, a gdy prezydent skinął głową, połączył się z Centrum Dowodzenia Sił Zbrojnych USA.

— Tutaj admirał Jackson z polecenia naczelnego dowódcy. Wykonać NIEBIESKI MORS. Proszę powtórzyć, pułkowniku. — Robby słuchał w milczeniu, a potem skinął głową. — Dziękuję. — Odłożył słuchawkę i zwrócił się do prezydenta: — Za mniej

więcej dziesięć minut „Ike” wykona zwrot na północ i pełną parą popłynie w kierunku Tajwanu.

— I wszystko dzięki jednemu telefonowi?

Adler był wyraźnie pod wrażeniem szybkości manewru.

— Cuda współczesnej łączności, a poza tym kazaliśmy admirałowi Dubro być w pogotowiu. Nie ma mowy o żadnej tajemnicy. Grupa ma po drodze kilka cieśnin, w których będzie dobrze widoczna.

— Nie zaszkodzi komunikat prasowy — powiedział Adler. -Robiliśmy tak poprzednio.

— Masz teraz kartę, którą możesz wykorzystać w Pekinie i Tajpej.

Ryan po raz kolejny wystąpił w roli naczelnego dowódcy, widział jednak zaniepokojenie Robby’ego. Kluczową sprawą było paliwo. Zmienić kurs będzie także musiała grupa zaopatrzenia, aby uzupełniać zbiorniki okrętów towarzyszących „Eisenhowerowi”, które nie miały napędu nuklearnego.

— Czy dasz Żengowi do zrozumienia, że wiemy, kto zestrzelił *Airbusa*?

Adler pokręcił głową.

— Nie, zdecydowanie nie. Dla nas jest bardziej korzystne, żeby sądzą, iż nie wiemy tego.

— O?

Prezydent wydawał się zaskoczony.

— Dzięki temu będę mógł wybrać moment naszego „odkrycia”, a to daje mi następną mocną kartę do zagrania. — Sekretarz stanu odwrócił się. — Admirale, niech pan nie przecenia przeciwnika. Dyplomaci mojego pokroju nie mają takiego zmysłu do szczegółów technicznych jak pan, a w innych krajach jest podobnie. Bardzo wiele naszych możliwości stanowi dla nich tajemnicę.

— Od tego mają szpiegów — sprzeciwił się Jackson.

— A czy zawsze ich słuchają? Czy my zawsze słuchamy? J-3 postanowił sobie dobrze zapamiętać tę nauczkę.

\* \* \*

Ogromne centrum handlowe, ów typowo amerykański wynalazek, było wymarzoną wręcz miejscem na tajne operacje, z licznymi wejściami, tłumem klientów i abso-

lutną niemal anonimowością. Pierwsze spotkanie nie zasługiwało właściwie na to określenie. Ograniczyło się do porozumiewawczych spojrzeń i to z odległości nie mniejszej niż dziesięć metrów, gdyż taki dystans zachowywały mijające się grupy. Niemniej każda z nich liczyła pozostałych i sprawdzała, czy nikt ich nie śledzi. Potem wszyscy powrócili do swoich hoteli. Prawdziwe spotkanie miało się odbyć nazajutrz.

Gwiazdor był zadowolony. Podniecała go sama zuchwałość przedsięwzięcia. To nie było tak proste zadanie, jak dostarczenie do Izraela idioty w kamizelce nafaszerowanej trotylem — „bohaterskiego męczennika”, poprawił się — a piękno całego układu polegało na tym, że gdyby jedna z jego grup została wysledzona, nieprzyjaciel w żaden sposób nie mógłby ich ze sobą połączyć. Można zmusić wroga, żeby wyłożył karty, a jeśli już, to lepiej, żeby się to stało w momencie, gdy jedynym przestępstwem, jakie dotąd popełnili, było nielegalne przekroczenie granicy.

Do diabła z wątpliwościami, ofuknął siebie dowódca. Piękne było samo to, że gotowali się do akcji w jaskini lwa, i to dlatego trwał przy terroryzmie. W jaskini lwa? Uśmiechnął się do mijanych samochodów. Chodziło raczej o lwiatka.

\* \* \*

— Więc co robimy? — spytała w ciemności Cathy.

— Scott leci jutro do Chin — odpowiedział żonie Jack. Podobno prezydent Stanów Zjednoczonych jest najpotężniejszym człowiekiem na świecie, ale na koniec każdego dnia sprawowania tej potęgi Jack był naprawdę wyczerpany. Tak męcząca nie była nawet praca w Langley z codziennymi jazdami w obie strony.

— I co im powie?

— Spróbuje ich nakłonić do opamiętania, rozładować sytuację.

— Jesteś pewien, że zrobili to celowo?

— Tak. Robby jest tego tak pewny, jak ty swojej diagnozy — odpowiedział mąż, wpatrując się w sufit.

— A my z nimi będziemy negocjować — powiedziała z wyrzutem pani profesor.

— Musimy.

— Ale...

— Kochanie... Posłuchaj, nic na to, do diabła, nie poradzę, że kiedy mordercą jest państwo, najczęściej uchodzi mu to bezkarnie. A ja muszę brać pod uwagę szerokie konteksty, długofalowe zamierzenia i tego typu sprawy.

— To wstrętne — powiedziała Cathy.

— Z pewnością, ale to gra, która rządzi się własnymi regułami. Jeśli spartolisz, oznacza to ludzkie cierpienie. Z państwem nie można rozmawiać tak jak z prostym kryminalistą. Żyją tam tysiące Amerykanów, biznesmenów i innych. Jeśli wychylę się za bardzo, może się im stać jakaś krzywda, co będzie wymagać ode mnie bardziej stanowczej reakcji i wszystko tylko się pogorszy.

— Co może być gorsze od morderstwa? — spytała Cathy. Jack nie potrafił na to odpowiedzieć. Musiał już pogodzić się z faktem, że nie potrafi na wszystko odpowiedzieć dziennikarzom, czekającym na jego wyjaśnienia ludziom, a nawet swoim najbliższym współpracownikom. Teraz nie wiedział, co odpowiedzieć na proste i logiczne pytanie żony. Najpotężniejszy człowiek na świecie? Też coś. Tą myślą zakończył się kolejny dzień na Pennsylvania Avenue 1600.

\* \* \*

Nawet największe narody bywają niefrasobliwe, czemu dodatkowo sprzyja pomysłowość narodów bardziej przezornych. Narodowe Biuro Rozpoznania skupiło się przede wszystkim na dwóch miejscach. Każdy przelot satelity zwiadowczego nad Bliskim Wschodem, a teraz także nad Tajwanem dostarczał tysiące zdjęć, które jedno po drugim musieli zinterpretować specjaliści, ulokowani w nowym budynku nieopodal lotniska Dullesa. Jeszcze jedno z tych zadań, których nie można przekazać komputerom. Stan gotowości bojowej armii ZRI zajmował pierwsze miejsce na liście zainteresowań rządu amerykańskiego, który decydował o kształcie przygotowywanego dla Białego Domu Specjalnej Oceny Wywiadu. Znaczyło to, że cały zespół zajmował się tym właśnie zadaniem, a do innych tematów trzeba było dodatkowo wynajmować specjalistów. Ci przypatrywali się przede wszystkim zdjęciom nadchodzącym z Chin. Jeśli ChRL szykowała się do prawdziwego militarnego uderzenia, powinny być tego liczne oznaki. Oddziały Armii Ludowowyzwoleńczej powinny być na manewrach, przeprowadzać konserwacje maszyn i ładować czołgi na lory. Pod skrzydłami samolotów powinno po-



jawić się uzbrojenie. Wszystko to powinny ujawnić zdjęcia satelitarne. Jeszcze więcej uwagi poświęcono zlokalizowaniu okrętów na morzu, co było trudniejsze z racji ich ruchliwości. Amerykanie mieli na orbitach trzy satelity, dwa razy dziennie przelatujące nad budzącymi zainteresowanie terenami, i tak wobec siebie usytuowane, aby jak najkrótszy był „czas pusty”. Specjaliści byli z tego bardzo zadowoleni. Napływał do nich nieprzerwany strumień danych, z którymi można było konfrontować wcześniejsze przypuszczenia, aby możliwie jak najlepiej wykonywać obowiązki wobec prezydenta i narodu.

Niepodobna jednak widzieć wszystko i wszędzie, dlatego też uwadze analityków umknął Bombaj, zachodnia baza indyjskiej marynarki. Orbity amerykańskich satelitów *KH-11* były ściśle wytyczone, podobnie jak harmonogram ich przelotów. Po tym, jak najnowszy z całej trójki przemknął nad tym regionem, podczas gdy drugi pod względem wieku znajdował się po przeciwnej stronie globu, następowała czterogodzinna przerwa, po której pojawiał się najstarszy i najmniej niezawodny z całej trójki. Tak się złożyło, że okres ten pokrywał się z czasem przyływu.

Dwa świeżo wyremontowane lotniskowce, podniosły kotwice i w otoczeniu eskorty wypłynęły w morze. Gdyby ktoś je zauważył i zaczął się dopytywać, miały przeprowadzić manewry na Morzu Arabskim.

\* \* \*

Cholera. Przedstawiciel Cobry zbudził się z bólem głowy. Potrzebował paru sekund, aby zrozumieć, gdzie się znajduje. Inny motel, inne miasto, inne rozmieszczenie świateł w pokoju. Po omacku odszukał wyłącznik, potem nałożył okulary i, mrużąc oczy, rozejrzał się za torbą. Tak. Podręczna apteczka. Wziął ją z łazienki, gdzie ściągnął ze szklaneczki papierowe przykrycie i do połowy napełnił ją wodą. Potem przez chwilę mocował się z zabezpieczoną przed dziećmi zakrętką aspiryny, wysypał na dłoń tabletki i połknął je, popijając wodą. Niepotrzebne były wszystkie te piwa po obiedzie, wyrzucał sobie, ale zagrał naprawdę przyjemną partyjkę z klubowymi zawodowcami, a piwo zawsze dobrze płynęło przy golfie. Rano poczuje się lepiej. Kiedyś był kierowcą wyścigowym, ale nie był na tyle dobry, aby przerodziło się to w coś wielkiego, teraz natomiast był bardzo sprawnym agentem handlowym. Czym się przejmować, u diabła,

myślał, wracając do łóżka. Ciągłe udawało mu się zaliczyć mniejszą od normy liczbę uderzeń, tempo życia było mniej wariackie, on zaś zarabiał całkiem dobrze, a na dodatek praktycznie co tydzień mógł rozegrać partyjkę w ramach promocji najnowszego sprzętu golfowego. Miał nadzieję, że aspiryna poskutkuje. O ósmej trzydzieści piłeczka golfowa pojawia się na podstawce.

\* \* \*

Dla usprawnienia obiegu informacji Sztorm i Palma połączone zostały kablem światłowodowym. Na terenach dawnego Iraku odbywały się kolejne manewry. W pole wyjechały trzy ciężkie korpusy połączonych sił irackich i irańskich. Stacje radiolokacyjne umiejscowiły je daleko od granic z Arabią Saudyjską i Kuwejtem, z ich działaniami nie wiązało się więc żadne niebezpieczeństwo, niemniej oddziały zwiadu elektronicznego starannie nasłuchiwały, aby zorientować się w poziomie sprawności dowódców, którzy operowali czołgami i transporterami osobowymi po rozległych, suchych równinach na południowy wschód od Bagdadu.

— Dobra wiadomość, majorze — oznajmił porucznik, wręczając przełożonemu telex.

O trzysta kilometrów na północny zachód, w miejscu położonym o dziesięć kilometrów na południe od Grzbietu, sztucznej wydmy, która wytyczała granicę pomiędzy szejkanatem Kuwejtu a ZRI, zatrzymała się dwuipółtonowa ciężarówka. Załoga wyskoczyła z pojazdu, podłączyła kable do rampy startowej i odpaliła *Predatora*. Ów mały bezzałogowy pojazd latający był niebiesko-szarym odrzutowcem szpiegowskim. Dwaście minut zabrało dołączenie skrzydeł, sprawdzenie elektroniki i silników, a potem nastąpił start, zaś denerwujące brzęczenie szybko cichło, w miarę jak *Predator* wspinał się na pułap operacyjny i frunął na północ.

*Predator*, efekt trzydziestoletnich prac, był trudny do wykrycia z racji niewielkich rozmiarów, pokrycia substancjami, które pochłaniają promieniowanie radarowe, a także niewielkiej szybkości, która sprawiała, że komputery kontroli obszaru uznawały go za ptaka i nie ukazywały na ekranie. Kadłub pociągnięty został tą samą absorbującą fale podczerwone farbą, z której korzystała Marynarka. W efekcie *Predator* był brzydki i wszystko bardzo łatwo na nim osiadało — technicy musieli nieustannie pędzłami usu-

wać kurz ze swego ukochanego dziecka — ale dzięki temu znakomicie zlewał się z tłem nieba. Wyposażony jedynie w kamerę telewizyjną, wzbił się na wysokość trzech tysięcy metrów i, sterowany przez inny zespół zwiadu, poleciał na północ, aby umożliwić lepszą obserwację manewrów ZRI. Pogwałcił wprawdzie suwerenność nowego państwa, ale umieszczone w jego wnętrzu dwa kilogramy materiałów wybuchowych gwarantowały, że gdyby wylądował w niepożądanym miejscu, nikt nie potrafiłby rozpoznać, czego to są szczątki. Obraz z kamery przekazywała do odbiorników w Kuwejcie antena kierunkowa.

Światłowodami ten sam sygnał płynął do Palmy i kiedy dziewczyna służąca w Siłach Powietrznych USA w stopniu kaprała włączyła wielki monitor, oczom wszystkich ukazał się jednostajny krajobraz, ponad którym operator prowadził *Predatora*.

— Zobaczymy, jak dobrze potrafią sobie radzić — porucznik zwrócił się do majora Sabaha.

— Ja wolałbym zobaczyć, jak sobie nie radzą — odpowiedział posępnie oficer kuwejcki. Troska przepełniała także wszystkich innych członków jego licznej rodziny. Podobnie jak Saudyjczycy, także i Kuwejczycy z wielką ochotą używali najlepsze-

go uzbrojenia, na jakie pozwolić sobie mógł ich mały, lecz bogaty kraj, wszelako byli zdania, że, na przykład, konserwacja czołgów jest czynnością im uwłaczającą. W przeciwieństwie do swych saudyjskich kuzynów poznali na własnej skórze, co to znaczy paść ofiarą podboju. Wielu z nich straciło krewnych w działaniach wojennych, a długa pamięć jest cechą charakterystyczną mieszkańców tej części świata. To z tej przyczyny szkolili się z wielkim zapałem. Major Sabah zdawał sobie sprawę z tego, że nie osiągnęli jeszcze poziomu Amerykanów, którzy ich uczyli, ani Izraelczyków, którzy nimi gardzili. Jego rodacy przede wszystkim kochali strzelać. Z samej radości ćwiczenia tej umiejętności przepalali co najmniej jedną lufę w każdym czołgu, a strzelali ostrymi pociskami, gdyż te miały większy zasięg i bardziej prosty tor niż ćwiczebne, w ten sposób osobistą satysfakcję łącząc z nabywaniem umiejętności ważnej dla przetrwania kraju. Teraz, kiedy nauczyli się trafiać, przyszła pora na manewrowanie i walkę w ruchu. Nie byli w tym na razie dobrzy, ale się uczyli. Pogłębiający się kryzys uczynił problem wyszkolenia jeszcze bardziej palącym, więc ostatnio wszyscy Kuwejtczycy częściej niż w bankach, rafineriach czy firmach handlowych przesiadywali w pojazdach bojowych. Zespół doradców amerykańskich aranżował sytuacje bojowe i obserwował, jak sobie

z nimi poradzą. Major ubolewał wprawdzie nad tym, że wielu jego rodakom, nader często krewnym, brakowało jeszcze biegłości, był jednak dumny, że podjęli tak wielki wysiłek. I nawet nie zauważał, jak bardzo podobni są w tym do mieszkańców Izraela: cywile uczą się walczyć, boleśnie doświadczwszy, jak kosztowny jest brak tej umiejętności.

\* \* \*

— Miecznik się obudził — usłyszała Andrea Price w słuchawce. Znajdowali się w kuchni, ona, dowódca Oddziału oraz jej zastępcy. Stali przy jednym z metalowych niklowanych blatów i popijali kawę. — Roy? — powiedziała pytającym tonem.

— Rutynowe zajęcia — odpowiedział agent Altman. — Na rano ma przewidziane trzy badania, po południu wykład dla lekarzy z uniwersytetu w Barcelonie, ośmiu mężczyzn, dwie kobiety. Konsultowaliśmy się z hiszpańską policją — wszyscy czyści. Żadnych specjalnych zagrożeń dla Chirurga. Dzień jak co dzień.

— Mike?

Andrea zwróciła się do Michaela Brennana, który opiekował się Małym Jackiem.

— Piłkarz ma dziś kartkówkę z biologii na pierwszej lekcji, a po szkole trening baseballa. Nieźle daje sobie radę z łapaniem, trochę musi popracować nad kijem. Wszystko jak zwykle.

— Wendy?

Agentka Gwendolyn Merritt była odpowiedzialna za Sally Ryan.

— Cień ma dzisiaj klasówkę z chemii na trzeciej lekcji. Coraz bardziej interesuje się Kennym. To miły chłopak, chociaż przydałby mu się fryzjer i nowy krawat. Cień chce zapisać się do drużyny lacrosse.

Informację tę przyjęto z grymasem na twarzach. Jak chronić kogoś, kto biega w gąszczu uniesionych kijów?

— Przypomnij, z jakiej rodziny jest ten Kenny?

Nawet Price nie była w stanie pamiętać wszystkiego.

— Ojciec i matka to prawnicy. Głównie sprawy podatkowe.

— Cień powinna staranniej wybierać — powiedział Brennan, a wszyscy spojrzeli na niego, czekając na dowcip. — To potencjalne zagrożenie.

— Dlaczego?



— Jeśli prezydentowi uda się przepchnąć tę nową ustawę podatkową, znajdą się na lodzie.

Andrea Price postawiła znaczek przy następnej pozycji na liście.

— Don?

— To samo. Andrea, zdecydowanie potrzebuję więcej ludzi: jednego do środka, dwóch na zewnątrz po południowej stronie — oznajmił Don Russell. — Jesteśmy zbyt odsłonięci, za wąskie pole ostrzału. Właściwie tylko zewnętrzne ogrodzenie i więcej nic.

— Chirurg nie chce, żeby było nas tam wszędzie widać. Jesteś ty i dwóch agentów w środku, trzech ubezpiecza z przeciwnej strony drogi — przypomniała Price.

— Potrzebuję jeszcze trójki, jesteśmy zbyt odsłonięci — upierał się Don głosem pełnym profesjonalnej stanowczości. — W sprawach ochrony nie mogą się z nami spierać.

— Może zjawiłabym się jutro po południu i wszystko obejrzała? — zaproponowała Price. — Jeśli uznam, że masz rację, pójdę do Szefa.

— Dobrze.

Russell pokiwał głową.

— Jakież dalsze problemy z panią Walker?

— Sheila wraz z paroma innymi rodzicami z Giant Steps próbowała zebrać podpisy, żeby zabrać stąd Foremkę i tak dalej. Ponad połowa rodziców zna Ryanów i lubi ich. Nic z tego więc nie wyszło. Wiecie, na czym polega prawdziwy problem?

— No, Don?

Uśmiechnął się.

— W tym wieku, wiecie. . . Czasami obejrzę się, dzieciaki biegają, a kiedy się odwrócę, nie potrafię rozpoznać Foremki. Są tylko dwie fryzury dla dziewczynek, a połowa matek jest przekonana, że tylko Oshkosh szyje odpowiednie ubranka.

— Don, tak już jest z kobietami — powiedziała Wendy Merritt.

— Skoro nosi to Pierwsza Smarkuła, musi być modne.

— Podobnie jest z fryzurami — dodała Andrea. — Ale, ale, zapomniałam ci przekazać, że Pat O'Day chciałby stoczyć z tobą mały pojedynek — oznajmiła najstarszemu członkowi Oddziału.

— Ten z FBI? — Oczy Russella pojaśniały. — Kiedy i gdzie? Powiedz mu, Andrea, żeby nie zapomniał forsy.

Pomyślał, że i jemu należy się odrobina rozrywki. Od siedmiu lat nie przegrał żadnej rywalizacji w strzelaniu z broni krótkiej.

— To wszystko?

Andrea rozejrzała się po swoich pomocnikach.

— Jak Szef daje sobie radę? — spytał Altman.

— Jest strasznie zajęty. Zaczyna za mało sypiać.

— Chcecie, żebym porozmawiał z Chirurgiem? Ona ma na niego dobry wpływ — zaoferował się Roy.

— Hmmm. . .

— Wiem, jak to zrobić. „Pani profesor, czy z Szefem wszystko w porządku? Dzisiaj rano wyglądał na trochę zmęczonego”.

Czwórka agentów wymieniła spojrzenia. Opieka nad samym prezydentem była najbardziej delikatnym obowiązkiem. Skoro jednak słuchał on żony tak, jakby był normal-

nym mężem, więc dlaczego nie uczynić z niej sojuszniczki? Wszyscy pokiwali głowami.

— Dobrze, spróbuj — poleciła Price.

\* \* \*

— A niech to szlag — warknął pułkownik Al Hamm w wozie sztabowym.

— Zaskoczyli cię trochę, prawda? — niewinnie spytał generał Diggs.

— Mieli wtyczkę? — indagował dowódca Czarnego Konia.

— Nie, mnie też zaskoczyli, Al. Nikomu się nie zdradzili, że wyszkolili się w obsłudze *SIM*. To znaczy, dowiedziałem się dopiero wczoraj wieczorem.

— Miły z pana facet, sir.

— Zaskoczenie to broń obosieczna, pułkowniku — przypomniał Diggs.

— Ale skąd mieli na to fundusze?

— Widocznie ich senatorzy są potężni niczym bogowie.

Oddziały przyjeżdżające do Fort Irwin z oczywistych względów nie zabierały ze sobą sprzętu: zbyt kosztowne byłoby transportowanie go tam i z powrotem. Korzystały

zatem z pojazdów należących do bazy, zawsze najnowocześniejszych i najlepiej wyposażonych. Wszystkie korzystały, na przykład, z Systemu Informacji Międzypojazdowej *SIM*, dzięki któremu informacje bojowe pojawiały się jednocześnie na monitorach komputerów w czołgach i *Bradleyach*. System ten 11. pułk kawalerii zamontował w swoich własnych pojazdach (prawdziwych, a nie tych, które udawały przeciwnika) dopiero przed sześcioma miesiącami. Stosunkowo prosty sposób przekazywania danych — który na przykład automatycznie zamawiał części zamienne w razie jakiegś awarii — zapewniał załogom znakomitą orientację na polu bitwy, a z trudem uzyskiwane informacje w ułamku sekundy czynił powszechną własnością. Informacje o zmieniającej się sytuacji nie były już zarezerwowane dla odizolowanego i przeciążonego dowództwa. Teraz sierżant wiedział to samo co pułkownik, a informacja zawsze była najcenniejszym towarem. Przebywający na ćwiczeniach czołgiści z Gwardii Narodowej Północnej Karoliny świetnie opanowali użycie systemu, podobnie jak żołnierze Czarnego Konia, tyle że ich imitujące rosyjskie pojazdy były go pozbawione.

— Dopiero teraz, pułkowniku, widać, jakie to dobre rozwiązanie, skoro przegrał pan z nimi.

Symulowane starcie okazało się krwawe. Wraz ze swoim zastępcą Hamm obmyślił szatańską zasadzkę, jednak Niedzielni Wojownicy wykryli ją i wyminęli, przeprowadzając manewr, który siły Czerwonych zastał źle rozlokowane. Wprawdzie śmiały kontratak niemal odwrócił wynik bitwy, unicestwiając połowę składu Niebieskich, ostatecznie okazał się jednak niewystarczający. Pierwsze nocne starcie zakończyło się zwycięstwem Niebieskich, co gwardziści powitali takimi wiwatami, jak gdyby zakończył się właśnie mecz koszykówki NBA.

— Następnym razem im dołożymy — obiecał Hamm.

— Pokora jest zbawieniem dla duszy — powiedział Marion Diggs, wpatrując się w promienie wschodzącego słońca.

— Śmierć jest tragedią dla ciała — zripostował pułkownik.

Diggs z uśmiechem wracał do swojego *Hummera*. Nawet Alowi Hammowi potrzebna była od czasu do czasu nauczka.

\* \* \*

Unikali zgubnego pośpiechu. Gwiazdor zajął się wynajęciem samochodów. Podrobił prawa jazdy, tak, aby mogli postarać się o cztery auta, trzy osobowe i jedną przyczepę. Pierwsze musiały przypominać samochody rodziców, którzy podjeżdżali pod przedszkole, ta ostatnia miała im posłużyć do ucieczki, która wydawała się Gwiazdorowi coraz bardziej prawdopodobna. Podwładni okazali się sprawniejsi niż przypuszczał. Kiedy w wynajętych wozach mijali miejsce akcji, nie odwrócili głów, a tylko kątem oka ocenili cały teren, znany im skądinąd dzięki modelowi, który zbudowali na podstawie fotografii. Kontakt z rzeczywistym, pełnowymiarowym obiektem miał dopomóc ich wyobraźni przestrzennej i zwiększyć poczucie pewności siebie. Potem wykręcili na zachód, zjechali z szosy numer 50 i podążyli do samotnego zabudowania na południu okręgu Anne Arundel.

Właściciela, który mieszkał tutaj od jedenastu lat i był uśpionym agentem, sąsiedzi uważali za Żyda urodzonego w Syrii. Przez ostatnich kilka lat dyskretnie zakupywał broń i amunicję, wszystko legalnie, gdyż nie wprowadzono jeszcze restrykcyjnych

ograniczeń, ale nawet wtedy potrafiłby je wyminąć. W kieszeni płaszcza spoczywały wystawione na inne nazwisko bilety lotnicze i paszport. Tutaj mieli się spotkać wszyscy po raz ostatni: dostarczą dziecko, po czym szóstka natychmiast opuści USA różnymi samolotami, podczas gdy pozostałych troje odjedzie samochodem właściciela do z góry przygotowanego lokum, gdzie będą oczekiwać na rozwój wydarzeń. Ameryka była ogromnym krajem z mnóstwem dróg, a telefony komórkowe trudno było zlokalizować. Dla ich tropicielei będzie to oznaczało mnóstwo roboty, myślał Gwiazdor. Jeśli sprawy zajdą tak daleko, dobrze wiedział, co wtedy robić. Grupa z dzieckiem mieć będzie jeden telefon, on będzie miał dwa: jeden do kontaktów z rządem amerykańskim, drugi — do kontaktów z towarzyszami. Za zachowanie dziecka przy życiu zażądadają wiele, dostatecznie wiele, aby cały kraj pogrążyć w chaosie. Potem może nawet puszczać dzieciaka wolno. Było to mało prawdopodobne, ale nie wykluczał tej możliwości.

KONIEC TOMU DRUGIEGO